Małgorzata Szejnert

Wyspa Węży

znak

Małgorzata Szejnert

Wyspa Węży

Wydawnictwo Znak
Kraków 2018

Proszę panów, byśmy zapomnieli o tym, co nas dzieliło, a zwrócili się ku temu, co nas łączy, a przynajmniej łączyć powinno. (…) Nie będziemy tu robić żadnej polityki.
Zasadą moją będzie kult kompetencji, a wierzę, że się spotkamy pod hasłem „Honor i Ojczyzna”.

Władysław Sikorski

Czasem wydaje mi się, że w historii tortur polskich w tych latach nie rzeka Kołyma, nie Morze Białe, nie Komi, Starobielsk, katorga sybirska i nie obozy koncentracyjne w Dachau, Oranienburgu czy Oświęcimiu, ale Rothesay wymieniane będzie jako miejsce najbardziej ponurej zagłady kilkuset polskich inteligentów.

Stefan Mękarski

(…) żołnierz polski wyszedł z kart historii, ze strof poezji, z rozdziałów powieści, zszedł ze scen teatru, na których żył na krótką chwilę od podniesienia do zapadnięcia kurtyny – zstąpił ze sztychów Grottgera, obrazów Matejki, Rosena, Wyspiańskiego, Malczewskiego, Kossaka, Tetmajera, aby stać się znów żywym ciałem (…).

Tadeusz Alf Tarczyński

Zorientowałem się, że w Polsce zawsze jest pod ręką kryzys polityczny. Miałem dla Polaków wielką sympatię i podziw, ale nie mogę zaprzeczyć, że karmili się kryzysami, produkowali je z niezawodną gotowością i bez prowokacji.

Adrian Carton de Wiart

N
Colintraive
COWAL
Tighnabruaich
B
KYLES OF BUTE
J. STRIVEN
BUTE
KYLES OF BUTE
U
Zamek Kames
ZAT. KAMES
Croc-on-Aoer
Port Bannatyne
ARDBEG
Wemyss
COWAL
ZAT. STTRICK
ZAT. ROTHESAY
ZATOKA
CLYDE
Rothesay
T
J. Ascog
ZAT. KERRYCROY
Kerrycroy
SCOLAG
Mount
Stuart
INCHMARNOCK
ZAT. ŚW. MINIANA
E
WYŻYNA SCOULAG
ZAT. SCALPSIE
Kingarth
ZAT. STRAVANAN
Kilchattan
ZAT. KILCHATTAN
kaplica św. Blane'a
ZAT. DUNAGOIL
LITTLE
CUMBRAE
ARRAN

Rak

Biały prom linii Caledonian przybija do Rothesay na wyspie Bute. Rejs z Wemyss, małego portu, pięćdziesiąt kilometrów na zachód od Glasgow, trwał trzydzieści pięć minut.

W Polsce upały, tu deszcz, trzynaście stopni. Taki tydzień nas czeka – według prognozy. Szara pomarszczona woda zatoki Clyde, szare wzgórza, blaszane niebo.

Wyspa Węży, tak ją przezwali.

Ptaki

Wyspa węży? Raczej wyspa ptaków.

Na mapie przypomina postać ludzką stojącą na głowie, jest o połowę mniejsza od wyspy Wolin: dwadzieścia pięć kilometrów długości, w najszerszym miejscu – osiem i pół kilometra, w najwęższym (tam gdzie ludzka postać ma szyję) – dwa kilometry, najwyższe zaś miejsce, Wichrowe Wzgórze, ma dwieście siedemdziesiąt metrów.

Pani Mollie Munro, która osiadła tu z mężem w 1951 roku, zwierzyła się „Synom i Córom Bute”[1], że czuje się szczęśliwa właśnie dzięki ptakom wijącym gniazda w skałkach i na wrzosowiskach. Nie spotkała, rzecz jasna, wszystkich gatunków, które opisał pastor John Morell McWilliam, ale widuje kormorany czubate, gęsi morskie, żurawie, ostrygojady, a zimą stadka nastroszonych siewek i zręczne pstrokate kamuszniki, które brodząc na czerwonych nóżkach, odwracają dziobami kamyki i szukają pod nimi drobnych skorupiaków. Latem niezwykłą uciechę sprawiają jej głuptaki, które nurkują przy brzegach, dokazują i szczekają jak pieski. Czasem siada na wodzie duży miękkopiór, którego puch jest podobno najdelikatniejszy na świecie.

Można przypuszczać, że pani Munro, torując sobie ścieżkę w gąszczu paproci, widywała pastora McWilliama. Jechał na rowerze, wysoki, chudy jak patyk, czerwonowłosy, w tweedowej kurtce, w koloratce pod grdyką, z lornetką i strzelbą. Albo szedł pieszo. Najlepiej było wyjść wieczorem, podpatrzeć, gdzie ptaki zapadają na noc, i wrócić w te miejsca o świcie, kiedy podnoszą się z gniazd. Czasem trzeba je było zabijać. Aparaty fotograficzne

nie miały zoomów, długo ustawiało się ostrość; bardzo trudno było złapać obiektyw i wyraźnie przybliżyć małą płochliwą istotę. Zwłaszcza że pastor miał kłopoty z oczami, od kiedy podczas pierwszej wojny światowej we Francji spotkał się z chmurą gazu musztardowego.

Te zabite ptaki nie zginęły całkiem, zostały dokładnie opisane. Niektóre wypchano, można je oglądać w muzeum na Bute.

Pierwsze wydanie książki pastora „Ptaki wyspy Bute" z 1927 roku jest ciągle poszukiwane i osiąga na aukcjach cenę stu pięćdziesięciu funtów.

Możliwe, że pani Munro i pastor McWilliam spotkali na swych ścieżkach przyszłego właściciela wszystkich tu niemal dróg, wzgórz i łąk, piątego markiza Bute, potomka dwóch władców: po ojcu – króla Szkocji Roberta II (wiek czternasty), po matce – króla Wielkiej Brytanii Wilhelma IV (wiek osiemnasty/dziewiętnasty), zwanego królem żeglarzy.

Nie jest to jednak pewne, bo John Crichton-Stuart był tak zapalonym ornitologiem, że nie wystarczały mu ptaki w ogromnych ogrodach rodzinnej rezydencji Mount Stuart koło Rothesay ani na skałkach i plażach Bute. W 1931 roku, zanim jeszcze został piątym markizem (po śmierci swego ojca, czwartego markiza), kupił maleńki, opuszczony przez mieszkańców archipelag St Kilda w szkockich Hybrydach i pozostawił go ptakom jako rezerwat. Być może więc obserwował je właśnie tam.

Niektóre ptaki mogą budzić lęk. Pisarz David McDowall, autor przewodnika po wyspie Bute, przytacza informacje o jerzyku. Dorosły waży czterdzieści pięć gramów, a rozpiętość jego skrzydeł wynosi czterdzieści osiem centymetrów. Jest szybki jak pocisk. Gdyby człowiek o wadze sześćdziesięciu pięciu kilogramów chciał latać jak jerzyk, jego skrzydła musiałyby mierzyć sześćset trzydzieści pięć metrów. Byłyby więc prawie cztery i pół raza dłuższe od kadłuba HMS Cyclops, stojącego przez drugą wojnę światową na straży wyspy; John Crichton-Stuart był na nim szyfrantem[2].

Latem nad Bute fruwa dużo jerzyków, podobnie jak w Polsce. I tu, i tam są pod ochroną, ale gatunek nie jest zagrożony. Nie boją się miast. Wyobraźmy sobie człowieka jerzyka, który unosi się nad Rothesay lub Białą Podlaską.

Generałowie

Wyspa ptaków albo jeszcze inaczej – wyspa generałów.

Podobno skierowano ich tutaj dwudziestu. Ale może było ich siedemnastu, w tym trzech generałów dywizji, i pilnował ich osiemnasty, w randze generała brygady. Niewygodnie, gdy niższy stopniem pilnuje wyższych rangą. A jeszcze ma pełne ręce roboty, musi mieć na oku pułkowników, podpułkowników, majorów, kapitanów, poruczników i podporuczników. Ich stan był zmienny – od trzystu do sześciuset. Jedni przypływali, inni odpływali, do niektórych zdołały dotrzeć żony, a nawet dzieci. Według różnych relacji przewinęło się ich przez wyspę około półtora tysiąca, ale i ta liczba nie jest pewna.

Pani Munro minęła się z nimi, bo zaczęli przypływać na Bute latem 1940 roku, jedenaście lat wcześniej, nim tutaj osiadła, i opuszczali wyspę po dwóch–trzech latach pobytu, bardzo spokojnego, niezakłóconego odgłosem strzałów, chociaż wciąż trwała wojna.

Ziemia

Zeszliśmy na ląd w Rothesay, jedynym miasteczku na wyspie. Wiosną upomniałam się u mego syna Piotra i synowej Kingi o prezent na osiemdziesiąte urodziny. Poprosiłam, by syn towarzyszył mi w podróży na Bute.

Powinniśmy przywieźć ze sobą ziemię. Siostra mego ojca Dziunia Raczkowska pomyślałaby o tym na pewno.

Nie bardzo jednak wiedziałam, gdzie należy zagłębić łopatkę pożyczoną od wnuczki.

Pierwsza myśl prowadziła na ulicę Butkiewicza nr 12 w Białej Podlaskiej, gdzie stał dom mego dziadka Antoniego Biernackiego, rozebrany razem z warsztatem masarskim pod gierkowskie bloki. Dziunia i Rak bywali tutaj w szczęśliwych latach, przed drugą wojną. Ale całe to miejsce nie miało już nic wspólnego z naszym dawnym domem, podwórkiem i gospodarstwem.

Druga myśl kierowała mnie ku wylotowi z Białej w stronę Warszawy, gdzie przed wielu laty stacjonował 9. Pułk Artylerii Lekkiej, wspominany często przez mężczyzn z mojej rodziny – albo w nim służyli, albo mieli tam kolegów. Jeszcze po wojnie po prawej, północnej stronie ulicy Warszawskiej

stały koszary Szmula Piżyca (zwane tak wciąż od nazwiska bogatego Żyda, który wynajmował nieruchomości), stajnie, magazyny i drewniane parterowe kasyno, przypominające długą oborę. A po lewej szpecił ulicę cementowy barak kantyny pułkowej. Pamiętałam te resztki koszar z lat szkolnych, lecz już nie mogę ich znaleźć. Część zabudowań widocznie rozebrano, część musiała zmienić przeznaczenie. Miasto się rozrosło i nasunęło na przestrzeń, która była kiedyś odrębna.

To szukanie miejsca, by pobrać z niego garść ziemi, było nie tylko kłopotliwe i krępujące (chociaż na pewno nie krępowałoby Dziuni), ale i bez sensu. Jeśli już wieźć Rakowi woreczek z ziemią, powinno się tę relikwię pozyskać nie tam, skąd wziął żonę czy gdzie pełnił służbę, lecz raczej w jego stronach rodzinnych. Ale gdzie są te strony? Prawie nic nie wiedziałam o Ignacym Raczkowskim – Raku, jak go nazywali krewni i znajomi. Niewiele ponad to, że był mężem Dziuni Szejnertówny i że zagadkowo znikł z naszego życia. Nikt mi już nie mógł o nim opowiedzieć.

Listy zewsząd

Dziwną nieobecność wuja Raczkowskiego zauważyłam przy porządkowaniu papierów domowych. Moi bliscy chętnie do siebie pisali, a że losy rzuciły ich do różnych miast, krajów, a nawet na różne kontynenty, tych listów nagromadziło się bardzo dużo. Trzymali je w ofrankowanych kopertach, chowali w pudłach i paczkach obwiązanych sznurkiem, na pawlaczach albo w piwnicach. Pod koniec życia szukali kogoś, kto przejmie nad tym opiekę. Wybór padał na mnie. Wiedzieli, że ja też nie wyrzucam listów.

Miałam więc własne listy do mamy i mamy do mnie, własne listy do wuja Antka Biernackiego w Stanach i listy Antka ze Stanów do mnie (przywiózł je ze sobą, kiedy postanowił pod koniec życia wrócić do Polski). Miałam całe kręgi korespondencji – Antek do mnie, do mamy, do najmłodszego brata w Australii i średniego w Białej Podlaskiej, do jednej kuzynki w Nowym Jorku, drugiej w Waszyngtonie, trzeciej w stanie Wisconsin, czwartej w Londynie, piątej w Afryce, i na wiele z tych listów były odpowiedzi. Takich kręgów było sporo, a listów tysiące, bo jeszcze od różnych dalszych

i przyszywanych krewnych, od przyjaciół, kolegów, sympatii. Układałam według nadawców i pakowałam kolejno do pudeł z nazwiskiem. Na jednym napisałam: „Jadwiga Raczkowska – Dziunia”.

Większość jej listów pochodziła z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych ubiegłego wieku. Litery stawiała lekko, z fantazją. Zauważyłam, że nigdy nie pisze o sobie ani o codziennych kłopotach życiowych. Nigdy nie wspomina o Raku. Całą uwagę poświęca adresatom, nie jest jednak wścibska. Dyskretna, z dystansem. W listach do niej też nie pojawia się Rak, tak jakby jej milczenie onieśmielało innych i nie pozwalało zadawać pytań.

Kriegsgefangenenpost

Zwróciłam uwagę na cienką teczkę z napisem „oflag”, do której dotąd nie zaglądałam. Leżały w niej listy od Dziuni do brata, kapitana Stefana Szejnerta, jeńca wojennego numer 52817/XB. Dziunia, Hala i Irka, trzy siostry mojego ojca, nauczyciela gimnazjalnego, były zamężne z oficerami. Niedawno dowiedziałam się z metryk rodzinnych, że Dziunia z Ignacym Raczkowskim i Hala z Ryszardem Ługowskim brali ślub tego samego dnia 1924 roku w tym samym kościele w Białej Podlaskiej. Zdrabniam poufale imiona tych wujów, których nie zdążyłam poznać, bo tak się ich zawsze wspominało w domu: Ryś, Ignaś, Rak.

Dziunia wysłała te listy w 1942 roku z Wielkiej Brytanii do oflagu XC (Lubeka) i oflagu IID (Gross Born, dzisiaj Borne Sulinowo) na standardowym formularzu pocztowym z niemieckim nadrukiem: *Kriegsgefangenenpost, Antwort-Postkarte*. Pouczano po polsku, że nadawca ma pisać ołówkiem, wyraźnie i nad liniami.

List do oflagu w Lubece:

Najdroższy Stefusiu – Wczoraj otrzymałam kartę i foto. Trudno wyrazić co za radość widzieć Cię zdrowym. Wysyłałam paczki i listy lecz pod złym adresem – Wysyłać będę nadal lecz niestety niewolno paczek indywidualnych tylko na męża zaufania obozu. Napisz co potrzebujesz z ubrania i przyślij wymagane zapotrzebowanie. Niech Bóg sprawiedliwy chroni Cię nadal. Dziunia[3]

List do oflagu w Gross Born:

Stefuś najdroższy. Przedwczoraj nadszedł Twój list z 1/VII. Nie troszcz się o mnie Kochany. Mam warunki materialne zupełnie dobre i zdrowa jestem. I jestem szczęśliwa, że mam takiego Brata jak Ty. Paczka odzieżowa została wysłana w połowie czerwca – były tam: trzewiki, wełniany sweter i szal, 3 p. wełnianych skarpet, komplet ciepłej bielizny, 3 koszule płócienne, 2 ręczniki, 2 chustki, 2 mydła, przybory do szycia. Wczoraj napisałam do Londynu do znajomej, która pracuje w Czerwonym Krzyżu, aby (o ile istnieje ta droga przesyłki paczek, którą podałeś) natychmiast poleciła wysłać Ci paczkę. Na przyszłość jednak proszę przysyłaj nalepki niebieskie i czerwone bezpośrednio na mój adres – pragnęłabym ich mieć jak najwięcej – Zaznacz co Ci najwięcej potrzebne – wszystko wyślemy. Ignaś jest ze mną – ze zdrowiem bez zmian. Bardzo się o Was troszczy, i wszystko by oddał by Wam pomóc. Od dłuższego czasu nie mam wiadomości od Rodziny. Czy otrzymałeś papierosy – 2 razy wysłałam 150 i 500 sztuk. W tych dniach znów wyślę. Twoją kochaną jasną głowę całuję i do serca tulę – niech Bóg czuwa nad Tobą.

Dziunia

Dziunia pisze z Rothesay do brata Stefana Szejnerta w oflagu w Gross Born, dzisiaj Borne Sulinowo

archiwum rodzinne Małgorzaty Szejnert

A więc w 1942 roku Raczkowscy byli w Anglii. Dziunia czekała na niemieckie nalepki, które upoważniały do wysłania paczki polskiemu jeńcowi, on myślał o rodzinie i wyrażał swą miłość do niej. Co się z nim stało? Ze zdrowiem bez zmian, wlokła się więc za nim jakaś choroba. Co robił w Anglii? Jak wyglądał? Kim w ogóle był?

Ślub w Białej

To, co od dawna usiłuję robić z korespondencją, zrobiłam parę lat temu z fotografiami. Uporządkowałam je, opisałam i wkleiłam do sześciu wielkich albumów. Wiem mniej więcej, kto na nich jest. Raka chyba nie ma.

Obejrzałam starannie zdjęcia grupowe, zwłaszcza te z Dziunią. Była na ślubie moich rodziców w Białej Podlaskiej w 1934 roku.

Zachowała się niewielka fotografia z tego ślubu, a raczej wesela.

Rodzina i goście pozowali przed domem przy ulicy Butkiewicza 12, tym, który rozebrano za Gierka, jeszcze zanim urodził się Piotr. Dom miał wielką kuchnię i jeszcze większą ciemną jadalnię, duże pokoje, których przeznaczenie zmieniało się w różnych latach z powodów historycznych lub rodzinnych, osobne mieszkanie na piętrze, z dwoma przygórkami, i ogromny strych, który ciągnął się nie tylko nad mieszkalną częścią budynku, ale i nad przylegającym do niej warsztatem masarskim dziadka i dużą izbą czeladną. Tę część domu też rozebrano. A wcześniej, wkrótce po wojnie, w ramach tak zwanej bitwy o handel zabrano firmę rodzinie i nazwano spółdzielnią. Jeszcze przez długie lata produkowała niezłe wędliny, nie takie jednak jak ta szynka, za którą dziadek dostał złoty medal na międzynarodowej wystawie w Muzeum Pracy w Paryżu w 1908 roku. Wyróżnienie to poświadczono sześcioma pieczęciami, między innymi prefektury Sekwany, dwóch ministerstw – Ministerstwa Pracy i Ministerstwa Spraw Zagranicznych, i uwierzytelniono stemplem carskiego konsulatu w Paryżu. Przechowuję ten dokument z wielkim pietyzmem.

Firma prosperowała, dziadek zbudował dom i kupił drugi. Ale ślub moich rodziców był skromny, nawet bardzo skromny. Do zdjęcia pozuje dwadzieścia jeden osób. Fotograf ustawił je na niewielkiej przestrzeni ujętej dwiema ścianami domu spotykającymi się pod kątem prostym.

Ślub moich rodziców. Biała Podlaska, 1934 rok

archiwum rodzinne Małgorzaty Szejnert

W pierwszym rzędzie siedzą państwo młodzi, Regina, z domu Biernacka, i Edmund Szejnert. Mama, szczupła i zręczna, w krótkiej białej sukience i białych pończochach, i tata, dużo od niej starszy, niewysoki, już lekko łysiejący. Są zakochani, na zdjęciu tego nie widać, ale ja to wiem. Ojciec, polonista, uczył w gimnazjach w Żninie i w Gostyniu, a teraz ma posadę w Gimnazjum Zamoyskiego w Warszawie, ale chcieli mieć ślub i wesele w Białej, w rodzinnym domu mamy. Jeszcze nie wiedzą, że schronią się w tym domu, gdy wybuchnie wojna, i pozostaną w nim z dziećmi przez długie lata. Rodzina taty też jest związana z Białą Podlaską: dziadek Henryk Szejnert był notariuszem w tutejszym sądzie.

Po prawej stronie mamy siedzi dziadek Antoni Biernacki, z siwymi wąsami i bródką jak plama śmietany, i gruba babcia Katarzyna, zwana Kalunią. Po lewej stronie taty widzimy wysokiego, przystojnego mężczyznę w oficerskim mundurze, a obok Dziunię Raczkowską i jednego z dalszych krewniaków. Za tym rzędem stoi reszta domowników i gości.

Czy oficer koło Dziuni może być Rakiem? Chyba jednak nie. Wygląda na to, że jest pułkownikiem, chociaż dystynkcje są na zdjęciu słabo widoczne, można się omylić. Rak był oficerem niższej rangi, majorem albo kapitanem. Ten oficer na pewno jest dużo starszy od Dziuni, a z nielicznych przekazów rodzinnych wynika, że Rak i ona byli prawie rówieśnikami.

Dziunia się uśmiecha, jest opalona, włosy ma modnie obcięte na garsonkę.

Od jakiegoś czasu mieszka z Rakiem w Warszawie.

W głębi, ledwie widoczna, stoi Marysia, jedyna, ukochana siostra mamy, najmłodsza z rodzeństwa. To jeszcze podlotek, na zdjęciu nie widać, że nosi długie ciemne warkocze. Na tle okna bieleje głowa Mamaszy, zwanej także pułkownikową. Dobrze ją pamiętam, bo długo żyła. A więc mężczyzna w pierwszym rzędzie to pewnie jej mąż, pułkownik Walerian Jachimowicz, z którym jesteśmy spowinowaceni. Syn Jachimowiczów Wiktor ożenił się z najmłodszą siostrą mego ojca Ireną, uroczą śmieszką zwaną przez wszystkich Pyrcia.

Mamasza nie powinna jeszcze osiwieć. Zbielała tak, mając osiemnaście lat, kiedy to podczas rewolucji zabito na jej oczach dwóch rodzonych braci i ojca. Jej samej udało się uciec z Rosji dzięki polskiemu oficerowi w służbie rosyjskiej.

Jest imponującą pięknością, wysoka, masywna, władcza, powinna zajmować miejsce obok pułkownika, ale jako energiczna gospodyni na pewno pomaga przy weselu, więc się nie rozsiada. Zresztą jest Rosjanką, zbyt obca, by się lokować na pierwszym planie.

Wkrótce mam pewność, że przy Dziuni siedzi Jachimowicz. Jego wnuczka Ewa Wiśniewska, z którą widujemy się czasem w Warszawie, rozpoznała go na fotografii.

Na weselu nie było więc Raka.

Brakuje także trzech innych oficerów, którzy powinni tu być. Ryszarda Ługowskiego, męża Hali, średniej siostry taty, która przyszła z małym synkiem Jasiem, i dwóch braci mamy – najstarszego Antka, zajętego w bialskim aeroklubie, i najmłodszego Stefusia, flirciarza, który ciągle dostaje pachnące liściki, panny nazywają go Stefi. Trzeci brat, Stanisław, który wedle woli dziadka powinien przejąć firmę, na pewno jest na weselu i prawdopodobnie robi to zdjęcie. Ma za sobą nieprzyjemny epizod. Manifestuje przekonania narodowe, zbliżył się do ONR i podczas aresztowań po zamachu na Pierackiego[4], które sięgnęły aż po Białą Podlaską, trafił na krótko do więzienia.

Może oficerowie są na ćwiczeniach. Przyjechał za to z Warszawy Stefan Szejnert, do którego Dziunia będzie za parę lat wysyłała z Anglii kartki z nadrukiem *Kriegsgefangenenpost*. Stoi w drugim rzędzie, pierwszy od prawej.

Rembertów

Zimą 2012 roku pojechałam do Rembertowa, do Centralnego Archiwum Wojskowego imienia Majora Bolesława Waligóry.

Rozległy teren pełen rozmaitych budowli służących wojsku, otoczony płotem i pocięty wewnętrznymi drogami, był zatopiony w rozmiękłym śniegu i błocie. Nikt nie oczyszczał dróg, chodników ani parkingów. Przeprawiłam się do budynku archiwum i pokonałam wykopany przed wejściem rów, nad którym zaniedbano położenia kładki.

Powiedziano mi, że jest remont, i zaproszono za dwa lata. Pokazałam swoje dziennikarskie papiery. Pozwolono mi wejść. Ktoś tu jednak pracował, były biurka, kartoteki, personel.

Przyniesiono to, czego z uporem się domagałam, wiedząc, że każdy oficer ma tu swoją historię – kilkanaście kartek, które musiałam czytać w pośpiechu, bo następnych wizyt nie przewidywano.

Zaczęłam od dokumentu z 1920 roku – wniosku o nadanie podporucznikowi Ignacemu Raczkowskiemu Srebrnego Krzyża Virtuti Militari V klasy. Wnioskodawca kapitan Tadeusz Kozakiewicz przedstawiał okoliczności:

W dniu 5 września 1920 roku w czasie akcji na Kułakowicze, Stepankowicze, Moniatycze, zdołała się przesunąć na tyły własnych wojsk kawalerja nieprzyjacielska w sile czterech szwadronów, która zaatakowała wieś Stepankowicze, lecz szarża ta została odparta przez 2gą baterię 9 pap [pułku artylerii polowej], która kartaczami na odległości 100 m. strzelała do szarżującej kawalerii nieprzyjacielskiej, rozpraszając takową i przeprowadzając potem uciekającego w popłochu nieprzyjaciela przez 4 kilometry ogniem artyleryjskim. Nieprzyjaciel zostawił na przedpolu baterii kilkadziesiąt trupów końskich i ludzkich. Odznaczył się w powyższej akcji pporucznik Raczkowski Ignacy, dowódca baterii, który będąc przez cały czas przy baterii, sam kierował ogniem i swoją zdecydowaną postawą dodawał otuchy żołnierzom baterii. Przyczynił się do uratowania ogólnej sytuacji.

Nazwisko Kozakiewicz wydało mi się znajome. Kojarzyło się z kobietą imieniem Raisa.

Odsunęłam to wspomnienie. Zbliżała się godzina zamknięcia archiwum,

a zostały jeszcze między innymi metryka ślubu z 1924 roku, doroczne listy kwalifikacyjne, „Kwestjonarjusz” z 1934 roku ze zdjęciem Raka.

Twarz okrągła, łagodna, miękki podbródek, miłe spojrzenie spod bardzo jasnych brwi. *Sam kierował ogniem*? Całkowita łysina, jakby dokładnie ogolił czaszkę.

W lewym dolnym rogu legitymacji orderu Ignacego Raczkowskiego widać stempel wbity 27 września 1939 roku na granicy rumuńskiej

archiwum rodzinne Małgorzaty Szejnert

Urodzony w majątku Miegiany w 1896 roku.

Ukończył Konstantynowską Szkołę Artylerii w Piotrogrodzie w 1916 i szkołę oficerów artylerii w Rembertowie w 1919.

Na pytanie w kwestionariuszu: *Czy służył w armii zaborczej?*, odpowiada:

Do wojska rosyjskiego wstąpiłem 15 XII 1915 r. Szkołę oficerską ukończyłem w 1916 r. W wojsku rosyjskim przesłużyłem do 14 IX 1917 r., w którym to dniu zgłosiłem się do Centralnego Komitetu Wojsk Polskich w Moskwie, gdzie byłem do dnia 5 XII 1918 r. Na Litwę wróciłem w grudniu 1918 r. Pod koniec grudnia 1918 r. przyjechałem do Warszawy i dnia 10 I 1919 r. wstąpiłem do Wojska Polskiego, w którym służę do obecnej chwili.

Wrócił na Litwę, czyli do domu, do majątku Miegiany tuż koło Kiejdan. To kraina opisana przez Czesława Miłosza w *Dolinie Issy*. Nikt z naszej rodziny nigdy nie wspominał o Miegianach, jakby znikły ze swymi gospodarzami z powierzchni ziemi. Ani o powiecie kiejdańskim, gnieździe Raczkowskich. Jerzy Żenkiewicz z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu podaje w *Wykazie części majątków polskich w Republice Litewskiej w latach 1919–1939*: *poz. 771 Raczkowski Antoni, majątek Miegiany poczta lub gmina Gudziuny, powiat Kiejdany, poz. 772 Raczkowski Eugeniusz, majątek Łęczynów poczta lub gmina Kiejdany, powiat Kiejdany, poz. 773 Raczkowski, majątek Pakalniszki, pta lub gm (brak informacji), powiat Kiejdany.*

W *Słowniku geograficznym Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich* wiadomości o tych miejscach są bardzo wątłe. Portale genealogiczne też nic nie mówią o rodzinie Raka.

A jednak kiedy w 1934 roku Rak wypełniał swój kwestionariusz, był uczestnikiem historii nie tylko żywej, ale i spisanej. Już w 1929 roku Główna Księgarnia Wojskowa w Warszawie, Nowy Świat 69, proponowała klientom sto pięćdziesiat sześć zeszytów obejmujących zarys historii wojennej tyluż pułków polskich, wśród nich 9. Pułku Artylerii Polowej (w 1932 roku przemianowano go na 9. Pułk Artylerii Lekkiej).

Tak zwane koszary Piżyca w Białej Podlaskiej

Zarys ten, obejmujący czterdzieści stron gęstego druku, z polecenia Wojskowego Biura Historycznego opracował major Józef Nowak. Można się z niego dowiedzieć, jak wyglądały pierwsze miesiące polskiej służby podporucznika Raczkowskiego. Zgłosił się z porucznikiem Tadeuszem Kozakiewiczem do szkolnego dywizjonu artyleryjskiego powstającego w obrębie twierdzy Dęblin. Koszary były stare, zniszczone. Kilkadziesiąt zabiedzonych, zmęczonych koni wyprowadzano na trawiaste forty, żeby się odpasły. Brakowało sprzętu artyleryjskiego. Rekruci narzekali na buty z amerykańskich darów, za ciasne na chłopską stopę. Wreszcie dostali armaty francuskie, nadwerężone w pierwszej wojnie światowej, „weterany-gruchoty". W sierpniu 1919 roku przenieśli się do bialskich koszar Piżyca. Stacjonował tam przedtem niemiecki szpital koński, więc podreperowane już konie zaczęły łapać różne choroby. Ale było więcej sprzętu, uprząż, broń ręczna i maszynowa, jednolite mundury, wprawdzie kroju armii niemieckiej, i wszyscy czekali na spotkanie z wrogiem.

Przysięga

W 1919 roku w Dęblinie Ignacy Raczkowski, który przed ponad rokiem uwolnił się ze służby w armii rosyjskiej i wrócił do domu, na Litwę, składa oświadczenie zachowane w Centralnym Archiwum Wojskowym:

Niniejszym oświadczam, że jestem Polakiem wyznania rzymsko-katolickiego, uważam się za obywatela i poddanego Republiki Polskiej. Przysięgam Bogu Najwyższemu, iż Ojczyźnie służyć będę wiernie, wszystkie rozkazy swoich przełożonych ściśle dotrzymywać i w ogóle tak się zachowywać, abym mógł żyć i umrzeć jako prawowity żołnierz polski.

Konarmia

Co to była za kawaleria, na którą dwudziestoczteroletni Ignacy Raczkowski tak bezwzględnie kierował ogień piątego września 1920 roku?

Przeraźliwe rozłogi usiane poszatkowanymi trupami, nieludzkie

okrucieństwo, niewiarygodne rany, zdruzgotane czaszki, młode, białe, nagie ciała lśnią w słońcu, porozrzucane notesy, kartki, żołnierskie książeczki, strzępy Pisma świętego, trupy w zbożu[5].

To Konarmia Budionnego, jej straszne dni. Wyczerpana, rozproszona i upokorzona, wycofuje się na wschód, przeklinając klęskę. Ale nie wiemy, o czyich zwłokach pisze Babel w swoim notatniku. Jakby nie chciał rozróżniać swoich od wrogów: „nienawidzę wojny. Co za życie”[6].

Raisa

Raisa mieszkała na parterze w oficynie domu przy ulicy Kraszewskiego w Białej Podlaskiej. Widywałam ją w pierwszych latach po wojnie. Nazywano ją majorową. Siedziała przy oknie i patrzyła, czy ktoś nie wchodzi na puste podwórko; czasem suszyła się tam bielizna i zasłaniała jej widok. Tak jak Mamasza była Rosjanką, której udało się wyjść za polskiego oficera i uciec przed rewolucją, ale w przeciwieństwie do pułkownikowej była cicha, przestraszona, pokorna. W młodości pewnie czarnowłosa i wielkooka, teraz była szara – szare brwi, szare włosy zaczesane do tyłu i spadające na kark jak plereza, bo na fryzjera była za biedna, szarobure spódnice, kiedyś w dobrym gatunku. Zgarbiona, jakby bała się podnieść oczy, bo wszyscy zobaczą, że załzawione. Major nie wrócił z wojny, przepadł bez wieści. Odwiedzałam ją czasem wysłana przez mamę albo ciotki, które znały ją jeszcze z dobrych czasów, kiedy w mieszkaniu pachniało kawą i grywało się w brydża. Niosłam kawałek ciasta, czasem coś z obiadu. Chwytała mnie za ręce i nie chciała puścić. Próbowałyśmy rozmawiać, ale nie wiedziałyśmy o czym. *Zostań trochę, posiedź troszku, dokąd tobie tak śpieszno…*

Nie miała w Polsce żadnej rodziny, a jeśli ktoś jeszcze był w Rosji, to też jakby nie żył.

Nie miała pieniędzy, nigdy nie pracowała, słabo znała polski. Nie zasługiwała na opiekę Polski Ludowej. Pewnie wyprzedawała dobytek, mieszkanie biedniało i pustoszało.

Ciągle były w nim niewielkie kryształowe lustro z trzech owalnych skrzydeł, które składały się w płaski zręczny przedmiot podróżny, oraz fotografia jeźdźca biorącego przeszkodę. Tym kawalerzystą był jej mąż major

Tadeusz Kozakiewicz, w 1939 roku inspektor koni w Białej Podlaskiej. To z nim Rak zgłosił się w 1919 roku do ćwiczebnego dywizjonu artyleryjskiego powstającego w obrębie twierdzy Dęblin, razem ratowali wynędzniałe konie. A w 1920 roku Kozakiewicz jako dowódca i świadek podpisał wniosek o odznaczenie Ignacego Raczkowskiego Orderem Virtuti Militari.

Oficynę przy Kraszewskiego dawno rozebrano. Fotografia przepadła. Lustro trafiło do mnie po latach, kiedy już mieszkałam w Warszawie.

Inowrocław

Dziunia wróciła z Anglii w 1947 roku.

Wróciła sama. Przyjechała do swego kochanego brata Stefana i jego żony Miki-Natalii, do Inowrocławia. Stefan chodził jeszcze w mundurze majora. Przydzielono mu piękne poniemieckie mieszkanie przy uliczce Ustronie i niemiecką służącą. Niemka urządziła się w dużej kuchni, ja – w wygodnej służbówce.

Stefan z Miką zastępowali mi wtedy rodziców. Musiałam opuścić niebezpieczny dla mnie dom w Białej. Mój ojciec miał prątkującą gruźlicę. Penicylina nie dotarła jeszcze na Podlasie.

Mika-Natalia

archiwum rodzinne Małgorzaty Szejnert

Dziunia przywiozła mi prezenty w niebywałym gatunku, nieznanym dzieciom, a zapomnianym już przez dorosłych. Były to szykowne podkolanówki z szetlandzkiej wełny i dwa metry flaneli w zieloną pepitkę. Ale największy zachwyt wzbudzał zielony pasek z dziwnego tworzywa, plastycznego, lśniącego i mocnego. Kończyłam jedenaście lat.

Po latach Ewa Wiśniewska, wnuczka pułkownika Jachimowicza, która tak jak ja spędzała okupację w Białej Podlaskiej, opowiedziała mi, że też dostała od Dziuni cudowne prezenty, w paczce z Portugalii. Był rok 1941, a może 1942. Dlaczego stamtąd? Ewa pamięta, że to było dziwne dla dorosłych, a dla dziecka podniecające i tajemnicze. Wszyscy już przecież dzięki informacjom Stefana Szejnerta z oflagu w Lubece wiedzieli, że Raczkowscy są w Anglii.

Dwaj moi wujowie, Stefan Szejnert (z lewej) i Stefan Biernacki (z prawej) spotkali się w oflagu w Gross Born

archiwum rodzinne Małgorzaty Szejnert

W inowrocławskim zaułku żyło się przyjemnie. Codziennie przed szkołą biegłam po bułeczki do piekarza w sąsiedztwie. Dziunia była ciągle ładna i elegancka. Stefan chciał ją wyswatać, ale Mika się śmiała, że to beznadziejne. W Inowrocławiu, w całej Polsce, i nie tylko w Polsce, brakowało mężczyzn. Stefan żartował, że tylko w Anglii pozostało ich paru. W 1949 roku, po śmierci ojca, wróciłam do Białej, do mamy i dziadka. Wkrótce przyjechała tam także Dziunia. Wynajęła pokój u pani Skudrowej, która miała pianino. Mogła grać ulubione piosenki. Nuciła: *Strumyk lubi w dolinie, sarna lubi w gęstwinie, ptaszek lubi pod strzechą…*

Często przychodziła do mamy. Wtedy ciągle mówiło się o bliższych i dalszych krewnych, o ich losach wojennych, wiele rzeczy było niejasnych,

snuło się domysły. Oczekiwało się na listy zza różnych granic.

Oficerowie nie wracali ani z Zachodu, ani ze Wschodu. Stefan Szejnert stanowił wyjątek.

Dziunia przynajmniej wiedziała, co stało się z Rakiem.

Grób

Opowiedziałam Piotrowi o wizycie w Centralnym Archiwum Wojskowym w Rembertowie. Zapytał, czy szukałam Raka w internecie.

– Nie, nie szukałam.

– Dlaczego?

– Jakoś mi nie przyszło do głowy, że mógłby tam być.

Natychmiast wpisał do wyszukiwarki: „kapitan Ignacy Raczkowski".

Na ekranie pokazał się niewielki pomnik z białego betonu.

Nad orłem z koroną wyryto „KPT I. RACZKOWSKI", a poniżej: „*11th MAY 1943 AGE 46 POLISH FORCES*".

Cmentarz znajdował się na szkockiej wyspie Bute w miejscowości Rothesay, mniej więcej na wysokości Glasgow, na zachód.

Czy to mógł być grób Raka? Dlaczego Rak miałby leżeć na Bute? Przecież Dziunia wróciła do Polski z Anglii. I tam, według rodziny, pozostał Rak. Nigdy się nie mówiło o Szkocji.

Odszukałam na nowo listy Dziuni do brata Stefana. W rubryce pisała „England", ale powyżej udało mi się odczytać wyblakły adres: „Rothesay – Bute, 76 Ardbeg Road".

Dlaczego „England"? Czy Dziunia chciała ukryć obecność swoją i Raka na szkockiej wyspie? Tak myślałam. Ale może tak nie było. Może to było mechaniczne, może snobistyczne, lepiej było mieszkać w Anglii niż na szkockiej prowincji?

Wczesną wiosną 2016 roku, kiedy już postanowiłam pojechać na Bute, przeglądałam w British Library w Londynie mikrofilmowe kopie tygodnika „Buteman and West Coast Chronicle"[7] z lat wojny. Piątego lutego 1943 roku anonimowy autor stałego felietonu *By the Way* (Przy okazji) zwraca się do czytelników zdenerwowany: *Nigdy nie będzie Szkocji! Stempel pocztowy na listach, które otrzymuję w tych dniach, to: „Rothesay, Bute, Great Britain"!*[8].

Szkocja należała do Wielkiej Brytanii, ale felietonista chciał dla niej własnego imienia. Jeszcze dotkliwsze dla Bute byłoby wcielanie wyspy do Anglii, tak jak to robiła Dziunia.

Pod jednym z ośmiu pomników oznaczonych orłem w koronie leżał więc Rak. Mogliśmy to jeszcze sprawdzić w ogólnie dostępnych spisach polskich grobów wojennych na różnych kontynentach. Ktoś, kto grzebał Raka albo tylko prowadził tę ewidencję, podał, że I. Raczkowski miał na imię Ignacy i urodził się w 1896 roku w Miegianach, w powiecie kiejdańskim.

To na pewno on? Wszystko się zgadza, ale dobrze byłoby mieć datę śmierci z drugiego źródła – dopominał się Piotr. Sprawdził w internecie, że było paru kapitanów Ignacych Raczkowskich.

W pudle listów od Stefana Szejnerta znalazłam ostateczne potwierdzenie. Drugiego września 1943 roku Stefan pisał do mojej mamy w Białej Podlaskiej z oflagu Gross Born: *Z Dziunią korespondencja trudna. Ignaś zmarł 11.V; jest zabezpieczona materialnie i „wśród przyjaciół”. Was całuje, szczęśliwa, że przetrwaliście najgorsze*.

Siedemdziesiąt parę lat po tej wiadomości schodzimy z Piotrem z promu na wyspę Bute.

1 Jej wspomnienie *Bute Flora and Fauna* jest zachowane na stronie www.butesonsanddaughters.co.uk (data dostępu: 2 stycznia 2018).

2 David McDowall, *Bute*, Richmond 2010.

3 W cytatach zachowałam oryginalną pisownię i interpunkcję, a także wyróżnienia.

4 Bronisław Pieracki, minister spraw wewnętrznych, zginął w 1934 roku w zamachu dokonanym przez ukraińskiego nacjonalistę. Przez jakiś czas o zamach podejrzewano Obóz Narodowo-Radykalny, skrajne ugrupowanie nacjonalistyczne.

5 Izaak Babel, *Urywki dzienników i szkiców do „Armii Konnej”*, notatka z datą 3 sierpnia 1920 r., bitwa pod Brodami, w: tenże, *Utwory odnalezione*, zebrał, przetłumaczył, posłowiem opatrzył Jerzy Pomianowski, Warszawa 1971.

6 Tamże.

7 Dalej używam skróconej formy tytułu: „Buteman”.

8 Jeśli nie zaznaczono inaczej, angielskie teksty są tłumaczone przeze mnie.

1939

Żadne bomby nie spadły

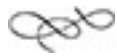

Jedni zostali dłużej i polubili te strony,
Drudzy już do miasta wrócili,
Niemcy tu nigdy nie weszli, żadne bomby nie spadły,
Lecz tak bardzo się wszyscy smucili.

Jean Donald, *Ewakuowani**

* Fragment wiersza *Ewakuowani* napisanego przez Jean Donald, która we wrześniu 1939 przypłynęła na Bute z dwiema siostrzyczkami. Wiersz ukazał się w książce Jess Sandeman, *Bute's War*, Bute 2000.

Taki spokój

Na początku dwudziestego pierwszego wieku mieszkańcy Rothesay, którzy odchowali dzieci i wnuki, zaczęli spisywać wspomnienia z młodości.

Patronowała temu kobieta albo dziewczyna, która nie podawała swego nazwiska. Zwracała się do rothesayan za pośrednictwem strony internetowej „Bute Sons and Daughters" i podpisywała celtyckim imieniem Alison. Widocznie cieszyła się zaufaniem, bo powierzono jej wiele różnych opowieści[1].

Campbell Leith przeżył na wyspie osiemdziesiąt lat. Jego ojciec był listonoszem, który nie lubił swojej pracy i marzył o służbie na morzu.

Moje najwcześniejsze wspomnienie to jak przyciskam twarz do szyby piekarza i patrzę na dymiące Gorące Placki, które były przepyszne, dobrze pamiętam. A jeszcze dlatego przyszły mi na myśl, że zawsze siedział przy nich wielki kot Spunkie…

Cyganie co roku przychodzili na Wyspę i imali do każdej pracy, jaką złapali. Jedna stara para tu przyszła i mieli nieszczęście – w ich namiocie wybuchł ogień i on mocno się poparzył. Kiedy wrócił ze szpitala, dobry farmer dał mu schronienie w swojej stodole, do czasu aż będzie dość zdrowy, żeby wrócić pod namiot. Ktoś zgromił farmera: *„Nie masz dość kłopotów?". Odpowiedź była – to mogli być Józef i Maria.*

Kenneth Meikle MacKay, wnuk lokalnego agenta parowców i zięć szypra, zapamiętał małe luksusowe parowce wożące turystów.

Duchess of Hamilton i Duchess of Montrose pływały do takich miejsc jak Arran, Ayr i Campbeltown. Wyglądały jak miniaturowe liniowce i miały turbinę parową, nie odczuwało się więc wibracji, gdy były w ruchu. Ich salony jadalne robiły wrażenie, były tam wykrochmalone lniane obrusy, zastawa z herbami, posrebrzane sztućce i serwisy herbaciane.

Potem przyszła wojna i wszystko się zmieniło.

Alexander Macdonald, wychowywany przez dziadka, który w młodości opłynął świat pod żaglami, opowiedział o ciszy Port Bannatyne, połączonego

z Rothesay ulicą Ardbeg, tą, przy której mieszkali Dziunia i Rak.

To było spokojne miejsce, ciszę zakłócały tylko odgłosy natury, ćwierkanie ptaków na tyłach domu i szelest fal o głazy na brzegu. W lecie otwieraliśmy okna kuchni i małe gile przylatywały do okruchów chleba zostawionych na parapecie. Mama nazwała każdego jakimś imieniem…

Naprawdę często było tak cicho, że niemal słyszałem, jak lina uderza o wodę, gdy prom odbija od lądu, wiele mil od nas.

Tak było, zanim przybyli żołnierze i kompanie ratownicze.

Chciałam się dowiedzieć, czy najstarsi korespondenci Alison zapamiętali polskich oficerów. Wysłałam do niej list, ale nie doczekałam się odpowiedzi. Potem w archiwum przy muzeum na Bute dowiedziałam się, że działalność „Synów i Cór" wygasła, opowiedzieli swoje, postarzeli się, wielu umarło, nie mają następców.

Dzieci jak własne

W piątek pierwszego września 1939 roku tygodnik „Buteman", wychodzący w Rothesay nieprzerwanie od 1854 roku, co świadczy o trwałej popularności, zamieścił na czołówce duże zdjęcie czworga młodych ludzi – pary nowożeńców i drużbów. Ślub Georginy Fergusson, córki malarza pokojowego, i Thomasa Gilliesa, syna właściciela sklepu z wyrobami żelaznymi, odbył się w kościele Świętego Brendana. Thomas był organistą i kierownikiem chóru kościelnego, Georgina – przełożoną szkółki niedzielnej. Podobnych zdjęć panien w okrągłych kapeluszach, w spódniczkach tuż za kolana, z trzymanym oburącz bukietem, i mężczyzn w zapewne wypożyczonych frakach albo też w mundurach będzie dużo w tym roku; zamęt światowy budził w zakochanych potrzebę wzajemnego – i formalnego – oparcia.

Tygodnik sprzedawany w sklepikach pierwszego września nie zdążyłby powiadomić czytelników o wybuchu wojny, nawet gdyby chciał. Ale „Buteman" z zasady nie informuje wyspy o tym, co się dzieje na lądzie, nawet jeśli są to globalne rekordy i kataklizmy. Pozostawia je brytyjskim dziennikom i radiu.

A jednak w tym numerze coś jest. Notatka pod tytułem *Środki ostrożności*. Czytamy w niej, że pierwszego września do Rothesay przypłynie ponad tysiąc pięćset dzieci z Glasgow.

To nie wycieczka dla uczczenia nowego roku szkolnego, lecz zawczasu zaplanowany szkocki fragment wielkiej ewakuacji cywili wymagających szczególnej opieki (dzieci, niewidomych, kalek), rozpoczętej trzydziestego pierwszego sierpnia o godzinie jedenastej siedem krótkim rozkazem „*Evacuate forthwith*" (ewakuować niezwłocznie). W ciągu czterech dni trzy miliony ludzi w Wielkiej Brytanii zmienią adresy. To podobno największy zorganizowany ruch ludności w historii państwa. Wyznaczono do tej operacji sto tysięcy nauczycieli (mało!), którzy starają się utrzymać wśród dzieci beztroski nastrój. Na zatłoczonych peronach śpiewa się i podskakuje w rytm lambeth-walka, gdy matki ukradkiem ocierają łzy.

Dzieci nie wiedzą, dokąd jadą i płyną. Nie mają pojęcia, jak długie będzie rozstanie.

Ewakuacja ma objąć sto dwadzieścia tysięcy dzieci z Glasgow. Tysiąc pięćset dwadzieścioro sześcioro z nich przypływa pierwszego września do Rothesay dwoma rejsami Jeannie Deans, stateczku cieszącego się ogólną sympatią; jego maszyna parowa jest jeszcze wspierana kołem łopatkowym. Każde dziecko ma kartonowe pudełko z maską gazową, szczoteczkę do zębów, zmianę bielizny, na piersiach zaś tabliczkę z nazwiskiem i adresem. Nauczyciele i wolontariusze prowadzą ten tłum do kin Regal i Palace, gdzie już się gromadzą mieszkańcy wyspy, gotowi dobrowolnie wziąć przybyszy. Wiele osób bierze rodzeństwa. Młody doktor Buchanan i jego żona Anna przyjmują sześcioro.

Wielkie miasto wysyła dzieci na bezpieczną prowincję

Daily Mirror / Mirrorpix / Mirrorpix via Getty Images

W niedzielę trzeciego września Wielka Brytania ogłasza przystąpienie do wojny, lęk przed bombardowaniami wzrasta. Do Rothesay płynie więc z Glasgow następna partia tysiąca sześciuset ewakuowanych. Według raportu pogodowego wydanego przez Towarzystwo Historii Naturalnej Buteshire tego dnia w Rothesay leje, wieje i grzmi; najgorsza burza w tym roku. Trzeba przeprowadzić przestraszone dzieci do Pawilonu. To nowy gmach w pobliżu portu, duma Rothesay – sale koncertowa, konferencyjna, restauracyjna, dancingowa z podłogą posadowioną na sprężynach, żeby przyjemniej się tańczyło, wspaniałe kuluary i wszelkie wygody.

Rodzin, które dobrowolnie przychodzą po dzieci, zaczyna brakować. Ale miejsca muszą się znaleźć. Rząd tego wymaga i wyznacza kwatery.

„Buteman” informuje, że kto weźmie do domu jedno dziecko, otrzyma na nie dziesięć szylingów i sześć pensów tygodniowo, kto weźmie więcej dzieci, dostanie osiem szylingów i sześć pensów na każde. I dodaje: *Jeśli przyjmiecie do swego domu dzieci bez towarzyszącego im opiekuna, oczekuje się od was kontroli i troszczenia się o nie, tak jakby były wasze własne.*

Jean Donald, która napisała wiersz *Ewakuowani*, wspominała po latach:

Miałam szczęście, bo razem z dwiema siostrami trafiłam na farmę. Traktowali nas bardzo dobrze i chociaż tęskniłyśmy za rodzicami, czułam się jak na wakacjach. Inni nie mieli tyle szczęścia. Słyszałam okropne historie o złych warunkach w innych miejscach i o dzieciach, które cierpiały u złych dorosłych. Niektóre nie z własnej winy były zaniedbane, miały liszaje, wszy i szkorbut. Minęło sporo czasu, zanim urzędnicy kwaterunkowi zrobili z tym porządek[2].

Mali goście z wielkiego miasta sprawiali czasem kłopoty na spokojnej prowincji. Dziesięcioletni bliźniacy ukradli z kasy kina Ritz dwieście pięćdziesiąt siedem biletów. Złapani, tłumaczyli bezczelnie, że zbieranie używanych biletów to ich hobby.

A kino, podobnie jak tańce na elastycznej podłodze, to największa rozrywka w Rothesay. W kinach zawsze jest tłok.

Dzieci z Glasgow trzeba upchnąć w klasach. Nauka odbywa się na kilka zmian. Młodzi nauczyciele otrzymali karty powołania, zgłaszają się więc emerytowani. Wielki imperialny gmach szkoły publicznej zwanej akademią nigdy nie był tak ożywiony. Góruje nad miasteczkiem jak zamek z opowieści rycerskiej. Na parterze rząd wysokich ostrołukowych okien. Ze stromego dachu wyłamują się facjaty wielkie jak wrota do domostw. Pośrodku wieża bramna z zegarem, z krenelażem i jeszcze niewielką wieżyczką nad nim. Gdzie tylko architektura na to pozwala – ozdobne sterczyny.

Na najstarszych zdjęciach widać, że część dziatwy biegała do tego zamku bez butów, ale może to te, które miały blisko. Akademia zbudowana w 1870 roku służy nie tylko tej wyspie, ale i sąsiednim; uczniowie zza wody mieszkają podczas roku szkolnego na stancjach w Rothesay.

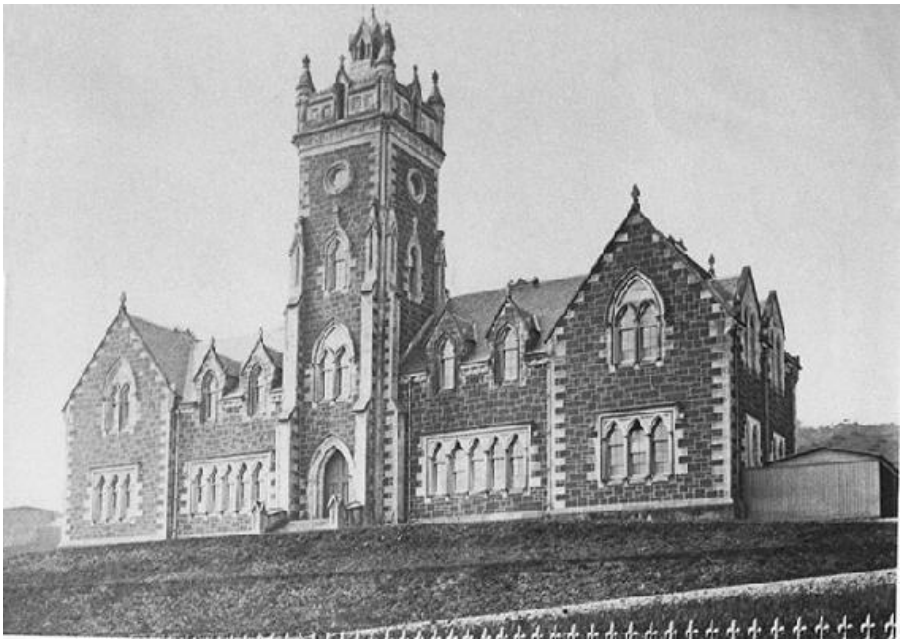

Dawna akademia

archiwum Bute Museum

Około Bożego Narodzenia rodzice zaczynają zabierać dzieci do domów w Glasgow. Lęk przed bombami wydaje się przesadny. Jeszcze się nie zaczął straszny *blitz* nad Londynem. Mniej więcej jedna czwarta ewakuowanych pozostaje na Bute przez wiele miesięcy.

Jędrek Modelski

Nie udało mi się dowiedzieć, co Rak-Raczkowski robił we wrześniu.

W listach rodzinnych nic nie ma.

Ostatnie informacje o kapitanie Raczkowskim w Centralnym Archiwum Wojskowym pochodzą z 1938 roku. *Ze względu na stan zdrowia do wykorzystania na stanowiskach pozaliniowych w pułku*. Na arkuszu oceny przybito pieczęć 1. Pułku Artylerii Przeciwlotniczej imienia Marszałka Śmigłego-Rydza.

A więc mógł w nim służyć we wrześniu 1939 roku. Nie było go jednak w ówczesnej obsadzie etatowej pułku. Znalazłam w niej za to innego wuja. Podporucznik rezerwy Stefan Biernacki, rodzony brat mojej mamy, uwielbiany przez panny, dowodził 3. plutonem w 3. pułkowym dywizjonie.

Wiedziałby o Raku. Ale niedawno umarł w Australii, bo natychmiast po wyjściu z oflagu ożenił się z Niemką i nie śmiał jej przedstawić bialskiej rodzinie. Irma zresztą nie chciała mieszkać w Polsce, tak jak on w Niemczech. Żyli szczęśliwie na antypodach, zbudowali sobie dom nad oceanem. Wujek Stefi dożył stu dwóch lat.

W połowie lat siedemdziesiątych pojechałyśmy z mamą do Białej Podlaskiej, by zajrzeć do stryszków na facjatce. Trwała już rozbiórka naszego domu. Prawo do niej wykupiło młode małżeństwo, które potrzebowało budulca. Ta para, energiczna i wesoła, sama obtłukiwała tynk, wyrywała cegły, znosiła je na podwórko w drewnianych nosiłkach, jakie widuje się w starych filmach o odbudowie Warszawy, i wykazywała podobny entuzjazm. Nie chciała niczego zniszczyć, a na obu przygórkach pozostawiłyśmy trochę rzeczy.

Leżały tam małe damskie pantofle z grubego lnu. Miały brązowe skórzane noski, skórzane guziczki i zapinały się na paseczek. Były rozeschnięte i wypaczone, ale chyba nigdy nieużywane.

To Stasi – stwierdziła mama. – Musiała zostawić we wrześniu.

Parę lat wcześniej byłam w Ameryce i poznałam ciocię Stasię, siostrzenicę dziadka Biernackiego. Jej mąż generał Izydor Modelski, zwany w rodzinie (i poza nią) Iziem, już wtedy nie żył. Stanisława miała dwie siostry, Irenę i Marię. Każda z nich mieszkała w innym mieście w Stanach. Tego roku, kiedy przyjechałam pierwszy raz do Nowego Jorku i zatrzymałam się u najmłodszej, Marysi, wszystkie postanowiły się spotkać w jej domu na Queensie. Była piękna jesień, wieczorami siedziało się w kuchni i snuło opowieści domowe, w dzień szliśmy na grzyby. Mąż Marysi Wacław Drzewiecki potrafił znaleźć prawdziwka nawet w parku miejskim.

Irena opracowywała historię naszej rodziny. Przez lata słała do wszystkich krewnych w Ameryce, w Anglii i w Polsce listy z pytaniami o daty urodzenia i śmierci, o dzieci, o wnuków, wykształcenie, kariery. Nie zaprzestała tej pracy w ciężkiej chorobie, gdy amputowano jej obie nogi.

Notę poświęconą szwagrowi, który w dawnych latach wybrał sobie konspiracyjny pseudonim Ziemidar Wzórski, zakończyła słowami: *Cechą charakteru Izydora Modelskiego była wielka miłość ojczyzny. I marzenie aby Polska była rządzona przez mądrych, szlachetnych i dobrych ludzi, z Błogosławieństwem Bożym…*

Siostry umarły w Stanach Zjednoczonych, zgodnie ze swym wiekiem, według starszeństwa: Stasia, Irena, Marysia. Kiedy w latach osiemdziesiątych wyjechałam z dziesięcioletnim Piotrkiem do Nowego Jorku i zamieszkaliśmy z Marysią, zdążył jeszcze je poznać i nigdy nie wydawały mu się amerykańskie, lecz raczej podlaskie.

Syn Modelskich Andrzej, wesoły brat łata, wybitny kartograf, specjalista od map kolejowych Stanów Zjednoczonych, parę razy przyjeżdżał do Polski. Przywiózł mi w prezencie mapę Regni Poloniae Tobiasza Mayera z 1750 roku. Można na niej odszukać Białą Podlaską (Białła) i Kiejdany (Kieydany), chociaż wymaga to sporej uwagi, bo leżą niezupełnie tam, gdzie powinny.

Kiedy ciocia Stasia zostawiała swoje pantofle na stryszku w Białej, miał dziesięć lat.

Może spotkał wtedy Raka-Raczkowskiego lub później słyszał o nim od ojca? Czy ojciec coś wiedział o drodze Raka na Zachód, o jego śmierci na szkockiej wyspie? Ci oficerowie powinni się znać.

Kiedy zadzwoniłam z tymi pytaniami do Jędrka, do Frederick w stanie Maryland, nie wiedziałam jeszcze, jaką rolę odgrywał Izydor Modelski w sprawie Rothesay.

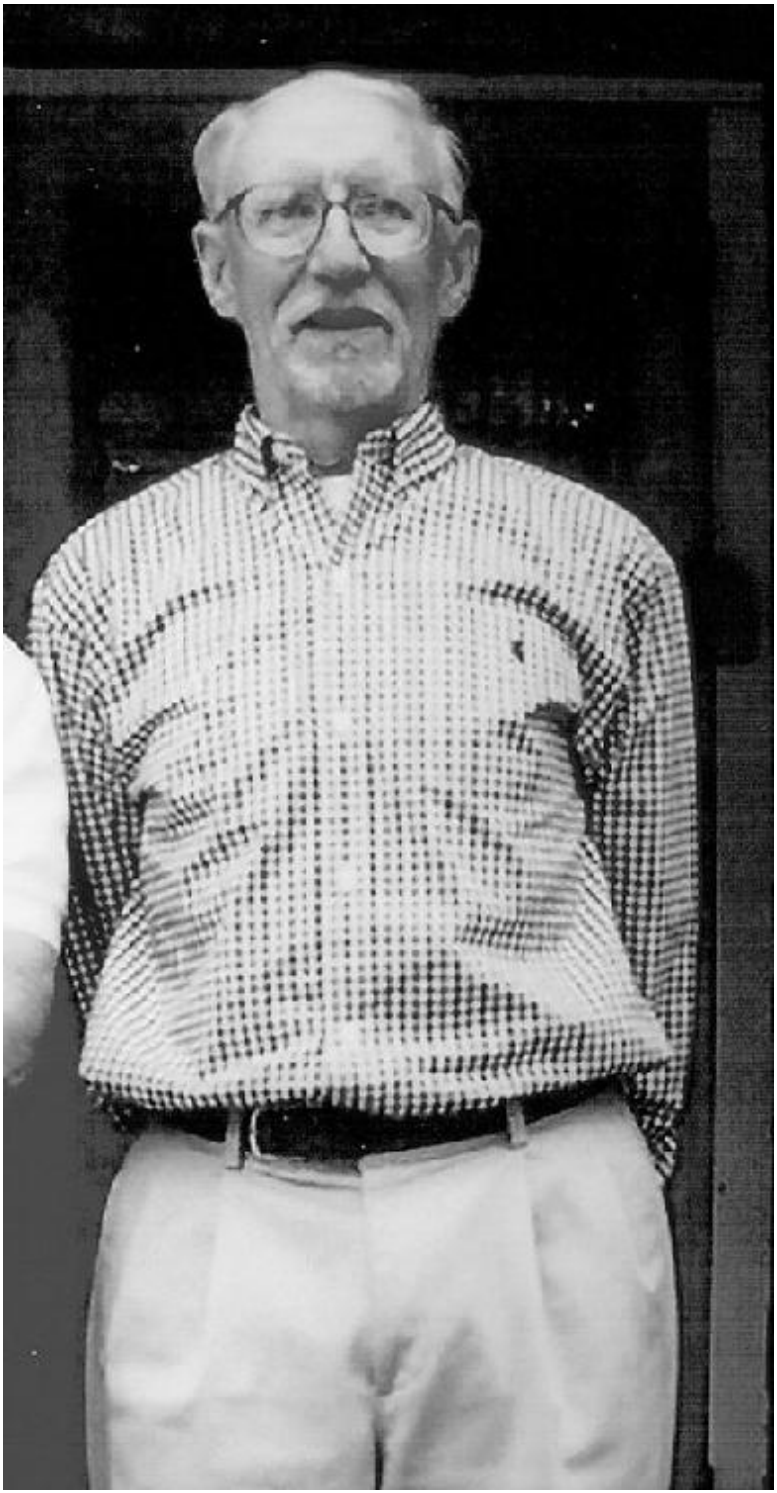

Andrzej Modelski, syn generała

archiwum rodzinne Małgorzaty Szejner

Dowiedziałam się od Jędrka, że w sierpniu 1939 roku ojciec wywiózł go z Warszawy do krewnych w Lublinie i że Stasia wraz z moją mamą zabrały go stamtąd do Białej Podlaskiej, do domu dziadka Biernackiego.

– Pamiętasz mnie z tego czasu? – spytał.

– Nie, miałam trzy lata.

– To dobrze, bo byłem psotny. Na pewno cię ciągałem za włosy. Niemcy zabrali masarnię twojego dziadka i robili niemieckie kiełbasy. Jednego dnia poszedłem zobaczyć, co oni robią. Jeden Niemiec ze Śląska mówił po polsku. Złapał mnie i dyndał mnie nad kotłem gotującej wody.

– Nic ci się nie stało?

– Nic. Trzymał mnie mocno. Ale to pamiętam! Nie wiedzieliśmy, gdzie jest tatuś. On z generałem Sikorskim znalazł się w Paryżu. Po bitwie pod Kockiem[3] wróciliśmy z mamą do Warszawy. Mama najęła w Białej dorożkę, tak się jechało. Nasz dom na Sadybie oficerskiej został zbombardowany, pojechaliśmy do Krakowa, już koleją. Mama znalazła znajomą, która nam paszporty zrobiła przez generała Bolesława Długoszowskiego, mama go znała. A wizy do Rzymu dostaliśmy przez pułkownika Mariana Romeykę. Mamusi koleżanka była sekretarką kardynała w Rzymie i miała kontakt z polską ambasadą. Byliśmy u papieża Piusa XII. W Paryżu znaleźliśmy tatusia i wyjechaliśmy do Londynu, a w tysiąc dziewięćset czterdziestym szóstym roku do Ameryki.

Dopytywałam się o Raka. Słyszał tylko tyle, że Ignacy Raczkowski był artylerzystą i że miał Virtuti. Nie wiedział, że Rak był na Bute ani czy w czasie wojny spotkał się z generałem Modelskim.

– Pamiętam – dodał – jak mama opowiadała… Tatuś dostawał listy z prośbą o wypuszczenie z Wyspy Węży. On kazał wypuścić różnych oficerów zawodowych. Ale nie starszych oficerów sanacyjnych.

Zapytał mnie o pogodę w Polsce.

– U nas cicho i dobrze – powiedział. – Ja ciągle pracuję. Siedzę, a nawet stoję nad papierami. Napisałem życiorys Antosia.

– Którego Antosia?

– Antosia Biernackiego, brata twojej mamy. Wiesz coś o nim?

– Będzie ze trzydzieści pięć lat, od kiedy umarł.

– I pewnie nic nie wiesz, bo mało mówił. Wyślę ci to, żebyś wiedziała. Jak

się nie zapisze, to nie ma człowieka.

Pytanie o dzwony

Ósmego września 1939 roku „Buteman” napisał jednak o wojnie w Polsce: *Miniony piątek był pod każdym względem pamiętnym dniem z powodu zaskakującej wiadomości o inwazji Hitlera na Polskę oraz powołania Ochotniczej Rezerwy Królewskich Sił Zbrojnych, członków Rezerwy Uzupełniającej i innych służb. Wielu z nich wyruszyło tego samego dnia do różnych miejsc przeznaczenia*.

Pawilon, już opuszczony przez dzieci, służy teraz jako magazyn masek przeciwgazowych dla ludności wyspy; policzone przez ochotników, są rozdzielane w kościołach.

W połowie września zmotoryzowani mieszkańcy Bute muszą się zaopatrzyć w kartki na benzynę. Bardzo skąpy przydział zależy od mocy silnika. Jeden kupon to galon. Farmerzy, którzy produkują żywność, mogą dostać większe przydziały.

Minister informacji zarządza, że nie wolno fotografować urządzeń obronnych, fabryk, stoczni, statków, obiektów zniszczonych przez wroga, szpitali i ambulansów z ofiarami, rannych ludzi, dróg i torów o strategicznym znaczeniu i tak dalej.

Nie wolno wysyłać żadnych druków, manuskryptów i dóbr do dwudziestu siedmiu państw, między innymi do Związku Radzieckiego, Włoch, na Węgry, do Szwecji, Chin, Japonii, państwa Watykan i Polski. Na tej liście jest również Danzig.

Ogłasza się zapotrzebowanie na pielęgniarki, także bez doświadczenia. Będą przeszkolone. Te, które podejmą pracę w pełnym wymiarze, dostaną pensję, te, które wolą pracować krócej, zostaną potraktowane jako wolontariuszki. Wszystkim zapewni się uniformy.

Zaczyna się wydawanie dowodów osobistych. Trzeba je zawsze nosić przy sobie.

Trwają przygotowania do reglamentacji żywności. Każdy sklepikarz musi się zastanowić, ile zmagazynować bekonu, cukru i masła, aby zaspokoić potrzeby klientów, którzy przyjdą z kartkami na te towary. Mieszkańcy Bute,

jeśli nie zarejestrowaliście się jeszcze w swoim sklepiku, zróbcie to natychmiast!

Kompania Mcdonald i Fraserand wystawiła na sprzedaż dwieście trzy sztuki bydła i ponad dwa tysiące sześćset owiec i jagniąt. Krowy jeszcze nigdy nie miały takiego wzięcia, to najbezpieczniejsza lokata pieniędzy. Większość rolników kupujących jagnięta przeznacza je do dalszej hodowli.

Szkoccy żołnierze we Francji potrzebują wełnianych rękawic i skarpet; rękawice w kolorze khaki, skarpety w obojętnym. Proszą o organki, karty do gry, czekoladę, słodycze w puszkach, żyletki, mydło. Ofiarodawcy mogą to wysyłać na własną rękę, Ministerstwo Wojny podaje adres. Papierosów nie kupujcie, przekażcie pieniądze, papierosy zakupione przez państwo nie będą oclone.

W piątek dwudziestego drugiego września „Buteman", zgodnie ze swoją zasadą pomijania wydarzeń zewnętrznych, nie wspomina o inwazji sowieckiej na Polskę. Radni Rothesay zajmują się tego dnia dzwonami szkolnymi. Czy wolno wprawiać je w ruch, skoro restrykcje wojenne obejmują też hałas, który może alarmować w niewłaściwym momencie? Łatwo sobie wyobrazić, jak potężny dzwon ma akademia. Wielebny Dickie zauważa, że skoro dzwony kościelne w Rothesay nie muszą milczeć, należałoby uwolnić i szkolne, będzie nieco raźniej. Szef policji jednak jest temu przeciwny. Zapada decyzja, żeby napisać do pana Charlesa McAndrew, członka parlamentu, reprezentanta Bute i North Ayrshire. Niech przedłoży sprawę dzwonów sekretarzowi stanu dla Szkocji.

Ucałowanie flagi

Zanim jeszcze rozpocznie się kalendarzowa jesień, Polskę opuszczają tysiące żołnierzy i oficerów. Dążą przez Rumunię do Francji. Są wśród nich:

– generał dywizji Stefan Dąb-Biernacki, dowódca rozbitej Armii „Prusy";
– generałowie brygady: Stanisław Rouppert, naczelny lekarz wojskowy, do którego Piłsudski mówił Stachurku; Kazimierz Schally, szef Gabinetu Wojskowego prezydenta Mościckiego; Aleksander Narbut-Łuczyński, dowódca etapów Armii „Kraków"; Ludomił Rayski, dowódca lotnictwa w Ministerstwie Spraw Wojskowych; jego zastępca Janusz de Beaurain

(obaj w marcu 1939 roku złożyli dymisję);

– pułkownicy: Tadeusz Münnich, adiutant Śmigłego-Rydza, Tadeusz Alf-Tarczyński[4], adiutant Józefa Piłsudskiego podczas jego pobytu w Sulejówku,

– podpułkownicy: Roman Umiastowski, szef propagandy w sztabie Śmigłego-Rydza; Marian Zyndram-Kościałkowski, były premier, ostatnio minister opieki społecznej;

– kapitanowie: Michał Grażyński, wojewoda śląski i przewodniczący Związku Harcerstwa Polskiego; Jerzy Niezbrzycki, oficer wywiadu, sowietolog piszący pod pseudonimem Ryszard Wraga;

– podporucznik rezerwy Stefan Mękarski, pracownik naukowy, bibliotekarz, publicysta.

Wszyscy znajdą się z czasem na Bute.

Paru pozostawiło wspomnienia wydane po latach. Stefan Mękarski w *Zapiskach z Rothesay*[5] i Roman Umiastowski w *Dzienniku wojennym 18 IX 1939–19 IX 1945* opowiedzieli o dniach spędzonych na wyspie. Opowiedział o nich także Michał Grażyński. Jego dziennik, na stu trzydziestu zeszytowych stronicach w linie, dostępny w kopii w Instytucie Sikorskiego w Londynie, nie został dotąd opracowany; prawdopodobnie dlatego, że drobne pismo autora bardzo trudno odczytać. Musiałam cierpliwie powiększać słowa i identyfikować litery.

Umiastowski opuszcza Polskę osiemnastego września. Tego dnia zapisuje: *Łzy na moście. Ucałowanie flagi*[6].

Pułkownik Tadeusz Münnich, były adiutant Śmigłego-Rydza, chowa przy sobie najdroższe pamiątki – pieczęć naczelnego wodza, Krzyż Virtuti, odznakę „Za Wierną Służbę”. Zaszył je w ubraniu, kiedy razem ze Śmigłym przekraczał we wrześniu granicę Polski. Rumuni ich rozdzielili. Münnicha wysłali pod eskortą do Slanic. Postanowił przedrzeć się do Francji, ale przedtem chciał się pożegnać z marszałkiem. Przekupił rumuńską eskortę i odwiedził Śmigłego internowanego w Krajowej (Craiova). Usłyszał od niego: *Jedźcie pułkowniku do Francji i prostujcie te wszystkie kłamstwa, które tam będziecie z pewnością napotykać*[7].

Wie, że zdobycie francuskiej wizy może być trudne, bo przyznawana jest za poręką generała Sikorskiego, a na jego wielkoduszność Münnich raczej nie liczy. Ma na szczęście protekcję, słuchał kiedyś wykładów generała Louisa

Faury'ego, który go pamięta i gotów jest pomóc, ale pułkownik musi mu dać słowo honoru, że nie będzie prowadził politycznej roboty. Dociera do Francji przez Jugosławię i Grecję. Stamtąd statkiem. W Marsylii polskie władze wojskowe nie przyjmują go dobrze: *Kto pana pułkownika tutaj sprowadził?*[8].

Ordery

Zrobiłam listę odznaczeń trzynastu wymienionych uchodźców:

– Krzyż Kawalerski Orderu Virtuti Militari – jeden (Dąb-Biernacki),
– Krzyż Złoty Orderu Virtuti Militari – jeden (Dąb-Biernacki),
– Krzyż Srebrny Orderu Virtuti Militari – dziesięć,
– Krzyż Komandorski z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski – dwa (Dąb-Biernacki i Michał Grażyński),
– Krzyż Orderu Odrodzenia Polski różnych stopni – siedemnaście,
– Krzyż Niepodległości – dwanaście,
– Krzyż Walecznych – nadany czterdzieści razy,
– Złoty Krzyż Zasługi – nadany piętnaście razy,
– Legia Honorowa (Francja) – pięć,
– Order Krzyża z Orłem (Estonia) – cztery,
– Order Pogromcy Niedźwiedzia (Łotwa) – dwa.

I jeszcze po jednym:

– Komandoria Orderu Białego Orła (Jugosławia),
– Gallipoli Star (imperium osmańskie),
– Order Korony Jugosłowiańskiej,
– Order Korony Włoch
– Order Korony Rumuńskiej,
– Order Świętego Aleksandra (Bułgaria),
– Krzyż Zasługi Wojskowej Litwy Środkowej,
– Order Leopolda (Belgia).

Wygląda na to, że obfitość orderów, zamiast kierować na wojnę, stanowi bilet na kwarantannę. Kapitan Ignacy Raczkowski miał jednak tylko jedno Virtuti, musiały więc być i inne powody wysyłki na wyspę niż przedwrześniowe odznaczenia; dotyczy to też Mękarskiego. W papierach

Raka w Centralnym Archiwum Wojskowym jest jeszcze wniosek o przyznanie mu Krzyża Walecznych za dzielną obronę Modlina w 1920 roku, ale nie znalazłam informacji, jak go rozpatrzono.

Zaciemnienie

Dzień jest coraz krótszy, a kiedy się kończy, Rothesay tonie w ciemnościach. Na przesłonięcie ogromnych okien akademii, która pracuje teraz także wieczorami – tylu uczniów przybyło na Bute – wydano poważną wtedy kwotę sześćdziesięciu dziewięciu funtów i dziesięciu pensów.

Szóstego października „Buteman" przypomina czytelnikom utwór osiemnastowiecznego poety Thomasa Graya *Elegia napisana na wiejskim cmentarzu*. Zdaniem redaktora poemat ten znają wszyscy uczniowie w Wielkiej Brytanii, nabrał jednak aktualności. Pierwsza zwrotka zaczyna się od słowa *curfew,* które u Graya oznaczało stan przyrody i ducha („*The curfew tolls the knell of parting day*"), ale w dwudziestym wieku zmieniło ton – oznacza niemal wyłącznie godzinę policyjną i związane z nią zaciemnienie. Stanisław Barańczak, zachowując wierność autorowi, użył w tłumaczeniu dwóch słów: *zgon dnia*.

Dzwon wieczorny żałobnie nad zgonem dnia płacze,
Porykując, z łąk schodzą ociężałe stada,
Ku zagrodom zmierzają znużeni oracze;
Światem już tylko ciemność – i myśl moja włada[9].

Nagła śmierć nie kojarzy się jeszcze na Bute z akcją bojową. W listopadzie czołówkę „Butemana" dzielą dwie pozycje – wspomnienie o miejscowym sklepikarzu, który umarł po krótkiej chorobie, i lokalny mecz Scottish Junior League.

Obchody świąt Bożego Narodzenia wychodzą w tym roku poza domy rodzinne. W ciągu pięciu dni ferii świątecznych wolontariusze – głównie przewodnicy turystyczni po Bute – organizują popołudniowe zajęcia dla ewakuowanych dzieci, które jeszcze pozostały na wyspie.

Towarzystwo Historii Naturalnej Buteshire podsumowało roczny raport pogodowy: było siedem burz z piorunami, dziesięć dni z mgłą, dziewięć dni

z gradem, siedem dni ze śniegiem, który w styczniu leżał aż przez dwie doby. Mróz ścisnął sześćdziesiąt cztery razy, najniższa temperatura wyniosła dwanaście stopni Celsjusza. Spadło sto dwadzieścia osiem centymetrów deszczu, o czterdzieści trzy mniej niż w roku poprzednim. Oceniono: *Bute z piękną wiosną, ciepłym i suchym latem i umiarkowanie suchą jesienią miało, ogólnie rzecz biorąc, całkiem dobry rok*[10].

Na razie nic jeszcze nie zapowiada, że łagodna wyspa stanie się Wyspą Węży dla oficerów z Polski.

1 Fragmenty opowieści przytaczam w luźnym tłumaczeniu za stroną www.butesonsanddaughters.co.uk, (data dostępu: 2 stycznia 2018).

2 Jess Sandeman, dz. cyt.

3 Bitwa pod Kockiem, stoczona z Niemcami między 2 a 5 października 1939 przez Samodzielną Grupę Operacyjną „Polesie" pod dowództwem gen. Franciszka Kleeberga, zakończyła pięciotygodniową kampanię obronną Polski.

4 W styczniu 1964 gen. Władysław Anders mianował go generałem brygady.

5 Stefan Mękarski, *Zapiski z Rothesay 1940–1942*, oprac. Arkadiusz Adamczyk, Londyn–Piotrków Trybunalski 2003. Jeśli nie zaznaczono inaczej, wszystkie przytoczone dalej i omówione przeze mnie słowa Mękarskiego pochodzą z tej książki.

6 Roman Umiastowski, *Dziennik wojenny 18 IX 1939–19 IX 1945*, wstęp i oprac. Przemysław M. Żukowski, Warszawa 2009. Jeśli nie zaznaczono inaczej, wszystkie przytoczone dalej i omówione przeze mnie słowa Umiastowskiego pochodzą z tej książki.

7 Marek Gałęzowski, *Pułkownik „Żegota". Życie i pisma pułkownika dypl. Tadeusza Münnicha*, Warszawa 2009.

8 Tamże.

9 *Od Chaucera do Larkina. 400 nieśmiertelnych wierszy 125 poetów anglojęzycznych z 8 stuleci*, tłum. Stanisław Barańczak, Kraków 1993.

10 „Transactions of the Buteshire Natural History Society" 1945, t. XIII.

Dzisiaj

Iain, Lachie, Rak

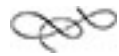

Glendale

Zamówiliśmy miejsca w hoteliku Glendale.

Pada. Nikt nie nosi tu parasola; pada, to pada. Statki, które cicho płyną po zatoce, są tak białe na szarej wodzie, jakby ktoś je wyciął z bristolu.

Hotelik usadowił się tuż przy brzegu. Co za budowla! Zamiast wejść do suchego holu, cofamy się krok za krokiem na krawędź bulwaru, żeby ją lepiej obejrzeć.

Małgorzata Szejnert i Piotr Pietrzak

Dziunia z Rakiem na pewno nie raz mijali ten dom. Wyobrażam sobie, jak przystają, zadzierają głowy, Dziunia przytrzymuje kapelusz, a Rak furażerkę. Czegoś podobnego nie było w Białej Podlaskiej ani w powiecie Kiejdany, ani chyba w Warszawie. To dwupiętrowy tort weselny, a raczej dwa torty przylepione do siebie. Prawy tort, śmietanowy, jest masywniejszy, wyższy, zaokrąglony. Nad ostatnim piętrem posadzono coś w rodzaju zgrabnie wywiniętej donicy odwróconej do góry dnem. Na tym denku sterczy stalowy

filigran, spiczasta korona ze srebrnych prętów. Lewy tort, kawowy, nie ma takiej ozdoby, ale łuk wielkiego okna na górze wykończono murowaną koronką, jakby je ubrano w krochmalony czepiec.

Między wszystkimi oknami stoją cienkie, niepoważne kolumny. Mnóstwo tych kolumienek. Można by się obawiać, czy utrzymają fasadę.

Piotr uspokaja:

– Utrzymają. To przecież żeliwo. Pomalowane na biało.

Właściciel Keir Byars, rumiany Szkot, zauważył nas przez szklane drzwi i idzie otworzyć. Mówi, że już wczoraj mieliśmy gościa. Nazywa się Iain Gillespie.

– Znacie go?

– Nie.

– Powiedział, że dziś znowu wpadnie.

Wyspiarskie śniadanie celebrowane przez gospodarza, który sam, podśpiewując, roznosi talerze z daniami, starczy do wieczora. Przystawki zimne i ciepłe, dania główne do wyboru, desery dekoracyjne, herbata angielska, tosty i dżemy. Spożywamy to, mając przed oknem morze, za plecami zaś ogromny rzeźbiony kredens. Jesteśmy owiani zapachem bekonu, dobrze przygotowani na długi dzień.

Byars, dawniej elektryk, kocha swój hotelik, dba o niego i prowadzi go po staroświecku. Kiedy polscy oficerowie mieszkali na wyspie, Glendale było jeszcze prywatnym domem producenta wyrobów żeliwnych, które zdecydowały o formie budynku. Byars kupił go ponad dwadzieścia lat temu. Wykładzina dywanowa na schodach, które od podestu na pierwszym piętrze rozchodzą się wachlarzowo, jest szafirowa w róże i liście akantu. Tapety złotawe, tłoczone, zasłony z brokatu, firanki muślinowe, poduszki z frędzlami, w holu telefon na korbkę i stary gobelin. Trudno uwierzyć, że gdzieś w tej przestrzeni unosi się obiecane w ofercie wi-fi. Piotr chce się upewnić.

– Jest, naturalnie – potwierdza lekko urażony właściciel.

Nie wiem, ale nie strzelaj

Przed wyjazdem na Bute napisałam listy. Najpierw do Davida McDowalla,

autora przewodnika po Bute wydanego w 2010 roku w Richmond pod Londynem. Gruba książka wydrukowana w Chinach na kredowym papierze. Dziwny przewodnik, nie ma w nim nic o hotelach, restauracjach, transporcie i cenach. Branża turystyczna nie interesuje autora. Dowiemy się za to, jak znaleźć ścieżkę do starej farmy, gdzie mieszka jeden z ostatnich już ludzi, którzy potrafią budować *drystane dykes*, niskie białe mury z polnego kamienia grodzące szkockie pastwiska i biegnące kilometrami przez soczystą zieleń. Mury nie murowane, bo nie używa się do nich zaprawy, lecz układane tak przemyślnym sposobem, że każdy głaz przez wieki trzyma swe miejsce. McDowall wytycza piesze drogi do różnych ludzi, którzy opowiadają o życiu swoim i swoich przodków i mają tak doskonałą pamięć jak „Synowie i Córy Bute" (autor oczywiście trafił i do nich). W tych historiach są także wojny, dawne i ostatnia. Ale nigdzie nie znalazłam słowa „Polacy".

Na ostatniej stronie zamieszczono zdjęcie autora, pogodnego trapera o siwej brodzie.

Późnym wieczorem napisałam do niego e-mail. Zapytałam, czy pracując na wyspie, nie słyszał o setkach polskich oficerów, którzy spędzili na niej prawie trzy lata. A jeśli słyszał, dlaczego o nich nie wspomniał.

Wysłałam wiadomość na adres wydawnictwa The Laird Press.

Wczesnym rankiem miałam w poczcie odpowiedź.

Droga Małgorzato,

bardzo dziękuję za te pytania. Podnoszę ręce do góry, ale nie strzelaj. Pisałem książkę siedem lat temu i naprawdę już nie pamiętam, czy spotkałem się wtedy z polską obecnością na Bute. Chyba raczej nie albo wiadomości były zbyt wątłe, by zachęcić do pisania. Muszę przyznać, że raczej omijałem drugą wojnę światową z powodu kłopotliwego brytyjskiego triumfalizmu. Gdybym wiedział to, co wiesz, prawdopodobnie bym o tym napisał. (Notabene czytam właśnie The Maisky Diaries, *dzienniki sowieckiego ambasadora w Londynie. Majski nienawidził Sikorskiego. Warte przeczytania, przynajmniej wzmianki o Sikorskim).*

Myślę, że powinnaś się spotkać z Jean McMillan, archiwistką w muzeum. Bywa tam w środy po południu. Może Ci wyszuka jakieś materiały. Pewnie trudno będzie znaleźć na wyspie ludzi, którzy pamiętają Polaków. Jean może zna kogoś, kto był wtedy dzieckiem i coś pamięta.

Przy okazji dziękuję za miłe słowa o mojej ksiażce. Ja prawie zawsze zawodzę się na typowych przewodnikach turystycznych. Napisałem więc książkę, którą sam chciałbym mieć w ręku podczas podróży.

Powodzenia… i daj mi znać, jak Ci idzie!

David

Jak to się stało, że odpowiedział mi po paru godzinach, o siódmej rano? Okazuje się, że The Laird Press to jego firma rodzinna – e-mail trafił bez pośrednictwa.

Napisałam do Jean McMillan na adres, który mi podał. Odpowiedziała:

Cześć, Małgorzato,

jest bardzo dobra książeczka „Wojna Bute" napisana w dwa tysiące piątym roku przez Jess Sandeman, rozdana wszystkim uczniom na wyspie w rocznicę zakończenia drugiej wojny światowej. Jest w niej zdjęcie dwóch polskich oficerów, którzy mieszkali u moich dziadków.

To nieprawda, że oficerowie nie mogli opuszczać wyspy. Młodsi oficerowie nie przebywali tu długo, bo szli walczyć w polskich albo brytyjskich jednostkach, i tylko starsi pozostali tutaj, i przenosili się do innych miejsc w Szkocji i Anglii.

Było trochę niechęci wśród miejscowej ludności, bo wydawało się, że oni mają więcej pieniędzy i są lepiej zaopatrzeni, a tutaj było z tym krucho. Wielu zawarło prawdziwe przyjaźnie. Było wiele ślubów między Polakami i miejscowymi dziewczętami i wiem, że jeden z nich wrócił, by poślubić tutejszą nauczycielkę, i sam został nauczycielem, i żył tu jeszcze przez pięćdziesiąt lat.

Bądź ze mną w kontakcie, miło będzie Cię spotkać

Jean

Trzeci list napisałam do proboszcza katolickiej parafii Świętego Andrzeja księdza Michaela Hutsona.

Ma intrygujący adres e-mailowy: timeheldmegreenanddying@gmail.com.

Zapytałam Piotra, co to znaczy.

– To chyba z Thomasa Dylana. Musiałbym zajrzeć do Barańczaka, może to znajdę. Tłumaczył dużo Dylana.

Rzeczywiście znalazł.

– To cytat z wiersza *Fern Hill*. Wzgórze Paproci to nazwa farmy w Walii. Dylan spędzał tam wakacje u swojej ciotki. Kochał to miejsce. Te słowa brzmią w tłumaczeniu: „Czas zamknął mnie w śmierć zieloną”.

Przedstawiłam się księdzu Hutsonowi i zapytałam, czy wśród jego parafian są potomkowie polsko-szkockich małżeństw wojennych i czy moglibyśmy się z nimi skontaktować z jego pomocą. Odpowiedział:

Ten pomysł wygląda ciekawie. Poza wizerunkiem w naszej bocznej kaplicy nie wiem jednak o niczym, co mogłoby Wam się przydać. Tutejsi Polacy są nowi. Nie przychodzą na mszę. Popytam jednak.

Wszystkiego najlepszego

ksiądz Michael

Czwarty list wysłałam do „Butemana”. Przejrzałam w internecie ostatnie numery gazety. Najwięcej pisała w nich Karen Keith. Pisała żywo i sprawnie o wszystkim, głównie o uchodźcach z Syrii, którzy przybywali na Bute w ostatnich miesiącach, ale także o rozbitych latarniach. Zadałam jej swoje dyżurne pytania.

Odpisała:

Cześć, Małgorzato!

Przepraszam za zwłokę, ale mieliśmy strasznie dużo pracy w gazecie. Niestety nie znam odpowiedzi na te pytania. Mogę jednak wydrukować apel do czytelników, żeby przekazali Ci wiadomości o polskich oficerach, którzy przebywali na Bute. Może te kontakty przydadzą się, kiedy tu przyjedziesz?

Jeśli mogę pomóc w jakiś inny sposób, daj znać.

Pozdrowienia

Karen

Zając Iaina

Przygotowałam apel „do drogich Czytelników »Butemana«”, podając w nim e-mail, telefon i adres pocztowy hoteliku Glendale. Karen Keith opublikowała notkę parę dni przed naszym przyjazdem.

Iain Gillespie przeczytał ją w niewielkim sklepiku dwóch polskich sióstr,

które sprzedają gazety i papierosy.

Rzeczywiście, puka, nim zdążyliśmy się rozpakować. Ciężko stawia nogi w rozkłapanych butach na dywanowej wykładzinie w róże. Nosi żółty sztormiak w gęste czarne cętki. Resztki siwych włosów opadają na mokry ceratowy kołnierz. Z bliska widać, że bluza jest stara, czarne cętki to nie wzór, ale pęknięcia, całość ledwie się trzyma na właścicielu. On sam uśmiecha się do nas pogodnie i proponuje przechadzkę.

Bardzo dobrze, bo Keir Byars zdążył uprzedzić Piotra:

– Tutaj nie ma wizyt w pokojach i w lobby.

– Jak to?

– To nie hotel, to mój własny dom. To pokoje gościnne.

– Trzeba było uprzedzić, zanim wysłaliśmy rezerwację.

– Trzeba było przeczytać ofertę: *guest rooms*.

– A ten przepiękny pokój śniadaniowy, pusty w ciągu dnia?

Zastanowił się.

– W tym pokoju można.

Piotr podziękował zadowolony.

– Ale dwadzieścia funtów za godzinę.

O nie! Podziwiając hotelik z ulicy, Piotr zauważył, że w sąsiednim domu jest bar. Przez wielkie okno widać było ponętny bufet i puste wnętrze.

– Pójdziemy do sąsiada. Za dwadzieścia funtów spokojnie porozmawiamy z gośćmi i poczęstujemy ich whisky. Wyjdzie taniej.

– Racja – odpowiedział Keir bez urazy.

Gillespie chce jednak od razu ruszać na spacer. Idziemy we troje.

Iain Gillespie przy swoim ogródku

Małgorzata Szejnert i Piotr Pietrzak

Zastanawiam się, skąd go znam. Chyba widziałam go w „Butemanie”. Czy przypadkiem nie pisała o nim Karen? Czy to nie był ten szczerbaty mężczyzna, który podnosi do góry wielki srebrny puchar na tle biało-różowej kaskady petunii? I ten, który odbiera dyplom od wytwornego mistrza ceremonii z szarfą na szyi?

– Tak, to ja. To był puchar za kwiaty. „Bute w kwiatach” weszła do finału „Brytania w kwiatach”.

– A dyplom od kogo?

– Od klubu rotarian. Za zasługi społeczne.

Nie bardzo rozumiem, co mówi Iain. Z takim angielskim nie miałam jeszcze do czynienia. Nigdy nie rozmawiałam wcześniej ze Szkotami. Nie umiem wyodrębnić poszczególnych słów. Wszystkie się zlewają w melodyjny ciąg, mam takie same kłopoty, słuchając piosenek. Piotr jednak doskonale rozumie Iaina. Uczy angielskiego i często wykorzystuje przy tym muzykę, gra dzieciom na gitarze i śpiewa. Ma dobry słuch. Do końca pobytu będę musiała korzystać z jego pomocy. Nawet w rozmowie z archiwistką Jean. Najłatwiej będzie zrozumieć księdza Michaela – jest kaznodzieją.

Dowiadujemy się od Gillespiego, że od lat przewodzi mieszkańcom, którzy marzą o tym, by wyspa wygrała brytyjski konkurs na najpiękniej ukwiecone miasto. Nie tylko dbają o kwiaty, lecz o nie walczą. Tak było, gdy plany miejskie zagroziły części zieleńców i ogrodnictwu, które dostarcza rozsadę na klomby.

– Ułożyłem wtedy petycję do rady i zebraliśmy tysiąc trzysta głosów. Zbieraliśmy je po domach, na poczcie, w sklepie z narzędziami, w sklepie dla psów.

Umie pisać petycje, bo sam był radnym przez dziewięć lat.

Najwspanialsze kwietniki ciągną się wzdłuż nabrzeża, między zatoką a miastem. Nigdy w życiu nie widzieliśmy tak zielonej trawy i kwiatów tak bardzo czerwonych, żółtych, fioletowych, pomarańczowych. Ich płatki i liście są jaskrawe, masywne i gładkie, jakby nigdy nie więdły. Trawa, puszysta, gęsta, elastyczna, sprężynuje pod stopą.

Przed nami szeroka kopuła. Cyrk? Nie – to tak zwany Ogród Zimowy zbudowany w 1924 roku, centrum miejskiej kultury i rozrywki. W okrągłej sali wystawa historii miasta. Najwięcej miejsca poświęcono wielkim dniom wczasowiska Rothesay, kiedy to ze statków wysypywał się na nabrzeże gęsty tłum turystów; ranki spędzano na plażach, wieczory w barach, na koncertach i na dancingach. Zaświadczają o tym zdjęcia, plakaty, wycinki.

Piotr wypatrzył starą wiadomość prasową, że w Ogrodzie Zimowym wystąpi ogólnie lubiany zespół muzyczny Musketeers. Woła mnie, pokazuje zdjęcie. Prowadzącym gitarzystą Muszkieterów jest Iain Gillespie, przystojny brunet z muszką pod brodą.

– Tak, to ja. Dawno temu…

Tak wyglądał przed wojną Ogród Zimowy

archiwum Bute Museum

Przekraczamy bulwar i skręcamy pod górę. W zaułku między domami urządzono skromny ogródek – drewniane płotki, ławeczki. Na środku, w lasku paproci, drewniany zając. Tabliczka informuje, że skwer to projekt Iaina Gillespiego. Cieszy się z tego zająca.

– Dzieci go lubią. A był tu pusty kąt, trochę śmieci.

Raz po raz ktoś go pozdrawia albo zatrzymuje na parę słów.

Z ogródka blisko do biblioteki. Chce nas tam przedstawić.

Witają go tam – i nas – z największą sympatią.

Tak samo w sklepiku dwóch polskich sióstr. Są jednak bardzo zajęte. Do lady ciągle podchodzą klientki i z każdą starszą panią trzeba się przywitać i pożegnać: „kochanie, serduszko, moja słodka”… A po pracy urwanie głowy, bo młodsza siostra lada dzień chrzci dziecko i obie szykują wielkie przyjęcie.

Teraz Iain zaprasza nas do kawiarni. Kelner z szacunkiem podsuwa mu krzesło. Ian składa zamówienie i upiera się płacić.

Czas na pytanie, czy ma dla nas jakieś wiadomości o polskich oficerach na Bute.

Nie ma. To było tak dawno. Ale chciał nas przynajmniej przywitać, pokazać to, co tu najpiękniejsze, i życzyć nam powodzenia.

Ostrogi

Następny gość przychodzi z pakunkiem pod pachą. Wysoki, z bardzo jasną czupryną, nie wiadomo – blondyn czy siwy. Przedstawia się jako Lachie Mcmillan. Wyjaśnia dla porządku, że Lachie to zdrobnienie. Pełne imię brzmi Lachlan, ale nigdy go nie używa.

Pochodzi z rodziny farmerskiej i hotelarskiej. Pracuje w firmie telefonicznej. Jego dziadek prowadził hotel Royal.

– Tam mieszkał polski generał. Miał trudne nazwisko, jest tu zapisane.

Rozwija papiery i wyjmuje gruby klaser w szaroniebieskiej wyblakłej oprawie z napisem „*The Triumph Stamp Album*” w pięknie wytłoczonym kartuszu. Na każdej stronie wydrukowano nazwę jakiegoś państwa. Polski nie uwzględniono, może nie było jej jeszcze na mapie. Albo była, lecz wydawca klasera jej nie zauważył. Właściciel albumu uzupełnił brak. W miejscu, w którym – według alfabetu – powinna się znaleźć, wlepiono kartę z ośmioma znaczkami. To pełna seria *Polskie Siły Zbrojne w walce z Niemcami* wydana przez Pocztę Polską na Zachodzie w drugiej połowie 1943 roku. Należą do niej między innymi pięciogroszowy znaczek *Lotnictwo Polskie w walce o Atlantyk*, dwudziestopięciogroszowy *Wojsko Polskie we Francji 1939/1940*, siedemdziesięciopięciogroszowy *Wojsko Polskie w Libii 1941/1942* i najdroższy, za półtora złotego, chociaż czarno-biały, *Tajna prasa w Polsce*. Ostatni przedstawia dwóch chłopców i dziewczynę w ciasnej kryjówce, przy maszynie do pisania albo powielaczu; na pierwszym planie leży w pogotowiu mały rewolwer.

Podwójna pamiątka Lachiego Mcmillana

Małgorzata Szejnert i Piotr Pietrzak

Pod przyklejonymi starannie znaczkami znajduje się zdanie napisane piórem: „*To Lachlan Bone from general de Beaurain 24 XII 1943*”.

– Noszę takie samo imię jak wuj. Lachie miał dziesięć lat, kiedy generał dał mu tę serię w prezencie gwiazdkowym. Mnie jeszcze nie było na świecie. Urodziłem się siedem lat później, kiedy Lachie już nie żył. Umarł na jakąś infekcję. Miał czternaście lat. Dostałem po nim imię, a potem te znaczki.

Przyszedł, żeby nam pokazać podwójną pamiątkę – po wujku Lachiem i po generale, których nie mógł poznać. O polskich oficerach nic prawie nie wiedział. Ich obecność na wyspie była niejasna. Podobno byli przeciwnikami polskiego wodza generała Sikorskiego. Ale nikt się tym specjalnie nie interesował.

– W czasie wojny niektórzy ludzie mówili, że oni tu siedzą i nic nie robią, gdy nasi chłopcy walczą na froncie. Ale ja uważam, że sprawiedliwiej będzie powiedzieć: ci Polacy swoje przeżyli, nie zazdrośćmy im… Inni Polacy walczą nad Londynem i giną. Nasza rodzina nie miała pretensji do tych w Rothesay.

Mówi, że dziadek dobrze wspominał polskich oficerów, którzy mieszkali

w Royalu.

– Była tylko jedna rzecz… *Spurs*…

Nie znam tego słowa. Piotr też nie jest pewien.

– *Horses spurs* – pomaga Lachie Macmillan i dotyka buta.

Piotr już wie:

– Ostrogi!

– Oni lubili różne uroczystości i wtedy przypinali ostrogi. Ładnie dźwięczały, gdy stawali na baczność. Trudno im było zwracać uwagę, ale darli dywany w hotelu.

Droga Dziuni i Raka

Następnego dnia mijamy hotel Royal w drodze do domu numer siedemdziesiąt sześć przy ulicy Ardbeg. Wiemy już, że mieszkanie Dziuni i Raka znajdowało się na granicy Rothesay i Port Bannatyne. Idziemy tam szerokim łukiem nad zatoką, mijając znane już miejsca – Ogród Zimowy, sklepik dwóch sióstr, bajeczne kwietniki nad wodą. Teraz, po rozmowie z Lachiem Mcmillanem, zwracamy uwagę na trzypiętrowy budynek naprzeciw przystani. Kiedyś musiał być świetny, dziś pusty, związany metalowymi prętami jak paczka okręcona szpagatem. Księgarz z sąsiedniego sklepiku mówi Piotrowi, że od dawna nie widział tu robotnika. Piękne gzymsy podwójnych okien rozdzielonych smukłym filarem jeszcze się trzymają. Ale białe kolumny przy paradnym wejściu ze starą tabliczką „Hotel Royal” poczerniały, pewnie od soli morskiej, chociaż ciągle jeszcze połyskują złocone fragmenty ich kapiteli.

Na drzwiach napisano: „Niebezpiecznie. Odejdź”. A na samym dole tych wrót ktoś wyciął niewielki otwór dla bezdomnych kotów. Przez okna widać, jak pył z osypujących się tynków stoi w powietrzu.

W hotelu Royal stacjonowali polscy generałowie

Małgorzata Szejnert i Piotr Pietrzak

Zabudowania stopniowo rzedną. Po prawej ciągle mamy zatokę, po lewej niski mur z potężnych głazów, szarych, białawych, sczerniałych. Przypomina *drystane dykes,* ale budulec spojono zaprawą. Ta opaska odgranicza skarpę od bulwaru i wydaje się nie mieć końca. Roślinność, która kłębi się za nią, jest potężna i dzika, paprocie o liściach twardych jak blacha, strzeliste drzewa – całe kolumnady jedwabistych pni. Czasem pojawia się wysokie, osobne drzewo o ciemnej kulistej koronie i iglastych listkach – to araukaria, która doskonale się czuje na Bute, chociaż jej ojczyzną jest Chile. W szczelinach muru zagnieździły się samosiejki i rozczapierzają jak rozgwiazdy, w najrozmaitszych tonach zieleni; nikt ich nie usuwa i kamienna ściana jest pełna niespodzianek. Gdzieniegdzie na jej grzbiecie sterczą jeszcze osobne ociosane głazy, jak kostny grzebień na przedpotopowym stworzeniu. To musiało wyglądać tak samo przed siedemdziesięciu pięciu laty. Dziunia i Rak chodzili do miasta wzdłuż tego muru. Czy polubili zatokę Clyde? Nigdy przedtem nie mieszkali nad morzem. A może mieszkali albo wczasowali, mieliśmy już dostęp do morza.

Te gęste jedwabiste pnie to buki, jakaś ich tutejsza odmiana, zasilana ciepłym, wilgotnym wiatrem. Michał Grażyński, który zna te drzewa

z wędrówek beskidzkich, pisze po spacerze na pagórki Bute: *Nie otwieraj oczu, to twoje buki szepczą liściem, że cię znają i witają. Ku niebu raczej spojrzyj. Tylko nie patrz przed siebie na Firth of Clyde, bo ci się serce ściśnie*[1]. Buk rośnie powoli, przestaje piąć się do góry, mając sto pięćdziesiąt lat, żyje drugie tyle. Ta kolumnada przy Ardbeg stała już więc w czasie wojny.

Po jakimś czasie ulica odrywa się od zatoki i biegnie w górę, chociaż wciąż jeszcze widzimy wodę. Pojawiają się małe domy w ogródkach. To już przedpole Port Bannatyne.

Dom 76 przy ulicy Ardbeg

Małgorzata Szejnert i Piotr Pietrzak

Co parę domów wisi na słupku, jak chorągiewka, tabliczka z napisem „Na sprzedaż”.

Gdzieś tu, po prawej stronie ulicy, w pierzei kamieniczek parurodzinnych, przylepionych do siebie, powinien być budynek siedemdziesiąt sześć. Nie możemy jednak wypatrzyć numeru.

Nagle wiatr porusza otwarte drzwi do klatki schodowej i kiedy zamykają się z trzaskiem, widzimy na nich cyfry, których szukamy. A przy okazji napis „*For sale*”.

Klatka schodowa domu 76 przy ulicy Ardbeg

Małgorzata Szejnert i Piotr Pietrzak

Dom jest brzydki, bury i postarzały, chociaż okna zdążono wymienić na nowe, bez gęstych angielskich szprosów. Kręcona klatka schodowa, oświetlona mgliście przez szybę w dachu, jest niespodziewanie paradna: balaski mosiężne, schody marmurowe, środkiem biegnie na górę czerwony chodnik. Czy tak wspaniale było tutaj za czasów Dziuni i Raka?

Piotr zapala światło i widzimy po chwili, że to wszystko farba. Balaski

pociągnięto lakierem, betonowe schody pomalowano po bokach na biało, środkiem na czerwono.

Dom wydaje się pusty. Pukamy do kolejnych mieszkań na piętrze. Nikt nie odpowiada, chociaż wycieraczka przy drzwiach i kwiatek w oknie wskazują, że ktoś tam mieszka.

Sprzedawca w sklepiku ze szwarcem, mydłem i powidłem na parterze domu nic nie wie o lokatorach. Ciągle się zmieniają. Nie będę wyciągać z torebki fotografii Raka ani listu Dziuni do brata Stefana, z adresem nadawcy, który zaświadcza, że mieszkali tutaj Raczkowscy. Na nic się to nie zda. Zakłopotałoby tylko rozmówców.

Mieszkanie do sprzedania (reklamowane w oknie parteru) jest za duże, by mogło być kwaterą Dziuni i Raka. Ma cztery sypialnie, łazienkę, kuchnię i salon, centralne ogrzewanie, kosztuje sto cztery tysiące funtów i – jak reklamuje agencja nieruchomości – może stanowić korzystną inwestycję pod turystyczny wynajem. Wygląda na to, że już długo czeka na klienta, ale może się doczeka. W budynku numer siedemdziesiąt sześć sprzedano w ostatnich latach jedno mieszkanie dwupoziomowe z dwiema sypialniami i dwa trzysypialniowe, a ponieważ dom jest niewielki, wymieniono w nim już chyba wszystko, co się dało.

Cmentarz High Kirk

Wracamy wzdłuż muru. Jeśli mamy szukać śladów Raka, musimy w okolicy hotelu Royal oddalić się od zatoki i wspiąć na wzgórze nad miastem, gdzie leży cmentarz High Kirk.

Panuje tutaj zupełna cisza. Na wielkiej przestrzeni, wśród setek rozmaitych pomników, obelisków, posągów, krzyży celtyckich, stel z kartuszami, budowli grobowych o niezwykłych formach i ozdobnych inskrypcjach, jesteśmy sami, we dwoje. Wiemy to, bo cmentarz jest przejrzysty, kwatery grobowe trzymają stosowną odległość od siebie, niezabudowane jeszcze przestrzenie starannie wykoszono i nic nie zakłóca biegu alejek i alej.

Prywatność zmarłych i ich opiekunów jest uszanowana.

Ten porządek sprawia, że już z daleka rozpoznajemy rząd jednakowych steli żołnierskich. Komisja Commonwealthu, która dba o to, by ofiary wojny

nie pozostały anonimowe, postawiła w stu pięćdziesięciu państwach na obu półkulach milion siedemset tysięcy takich nagrobków – głównie poległym w obu wojnach światowych.

W rzędzie, który z daleka wybija się bielą z zieleni cmentarza, jest jedenaście pomników. Wszystkie świeże, jakby po wymianie lub starannym remoncie. W miejscu gdzie pod gęstą wilgotną trawą winna spoczywać głowa, rośnie kępa kwiatów i stoi znicz, przyniesiony pewnie w jakąś patriotyczną rocznicę, dawno wypalony.

Leży tu trzech Brytyjczyków i ośmiu Polaków. Widać już z daleka, że Brytyjczycy to marynarze – mówi o tym wyraźny rysunek kotwicy. Jeden z nich, najstarszy, służył na HMS Cyclops. Polskie groby oznacza orzeł w koronie. Żaden z Polaków, których tu pochowano, nie poległ na wojnie. Zmarli w Rothesay jako pensjonariusze obozu o niejasnym charakterze, ale był to obóz aliantów. Ci oficerowie pozbawieni ojczyzny, ale także możliwości służby wojennej, do końca życia nosili mundury Wojska Polskiego, należącego do sił Commonwealthu. Twórcy wspólnego projektu żołnierskiego pomnika rozumieli prawdopodobnie, że im mniej określeń nad tymi grobami rozsianymi po świecie, tym lepiej. Na stelach nie ma słów: zginął, zmarł, poległ. Wystarczają symbole państwa lub służby, data śmierci i ranga zmarłego. O rangi zadbano bardzo starannie. Wiemy więc, że czterdziestotrzyletni marynarz z HMS Cyclops był palaczem pierwszej kategorii, dwudziestolatek z okrętu podwodnego Dolphin – palaczem drugiej kategorii, a osiemnastolatek z trałowca Tedworth – zwykłym marynarzem Floty Królewskiej.

Grób Raka. Jedna z miliona siedmiuset tysięcy steli Commonwealthu

Małgorzata Szejnert i Piotr Pietrzak

Rangi Polaków wykuto w kamieniu po polsku. Leżą tu porucznik Jan Stadnikiewicz, kapitan Stanisław Bylczyński, major Adam Stebłowski, podpułkownik Stanisław Wegner, major Mieczysław Paluch, starszy sierżant Jan Wermiński, podpułkownik Władysław Ryszanek i kapitan Ignacy Raczkowski. Pierwszy zmarł w lutym 1941 roku, ostatni, jak już wiemy, w maju 1943.

Płaskowyż cmentarny opiera się dołem o gęsty las, ponad nim widać wodę zatoki i wrzosowe wzgórza w oddali. Krótki spacer alejką prowadzi ku kościołowi, pod którym pochowano zasłużonych dla Bute. Robert Thom, geniusz inżynierii wodnej zmarły w 1847 roku, zbudował na wyspie przemyślny system kanałów i zapór, który zapewnił rolnikom i hodowcom nawodnienie pól, a miastu wodociągi i kanalizację. To dzięki niemu urządzenia cywilizacyjne w pensjonatach i hotelach Rothesay zadziwiły polskich oficerów, zwłaszcza wychowanych w domach i dworkach na Kresach Wschodnich. Biały anioł pochyla się nad grobem Henry'ego Bowersa, symbolicznym, bo Bowers, uczestnik tragicznej wyprawy Roberta Scotta, pozostał w 1912 roku w lodach Antarktydy.

Ciągle nie ma tu żywej duszy. Kościół jest zamknięty, salka parafialna tak samo. Kartka podaje termin najbliższego spotkania – za tydzień. Piotr rozgląda się za jakimś biurem administracji albo stróżówką. Nic takiego nie ma. Nagle mnie woła.

Stoi w ciężkich, szeroko otwartych drzwiach z żelazną kołatką. Prowadzą do małego budynku z omszałych kamieni – składziku na odpadki, magazynku narzędzi?

W niszy można rozpoznać postać kobiety przytulającej dziecko

Ktoś, kto nie zamknął tych wrót, jest albo niedbały, albo ma wielkie zaufanie do ludzi. Mogą tu przecież wejść w brudnych butach, pokruszyć, potrącić, wyryć monogramy i daty.

To bardzo stara kaplica grobowa z ostrołukowym oknem, w miejscu gdzie w kościołach znajduje się ołtarz.

W dwóch bocznych ścianach uformowano głębokie nisze. Pod łukami z wielkich ciosów jasnego piaskowca, na sarkofagach z procesją płaskorzeźbionych postaci czy raczej ich cieni, i maswerkami w kształcie czterolistnej koniczyny leżą białe kamienne figury. W prawej niszy mężczyzna, w lewej kobieta, która przytula do boku dziecko. To już widma dawnych wizerunków, ale ciągle jeszcze widać lekkość szaty kobiecej, ułożenie rąk do modlitwy, ostry hełm, pas z mieczem i zarys lwiej głowy, na której rycerz opiera stopę.

Organizacja Historic Scotland, która zawiesiła przy drzwiach parę wiadomości, przypuszcza, że kaplicę zbudował Robert II, pierwszy władca Szkocji z dynastii Stuartów. Powstała na początku czternastego wieku na miejscu świątyni celtyckiej.

Kim był? Poświęcono mu książki historyczne, romanse i filmy. Miał dziesięcioro dzieci z pierwszą żoną, czworo z drugą i liczne potomstwo pozamałżeńskie. Część historyków i kronikarzy twierdzi, że był szkockim patriotą i bohaterem, a pod jego władzą królestwo wzbogaciło się i panował w nim spokój. Inni zarzucają mu bierność, niesprawność i brak ambicji; nie sprzyjał wycieczkom wojennym przeciw Anglikom.

Podobno lubił budować kaplice grobowe. Spoczął w opactwie Scone zniszczonym w szesnastym wieku przez reformację. Archeolodzy długo szukali śladów opactwa i w 2007 roku znaleźli trzy dobrze zachowane szkielety. Czyje? Nie wiadomo. Tak jak nie wiadomo, na jaką pamięć zasłużył król. Kości może uzyskają tożsamość; badacze pracują. Z pamięcią gorzej – lada wiatr ją zmienia.

1 Michał Grażyński, „Dziennik 1940–1944”, rkps, Instytut Polski i Muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie (dalej: IPMS), Kol. 580/12. Jeśli nie zaznaczono inaczej, wszystkie przytoczone dalej i omówione przeze mnie słowa Grażyńskiego pochodzą z tego źródła.

1940

Wszyscy żeśmy zawinili

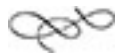

Chcę o jedno tylko prosić – Generale
Abym w tej dziejowej chwili
Mógł karabin prędzej nosić
Wszyscy żeśmy zawinili
No i Pan Bóg nas surowo
Już ukarał – Generale

ppor. Paweł Kulesza, „List do Generała”, Cerizay, marzec 1940*

* Za: Antoni Grycko, rękopis wspomnień, Centralne Archiwum Wojskowe im. mjr. Bolesława Waligóry w Rembertowie, sygn. IX.5.21.91. Jeśli nie zaznaczono inaczej, wszystkie przytoczone dalej i omówione przeze mnie informacje podane przez Gryckę pochodzą z tego rękopisu.

Nie wszyscy

Adresatem wierszowanego listu podporucznika Pawła Kuleszy jest generał Władysław Sikorski. Generał zna udrękę żołnierza, któremu nie chcą dać karabinu, by walczył z wrogiem. Sam domagał się tego dwukrotnie. W końcu sierpnia i piątego września oddawał się do dyspozycji marszałka Śmigłego-Rydza, ten nie skorzystał.

Od dwudziestego ósmego września 1939 roku Sikorski jest naczelnym wodzem Wojska Polskiego. Tego dnia na odprawie oficerów w Paryżu przemawia:

Proszę panów, byśmy zapomnieli o tym, co nas dzieliło, a zwrócili się ku temu co nas łączy, a przynajmniej łączyć powinno. (…)

Nie będziemy tu robić żadnej polityki.

Uprzedzam Panów, że na żadną partyjną, czy brygadową politykę nie ma i nie może być miejsca w wojsku polskim.

Zasadą moją będzie kult kompetencji, a wierzę, że się spotkamy pod hasłem „Honor i Ojczyzna”[1].

Paweł Kulesza widocznie liczył na takie spotkanie.

Dwunastozwrotkowy „List…”, nigdzie chyba niedrukowany, został ocalony przez podporucznika rezerwy 14. Pułku Ułanów Jazłowieckich kawalerzystę Antoniego Gryckę. O jego wspomnieniach z oficerskich obozów odosobnienia we Francji i Szkocji dowiedziałam się przypadkiem z przypisu w jednym z tekstów historycznych o emigracji wojennej. Jadę więc znowu do Rembertowa. Centralne Archiwum Wojskowe nadal w remoncie, ale dostaję do wglądu gruby manuskrypt. Może znajdę w nim Raka? Mam szybko przeczytać, bo jutro już nie będą robić żadnych wyjątków. Wreszcie godzą się skserować cały rękopis. Muszę iść przez śnieżne roztopy na odległą pocztę, by tam opłacić rachunek za tę usługę, i zdążyć z powrotem, nim zamkną biuro.

Autor rękopisu podaje paręset nazwisk swoich towarzyszy doli i niedoli. Ignacego Raczkowskiego nie odnajduję. Ale wspomnienia miejscami ciekawe.

Antoni Grycko, który we wrześniu wydobył się z Polski przez Węgry, ma bujną naturę, jest gadatliwy, wesoły, skłonny do kieliszka i awantury, i dzięki niemu zajrzymy nie tylko do obozów Cerizay i Rothesay, ale także do oficerskiego poprawczaka – Tighnabruaich. Widać, że podkręca czasem swoje opowieści, trzeba je czytać z rezerwą. Zapewnia wprawdzie: *oddają wiernie wypadki oczyma jakiemi je w danej chwili widziałem*, lecz zdanie to nieświadomie ukazuje rozziew między faktem a wizją.

Krótka historia listu Pawła Kuleszy wydaje się jednak wiarygodna.

Podporucznik pisał parokrotnie do generała Sikorskiego drogą urzędową, wnosząc o przydział wojskowy, ale nie doczekał się odpowiedzi, wysłał więc list-wiersz zwykłą cywilną pocztą. Podpisało się pod nim jeszcze trzech oficerów. Tym razem odpowiedź nadeszła. Podpułkownik Tadeusz Tokarz ze sztabu generała Sikorskiego zwrócił wiersz komendantowi ośrodka w Cerizay pułkownikowi Kazimierzowi Rumszy[2] z poleceniem surowego ukarania autora i pozostałych sygnatariuszy oraz pouczenia ich, że nie mają prawa pisać do generała prywatnie. Podporucznik Kulesza dostał osiemnaście dni aresztu, a trzej jego koledzy, w tym Grycko, po dziewięć.

Można przypuszczać, że przyczyną kary było nie tylko naruszenie zasad służbowych, ale także wers *Wszyscy żeśmy zawinili.* Wina miała się znajdować tylko po jednej stronie, i dla niej właśnie przygotowano obóz izolacyjny w Cerizay, który szybko zaczęto nazywać Berezą[3], bo nazwa miejscowości, w której sanacja więziła przed wojną swych przeciwników politycznych, przypomina trochę brzmieniem francuską nazwę obozu. Zwłaszcza gdy ją nagiąć po swojemu do formy „Seriza”.

Grycko spisał pięćdziesiąt pięć nazwisk oficerów izolowanych w Cerizay, zastrzegając, że było ich więcej. Nie udało mi się dotrzeć do pełnej, oficjalnej listy, ale to nie znaczy, że taka nie istnieje. Może kiedyś ją znajdę w jakimś archiwum i sprawdzę, czy jest na niej Ignacy Raczkowski.

Ojczyzna nie chce

Tym, którzy zawinili, nie daje się szansy rehabilitacji. Generał Felicjan Sławoj-Składkowski, były premier i minister spraw wewnętrznych, jeszcze w Rumunii, w Baile Herculane, zwraca się do generała Sikorskiego

o przyjęcie do Wojska Polskiego – gotów jest być lekarzem wojskowym w dowolnym stopniu i funkcji. Sikorski odpowiada:

Otrzymałem Pańskie zgłoszenie się do służby czynnej. Żąda Pan w swym podaniu rzeczy niemożliwej. Nie rozporządzam tak silną policją, ani żandarmerią, by ochronić Pana od zniewag i zamachów, które spotkać Go muszą w każdym większym skupisku polskim. Pan, Prezes Rządu odpowiedzialnego za bezprzykładny pogrom jakiegośmy doznali, powinien zrozumieć, że jedno tylko mu pozostaje: dać o Sobie zapomnieć[4].

Generał Tadeusz Kasprzycki, we wrześniu 1939 roku minister spraw wojskowych, wnosi tego samego dnia o jakikolwiek przydział i otrzymuje od Sikorskiego podobną odpowiedź:

List Pana Generała z 11 listopada wywiera na mnie wrażenie, że Pan Generał nie zdaje sobie sprawy, jaki jest stosunek wojska i społeczeństwa do Jego osoby. Opinia w wojsku, na emigracji, w kraju widzi w Panu jednego z głównych sprawców naszej klęski. Powołać Pana do służby czynnej w nowym wojsku polskim nie mogę. Pan jest odpowiedzialny za nieprzygotowanie narodu i wojska do wojny nowoczesnej, a więc i za poniesioną przez nas klęskę, która nie jest wolna od hańby. Niech Pan generał pozostanie w Baile Herculane. Ojczyzna nie chce Jego usług[5].

Elegancja form jest zachowana.

Do Mariana Zyndrama-Kościałkowskiego Sikorski pisze łagodniej: *Z uznaniem przyjmuję do wiadomości Pańską gotowość żołnierską* (…). *Na razie nie widzę możliwości zastosowania się do Pańskiej prośby, nie przesądzając sprawy na dalszą przyszłość*[6].

Sprawa została jednak przesądzona. Podpułkownik Zyndram-Kościałkowski nie dostał przydziału do wojska.

Pierwszego stycznia premier Władysław Sikorski wygłasza przemówienie noworoczne do członków rządu:

Wiele było przyczyn, jak na to wskazują ogłaszane obecnie dokumenty, naszej straszliwej klęski. Winnych osądzi historia oraz Naród, ponoszący w następstwie tej klęski okropne ofiary. (…)

Pragnąłbym ażeby panowie wiedzieli, że odtąd o miejscu jakie każdemu

z nas przypada w wysiłku zbiorowym na rzecz wielkiego w tym nieszczęściu Kraju, decydują wyłącznie kwalifikacje moralne i fachowe. Stwierdzam z radością, że najbliżsi moi współpracownicy zarówno w Rządzie jak i w wojsku rozumieją tę zasadę i stosują z zapałem w życiu, nie dopuszczając do odrodzenia się rządów kliki. Dziękuję im za to z całego serca[7].

Henryk Gruber, legionista, uczestnik legendarnej bitwy pod Kostiuchnówką w 1916 roku[8], twórca i prezes Pocztowej Kasy Oszczędności, największej polskiej instytucji finansowej w okresie międzywojennym, człowiek pragmatyczny, obserwuje świeżą emigrację do Francji. Pisze w swoim dzienniku, że nie jest łatwo przejść od zdarzeń i ludzi w kraju, dobrych czy mniej dobrych, ale zawsze stanowiących część składową narodu i budującego się państwa, na obcą ziemię, w defetystyczną atmosferę gruzów i zgliszczy zbiorowych wysiłków. *Należało na razie zapomnieć o winach i grzechach, zorganizować się i razem bronić wspólnej sprawy w rozumieniu, że rozbicie i nienawiść nic dobrego nikomu przynieść nie może. Ale stało się inaczej*[9].

Wściekłe wichry

Chora dusza polska i w następstwie zgnilizna moralna jest największą i zasadniczą przyczyną naszej klęski militarnej w 1939 r. (…) *Nienawiść „elity" sanacyjno-legionowej do wszystkiego, co z ducha naprawdę polskie i katolickie, była notorycznie znana i zdumiewająca i niezrozumiała… dla prawdziwego Polaka. Jej zewnętrznym przejawem była umysłowość, rzekomo „polska" i rzekomo „elitarna", która Naród Polski, naród Chrobrego, Jagiellonów i Sobieskiego, naród królowej Jadwigi, Stanisława Kostki i Andrzeja Boboli, naród Zamoyskich, Żółkiewskich, Chodkiewiczów, Kościuszki i obrońców Olszynki, naród Kochanowskiego, Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego, Sienkiewicza i Wyspiańskiego nazywała publicznie „narodem idiotów".* (…) *Rząd przeciwstawiając Państwo Narodowi i Kościołowi robił wszystko, co w ludzkiej mocy, aby to Państwo zniszczyć przez niszczenie podstaw, na których może jedynie wyrosnąć Wielkość Narodu i jego ram organizacyjnych, to jest Państwa; podrywał wiarę w Boga, walczył z Kościołem i z polskim patriotyzmem, odrzucanym*

jako „nacjonalizm", zwalczał prawo, może dlatego, że sam wyszedł z rokoszu, więc bezprawia. Reasumując, Rząd Polski zwalczał konsekwentnie uosobienie tych dwóch nierozerwalnych pojęć tkwiących w duszy każdego Polaka, to jest polski nacjonalizm i katolicyzm (…). *To [korpus oficerski] było bagno cuchnące. Z pijaków, miernot moralnych i umysłowych nie wyrosną w razie potrzeby, nagle, przez noc, herosy.* (…) *Józef Piłsudski, objąwszy przez rokosz majowy władzę absolutną w Państwie, wprowadził na najwyższe stanowiska w Państwie i w wojsku miernoty moralne i intelektualne, które już bezpośrednio doprowadziły do katastrofy wrześniowej, przez co spowodował upadek Państwa*[10].

Napisał to Izydor Modelski, antypiłsudczyk, od października 1939 roku wiceminister spraw wojskowych, od maja 1940 generał broni.

Wściekłe wichry jesienne nie zdołają tak skutecznie ogołocić drzewa z liści, jak teraz, w zdziczałej nienawiści obdzierano przedwrześniową rzeczywistość polską z wszelkich wartości. Nie było w Polsce przed wrześniem przy sterze państwowym ani jednej postaci nie tylko wybitnej, ale bodaj przeciętnej i uczciwej! Nie było w polskiej rzeczywistości przedwrześniowej ani jednej rozumnej myśli, ani jednego korzystnego osiągnięcia!… Widziano tylko Brześć, Berezę i pacyfikacje Małopolski… widziano tylko ręce „brudne i skrwawione"!… W polityce, choć związała Polskę sojuszami z Francją i W. Brytanią, nie było nic oprócz „współdziałania z Hitlerem", „ułatwiania Niemcom napaści", „głupiego triumfu nad upokorzoną Litwą" i „zbójeckiego noża w plecy czeskiego pobratymca". A czego nie dopowiedział rząd i jego szef – to z nawiązką wyrzucał z siebie świeżo stworzony aparat rządowej „propagandy" i „informacji". Obelgi i oszczerstwa, szyderstwa, przekleństwa, kpiny, brudne koncepty, płaskie dowcipy, inwektywy! Nawet połączone wysiłki oszczerczej propagandy niemieckiej Goebbelsa i nikczemne wymysły moskiewskiego Kremla nie dawały w sumie swej nawet części tego ohydnego błota, jakie na umęczoną Polskę – wylewano w Paryżu z polskich kubłów![11].

Napisał to historyk Władysław Pobóg-Malinowski, piłsudczyk.

Już 30 listopada 1939 roku w Paryżu powstaje tak zwany Trybunał Orzekający, który przeprowadza weryfikację oficerów. Generał Marian Kukiel, oddany współpracownik Sikorskiego, napisze o tym po latach jako o czyśćcu:

zamiast prostego ustalenia tożsamości, stopnia, dawnego przydziału, uzależniono powołanie do wojska nie tylko od wyspowiadania się z własnej roli w kampanii, co miałoby sens, ale w stosunku do wyższych oficerów – żądanie relacyj, indagacje i długie często przewlekanie procedury. To była dziedzina pułkownika Modelskiego, który miał sprawy personalne w ręku i dokonał wiele, by zrazić wielu pełnych zapału „turystów" Sikorskiego do tego nowego wojska, które miało być od wrześniowego jakimś innym i lepszym, i do samego Generała. Gorszym jeszcze błędem było stworzenie dla oficerów, uważanych za nienadających się do służby czynnej, specjalnego obozu w odległym miasteczku Cerizay za Loarą i nadanie mu politycznej marki. Ten błąd powtórzy się później w W.Brytanii z ujmą dla rządu nie przez to, że stwarzano obozy dla rezerw oficerskich, ale, że wprowadzono do tego polityczne kryteria[12].

Dwudziestego dziewiątego maja 1940 roku, gdy widać już wyraźnie załamanie wojenne Francji, członkowie rządu RP obradujący w Angers podpisują dekret o ustanowieniu komisji w związku z wynikiem kampanii wrześniowej. Kukiel pisze: *Nie uznano wtedy za wskazane, by wobec nadchodzącej czerwcowej katastrofy uznać sprawę kampanii wrześniowej za mniej już palącą. Komisja pracowała potem na angielskim wygnaniu wytrwale, a nie dawał jej usnąć niezmordowany gen. Modelski, ku rosnącej niechęci Sikorskiego*[13].

Słowa Kukiela o stosunku Modelskiego do starszych oficerów potwierdzają w pewnym stopniu to, co napisał mi Andrzej Modelski o swoim ojcu.

On kazał wypuścić starych oficerów zawodowych. Ale nie starszych oficerów sanacyjnych.

Uraz tkwi głęboko.

Izydor Modelski, syn powstańca styczniowego, doktor filozofii, dowódca

w Legionach, w 1918 roku podpułkownik, uczestnik wojny z bolszewikami, był coraz bardziej przeciwny polityce Józefa Piłsudskiego. Podczas przewrotu majowego dowodził 30. Pułkiem Strzelców Kaniowskich na Cytadeli warszawskiej. Chciał stanąć przeciw Piłsudskiemu, po stronie rządu, ale nie zapanował nad pułkiem. Według okrutnej pogłoski jego podwładni, żołnierze sprzyjający Piłsudskiemu, zamknęli go w latrynie. Po zwycięstwie piłsudczyków został na krótko aresztowany, przeniesiony na skromną funkcję w poleskim Łunińcu i wkrótce – w stan spoczynku. Niezwykle ambitny i pracowity, ciężko znosił bezczynność wojskową. Nie wiodło mu się także w polityce. Kandydował do sejmu z listy państwowej Polskiego Bloku Katolickiego, ale został tylko zastępcą posła. Zajmował się publicystyką polityczną. Tropił rozmaite błędy wojskowych i polityków.

Ośmieszany i odtrącony przez sanatorów, zbliżył się do Sikorskiego i przystąpił do Frontu Morges[14].

We wrześniu 1939 roku oddał się do dyspozycji szefa Sztabu Głównego, ale – tak jak generał Władysław Sikorski, który dopominał się o przydział do czynnej służby – nie otrzymał żadnych zadań. Teraz, przekonany o tym, że klęski wojennej winna jest formacja panosząca się w Polsce po przewrocie majowym, nie chce widzieć jej przedstawicieli w nowym Wojsku Polskim i kieruje ich na margines. Generał Sikorski mu w tym nie przeszkadza.

Anegdoty na temat Izia, wykpiwające nie tylko jego gorliwość, ale i niepozorny wygląd, sugerują, że odtrącanie „starszych oficerów sanacyjnych" sprawiało mu satysfakcję. Już nie przypinali orderów, ale pamiętał, jak brzęczeli nimi na paradach, w których nie brał udziału.

Marian Walentynowicz, współautor popularnej książeczki komiksu dla dzieci *Przygody Koziołka Matołka*, portretował rezydentów londyńskiego hotelu Rubens, w którym po kapitulacji Francji stał sztab Sikorskiego. *600 z górą oficerów zajmuje olbrzymi hotel. Mają swoje pokoje, gabinety, kluby, karty wizytowe na drzwiach. Urzędują. Wśród nich na pewno wielu tzw porządnych, znanych ludzi. W imię czego się mozolą, w imię czego dokonywa się ich praca i urzędowanie nad stertą papierów?* – pyta Stefan Mękarski w zapiskach z Rothesay[15]. Walentynowicz wspomina, że nie wszyscy są zadowoleni ze swych karykatur. Tylko generał Modelski dziękuje artyście. *Pan jeden mnie zrozumiał*[16]. Walentynowicz jest zaskoczony – narysował generała zatopionego w głębokim fotelu, na tle kotary i balustrady, jak

z atelier małomiasteczkowego fotografa. Była to karykatura szarej eminencji. Karykaturzysta nie bardzo się orientuje, co generał mu wyznał swym podziękowaniem, i pozostawia nas w niepewności: czy Modelski jest skłonny do autoironii, czy może naprawdę podoba mu się ta mała figura, która rządzi ze swego wielkiego fotela.

Generał broni Tadeusz Jordan Rozwadowski (w cywilu) i Izydor Modelski

Narodowe Archiwum Cyfrowe

Ja to wiem, pisz

Zadzwoniłam do Andrzeja Modelskiego. Powiedziałam mu, że mam kłopot. Chcę napisać o Wyspie Węży i nie mogę pomijać różnych opinii o jego ojcu. A większość jest przykra.

– I co ty na to? – zapytałam.

– A co mam powiedzieć?

– Czy nadal będziemy się lubić.

– Małgosia, pisz. Ja to wszystko wiem. Jestem przyzwyczajony. Ty się nie musisz krępować. Pisz, czego się dowiedziałaś. Jesteś wolny pisarz.

– Dziękuję ci, Jędrek.

– Znalazłem jeszcze trochę papierów tatusia. Przyślę ci pocztą. Tam jest jeden artykuł bardzo dobry o nim.

– Przyjedź znów do Polski. Pójdziemy na spacer na Sadybę oficerską. Wasz dawny dom ciągle stoi nad fosą. Piotr był tam niedawno. Przy płocie ustawiono tablicę, że generał Modelski tam mieszkał.

– Zrób dla mnie foto.

– Może pojedziemy razem do Białej?

– Taka wielka podróż. Już dla mnie za późno. Wiesz, ile mam lat, osiemdziesiąt siedem.

Cerizay-Bereza

Ośrodek Zborny Rezerwy Oficerów w Cerizay, niewielkiej miejscowości w departamencie Deux-Sèvres, leży siedemdziesiąt trzy kilometry w linii prostej na południe od Angers, siedziby polskiego rządu na uchodźstwie. Skierowano tam prawdopodobnie nie więcej niż stu oficerów. Byli wśród nich pułkownik Tadeusz Alf-Tarczyński i podpułkownik Roman Umiastowski, kapitan Jerzy Niezbrzycki, generałowie Stefan Dąb-Biernacki, Stanisław Rouppert, Stanisław Kwaśniewski, Ludomił Rayski. Nie znajdują się pod zamknięciem. Cerizay ma najwyżej dwa tysiące mieszkańców, ale – jak wynika z różnych relacji – nie brakuje tam wygodnych kwater, a pomniejszony żołd wystarcza oficerom na mieszkanie i wyżywienie. Dotkliwość ich odosobnienia polega na braku przydziału wojskowego i dwuznaczności tej sytuacji.

Adam Ludwik Korwin-Sokołowski, praprawnuk żołnierza napoleońskiego,

prawnuk powstańca listopadowego, wnuk powstańca styczniowego, legionista, szef gabinetu marszałka Piłsudskiego, od 1935 roku wojewoda nowogrodzki, złożył Izydorowi Modelskiemu raport ze swych czynności na stanowisku wojewody i też go wysłano do Cerizay. Wspomina, że już *wcześniej w koszarach Bessières znajomi oficerowie witali się niepewnie, z rezerwą, nie dowierzali sobie nawzajem. Obawiali się, że ktoś może być przypadkiem zaufanym Modelskiego i uszyje buty dawnemu koledze. Jeden z nich powiedział, że nigdy się pierwszy z nikim nie wita, bo nie jest pewien, kto w tej atmosferze ogólnej podejrzliwości zechce mu odpowiedzieć uściskiem dłoni*.

Mieszkańcy Cerizay byli według niego życzliwie ustosunkowani do Polaków, chociaż *jakieś łajdackie języki rozpuściły pogłoski, że jesteśmy elementem niepewnym, sympatyzującym z Niemcami. Ten nikczemny chwyt przeciwników politycznych spalił jednak szybko na panewce i nasze stosunki z mieszkańcami Cerizay ułożyły się bardzo dobrze*[17].

Korwin-Sokołowski ma w Paryżu żonę i syna Józefa. Nie odwiedza ich jednak, bo musiałby uzyskać zezwolenie generała Modelskiego, a nie chce go prosić. Syn, który przyjechał do niego z wizytą, jest w podchorążówce. Zakazano im śpiewać *Pierwszą Brygadę*, więc nie śpiewają, lecz gwiżdżą. (Józef zginie wkrótce w walce jako lotnik w bombowym Dywizjonie 300).

Największe zainteresowanie i zarazem zakłopotanie budzi w Cerizay generał dywizji Stefan Dąb-Biernacki. Oficerowie, którzy go znają z pola walki, mówią: waleczny, odważny, niestrudzony, ryzykant, brutalny, bezwzględny, zarozumiały, ograniczony, niedokształcony wojskowo. Z wykształcenia rolnik, po studiach asystent w Akademii Rolniczej w Dublanach, legionista od 1914 roku, walczył w wojnie polsko-bolszewickiej jako kolejno dowódca pułku, brygady, dywizji. Ma najwyższe odznaczenia bojowe i państwowe. We wrześniu 1939 roku dowodził Armią „Prusy".

Skierowano go tutaj z paryskiego więzienia La Santé, do którego – z rozkazu Sikorskiego – trafił natychmiast po tym, jak się przedostał do Francji.

Oskarża się go o to, że dopuścił do niemal całkowitego rozbicia swej armii, o ucieczkę z pola walki, o zrzucanie swoich win na innych.

Pamięta się mu głośną przed dwoma laty sprawę honorową, kiedy to ukarał

Stanisława Cywińskiego i „Dziennik Wileński” za *zelżenie narodu polskiego*. Cywiński miał się o Józefie Piłsudskim wyrazić *kabotyn*. Przegapił to cenzor, ale zauważyła gazeta „Państwo i Naród” i wymierzyła w Cywińskiego tekst *Plugastwo słowa*. Dąb-Biernacki dodatkowo uniósł się gniewem. Nasłał na dziennikarza oficerską bojówkę – pobiła go na oczach rodziny i zdemolowała redakcję. Generał i podwładni oficerowie nie ponieśli żadnych konsekwencji.

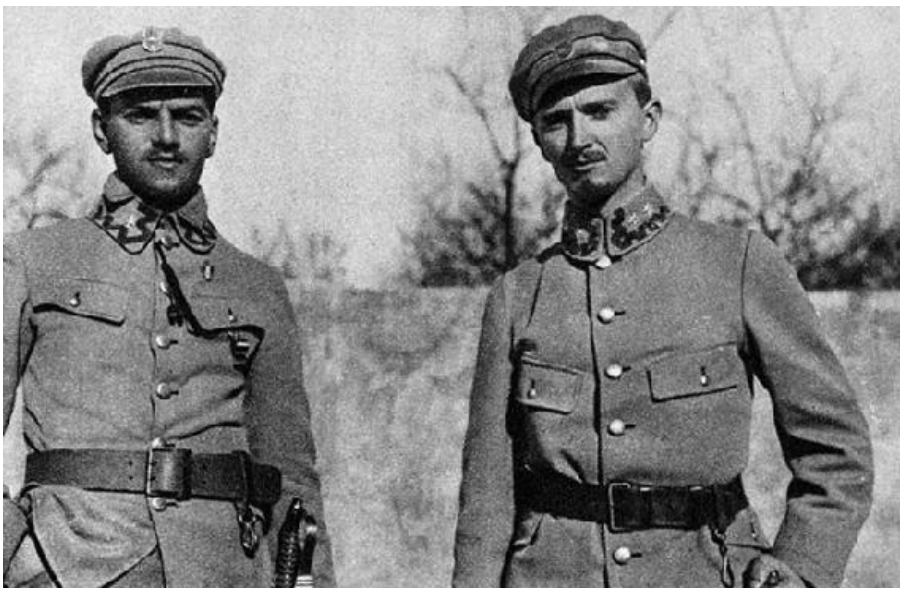

Z prawej Stefan Dąb-Biernacki

Agencja Fotograficzna FORUM

Zarzuca się mu nielojalność wobec obecnego dowództwa i rządu, spiskowanie jeszcze na Węgrzech.

Podporucznik Grycko, inaczej niż znajomy Korwina-Sokołowskiego, ma ochotę wypróbować podawanie rąk. Czy na przykład Dąb-Biernacki poda mu prawicę, bo podobno nie podaje nikomu; boi się widocznie, że może ona zawisnąć w powietrzu: *podszedłem do stolika gdzie siedział generał z 3-ma pułkownikami i grał w „bridge'a”. Przeprosiłem, że przeszkadzam – przedstawiając się wymieniłem normalnie swoje nazwisko. Generał wraz z innymi powstał i bez podania ręki wymienił swoje nazwisko. Z 3-ma jego towarzyszami wymieniliśmy normalnie nazwiska z podaniem rąk*[18].

Umiastowski stara się wybronić przed Cerizay. To według niego zamurowanie żywcem w grobie za winy niepopełnione.

Wie jednak i zapisuje w dzienniku, co myśli o nim generał Sikorski.

Przekazał mu to komendant stacji oficerskiej w Parthenay, w której na razie przebywa: *Ma pan u siebie ppłk. Umiastowskiego. W Warszawie kazał wszystkim zdolnym do noszenia broni wyjeżdżać na prawy brzeg Wisły. Zachęcał do walki do ostatniej kropli krwi, a sam pierwszy uciekł. Kraj żąda jego głowy*.

Umiastowski próbuje prosić o wstawiennictwo *poczciwego generała Jatelnickiego*, który jest z Sikorskim w dobrych kontaktach. Generał pełnił funkcję komendanta Wielkopolskiej Szkoły Podchorążych Piechoty w Poznaniu, w której Umiastowski był wykładowcą. Wnosił o jego kolejne awanse – na kapitana i majora.

Ma interweniować, sądzi, że prostą drogą do celu nie dojdę, a przez ludzi da się czegoś dokonać. Zobaczymy. Może, może – pociesza się Umiastowski. Idzie do Modelskiego, z którym jest na „ty". Mówi, że chce walczyć jako szeregowiec. Modelski kluczy, że nie może decydować bez naczelnego wodza. Umiastowski płacze. *Jeden syn w niewoli, drugi pod Niemcem i z całej rodziny nikt nawet nie walczy. Wstydzić się będziemy musieli*.

Ponoć wojewoda Grażyński jest skierowany również do Cerizay. Najdzielniejszy z wojewodów polskich. Jest okropne to zaślepienie, które jeszcze w dzisiejszym czasie dzielić chce Polaków na winnych i niewinnych. (…) *Mówią, że „Regina"*[19] *ma już dwa wagony donosów, że tonie w nich. Poruszone są najgorsze instynkta. Muł, błoto i dno do góry.*

Dziesiątego maja 1940 roku Niemcy przekraczają granicę holenderską i belgijską. Trzy dni później, kiedy we Francji ziemia już drży, Stanisław Stroński, wicepremier i minister informacji w rządzie Sikorskiego, jeden z filarów Frontu Morges, wysyła z Paryża do ambasadora RP w Londynie tajny telefonogram. Ton ostry, czuje się zdenerwowanie.

Wczoraj, 12-go b.m. wieczorem nadano w radio brytyjskim po polsku i dla Polski bardzo dobitne wysławianie ś.p. Piłsudskiego, z powodu rocznicy śmierci, a dzisiaj rano ponownie to zrobiono. (…) *Rząd P.P. w pełni świadom jest całkowitej odpowiedzialności Piłsudskiego za wszystko co się stało od maja 1926. Piłsudski usunął naród od wpływu na bieg spraw, zrzucił wszelki nadzór rzeczywisty nad rządami, obsadził urzędy osobami niedorastającymi pod żadnym względem do zadań, usadowił je jak Rydza i Becka, także na okres po swej śmierci. Piłsudski wyparł z kraju Paderewskiego, odsunął ś.p.*

Dmowskiego, zgotował ciężki los ś.p. Korfantemu, usunął z wojska jen. Sikorskiego (…)

Zatem proszę o najdokładniejsze wskazanie, kto jest bezpośrednio i pośrednio odpowiedzialny za to nadużycie radja dla kraju, oraz o przeprowadzenie następstw wobec odpowiedzialnych. (…) *Na zakończenie zapytuję: kto jeszcze nie rozumie, że nie na to słuchają w kraju radja z narażeniem się na karę śmierci, by słuchać wysławiań Piłsudskiego*[20]*.*

Gdyby odpowiedzialni za nadużycie byli we Francji, wysłano by ich pewnie od razu do tutejszej „Berezy".

Według prałata Zygmunta Kaczyńskiego, działacza Chrześcijańskiej Demokracji, posła na sejm w latach dwudziestych, ci, którzy wysławiają Piłsudskiego, stoją prawdopodobnie w jednym szeregu z defetystami. Ksiądz ostrzega przed tym naczelnego wodza. Pisze, że urzędnicy polscy w Angers wysiadują w kawiarniach, plotkują i rozsiewają pesymistyczne wieści, gorsząc tym Francuzów. *Uważam, że jest najwyższy czas wziąć za mordę panikarzy i zrobić z nimi porządek*. Prałat zapewnia generała, że nie brak mu energii ani odwagi cywilnej, by dopomóc w tym ciężkim zadaniu, ma zimną krew, nie boi się i wysoko stawia honor, *więcej na pewno niż życie*.

Generał Sikorski przyjmuje tę propozycję. Wyznacza księdza Kaczyńskiego do tłumienia wszelkich objawów panikarstwa i defetyzmu wśród Polaków, daje mu prawo zawieszania każdego urzędnika siejącego zamęt – do dyrektora departamentu włącznie. Takie osoby będą kierowane do specjalnych miejsc odosobnienia[21].

Jeszcze pierwszego czerwca, gdy Cerizay powinno być gotowe do ewakuacji, pułkownik Alf-Tarczyński podejmuje walkę o swój honor. Wojskowy Trybunał Orzekający, jedno z wielu ciał weryfikujących oficerów, uwolnił go wprawdzie od zarzutów o tchórzostwo i interes prywatny podczas kampanii wrześniowej, ale oczyszczony podsądny ciągle musi tkwić w emigracyjnej „Berezie". Pisze więc do ministra spraw wojskowych generała Sikorskiego:

umieszczono mnie w obozie w Cerizay, obozie mającym wszelkie cechy obozu karnego, obozie, który w instrukcji francuskiej nazywa się „obozem dla wykluczonych z kadr wojska polskiego", obozie, do którego przysyłano oficerów za przestępstwa pospolite, do którego przydział jest jednoznaczny

z dyskwalifikacją – ta najboleśniejsza krzywda została spotęgowana do ostatecznej wytrzymałości ludzkich sił.

Uwolnienie od rzekomych win nie ma przecież żadnej wartości, skoro uwolniony ciągle tkwi w „Berezie".

Będę bowiem wlókł za sobą do śmierci koszmar, że stałem pod zarzutem tchórzostwa. Syn mój, porucznik marynarki wojennej, członek bohaterskiej załogi obrony Helu będzie się musiał dowiedzieć, że jego ojciec stał pod zarzutem tchórzostwa. Żona moja, podoficer jeszcze z Drużyn Strzeleckich, odznaczona Krzyżem Niepodległości, będzie musiała dowiedzieć się, że jej mąż miał sprawę o tchórzostwo[22].

Bereza-Cerizay upadła wraz z Francją.

Powstała w listopadzie 1939 roku, kiedy generał Sikorski niezłomnie wierzył we Francję, a wierzył długo, bo jeszcze ostatniego dnia maja 1940 roku przemawiał do Polaków w kraju: *Marszałek Petain wraz z dobrze wam znanym z krytycznych dni sierpniowych 1920 roku generałem Weygandem symbolizują nie tylko wielkość narodu francuskiego, ale i jednolitość w prowadzeniu wojny*[23].

Przestała istnieć w czerwcu 1940 roku, gdy *nastąpiło niesłychane w dziejach nieoczekiwane przez nikogo zapadnięcie się chwilowe Francji*[24]. Te słowa, które generał Sikorski wypowiada już w Anglii na posiedzeniu Rady Narodowej[25], świadczą o tym, że jego wiara we Francję jeszcze nie wygasła.

Tadeusz Alf-Tarczyński

Centralna Biblioteka Wojskowa

Bankowiec Henryk Gruber, dawny legionista, czeka w Angers na rozwój wydarzeń. Jada obiady w małej robotniczej stołówce. Dosiada się młody

robotnik z Rouen. Gdy radio nadaje komunikat o kapitulacji Francji, płacze. *Płakał serdecznie na oczach wszystkich i w roztargnieniu krajał mięso na talerzu scyzorykiem, choć obok talerza leżał nóż*[26].

Do granicy

Następuje chaos ucieczki polskiego wojska i polskich cywili, którzy niedawno z tak wielkim trudem dotarli do Francji. Teraz ratunek jest w Anglii!

Podporucznik Grycko zapisuje:

pozostawieni przez komendę obozu w Cerizay własnemu losowi – wyszliśmy z 2-ma kolegami w nocy o godzinie drugiej na główną szosę prowadzącą na Zachód z zamiarem dotarcia do najbliższego portu La Rochelle w zatoce biskajskiej. (…) *Płatnik obozu zwiał z kasą przed nami i nie wypłacił żadnemu z nas, ani innym należnych 500 fr. Nikt go już więcej z nas w Anglii nie zobaczył. Spaliśmy w trójkę po przydrożnych rowach i krzakach szosy. Za parę fr. kupowaliśmy mleko i chleb od wieśniaków. Dziennie robiliśmy około 30–40 km. La Rochelle było odległe o przeszło 200 km. Po drodze przyłączali się do nas pojedynczy żołnierze, gdyż widząc 3 wędrujących oficerów spodziewali się jakichś informacji o sytuacji. Ci nas żywili – płacili za nas drobne franki za chleb i mleko i tak gromadą 3 oficerów nas i 28 szeregowców dotarliśmy 29 VI 40 do portu La Rochelle.*

Tam, w koszarach marynarki wojennej, dostają żywność i zapewnienie, że angielskie statki zabiorą Polaków.

Obrazki, które po drodze mej wędrówki do portu widziałem, będę z obrzydzeniem wspominał (jak każdy zresztą z nas) całe życie. Te grupki poszczególnych żołnierzy francuskich wieszających swoje karabiny i karabiny maszynowe na przydrożnych drzewach, pozostawiających wszystko za sobą, walizki, węzełki itp. Prócz „bidonu" (3 litr. manierka z winem), pijanych winem, śpiewem swojej Marsylianki i radością jak po wygranej bitwie – to napawało nas takim bezgranicznym wstrętem[27].

Roman Umiastowski waha się, czy wyruszać z Cerizay na własną rękę, ale

Niemcy zbliżają się już do Loary. Zakopuje swój dziennik i notatki z Francji w ogródku pani Loiseau, pod klatką z królikami. Wychodzi wieczorem z plecakiem w niewielkiej grupie wyższych rangą oficerów. Pułkownik Wyżeł-Ścieżyński[28], okaleczony w Legionach, ma niewygodny worek brezentowy, potrzebuje pomocy. Śpią na trawnikach, francuska ciężarówka zabiera ich niechętnie do La Rochelle, ale ani tam, ani w kilku następnych portach nie ma już mowy o załadunku. Po paru dniach wędrówki docierają do portu Le Verdon, gdzie stoi kilkadziesiąt statków francuskich, lecz żaden nie służy do ewakuacji Polaków. Wreszcie odpływają angielskim transportowcem, który ostrzeliwuje się przed bombowcami. Każdy strzał z dział przeciwlotniczych na rufie kołysze tłumem. Umiastowski widzi, jak pani Ścieżyńska przewraca się z dzieckiem na deski pokładu. *Żegnaj Francjo! Ziemio gościnna przed miesiącami, a teraz na poły nasycona zdradą, dotknięta straszliwą zarazą bez woli*.

Tadeusz Münnich czeka na rozkazy w ośrodku wyszkolenia oficerów w Vichy. To rodzaj przechowalni dla starszych oficerów, głównie piłsudczyków, ale nie ma charakteru politycznej odstawki, jak Cerizay.

W maju, tuż przed atakiem Niemiec na Francję, przyjechali do niego żona i syn. Przedostali się do Francji z żoną polskiego *attaché* wojskowego w Paryżu.

Przez cały czas działań wojennych ośrodek w Vichy nie otrzymuje żadnych instrukcji. Tak jakby dowódcy Wojska Polskiego nie przewidywali złego obrotu wypadków.

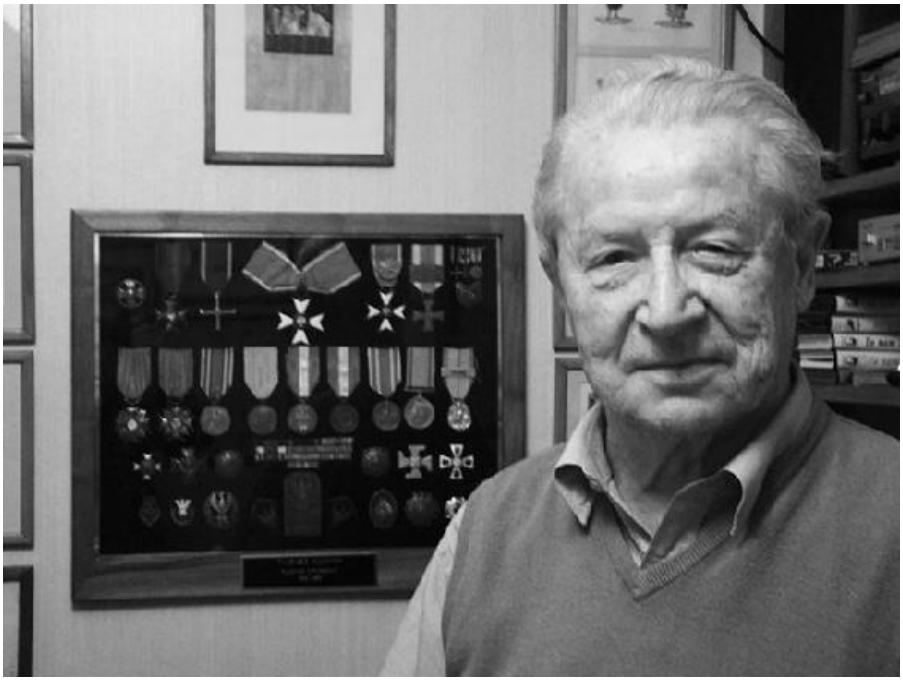

Krzysztof Münnich w londyńskim mieszkaniu. Pamięta ucieczkę do Anglii na pokładzie węglowca Baron Nairn

Małgorzata Szejnert i Piotr Pietrzak

Münnichowie mają nadzwyczajne szczęście. W dzień po kapitulacji Francji przez miasto przejeżdżają oddziały generała Maczka. Zabierają Polaków. Kolumna zmierza do niewielkiego portu w Zatoce Biskajskiej. Niemcy już zajmują wybrzeże, ale uciekinierzy, stłoczeni w łodziach rybackich, dobijają do węglowca Baron Nairn. To ostatni statek ewakuacyjny z Francji do Plymouth.

Krzysztof Münnich, syn Tadeusza, miał wtedy szesnaście lat. Odwiedziłam go w Polsce, bo często tu bywa, i w Londynie, gdzie stale mieszka. Odebrał mnie samochodem ze stacji metra. Ciągle sam prowadzi.

Pamięta drogę ciężarówkami i szukanie portu, bo kolejne zajmowali Niemcy, jazdę dzień i noc, lęk, że on i matka rozłączą się z ojcem, bo cywili załadowano osobno, a wojskowych osobno, pamięta, że ciężarówka z ojcem wpadła do rowu i ojciec musiał się przesiąść na jakiś pojazd gąsienicowy, że miasteczka po drodze były jak wymarłe.

Potem z kutrów rybackich wdrapywali się po drabinkach linowych na pokład Barona Nairn.

Przyciskał do boku jedyną sztukę bagażu – radio w torbie nieprzemakalnej.

Dwudziestego szóstego czerwca 1940 roku „The Evening Times” zamieścił zdjęcie pokładu Barona Nairn z tego właśnie rejsu. Przypomina archiwalne fotografie z Muzeum Emigracji na Ellis Island. Między olinowaniem – zbity tłum ludzki.

Zapytałam, czy kogoś rozpoznaje. Nie, a oglądał zdjęcie wiele razy.

– W Plymouth był już porządek. Dano nam tabliczki na sznurku. Swoją ciągle mam.

Chce jej szukać w szufladach, ale rezygnuje.

– Schowałem głęboko.

– Z nazwiskiem?

– Nie, z kierunkiem. Ojciec został skierowany do Szkocji. My z mamą dostaliśmy Londyn. Potem dołączyliśmy do ojca.

Jest jedynym już chyba Polakiem, który pamięta drogę na Bute.

THE EVENING TIMES, THURSDAY, JULY

bers Down In

Good-Bye to France

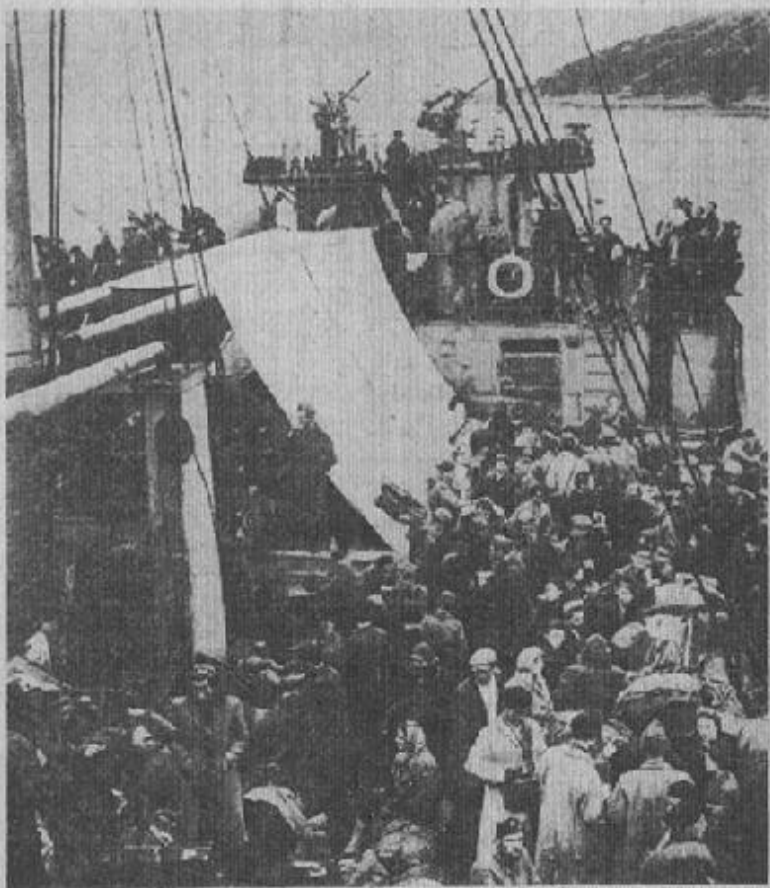

The cargo ship Baron Nairn, crowded with soldiers and refugees, photographed before sailing to Britain from St Jean-de-Luz.

reprodukcja za: *Marek Gałęzowski, Pułkownik „Żegota". Życie i pisma pułkownika dypl. Tadeusza Münnicha*, Warszawa 2009.

Generał brygady Stanisław Rouppert, chirurg, do którego Piłsudski mówił Stachurku, na pewno nie miał trudności z wizą francuską, nawet bez poręczenia naczelnego wodza. W przeszłości odbywał staże we francuskich szkołach lekarskich i ma tu dobre kontakty. Ceni tutejszych autorów wojskowych. Teraz patrzy na chaos ucieczki z Francji, który przypomina mu gorsze obrazy z Polski, i myśli być może o szczególnym zjawisku psychologicznym – panice wojennej. Kilkanaście lat temu poświęcił jej obszerny szkic pełen przykładów. Powołał się na dzieła pułkownika Vauvillierse'a, który pomiędzy rokiem 1792 a 1815 naliczył trzysta wielkich panik na polach bitwy (między innymi pod Waterloo), oraz wielkiego wojownika księcia de Ligne, który doszedł do wniosku, że *ze wszystkich zwierząt człowiek jest najtrwożliwszym. Już przed rozpoczęciem bitwy połowa żołnierzy umiera ze strachu, a pozostała połowa ani nie zachowuje zimnej krwi, ani też na to nie wygląda*. Generał Rouppert zgadza się z księciem:

Istnienie tego strachu u każdego żołnierza jest faktem niezaprzeczalnym, gdyż bitwy w przeciwnym razie kończyłyby się dopiero po wymordowaniu zupełnem jednej ze stron walczących, tymczasem w bitwie zawsze jedna strona krócej wytrzymuje napór swego strachu i wycofuje się z bitwy czy to w formie prawidłowego odwrotu, czy też w postaci mniej lub więcej bezładnej ucieczki.

Jak zapobiec panice wojennej? Na przykład przemienić strach w gniew, jak Zagłoba uciekający przez Bohunem, najpierw przerażony, a potem wściekły. Ale przede wszystkim organizacja, dyscyplina, podporządkowanie. Na koniec szkicu Rouppert przytacza więc słowa jednego z wodzów napoleońskich: *Potęgo moralna, ty jesteś królową armij!*[29].

Gdzieś tam także na francuskich drogach błąka się brat mojej mamy plutonowy Stanisław Biernacki, który miał przejąć firmę po dziadku. Zmobilizowany we wrześniu, ciężko przeżył klęskę. Wrócił do domu, ale tylko po to, żeby się pożegnać i zapakować prowiant na drogę. Zostawił żonę i dwuletnią córkę i wyruszył do Francji nie oficerskim szlakiem zaleszczyckim, lecz na własną rękę, przez Słowację, Węgry, Jugosławię i Włochy. W styczniu wcielają go do 1. Dywizji Grenadierów; bierze udział w jej ciężkich walkach na Linii Maginota. Po rozbiciu dywizji usiłuje przebić się do Francji nieokupowanej. Łapią go Niemcy. Idzie do stalagu.

Las

Przez dolny otwór namiotu, służący za wejście, przez który wślizgujemy się w nasze barłogi – patrzę w mroczną toń sosnowego lasu. Widzę tylko pnie starych drzew i słyszę szum deszczu. Z ogniska, które dogorywa, snują się wąskie pasemka dymu, ale w namiocie jest zimno dojmujące. Po brezentowych płachtach wygrywają werbel krople lecącego dżdżu, coraz wolniej, to znów nachalniej, wiatr podnosi ściany namiotu, chyboce płomykiem świecy, rozjaśniającym nasze żałosne wnętrze.

Tak lwowiak Stefan Mękarski, podporucznik rezerwy, ale raczej cywil, rozpoczyna opis jednego z polskich obozów żołnierskich w Szkocji. Zbudowano go w lesie w Hopendone pod Douglas-Castle, w hrabstwie Lanarkshire.

Z około osiemdziesięciu tysięcy polskich żołnierzy i oficerów przedostaje się z Francji do Wielkiej Brytanii niewiele ponad dwadzieścia trzy tysiące. Reszta, prawie trzy czwarte stanu, to straty w kampanii francuskiej – ranni, zabici, internowani, wzięci do niewoli, rozproszeni, zaginieni. Obarcza się tym Sikorskiego. Winią go nie tylko piłsudczycy, ale i żołnierze, których polityka nie interesuje, którzy chcą walczyć i przeżyć. Zarzucają mu, że tak jak sanatorzy nie przygotowali Polski do wojny z Niemcami, tak on nie przygotował Polaków do ewakuacji z coraz bardziej zagrożonych obszarów. Że ma na sumieniu całkowite rozbicie Samodzielnej Brygady Strzelców Podhalańskich wracającej z Norwegii. Zamiast skierować ją do któregoś z portów angielskich, dopuścił do jej lądowania w Bretanii, prosto pod ogień niemiecki. Sikorski potępia Rydza za ucieczkę z Polski, a sam porzucił swoje wojsko we Francji, kiedy przestała być sojusznikiem. Wierni Śmigłemu tłumaczą, że wyszedł z Polski, by móc o nią walczyć, wierni Sikorskiemu, że musiał opuścić armię, by przygotować jej pobyt w Wielkiej Brytanii. Lecz żadna strona nie chce słuchać drugiej. Domniemanie niewinności i dobrej woli nie wchodzi w grę. Jest wielkie zapotrzebowanie na cudzą winę – tchórzostwo, krótkowzroczność, pychę, partactwo.

Mękarski mieszka w namiocie pułkownika Jana Ciastonia, szefa sześćdziesięcioosobowej podgrupy. Jest w niej pułkownik Münnich i były premier Zyndram-Kościałkowski.

Rano trzepiemy koce, wynosimy je do lasu, o ile nie pada deszcz czyścimy ubrania, golimy się i myjemy odrobiną wody, po którą chodzimy prawie kilometr drogi do Douglas. Nie mamy naczynia odpowiedniego na wodę, więc przynosić ją musimy w menażkach, manierkach i czajnikach. Obawiamy się wszy. Jedzenie jest dziwnie marne, źle przyrządzane. Łój w zupie i mięsie cuchnie obrzydliwie – zapisuje Mękarski.

Kazimierz Schally jednak doskonale znosi tę sytuację. To jedyny generał, który mieszka w namiocie. Inni, wśród nich Rouppert i Jatelnicki, korzystają z gościny lorda Douglasa, który oddał im pokoje w swoim zameczku. Mękarski podziwia gospodarność Schally'ego i jego współmieszkańca, zbudowali po harcersku stolik i ławki, przytwierdzili do drzewa półeczkę, rozmieścili na niej przybory do golenia, rozpalili ognisko i parzą herbatę.

Stefan Mękarski

reprodukcja za: *Stefan Mękarski, Zapiski z Rothesay 1940–1942, oprac. Arkadiusz Adamczyk*, Londyn–Piotrkow Trybunalski 2003

Izydor Modelski ma o gospodarności generała całkiem inne zdanie: oskarżył go, że *jako były Szef Gabinetu Państwowego b. prezydenta R.P. I. Mościckiego bezprawnie i z pobudek czysto osobistych rozporządził mieniem państwowym*[30]. Darował prefektowi policji w Czerniowcach dwa samochody należące do Kolumny Zamkowej, dwa inne pozostawił w klasztorze

prawosławnym w Czerniowcach, trzeci sprzedał za sto dwadzieścia tysięcy lei, wprawdzie za zgodą byłego prezydenta Mościckiego, ale samowolnie wydatkował tę sumę.

Wyjaśnienia Schally'ego, który przeprowadził przez granicę część skarbów zamkowych, wykaz wydatków, dowód, że zwrócił pozostałe pieniądze, nie umniejszają jego win. Izydor Modelski nie ma wątpliwości, że Schally dopuścił się *rażącego naruszenia swych obowiązków jako oficera i wystawił tym samym ujemne świadectwo swemu poczuciu moralnemu*[31].

Cały las Hopendone dymi ogniskami; nastrój szekspirowski.

Kazimierz Schally

Narodowe Archiwum Cyfrowe

Obóz odwiedza generał Marian Kukiel. Przyjechał dokonać inspekcji. *Był jakiś nieśmiały i niepewny. Mówił głosem cichym. Zapewniał, że imię polskie nabrało nowego blasku w świecie, zwłaszcza anglosaskim. Zapewniał dojście do skutku umowy (konwencji) z Anglią, regulującej utworzenie formacji*

polskich. Przyznał, że warunki, w jakich znajdujemy się w lesie są trochę „campingowe”. Zachęcał do wytrwania i wiary w zwycięstwo.

Stanisław Rouppert

Narodowe Archiwum Cyfrowe

Mękarski notuje to między pierwszym a dwunastym lipca. Być może

nieśmiały i niepewny generał Kukiel, chodząc pomiędzy namiotami w lesie Hopendone, układał w głowie niewesołe pismo dotyczące nadmiaru oficerów wojsk lądowych w Szkocji. Wysłał je wodzowi naczelnemu osiemnastego lipca. Nadmiar – pisał Kukiel – wynosi cztery tysiące sześciuset oficerów. Tysiąc trzystu znajdzie miejsce w formowanym obecnie korpusie, w różnych zakładach, ośrodkach uzupełnień i szkoleniu, we władzach i w urzędach centralnych. Dwóch tysięcy pięciuset – wyliczał dalej – można by użyć następująco: pięciuset przekazać do dyspozycji Wielkiej Brytanii, tysiąc wystawić jako kadrę dla dwóch–trzech brygad dla Ameryki, z tysiąca utworzyć ochotniczą legię oficerską, która zgodnie z propozycją Anglików ochraniałaby pociągi pancerne i w specjalnie sformowanych szwadronach konnych pilnowała bezdroży.

Policzywszy to wszystko – ośmiuset oficerów pozostaje poza przydziałem. Kilkuset można wyeliminować poprzez przeglądy lekarskie, likwidację etatów oraz *dyskwalifikację ludzi szkodliwych i tych, którzy obowiązkom uchybili*.

Kukiel kończy słowami: *Rozwiązanie tych zagadnień uważam za bardzo pilne ze względu na zrozumiałe przygnębienie wśród masy oficerów bezczynnych i w nędzy*[32].

W drugiej połowie lipca około sześciuset oficerów bez przydziału przenosi się do Broughton, czterdzieści kilometrów od Douglas. Znowu czekają na nich mokre namioty, ale Mękarski odnotowuje, nie bez ironii, olbrzymi awans – dostają sienniki i po kostce słomy. Elita obozu, generałowie, nie korzysta już jednak z wygodnych pokoi. Rouppert, Dąb-Biernacki, Schally, Kwaśniewski i Masny mieszkają we wspólnym namiocie. *Stoją w długich ogonach po zupę i kawę. Schally stał dziś przeszło godzinę w ogonku*.

Pod koroną ogromnej lipy odbywa się msza. Oficerowie śpiewają: *wygnańcy Ewy, do Ciebie wołamy*…

Bezlitosny podporucznik Mękarski widzi:

Tragiczne, śmieszne widma przedwrześniowej Polski włóczą się po obozie w Broughton – generałowie z wiadrami i menażkami, ludzie, którzy wczoraj murem wyniosłej niedostępności od szarego człowieka odgrodzeni, posiadali najwyższą sumę osobistej przyjemności życiowej, komfort, pieniądze, szaty wytworne, kochanki i po kilka żon. A ksiądz cytował wczoraj werset

z ewangelii: „Kto był wywyższon, poniżon będzie”. (…) *Generał [Dąb-Biernacki] był wszechmocny. Dziś, Cerizayczyk żałosny, po Berezie francuskiej, z której słał groźne memoriały do nie mniej żałosnego prezydenta Lebrun’a, oskarżając Sikorskiego, że jego kawalera Legii francuskiej, więzi i poniża – dziś ten groźny bonza pęta się po pastwisku obozowym w brudnej piżamie* (…) *a potem rezygnacyjnie śpieszy do rzeczki, aby wyczyścić talerz cynowy z komiśnej zupy, rwie trawę i „na glanc” klaruje brudną łyżkę.*

Bezceremonialny Grycko, jako cerizayczyk skierowany do Broughton, uzupełnia ten obraz po swojemu:

ciche szeptem rozmowy nocne Polaków przeciągały się w nieskończoność – przerywane często hukiem motorów niem. przelatujących na b. dużej wysokości i odległości od obozu, gdy lecieli na duże cele wojskowe jak miasta, skupiska i porty. Wtedy figurki naszych „leśnych dziadków”[33] *w kalesonach wymykających się z namiotów w krzaczki i wzgórki szkockie – wywoływały salwy śmiechu pod namiotami i gorzkie uwagi, czy przypadkiem pan płk. nie zapomniał papieru do dupy – ze strachu??*[34].

Obóz stopniowo się zagospodarowuje, zbudowano łaźnię, komisje lekarskie badają oficerów. Umiastowski pisze, że Dąb-Biernacki nie pozwolił się oglądać. Powiedział lekarzom, że nie mają go po co badać, bo i tak nie chce służyć w armii Sikorskiego. *Wobec dotychczasowego stanowiska wrogiego z obu stron była to niepotrzebna demonstracja, bo i tak by go Sikorski nie przyjął* – stwierdza Umiastowski.

Pan, panie premierze…

Trzynastego lipca „cerizayczyk żałosny” Stefan Dąb-Biernacki pisze długi list do generała Sikorskiego:

Niniejszym zwracam się o zwolnienie mnie z Wojska Polskiego tworzącego się obecnie na ziemi Angielskiej i nakazanie wydania mi odpowiednich dokumentów cywilnych. Do „Nowej” Armii Polskiej we Francji nie byłem przyjęty żadnym rozkazem, ani również zweryfikowany, nawet nie dostałem legitymacji wojskowej, a więc w rzeczywistości jestem poza tą Armią Polską.

(…) *Pan, Panie Premierze, otrzymał władzę tak pewną, taką dyktaturę jakiej nie miał żaden Naczelny Wódz Polski w naszej historii.* (…)

W dążeniu swym do nieograniczonej władzy posunął się Pan tak daleko, że nawet osiągnął Pan, Panie Premierze, ograniczenie funkcyj Pana Prezydenta, co było wbrew obowiązującej Konstytucji, na zasadzie której Pan jednak jest tym Premierem, Ministrem i Wodzem Naczelnym. (…)

Lecz władzę, którą Pan, Panie Premierze, otrzymał, zużył Pan nie na pozytywną budowę Armii Polskiej i obronę interesów Państwa Polskiego, lecz na walkę osobistą, na niszczenie całego dorobku Państwa, Armii, społeczeństwa, osiągniętego przed wojną i w czasie wojny, poszedł Pan, Panie Premierze, w pełni po linii negacji i odrzucenia absolutnie wszystkiego, co tylko było zrobione przed Panem. (…)

Na tym miejscu podkreślam jedynie, że zupełnie niepotrzebnie usiłuje Pan, Panie Premierze, usprawiedliwić niektóre swoje pociągnięcia powołaniem się na jakieś tajemnicze spiski czy konspiracje, skierowane rzekomo przeciwko Panu. Stwierdzam kategorycznie, że Pan Marszałek – Śmigły-Rydz jeszcze przed swoją wymuszoną dymisją jak najsurowiej zabronił jakiejkolwiek bądź akcji indywidualnej czy organizacyjnej, która z jednej strony hamowałaby Pana czynności, a z drugiej zmniejszałaby Pańską, Panie Premierze, za te czynności, odpowiedzialność. Nikt z odpowiedzialnych osób nie prowadził przeciw Panu, Panie Premierze, żadnej agitacji czy propagandy i jeżeli mimo to przeciwko Panu, Panie Premierze, i Pańskiemu otoczeniu rośnie niezadowolenie, przypisać Pan to może wyłącznie swojej zasłudze i wprowadzonych przez Pana, Panie Premierze, metod[35].

Odbitki listu przechodzą z rąk do rąk. Budzą dyskusje w kwaterach i niepokój w Rubensie. Generał Sikorski wydaje rozkazy. Przywołuje wojsko do porządku (*zabraniam żołnierzom zajmowania się zagadnieniami politycznymi*) i stara się rozładować napięcie, apelując do *braterskich uczuć* towarzyszy broni[36].

Półtora miesiąca po wysłaniu listu Dąb-Biernacki zostaje aresztowany, a w październiku sąd polowy w Londynie skazuje go na dwa i pół roku więzienia i wykluczenie z korpusu oficerskiego za podawanie do wiadomości publicznej oszczerczych wiadomości o naczelnym wodzu, co łamie podstawowe zasady dyscypliny wojskowej.

W ten sposób nielubiany raczej generał zyskał popularność. Rothesayanie (między innymi generałowie Kwaśniewski i Rouppert) obdarowali go honorową godnością Marszałka Jeńców Polskich w Wielkiej Brytanii[37].

Byleby iść w nogę

Do Broughton przyjeżdżają ofiarni angielscy nauczyciele, jedzą obozową zupę na łoju i udzielają lekcji języka. Niektórzy się gorszą: dlaczego ci oficerowie dostają żołd, a nie walczą? Dobre pytanie. Spośród krążących w obozie plotek i pogłosek – że lada chwila Niemcy dokonają inwazji na Anglię, że Sikorski nie uratuje swej teki premiera, że wszyscy dygnitarze rządu polskiego skupieni w londyńskim Rubensie zaopatrzyli się w wizy amerykańskie, że Anglicy pewnie mają już dosyć bezczynnego oficerstwa polskiego, niech spokojnie zgnije w namiotach – wybija się jedna, o wyspie Bute. Już nie o etapie, lecz miejscu zesłania – nowej polskiej żołnierskiej Syberii. Mękarski nazywa Bute „małpią wyspą" i robi to z taką swobodą, jakby to przezwisko było już populare. Wygląda na to, że wersja „Wyspa Węży", ostrzejsza, jadowita, narodzi się później, na miejscu.

Hotel Rubens dzisiaj

Umiastowski uczy się pierwszej angielskiej piosenki: *My Bonnie…* Ma tę zaletę, że mało w niej słów, a dużo śpiewania.

Szóstego sierpnia mija dwudziesta szósta rocznica wymarszu Pierwszej Kompanii Kadrowej z krakowskich Oleandrów. Wyszła o świcie w stronę Miechowa. Prowadził, wyznaczony przez Piłsudskiego, dwudziestotrzyletni Tadeusz Kasprzycki „Zbigniew", ten, któremu generał Sikorski jesienią ubiegłego roku radził pozostać w Rumunii, bo ojczyzna nie chce jego usług. W Michałowicach obalili słupy graniczne. Pamięta to na pewno dwudziestosiedmioletni wtedy generał Rouppert, bo z nimi szedł.

Śpiewali:

Chociaż do Warszawy długą mamy drogę
Ale przecież dojdziem, byleby iść w nogę…

Towarzyszył im rumor zamykanych okiennic. Ludzie z mijanych miasteczek nie byli gotowi do walki ani na jej wsparcie.

Zanim wyruszyli, Piłsudski przemówił do nich, że znosi wszelkie odznaki poszczególnych grup. Rozkazał, by zamienili je między sobą jako symbol zgody i braterstwa. *Niech strzelcy przypną do czapek blachy drużyniaków, a oddadzą im swoje orzełki. Wkrótce może pójdziecie na pola bitew, gdzie, mam nadzieję, zniknie najlżejszy nawet cień różnicy między wami*[38].

Mękarski pamięta rocznicę i zapisuje, że żaden z piłsudczyków w Broughton nie pomyślał o święceniu tej daty, tak kiedyś ważnej.

Już, od kiedy, nie idą w nogę?

Szesnastego sierpnia odbywa się eksportacja z Broughton do Londynu ciała pułkownika Jana Mintowta-Czyża. Przed wojną był szefem Wydziału Technicznego Departamentu Zdrowia w Ministerstwie Spraw Wojskowych, mówią, że dobry znajomy generała Roupperta. W Broughton – szef sanitarny obozu. Usłyszał, że jest na liście oficerów, którzy niedługo zostaną odprawieni do Rothesay na wyspie Bute. Strzelił sobie w głowę. Podobno miał w Anglii żonę i trzech synów, jednego w niewoli. Zostawił im list, że musi uszanować godność munduru.

Może słyszał o wojewodzie Alfredzie Biłyku i jego liście pożegnalnym napisanym na Węgrzech, a skierowanym „Do całej Polski i wszystkich

Polaków”:

Mówiłem: „aby Polska żyła, muszą ginąć jej synowie”.

Mówiłem: „będziemy ginęli my i dzieci nasze” – będzie żyła Polska.

Mówiłem: „będziemy przechodzić rzeczy straszne, ale zwycięstwo będzie nasze”.

Nie mogłem walczyć we Lwowie, gdyż zgodnie z wytycznymi Szefa Rządu opuściłem go w warunkach, które mogą słowa moje postawić w pozornej sprzeczności z tym czynem.

W ten sposób znalazłem się na emigracji.

Dalsze moje życie zdaje się nie przedstawiać wartości dla Polski.

Być internowanym do końca życia nie chcę.

Chcę ocalić honor.

(…).

Munkacz 19.9.1939

Alfred Biłyk

Wojewoda Lwowski.

Proszę, aby te moje słowa były rozgłoszone, aby nietkniętym został mój honor. Przede wszystkim niech otrzyma tę wiadomość Wódz Naczelny Śmigły Rydz, Generał Składkowski i moje miasto Lwów[39].

Gdyby te słowa wojewody Biłyka zostały rozgłoszone, o jego losie wiedziałby na pewno lwowiak Stefan Mękarski, łowiący wszelkie informacje o swoim mieście i zapisujący je w rothesayańskim dzienniku. Lecz Mękarski nie wie nawet o żonie i córce – czy żyją, czy są we Lwowie czy w Polsce, czy dokądś wywiezione? Gdzie i jak ich szukać? Może się ukrywają, zmieniły nazwisko? Czasem z Polski, Węgier, Rumunii przemknie się ktoś z wiadomościami o czyichś bliskich, o czyimś domu – czy zbombardowany, zarekwirowany, ale nawet wtedy nie wiadomo, czy można im ufać w ogólnym chaosie.

Umiastowski jednak znał list wojewody lwowskiego, bo wspomina o nim w swoich zapiskach z Broughton parę tygodni przed samobójczą śmiercią pułkownika Czyża. Umiastowski żałuje Czyża, ale ocenia, że zawiodły go nerwy, popchnęła ambicja, ale też sposób odwołania pułkownika doktora ze służby czynnej mógł być przyzwoitszy, bardziej żołnierski. Grupka oficerów chce pożegnać kolegę, lecz zwłoki już wieczorem wywieziono z Broughton.

Kto pojedzie do Rothesay? Oficerowie układają swoje własne listy, jakby

typowali konie na wyścigach. Przypuszczenia na ogół są trafne, choć powody brzmią czasem plotkarsko. Jedzie kilku generałów: Dąb-Biernacki, Schally, Rouppert. Jedzie na pewno Niezbrzycki, podobno dlatego, że na zapytanie jakiejś komisji, kogo z bliskich zawiadomić w razie wypadku, odpowiedział bez zwłoki: pana marszałka Śmigłego-Rydza w Rumunii. Mękarski ocenia go: *dwójkarz zawołany i inteligentny.* Jedzie też wojewoda śląski Michał Grażyński. Trzynastego sierpnia notuje w dzienniku:

Otrzymałem zawiadomienie, że wraz z 9 oficerami odjadę do ośrodka nieprzydzielonych oficerów w Rothesay (…). *Jest to postawienie kropki nad i. Nie chcą mnie dopuścić do jakiejkolwiek pracy w wojsku. A przecież czuję w sobie iskrę bożą* (…). *Mógłbym naprawdę zrobić dużo* (…). *Nie mam już innej drogi jak szukać sobie na własną rękę jakiejś uczciwej pracy, aby w tych wściekle ciężkich czasach przynieść jakiś pożytek dla ojczyzny.*

Na peronie, przy którym czeka pociąg do Glasgow, grupa cerizaysko-rothesayańska odśpiewuje *Pierwszą Brygadę*, biorąc, jak ocenia Umiastowski, o ton za wysoko.

Podobno komendant obozu w Broughton generał Stefan Dembiński czekał zażenowany, ze spuszczonymi oczami, aż skończą tę demonstrację. Słyszał to od kogoś podporucznik Mękarski, który też się spodziewa „zesłania". Rozważa dlaczego. Nie jest oficerem ani politykiem odpowiedzialnym za klęskę wrześniową. Był kustoszem biblioteki Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, radnym tego miasta, publicystą (prawicowym), posłem Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem, taternikiem, tenisistą, brydżystą, teatromanem… Co przeskrobał? W jakim charakterze ma jechać na „małpią wyspę"? Jako „polityczny" czy jako „element" albo „kategoria", jak się tutaj mówi?

Niedługo dołączy do tej grupy pułkownik Alf-Tarczyński z obozu w Crawford. Nie doczekał się reakcji Sikorskiego na swoją skargę z pierwszego czerwca. Ubolewa w liście do generała Kukiela, jak może *tego rodzaju pismo najokrutniej skrzywdzonego wyższego oficera skierowane do przełożonego zostać bez słowa, jakiejś zwyczajnej, podyktowanej choćby odruchem serca odpowiedzi*[40].

Czerwiec 1940 roku we Francji to nie był już czas na takie luksusy.

Na początku 1940 roku, kiedy polscy oficerowie w willach Cerizay nie wiedzą jeszcze, co ich czeka latem i na jesieni, w pejzażu wyspy Bute zachodzą zmiany.

W lutym spada śnieg, jakiego nie pamiętają najstarsi „Synowie i Córy". W marznącej zaspie utonął po uszy tutejszy koń rasy Clydesdale. Odkopano go z trudem i wyciągnięto. Te piękne konie, rosłe i silne, w białych, wysokich po kolana pierzastych skarpetach, mają mocny wykop, potężną wagę, a ich siła jest niezwykle przydatna w szkockich paradach kawaleryjskich, kiedy to jeden rumak dźwiga kapelmistrza i dwa srebrne bębny po pięćdziesiąt sześć kilo każdy. Doceniono je też podczas pierwszej wojny światowej, kiedy ciągnęły armaty we Francji. Nic więc dziwnego, że bezradność zwierzęcia z farmy Meikle Kilchattan wobec nagłego kaprysu przyrody poruszyła nie tylko redakcję „Butemana", ale całą wyspę.

Droga z Rothesay do osady Kingarth (farma, cmentarz, gospoda, kuźnia) jest nieprzejezdna, więc żywność, lekarstwa i pocztę dostarcza się motorówką do zatoki Kilchattan, na południe wyspy, tam gdzie jest ona najwęższa. Inna zmiana przyrody jest trwalsza niż śnieg. Gile, którym mama Alexandra Macdonalda nadała imiona, spłoszyły się i przestały zaglądać do kuchni. W Port Bannatyne słychać szczęk żelaza. Przybyli żołnierze, kompanie ratownicze i remontowe; port jest teraz pogotowiem dla uszkodzonych okrętów.

W pejzażu nabrzeża dominuje wielka sylweta HMS Cyclops, który zakończyłby już służbę na morzu, gdyby nie potrzeba wojenna. Mówi się, że był *mothballed*, w naftalinie, że ciężkawo się rusza, a gdy wypływa, wydaje dźwięki podobne do skrzeku. Lecz teraz nikt z niego nie kpi. Jest okrętem bazą dla małych jednostek 7. Flotylli Okrętów Podwodnych Floty Królewskiej, które mnożą się w oczach i tak jak gile rodziny Macdonald otrzymują imiona odpowiadające być może ich szczególnym cechom: Nettle – Pokrzywa, Trusty – Wierna, Sceptre – Berło, Uproar – Wrzawa, Virulent – Zajadła, Volatile – Lotna, Unrivaled – Niezrównana, Vulpine – Przebiegła, Unruly – Niesforna, Alerto – Czujna, i tak dalej. Jest ich co najmniej trzydzieści.

Przed wojną turyści dopływający do Rothesay wypatrywali na pagórach

ponad zatoką znaków tego miejsca – czerwonych zamczysk akademii i hotelu Glenburn, kopuły Ogrodu Zimowego, szpiczastego daszku przystani zwieńczonego kogutkiem, a nawet niepozornego, lecz zdumiewającego przy bliższym poznaniu, sławnego budynku wiktoriańskich toalet. Dwadzieścia porcelanowych urynałów w ramach z zielonego marmuru, szklane cysterny podające wodę do lśniących mosiężnych rur, mozaikowa posadzka, matowe światło przez przeszklony dach – tę perłę w koronie sanitariatów publicznych na świecie postawiono pod koniec dziewiętnastego wieku pomiędzy przystanią a miastem. Rothesay dało solidny dowód troski o swych gości.

Teraz, w czasie wojny, goście pokazują sobie palcem Cyklopa.

Ciągle jest ich dużo. Większość przypływa nie po raz pierwszy, z zamiarem przecięcia wyspy w poprzek ulubioną trasą tramwajową, biegnącą przez łąki, wśród kwiatów polnych – do zatoki Ettrick, gdzie jest najpiękniejsza piaszczysta plaża, na dzieci czekają osiołki i lody w rożku i można wchodzić daleko w płytką, czystą wodę. Lecz czeka ich zawód. Nie ma już wesołego tramwaju, zdobnego w festony kwiatowe i chorągiewki. Tory zdemontowano; przemysł wojenny czeka na złom. (Lecz po co było zrywać tory i oddawać na przetopienie garnki i fajerki, skoro – jak wykrył po wojnie jeden z „Synów Bute” – pozostały zapomniane na składowisku?)

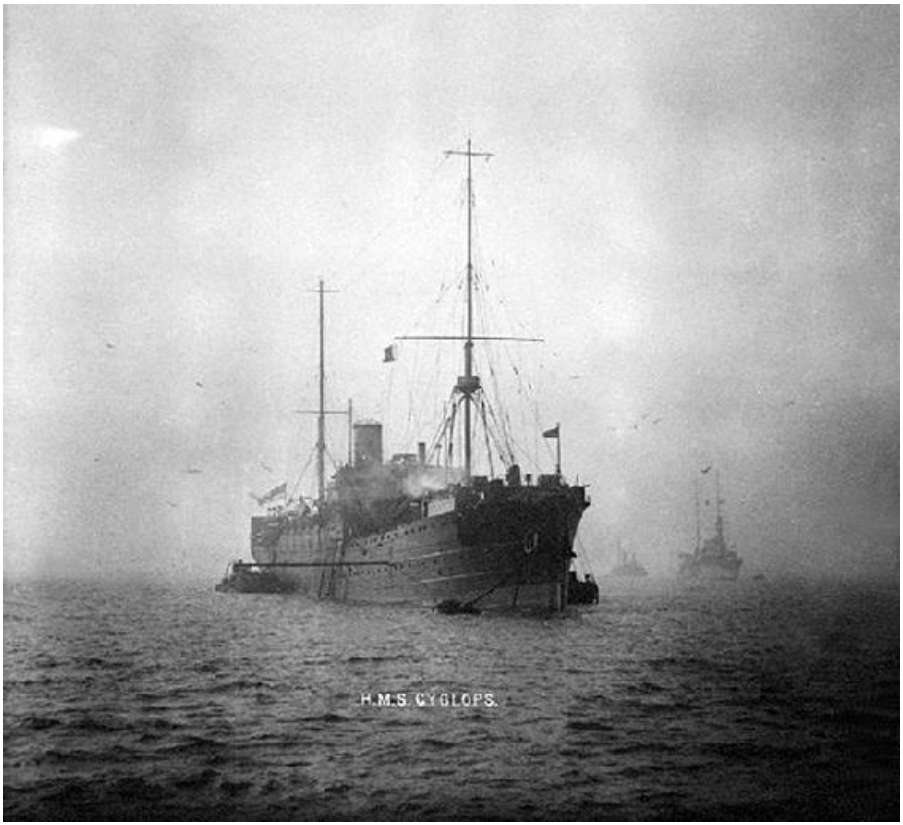

HMS Cyclops, okręt matka małych łodzi podwodnych

War Archive / Alamy Stock Photo

Zmiana pejzażu dotyczy też nieba. Patrzy się na nie inaczej. Trudno już spoglądać w górę po prostu, dla przyjemności albo dla oceny, czy będzie padać, jeśli ma się w kieszeni stronę „Butemana" z czarnymi sylwetkami samolotów niemieckich. Na przykład junkersa Ju 52 w czterech różnych rzutach, płaskim, ukośnym, bocznym, frontalnym. Dołączono opis: trzy silniki, ostro zwężone skrzydła, kwadratowo ucięte końce skrzydeł, oraz ostrzeżenie: to najważniejszy transporter spadochroniarzy. (Wyspa ciągle się boi desantu z wody lub nieba). Jeden rysunek należy nosić przy sobie, drugi nalepić na tekturkę i powiesić w domu.

Do zaciemnienia już się przyzwyczajono, po Nowym Roku zresztą przybywa dnia. Co jest nowe – to reflektory omiatające niebo i wodę, zainstalowane przez wojsko na Bute i na sąsiednich brzegach zatoki. Kontrolują zwłaszcza ruch statków pomiędzy Wemyss i Rothesay. Zatokę zaminowano i odrutowano stalowymi linami – przeciw U-Bootom. Przecięto

ją w poprzek pasami zapór przeciw okrętom podwodnym. Jakby ktoś położył na wodzie kładki dla olbrzyma, który zechce poczłapać na drugi brzeg. Są dwie linie tych kładek, na obie nogi. (A właśnie w kinie Regal idzie film o Guliwerze, kolorowy, animowany, pełnometrażowy, drugi taki na świecie!) Każdy statek brytyjski czy sojuszniczy, nawet parowiec płynący według rozkładu, musi więc ściśle trzymać się kursów wyznaczanych przez admiralicję i meldować swoje przybycie pływającej jednostce kontrolnej, która ma kontakt ze stacją reflektorów.

Znajomych parowców nie można rozpoznać. Są pomysłowo przemalowane. Kiedy we wrześniu ubiegłego roku statek Jeannie Deans zabierał dzieci z Glasgow, był schludny i bardzo sprawny, miał białe burty z czarnymi krążkami bulajów. Teraz bulajów, pewnie zaślepionych, w ogóle nie widać, kominy są szare, burty w plamach, statek stracił kształt, wygląda jak śmietnik, który za chwilę pogrąży się w wodzie.

W zatoce pojawiają się widma okrętów. Mieszkańcy białego hotelu St Blane’s, w osadzie Kilchattan, w dole wyspy, po jej wschodniej stronie, widzą, że przy ich brzegu cumuje ogromny kaleka, połowa tankowca, która ciągle żyje – ktoś jest na pokładzie. To Imperial Transport; niemiecka torpeda przecięła go na pół; dziobowa część zatonęła po paru minutach, reszta utrzymywała się na wodzie. Marynarze (dwóch zginęło) odpłynęli w łodziach ratunkowych. Po dwudziestu dwóch godzinach dryfowania przestraszyli się sunącej na nich góry żelastwa. Rozpoznali część rufową własnego tankowca. Udało im się wdrapać na pokład, który opuścili przed dobą. Wybuch zniszczył mostek kapitański razem z przyrządami nawigacyjnymi, mieli jednak szkolny atlas i – jak potem opowiadał kapitan – udało im się utrzymać właściwy kurs, aż napotkali brytyjski niszczyciel. Dwudziestego szóstego marca 1940 roku na ocalałej połowie okrętu dotarli do brzegu Bute. (Stocznia w Glasgow szybko dobudowała brakującą połowę i Imperial Transport znowu służył aliantom – do następnego ataku niemiecką torpedą).

Rothesay przed wojną. Jeszcze z tramwajem i akademią na skarpie

KGPA Ltd / Alamy Stock Photos

Tymczasem na północy Bute, koło osady Rhudobach, powstaje widmo Rothesay. W dzień go prawie nie widać, jakiś blok betonu, deski i druty, zresztą nie wolno tam chodzić. W nocy instalacja ożywa, migają światełka, jak w domach nieostrożnych mieszkańców. Widmo robi oko do Niemców, prowokuje ich: jeśli chcą spuścić bomby, to tutaj, a nie na prawdziwe, żywe Rothesay, schowane w ciemnościach *curfew*. To jedna z wielu fałszywek budowanych w Wielkiej Brytanii w ramach inżynieryjnej operacji „Starfish” – „Rozgwiazda”.

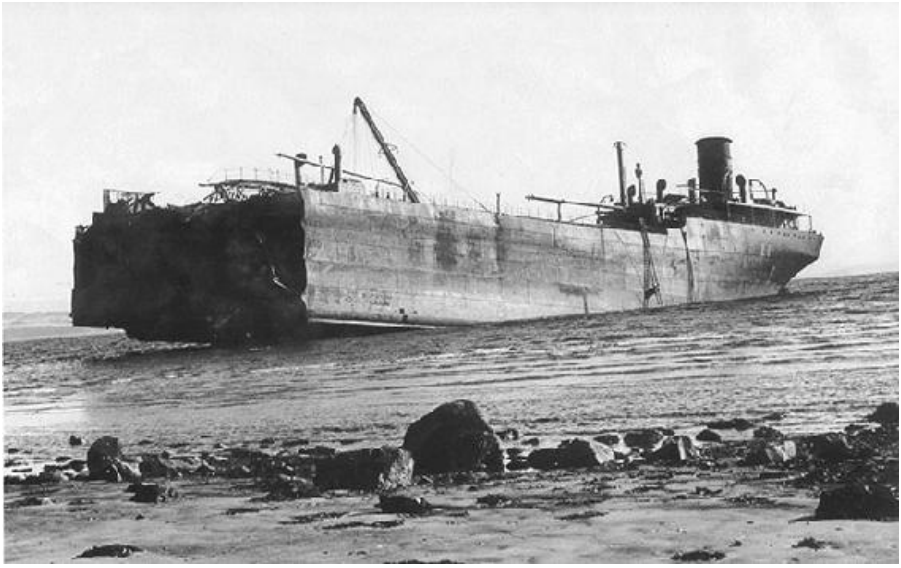

Imperial Transport przecięty na pół niemiecką torpedą

archiwum Bute Museum

Czyżby miał się też zmienić łagodny pejzaż pola golfowego, otwartego na wzgórzu nad Rothesay w 1892 roku? Na razie pogorszył się nastrój w pawilonie klubowym, przy barze zaopatrzonym w przednią szkocką whisky. Sekretarz klubu pan Pullen rezygnuje ze służby klubowi na rzecz służby królowej, w jej siłach zbrojnych. Przyjaciele sportowcy, którzy go żegnają, staną wkrótce wobec trudności na dwóch poziomach – powietrza i ziemi. Trzeba będzie uwzględnić w regulaminach takie na przykład punkty: *Rozgrywki medalowe: Jeśli członek klubu będzie musiał odstąpić od gry w związku z nalotem, rozgrywka będzie anulowana. Mecze: Mecz musi być rozpoczęty na nowo od momentu, w którym syrena przerwała grę, chyba że gracze zgodnie postanowią inaczej*[41].

Sąsiedzi klubu, bracia Teflerowie, korzystają z wojennych przywilejów dla produkcji żywności i wypuszczą swe owce na pole golfowe. Co za tym idzie? Aby zwierzęta mogły się wykarmić, trawa musi być wyższa o co najmniej pół cala. To prawie herezja, lecz jeśli klub odmówi, rada miejska może mu odebrać część pola pod zboże albo kartofle. Spór z Jamesem Teflerem trwa od roku 1908 i jego skłonność do dręczenia sportowców *nie zmniejszyła się ani trochę*, po tym jak oberwał przypadkiem twardą piłką golfową – twierdzi historyk klubu Alan M. Tom[42].

Wojna zaciemnia miasto wieczorem, ale może ożywić w dzień. W tym

roku zamiast dziesięciu Dni Flag ma ich być dwanaście. W ostatnich latach radni zmniejszali liczbę pochodów, podczas których różne organizacje pokazywały się miastu i propagowały swe cele, więc decyzja magistratu budzi dyskusję: każdy, kto pojawia się na wyspie, widzi, jak machają przed nim skrzynką na datki! Magistrat wyjaśnia, że Dni Flag budzą poczucie wspólnoty, ważne w trudnych czasach. Tak więc pomiędzy marcem a wrześniem ulicami Rothesay przemaszerują między innymi: flaga Szkockiego Funduszu Pomocy Finlandii, wyczerpanej wojną zimową ze Związkiem Radzieckim, Brytyjskiego Towarzystwa Żeglarzy, Czerwonego Krzyża, Królewskiego Narodowego Instytutu Łodzi Ratunkowych, rothesayańskiego szpitala Victoria, Szkockiej Ligi Współczucia dla Dzieci i innych.

Burmistrz zapewnia, że ograniczenia powrócą po wojnie, kiedy nadzwyczajne środki nie będą potrzebne.

Pierwszego marca Pawilon wytrzymuje natłok tysiąca pięciuset widzów. Przyjechał *sir* Harry Lauder. Był kiedyś najlepiej opłacanym śpiewakiem wodewilowym na świecie. Śpiewał dla żołnierzy podczas pierwszej wojny światowej, utworzył potężny fundusz na rehabilitację okaleczonych. Został za to lordem. Parę lat temu zakończył karierę, ale teraz znowu śpiewa dla wojska. Tłum w Pawilonie słucha jego piosenki o kresie drogi (*The End of the Road*) poświęconej synowi, który w 1918 roku zginął na froncie. Lauder ma siedemdziesiąt lat, występuje w kilcie, do zdjęcia pozuje z fajką. Churchill mówi o nim, że jest najlepszym ambasadorem Szkocji.

Mówi, że lubi śpiewać dla mężczyzn w khaki. Podobaliby mu się polscy oficerowie, ale jeszcze ich nie ma na wyspie.

Lęk właścicieli

Właściciele miejscowych hoteli i pensjonatów zwykle spotykają się przed sezonem. Zebrania są pustawe i nudne. W tym roku jest inaczej. Sala pęka w szwach i trzeba pożyczać krzesła od sąsiadów.

Punkt pierwszy. Sprawozdania emisariuszy, którzy pojechali do gazet w Glasgow, by umieścić w nich ogłoszenia: Rothasay jak zawsze czeka na gości, statki pływają, pokoje wygodne, jedzenie pyszne, plaża, koncerty

i tańce. Rozmowy z redakcjami przebiegły pomyślnie. Wszyscy chcą, żeby było normalnie.

Punkt drugi. Petycja do lokalnego kontrolera żywności, by zwolnił gości z kartek żywnościowych, zwłaszcza podczas targów wiosennych, kiedy przypływają tysiące ludzi. Kto będzie im wydawał te kartki? Trzeba by nająć dodatkowy personel, a gdzie go posadzić? Biuro kontrolera jest ciasne.

Punkt trzeci. Kontroler powinien sprawdzić, czy producenci żywności mają jej dosyć dla stałych mieszkańców wyspy i dla przyjezdnych. Taka procedura była stosowana w czasie Wielkiej Wojny z dobrym rezultatem.

Punkt czwarty. Uprasza się kontrolera, by przeczytał rezolucję natychmiast, z należytą uwagą, aby uwolnić właścicieli od lęku. Inaczej nastąpi wielka katastrofa, która dotknie nie tylko Bute, ale i Glasgow.

Punkt piąty. Dwie torby węgla mają wystarczyć na tydzień każdemu domowi? Dom domowi nierówny!

Radny Robertson zamyka zebranie słowami: „Tak to jest, że kiedy przychodzą kłopoty, stowarzyszenie właścicieli robi się silne. Nie widzę powodu, by nie było silne i bez kłopotów”.

Cały zarząd wybrano ponownie[43].

Rozkaz numer jeden

W połowie sierpnia przypływają do Rothesay pierwsi Polacy. Trzymają się prosto w mundurach. Przepuszczają w drzwiach panie. Wprawdzie „Buteman” nie pisał o wojnie w Polsce, ale w Szkocji są wielkie gazety pełne informacji ze świata i jest BBC. Mieszkańcy Bute patrzą na oficerów jako przedstawicieli dzielnego państwa, które zachowało honor i jest wiernym sojusznikiem Wielkiej Brytanii. Poza tym żołd oficerski to dla właścicieli hoteli i pensjonatów gwarancja zarobku w pustych miesiącach jesieni i zimy. Mają nadzieję, że ci klienci zostaną dłużej na wyspie; spadli jej z nieba.

Dwudziestego piątego sierpnia na mocy porozumienia dowództwa Wojska Polskiego w Szkocji z władzami brytyjskimi powstaje Oficerski Obóz numer 23. Jego dowódca generał Bolesław Jacyna-Jatelnicki wydaje Rozkaz dzienny numer jeden[44].

Podkreśla w nim z naciskiem, że przeniesienie oficerów do Rothesay *w*

niczym nie przesądza kwestji przyszłego ich użycia, a jedynie ma na celu ulokowanie nadwyżki w lepszych warunkach bytowania.

Oficerowie zamieszkają w hotelach i pensjonatach. Będą mieli możliwość wyboru miejsca. Lecz tylko taką, którą uznają władze brytyjskie (przyszłość pokaże, że raczej się nie wtrącają).

W rozkazie wymieniono nazwiska i stopnie oficerów, którzy już przybyli do Rothesay. Jest ich stu trzech.

Na początku listy dwaj generałowie dywizji – Stefan Dąb-Biernacki i Kazimierz Ładoś. Za nimi sześciu generałów brygady – Stanisław Kwaśniewski, Stanisław Rouppert, Jerzy Błeszyński, Mikołaj Osikowski, Karol Masny, Kazimierz Schally.

Wśród pułkowników Tadeusz Alf-Tarczyński, podpułkowników – Marian Kościałkowski i Roman Umiastowski, kapitanów – Michał Grażyński i Jerzy Niezbrzycki.

Wyznacza się łączników pomiędzy dowództwem a hotelami, w których mieszkają oficerowie: Grand Marine, Victoria, Bute Arms, Royal, Craignethan. Mają się zgłaszać codziennie o jedenastej trzydzieści na odprawy w dowództwie i o siedemnastej po odbiór poczty i rozkazów. Na odprawach mają starannie notować zarządzenia, aby przedstawić je do wiadomości wszystkim oficerom ze swojej grupy, *za wyjątkiem p.p. generałów*.

Jedna (czwarta) kartka rozkazu zawieruszyła się w Archiwum Instytutu Sikorskiego w Londynie albo gdzieś po drodze do niego. Były na niej prawdopodobnie dalsze informacje porządkowe, tak jak na następnych.

Na przykład:

Miejscowy kościół katolicki rezerwuje oficerom na stałe miejsca podczas niedzielnych nabożeństw o godzinie jedenastej.

Oficerowie muszą się zaopatrzyć w angielski żołnierski mundur polowy. Łącznikowi przyjmują zapisy – także na lornetki i pistolety; ten zakup jest dobrowolny.

Właściciele hoteli i pensjonatów proszą o punktualne przychodzenie na posiłki i o palenie tytoniu tylko w palarniach.

Nie wolno kupować ubrań cywilnych bez zezwolenia władz wojskowych.

Obowiązuje cenzura korespondencji – w porozumieniu z władzami brytyjskimi. Rozkaz komentuje, że tak jest we wszystkich obozach Wojska

Polskiego w Wielkiej Brytanii.

Oficerowie łącznikowi spiszą nazwiska osób, które życzą sobie należeć do chóru.

Oficer gospodarczy będzie wypłacać oficerom należności (żołd) w poszczególnych hotelach i pensjonatach w podanych godzinach.

Naczelny lekarz zgrupowania przyjmuje w lokalu przy dowództwie. Zęby można leczyć u miejscowego dentysty po cenach ulgowych. (Po miesiącu wprowadza się informację: usuwanie zęba w znieczuleniu kosztuje jednego szylinga, bez znieczulenia można rwać za darmo).

Rozkaz brzmi łagodnie. Nie wygląda na to, by czaiły się za nim jakieś represje albo obawy – zatrzymani w Rothesay mogą nosić broń.

„Polski Spitfire”

Do czternastu kapitanów wysłanych na wyspę w pierwszej grupie stu trzech oficerów dołącza piętnasty – lotnik Janusz Meissner, radiowiec i pisarz, wszędobylski i pełen pomysłów. Miał o jeden pomysł za dużo. Znudzony oczekiwaniem na przydział do armii, założył w Londynie prywatne satyryczne pismo „Polski Spitfire”, ale wydał tylko dwa egzemplarze pierwszego numeru. W artykule wstępnym zapowiedział, że zamierza przy każdej okazji robić z igły widły. Jeśli skromna redakcja może temu podołać bez żadnych subsydiów, to wyższe czynniki mogą z wideł zrobić karabin maszynowy, jeszcze wyższe – z karabinu czołg, a najwyższe – z czołgu okręt. Tak więc obronność Wielkiej Brytanii zależy od igieł przerabianych na widły przez paru polskich autorów.

Janusz Meissner

Narodowe Archiwum Cyfrowe

Dalej następuje kronika wydarzeń. Pilot J. wygłosi odczyt, jak to strącił trzy maszyny i otrzymał awans na podpułkownika. Pierwszą była maszyna do pisania, drugą maszyna do szycia, trzecią ekspres do kawy.

Gwoździem numeru był wierszyk o PAF (Polish Air Force), które w przekonaniu o własnej przewadze moralnej i profesjonalnej postanowiły podporządkować sobie RAF (Royal Air Force).

Wyszło na jaw,
Że błądzi RAF,

I było wiele krzyku:
Lotniczych sław ma więcej PAF
I więcej pułkowników.
Wcielono więc do PAF-u RAF,
Miast wcielić PAF do RAF-u.
Przybyło gaf,
Przybyło spraw,
Instrukcji, paragrafów…
(…)
Niech wróci RAF,
Bo zbrzydł nam PAF:
My chcemy bić się, latać!
Hetmanów spław,
Niech idą haw
W cywilu buty łatać!

Takie fantazje, w duchu przedwojennych oficerskich zabaw uświetnianych przez Wieniawę-Długoszowskiego, nie mogą dzisiaj liczyć na tolerancję, podobnie jak wierszowany list do generała Sikorskiego wysłany prywatną drogą przez podporucznika Kuleszę z obozu w Cerizay.

Wdrożono śledztwo, redaktor przyznał się do wszystkiego i odkomenderowano go niezwłocznie do Rothesay[45]. Nie siedzi tam długo. Wzywają go do Londynu. Ma prowadzić wojskową rozgłośnię radiową przy biurze propagandy naczelnego wodza.

Widocznie uznano, że jego satyra nie jest politycznej natury. A może słowa „hetmanów spław" odczytano po swojej myśli.

Tortury

Umiastowski zanotował, że podróż statkiem z Wemyss na Bute była całkiem przyjemna. *Rozgoryczeni są jedni, zadowoleni drudzy, lecz cóż robić. Wiadomo, że dopiero, gdy się ruszy Ameryka, będziemy wszyscy potrzebni*.

Grażyński zachwyca się w dzienniku pięknem Rothesay. Byle tylko Anglicy wytrzymali. Właśnie strącili nad kanałem siedemdziesiąt dziewięć wrogich samolotów. To dobra zapowiedź. *Tylko jaki mój w tej walce udział? –*

pyta. Przecież klęska wrześniowa mogła być twórcza dla emigracji:

Bo właśnie był ten czas, by wszystkich skupić, wycisnąć z nich wszystko co mogą dać. Tu mogłoby się dokonać prawdziwe zjednoczenie narodowe. Cóż, kiedy w wielkich czasach działają ludzie mali i dlatego w ich wyobraźni rzeczy małe im wyrastają do zagadnień zasadniczych, a rzeczy wielkie tracą się im po drodze. Bo rzeczą wielką byłby zwycięzki entuzjastyczny duch w nowo-tworzonym wojsku polskim. Bo rzeczą wielką byłoby danie stąd właśnie wizji nowej Polski na tle [słowo nieczytelne] przewrotu w świecie.

Stefan Mękarski, po dwudziestu dwóch miesiącach pobytu w obozie, pozwoli sobie na opinię:

Czasem wydaje mi się, że w historii tortur polskich w tych latach nie rzeka Kołyma, nie Morze Białe, nie Komi, Starobielsk, katorga sybirska i nie obozy koncentracyjne w Dachau, Oranienburgu czy Oświęcimiu, ale Rothesay wymieniane będzie jako miejsce najbardziej ponurej zagłady kilkuset polskich inteligentów.

Właśnie Rothesay, rothesayańska półkolista promenada nad zatoką, rothesayańskie różnokolorowe rododendrony, Ascog, Kanada Hill, Barone Road, Mount Pleasant Road, Port Bannatyne – to będą wspomnienia ludzi najniegodziwiej, najohydniej zniszczonych – nazwy, kryjące w sobie tajemnice cierpienia najbardziej nieoczekiwanego.

Co się działo w Rothesay?

Komendant

Bolesław Jacyna-Jatelnicki ma pięćdziesiąt lat, ale już na zdjęciach sprzed wojny wygląda na więcej.

Jako generał nie musi rozliczać się z wieku. Nad oficerami niższymi rangą wisi poprzeczka. Pułkownik nie powinien przekraczać pięćdziesiątki piątki, major czterdziestki dziewiątki, kapitan czterdziestki szóstki, porucznik czterdziestki trójki, podporucznik czterdziestki – takie zasady przyjęło dowództwo obozów i oddziałów Wojska Polskiego w Szkocji[46]. Mają one niewątpliwy wpływ na skład oficerów, którzy podlegają Jatelnickiemu.

Pensjonariusze obozu są starsi niż oficerska przeciętna. Nie tylko dlatego, że starszych trudno kierować na front. Także dlatego, że starsi zdążyli dorobić się stanowisk w sanacyjnym wojsku, nie są więc pożądani w nowym.

Ojciec komendanta Nicefor Jacyna-Jatelnicki, pułkownik carskiego 44. Kamczackiego Pułku Piechoty, uczestniczył w pierwszej wojnie światowej.

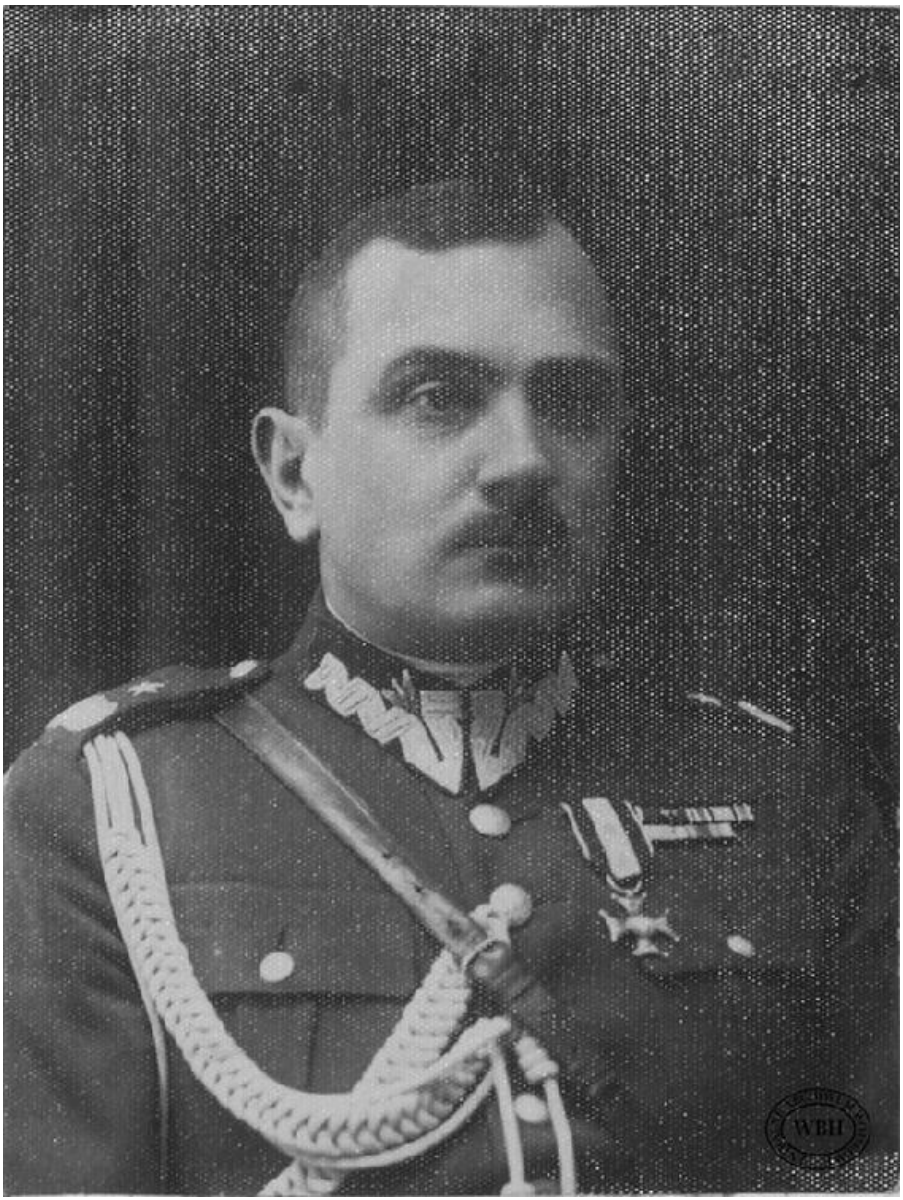

Bolesław Jacyna-Jatelnicki

Centralne Archiwum Wojskowe

Jego brat Świętosław, kapitan artylerii lekkiej, walczył w kampanii wrześniowej; jest jeńcem niemieckim.

Jego siostra Zofia wyszła za generała Leona Berbeckiego, dowódcę w Legionach Piłsudskiego i szefa Sztabu Komendy Legionów.

On sam jest w służbie wojskowej od 1911 roku. Był kapitanem piechoty armii rosyjskiej. W 1919 roku Piłsudski mianował go dowódcą 8. Pułku Legionów. Kierował Wielkopolską Szkołą Podchorążych Piechoty, przewodniczył Komisji Odbudowy Modlina. W 1932 roku został generałem brygady, a w 1939 dowodził etapami Armii „Kraków" wraz z generałem Narbutem-Łuczyńskim.

Podlega zwierzchnictwu generała dywizji Mariana Kukiela, dowódcy Obozów i Oddziałów Polskich w Szkocji (wkrótce przemianowanych na I Korpus Polski).

Dziewiątego grudnia pisze do niego: *Melduję Panu Generałowi, że z obecnych w tutejszym obozie kilkuset oficerów mogę wybrać około 200 zdolnych i chętnych do pełnienia służby*[47]. I argumentuje, dlaczego warto to zrobić – bo czynna praca wojskowa polepszy samopoczucie tych ludzi, bo miejscową społeczność razi bezczynność tak dużej liczby oficerów.

Trzynastego grudnia dodaje, że na zły stan psychiczny oficerów wpływa, po pierwsze, małe uposażenie, bo trzeba z niego opłacać kwaterunek i żywność, a po drugie, to, że zdolni do służby czynnej znaleźli się tu w sytuacji identycznej jak ci, którzy już nie mogą być użyci w wojsku ze względu na kategorię zdrowia i wiek[48].

Następnego dnia wysyła bezpośrednio naczelnemu wodzowi obszerny i szczegółowy meldunek z Rothesay. Pisze, że w obozie jest pięciuset trzydziestu sześciu oficerów i będzie ich więcej. Że obóz w obecnej postaci nie rozwiąże problemów tych ludzi. Razem z meldunkiem przygotowuje referat z tezami:

W obozie Rothesay istnieje wielkie – jak na dzisiejsze warunki Polski – skupisko energii narodowej. Niejednokrotnie mogłem stwierdzić, że marzeniem wielu z tych ludzi jest realna praca dla Polski, obojętnie na jakim stanowisku.

Rodziny, dzieci i żony pozostawione w kraju oczekują od ojców i mężów spełnienia żołnierskiego obowiązku. Są przekonani, że ci ludzie walczą

przeciw Niemcom. Pozbawienie części oficerów prawa do walki o wolność Polski jest więc źródłem narastającej tragedii tych oficerów.

Nie może być obojętnym dla Państwa Polskiego, ani dla władz wojskowych, czy oficerowie ci wkroczą kiedyś do Polski jako gromada niezdyscyplinowana, rozgoryczona, zaniedbana fachowo, czy też jako element pełen zapału, świadomy czemu służy i fachowo doskonale przygotowany. Nie ulega wątpliwości, że będzie on Państwu Polskiemu bardzo potrzebny. Oficerowie ci są w Anglii narazie wojskowo niepotrzebni. Nikt jednak nie może stwierdzić, czy już za parę miesięcy nie będą oni elementem co najmniej równie pożądanym, jak dziś szeregowiec. Jeśli pozostawi się ich dłuższy czas w stanie dotychczasowym, nie odpowiedzą wówczas swemu zadaniu[49].

Co według komendanta należy zrobić?

Definitywnie wyjaśnić wartość wojskową oficerów i wartość cywilną niezakwalifikowanych do służby. Pociągnąć ich do pełnej pracy w jednym lub drugim kierunku.

Za tym idą szczegółowe projekty dotyczące weryfikacji, szkoleń, współpracy z instytucjami szkockimi i angielskimi.

Ani jedno słowo meldunku i referatu nie nawiązuje do polityki.

Wygląda na to, że Jatelnicki chce ją oddzielić od wojska. Już we wrześniu w jednym z rozkazów dziennych dał do zrozumienia, że nie życzy sobie żadnych rozliczeń. Zapowiedział zbieranie świadectw wojennych, ale tylko od tych oficerów, którzy mogą przedstawić materiał rzeczowy: *Zabraniam poruszania w sprawozdaniach wszelkich materiałów ściśle osobistych, odnoszących się do piszącego sprawozdanie, lub też do działalności innych oficerów*[50].

Umiastowski, który dobrze zna Jetelnickiego, zauważył, że poczyna on sobie w Rothesay w sposób łagodny i zręczny i że ogół oficerów nabiera do niego przekonania. *Mówiłem z nim dłużej na temat tych trudności jakie napotka w tym zespole tak różnym, gdzie mimo lat głów zapalnych jest dosyć. Cóż, Jatelnicki zdaje sobie sprawę, że nie jest dla niego wskazane i nie jest zgodne z jego godnością kreowanie się na dowódcę w nowym Cerizay*.

Mękarski przyznaje, że Jatelnicki jest *wybitnie prostolinijny i szczery*, że stara się być pomocny i nie chce sprawować rządów silnej ręki. Ale na ostatnich stronach *Zapisków z Rothesay*, gdy charakteryzuje kolejnych

komendantów stacji oficerskiej, pisze o nim pogardliwie: *Tępy, głupi, lecz poczciwy cham*, i nie wyjaśnia, dlaczego tak myśli.

Widocznie uznał, że przedtem wyrażał się zbyt dobrze o nadzorcy z nadania władzy, której nie zamierza wybaczać, że go uwięziła na wyspie.

Bieluszki, Suryszki, Miegiany

Na liście stu trzech oficerów skierowanych do Rothesay dołączonej do Rozkazu nr 1 jest czternastu kapitanów. Nie ma Raczkowskiego.

Gdzie mógł być dwudziestego piątego sierpnia 1940 roku? Gdzie była Dziunia? Rodzina wiedziała tylko tyle, że nie ma ich w Polsce. A oni nie wiedzieli nic o rodzinie w kraju. Przecież i moi dziadkowie, i rodzice, pozostali pod stałym bialskim adresem, poznawali stopniowo losy swoich bliskich. Trudno już dzisiaj określić, kiedy dowiedzieli się, że:

– pułkownik Walerian Jachimowicz, poważny i wyprostowany, który siedzi przy Dziuni na zdjęciu ślubnym moich rodziców, we wrześniu 1940 roku zginął w Dachau, obozie koncentracyjnym w Niemczech,
– jego syn Wiktor Jachimowicz, mąż najmłodszej siostry Dziuni, Irki Szejnertówny, jest w Mauthausen, obozie koncentracyjnym w Austrii,
– kapitan Ryszard Ługowski, mąż Hali Szejnertówny, która na wesele moich rodziców przyszła z synkiem Jasiem, jest w obozie w Starobielsku,
– najstarszy brat mamy, działacz aeroklubu, Antoni Biernacki, jest w łagrze koło Murmańska,
– średni brat mamy, narodowiec Stach Biernacki, jest w stalagu Altengrabow koło Magdeburga,
– najmłodszy brat mamy, podporucznik Stefan Biernacki, zwany Stefi, spotkał się ze Stefanem Szejnertem w oflagu w Lubece.

Nie wiadomo, co się dzieje z majorem Tadeuszem Kozakiewiczem, mężem Raisy, która czeka na niego w oficynie przy ulicy Kraszewskiego w Białej Podlaskiej. Raisa mieszka na parterze, Mamasza na piętrze. Obie, Rosjanki, bardziej chyba wierzą w powrót mężczyzn z Zachodu niż ze Wschodu. Energia i siła Mamaszy płoszy Raisę, a Mamasza źle znosi ciągłą cichą rozpacz Raisy.

A co się dzieje u najbliższych sąsiadów rodziny Raczkowskich

w kiejdańskiej gminie Gudziuny? Gospodarowali tam: Ołsufiewa na Młodzianowie, Kontowt na Gujanach, Kisielis na Olchowie, Jurewicz na Sampolu, Jankowski na Gabryelowie, Chrapowicki i Rustejko na Terespolu, Siemaszko na Antoszewie, Soroczkin na Syrutyszkach.

Majątków polskich w powiecie Kiejdany było co najmniej sto: Bieluszki, Iurgajcie, Białozoryszki, Grynkiszki, Bejsagoła, Wołodkajcie, Iłgiże, Dyrygajcie, Bojoryszki, Janiszki, Podszacie, Borgojle, Marciniszki, Gajżunele, Bortkuniszki, Jawojsze, Grawże, Murkuny, Suryszki, Surwiniszki, Gujany, Szłapoberż, Lawdyszki, Poszumierz, Drobuszyszki, Auksztoliszki, Najmojnie, Serafiniszki, Mitjaniszki, Bortkuniszki, Bejnaryszki, Żejmy, Tronkinie, Połanieś, Porborupie, Jacuny, Pokirszyn, Buble, Dauksze, Martynajcie, Towianki, Kojgole, Sędziany, Nacuny, Stobry, Urniaże, Sotkiszki, Słoboda, Opitołoki. Szetejnie, gdzie w 1911 roku urodził się Czesław Miłosz. Łęczynów, Pakalniszki, Miegiany, gdzie gospodarowali Raczkowscy[51]…

Co znaczą dla Raka te nazwiska i miejsca, czy muzyka tych imion brzmi mu jeszcze w uszach, czy widzi jeszcze te twarze, domy, ogrody?

Zbierano borowiki i rydze, smażono konfitury, w „sklepach”, czyli piwnicach, przechowywano jabłka i gruszki-cukrówki, poczciwe lipówki, bergamoty… – oraz okryty słomą lód, koło kuchni suszyły się sery, śmietanę i masło robiono w specjalnej mleczarni, której ściany pokrywał ruchomy kobierzec czarnych much. Na Boże Narodzenie podawano kutię, śliżyki z sytą[52]… Czy było tak pięknie? A może w Miegianach była bieda, która wcześnie wypędziła syna do rosyjskiej szkoły artyleryjskiej?

Jest Rak!

Znajduję Ignacego Raczkowskiego na liście trzydziestu pięciu oficerów skierowanych do Rothesay, przesłanej generałowi Jatelnickiemu przez generała Kukiela. Mają opuścić swoje dotychczasowe zgrupowania osiemnastego września, przed godziną trzynastą pięćdziesiąt być w Glasgow na dworcu głównym, o czternastej pojechać pociągiem do portu Wemyss, stamtąd o piętnastej dziesięć popłynąć do Rothesay. O piętnastej pięćdziesiąt mają wyruszyć na przygotowane kwatery[53].

Po sześciu dniach rozkaz komendanta przydziela kapitana Ignacego Raczkowskiego do grupy numer dwanaście, która liczy czternaście osób i będzie się spotykać codziennie o godzinie dziesiątej w hotelu Armadale, by uczyć się angielskiego.

Nie wiadomo, czy Dziunia jest już na Bute. Rozkazy generała Jatelnickiego są dyskretne w sprawach osobistych. Mówią o możliwości sprowadzania rodzin, ale nie podają nazwisk.

Ci, którym się udało połączyć z bliskimi, mogą za zgodą dowództwa poszukać odpowiedniej kwatery na własną rękę.

Stefan Mękarski jest zirytowany:

Gdy przyglądam się oficerom, którzy na wyspę Bute przywieźli swoje żony i rodziny, dostaję szczególnie ostrego urazu psychicznego. (…) *Włóczy się za wózkiem niemowlęcia Wyżeł [Ścieżyński] z okazałą blondynką, panowie generałowie Rouppert, Kwaśniewski, Korytowski również ocalili familijkę, p. ex wojewoda Grażyński* (…) *i tylu, tylu innych. Aż podziw bierze nad czułym instynktem rodzinnym, jakim ci ludzie odznaczali się podczas burzy wrześniowej w Polsce. To byli ludzie, którzy mieli charakter rodzinny. Polsce służyli z zapałem uroczystym, ale i o rodzinie pamiętali. Myślę, że w historii „zmotoryzowanej emigracji" ktoś winien specjalnie poświęcić uwagę tym przezornym ludziom. Przydać się może ku nauce potomnych spis dzielnych oficerów, mężów, ojców i kochanków, unoszących ofiarnie przez lądy i morza swoje kobiety i swoje dzieci. O dzielnych kochankach ciepłe słowo napisze wspominkarz. O Zyndramie, który uwiózł Balcerkiewiczównę, o tym poruczniku z Gdyni, który wolał uratować „siostrę" żony aniżeli poślubioną niewiastę.* (…)

Patrzę codziennie na ten korowód zatroskanych, zaaferowanych i szczęśliwych rodzinnie ludzi, którzy wojska „trzymają" się kurczowo, bo wojsko zapewnia utrzymanie ich rodzinom. Patrzę na ten korowód i kontroluję siebie uważnie – zazdrość? Zwyczajna, naturalna, pospolita zazdrość?

Organizatorzy obozu mogą widzieć w tych romansach pewne korzyści. *Jest tu także p. Balcerkiewiczówna, która ma troskliwego opiekuna w osobie płk Kościałkowskiego* – czytamy w anonimowym sprawozdaniu dla władz w Londynie. – *Jest on całkowicie pochłonięty tą opieką i tym się zapewne tłumaczy jego wycofanie się z roboty politycznej, co może także pozostawać*

[w związku] ze słowem, danym swego czasu w Glasgowie Nacz. Wodzowi[54].

Lidia Ciołkoszowa[55] słyszała w Londynie różne wiadomości o Rothesay i opowiedziała po latach:

Utworzenie takiego obozu na pewno nie było w porządku, ale krzyk, jaki podnieśli byli sanacyjni dygnitarze, też był nie na miejscu. Mieszkaliśmy wtedy w pensjonacie opodal British Museum, jadaliśmy przy wspólnym stole z aktorką Marią Balcerkiewiczówną, przyjaciółką przedwojennego premiera Kościałkowskiego. Któregoś dnia przy śniadaniu przywitała nas wiadomością, że właśnie dostała list od Kościałkowskiego z Bute, który pisze, iż warunki tam są takie jak w Brześciu[56]*. Pragier, który siedział z nami, zapytał: „Biją go?”. Ona zdziwiona: „Jak to biją?”. Pragier ciągnie: „Głodują?”. Ona na to: „Nie, skądże”. Tymi pytaniami doprowadził ją do płaczu. Na koniec powiedziała, że nie było jej wiadomo, że aż tak było w Brześciu i że przeprasza*[57].

W każdym razie Maria Balcerkiewicz odważyła się popłynąć do Rothesay.

Może Rak „uniósł już ofiarnie przez lądy i morza swoją kobietę” na wyspę Bute. A jeśli Dziunia nie dotarła tu jeszcze, na pewno znalazł jakichś bliskich ludzi. Wielu oficerów musiał przecież znać.

Na przykład generała Ottona Krzischa. Krzisch, starszy od niego o dziesięć lat, w 1926 roku dowodził 9. Pułkiem Artylerii Polowej stacjonującym w koszarach Szmula Piżyca. I to on dwa lata później podpisał się pod pochlebną opinią wojskową wystawioną Rakowi. Wiemy, że zakończył swoją kampanię wrześniową w Kowlu i wyszedł z Polski przez Litwę lub Łotwę. Dotarł do Francji, dowodził tam artylerią, a w lipcu 1940 roku trafił do Rothesay.

Czy spotykali się, wspominali Białą? Kasyno, łąki nad Krzną, park Radziwiłłowski?

Wedle opinii z akt personalnych w Centralnym Archiwum Wojskowym Rak posiada zalety, które mogą ratować przed samotnością:

Wesoły, koleżeński, lubiany przez kolegów, pracowity, sumienny.

Charakter dobry, wesoły, wrażliwy.

Bardzo koleżeński i towarzysko wyrobiony.

Nieco powolny zewnętrznie, lecz nie pozbawiony wewnętrznej werwy.

Oddawanie honorów

Stefan Mękarski zazwyczaj narzeka, ale po barłogach w Hoppendale i Broughton podobają mu się miękkie łóżko na mansardzie hoteliku Glenearn, szum morza i piski mew.

Co będziemy robili tu? Cóż to się z nami dzieje? Przewrót prawie rewolucyjny! Z pastwiska obozowego i namiotów do mniej lub bardziej luksusowych pensjonatów i hoteli, z barłogów na miękkie łóżka, od menażek i łojów komiśnej zupy do przystawek, sandwiczów, białych obrusów, „diningów" i „sittingów", konwersacji towarzyskiej z letnikami angielskimi i szkockimi. Cóż to za przywilej dla „politycznych", „leśnych dziadków", i ofermów, gdy „frontowi" śpią pod namiotami, hodują reumatyzm i wąchają latryny? Coś tu grubo nie w porządku, jakaś idea w tym osobliwa.

I powtarza zasłyszane słowa: *na wyspie będziemy mieszkali i mieszkanie będzie jedynym naszym zajęciem*.

Zajęć jednak jest wiele. Większa część wynika z regulaminu – meldowanie się, uczestnictwo w różnych szkoleniach, kursy językowe, obchody rocznic i świąt. Mniejsza zależy od temperamentu pensjonariuszy obozu – bo jak ich nazwać inaczej? Jedni zdecydowali się ufundować wizerunek Matki Boskiej Częstochowskiej do katolickiego kościoła Świętego Andrzeja i już robią zbiórkę na pędzle, farby i ramę, inni nie opuszczają tańców w Pawilonie. Jedno zresztą nie wyklucza drugiego. Ale podpułkownik Zbigniew Belina-Prażmowski, malarz z zamiłowania, tańczyć nie może. Zadawniona choroba sprawia, że utyka, więc pozwolono mu podpierać się laską, chociaż przed ponad miesiącem naczelny wódz zabronił kategorycznie wszystkim żołnierzom noszenia lasek i trzcinek.

Kolejne rozkazy dzienne wymagają od oficerów Wojska Polskiego, by trzymali formę, nawet jeśli znajdują się w „stanie nieczynnym".

Żelazne tematy tych dokumentów to oddawanie honorów i honor munduru.

W sytuacji ogólnego chaosu dobrze jest przypomnieć, że:

– żołnierze poniżej rangi majora salutują majorom i wszystkim powyżej,

– oficerowie sztabowi salutują wszystkim wyższym rangą,

– chorążowie, podoficerowie i szeregowcy salutują wszystkim oficerom, także lotnictwa i floty.

Salutuje się teraz nie dwoma palcami, lecz wszystkimi złączonymi i wyprostowanymi palcami prawej ręki. Końce palców wskazującego i środkowego dotykają wewnętrzną stroną brzegu daszku czapki lub skraju furażerki za zewnętrznym kątem prawego oka.

Oficer salutuje tak samo jak szeregowiec, a nie palcem lub laską (zresztą lasek zakazano) i nie odpowiada na honory z papierosem w ustach. Patrzy salutującemu w twarz i spogląda na odznaki, które nosi żołnierz.

Zasady Wojska Polskiego należy stosować także przy salutowaniu oficerom armii brytyjskiej. Oficer polski, oddając honory oficerowi brytyjskiemu równemu stopniem, dowodzi swej grzeczności i kultury. Nie musi mu jednak salutować w lokalach zamkniętych, klubach, restauracjach, holach hotelowych, wagonach i tym podobnych.

Co do mundurów, wprowadza się obowiązek noszenia napisu „Poland" na obu rękawach kurtki i płaszcza. Napis na podkładce z czerwonego sukna ma być haftowany białym jedwabiem.

Wprowadza się płaszcze dwurzędowe typu brytyjskiego. Płaszcze jednorzędowe polskie i francuskie można jeszcze donaszać.

Zwraca się uwagę, że niektórzy oficerowie chodzą po mieście z podniesionymi kołnierzami i w rozpiętych płaszczach, co jest wbrew przepisom.

Zachowanie się osób wojskowych powinno być nacechowane godnością, opanowaniem i taktem. Nie należy rozmawiać głośno w miejscach publicznych, zawierać znajomości z osobami o niesprawdzonej konduicie, nadużywać trunków i tym podobne.

Polacy jako żołnierze wojska sprzymierzonego są wystawieni na baczną obserwację miejscowych obywateli. Muszą zdawać sobie sprawę, że nosząc mundur WP i będąc obywatelami RP, reprezentują wojsko i państwo polskie w Wielkiej Brytanii.

Czym więc jest obóz w Rothesay? Odstawką dla ludzi, którzy naruszyli honor munduru, należą do formacji określanej w tajnym raporcie Izydora Modelskiego do wodza naczelnego słowami: *to było bagno cuchnące*? Czy też tymczasowym miejscem spotkania ludzi honoru?

Wygląda na to, że istnieją dwie wersje – pierwsza służy polskiej władzy wojskowej i politycznej, druga jest przeznaczona dla wyspy Bute, dla Szkocji, gdzie powstaje wiele czynnych jednostek Wojska Polskiego, dla Wielkiej

Brytanii.

Co z Polską? Jaka Europa? Uważać na Rosję!!!

Zanim Helena Grażyńska[58] dołączyła do męża z synami, niepokoił się, tęsknił. Poświęcił pięć stron dziennika jej oczom.

Tak bardzo mi się spodobały, że ich zawsze szukałem – nawet wtedy, kiedy jeszcze nie było uczucia, a bezużytecznie błąkałem się na ścieżkach kawalerskiego bytowania i niewybrednych przygód. Czasem przypominały mi turkusowy pobłysk litewskich jezior, w których się pod wieczór przeglądało bezchmurne niebo, to najczystszy szafir, przechodzący niemal w czarny granat. Niosły się z tych oczu ku mnie najpiękniejsze barwy mojej ojczyzny. Czasem malował się w nich taki spokój, jakby wszystko, co było złe na ziemi, przepadło[59].

Dobrze, że nie czytał tego zgryźliwy Mękarski.

Po tym wyznaniu, które miejscami przybiera formę listu do Heli, Grażyński bierze się w garść: *4. XI. Na horyzoncie politycznym zarysowuje się raczej korzystny znak. Stany Zjednoczone zawarły wczoraj umowę o oddaniu 50 kontrtorpedowców Anglii, a w zamian za to uzyskały na 99 lat bazy lotnicze i morskie w Nowej Funlandii, Zachodnich Indiach oraz w Brytyjskiej Gujanie*.

Michał Grażyński

Narodowe Archiwum Cyfrowe

Wydaje się, że na wyspie cierpi mniej niż inni. Ma tu już rodzinę, chłopców zapisał do akademii i chociaż, jak pisze, na widok zatoki Clyde ściska mu się serce (bo to nie Gdyńska), cieszy się tutejszą przyrodą. Ma pięćdziesiąt lat, jest młodszy o dwa lata od Modelskiego, pięć od Kukiela, dziewięć od Sikorskiego, więc raczej nie „leśny dziadek” z tych, których

kieruje się do Rothesay na litościwy spoczynek. Zanim włożył mundur, chętnie nosił pumpy, wełniane skarpety i sportowe buty.

Urodził się jako Michał Kurzydło. Był siódmym dzieckiem nauczyciela szkoły ludowej z Gdowa pod Wieliczką. Matka osierociła go, gdy miał trzy lata. Nazwisko Grażyński jest zasługą romantycznej macochy. Grażyna, żona litewskiego księcia Litawora, amazonka i wojowniczka, przeciwna układom męża z Krzyżakami, wyprowadza jego wojska do walki i ginie w boju. Poemat Mickiewicza, któremu jej imię nadało tytuł, poruszał wyobraźnię Polaków. Ojciec załatwił wszelkie formalności.

Tak wyposażony Grażyński wstępuje w 1918 roku do Wojska Polskiego. Uczestniczy w drugim i trzecim powstaniu śląskim. Przygotowuje plebiscyt na Górnym Śląsku. Po przewrocie majowym zostaje – za poparciem Piłsudskiego – wojewodą śląskim. Ogranicza wpływy ludności „ducha niemieckiego". Buduje w Katowicach wielkie Muzeum Śląskie, jeden z najnowocześniejszych gmachów muzealnych w Europie. Na głównej osi budynku miał stanąć ogromny posąg Bolesława Chrobrego według projektu Stanisława Szukalskiego. (Gmach, niemal gotowy w dniu wybuchu wojny, został całkowicie rozebrany przez Niemców. Pracowali przy tym więźniowie Auschwitz-Birkenau).

Od trzeciego powstania śląskiego Grażyński jest w sporze z Wojciechem Korfantym, zwolennikiem autonomii śląskiej. Pragmatyczny Korfanty jest przeciwny walce powstańców do końca, nie wierzy w ich zwycięstwo z regularną armią pruską. Nie akceptuje zamachu majowego, nie zgadza się z polityką narodowościową na Śląsku. Rządy II RP zarzucają mu związki z kapitałem niemieckim, a nawet nadużycia finansowe. W 1930 roku osadzają go w twierdzy brzeskiej. Nie krępują się tym, że na początku wieku był więziony przez Prusy, bo domagał się równouprawnienia ludności polskiej na Śląsku. A w 1939 roku zamykają go na warszawskim Pawiaku. Zwolniony z powodu choroby, umiera tuż przed wybuchem wojny. Ślązacy odprowadzają go wielotysięcznym tłumem na cmentarz w Katowicach.

W jednej z komisji śledczych, badającej winy wrześniowe i przedwrześniowe, jest Zbigniew Korfanty, syn Wojciecha. Umiastowski sądzi, że może mścić się za ojca. *Czepiali się wojewody śląskiego Grażyńskiego, lecz trudno coś dowieść człowiekowi o sercu i rękach tak czystych jak on*.

Grażyński pisze w dzienniku, że wysyłając go na wyspę, *postawiono kropkę nad i*, ale ciągle spodziewa się jakichś zadań. Na razie pozwolono mu wygłaszać odczyty dla oficerów. Przygotował cztery: „Traktat wersalski a nowe cele wojny", „Cele wojny w publicystyce angielskiej", „Cele wojny według projektów emigracji niemieckiej", „Zagadnienie federacji w środkowej Europie". Generał Jatelnicki, który informuje o nich dowódcę I Korpusu, załącza do raportu szkic ostatniego: *Nowy porządek w Europie będzie się zasadzał na zniesieniu neutralności, wyeliminowaniu wojny z pojęć prawa międzynarodowego, ograniczeniu suwerenności poszczególnych państw na rzecz federacji regionalnych nakrytych kopułą nowej Ligi Narodów, wyposażonej w egzekutywę. Jaką myśl może wnieść Polska? Bolesława Chrobrego, jagiellońską, próbę wskrzeszenia tej myśli przez Józefa Piłsudskiego*[60].

Grażyński pracuje nad odczytami bardzo starannie i cieszy się, gdy oficerowie z Rothesay dobrze je przyjmują.

Jego jesień w Rothesay jest wypełniona miłymi spotkaniami towarzyskimi w mieszanym gronie, zwłaszcza z Kościałkowskim i Balcerkiewiczówną, i męskimi dyskusjami o polityce. Odwiedza generała Rayskiego, który odrywa się od kucia słówek angielskich, by opowiedzieć mu o swych przedwojennych transakcjach z Anglią, świadczących o tym, że w 1938 roku była zupełnie nieprzygotowana do walk lotniczych. Spotyka się z generałem de Beaurin i słucha opinii, że Anglicy źle wybierają cele nalotów na Niemcy. Zapisuje ciekawy wywód kapitana Niezbrzyckiego o istotnych przyczynach mordu na Trockim. Przejmuje się kłopotami generała Schally'ego, którego żona i syn ciągle tkwią w Rumunii i nie mają za co ruszyć w dalszą drogę, a poczta angielska odmawia przesłania tam pieniędzy.

Kościałkowski, były premier, dostąpił zaszczytu zwiedzenia zamku Mount Stuart i zabiera Grażyńskich. Park robi na nich wielkie wrażenie. *Ale to tylko przyroda* – pisze Grażyński. – *Natomiast pałac w stylu gotycko-mauretańsko-hiszpańskim był ilustracją bogactwa oraz złego smaku. Był po prostu potworny w swym przepychu i brzydocie. Trafiały się tylko szczegóły piękne* (…). *Zimno w tym zamku, ponuro i stęchło*.

Dużo myśli o tym, jak ułożą się sprawy między Polską, Rosją i Anglią po klęsce Niemiec, w którą nie wątpi.

Zarysowuje parę sytuacji:

Niemcy zostały pobite, a Rosja wytrzymała w [słowo nieczytelne] do końca. Pytania: co się stanie z zaborem rosyjskim, czy Polska będzie sama prowadzić wojnę, czy Anglia zaangażuje się w te sprawy, czy istnieją możliwości dyplomatycznego uzgodnienia zwrotów terytorialnych i w jakim zakresie.

Niemcy pobite – a Rosja w swoim momencie wkracza do okupacji niemieckiej i zagarnia wszystkie polskie terytoria tworząc republikę sowiecko-polską. Jaką pozycję zajmie w tej sprawie Anglia.

Niemcy pobite – ogarnięte rewolucją. Rosja rusza na zachód by realizować misję światowej rewolucji komunistycznej. Co zrobi Anglia.

(…)

Ostatnia możliwość tkwi we wciągnięciu Rosji do wojny po stronie angielskiej. W tym wypadku są dwie możliwości. a) Niemcy pobiją Rosję przed własną klęską i stworzą tzw. Ukrainę do czego zmierzały już w 1918 roku. Otóż pobicie Rosji przy klęsce Niemiec byłoby cudownym powtórzeniem się sytuacji z roku 1918–20. b) Rosja nie zostanie pobita, ale będzie jako kombatant walczyć razem z Anglią aż do zwycięskiego końca. Wtedy będzie ona ważnym współczynnikiem pertraktacji pokojowych oraz zawieranego pokoju. (…) *Jak się zachowa Anglia. Jak daleko pójdzie w dochodzeniu naszych praw. Czy gotowa wystąpić zbrojnie.*

(…)

Już tylko proste zestawienie wszystkich możliwości wskazuje na to, jak ważny jest problem rosyjski i ile należy poświęcić mu czasu, energii i działania. Założenie rąk i bierne oczekiwanie cudownych wypadków nie jest nigdy mądrością polityczną.

Niewskazane

Czy obóz w Rothesay wytrzyma ideowo prenumeratę komunistycznego dziennika „Daily Worker”?

Chce go zamówić kapitan Jerzy Niezbrzycki, który przybył tutaj w pierwszej turze „zesłańców”. Timothy Snyder pisze o nim:

Od 1927 roku był najważniejszym oficerem polskiego wywiadu na sowieckiej Ukrainie, a od 1932 roku nadzorował działania wywiadowcze

w całym Związku Sowieckim. (…) *został kierownikiem Referatu Wschód w Wydziale Wywiadowczym Oddziału II, gdzie służył do 1939 roku. Niezbrzycki wniósł do Referatu Wschód dyscyplinę i ład. Zmusił wszystkich oficerów do posługiwania się kodami, opracował też szyfr główny, pozwalający nadać nazwy wszystkim placówkom i agentom oraz innym postaciom i instytucjom w taki sposób, by uniemożliwić pojedynczej placówce ujawnienie kodów stosowanych przez pozostałe. Za jego kadencji niemal wszyscy pracownicy polskich misji dyplomatycznych w Charkowie i w Kijowie byli wykorzystywani do pracy wywiadowczej, w tym (a nawet przede wszystkim) mechanicy i szoferzy. Nadał placówkom i agentom nowe kryptonimy, zadbał też o niezbędne wyposażenie: sowieckie mapy, polskie przewodniki, niemieckie leiki, amerykańskie fordy i belgijskie brauningi*[61].

Jerzy Niezbrzycki (z prawej) na balu prasy w Warszawie

Narodowe Archiwum Cyfrowe

To także ryzykant, dywersant, obieżyświat, publicysta, pisarz. Porusza się ze swobodą po Rosji, Ukrainie, Basarabii, Turcji. Jego teksty analityczne studiują politycy. Jerzy Giedroyc ceni go i drukuje w dwutygodniku „Bunt Młodych".

W 1930 roku wydał obszerną pracę *Polesie. Opis wojskowo-geograficzny i studium terenu*, pełną gruntownie zebranych danych (między innymi

o chaosie administracyjnym, analfabetyzmie młodzieży, demoralizacji ludności chłopskiej) i wyciągającą z nich wnioski polityczne i społeczne. Jest wierny idei Piłsudskiego, ale powołuje się we wstępie na myśl Władysława Sikorskiego, który w 1924 roku, po doświadczeniach wojny z bolszewikami, zwracał uwagę na znaczenie „wielkiego pasa przedniego" oddzielającego Rosję od środkowej Polski. Rosja na wschód od tego pasa posiada bezbrzeżne obszary ratujące ją od ostatecznej klęski, Polska zaś po utracie tego bufora wykrwawia się w wojnie w środku kraju.

Jerzy Niezbrzycki jest rozmowny i towarzyski. Wygłasza pogadanki dla oficerów; to się mieści w planach szkolenia obozu. Mękarski słucha go z uwagą. Ósmego sierpnia, dziesięć miesięcy przed atakiem Niemiec na Związek Radziecki, notuje pod wpływem wywodów Niezbrzyckiego: *Dwustumilionowa Rosja z dwustu z górą dywizjami, opętana mistycznym celem społecznej rewolucji światowej, szafująca beztrosko materiałem ludzkim w imię tego celu – sprawi Niemcom niespodziankę na miarę dziejową. Stara zdechła Europa panicznie ucieka na brzeg Atlantyku, a problem jutra to problem Europy komunistycznej*.

Kiedy indziej pisze, że Niezbrzycki *zna Rosję sowiecką, może najlepiej wśród Polaków w Anglii. Zrozumienie strony dialektycznej tej doktryny powinno być pomocne przy tworzeniu kryteriów polityki realnej.* (…) *Niezbrzycki jest umysłem ciekawym i spekulatywnym, mógłby może odegrać w przyszłości rolę nieprzeciętną*.

Wniosek o prenumeratę „Daily Worker" został przyjęty przez Jatelnickiego, ale komendant nie może sam decydować w tak politycznej sprawie i kieruje go wyżej. Chyba delikatnie popiera prośbę Niezbrzyckiego, bo opatruje ją informacją, że gazeta ma debit w Wielkiej Brytanii. Dodaje, że kapitan Niezbrzycki pragnie kontynuować studia nad ruchem komunistycznym[62].

Generał Kukiel, dowódca Obozów i Oddziałów Wojska Polskiego w Szkocji, odpowiada, że prenumerowanie komunistycznego dziennika uważa za niewskazane[63].

Masoni

Wyspa Bute od razu polubiła Polaków.

Młode Szkotki uczą dzielnych aliantów swojego języka. Ci mężczyźni po przejściach zasługują na trochę radości i serdeczną opiekę. I umieją się lepiej przypodobać pannom niż miejscowi chłopcy. Zresztą liczba chłopców zmalała, jadą na front. Dudziarze w kiltach grają im na przystani.

Podpułkownik Umiastowski zauważył, że ludność wyspy tak dużo zarabia na letnikach przez trzy miesiące letnie, że w pozostałych może tylko tańczyć.

Ale nigdy jeszcze Rothesay nie bawiło się z takim zapałem jak tego roku.

Chłopcy z Domino Band najmują dorożki z woźnicami w cylindrach i jadą ze swymi instrumentami z potańcówki na potańcówkę, z balu na bal. Do modernistycznego Pawilonu, do kamiennej twierdzy Glenburnu z kaskadą schodów do morza, stromych jak rozbieg skoczni narciarskiej, do Ogrodu Zimowego pod szeroką kopułą rozpiętą na wachlarzu ze stali, do hotelu Royal, do kina Regal. Wszędzie ludzie chcą tańczyć przy żywej muzyce, śpiewać i flirtować. Opuszczają zabawę nad ranem, oświetlając sobie drogę słabymi latarkami dozwolonymi podczas zaciemnienia.

Kino Ritz zadziwiło widzów występami magika Artura Pagana, który na oczach publiczności połknął osiem brzytew. Widzowie błagali, by przestał, i przy każdej następnej chcieli wołać przedsiębiorcę pogrzebowego. Arystokrata magików (jak głosił plakat) łykał jednak i łykał, i wyglądał tak, jakby mu to sprawiało niebywałą rozkosz. Ranek po występie miał jednak ciężki. Do hotelu wtargnęła zrozpaczona matka, której syn postanowił pójść w ślady iluzjonisty, i uratowano go w ostatniej chwili. Niech się magik zastanowi, co czyni przy dzieciach!

Na wszystkich dancingach i balach zbiera się datki na potrzeby wojenne. Najwięcej pieniędzy wsypano do puszek na balu wolnomularzy w hotelu Glenburn. Pani Lokhard, żona najhojniejszego ofiarodawcy, nagrodziła czekoladkami tancerzy, którzy zwyciężyli w konkursach, i zadbała o godny poziom bufetu. A o świcie ukazał się gościom święty Jan, patron rothesayańskiej loży zarejestrowanej sto dwadzieścia lat temu.

Wjechał na parkiet na jednym z tych rumaków rasy clydesdale, które umieją zachowywać się na paradach, nie płoszy ich trąbka ani bębenek. Czuł się w sali balowej zupełnie swobodnie, ponieważ w życiu ziemskim jest menedżerem hotelu Glenburn. Podziękował gościom i oddał głos panu Lokhardowi, który go zapewnił, że istotą ruchu wolnomularzy jest

dobroczynność, zwłaszcza teraz, gdy przez świat przewala się katastrofa i wezwanie do pomocy bezbronnym brzmi głośniej niż kiedykolwiek.

Masoni od dawna zżyci są z wyspą, a wyspa z nimi. Zanim medyk John Stobo (który nauczył tutejszych wieśniaków kopcowania kartofli, co radykalnie zmieniło ich życie – nie głodowali już na przednówku) zgromadził piętnastu braci w tawernie przy ulicy Zamkowej w Rothesay i formalnie założył Lożę Świętego Jana, wolnomularze już byli na Bute. W rothesayańskim muzeum stoi za szkłem wielki biały dzban pokryty precyzyjnym czarnym rysunkiem. Wokół szeroko otwartego oka mądrości, które sypie promienie, wytrawiono księgę i cyrkiel, pion, węgielnicę i kielnię, datę: tysiąc siedemset dziewięćdziesiąt siedem, i adres: John Blain, Collector of Rothesay. Blain, najważniejszy wtedy obywatel miasta, jego skarbnik i szeryf, znalazł czas, by napisać historię Bute, przechowywaną w manuskrypcie od dwustu lat. Dzban był darem masonów dla zasłużonego obywatela.

Wolnomularstwo na Rothesay zawsze było jawne. Kiedy już w wieku dwudziestym bracia sprawili sobie fartuchy i szarfy, przemaszerowali w nich przez główne ulice miasta. Pierwsza szła flaga, na którą uzyskali oficjalny kredyt.

Wkrótce potem mistrzem ich loży został ksiądz z kościoła Świętego Pawła, bo wolnomularstwo żyło tutaj w zgodzie z Kościołami.

Masoni z Bute spotykali się przez wiele lat w wynajętych salach. Rothesay zyskiwało sławę jako kąpielisko, jego mieszkańcy się bogacili, co naturalnie nie omijało braci, bardziej nawet zaradnych niż inni. Zbudowali więc sobie dom zebrań, a tuż przed wybuchem drugiej wojny światowej wynajęli artystę, żeby pokrył malowidłami ściany głównej sali. Tak się szczęśliwie złożyło, że brat Davidson niedawno zakończył pracę przy dekoracjach nowego kina Regal i z radością wykorzystał talent i doświadczenie w swojej świątyni.

Tymczasem młodsi członkowie loży dostawali karty powołania.

Kiedy wrócili z frontów, mogli stanąć przed malowidłami zapierającymi dech w piersiach wszystkimi kolorami tęczy, kobaltem i złotem.

Według różnych pogłosek, krążących po polskim Londynie i po Rothesay, na wyspę Bute wysyła się między innymi ekshibicjonistów (słowo „homoseksualiści” nie jest jeszcze używane), alkoholików, malwersantów i masonów; jednym słowem, złe towarzystwo. Piłsudski sprzyjał masonom,

podobno pomagali mu przygotowywać zamach majowy i zostali za to wynagrodzeni. Wśród jedenastu ministrów w pierwszym pomajowym gabinecie było co najmniej pięciu masonów, w tym premier Kazimierz Bartel. Rok 1926 zapisał się największą liczbą lóż podległych Wielkiej Loży Narodowej; należało do nich ponad czterystu braci[64]. Badacz historii polskiego wolnomularstwa w okresie między wojnami zapisał, że najliczniej byli w nim reprezentowani piłsudczycy różnych odcieni, z przeszłością legionową, peowiacką lub strzelecką, często socjalistyczną, związani z frakcją rewolucyjną[65]. Ta dobra chwila wolnomularstwa polskiego nie trwała długo. Nie pozwoliła na to polityka. Spory polityczne i ideowe między liberałami a nacjonalistyczną prawicą posłuszną hierarchii kościelnej wkroczyły do lóż. W październiku 1938 roku Wielka Loża rozwiązała się sama, a miesiąc później prezydent RP skasował dekretem organizacje wolnomularskie. Drobne grupy braci działały nadal, konspiracyjnie; krążyły pogłoski o ich wielkich wpływach międzynarodowych.

Niechętni im politycy zestawiali słowo „mason” ze słowem „żydokomuna” albo słowem „szpieg”.

Loża Świętego Jana w Rothesay. Malowidło brata Davidsona

dzięki uprzejmości Loży Świętego Jana w Rothesay

Wielka Loża Narodowa była zbliżona do obrządku szkockiego. Nie należy jednak przypuszczać, by wolnomularze, którzy trafili na Bute, na przykład były premier Zyndram-Kościałkowski czy były generał dywizji Stefan Dąb-Biernacki, członkowie polskiej Loży Tomasza Zana, odwiedzili tutejszą, Świętego Jana.

Pod koniec października, w sobotnie popołudnie, Rothesay wita uroczyście przewodniczącego Związku Harcerstwa Polskiego Michała Grażyńskiego, któremu lord Baden-Powell nadał zaszczytną odznakę Srebrnego Wilka.

„Buteman" poświęca temu wydarzeniu dwie szpalty na szóstej stronie. Skąpi miejsca, bo w lecie zmniejszył kolumny. Musiał kupić nową maszynę drukarską, ale to się opłaci – papier jest drogi.

Święto zaczyna się na nabrzeżu. Drużyny dziewczęce, chłopięce i zuchowe podążają tu z Rothesay i z Port Banantyne, na czele idą trąbki i flety. Maszerują do kamiennego gmachu szkockiego kościoła prezbiteriańskiego, jednej z tych świątyń, które postanowiły upamiętniać dramat pierwszej wojny światowej, a teraz wspomagają wysiłek wojenny aliantów.

W nawie zawieszono dwie flagi, brytyjską i polską.

Pan Colin MacRae, szef skautów, przedstawia zebranym doktora prawa kapitana Michała Grażyńskiego, najważniejszego harcerza walecznej Polski, kłania się pani Grażyńskiej i dziękuje, że zaszczycili miasto wizytą. Wspomina, że wielki gość nie tylko brał udział w wojnie, która trwa. Walczył także o to, by jego kraj uzyskał niepodległość po Wielkiej Wojnie.

Grażyński mówi o braterstwie obu krajów i o dzielności wojennej harcerzy polskich i szkockich. Ściska dłonie trzydziestu skautom, którzy zakończyli właśnie półroczną służbę przy zbieraniu *sphagnum* na łąkach Bute.

Spotkanie zamyka uroczysty obiad w hotelu Royal, z udziałem władz miasta.

Z okien restauracji widać ruch statków.

Na morze! Oto okrzyk, który musi nastawić na nową melodię nasze serca, mięśnie i mózgi. Biało-czerwona bandera niech się jawi w każdym zakątku mórz i oceanów, a piosenka naszego marynarza niech brzmi w rozgwarze międzynarodowych portów. Życie samo zaprasza Was, harcerki i harcerze, na szerokie gościńce[66].

Michał Grażyński pisał to w odległej epoce, cztery lata wcześniej.

Teraz notuje w dzienniku:

Ciekaw jestem czy w związku z tą uroczystością nie zastosują do mnie jakiegoś postępowania, chociaż nie widzę podstaw do tego, ze względu na to,

że byłem po prostu poproszony na uroczystość skromną, nie mogłem przeto odmówić, bo byłaby obraza, nadto dostosowałem się do prywatnego charakteru uroczystości i zamknięcia jej w ramach skautingu, a wreszcie wykonałem pożyteczną pracę dla Polski, co prawda na bardzo skromnym, drobnym odcinku.

Miasto Rothesay, które go przyjmuje tak serdecznie i godnie, nie ma pojęcia, że główny harcerz walecznej Polski już właściwie nim nie jest. On sam prawdopodobnie jeszcze o tym nie wie.

Mech

Nie tylko harcerze zbierają *sphagnum*, czyli torfowiec, zalegający w miękkich zielonych poduchach na stokach wzgórz i w dolinach Bute. Jego szypułki są gęsto zbite, ale niektórym pędom udaje się wydobyć ponad tę gęstwę i wtedy widać, że najmłodsze listki układają się w kształt szarotki.

Zbierają go także kobiety. Na jednym z nielicznych zdjęć wojennych zachowanych w rothesayańskim archiwum idą gęsiego, dźwigając na plecach toboły, podobne do tych, jakie młode Słowianki zabierały w podróż emigracyjną do Ameryki. Emigrantki upychały w tobołach pierzyny, kobiety z Bute upychają mech. Fotografia mówi, że grupa jest raczej miejska niż wiejska, a podpis wyjaśnia: *To nie siedem krasnali, ale panie z Czerwonego Krzyża zbierające torfowiec koło Rhubodach*[67].

Wojenne zbieranie torfowca na Bute

archiwum Bute Museum

Osób na zdjęciu jest zresztą co najmniej dziesięć. Idą nad wodą, za którą majaczą wzgórza na drugim brzegu. Fotograf musiał się ustawić w wysokich paprociach; wierzchołki ich liści przesłaniają dolną część obrazu.

Sphagnum leczy. Badacze jego zalet znaleźli wiadomość, że już w tysiąc czternastym roku ranni w krwawej bitwie dwóch irlandzkich dynastii pod Clontarf przykładali mech do swych ran[68].

Myśliwi wiedzieli, że ranne zwierzęta przywierają do kęp torfowca.

Zanim wybuchły wielkie wojny dwudziestego wieku, medycyna nie zwracała na niego uwagi.

Teraz jest potrzebny. Ma mnóstwo zalet. Jest dostępny w nieograniczonych ilościach, wydajny, skuteczny. Nic nie kosztuje. Niezwykle łatwo przygotować go do użytku.

Zebrane ziele należy oczyścić z obcych liści, gałązek i igieł i dobrze wysuszyć. Można przedtem wycisnąć z niego wodę. Jest elastyczne, wraca do swej zwykłej formy i może pić płyn na nowo. Wysuszone, zapakowane w torebki z cienkiego muślinu, staje się po sterylizacji suchym, lekkim tamponem.

Dzięki gąbczastej strukturze mech wchłania dwa razy więcej płynu niż najlepsza wata. Wsysa go całą powierzchnią, rzadziej więc męczy się rannego

zmianą bandaży.

Wielu oficerów zatrzymanych na Bute ma w dorobku wojennym krwawiące rany, wiedzą, co znaczy dobry opatrunek. Mają dużo czasu, mogliby pomóc kobietom w dźwiganiu tobołów.

Nikt jednak im tego nie zaproponował. Rothesay nie może, bo obóz podlega polskim władzom wojskowym. Władze musiałyby się zastanowić, czy zbieranie zielska nie narusza godności oficera WP. Część oficerów byłaby może zadowolona z takiego zajęcia na świeżym powietrzu. Inni poczuliby się upokorzeni samą propozycją. Lepiej nie otwierać nowego frontu, zwłaszcza w sprawie tak błahej jak mech.

Na pewno nie urągałby mundurowi Wojska Polskiego udział w pracach Home Guard, brytyjskiej obrony terytorialnej. Brytyjczycy jednak mają wątpliwości, czy przyjmować do niej oficerów izolowanych na Rothesay. Polskie władze wojskowe utrzymują zniechęcającą klasyfikację: obóz skupia ludzi starych, chorych i niepewnych politycznie.

Generał Jatelnicki pisze do dowódcy I Korpusu generała Kukiela: *Tego rodzaju klasyfikacja, oparta na bliżej nieznanych mi podstawach, jest niezgodna z rzeczywistością i automatycznie zamyka drogę tym oficerom do jakiejkolwiek dalszej służby w wojsku*. I zapewnia go, że w obozie jest paruset ludzi zdolnych do służby w Home Guard z pożytkiem dla innych i siebie. Gotów jest w każdej chwili przedstawić ich listę. *W związku z uprzednio składanymi przeze mnie meldunkami jeszcze raz proszę Pana Generała o rozpatrzenie sprawy użycia oficerów w ramach dzisiejszych możliwości i spowodowanie zmiany powyższego punktu widzenia władz brytyjskich, która jest dla większości oficerów tut. Obozu wysoce krzywdząca*[69].

Polacy z Rothesay nie dołączyli jednak do szkockiej obrony terytorialnej. Nie ma ich na zdjęciach z patriotycznej parady umundurowanych wolontariuszy maszerujących przy wiwatach tłumu ulicą Wiktorii.

Dry czy *wet?*

Miły pokoik w hoteliku Glenearn, z widokiem na morze i piskiem mew za szybą, przestał się podobać Stefanowi Mękarskiemu. Pisze, że ta mansarda to właściwie stryszek, bez stołu i światła, i hula po nim wiatr morski. Nie da się

tu mieszkać. W bawialni też jest nieznośnie, z innego powodu. Rodacy grają w niej bez przerwy w karty. To prawie karciany obóz koncentracyjny! Na dodatek jeden współtowarzysz, deliryczny pijak, pokonuje schody na czworakach, inny, asystujący jakiejś szkockiej wesołej wdówce, dręczy Mękarskiego tkliwym współczuciem.

Trzeba się wynieść. Coraz więcej miejsca w kolejnych rozkazach dziennych generała Jatelnickiego zajmują komunikaty, że temu i tamtemu zezwolono na przeprowadzkę. Mękarski mieszka więc teraz u pań Morrison, starszej wdowy z córką. Czteropokojowy lokal z dywanami, pianino, gablotka ze starym serwisem, kredens solidny i lustrzany oraz sakramentalny kominek. Przy kominku dwa głębokie fotele, w których można się zanurzyć. Cisza. Wygląda na to, że przez jakiś czas Mękarski nie będzie narzekać.

Szkoci proponują dzielnym Polakom coraz to nowe przyjemności i wygody, a rozkazy dzienne podają to wszystkim do wiadomości.

Pływalnia wpuszcza Polaków bezpłatnie. Niestety za kąpiele już trzeba zapłacić. Są solankowe, piankowe, siarkowe i z wodorostami. Niedrogo. Rothesayański klub brydżowy przekazał polskiej Komendanturze tygodniowy rozkład rozgrywek i czeka na graczy. Można na nich liczyć. *Bridge powinien być uznany za polską grę narodową: licytacja i rozgrywki. To jedno, co nasi potrafią robić bez zarzutu*[70] ocenił drugiego listopada 1940 roku we Francji pisarz Andrzej Bobkowski.

Protestanci proponują w swoim kościele lekcje poprawnej wymowy i konwersacje. Klub golfowy, który nie przerywa zajęć, mimo że trawa nie trzyma normy, chętnie przyjmie polskich oficerów jako narybek. I już wiadomo, że są kandydaci. Wytrawny sportowiec, sześćdziesięcioletni pułkownik kawalerii w stanie spoczynku Włodzimierz Ignacy Woldemar hrabia Tyszkiewicz-Łohojski pięknego herbu Leliwa, pochodzącego podobno z czternastego wieku, z półksiężycem, gwiazdą i rozpostartym pawim ogonem w klejnocie. Korty tenisowe stoją otworem. Ekskluzywny Klub Aliantów też chce gościć Polaków i pyta, jakie mają zainteresowania – *dry* czy *wet*? Na sucho czy na mokro? Chodzi o stosunek do trunków. Reglamentacja żywności nie obejmuje używek – alkoholu i papierosów jest pod dostatkiem. I przede wszystkim tańce. Generał Jatelnicki zachęca, by oficerowie korzystali z zaproszeń do klubów i na miejskie imprezy, aby nie urażać gościnnych gospodarzy. Nadużywanie alkoholu przez Polaków i ich wybujała swoboda

w lokalach dancingowych zmuszają jednak Komendanturę do ostrej reakcji – oficerowie mają o północy wracać na kwatery. Niezależnie od rangi.

Szkoci bardzo dbają, by nie dotknąć niczym swych gości, zauważyli, że są honorowi. Nauczycielka panna Jennie Tait, która podczas lekcji angielskiego w akademii powiedziała, że Szkocja jest najpiękniejszym krajem na świecie, połapała się natychmiast, że trzeba dodać: z wyjątkiem Polski. Równie uprzejme i miłe są inne nauczycielki: panna McKay, panna Duff, panna Doggar, panna Hodge, panna McCabe, panna MacCallum. Jennie Tait ofiarowała uczniom angielskie bajeczki – dreszczowce, i cieszy się prezentem od Mękarskiego – angielskim wydaniem *Quo vadis*. Mękarski zauważa jednak z lekką goryczą, a nawet przyganą, że nazwisko autora nic jej nie mówi.

Michał Grażyński, zaproszony w gronie sześciu oficerów na herbatkę do domu innej nauczycielki, z przyjemnością opisuje tę wizytę w dzienniku. Dom jest piękny, otoczony ukwieconym ogrodem, w salonie stoi nowoczesna szafa biblioteczna, a na pianinie rozłożono nuty. Rodzice panny są sympatyczni, ona sama *niespodziewanie wypiękniała w atmosferze domowej i w fałdach czarno-niebieskiej sukienki nie raziła jej przerażająca chudość.* Starsi zasiedli do brydża, młodsi zaczęli od opowiastek o duchach, które rozwinęły się w rozmowę o Poem, Chestertonie i Oscarze Wildzie. Okazało się jednak, że inteligentni gospodarze znają tylko dwa fakty z historii Polski – że w osiemnastym wieku przeszła rozbiory, a w dwudziestym otrzymała korytarz pomorski.

Kiedy Grażyński wyjaśnił gospodarzom, że korytarz był nieszczęśliwym produktem traktatu wersalskiego i że już wtedy należało wcielić Prusy Wschodnie do Polski, zapytali, czy nie należałoby dać Niemcom w zamian innego terytorium polskiego.

Okazuje się, jaki jest system myślenia Anglików – tu Grażyński wcielił Szkocję do Anglii – *i ile pracy trzeba będzie włożyć w propagandę, by przygotować opinię angielską na konieczność wielkich amputacyj dzisiejszego trzeciego Reichu.*

Tak więc Polacy moszczą się w nowym życiu.

Zrobili zrzutkę, kupili używany samochód i robią kurs jazdy i mechaniki.

Generał Rouppert, który zaliczył angielski w pierwszej kolejności i teraz uczy początkujących, chce założyć kółko naukowe.

Sprowadzono krawca z Glasgow, specjalistę od uniformów. Można u niego nie tylko zamówić mundur, ale także kupić gwiazdki, lampasy, baretki.

Komendantura otworzyła świetlicę: radio, prasa polska, pisma angielskie i trochę książek.

Jest już chór i przyjmuje chętnych. Komendant gotów jest zwalniać chórzystów z różnych innych zajęć, byleby przygotowali jakiś repertuar i zaśpiewali dla Szkotów.

No i rzeczywiście, występ chóru polskiego spodobał się miastu, pochwaliła go prasa, ale Mękarski jak zwykle marudzi. Zastanawia się, jak wytłumaczyć miejscowym słuchaczom dziwne słowa hymnu, który wzywa Polaków, by wyszli z ziemi włoskiej do polskiej. Przecież zadaniem polskich żołnierzy jest dzisiaj prać Włochów, gdzie się da, czynią to właśnie w Afryce. Na szczęście żaden Szkot nie żąda od Polaków egzegezy śpiewanych utworów.

Zawiązuje się kółko sceniczne. O ile łatwiej wystawić sztuczkę w takim obozie jak Rothesay niż w oflagu niemieckim. Tu role kobiece mogą zagrać polskie żony albo szkockie przyjaciółki. W oflagach nawet subretką musi być mężczyzna; demaskuje go tylko kształt kolan. Aktorzy, tak jak chórzyści, mogą w Rothesay liczyć na zwolnienie z innych czynności, których liczba rośnie, mnożą się różne wykłady i kursy, a obecność na nich jest obowiązkowa.

Poszukuje się oficerów grających na organach lub fisharmonii.

Poszukuje się spikerów.

Poszukuje się członków Sodalicji Mariańskiej.

Poszukuje się oficerów, którzy mogliby prowadzić lekcje geografii i historii Polski dla polskich dzieci – już ich tyle sprowadzono na wyspę. Może w związku z tym wzywa się kapitana Ignacego Raczkowskiego, by zgłosił się do dyrektora naukowego. Według przedwojennych opinii Rak jest sumiennym instruktorem i interesuje się literaturą fachową; stanowi dobry materiał na nauczyciela.

Ambularium przy Komendanturze zatrudnia już siedmiu lekarzy, między innymi chirurga, laryngologa, dermatologa.

Należałoby wybrać sąd honorowy, ale ciągle brak kworum. Rozkaz dzienny nie informuje, kto go wybiera.

Mękarski znudził się w fotelu u pań Morrison i pomaga w kancelarii Komendantury, która chętnie na to przystaje. To człowiek, który popsuje

każdą sielankę:

Patrzę na „to” „wojsko” z uczuciem najgłębszej niechęci, zrezygnowanej rozpaczy. Jakąż bzdurą niepospolitą jest wojsko, które nie walczy, które nie jest w ogniu… „Wszedłem” w kancelarię tego smutnego interesu, dowiaduję się codziennie na nowo, że panowie generałowie, pułkownicy, kapitanowie nie umieją mówić i pisać po polsku, że dokoła zezwolenia na prawo używania laski majorowi Miszczyszynowi toczą się przez trzy dni długie sztabowe konferencje; że jakiś głupawy szpicel z całą pasją kontroluje pocztę wysyłaną przez oficerów i nadchodzącą do nich; że zużywa się dziennie całe bele drogiego papieru na zapisanie go rozkazami, zakazami, odmowami, pozwoleniami, wyznaczeniami, odwołaniami, zgłoszeniami, przypomnieniami, zwracaniami uwagi, awizami o ewidencji i jeszcze raz ewidencji. Jesteśmy od chwili opuszczenia Polski zewidencjonowani bodaj kilkaset razy. (…) *Kancelaria wojskowa jest straszliwym polipem. Obserwując tą instytucję, myślę, że ktoś powinien kiedyś zrobić szczegółowe studium kwestii: ile zła, ile szkody uczyniła wojsku w Polsce przez lat 20 – kancelaria wojskowa?*

Naszywki na rękawy z napisem „Poland” są już gotowe, ale ta naszywkowa ewidencja sprzymierzeńców też nie podoba się Mękarskiemu. Czuje się jaskrawo napiętnowany białą nazwą ojczyzny na krwawym tle.

Gdyby jednak nie kancelaria – co wiedzielibyśmy dzisiaj o stacji zbornej w Rothesay?

A gdyby nie napiętnowanie napisem „Poland”, czy lord David Stuart zaczepiłby Umiastowskiego podczas spaceru nad morzem?

Stuartowie

Podpułkownik Roman Umiastowski cały dzień szukał mieszkania. Dostał wprawdzie kwaterę w hotelu Victoria, ale nie dało się tam pracować. Chciał pisać swój dziennik, potrzebował spokoju. Chodził po mieście, a potem zmęczony włóczył się nad brzegiem. Kierowca, który go zobaczył z bulwaru, zatrzymał samochód i wysiadł. Był to David Crichton-Stuart, syn markiza Bute. Dołączyły dwie panie. Zaprosili Polaka na podwieczorek.

O tym podwieczorku nic niestety nie wiemy. Czy odbył się w restauracji

jakiegoś hotelu w Rothesay czy w Mount Stuart, wielkiej rezydencji Stuartów pod Rothesay, czy w mniejszej rezydencji Kames w Port Bannatyne; o czym mówili?

Umiastowski odnotowuje tylko spotkanie nad brzegiem i pisze dalej, że ludzie, którzy tu żyją, przypominają mu ruch okrętów na głębokich jeziorach-rzekach wrzynających się daleko w ląd zatoki. I porzucając poetyckie porównania, ocenia, że ci ludzie nie znają wojny.

Nie napisałby tego może, gdyby podwieczorek doszedł do skutku (ale wygląda na to, że się nie odbył). David Crichton-Stuart, syn czwartego markiza Bute, ma podczas rozmowy na bulwarze dwadzieścia dziewięć lat i jest członkiem ochotniczej rezerwy Królewskich Sił Zbrojnych. Trzej jego bracia służą w legendarnych szkockich regimentach – Robert w Gwardii Szkockiej, Patrick w 12. Pułku Lansjerów (Black Watch), Rhidian w pułku piechoty o zasłużonej nazwie Czarna Straż, której zielono-granatowy tartan stał się najpopularniejszą kratą wojskową Szkocji. Czwarty, najstarszy brat, John, noszący dziedziczny tytuł hrabiego Dumfries, ornitolog z zamiłowania, zaciągnął się, jak już wiemy, na HMS Cyclops i pracuje tam jako szyfrant, w randze porucznika. Jak wspomina Jess Sandeman, która też pracowała wtedy na tym okręcie, *był bardzo pojętny i doskonale zgrał się z innymi*[71]. Wtedy nie był jeszcze piątym markizem Bute, ale zostanie nim w 1947 roku, po śmierci ojca.

Mount Stuart, rodzinna rezydencja Stuartów, leży kilkanaście kilometrów od doku, w którym stoi Cyclops, więc John Crichton-Stuart wraz z żoną Eileen, córką wysokiego rangą szkockiego oficera i bajecznie bogatej Amerykanki, mieszkają teraz w piętnastowiecznym zameczku Kames, parę kroków od Port Bannatyne. Można ich spotkać na ulicy albo w autobusie. Ludzie łatwo rozpoznają Eileen Crichton-Stuart, która zawsze ma pod ręką paczkę papierosów w kieszeni płaszcza z wielbłądziej wełny. Organizuje prace Czerwonego Krzyża, między innymi zbieranie torfowca.

Ogromna rezydencja Mount Stuart, na południowy wschód od Rothesay, idąc ciągle brzegiem, a potem pod górę, nie jest dostępna dla mieszkańców Bute, wyjąwszy naturalnie wszelkiego rodzaju służbę i ogrodników, a także fachowców dbających o obrazy, witraże, rzeźby, tkaniny, marmury, alabastry i księgi.

W czasie Wielkiej Wojny czwarty markiz Bute pozwolił zorganizować

w pałacu szpital dla wojska. Teraz, podczas drugiej, której nikt jakoś nie nazywa wielką, może dlatego, że jeszcze nie wiadomo, na co się zanosi, a może w obawie przed wywołaniem większego nieszczęścia, lazaret nie jest na Bute potrzebny.

Bomby wciąż nie spadają na wyspę. Bombowce lecą nad Londyn.

Blitz zaczyna się siódmego września. Pierwszej nocy Niemcy atakują Doki. Jest czterystu zabitych i tysiąc czterystu rannych. Naloty nie ustają przez pięćdziesiąt siedem kolejnych nocy. Całe kwartały domów płoną. Londyn traci podczas bombardowań dwadzieścia tysięcy mieszkańców.

Trzeba zobaczyć bitwę w Londynie! Trzeba tam jechać! – pisze Umiastowski.

Bierze przepustkę i jedzie. *Gdy chodzę po tym bombardowanym mieście, o ileż jestem bliższy tych drogich, którzy przed rokiem w straszniejszych warunkach walczyli w Warszawie. Walczyli tak, jak tu ludzie walczą.*

Pałac Mount Stuart z wieżą kaplicy

Małgorzata Szejnert i Piotr Pietrzak

Chce jechać do Northolt, do Dywizjonu 303, który zestrzelił już siedemdziesiąt samolotów niemieckich, by napisać o tych polskich lotnikach, ale uprzedził go w tym pomyśle Arkady Fiedler[72].

Nie tylko Umiastowski bierze w Komendanturze przepustkę do Londynu, jakby los miasta przyciągał żołnierzy odsuniętych od wojny. Generał Jacyna-

Jatelnicki dołącza więc do rozkazu dziennego z piątego października apel Komendy Placu w Londynie. Zwraca się ona do „osób wojskowych”, by unikały schronów na stacjach i w korytarzach kolejek podziemnych i pozostawiały tam miejsce dla kobiet, dzieci i starców. Układanie sobie posłań w podziemiach, głośne pogawędki, a nawet granie w karty, o czym powiadomiono Komendę, nie licuje z honorem żołnierza.

Zaduszki

Stefan Mękarski nie wie, gdzie jest cmentarz na wyspie, Bute i nie chce wiedzieć. Jest obrażony na Szkotów, że nie znają Zaduszek, co gorsza, dziwią się Polakom, którzy chcą obchodzić Święto Zmarłych i nawet mają je w kalendarzu.

Roman Umiastowski zna drogę i na cześć swoich bliskich zmarłych zapala trzy świece pod murem. Na cmentarzu panuje taki porządek, że nie można ich postawić gdzie indziej – zanotował w dzienniku. Nie wiemy jednak, dokąd poszedł – czy na rozległą nekropolię High Kirk, czy mały cmentarz Croc-an-Raer, przy ruinach starego kościoła, niedaleko Port Bannatyne.

Na obu jest pewnie jednakowy ład. Wprawdzie we wrześniu na tym małym dokonano pochówku wbrew porządkowi natury i ludzkim zasadom, lecz nie można było inaczej.

Dwudziestu jeden marynarzy z wielorybniczego statku Coronda pogrzebano w siedmiu skrzyniach, pod siedmioma białymi krzyżami. Szczątki z trudem wydobyto z wraku. Nie można ich było zidentyfikować, rozdzielić, dopasować, wtedy nie znano jeszcze struktury DNA. Niemiecka torpeda uderzyła w magazyn broni pod kajutami załogi.

Coronda była wtedy w drodze z Islandii do Liverpoolu z ładunkiem oleju. Płonęła przez pięć godzin na wodach Irlandii Północnej. Kiedy ogień przygasł, wzięto statek na hol i zaciągnięto wzdłuż lewego brzegu Bute do nabrzeża przy miasteczku Tighnabruaich, o którym jeszcze usłyszymy z innych powodów.

Należał do edynburskiej firmy norweskich braci Salvesen i był ich drugim parowcem o tej nazwie. Pierwsza Coronda w 1913 roku miała chwilę sławy. Pisały o niej wszystkie szkockie gazety. Przywiozła do nowego zoo

w Edynburgu sześć młodych pingwinów. Żaden zwierzyniec na świecie nie miał jeszcze tych ptaków, były maskotkami miasta i kraju, jak ta słoniczka, która przyszła na świat w warszawskim ogrodzie zoologicznym za dyrekcji profesora Żabińskiego w 1937 roku i dostawała listy od dzieci z rysunkiem słonia zamiast adresu.

Sympatia do pingwinów przeniosła się na parowiec i jego załogę.

Pięć lat później zatopiła go niemiecka torpeda. Już nie wrócił do służby na Wielkiej Wojnie.

Druga Coronda, wyremontowana w Port Bannatyne, będzie służyć do końca drugiej wojny światowej.

Mały cmentarz Croc-an-Raer leży niedaleko domu numer siedemdziesiąt sześć przy ulicy Ardbeg. Trzeba iść pod górę, ale wzniesienie jest łagodne i wieje świeży wiatr od morza.

Tego roku Dziuni nie ma jeszcze chyba na Bute, ale jestem pewna, że kiedy przyjedzie, zapali świeczkę na grobach marynarzy z Corondy.

Już po Zaduszkach. W stronę Rothesay znowu płynie okręt widmo. Nie przepołowiony jak Imperial Transport, lecz ślepy, bez steru, z wielkimi literami SOS na nadbudówce. To tankowiec San Demetrio. Ma w ładowniach jedenaście tysięcy ton benzyny lotniczej. Wypłynął z Kanady do Anglii w konwoju trzydziestu ośmiu okrętów. Dwa osłaniające niszczyciele wyprowadziły go na otwarty ocean i zawróciły. Pozostał pod opieką krążownika HMS Jervis Bay. Tymczasem niemiecki pancernik wypatrzył konwój i atakuje. Dzielny dowódca Jervis Bay chce dać podopiecznym statkom czas na ucieczkę. Kieruje swój krążownik przeciw Niemcowi i walczy z nim ponad dwadzieścia minut, zanim pójdzie na dno z całą załogą – stu dziewięćdziesięcioma marynarzami. Pancernik zmiata mostek kapitański na San Demetrio. Ugodzony statek, pełen benzyny, zaczyna się palić. Załoga opuszcza go w dwóch łodziach, ciągle pod ostrzałem. W nocy jedna łódź zostaje podjęta przez inny okręt, druga dryfuje przez całą dobę, by zobaczyć na horyzoncie własny tankowiec. Nie wybuchł, ale wciąż płonie. Mają do wyboru – ogień albo wyziębienie na oceanie. Wybierają ogień, który przygasa, lecz ciągle jest groźny. Czekają, by osłabł.

W nocy odległość między nimi a San Demetrio zwiększa się do pięciu mil morskich. Skostnieli z zimna, stawiają żagiel. Doganiają okręt, wdrapują się na pokład po rufie, gaszą pożar, uruchamiają silnik. Tak jak załoga Imperial

Transport nie mają przyrządów nawigacyjnych, jedynie szkolny atlas geograficzny. Czasem słońce przebłyskuje przez chmury i mogą sprawdzić kierunek. Czują się już tak pewnie, że nie chcą korzystać z pomocy francuskiego holownika, bo straciliby odszkodowanie za uratowanie statku i ładunku. Wchodzą dumni i szczęśliwi do portu. Odszkodowanie wynosi ogromną wtedy sumę prawie piętnastu tysięcy funtów. Dzielą ją pomiędzy siebie i rodzinę jedynej śmiertelnej ofiary.

Pewnie nie daliby sobie rady, gdyby nie znali na pamięć okolicznych brzegów. Szyper pochodzi z Kilchattan, kucharz był właścicielem hotelu Grand Marine w Rothesay, dwóch matów też jest stąd.

Hotel Grand Marine służy teraz Polakom. Nazywają go Grandmaryna. Stefan Mękarski odwiedza tam czasem pułkownika Jana Ciastonia, legionistę, w 1939 roku zastępcę szefa II Oddziału Sztabu Głównego Wojska Polskiego. Warunki bardzo dobre, bar, kąpiele słoneczne na dachu, potańcówki przy orkiestrze, która gra rumbę. Ciastoń najbardziej ze wszystkiego ceni sobie ogród. Wielki, zaniedbany, wznosi się aż pod gmach akademii. Ze stoku, jak prawie zewsząd w miasteczku, widać zatokę.

„Landszaft” – ocenia cierpko Mękarski.

Pułkownik Ciastoń chce skopać ogród, ale poczeka do wiosny, a Mękarski idzie zapewne, swoim zwyczajem, wypić espresso u Suffrediniego. Nazywa tę włoską kawiarenkę polskim miejscem schadzek.

Jak wytłumaczyć jej obecność na nabrzeżu, skoro włoskie rodziny Zavaronich i Biagionich, znanych i lubianych lodziarzy, musiały wynieść się z Rothesay, gdy Włochy przystąpiły do wojny? Suffredinich prawdopodobnie dlatego nie ruszono, że byli od dawna zasiedziali na wyspie. Francesco Biagioni, właściciel lodziarni West End, musiał wraz z siedmiuset innymi Włochami wsiąść na liniowiec Arandora Star, który jeszcze niedawno ewakuował Polaków z Francji do Anglii, a teraz skierował się do Kanady, gdzie przygotowano obóz internowania. Nie dopłynął, zatopiła go niemiecka torpeda, zginęło czterystu czterdziestu pięciu Włochów, wśród nich Biagioni.

Zavaronim wolno pozostać w Szkocji, ale dorosła część rodziny musi się przenieść do Glasgow i codziennie meldować na policji. Dzieci mogą nadal mieszkać na Bute. Potomkowie tych dzieci prowadzą dzisiaj – w 2016 roku – trzy lodziarnie nad zatoką pod widocznym z daleka szyldem: Cafe Zavaroni Hot Snake & Ice Cream.

Kawiarenka Suffrediniego przetrwała do lat pięćdziesiątych.

Pułkownik Ciastoń radzi Mękarskiemu, by chował swoje notatki. Bo nie wiadomo, kiedy się spodziewać rewizji osobistych. To, co się stało z Dębem-Biernackim, który napisał naczelnemu wodzowi, co o nim myśli[73], nie wróży dobrze pamiętnikarzom. Mękarski zna obrońcę Dęba-Biernackiego, pułkownika Orskiego, rozmownego piłsudczyka. *Bronił Dęba w ten sposób, że przytoczył przed sądem opowieść Sienkiewicza o Zagłobie, który pod Warszawą pragnął tumult uczynić i Wirtemberga roznieść na szablach. Czarniecki żądał głowy Zagłoby-warchoła, ale Jan Kazimierz podczas uczty zapragnął mieć w piersi serce, a nie topór katowski*.

Sędziowie jednak nie byli wrażliwi na literaturę.

„Jestem Polakiem”

Co ma czytać wojsko? „Dziennik Polski”, „Polskę Walczącą”, „Wiadomości Polskie”. Jakich tytułów nie wolno dopuszczać do wojska? „Robotnika” Polskiej Partii Socjalistycznej i „Jestem Polakiem”, pisma zbliżonego do Stronnictwa Narodowego. Tak stanowi jednomyślna uchwała Rady Ministrów RP.

Dowództwo Okręgu Wojskowego w Szkocji zakazuje więc ich sprzedaży i rozpowszechniania w polskich obozach wojskowych. Naczelny wódz i premier generał Sikorski zarządza: egzemplarze „Jestem Polakiem” przesyłane drogą pocztową mają być zwracane do redakcji, kolportaż tego pisma zlikwidowany. Dotyczy to oczywiście także obozu w Rothesay, o czym powiadamia rozkaz dzienny z dwudziestego drugiego października.

Redakcja „Jestem Polakiem” nie poddaje się. Krytykuje ostro politykę Władysława Sikorskiego. Zarzuca mu brak autorytetu, politycznej samodzielności, umiejętności gaszenia sporów. Broni narodowej tożsamości i katolicyzmu. Redaktorem pisma jest ksiądz Stanisław Bełch. Wśród autorów są biskup Józef Gawlina, Zofia Kossak-Szczucka, Adam Doboszyński.

Doboszyński, inżynier, żołnierz, rolnik, polityk i publicysta, pochodzi z zamożnej i szanowanej katolickiej krakowskiej rodziny, u której bywali Mehoffer, Wyczółkowski, Sienkiewicz, Asnyk. Jest świetnie wykształcony, elegancki, uprzejmy, światowy. Towarzysz rozmów Gilberta Keitha

Chestertona, wielkiego angielskiego pisarza, którego w 1933 roku odwiedzał w Anglii i o którego katolicyzmie mówił, że był „bojowy, szczęśliwy, uśmiechnięty, paradoksalny”[74].

W 1936 roku daje się poznać w Polsce z tak zwanego marszu na Myślenice. Organizuje bandycką bojówkę. Pięćdziesięciu mężczyzn, głównie bezrobotnych, z dwunastoma rewolwerami, obrzynkiem, drągami, łomami maszeruje pod jego komendą do siedmiotysięcznych powiatowych Myślenic. Wyłamują drzwi do posterunku, biją policjanta, zabierają broń. Idą na rynek do sklepów żydowskich. Doboszyński nakazuje nie bić Żydów, ale niszczyć ich towary. Wywlekają je i palą. Próbują podpalić synagogę. Włamują się do mieszkania starosty, nieprzychylnego Stronnictwu Narodowemu; na szczęście nie ma go w domu. Następuje pościg policyjny. Jeden z bojówkarzy ginie podczas starcia.

Odbywa się seria procesów. Obrońca woła: *Kolego inżynierze Doboszyński, bądź spokojny! Z ławy przysięgłych odezwie się na całą Polskę głos sumienia Polaków. Wrócisz do swej pracy, bo Wielka Polska potrzebuje Ciebie!*[75]. Pierwszy zespół przysięgłych całkowicie uwalnia Doboszyńskiego od win. Drugi obciąża go tylko jedną – wtargnął na posterunek i zabrał broń.

Ostatecznie zapada wyrok trzech lat i sześciu miesięcy więzienia. Doboszyński odsiaduje go tylko częściowo – jest przez rok na zwolnieniu lekarskim.

Podczas procesu wyjaśnia, dlaczego to zrobił. Bo nędza panoszyła się na tym terenie na każdym kroku. Tą nędzą tuczyło się żydostwo. Potrzebny był protest i należało nadać mu rozgłos[76].

W 1939 roku przekracza granicę węgierską. Walczy we Francji. Zostaje odznaczony polskim Krzyżem Walecznych i francuskim Croix de Guerre.

W Anglii broni zawzięcie pisma „Jestem Polakiem” i apeluje do księdza Bełcha: „Jeżeli ksiądz nie może wydawać pisma co dwa tygodnie, niech wydaje co miesiąc lub w nieregularnych odstępach czasu, ale niech ksiądz nie kapituluje. Nie drażnić, ale pisać mocno i konsekwentnie”[77].

Wkrótce trafi na Bute.

Tajny bezruch

W Rothesay pojawia się nowina o podobozie. Ma być bardzo blisko, w małej miejscowości Tighnabruaich, widocznej z północnego brzegu Bute, po drugiej stronie cieśniny. Umiastowski nazywa go w dzienniku nowym Cerizay koło Rothesay.

Mają tam iść pijacy, kryminaliści, ci przeciw którym są jakieś dochodzenia, no i nie wiadomo czy nie polityczni, grupa przypadkowa, stworzona już we Francji dla wykazania, że jakaś opozycja istnieje. Oczywiście żadna zorganizowana nie istnieje i istnieć nie może. Wątpię, czy się znajdą tak naiwni, aby coś podobnego stworzyć, jeszcze w warunkach angielskich, gdzie nikt nie pragnie sprawie polskiej szkodzić.

W rozkazie dziennym z dziewiętnastego listopada 1940 roku, potwierdzającym pogłoskę o założeniu tam podobozu, jest instrukcja dotycząca wymowy: *tajnabrjauch.*

Buntowniczy Antoni Grycko nie ma zamiaru silić się na poprawność. Nazwał miejsce „tajnym brzuchem" albo „tajnym bezruchem" (czasem trudno odczytać rękopis, autor skreśla i bazgrze). I już za tydzień przybywa do Rothesay w grupie dziewiętnastu oficerów; wszyscy będą odprawieni do podobozu.

Wspomnienia Grycki są pełne okolicznościowych kupletów, układanych przez niego lub współtowarzyszy. Okres pobytu w Tighnabruaich jest szczególnie płodny. W utworach „Wielkiemu katowi w Tajnym Brzuchu", „Dozorca z Tighnabruaich", „Serenada włóczęgi z Tighnabruaich", „Myśli żołnierskie w Szkocji" kupleciści poniewierają żandarmów, komendanta obozu, władze naczelne. „Wielki kat" to metafora, chodzi o cały system uciemiężenia izolowanych. Dozorca to pułkownik Spałek[78], komendant podobozu.

Grycko pisze, że tę ostatnią piosenkę ułożył tuż po odprawie pierwszego transportu zesłańców zarządzonej przez Spałka i że oficerowie nieraz śpiewali ją chórem w lokalu komendy. Nie krępowali się tym, czy dozór ich słyszy, i inscenizowali niektóre teksty.

Nie wydaje się, by pensjonariusze podobozu dali się tutaj zdyscyplinować. Przeciwnie.

Generał Jatelnicki jest jednak zadowolony. W liście do generała Kukiela pisze: *Powstanie tego podobozu spotkało się z ogólną aprobatą oficerów,*

ponieważ w ten sposób odsunięto od nich jednostki wartości moralnej niskiej, nadające do tej pory zupełnie niesłusznie specyficzne piętno obozowi w Rothesay[79].

Ale czy pozbycie się „elementu” zetrze z Rothesay „specyficzne piętno”? I czy hasło „element” nie kamufluje dalszej selekcji politycznej?

Jakaś myśl wspólna

Banicja „Robotnika” i „Jestem Polakiem” nie zniechęca Stefana Mękarskiego do pomysłu założenia pisma, z którym nosi się od chwili, gdy się znalazł we Francji. Może nawet daje mu nową energię. Opinia emigracyjna potrzebuje rozmów ponad podziałami. *Muszę o tym pomówić z gen. Jatelnickim* – notuje w dzienniku i rozwija swą myśl.

Pismo ma dawać głos autorom o różnych obliczach, różnej przeszłości i różnych poglądach na świat. *Jest tu wielu ludzi, którzy prawdopodobnie odznaczają się uczciwością intelektualną i – być może – talentem pisarskim*. Można się pokusić o stworzenie zespołu. Odosobnienie na wyspie sprzyja pracy.

Jakiś ślad naszego tu pobytu powinniśmy przecież pozostawić po sobie, jakiejś ambicji powinniśmy dać wyraz, po prostu powinniśmy coś zrobić poza przeżywaniem wojny i organizowaniem smutnej bezczynności. Może się wreszcie wykluje jakaś myśl wspólna w tej gromadzie, może poprzez pismo przetworzy się w środowisko o odrębnej własnej twarzy.

Generał Jatelnicki przyjmuje to dobrze. Jest człowiekiem prostolinijnym, ambitnym, *to znaczy dostatecznie rozumiejącym znaczenie inicjatywy, której urzeczywistnienie zapewniłoby trwałe wspomnienie obozowi, pozostającemu pod jego komendą*. Poleca Mękarskiemu przygotowanie szczegółowego projektu. Przedłoży go generałowi Kukielowi.

Mękarski określa swoje założenia:

– Rothesay jest nie tylko obozem wojskowym, lecz skupiskiem garści polskiej inteligencji umysłowej ocalałej po katastrofie i znajdującej się na wolności.

– Niewykorzystanie tego źródła byłoby błędem, z którego trudno się będzie wytłumaczyć przed Narodem Polskim.

– Inicjatywa sięga do wzorów działalności Wielkiej Emigracji po 1831 roku.

Zasadniczym zadaniem pisma będzie służba walce o wolność Polski.

– Jedną z postaci tej służby ma być badanie problemów kulturalnych, społecznych, międzynarodowych i ustrojowych Polski utraconej i Polski jutrzejszej.

– W dziedzinie polityki bieżącej pismo ma przestrzegać rygorystycznie wskazań i rozkazów naczelnego wodza i szefa rządu.

Realizacja projektu ma być ostrożna i odpowiedzialna. Na początek będzie to dwutygodnik od dwunastu do szesnastu stron, dołączony do „Butemana" w nakładzie tysiąca egzemplarzy. Według oferty szkockiego tygodnika koszt wydania jednego polskiego numeru w nakładzie pięciuset egzemplarzy wyniesie czterdzieści jeden funtów, w nakładzie tysiąca – czterdzieści pięć funtów. „Buteman" na własny koszt zaopatrzy się w polskie czcionki. Administracja i redakcja należałaby do oficerów polskich i była wykonywana nieodpłatnie. Numer gazety kosztowałby sześć pensów, co czyni za pięćset egzemplarzy dwanaście funtów, niedobór wyniósłby więc około trzydziestu.

Jatelnicki przedstawia rzecz Kukielowi. Gdy wraca, jest dobrej myśli i przekazuje Mękarskiemu radę od Kukiela, aby przerwał pracę kancelaryjną w Komendanturze i zajął się przygotowywaniem pisma.

Mękarski odpowiada, że woli nadal chodzić do kancelarii. *Muszę być „między ludźmi" i zabijać czas pracą najbardziej ogłupiającą.* Zapewnia, że kiedy sprawa pisma dojrzeje, poświęci się mu całkowicie. Widocznie nie chce trudzić się zawczasu.

Przygotował jednak listę współpracowników. Wymienia między innymi Tadeusza Alfa-Tarczyńskiego, Michała Grażyńskiego, Konrada Libickiego, Romana Umiastowskiego. Zachowuje dla siebie nazwiska Wyżła-Ścieżyńskiego i Zyndrama-Kościałkowskiego, szczególnie źle widziane przez doradców politycznych Sikorskiego.

Jatelnicki dowiaduje się od Kukiela, że sprawa poszła do Rubensa. Generał Kukiel, dowódca I Korpusu, uznał, że nie może sam decydować. W Londynie zajmie się tym generał Modelski.

Czy generał Aleksander Narbut-Łuczyński, który według informacji paru historyków, między innymi Tadeusza Kryski-Karskiego[80], przebywał w Rothesay, był tu rzeczywiście?

Rozkazy dzienne obozu rzadko informują o generałach.

Ich obecność na Bute jest otoczona dyskrecją; nie wiadomo, czy to skutek koleżeńskiej delikatności komendanta placówki, czy zalecenie odgórne. W jednym z rozkazów pojawia się instrukcja, żeby przy różnych formalnościach nie urażać „pp generałów", pytając ich o nazwiska; załoga obozu ma pamiętać ich twarze. Wiemy także z pierwszego rozkazu dziennego, że łącznicy nie będą kierować do „pp generałów" rozmaitych instrukcji obowiązujących niższe szarże. Trudno się zorientować, kiedy poszczególni generałowie przebywali w Rothesay, ilu dokładnie ich było i jak wyglądały ich tutejsze czynności.

Nazwiska Narbuta-Łuczyńskiego nie znalazłam ani w rozkazach, ani w innych dokumentach obozu. On sam nie przyznaje się w swych wspomnieniach do Rothesay.

Ten oficer doświadczony w bojach i humanista (prawo we Lwowie, filozofia w Liège) ma zdolności pisarskie i ma o czym pisać. Przystępuje do służby wojennej w 1914 roku. Dwa lata później uczestniczy w strasznych walkach z Rosjanami pod Kostiuchnówką. Jest jednym z dowódców w 5. Pułku Piechoty Legionów, który traci wtedy pięciuset żołnierzy, ponad połowę stanu. Dokładny opis bitwy, pełen wstrząsających szczegółów, włącza po latach do książki swych wspomnień. „Patrol przedni zameldował, że przy drodze stoi Komendant. Podszedłem, żeby się zameldować, a Komendant wzruszonym głosem powiedział przez łzy: »*Co z was zostało, piątacy…*«"[81].

Nosi znak oficerski Parasol[82]. Po wojnie polsko-bolszewickiej szybko awansuje. W kampanii wrześniowej dowodzi etapami Armii „Kraków" i dzieli zgodnie to zadanie z generałem Jacyną-Jatelnickim, z którym być może spotka się w Rothesay.

Nie wiemy, czy do tego doszło. Ale może coś znaczy krótka wzmianka we wspomnieniach Narbuta-Łuczyńskiego: kiedy poznał Jatelnickiego w 1918 roku, nie przypuszczał, że ten młody przystojny elew odegra u schyłku jego kariery wojskowej (już na emigracji) *tak nieciekawą rolę*[83]. Może więc znalazł się w Rothesay pod komendą Jatelnickiego i tak jak Mękarski nie chce mu poświęcić dobrego słowa.

Dlaczego miałby tam trafić? Został generałem w 1924 roku na wniosek Władysława Sikorskiego, wtedy ministra spraw wojskowych. Podczas przewrotu majowego był dowódcą 2. Dywizji Piechoty i nie spieszył się z wysyłaniem Piłsudskiemu posiłków. W latach trzydziestych krytykował opozycję *wyzutą z odpowiedzialności za losy państwa.* Ale według niego *na tę samą równię pochyłą zeszli niektórzy piłsudczycy, uznający siebie za jedynie uprawnionych tłumaczy Pisma Świętego, nadużywający autorytetu Komendanta bez jego wiedzy i jego woli*[84].

Jest jednak równie albo nawet bardziej krytyczny wobec obecnych poczynań władz emigracyjnych, które stosują metody przypisywane przez nie sanacji i budują szkodliwe podziały. Uważa, że ogromna większość dawnych działaczy politycznych, którzy opuścili Polskę we wrześniu, a *wojskowi w całości*, byłaby lojalna wobec nowego rządu, a raczej jego szefa, i gotowa do szczerej współpracy. *Pułkownik Modelski* – twierdzi – *pogłębił i rozszerzył klęskę wrześniową na uratowaną z pogromu emigrację*. Łuczyński miał okazję przyjrzeć się temu dokładnie, bo w pierwszym okresie pobytu we Francji otrzymał funkcję generała do szczególnych poruczeń. Przewodniczył Sądowi Polowemu numer 1 w Paryżu rozpatrującemu sprawę generała Rayskiego i przeprowadzał inspekcję obozu w Cerisay. Napisał po niej raport, który nie spodobał się władzom. Wódz naczelny zwolnił go z funkcji. Został bez przydziału. W Wielkiej Brytanii zaproponowano mu jednak synekurę – udział w Wojskowym Trybunale Orzekającym, który bada przebieg ewakuacji z Francji do Anglii. *Tej właśnie instytucji* – pisze – *zawdzięczam możność przeżycia we względnym dobrobycie do 1942 roku, co było niewątpliwie znacznie korzystniejsze, niż pobyt na „wyspie wężów”*[85].

Może woli wyprzeć z pamięci nieprzyjemny epizod rothesayański.

Jedno wcześniejsze ważne wydarzenie ze swojego życia już z niej wymazał.

W 1919 roku w Pińsku wydaje rozkaz rozstrzelania trzydziestu pięciu Żydów.

Miasto ma przewagę ludności żydowskiej. Panuje w nim nieopisana bieda. Uciekinierzy wojenni gnieżdżą się w kościołach chrześcijańskich i synagogach, wśród zdrowych są chorzy na tyfus. Nędza sprzyja grabieżom, rozbojom i niepewności. Nowa władza polska nie czuje się bezpiecznie. W sobotę piątego kwietnia duża grupa Żydów obojga płci gromadzi się w sali

domu ludowego, by podzielić paczki żywnościowe przysłane gminie przez Joint, żydowską instytucję charytatywną z siedzibą w Nowym Jorku. Wojskowe władze miasta otrzymują donos, że zgromadzenie jest bolszewickie. Żołnierze wyciągają więc Żydów z budynku i pędzą pod ścianę kościoła Jezuitów. Uwalniają tam sześć kobiet i około dwudziestu pięciu mężczyzn. Resztę rozstrzeliwują po krótkiej naradzie, bez żadnego sądu. Ofiary mają od dwudziestu do trzydziestu lat, ale jest też dwóch siedemnastolatków i szesnastolatek. Większość należała do organizacji żydowskich.

Amerykańska komisja rządowa pod przewodnictwem Henry'ego Morgenthaua, bliskiego współpracownika prezydenta Thomasa Woodrowa Wilsona, przyjechała zbadać sprawę na miejscu. Oceniła, że zajścia w Pińsku nie były planowane. Należy je traktować jako nieszczęśliwy incydent wojenny, na który wpłynęły uprzedzenia antysemickie i obawa, że miejscowi Żydzi są politycznie wrodzy polskiemu państwu. Morgenthau sformułował wskazania: poprawa stosunków między Żydami a ludnością nieżydowską w Polsce wymaga pojednania i współpracy między nimi. Wszyscy obywatele Polski powinni zrozumieć, że muszą żyć razem. Nie mogą się od siebie separować siłą ani prawem[86].

Polscy oficerowie nie uznali swej winy. Aleksandra Łuczyńskiego awansowano w czerwcu 1919 roku na pułkownika, a w grudniu 1924 na generała.

Jedyne zdanie, w którym Narbut-Łuczyński wymienia Pińsk w swej książce wspomnień, brzmi: *Ponadto dość duże miasto – Pińsk – na bezpośrednim zapleczu, z przewagą ludności żydowskiej, o wrogim nastawieniu, zmuszało do utrzymania znacznego odwodu, który poza rolą taktyczną był obarczony intensywną służbą garnizonową*[87].

Aleksander Łuczyński, od 1933 roku – Narbut-Łuczyński

Agencja Fotograficzna FORUM

Generał kończy wspomnienia zwierzeniem, że odzyskał najbliższych po straszliwej pożodze, ale *ten nowy uśmiech losu na wygnaniu zaczęły wkrótce mącić badawcze spojrzenia w głąb dusz wydobytej z odmętu gromady*. *Jakieś*

niepokojące skazy, niestrojone akcenty wskazywały na spustoszenia doznane w tragicznych przeżyciach wojennych przez czas naszego odosobnienia[88].

Turek, Efendi

Żal mi było tego człowieka o spojrzeniu i uśmiechu dziecka. Miałem do niego wiele osobistej sympatii, ale nie pochwalałem obranej drogi w obronie szarganej czci, gdyż sam zdobyłem doświadczenie o bezcelowości walki z kalumnią i plotką[89] – pisze generał Narbut-Łuczyński o generale Rayskim, nazywanym przez kolegów Turkiem lub Efendim.

Piątego listopada 1940 roku nikt nie współczuje Rayskiemu, wszyscy mu zazdroszczą. Rozkaz dzienny z tą datą informuje, że generał brygady Ludomił Rayski pojechał służyć w Royal Air Force. A więc udało mu się nie tylko wydobyć ze stanu nieczynnego, ale i wrócić do służby lotniczej. To budzi nadzieję, że dowództwo Wojska Polskiego poluzuje i innym rezydentom Bute.

Ludomił Rayski

Narodowe Archiwum Cyfrowe

Ludomił Rayski ma obywatelstwo tureckie i polskie. Jego ojciec, emigrant po powstaniu styczniowym, walczył przeciw Rosji w Legii Polskiej Michała Czajkowskiego – Sadyka Paszy. Syn podczas pierwszej wojny światowej

służył w lotnictwie tureckim; był dwukrotnie ranny. Podczas Bitwy Warszawskiej z bolszewikami zdobył sławę najlepszego pilota bombowego. Janusz Meissner tak wspomina porucznika Rayskiego: *wysoki, chudy, kościsty, lekko przygarbiony, jak nadmiernie wybujała łodyga, która nie może utrzymać się prosto. Na czubku tej łodygi jest głowa z uparcie sterczącymi włosami i długa końska twarz o melancholijnym wyrazie, który kontrastuje z inteligentnym spojrzeniem oczu*[90].

Ten lotnik, niewyglądający na sportowca, wsławia się międzynarodowymi wyczynami. We wrześniu 1925 roku odbył lot bréguetem 19 na trasie Paryż–Madryt–Casablanca–Tunis–Konstantynopol–Warszawa.

Od 1936 roku dowodzi lotnictwem w Ministerstwie Spraw Wojskowych. W marcu 1939 roku podaje się do dymisji, protestując przeciw polityce rządu, skąpiącego na rozwój lotnictwa. We wrześniu dowództwo odsuwa go od walki w powietrzu, chociaż chciał się bić z Niemcami jako zwykły pilot.

We Francji spotyka go to samo – od nowego rządu i nowego dowództwa. Zarzucają mu, że nie przygotował lotnictwa do wojny. Słyszy, że w wojsku nie ma dla niego miejsca. Krążą pogłoski, że ukradł pieniądze z pożyczki lotniczej, że brał łapówki od firm samolotowych. Zajmuje się już tym Rada Narodowa.

Rayski pisze memoriał do Sikorskiego, odpiera zarzuty, wnosi o śledztwo, skazanie lub wzięcie w obronę; wódz nie powinien pozwalać na szarganie opinii polskiego generała. Sikorski nie odpowiada.

Jednocześnie gabinet ministra spraw wojskowych kieruje go do obozu w Cerizay.

Nie ma zamiaru tam jechać. Powiela memoriał i rozsyła członkom rządu polskiego.

Sikorski oddaje go pod sąd polowy.

Rzeczoznawcy do spraw lotniczych zeznają podczas rozprawy, że treść memoriału, z drobnymi zastrzeżeniami, odpowiada prawdzie.

Sąd, któremu przewodniczy generał Narbut-Łuczyński, skazuje jednak Rayskiego na dziesięć miesięcy więzienia za odmowę wyjazdu do Cerizay i za ujawnienie tajemnic wojskowych. Chodzi o polskie prototypy (Rayski twierdzi, że pokazywano je na wystawie lotniczej w Paryżu) i o organizację lotnictwa (według Rayskiego wojna całkowicie unieważniła ten temat).

Wyrok zapadł, ale generał nie idzie do więzienia. Nikt tego nie egzekwuje.

Mijają miesiące, geografia wojny się zmienia. Rayski nie stawił się w Cerizay, ale nie uniknął Rothesay, gdzie gorliwie uczy się angielskiego. Zanim Wojsko Polskie pomyśli o tym, by go wykorzystać, robią to Anglicy. Nie obchodzą ich zaszłości Rayskiego. Interesuje ich jako doświadczony pilot, zdolny do ryzyka. *Byłbym tu zapewne kisł przez całą wojnę, ale znałem ówczesnego szefa lotnictwa brytyjskiego. Na jego to wystąpienie władze polskie łaskawie zgodziły się pozwolić mi latać* [91].

Przez dwa i pół roku lata w brytyjskiej eskadrze transportowej. Prowadzi konwoje z Takoradi na Wybrzeżu Kości Słoniowej poprzez środkową Afrykę do Egiptu. Przeprowadza samoloty brytyjskie i amerykańskie na front północnoafrykański. Po wybuchu wojny z Japonią lata do Indii i Singapuru. Anglicy przedstawiają go do Air Force Cross, ale władze polskie dwukrotnie oddalają ten wniosek.

Opłatki

Myśl o zbliżających się świętach wzmaga tęsknotę za bliskimi. Mękarski zapisuje głos rozpaczy swego współlokatora podporucznika Artura Schreyera:

– Panie – wołał do mnie – cóżeśmy uczynili? Uciekliśmy od żon naszych, dzieci. Pozostawiliśmy je na pastwę głodu, nędzy, zimy i prześladowań. (…) *Przecież w najstraszliwszy, najkarygodniejszy sposób marniejemy w nieróbstwie, w najpospolitszej grandzie przemycania i przeszachrowania życia przez czas wojny. Gdybyśmy w kraju pozostali, zostalibyśmy wywiezieni na Sybir czy na Kaukaz, jako oficerowie. Tak. Ale może jednak udałoby się nam ukryć i jąwszy się najcięższej roboty, przetrwać z rodzinami wojnę w domu? A gdyby się nie udało, to pozostawała szansa pójścia na wygnanie razem z rodzinami, wspólnego z nimi szamotania się z niewolą i w niewoli, wspólnego umierania*.

Ósmego listopada „Buteman” przynosi dobrą wiadomość. Będzie łatwiej o kontakt z rodzinami w Polsce. Towarzystwo Służby Społecznej w Glasgow w porozumieniu z brytyjskim Czerwonym Krzyżem pośredniczy w wysyłaniu wiadomości od osób przebywających na wyspach zachodniej Szkocji do ich krewnych we wrogich lub okupowanych państwach, takich jak Niemcy,

Austria, Czechosłowacja, Dania, Norwegia, Polska, Holandia, Belgia i Włochy. List może zawierać dwadzieścia słów (nie licząc adresu) i dotyczyć wyłącznie spraw rodzinnych. Cena: jeden szyling za list i za odpowiedź.

Następna wiadomość o możliwościach kontaktu nie przychodzi, niestety, w dzień wigilijny, jako pocieszający prezent, ale już po świętach. Rozkaz dzienny z dwudziestego ósmego grudnia informuje, że Portugalski Czerwony Krzyż uzyskał zgodę władz niemieckich na wprowadzenie bezpośredniej korespondencji między Portugalią a okupowaną częścią Francji, gdzie przebywa ciągle część rodzin polskich. Korespondencja ta może się odbywać jedynie za pośrednictwem Czerwonego Krzyża i na specjalnie w tym celu wydrukowanych kartkach, odpowiadających przepisom władz okupacyjnych. Następuje adres, na jaki kierować list, i dokładne informacje, jak ma on wyglądać: dwadzieścia pięć słów, czytelny, tylko osobisty, po polsku, ewentualnie francusku, z wyraźnym podpisem, bo list będzie przepisywany w Lizbonie. Stopnia wojskowego ani adresu nadawcy nie należy podawać.

Listy będą odpowiednio numerowane przez Biuro do spraw Rodzin Wojskowych. Do listu musi być dołączona koperta zaadresowana już do osoby, której ma być odesłana ewentualna odpowiedź, jeśli nadejdzie.

To do pewnego stopnia wyjaśnia, dlaczego Ewa Jachimowiczówna w czasie wojny dostała w Białej Podlaskiej paczkę z Portugalii nadaną przez Dziunię. Może tę drogę nauczono się wykorzystywać do większych przesyłek i w różnych kierunkach. A może ta paczka mówi o tym, że Dziunia była wtedy wciąż we Francji.

Bo tej zimy nie ma jej jeszcze na Bute. Gdyby była, i Rak, i ona zostaliby na święta w Rothesay i Dziunia na pewno grałaby kolędy podczas jasełek przygotowywanych przez polskie panie dla szkockich gospodarzy. Tymczasem rozkaz dzienny z dwudziestego pierwszego grudnia w punkcie „Urlopy świąteczne” zawiadamia, że kapitan Ignacy Raczkowski, major Aleksander Gulkowski i porucznik Jan Malawski jadą na Boże Narodzenie do Coatbridge. Dlaczego właśnie tam? Coatbridge to baza I Korpusu pod dowództwem generała Mariana Kukiela. Stacjonuje tam duża grupa artylerzystów i ich sytuacja jest jasna – to wojsko szykowane do czynu zbrojnego. Można przypuszczać, że Rak i jego koledzy wybrali to miejsce na święta nie tylko dlatego, że mają tam znajomych albo przyjaciół z Legionów, z różnych walk i manewrów lub choćby ze sztabów. Przez te dwa, trzy dni

w Coatbridge znowu chcą poczuć się jak żołnierze, a nie jak groch przy drodze, którą idzie wojsko.

Czy koledzy w Coatbridge wiedzą, co oznacza Rothesay? Szczególna rola tego zgrupowania znana jest przede wszystkim władzom i politykom wojskowym. Co Rak opowie swoim gospodarzom podczas spotkań świątecznych? Nie wiemy. Znamy już jego usposobienie z akt personalnych i możemy przypuszczać, że nikomu nie będzie psuł humoru.

Prawdopodobnie przed wyjazdem poszedł do spowiedzi. Odbyła się w czwartek dziewiętnastego grudnia w katolickim kościele Świętego Andrzeja. Od godziny czwartej po południu czekali tam na polskich oficerów proboszcz i księża zaproszeni do pomocy.

Wszyscy oficerowie łącznikowi mają już opłatki dla swoich grup. Na wszelki wypadek więcej niż zamówili ich podopieczni. Hotel Ardyne dostał trzydzieści pięć, Bute Arms dwadzieścia, Craigmore dwadzieścia pięć, Esplanade sześćdziesiąt, Craighnethan sto dwadzieścia i tak dalej. Royal, w którym mieszkają generałowie, chciał tylko trzy, dostał piętnaście.

Kółko sceniczne przygotowujące jasełka zostalo zwolnione przez Komendanturę ze wszystkich obowiązków regulaminowych.

Ustalono, że kucharze w niektórych hotelach, gdzie mieszkają Polacy, dwudziestego czwartego grudnia idą do domu. Goście sami chcą przygotować sobie wigilię. „Buteman” zajrzał wieczorem do hotelowych jadalni i kuchni, spróbował potraw i w najbliższym numerze zawiadomił swoich czytelników, że były wspaniałe. Dodał, że święta mają dla ludzi z nieszczęśliwej Polski szczególne znaczenie i że uroczystości, tak zwykle radosne, były w polskich kwaterach obchodzone z powagą. Poinformował, że Polacy zebrali między sobą dwadzieścia sześć funtów na świąteczny prezent dla szkockich uczniów. Pieniądze, rozdzielone przez skarbnika Bractwa Obywatelskiego, sprawiły radość kilkuset dzieciom, które znalazły w kieszeniach po parę pensów i liścik ze słowami: *Wesołych Świąt – polscy oficerowie*.

Ogniska już dogasa blask

Michał i Helena Grażyńscy wybrali się na Boże Narodzenie do Castlemains, do Olgi Małkowskiej[92], która odwiedziła ich niedawno

w Rothesay. Przez lata współpracowali ze sobą w Polsce. Helena i Olga są harcmistrzyniami Rzeczypospolitej. Małkowska, ledwie przybyła do Wielkiej Brytanii, zaczęła organizować schronisko, szkołę, ośrodek harcerski dla dzieci i młodzieży polskiej.

Helena pojechała pierwsza, żeby jej pomagać. W czasie świąt w Castlemains będzie pełno ludzi, przyjadą znajomi instruktorzy harcerscy, którzy znaleźli się na emigracji.

Michał Grażyński dołącza do nich w Wigilię.

Wyszedłem do miasta wcześniej, miałem się bowiem spotkać ze Ślązakami w małej restauracji celem zalania „chroboka" i złożenia sobie życzeń. Spóźnili się, bowiem odprowadzali kpt. Frölicha[93]*, który wyjeżdżał do obozu w T. [Tighnabruaich], a więc miejsca karnie lub dyscyplinarnie skazanych. Powody wysyłki były niejasne. Dlatego manifestacyjne pożegnanie. Wyjechałem o g. 11-tej do Glasgow, a stąd o 2.57 do Douglas – autobusem.*

Hałdy, zabudowania, pagórki pokryte rzadkim lasem, które widzi z okien, przypominają mu Śląsk.

Schronisko Olgi Małkowskiej stoi w pięknym parku z porządnie utrzymanymi ścieżkami. Piękny, stusiedemdziesięcioletni budynek z portretami dawnych właścicieli ma dwadzieścia osiem pokoi, elektryczność i ciepłą wodę w łazienkach. Szkoci wynajęli Polakom tę rezydencję za bardzo skromne pieniądze i dołożyli jeszcze ogrzewanie.

Grażyński pisze o Małkowskiej w dzienniku z największym szacunkiem: *System Druhny Małkowskiej polega na razie na własnej pracy pań, co oczywiście wymaga olbrzymiego wysiłku – tym więcej, że wszystko błyszczy się od czystości. Moja żona również pracowała od rana do wieczora w czasie swojego tutaj pobytu.* (…) *Na drugi dzień widziałem, jak Druhna Małkowska przeklęczała całą mszę, zatopiona w modlitwie, oraz w skupieniu wewnętrznym przyjmowała Komunię.*

Podziwia ją. Także i za to, że: *śmiało przyznaje się do 52 lat życia, chociaż w jej ciemno-bursztynowych oczach świecą się jeszcze ogniki dawnej młodości. Musi to być skomplikowana budowa psychiczna. Może materiał na świętą. Powiedziałem jej to.*

Śpiewają kolędy przy drzewku. Wieczorami dyskusje i postanowienia – co dalej z harcerstwem.

Wśród obecnych jest łącznik z rządem harcmistrz Ludwik Bar. Dzięki niemu wiadomo, jak stoją sprawy. Rząd chce odsunąć Grażyńskiego i powołać komisaryczny zarząd organizacji. Usiłował przekonać do tego instruktorów harcerstwa z różnych jednostek wojskowych w Szkocji. Rozmawiał z nimi najpierw w Londynie, a tuż przed świętami w Perth. Napotkał opór. Instruktorzy nie chcieli oceniać naczelnych władz ZHP. Oświadczyli, że czas na to będzie po wojnie, w Polsce, na walnym zjeździe organizacji, a teraz należy powołać tymczasowy komitet harcerski, do którego nie powinni wtrącać się politycy. Wyłonili kandydatury, między innymi Olgi Małkowskiej, strawnej dla rządu, niekojarzonej z sanacją.

Grażyński jest głęboko dotknięty. Wszystko się działo poza nim. Dlaczego harcmistrz Bar, najwyraźniej zaufany rządu, rozmawia z nim o tym dopiero teraz?

Wiadomości na razie są pomyślne. Harcerstwo broni swej niezależności, a rząd tymczasem nabrał wody w usta.

Ogarnęło mnie mimo wszystko obrzydzenie.

Przedstawia w dzienniku swoje stanowisko:

Jestem przewodniczącym i nie myślę rezygnować, ponieważ nie widzę powodów. Mam moralny obowiązek wytrwania na tym stanowisku i zdania sprawy walnemu zjazdowi w kraju. Czekam opinii kraju spokojnie (…). *Ze względu na okoliczności, które uniemożliwiają mi pracę zgadzam się na powołanie do życia Tymczasowego Komitetu z Druhną Małkowską na czele i tylko z nią, a nikim innym* (…). *Skład komitetu ma zależeć tylko od niej, z tym, że mają w nim być tylko czynni harcmistrze i półharcmistrze.*

W drugi dzień świąt wraca do Rothesay, a dzień lub dwa potem notuje: *Zgłosiłem się do linji. Pragnę powrotu do mej młodości. Zobaczymy, czy mnie dopuszczą*).

Rothesay długo rozbrzmiewa polskimi kolędami i nie ustaje w tańcu, bo zaraz po Bożym Narodzeniu jest Hogmanay, szkocki sylwester. W tę noc uderzano zwykle w dzwon na przystani, włączano syreny statków i odpalano wielkie fajerwerki. Snopy świateł odbijały się i gasły w wodach zatoki. W tym roku nie ma dźwięków i ogni, ale na pewno nie zabraknie whisky.

Po północy zaczyna się *first footing*, chodzenie po sąsiadach, stary zwyczaj szkocki. Kto pierwszy zapuka do domu, zostanie przyjęty i poczęstowany.

Niektórzy przychodzą z piosenką *Auld Lang Syne* – „Stare dobre czasy". Słowa napisał w 1778 roku Robert Burns, a melodia już wtedy była bardzo stara. Śpiewa się czasem tę pieśń obok hymnu narodowego, nawet przy ceremoniach w lożach masońskich. Burns jest dobry na powitanie i na pożegnanie, kiedy to *ogniska już dogasa blask*; mało kto wie, że to jego słowa posłużyły popularnej w Polsce pieśni harcerskiej[94].

Z okazji Nowego Roku generał Sikorski otrzymał depeszę od króla Jerzego VI: *Proszę o przyjęcie moich najlepszych życzeń dla Pana i Jego mężnych żołnierzy, których udział cenny i determinację śledzę stale z największym zainteresowaniem*. Przekazano je trzydziestego pierwszego grudnia w rozkazie dziennym oficerom izolowanym w Rothesay i prawdopodobnie także w Tighnabruaich, razem z komentarzem: *To zaufanie i tak cenny dowód króla władającego potężnym imperium brytyjskim, stanowić będą zachętę dla dalszego niezłomnego wysiłku na rzecz wielkości Rzeczypospolitej*[95].

Rothesayański szpital Victoria spisuje i przekazuje do druku „Butemanowi" długą listę darów otrzymanych w kończącym się roku od ofiarnych mieszkańców. Książę Dumfries dał króliki, pan Lyon króliki i dwa wory kartofli, pan Duncan jabłka, pani Lawson dwa dzbany galaretki, panna Lindley prześcieradła…

1 Za: Marian Kukiel, *Generał Sikorski. Żołnierz i mąż stanu Polski Walczącej*, Londyn 1981.

2 Kazimierz Rumsza, podczas pierwszej wojny światowej podpułkownik piechoty rosyjskiej, w 1919 dowódca 5. Dywizji Strzelców we wschodniej Rosji, przedarł się z jej częścią do Polski i wziął udział w wojnie z bolszewikami. Nie poparł przewrotu Piłsudskiego w 1926. W 1928 zwolniony ze służby czynnej. Po kampanii wrześniowej przedostał się do Francji, był komendantem ośrodka w Cerizay. Od lipca 1941 zastępca komendanta, a od grudnia tegoż roku komendant stacji zbornej oficerów w Rothesay. W 1964 mianowany generałem brygady przez gen. Władysława Andersa. Kawaler licznych odznaczeń rosyjskich, francuskich i polskich.

3 Miejsce Odosobnienia w Berezie Kartuskiej (obecnie Białoruś) dla osób „zagrażających bezpieczeństwu, spokojowi i porządkowi publicznemu" stworzono w 1934 na mocy rozporządzenia prezydenta Ignacego Mościckiego. Bezpośrednią przyczyną tej decyzji była śmierć w zamachu ministra Bronisława Pierackiego. W obozie tym stosowano przemoc psychiczną i fizyczną.

4 Za: Tadeusz Wyrwa, *Krytyczne eseje z historii Polski XX wieku*, Warszawa–Kraków 2000; autor podaje jako źródło Instytut Polski i Muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie (dalej: IPMS, PRM – teczki 6 i 7.

5 Tamże.

6 Pismo wodza naczelnego Władysława Sikorskiego do b. ministra Mariana Zyndrama-Kościałkowskiego z 30 listopada 1939, Instytut Józefa Piłsudskiego w Londynie (dalej: IJP), Kolekcja Kościałkowskiego, cz. 2.

7 Za: Marian Kukiel, dz. cyt.

8 Więcej o tej bitwie na s. 125.

9 Henryk Gruber, *Wspomnienia i uwagi 1892–1942*, Londyn 1968.

10 Izydor Modelski, *Wojskowe przyczyny klęski wrześniowej*, „Zeszyty Historyczne" (Paryż) 1990–1991, nr 92–95 – raport opracowany na zlecenie wodza naczelnego WP gen. Władysława Sikorskiego, datowany 1 września 1940 i opatrzony klauzulą „tajne".

11 Władysław Pobóg-Malinowski, *Najnowsza historia polityczna Polski 1864–1945*, t. 3, Londyn 1983.

12 Marian Kukiel, dz. cyt.

13 Tamże.

14 Front Morges – porozumienie działaczy centrowych stronnictw politycznych powstałe w 1936 w szwajcarskiej miejscowości Morges z inicjatywy gen. Władysława Sikorskiego i Ignacego Paderewskiego, z udziałem m.in. gen. Józefa Hallera, Wincentego Witosa, Wojciecha Korfantego, Izydora Modelskiego. Deklarowało w programie przywrócenie demokracji w Polsce i zacieśnienie współpracy z Francją jako najważniejszym sojusznikiem Polski.

15 Stefan Mękarski, *Zapiski z Rothesay 1940–1942*, oprac. Arkadiusz Adamczyk, Londyn–Piotrków Trybunalski 2003.

16 Marian Walentynowicz, *Wojna bez patosu. Z notatnika i szkicownika korespondenta wojennego*, Warszawa 1969.

17 Adam Ludwik Korwin-Sokołowski, *Fragmenty wspomnień 1910–1945*, Warszawa 1987.

18 Antoni Grycko, dz. cyt.

19 Hotel Regina w Paryżu był siedzibą naczelnych władz Wojska Polskiego.

20 IPMS, PRM 15-33.

21 Oba dokumenty IPMS, PRM 15-37.

22 IPMS, A.XII.4/4.

23 Władysław Sikorski, „Przemówienie do Polaków w kraju dnia 31 V 1940", IPMS, PRM 35A-5.

24 Władysław Sikorski, „Przemówienie na posiedzeniu Rady Narodowej dnia 18 VII 1940", IPMS, PRM 35A-6.

25 Rada Narodowa Rzeczypospolitej Polskiej – organ doradczy rządu i prezydenta na uchodźstwie, substytut parlamentu, została powołana 9 grudnia 1939 we Francji przez prezydenta Władysława Raczkiewicza. W jej skład wchodzili przedstawiciele partii, które przed wojną znajdowały się w opozycji wobec sanacji, a na emigracji poparły rząd gen. Sikorskiego. Na czele Rady stanął Ignacy Paderewski.

26 Henryk Gruber, dz. cyt.

27 Antoni Grycko, dz. cyt.

28 Mieczysław Wyżeł-Ścieżyński – legionista, szef wydziału w II Oddziale Sztabu Generalnego WP („dwójce"), oficer sztabowy, od 1930 dyrektor naczelny Agencji Prasowej „Iskra", publicysta, prezes Syndykatu Dziennikarzy RP.

29 Stanisław Rouppert, *Panika jako zjawisko wojenne. Szkic psychologiczny*, „Lekarz Wojskowy" 1926, nr 2, 3, 4.

30 Pismo II zastępcy ministra spraw wojskowych gen. Modelskiego do Wojskowego Trybunału Orzekającego z 13 czerwca 1940, IPMS, A.XII.51/42.

31 Tamże.

32 Dr M. Kukiel, generał dywizji, wiceminister spraw wojskowych, do Generała Wodza Naczelnego, IPMS, PRM 26-9.

33 „Dziadkowie leśni” – ludzie odsunięci od wpływów po zamachu majowym Piłsudskiego w 1926 roku.

34 Antoni Grycko, dz. cyt.

35 Skrót długiego listu zawierającego również zarzuty dotyczące organizacji armii przez Sikorskiego i zaprzepaszczenia przez niego wojska we Francji. Pełny tekst: IPMS, PRM 26-5.

36 Maria Pestkowska, *Uchodźcze pasje. Władysław Sikorski a polska społeczność emigracyjna na Zachodzie 1939–1943*, Paryż 1991. Źródła cytatów: IPMS, Dz.Cz.N.W. z 18 lipca1940 i z 23 lipca 1940.

37 Jacek Piotrowski, *Piłsudczycy bez lidera (po 1 września 1939 roku)*, Toruń 2003.

38 Józef Piłsudski, *Pisma zbiorowe*, t. 4, Warszawa 1937.

39 List Alfreda Biłyka „Do całej Polski i wszystkich Polaków”, IPMS, PRM 15-1.

40 List z 25 lipca 1940, IPMS, A.XII.4/4.

41 Alan M. Thom, *From Westlands to Eastlands. The History of Rothesay Golf Club*, Bute 1992.

42 Tamże.

43 „Buteman”, 8 marca 1940.

44 Rozkaz dzienny nr 1 z 1940 r., IPMS, R8, cz. I.

45 Za: Janusz Meissner, *Wspomnienia pilota*, t. 3: *Pióro ze skrzydeł*, Kraków 1985.

46 Pismo z 28 sierpnia 1940 do naczelnego wodza, IPMS, A.XII.27/18.

47 IPMS, A.V.XIII.

48 Tamże.

49 IPMS, A.VI.13/2.

50 Rozkaz dzienny nr 14 z 1940 r., IPMS, R8, cz. I.

51 Jerzy Żenkiewicz, *Wykaz części majątków polskich w Republice Litewskiej w latach 1919–1939*, www.umk.pl/~zenkiewicz/Publikacje/wykaz.php (data dostępu: 2 stycznia 2018).

52 Andrzej Franaszek, *Miłosz. Biografia*, Kraków 2011.

53 Pismo Dowódcy Obozów i Oddziałów WP w Szkocji gen. Mariana Kukiela do Dowódcy Zgrupowania Oficerów w Rothesay z 15 września 1940, IPMS, A.VI.13/1.

54 Sprawozdanie z obozu oficerskiego nr 2, Archiwum Stanisława Kota, t. 120, Zakład Historii Ruchu Ludowego.

55 Lidia Ciołkoszowa – działaczka socjalistyczna, publicystka, organizatorka kolonii letnich i świetlic dla dzieci robotniczych, od 1939 na emigracji wraz z mężem Adamem Ciołkoszem, socjalistą, prawnikiem, publicystą.

56 We wrześniu 1930 na rozkaz Józefa Piłsudskiego w więzieniu wojskowym na terenie twierdzy brzeskiej osadzono przywódców Centrolewu skupiającego partie opozycyjne wobec sanacji, m.in. Hermana Liebermana, Adama Pragiera, Adama Ciołkosza (wszyscy – PPS) i Wincentego Witosa (PSL „Piast”). Byli brutalnie traktowani, głodzeni, zmuszani do upokarzających prac, zastraszani, uniemożliwiono im kontakt z rodzinami i obroną. Po procesie, w którym zapadły wyroki od półtora roku do trzech lat więzienia, Witos, Pragier i Lieberman wybrali emigrację.

57 Lidia Ciołkoszowa, *Spojrzenie wstecz*, rozmowy przeprowadził Andrzej Friszke, Paryż 1995.

58 Helena z Gepnerów Grażyńska, po pierwszym mężu Śliwowska, działaczka społeczna i niepodległościowa, harcmistrzyni Rzeczypospolitej, od 1934 wiceprzewodnicząca ZHP.

59 Cytat jest kompilacją zdań z dziennika Michała Grażyńskiego.

60 Załącznik do pisma gen. Jatelnickiego z 17 stycznia 1941, IPMS, A.VI.13/2.

61 Timothy Snyder, *Tajna wojna. Henryk Józewski i polsko-sowiecka rozgrywka o Ukrainę*, tłum. Bartłomiej Pietrzyk, Kraków 2008. Autor podaje jako źródło informacji dokumenty z CAW I/303.

62 Pismo z 27 sierpnia 1940, IPMS, A.VI.13/2.

63 Pismo z 1 września 1940, IPMS, A.VI.13/2.

64 Ludwik Hass, *Masoneria polska XX wieku. Losy, loże, ludzie*, Warszawa 1996.

65 Leon Chajn, *Polskie wolnomularstwo 1920–1938*, Warszawa 1984.

66 Michał Grażyński, *Z moich wędrówek i przygód*, Katowice 1936.

67 Zdjęcie z tym podpisem zamieszczono w książce Jess Sandeman, *Bute's War*, Bute 2000.

68 Według: David E. Alle, Gabrielle Hatfield, *Medical Plants in Folk Tradition. An Ethnobotany of Britain and Ireland*, Portland–Cambridge 2004.

69 Pismo z 8 listopada 1940, IPMS, A.VI.13/2.

70 Andrzej Bobkowski, *Szkice piórkiem*, Warszawa 2001.

71 Jess Sandeman, dz. cyt.

72 Arkady Fiedler, *Dywizjon 303*, Londyn 1942.

73 Patrz podrozdział *Pan, panie premierze*, s. 79.

74 Bernadetta Nitschke, *Adam Doboszyński. Publicysta i polityk*, Kraków 1993.

75 Tamże.

76 Tamże.

77 Tamże.

78 Władysław Spałek – inżynier, pułkownik saperów, ochotnik w III powstaniu śląskim, podczas zamachu majowego w 1926 roku wierny rządowi, komandor oficerskiego Yacht Klubu Rzeczypospolitej.

79 IPMS, A.V XIII.

80 Jak piszą Tadeusz Kryska-Karski i Stanisław Żurakowski (*Generałowie Polski niepodległej*, Warszawa 1991), w obozie oficerskim w Rothesay przebywało czterech generałów dywizji: Stefan Dąb-Biernacki, Stefan Jacek Dembiński, Kazimierz Ładoś, Wacław Teofil Stachiewicz, oraz czternastu generałów brygady: Tadeusz Alf-Tarczyński, Janusz de Beaurain, Rudolf Eugeniusz Dreszer, Jerzy Ferek-Błeszyński, Jan Władysław Kalkus, Adam Korytowski, Otton Krziszch, Stanisław Kwaśniewski, Karol Masny, Aleksander Narbut-Łuczyński, Mikołaj Osikowski, Stanisław Rouppert, Stanisław Sochaczewski, Sergiusz Zahorski. Autorzy nie wymieniają generałów Ludomiła Rayskiego, który według różnych świadectw uniknął dłuższego pobytu w obozie, ani Kazimierza Schally'ego, który był tam od 1940 do prawdopodobnie 1942. Natomiast wymieniony przez nich gen. Stefan Jacek Dembiński był krótko w Rothesay, ale jako komendant stacji.

Gen. brygady Tadeusz Narbut-Łuczyński, od stycznia do marca 1940 generał do specjalnych poruczeń ministra spraw wojskowych, od marca do kwietnia 1940 w rezerwie oficerskiej naczelnego wodza, miał według autorów przebywać w Rothesay od lipca 1940 do lutego 1941.

81 Aleksander J. Narbut-Łuczyński, *U kresu wędrówki. Wspomnienia*, Londyn 1966.

82 Odznaka zaprojektowana w 1913 roku przez Włodzimierza Przerwę-Tetmajera, ceniona jak order bojowy. Była świadectwem ukończenia Szkoły Oficerskiej Związku Walki Czynnej i nadawał ją Józef Piłsudski. Przypinana ponad orderami, zdobiła lewą pierś dwóch marszałków, dwóch generałów broni, dwunastu generałów dywizji, trzynastu generałów brygady.

83 Aleksander J. Narbut-Łuczyński, dz. cyt.

84 Tamże.

85 Tamże.

86 https://en.wikisource.org/wiki/Mission_of_The_United_States_to_Poland:_Henry_Morgenthau,_Sr._report (data dostępu: 2 stycznia 2018).

87 Aleksander J. Narbut-Łuczyński, dz. cyt.

88 Tamże.

89 Tamże.

90 Janusz Meissner, dz. cyt.

91 Ludomił Rayski, *Słowa prawdy o lotnictwie polskim 1919–1939*, Londyn 1948.

92 Olga Drahonowska-Małkowska – jedna z twórczyń polskiego skautingu, działaczka społeczna i narodowościowa, sportsmenka, od 1939 na emigracji, przewodnicząca Komitetu Harcerskiego w Wielkiej Brytanii. W 1961 wróciła do Polski, zmarła w Zakopanem i tam jest pochowana.

93 O sprawie kpt. Frölicha (w innych dokumentach: Frelicha) więcej w podrozdziale *Bez bzu-jaśminu* s. 169.

94 W luźnym tłumaczeniu Jerzego Litwiniuka.

95 Rozkaz dzienny nr 106 z 1940 r., IPMS, R8, cz. II.

Dzisiaj

Jean

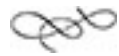

Przyroda

Archiwistka Jean McMillan pracuje w szarym budynku muzeum niedaleko zaułka z drewnianym zającem Iaina Gillespiego i tuż przy średniowiecznej twierdzy Stuartów, która broniła miasta przed wikingami i Normanami. Przed wiekami dotykała zatoki, ale brzeg się odsunął i kamienna budowla znajduje się dzisiaj w samym centrum miasteczka. Trzeci markiz Bute, miłośnik zabytków, zwłaszcza gotyckich, odbudował w dziewiętnastym wieku część murów zamkowych i wysoki dom bramny, do którego prowadzi most ponad fosą. Można obejść ją dookoła, bo zamek jest okrągły, posadowiony na niewielkiej wyspie porośniętej szmaragdową trawą. Woda jest czysta i bardzo niebieska, a brzegi fosy, kapryśne, falbanowate, puszyste i miękkie jak poduszki, tworzą prześliczne zakola. Ilekroć przechodzimy tamtędy (a przechodzimy raz po raz, bo trudno ominąć zamek, spacerując po Rothesay), widzimy dziwny teatr dwojga aktorów – białego żurawia i mewy. On stoi nieruchomo na trawie z wciśniętą szyją, jakby nie miał głowy, ona pikuje na niego z blanki zamkowej z przeraźliwym piskiem, on katapultuje głowę z dziobem jak nożyce i wydaje ostry, gniewny krzyk, ona wraca na mur, on chowa szyję i znowu wygląda jak kadłub na cienkich nogach. Nim zdążymy wejść do muzeum, wszystko zaczyna się od nowa.

Archiwum sąsiaduje z salą przyrodniczą. Przez otwarte drzwi widać, że roi się w niej od ptaków, znanych nam już ze wspomnień pani Mollie – kamuszników, głuptaków, ostrygojadów, siewek, gili, wypchanych i sztywnych. W gablocie spoczywają dwa węże. Jeden, miejscowy, to *Natrix natrix*, czyli zaskroniec zwyczajny. Drugi, srebrna żmija *Vipera berrus* z czarną wstęgą kainową na grzbiecie, przebywa w muzeum gościnnie, jej *habitat* to wyspa Arran. Wygląda więc na to, że Bute, zwana Wyspą Węży, jest – przynajmniej pod względem biologicznym i muzealnym – siedzibą jednego poczciwego węża, dobrze znanego nam w Polsce.

Jest także coś żywego – na szklanych półkach ustawiono kilkanaście flakonów z polnymi kwiatami. Można sprawdzić, czy żółty wrotycz, biały rumianek i różowy oset pachną tak samo jak w Polsce.

Wszystkie te kwiaty i zioła rosną także w Polsce

Małgorzata Szejnert i Piotr Pietrzak

– Kto je zrywa na łąkach? – pyta Piotr bileterki, która pilnuje tych sal.

– Wolontariusze. Troszczą się, żeby nie zwiędły, i przynoszą świeże.

– A w zimie?

– U nas zawsze coś kwitnie.

Pierścionek

Archiwistka Jean siedzi przy stole z dwunastoma krzesłami, w dużym pokoju pełnym tekturowych pudeł, papierów i książek. Jest zdenerwowana, ale nie na nas. Przyczyna leży przed nią i nosi tytuł *British Concentration Camps. A Brief History from 1900–1975*. Książka autorstwa Simona Webba świeżo wyszła w Anglii[1]. Zdążyliśmy ją kupić przed wyjazdem do Szkocji i nie dziwimy się wcale podnieceniu Jean.

– Czytaliście to? On w drugim rozdziale pisze o obozach dla Burów, w których zginęły dziesiątki tysięcy ludzi, w dziewiątym o obozach dla wojowników z Mau Mau, w których zginęły setki tysięcy, a w piątym o Rothesay. Widzieliście tytuł piątego rozdziału: „Polskie obozy

koncentracyjne w Wielkiej Brytanii”? Czy w Szkocji zabijano Polaków w obozach? Czy ich głodzono? Czy mieszkali w barakach? Za drutami?

Otwiera książkę na wkładce zdjęciowej.

– Tu jest zdjęcie waszego generała i podpis: „Generał Sikorski, człowiek odpowiedzialny za obozy koncentracyjne w Szkocji”. A tutaj widok Rothesay. Piszą: „Tu zorganizowano pierwszy polski obóz koncentracyjny”. I co wy na to?

Czeka na odpowiedź, więc chociaż Stefan Mękarski ocenił i nawet napisał, że Rothesay to miejsce *najbardziej ponurej zagłady* kilkuset polskich inteligentów, odpowiadamy, że nie. W Rothesay nie było polskiego obozu koncentracyjnego.

– Dziękuję – szepcze Jean. – Naprawdę dziękuję, że tak mówicie. Bo ja to ciężko przeżywam – tłumaczy i wyciąga do nas rękę z pierścionkiem. Skromnym, ale złotym i z brylancikiem.

Nie nosi go codziennie, ale wzięła dzisiaj, żeby nam pokazać i spytać:

– Czy więzień obozu koncentracyjnego mógłby jeździć po zakupy do jubilera?

Ten oficer mieszkał u jej dziadków Duncanów i chyba nazywał się Czapski, chociaż nie jest pewna. Nie pamięta jego imienia, nie wie, skąd pochodził. Szukałam go potem w spisach oficerów na Rothesay, ale nie znalazłam. Jean przypuszcza, że był pułkownikiem. Miał córkę już prawie dorosłą, w wieku jej mamy. Znał się na biżuterii, umiał ją kupować w sklepikach w Glasgow. Wielu ludzi wyprzedawało się w czasie wojny, więc było dużo okazji.

Dwaj polscy oficerowie w Rothesay

reprodukcja za: *Jess Sandeman, Bute's War*, Bute 2000. Nie udało się dotrzeć do oryginału

– Dostałyśmy od niego pierścionki. Nie ja oczywiście, mnie jeszcze nie było na świecie. Dostały mama i ciocia. Ten po mamie przypadł mnie. Mama opowiadała, że kiedy pan Czapski wyprowadził się z Rothesay, nasza rodzina pojechała go odwiedzić na nowym miejscu. Co się z nim stało, nie wiem. Nie

ma kogo zapytać, mama niedawno umarła. Miała dziewięćdziesiąt siedem lat. Zostały ten pierścionek i fotografia. Przydała się Jess Sandeman do jej książki o wojnie na Bute.

Zdjęcie przedstawia dwóch oficerów w średnim wieku, rozmawiają na ulicy, młodszy w oficerkach, w tle przystrzyżony żywopłot.

– Pan Czapski to chyba ten starszy – ocenia Jean.

– Czy zna pani inne wojenne zdjęcia Polaków na Bute?

– To jest jedyne.

– Dlaczego?

– Fotografowanie ograniczono. Były zakazy wojenne.

– Jednak ludzie bawili się, tańczyli, robili prywatne zdjęcia. Ukazywały się nawet w „Butemanie”.

– Jeśli Polacy jakieś robili, to zabrali ze sobą. Pracuję w archiwum osiemnaście lat. Nic innego nie widziałam.

– Macie jakieś dokumenty dotyczące Polaków na wyspie?

– Nie mamy nic.

Zastanawia się. Jednak coś jest. Program koncertu polskich artystów, którzy objeżdżali skupiska żołnierskie w Szkocji i dwudziestego pierwszego października 1940 roku przyjechali do Rothesay. Tańczyli krakowiaka i zbójnickiego, śpiewali *My Bonnie* i *Daleka jest droga do Tipperary*. Włada Majewska i Mira Grelichowska powtarzały przedwojenne żarty z Wesołej Lwowskiej Fali i na pewno wzruszały polskich słuchaczy śpiewnym bałakaniem.

Czy ci artyści, też emigranci, wiedzieli, jaki jest charakter stacji oficerskiej, którą odwiedzają?

Wystąpili w nowoczesnej sali, przed widownią w porządnych uniformach. W Rothesay mniej niszczono mundury i dbano o nie pewnie bardziej niż gdzie indziej, bo ratowały samopoczucie. W rozkazie dziennym z piętnastego października 1940 roku zawiadamiano, że w intendenturze zabrakło gwiazdek na naramienniki, i podawano adres firmy w Rothesay, gdzie można się w nie zaopatrzyć. Mógł to być wyraz troski komendanta o formę swych podopiecznych albo o kamuflaż obozu; pewnie jedno i drugie.

Pytamy Jean, czy nikt nie powierzył archiwum jakichś wspomnień, pamiętników, dzienników wojennych. Może są w nich wzmianki o Polakach?

– Nic takiego nie mamy.

– Nie nagrywano wspomnień starych ludzi?

– Robili to „Synowie i Córy Bute”. Coś tam na pewno znajdziecie.

– Jest tylko parę ogólnych wzmianek o Polakach. Parę zdań. Że byli tu w czasie wojny.

Jean wspomniała w odpowiedzi na mój e-mail, że było wiele ślubów między Polakami i miejscowymi dziewczętami. Ale kiedy pytamy o nazwiska, przypomina sobie tylko dwa, Maliński i Zan-Kreyser. O pierwszym wie, że przedzierał się przez Francję do Wielkiej Brytanii, był w obozie oficerskim na Rothesay, poszedł walczyć, ale potem wrócił. Ożenił się z tutejszą nauczycielką i oboje pracowali w szkole przez wiele lat. Od dawna nie żyją. Nie mieli dzieci. A Zan-Kreyser miał chyba dzieci i wnuki. Jean nie wie, gdzie ich można szukać, i nie zna ich imion.

Malińskiego znajduję łatwo w dokumentach z Instytutu Sikorskiego w Londynie, które mam w laptopie. Jest podporucznikiem, na imię ma Marian. Rozkaz dzienny z dwudziestego szóstego sierpnia 1941 roku kieruje go do służby przy pociągach pancernych. Ma tam wyruszyć statkiem za cztery dni w grupie pięćdziesięciu oficerów z Rothesay. Wygląda na to, że wchodzi w życie plan generała Kukiela, by z części bezprzydziałowców utworzyć ochronę pociągów.

Niska ranga Malińskiego mówi, że jest młody, co uwiarygodnia narzeczeństwo w Rothesay, powrót, ślub i długie jeszcze lata na wyspie. Ale kiedy potem wypytujemy starszych mieszkańców o małżeństwo Malińskich, nikt ich nie pamięta.

Kapitan artylerii Edward Zan-Kreyser, określony w jednym z rozkazów dziennych jako „oficer do zleceń”, występuje także we wspomnieniach Mękarskiego i Grycki. Według Mękarskiego cenzuruje listy i jest szarą eminencją obozu, chociaż nie ma formalnej funkcji w Komendanturze: *W Rothesay rządził tajniak „legawy” informacyjny, Kreyser*.

Grycko zaś wspomina, jak Zan-Kreyser *postawił na nogi całą dwójkę i żandarmerię*, gdy nieznany autor (czy nie sam Grycko?) ogłosił na ścianie Komendantury, że sprzeda natychmiast: buty nabyte na Węgrzech, pas skórzany nabyty w Rumunii, krawat nabyty w Jugosławii, koszulę (ale nie faszystowską) nabytą we Włoszech, pelerynkę zdobytą w Norwegii, mundur uszyty we Francji i spódniczkę szkocką, wszystko w dobrym stanie, do

wykorzystania przy desancie na kontynent. Grycko nie rozwija dalej tego tematu, widocznie alarm wzniecony przez Zan-Kreysera rozszedł się po kościach.

To prawdopodobnie ten sam Edward Zan-Kreyser, który w 1944 roku, już w randze majora, będzie zastępcą dowódcy jednego z pułków 1. Dywizji Pancernej Stanisława Maczka i zginie osiemnastego sierpnia tegoż roku w ciężkich walkach o wzgórze Maczuga pod Chambois. Leży na francuskim cmentarzu pod krzyżem z tabliczką „Poległ za Ojczyznę". Miał czterdzieści trzy lata, urodzony w Piotrkowie. Jeśli to Edward Zan-Kreyser z Rothesay, wcześnie osierocił założoną tutaj rodzinę.

Co myślała Jess

Zapytałam Jean McMillan, czy możemy zajrzeć do pudeł z napisami „Plaża" i „Cyklop".

W pierwszym znajdujemy zdjęcie ikonę dawnego kąpieliska Rothesay. Widzieliśmy je już w Ogrodzie Zimowym, w przewodnikach i na plakatach, a teraz oglądamy mały oryginał – w tekturowej okładce z nadrukiem: „J. Adamson and Sons, Rothesay, Nasza Firma wywołuje i robi odbitki".

Tak zaczyna się moda na Rothesay

archiwum Bute Museum

Fotografia, sprzed pierwszej wojny światowej, przedstawia troje dorosłych i sześcioro dzieci moczących w zatoce białe miejskie nogi o cienkich łydkach. Satysfakcja ze zgodnie demonstrowanej nowoczesności walczy z udręką. Chłopcy w białych koszulach, pulowerach i krawacikach są zawstydzeni, ten z boku ma ochotę wyrwać się z kadru, pyzaci malcy w wielkich kapeluszach krzywią się do płaczu, dama w gorsecie i toczku z piórkiem, bardzo zniechęcona, unosi spódnicę nad wątłą falą i przekręca głowę – cierpi, ale trwa. Dwaj mężczyźni lepiej trzymają fason. Ojciec rodziny w cyklistówce, krawacie i marynarce z dyndającą na niej dewizką podciągnął spodnie nad kolana, stanął szeroko i wziął się pod boki, drugi w takim samym uniformie jest jedynym modelem, który się uśmiecha. Tak wyglądają początki wielkiej minionej kariery kąpieliska Rothesay.

W drugim pudle leży zdjęcie Jess Sandeman. Kiedy pisała „Wojnę Bute", miała około osiemdziesiątki. Tu widzimy Jess młodą, opaloną, z ciemnymi brwiami, w grupie siedmiu wrenek[2] z załogi Cyklopa. Mają jednakowe spódniczki i żakiety, białe koszule, krawaty, zgrabne kapelusze o małych rondach, jedwabne pończochy i płaskie półbuty. Ładny i cenny uniform

służbowy. Brak cienkich pończoch bardzo doskwierał dziewczętom i w dowcipach wojennych z Wielkiej Brytanii pojawia się szew malowany kredką na gołych łydkach. Cała siódemka jest pogodna (inaczej niż grupa na poprzednim zdjęciu) i trzyma wojskowy porządek. Dwie siedzą z rękami na podołku, pięć stoi z tyłu, w środku prawdopodobnie szefowa, nieco starsza od reszty; na jej marynarce lśnią dwa rzędy metalowych guzików.

Co te panny wiedziały o mężczyznach z Polski spotykanych na wyspie?

Jess Sandeman przypomniała to sobie na emeryturze, kiedy już porzuciła liczne prace zawodowe i społeczne i miała czas na pisanie. Pod zdjęciem dwóch oficerów, przyniesionym do archiwum przez Jean McMillan, wydrukowanym na czterdziestej ósmej stronie „Wojny Bute", jest akapit poświęcony Polakom:

Na pewno byli otoczeni mgłą tajemnicy. Wydawało się, że większość z nich pochodzi z arystokracji, wielu miało wysokie stopnie wojskowe. W nienagannych mundurach i z doskonałymi manierami odnosili sukcesy wśród pań. Wielu było świetnymi szachistami i brydżystami, znakomitymi śpiewakami i pianistami. Nie wyglądało na to, że im brakuje pieniędzy; otrzymywali rzekomo pobory od rządu brytyjskiego. Była taka wersja, że są ministrami poprzedniego rządu polskiego, ale krążyły też pogłoski, że są szykowani na przywódców nowego rządu, gdy w ich kraju zapanuje pokój, i że wysłano ich na Bute, bo tu jest bezpieczniej[3].

Jess Sandeman stoi druga od lewej

archiwum Bute Museum

– Widzicie – mówi archiwistka Jean – coś się jednak znalazło o tych Polakach w obozie koncentracyjnym Rothesay.

Przypadki

Pierwszy przypadek dotyczy podporucznika Mariana Malińskiego, nauczyciela, i zdarza się w bibliotece, tej, do której zaprowadził nas Iain Gillespie, w niedużym pawilonie koło muzeum. Witają nas tam jak starych znajomych. Dostęp do zbiorów jest otwarty. Przeglądamy półki z książkami o Rothesay, Bute i regionie. Stoją tam tomy periodyku pod tytułem „Transactions of the Buteshire Natural History Society" (Działalność Towarzystwa Historii Naturalnej w Hrabstwie Bute), który wychodzi od 1908 roku. Pełno w nich ciekawostek przyrodniczych i archeologicznych gromadzonych przez zawziętych miłośników. Przeglądam pierwszy z brzegu, piętnasty tom i trafiam na ilustrowany opis prastarej komory piecowej do suszenia ziarna, którą wypatrzono i odkopano w 1961 roku; zabytek ważny, bo mówi o poziomie kultury rolniczej Bute. Podjęto więc wszechstronne badania i tu się właśnie pojawia Mr. Malinski, już nie podporucznik, ale

nauczyciel przedmiotów ścisłych w akademii w Rothesay, który w szkolnym laboratorium analizuje próbki rozmaitych pozostałości znalezionych na klepisku komory. Jego uczniowie pomagają w wykopkach. Maliński więc naprawdę tu wrócił, uczył w akademii, miał pod opieką dziewięciu chłopaków, którym się chciało pomagać archeologom na łące pod Rhudobach. Tam gdzie jeszcze niedawno nie wolno było się kręcić, bo zmontowano tu miasto widmo dla zmylenia Luftwaffe.

Potem szukam jeszcze Malińskiego w indeksie do *Zapisków z Rothesay* Stefana Mękarskiego. Jest. Mękarski spędza wieczór czwartego września z paroma oficerami i opisuje, jak potem wałęsał się z nimi nocą po mieście:

Maliński, miły, niewinny i przystojny chłopak deklamował naprzód Kasprowicza wiersz o domu rodzinnym, po tym czynił zwierzenia o matce, która umarła w przeddzień wybuchu wojny, a wreszcie opowiedział piękne wspomnienie o kapitanie Rutkowskim, dowódcy batalionu, którego on, Maliński, był adiutantem. Rutkowski zginął pod Samborem i ostatnie myśli tego oficera należały do Polski. Maliński pokochał tego Rutkowskiego jak ojca. Rutkowski na jego rękach zmarł. I mówi: widzi pan, w ciągu tych trzech tygodni takie katastrofy przeżyłem: śmierć matki, śmierć Rutkowskiego i śmierć Polski. Do dzisiejszego dnia młody chłopak nosi szeroki pas krepy na bluzie.

Drugi przypadek zdarza się na polu golfowym. Idziemy z Piotrem zapytać, czy może zachowano w pamięci klubowej sześćdziesięcioletniego (w 1940 roku) pułkownika Łohojskiego herbu Leliwa.

Wchodzimy nieśmiało do pawilonu obok łąki z osiemnastoma dołkami, z której zjeżdżają właśnie małe wózki akumulatorowe; zaczyna padać.

Pierwsze, co rzuca się w oczy, to bufet pełen butelek i oparta przy nim o ścianę szafa grająca, drugie – to podwieszona pod sufitem długa gablota, w której lśnią puchary – klejnoty koronne klubu w Rothesay. Przy bocznym stole siedzi przy szklaneczkach dwóch dżentelmenów, którzy starannie liczą pieniądze i odkładają banknoty na stosik. Młodszy pasuje do tej czynności, ma twarz człowieka gospodarnego. Starszy mógłby być bliźniakiem Jerzego Giedroycia; rzadko się widuje tak piękne arystokratyczne oblicze i taki gest.

Postanawiamy poczekać, aż skończą. Pani w bufecie zapewnia, że możemy się czuć jak u siebie. Możemy także zamówić obiad. Pawilon jest dostępny

dla wszystkich. Jeśli potrzebujemy jakichś informacji, panowie (wskazuje dwóch dżentelmenów) chętnie udzielą. Starszy to Bill Leckie, młodszy – Andy Gilmour.

Piotr odnajduje ich zaraz na wielkich drewnianych tablicach uwieczniających kolejnych czempionów klubu i kapitanów. William Leckie zdobył mistrzostwo dwukrotnie – w 1961 i 1974 roku. Andrew Gilmour był kapitanem w 2009. Stanowisko jest rotacyjne, nikt nie zajmuje go dłużej niż rok.

Panowie skończyli liczyć pieniądze i sporządzili protokół. Są bardzo zmartwieni, że nie mogą nam pomóc. Historia klubu założonego w 1892 roku jest bardzo ciekawa, ale Polacy nie odegrali w niej żadnej roli. Gdyby interesowała nas sprawa kobiet, byłoby wiele do opowiedzenia. To jeden z tych starych klubów golfowych, który niemal od razu zaczął je przyjmować. A w dzisiejszych czasach tyle pań gra tutaj w golfa, że trzeba było zrobić w pawilonie kącik dziecięcy z zabawkami i przewijalnią. Na Bute jest trochę nowych Polaków i Polek, ale nie przychodzą. Nie mają czasu, ciułają pieniądze.

Piotr Pietrzak i William Leckie

Zjedliśmy doskonałą zupę z soczewicy. Bill Leckie przyszedł sprawdzić, czy nam smakowała. Przypomniał sobie pewną historię. Nie ma związku z golfem, ale może się przyda. Jest romantyczna i dramatyczna, było takich dużo w latach wojennych. Dotyczy rodziny Grahama Connora. Jego żona Aita Polakowski jest córką polskiego oficera, który był przekonany, że jego polska rodzina zginęła. Potem się okazało, że żyje. Bill Leckie sądzi, że Aita nam o tym opowie.

Pożegnaliśmy się. Przy bramie Piotr zauważył reklamę: „TAXI Jonathan Zan-Kreyser".

Cisza

Poprosiłam Piotra, żeby zadzwonił w naszym imieniu do Aity Connor i Zan-Kreysera, bo ciągle miałam kłopoty ze szkocko-angielską rozmową, zwłaszcza przez telefon. Piotr ma sympatyczny głos, zawsze wszystko załatwi. Aita była miła i zaciekawiona, ale tego dnia wyjeżdżała gdzieś poza Szkocję. Dała nam adresy i prosiła o dalszy kontakt.

Zan-Kreyser grzecznie i stanowczo odmówił jakiejkolwiek rozmowy o swojej rodzinie.

W odpowiednim czasie napisałam e-mail do Aity. Wrócił. Wysłałam jeszcze parę e-maili z różnymi możliwymi wersjami adresu, wszystkie wróciły.

Wydrukowałam list i wrzuciłam go do skrzynki pocztowej. Odpowiedź nie przyszła. Myślę, że Aita naprawdę chciała nam opowiedzieć swoją historię, ale widocznie zmieniła zdanie i nie bardzo chce się z tego tłumaczyć.

Pocztówka z Rothesay

Piotr uznał, że to nic dziwnego.

– Na co właściwie liczyłaś, przyjeżdżając na Bute? Oficerowie wyjechali przed końcem wojny. Na pewno chcieli zapomnieć o tym pobycie. Nie był bohaterski ani męczeński. To było wstydliwe. Polski oficer więźniem Wojska Polskiego. Tego się nie opowiada dzieciom i wnukom. Zauważyłaś, że Dziunia ukrywała swój szkocki adres przed naszą rodziną. Mówiłaś, że nigdy nie opowiadała o Rothesay. Dlaczego Rothesay miałoby pielęgnować pamięć o Polakach?

1 Simon Webb, *British Concentration Camps. A Brief History from 1900–1975*, Barnsley 2016. Autor przedstawił treść książki w artykule „Życie w obozach koncentracyjnych w Szkocji" opublikowanym 15 stycznia 2016 w internetowym wydaniu „The Jewish Chronicle". Eugenia Maresch, publicystka i działaczka emigracyjna, i doktor Andrzej Suchcitz, kierownik Archiwum Instytutu Sikorskiego w Londynie, wysłali do wydawcy gazety list polemiczny. Zarzucili Webbowi zastosowanie wobec polskich obozów odosobnienia obelżywego i zniesławiającego terminu odnoszącego się do nazistowskich obozów w okupowanej Europie i manipulacje informacyjne, m.in. opinię, że polskie obozy służyły szczególnie do represjonowania oficerów pochodzenia żydowskiego. Jeśli w obozie znaleźli się Żydzi, to nie dlatego, że byli Żydami, lecz z takich samych powodów jak inni odosobnieni.

2 Wrenki, od WRNS, Woman's Royal Naval Service – Pomocnicza Żeńska Służba Marynarki Królewskiej.

3 Jess Sandeman, *Bute's War*, Bute 2000.

1941

Witaj nam, droga Polsko

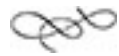

Witaj nam, droga Polsko, razem z tobą cierpimy,
Coraz lepiej cię znamy, coraz bardziej lubimy.
Płomiennie patriotyczna, tak jak nasz naród szkocki,
O duchu nieugiętym, nie poddajesz się, Polsko.
Niechaj twoi synowie, których wygnała wojna,
Czują się w pięknej Szkocji bezpiecznie i spokojnie.
Bóg przywróci wam prawo, pokonacie tyrana,
Mała waleczna Polsko, wyleczysz swoje rany.
Żegnaj nam, dzielna Polsko, rozdzieleni falami
Nie zapomnimy ciebie, będziemy myślą z wami.

John Yelloulees, *Farewell to Poland*, „Buteman”, 10 stycznia 1941

Według „Butemana”

„Buteman” z trzeciego stycznia podsumował wydarzenia minionego roku.

Zawiadomił czytelników, że dancingi w Pawilonie przyniosły rekordowy zysk – dwa tysiące sto trzydzieści dwa funty. W 1939 roku Pawilon urządził sześćdziesiąt pięć razy tańce, które dały tylko dziewięćset funtów.

Skąd więc taneczny impet 1940 roku? Czy początkowa faza wojny, zamęt z ewakuacją dzieci na wyspę, strach przez bombami i inwazją z morza odebrały ludziom zdolność do zabawy, a wojna w toku wzmogła jej potrzebę? Wyjaśnienie jest prostsze: miastu przybyły setki nowych tancerzy.

Sto czterdzieści pięć funtów z tanecznego uzysku przeznaczono na dobroczynność.

To bardzo dużo, jeśli Rothesay tak uroczyście obchodzi coroczny piątek dobroci, kiedy to szesnastu starych ubogich mieszkańców dostaje w hali miejskiej po dziesięć szylingów. Nawet jeśli to gest tylko symboliczny – świadczy o szacunku do grosza.

A skoro mówimy tyle o pieniądzach, dodajmy jeszcze, że w tym roku, po raz pierwszy od dziesięciu lat, marnie będzie z posagiem dla biednej narzeczonej. Stanowi on procent od żelaznego funduszu tysiąca funtów złożonego w banku przez trzeciego markiza Bute, gdy szczęśliwie obchodził srebrne wesele. Te pieniądze miały pomagać dziewczętom w pomyślnym zamążpójściu. W tym roku fundusz przyniósł czterdzieści sześć funtów, co byłoby wielką sumą dla starca, ale jednak małą na posag, i może dlatego rada miejska jak dotąd nie otrzymała wniosku od żadnej panny.

Rok upłynął na wyspie bezpiecznie. Nie należy jednak zapominać, co się dzieje w Europie. Dobrze byłoby zrobić parę noworocznych postanowień z myślą nie tylko o sobie, ale o całym kraju, i nie wypuścić ich zaraz w powietrze, jak to zwykle bywa. Po pierwsze, nie wiadomo, czym jeszcze zaskoczy nas wojna, ta specjalistka od niespodzianek. Wiemy o bombardowaniach Londynu. Musimy przygotować sposoby i środki ochrony przed lotniczym atakiem na Bute. Po drugie, żywność. Może być z nią gorzej niż podczas Wielkiej Wojny. Mamy w Szkocji czterdzieści dwa tysiące działek rolniczych. Szkockie Towarzystwo Ogrodów i Działek

zapowiada, że na wiosnę będzie ich około siedemdziesięciu tysięcy. Uprawiajmy ziemię pod własne zapasy.

Jesteśmy – jako społeczność – w bardzo dobrej formie. Uniknęliśmy stresów innych Brytyjczyków. Mieliśmy szczęście – przyjęliśmy gości alianckich. Weszli do naszej społeczności, ożywili miasto. Poprzedni markiz Bute powiedział, że wyspa jest widocznie powołana do tego, by chronić ludzi, tak jak i jego.

Wiele miejsca poświęcono zmarłym. W ubiegłym roku opuściło wyspę na zawsze trzydziestu jeden mężczyzn i dziesięć kobiet. Część z nich – samych mężczyzn – widzimy na zdjęciach. Najstarsi, zasłużeni obywatele, mają szczupłe twarze, siwe skronie, pielęgnowane wąsy i brody. Młodszy, zażywny, włożył do zdjęcia czarny melonik. Najmłodsi noszą mundury. Jeden ma na głowie czarny szkocki beret z pomponem. Dwudziestu dwóch mężczyzn zmarło śmiercią naturalną, siedmiu poległo w akcji, poza wyspą. Na liście są także czterej zaginieni na wojnie – dwóch majorów, kapitan i podporucznik.

W 1939 roku nie było ofiar wojennych. Gazeta jednak ocenia (wprawdzie na innej kolumnie): Nasze perspektywy wyglądają jaśniej niż dwanaście miesięcy temu.

Według Mękarskiego

Mękarski dziewiętnastego stycznia nie może spać. Najpierw przeszkadzają mu w tym znajomi. Nachodzą go i namawiają, by zagrał w brydża. Nie mogą sobie dać rady, dławią się swoim nieszczęściem. Narzekają, że wszystkich trapią tu choroby, z bezczynności, z nudy, z tęsknoty. Jeden prorokuje, że w najbliższej przyszłości trzeba się spodziewać serii samobójstw. W końcu poszli. Mękarski nareszcie ma spokój, czyta Komunikat nr 7 Oddziału II Sztabu Naczelnego Wodza z piętnastego stycznia. Znajduje wiadomości, ze źródeł niemieckich, że Niemcy w ciągu ostatniego roku całkowicie zmotoryzowały armię. Że *Generaloberst* Guderian rozporządza sztabem tysiąca wybitnych inżynierów i specjalistów, że temu sztabowi podlega rzesza dziesięciu tysięcy techników.

Mękarski jest przekonany, że inwazja nadchodzi:

Hitler musi do szturmu na wyspę przystąpić.

Za Kanałem czeka sześć milionów żołnierzy Hitlera.

Sny Umiastowskiego

Piątego stycznia Umiastowski zapisał: *Po raz pierwszy od [wyjazdu z] Polski byłem we śnie ze Stachą i chłopcami. Gdzieś we Francji, w Parthenay czy Cerizay. Dawałem im owoce, chciałem dać pieniądze, lecz miałem tylko dwa pojedyńcze funty. Byłem szczęśliwy*.

Piątego lutego:

Taki miałem dziwny sen. Stałem nad strumieniem, który rwał silnie w zlodzonym korycie. Spadziste brzegi, strumień niewielki. Szabla (nazywałem ją we śnie po angielsku: sword *tj. miecz) wysunęła mi się spod nóg i wpadła do wody, która ją uniosła. Nie spieszyłem się z podniesieniem jej, lecz za zakrętem nurt był bystrzejszy i pomknęła szybciej. Rzuciłem się wówczas w zlodzony nurt i znalazłem się po nie wiem jakim czasie w wielkiej rzece. Płynąłem za jakąś łodzią, woda była ciepła, i gdy mi z łodzi proponowano, żebym wydostał się na nią, nie śpieszyłem się. Było mi dobrze.*

Przejąłem się tym snem. Teraz jest ponownie noc i myślę, że oto już rok, jak moja szabla umknęła z rąk i ciągle jeszcze jestem w tym lodowatym korycie. Czy nie czas już wypłynąć na tę wielką, ciepłą rzekę?

Umiastowski obliczył: rok. Chyba – półtora?

Dwa rytmy hymnu

Zainteresowanie Polską i Polakami trwa. O chrzcinach polskich bliźniaków mówi się tyle ile o narodzinach córki księstwa Dumfries w zamku Kames koło Port Bannatyne. Książę John Crichton-Stuart, w niedługiej przyszłości piąty markiz Bute, i jego żona Eileen Beatrice Forbes są nam już znani – on jako szyfrant na „Cyklopie”, ona jako pani w wielbłądzim płaszczu z paczką papierosów w kieszeni, zarządzająca zbieraniem leczniczego mchu. Mają już trzech synów, dziewczynce dano imiona Carolina, Fiona i Maria.

Nie wiemy, gdzie ją ochrzczono, wiemy natomiast, że chrzest polskich bliźniaczek odbył się w rothesayańskim szpitalu Victoria. Rodzicami są porucznik Ryszard Szujski i Stefania Szujska. Córki mają na imię Elisabeth Agnes i Margaret Stefania. Skład rodziców chrzestnych jest szkocko-polski: z polskiej strony generał Jacyna-Jatelnicki, kapitan Moszczeński i Stefania Rusin, ze szkockiej – Agnes Dollan, żona burmistrza Glasgow. Przywiozła dla dziewczynek srebrne kubeczki z wygrawerowanym herbem swojego miasta.

Na przyjęcie pojechali do hotelu Glenburn.

Tydzień później otwiera się z pompą Klub Aliantów. Był już wcześniej i zapraszał Polaków, ale urządził się właśnie w nowej sali w hotelu Grand Marine; przedtem korzystał z niej królewski północny klub jachtowy. Jak informuje „Buteman", na uroczystość, na której panuje duch entuzjazmu, przychodzą znakomici goście: burmistrz Malcolm Buchanan, generał Jacyna-Jatelnicki, przedstawiony jako komendant polskich sił zbrojnych na Rothesay, kapitan Edwards, komendant sił morskich, major Hicks, komendant miejscowej gwardii cywilnej, wielu oficerów z żonami i wybitna reprezentacja obywateli miasta.

Burmistrz opowiedział zgromadzonym o miejskim spotkaniu publicznym, które obradowało parę tygodni temu. Obywatele uznali jednomyślnie, że Rothesay musi mieć lokal, w którym polscy oficerowie i ich żony będą się mogli spotykać ze szkockimi przyjaciółmi. Postanowili dążyć do tego celu i go osiągnęli. Szkoda – dodał – że na uroczystości zabrakło marynarzy norweskich i holenderskich. Musieli wyjść w morze. Ale zawsze będą mile widziani.

Generał Jatelnicki podziękował w imieniu polskich oficerów (mówi bardzo dobrze po angielsku, naprawdę – zauważyła gazeta): Wspomnienia stąd zabierzemy ze sobą do domów i pozostaną z nami na zawsze. Będą nas cementować po nieszczęściach wojny, w lepszych przyszłych dniach.

Okazuje się, że Szkoci doskonale sobie radzą z dziwnymi słowami *Mazurka Dąbrowskiego*. „Buteman" zamieszcza dziesiątego stycznia krótki i rzeczowy wykład historyczny o utracie niepodległości, o wychodźstwie, o zapale do walki, o Dąbrowskim, Kościuszce i Józefie Wybickim. Autor wyjaśnia, dlaczego Polacy szli z Napoleonem i dlaczego pieśń ma inny rytm w zwrotkach (powolny rytm marzenia), a inny w refrenie (walka o to marzenie, żywy marsz wojskowy). Sugeruje, że ta dwoistość – marzenie

i zryw – jest bardzo polska.

Rothesay często słucha hymnu polskiego.

Siedemnastego stycznia Martha Korwin, której się udało wydostać z Polski, opowiada o pracy szpitala maltańskiego w Warszawie. Takim spotkaniom na ogół towarzyszą dwa hymny – gospodarzy i gości.

Do Lwowa

Generał Jatelnicki dostał z Londynu odpowiedź w sprawie tygodnika i przedstawił ją Mękarskiemu. Izydor Modelski, szef Biura Propagandy i Oświaty w Sztabie Naczelnego Wodza, uprzejmie odmawia. Potrzeby czytelników polskich w Szkocji zaspokajają wystarczająco „Dziennik Polski", „Dziennik Żołnierza", „Polska Walcząca" i powielane periodyki. Zresztą na nowe pismo nie ma pieniędzy. Natomiast Biuro, które przygotowuje serię popularnych publikacji o Polsce i Wielkiej Brytanii, chętnie skorzysta ze współpracy oficerów z obozu. Pożądany jest także materiał do odczytów i pogadanek, *wolny od jakiejkolwiek polityki*.

Znajomy Mękarskiego, oficer na stanowisku w Glasgow, twierdzi, że Rubens przestraszył się nazwisk. A przecież Mękarski pominął najgorzej widziane – Ścieżyńskiego i Kościałkowskiego.

Mękarski czuje się *gładko spławiony*. Zastanawia się, *jacy to ludzie na tzw. emigracji uchwycili w swe ręce ster skołatanego okrętu naszego nieszczęścia*.

Przez dwa tygodnie, między szóstym a dziewiętnastym lutego, zapisuje kartki rozważaniami o *nosicielach polskiej opinii i propagandy na „emigracji". To ludzie, których fala koniunktury tragicznej wyrzuciła na wierzch życia*. (…) *Tych ludzi skupionych posłusznie i wcale służalczo koło hotelu „Rubens" w Londynie nie łączy żadna wewnętrzna więź społeczno-politycznego poglądu na świat i przyszłą Polskę prócz uroczystego frazesu i wzajemnej nieufności, rywalizacji o wpływy i znaczenie. Nienawidzą się też zdrowo*.

Pisze, z goryczą i zdumieniem, że emigracja rozprawia się zarówno z Józefem Piłsudskim, jak i z Romanem Dmowskim. *Obaj są bici i usuwani urzędowo niemal ze świata myśli i uczucia polskiego na obczyźnie*. Nie żałuje tej likwidowanej przeszłości. Piłsudczyzna i endecja nie zdały w Polsce

niepodległej egzaminu dziejowego i powinny zostać przezwyciężone przez nową polską ideę polityczną, zdolną uformować nowy, nowoczesny naród polski. Lecz czy może ją stworzyć *kilkunastu ludzi przypadku, koniunktury, spryciarzy, grafomanów i hurra demokratów, którzy podnieśli porzuconą na krwawiących gościńcach Polski wrześniowej, a później obczyźnie – władzę i ni z tego i z owego pasowali się wcale samozwańczo na przedstawicieli Polski walczącej i polskiej opinii publicznej.*

Jaka to ma być idea?

Historia chodzi po ulicach. Historia twarz odsłoni tej tajemnicy.

Mękarski chce uporządkować swe myśli, ułożyć je w porządny system i zakończyć osobistym *credo*. Jest coraz bardziej świadom, że wojny nie wygrają ani Niemcy, ani Wielka Brytania.

Wojnę wygra europejska rewolucja społeczna. (…) *Tylko w razie zwycięstwa wizji nowego ustroju społecznego warto będzie żyć.*

Gdybym był obywatelem angielskim (…) *układałbym dzisiaj Deklarację Sprawiedliwości Społecznej nowego lepszego świata na gruzach rozkładającej się moralności kultury mieszczańskiej. Podałbym sens ideowy wojnie, wypisałbym na sztandarze walki jej jedyny, uświęcający ofiarę cel.*

Gdzie to pisze? W saloniku pań Morrison, w Klubie Alianckim, w świetlicy obozu, w kancelarii Komendantury? Nie wiemy, ale na pewno za murem. *Czeka na mnie mój mur. Ogrodzę się nim, zasłonię. On jest ważny, jedynie ważny.*

W tym murze jest furtka do Lwowa. Chodzi po mieście i szuka w nim żony i córki. *Wyobraźnia błąka się po ślepej, ciemnej ulicy.* (…) *Tam w rogatkach mego miasta żyje po ciemku jakiś inny już nieznany świat i ludzie, o których nie wiem nic.*

Chciałby wywołać dawne szczęśliwe chwile, ale pcha mu się przed oczy straszne pożegnanie ze Lwowem, *kalwaria rozstania* – barykady z wozów, żelastwa, kamieni, rozorany plac Bernardyński, szkło na ulicach, skręcone druty. I nawet kiedy powraca chwila pokoju, jest to pokój Zaduszek – zapach stearyny, sterty wianków, żebracy, czarny pomnik Ordona. *W kościele tych ulic błąkam się nieustannie, przyklękam przed każdym domem – ileż razy muszę uklęknąć…*

Trzy śmierci w lutym, jedna po drugiej.

Jedenastego: porucznik Jan Zygmunt Stadnikiewicz.

Dwudziestego pierwszego: kapitan Stanisław Bylczyński.

Dwudziestego ósmego: major Adam Stebłowski.

W Instytucie Sikorskiego w Londynie brak rozkazów dziennych z pierwszej połowy 1941 roku, w których można by się spodziewać jakichś wiadomości, jeśli nie były kłopotliwe dla Komendantury.

Poszukałam trzech oficerów we wcześniejszych rozkazach.

Porucznik Stadnikiewicz piętnastego listopada 1940 roku znajduje się w składzie jednego z licznych zespołów nauki angielskiego, a w grudniu tegoż roku w trzeciej grupie wyszkolenia, do której skierowano oficerów nierokujących zupełnie wykorzystania w wojsku (jest w niej także Ignacy Raczkowski). Kapitana Bylczyńskiego nie znalazłam w ogóle. Majora Stebłowskiego w grudniu 1940 roku zwolniono na pięć dni z zajęć; dostarczył orzeczenie lekarskie.

Stefan Mękarski, który niedawno zapisał rozmowę o spodziewanej serii samobójstw, nie odnotował i nie skomentował lutowych zgonów, a zmarło przecież w ciągu miesiąca trzech kolegów niedoli. Prawdopodobnie ich znał. Na pewno mówiło się o tym w obozie. Oficerowie tłumnie uczestniczyli w ceremoniach cmentarnych i w nabożeństwach żałobnych w katolickim kościele Świętego Andrzeja. Ksiądz Butler z parafii Świętego Andrzeja celebrował uroczystości po łacinie i po francusku.

Wszystkich trzech pochowano, jak już wiemy, na cmentarzu High Kirk. Z czasem spocznie koło nich jeszcze pięciu, wśród nich mój wuj Ignacy Raczkowski. Na stelach nie ma dat urodzenia, ale ze spisu Komisji Grobów Wojennych Commonwealthu można się dowiedzieć, że Stadnikiewicz i Stebłowski mieli po czterdzieści cztery lata, a Bylczyński pięćdziesiąt.

Jan Stadnikiewicz zmarł w szpitalu Victoria w Rothesay po krótkiej chorobie. Adam Stebłowski miał iść z przyjaciółmi do kina i przewrócił się przed drzwiami ich domu. Wezwano karetkę. Stwierdzono, że przyczyną śmierci była apopleksja.

Adam Stebłowski urodził się w Zbruczu. Studiował w Kijowie i Odessie, służył w wojsku rosyjskim i polskim, był nawigatorem balonowym, prowadził werbunek do tworzącego się w Rosji Wojska Polskiego, walczył z bolszewikami, awansował w armii, został redaktorem wydawnictw wojskowych i doradcą wojskowym przy Lidze Narodów. Skończył prawo na Uniwersytecie Warszawskim i rozpoczął służbę dyplomatyczną – w Moskwie, Charkowie i Tyflisie. Pracował dla polskiego wywiadu. Tłumaczył z francuskiego prace dotyczące wojskowości. Był członkiem licznych organizacji i komisji, między innymi Komisji Doradczej do spraw Wojskowych przy Lidze Narodów oraz Górnośląskiej Komisji Mieszanej, kawalerem orderów polskich i zagranicznych. Należał do Zakonu Maltańskiego. Miał ładną prezencję. Na zdjęciu z dyplomatycznego spotkania nosi smoking, sztuczkowe spodnie i getry. Był wdowcem, prawdopodobnie bezdzietnym. Ostatnia jego funkcja to starosta działdowski.

Czternastego października 1939 roku zeznawał w Paryżu, jak wyglądał wrzesień w jego powiecie. Z Warszawy do ostatniej chwili szły nakazy, by nie robić popłochu. Nie zarządzono ewakuacji w strefie pogranicznej, wycofania z niej żywności, urządzeń przemysłowych i instytucji. Nie wydano zarządzeń regulujących świadczenia administracji dla wojska. Wojsko żądało drewna, worków, drutu, wojewoda polecał nie dawać tego bez podstawy prawnej. Stacje załadowcze wyznaczono tam, gdzie należało się obawiać uderzeń niemieckich. Działdowo atakowane ogniem artylerii nie miało żadnej osłony lotniczej. Okopy były prowizoryczne, zasieki słabe. Czwartego września widział pod Płockiem pomieszane oddziały różnych broni, uciekające w popłochu, bez oficerów, bez czapek i butów.

Być może komisje badające odpowiedzialność za klęskę wrześniową uznały, że były starosta nie jest bez winy, i dlatego znalazł się w Rothesay.

W dniu, w którym zmarł, „Buteman” zamieszcza ośmiozwrotkowy wiersz *Ojczyzna Chopina* skamandryty Stanisława Balińskiego, przetłumaczony wiernie na angielski przez kapitana Jana Śliwińskiego, rezydenta obozu.

Cóż to była za dziwna, romantyczna pani,
Wszyscy się w niej kochali, umierali dla niej.
Wszyscy cierpieli za nią najdotkliwsze krzywdy,
Nawet ci, co jej oczu nie widzieli nigdy.
Za nią tęsknili długo po nocach i rankach…

Manewry na Wołyniu. Z lewej Adam Stebłowski

Narodowe Archiwum Cyfrowe

Publikacja wiersza nie ma związku ze śmiercią Adama Stebłowskiego. Kiedy tygodnik szedł na maszynę drukarską, jeszcze o niej nie wiedziano.

Ledwie René Clair, który szczęśliwie opuścił Francję, nakręcił w Ameryce *Płomień Nowego Orleanu* z Marleną Dietrich, już idzie on w Rothesay w kinie Regal. Ledwie Spencer Tracy tak jasno rozpalił uliczne lampy Manhattanu, że konie u powozów stanęły dęba, już film *Edison* idzie w kinie Palace. Ledwie Ronald Reagan uratował przed sabotażystami wojskowy sterowiec, *Morderstwo w powietrzu* idzie w kinie Ritz.

Rothesay zna najnowszą produkcję Metro Goldwyn Mayer i Paramountu. Zachwyca się debiutem Katharine Hepburn, ale chętnie ogląda stare melodramaty, komedie i musicale.

Repertuar kin Rothesay ściska mi serce. Myślę o Dziuni. Czy już tu jest? Czy zdąży się naoglądać?

Kiedy Dziunia Raczkowska wróciła do Polski, w Białej Podlaskiej było jedno kino. Nazywało się Pokój.

Urządzono je w cementowym baraku po kantynie 9. Pułku Artylerii Lekkiej w dawnych koszarach Szmula Piżyca. Sala kinowa miała czarną ropowaną podłogę, tak samo jak klasy mojego bialskiego Gimnazjum imienia Emilii Plater w dawnym klasztorze Reformatów, i była zawsze pełna, niezależnie od tego, jaki leciał film. Podaż innych rozrywek była niewielka.

Kiedy, bardzo rzadko, rzucano do kina jakiś film zachodni, pod kasą odbywała się cierpliwa i zawzięta przepychanka.

Dziunia dostała posadę kasjerki. Starannie ubrana i uczesana, siedziała w małym kantorku przy wejściu. Miał dwa okienka, jedno na ulicę Warszawską, drugie na korytarz. Przez to drugie sprzedawała bilety na *Tajną misję*, *Pieśń tajgi*, *Upadek Berlina*, *Spotkanie nad Łabą*, *Wesoły jarmark*.

Akcja *Tajnej misji* (Mosfilm) zaczyna się w 1945 roku w Berlinie. Dwaj amerykańscy dyplomaci, wspierani przez Churchilla i niemieckich przemysłowców, spiskują przeciwko Rosjanom, co nie uchodzi uwagi radzieckiego wywiadu. *Spotkanie nad Łabą* (Mosfilm) pokazuje, jak Amerykanie i Rosjanie traktują swoje strefy okupacyjne: pierwsi jako zdobycz do eksploatacji, drudzy jako krainę, którą trzeba otoczyć opieką, odbudować i nauczyć życia w wolności. *Wesoły jarmark* (Mosfilm) nie zajmuje się polityką światową, opowiada o szczęśliwej pracy w kołchozie i komplikacjach sercowych dojarki i stajennego.

W wolnych chwilach Dziunia spoglądała na ulicę Warszawską. To był dawniej szlak służbowy i spacerowy między miastem a pułkiem. Chodziło się oglądać pokazy kawaleryjskie, na których zadawał szyku przyjaciel Raczkowskich major Kozakiewicz, mąż pięknej wtedy Raisy, i na spotkania w kasynie. Odprowadzało się wieczorami wzdłuż domowych ogródków i starego parku radziwiłłowskiego, obok wysokiej kolumny z figurą świętego Jana Kantego, która po wojnie musiała ustąpić nowemu domowi partii. Szło się wygodnie środkiem szerokiej ulicy, pierwszej w Białej wylanej asfaltem i całkowicie bezpiecznej. Głównym środkiem lokomocji były wtedy dorożki; w zimie wprzęgano konie do sań. Dziunia i Raisa na pewno przepadały za taką sanną, chociaż bialscy woźnice nie zawieszali dzwoneczków przy końskiej uprzęży.

Dziunia opierała się na łokciach przy oknie kina. Szłam Warszawską do domu i zaczepił mnie młodziutki rekrut, wsiowy i rezolutny. „Czy koleżanka wie, którędy do rynku? Czy koleżanka tam idzie?" „Tak, kawałeczek, pokażę drogę, a potem skręcam".

Przeszliśmy razem ten kawałeczek.

Należałam już do innego świata niż Dziunia i nie mogłam zrozumieć, co ją tak poruszyło, że aż przyszła wieczorem porozmawiać z mamą. „Panna szła z rekrutem. To może się zdarzyć w czasie wojny, ale nie pokoju, kiedy i rekrut, i panna powinni znać swoje miejsce".

Ucieczka z Tighnabruaich

Pułkownik Władysław Spałek po trzech miesiącach sprawowania komendantury w podobozie Tighnabruaich melduje generałowi Jatelnickiemu swoje uwagi[1]. Po pierwsze, nie otrzymuje informacji o przyczynach skierowania do podobozu części oficerów. Brak *wyraźnie podanego rodzaju winy*. To stawia komendanta w trudnej sytuacji, bo oficerowie czują się pokrzywdzeni i zlekceważeni. Po drugie, nie wiadomo, jak długo mają tu być. Sprzyja to atmosferze beznadziejności i daje grunt do fałszywej oceny zadań podobozu. Po trzecie, jeśli w podobozie są oficerowie, których nie można użyć do służby ze względu na nałogi albo zboczenia, należy powiedzieć im jasno, dlaczego ich tu skierowano. To samo dotyczy oficerów, przeciw którym

toczą się sprawy sądowe.

Zanim list dotarł do adresata, Rothesay wiedziało już, że z podobozu uciekło trzech oficerów. Pojechali do Londynu na skargę.

Grycko ich zna.

Ppr Frania Döllingera, doktora praw i adwokata z Krakowa, poznałem w Tighnabruaich, obozie karno-izolacyjnym, dokąd został „zesłany" jak wielu z nas innych w drodze „administracyjnej" przez swego dowódcę za wyrazy krytyki pod adresem gen. Kukiela za ewakuację z Francji (…) *jako niebezpieczny podżegacz. Po zapoznaniu się ze stosunkami, a zwłaszcza z podejściem Komendy obozu do nas* (…) *ppr Döllinger wraz z ppr Amirowiczem i z ppr Zarembą po 3 mies. pobycie w obozie – jednej nocy ku uciesze naszej – a zmartwieniu żandarmów pojechali (oficjalnie uciekli) do Londynu do Sztabu ze skargą na panujące stosunki i Kmta obozu płk. Spałka. Zapanowała konsternacja w Kmdzie i w kadrze – gdyż niewiedziano jaki rezultat to może przynieść. Ubrano rękawiczki i zaaplikowano wazelinę – w stosunku do nas. Rzeczywiście w kilka dni potem przyjechała „Komisja", która „amciła"*[2] *z wielkim szumem w myśl zasady kruk krukowi oka nie wykole i nie wiele po jej wyjeździe się zmieniło na lepsze. Ppr Döllinger z towarzyszami po tygodniu powrócił do obozu i przez długie tygodnie mieliśmy temat do śmiechu i żartów – gdy bardzo obrazowo opowiadał nam o konsternacji w „Rubensie". Jak aby się ich pozbyć odsyłano z jednego biura – do drugiego. Gdy wyrazili chęć powrotu do obozu – po otrzymaniu przyrzeczenia, że „przyjedzie Komisja", zażądali pieniędzy – w formie zaliczek na swoje pobory – na opłacenie kosztów podróży powrotnej, z wielką gotowością wbrew przepisom – udzielono im zaliczek, byle tylko spokojnie bez żadnych awantur wyjechali z powrotem [do Tighnabruaich].*

Opowieść Grycki o ucieczce i hojności sztabu wobec zbuntowanych oficerów zgadza się mniej więcej z zapiskami Mękarskiego z siódmego marca. Mękarski podaje nawet, że uciekinierzy (według niego nie trzech, lecz dwóch) dostali na drogę powrotną najpierw po pięć funtów w Londynie, a potem jeszcze po trzy funty w Perth. Dodaje: *Sprawa jest wcale skandaliczna. Gen. Jatelnicki jest wyraźnie przygnębiony obrotem sprawy i stara się doprowadzić do likwidacji Tighnabruaichu przez wyciągnięcie wszystkich iure caduco zesłanych tam oficerów.*

Tymczasem dwudziestego drugiego marca 1941 roku prezydent Rzeczypospolitej Polskiej Władysław Raczkiewicz inauguruje polski Wydział Lekarski przy Uniwersytecie w Edynburgu. Przed wielką aulą miejską, po raz pierwszy od wybuchu wojny otwartą dla publiczności, ustawia się orkiestra dudziarzy, a za nią honorowa kompania wojskowa absolwentów uczelni. Polscy profesorowie wydziału noszą mundury Wojska Polskiego; przed wojną wykładali w Poznaniu, Wilnie, we Lwowie, w Krakowie, Warszawie. Znany edynburski organista gra utwory Chopina i Paderewskiego, a dziekan Wydziału Teologicznego odmawia modlitwę.

Wicekanclerz uczelni Thomas Holland przytacza słowa Williama Pitta młodszego: *Wkroczyliśmy w nową erę historii narodów. Jesteśmy powołani do walki nie tylko o nasz kraj, lecz i o los całego cywilizowanego świata.* (…) *W obliczu niedoli i nieszczęść narodów jest naszą słuszną dumą to, że górujemy nad wszystkim, co zdołały uzyskać pycha i despotyzm*.

www.ed.ac.uk

Zwraca się do prezydenta Raczkiewicza: *Ta skromna uroczystość jest zaś zapowiedzią radości, którą już dziś odczuwamy, na myśl o odzyskaniu wolności przez wielkie uniwersytety Pańskiego Kraju*.

Na wydział zapisano siedemdziesięcioro siedmioro słuchaczy, w tym dziewiętnaście kobiet.

Z polskimi wykładowcami w Katedrze Chorób Wewnętrznych współpracuje szkocki profesor Stanley Davidson. Mówi, że nie jest pierwszym Davidsonem w służbie medycznej dla Polski.

William Davidson był starszym chirurgiem na dworze króla Jana Kazimierza.

Ciekawe, czy profesor Stanley wiedział o największej zasłudze doktora Williama. Dowiedziałam się o niej, pracując nad książką o Polesiu. Szukałam wiadomosci o *Plica polonica*, kołtunie polskim. Otóż doktor Davidson, występujący w polskich źródłach jako Davisson[3], był jednym z pierwszych medyków na ziemiach polskich, którzy mieli odwagę ścinać kołtuny. Uważał, że nie są dziełem złych mocy, którym należy się poddać, lecz brudu i zabobonu. Ściął ich podobno tysiące i wszystkim pacjentom wyszło to na zdrowie, wbrew szerokiemu poglądowi, że obcięty kołtun będzie się mścił na człowieku. To pewne, że pionierskiej odwadze szkockiego lekarza sprzyjała jego pozycja u króla.

Inauguracji poświęcono wkrótce księgę pamiątkową[4]. Zawiera liczne nazwiska osób biorących udział w uroczystości i pracach wydziału. Nie ma wśród nich generała Roupperta, chirurga, do września 1939 roku naczelnego lekarza Wojska Polskiego. Nie wiemy, jak to było: nie zaproszono go właśnie dlatego, że pełnił tę funkcję, czy też zaproszono, co raczej wątpliwe, ale odmówił.

Wiadomo natomiast, że Wanda Piłsudska, która dobrze znała generała Roupperta z domu rodziców, zapisała się na Polski Wydział Lekarski w Edynburgu i skończyła go jako jedna z pierwszych studentek.

Doktor Rouppert

Wanda Piłsudska ma blisko na wydział, bo mieszka w Edynburgu z matką i siostrą. Edward Raczyński, wtedy ambasador Rzeczypospolitej w Wielkiej Brytanii, wspomina ich wieczorny przyjazd do zaciemnionego Londynu późną jesienią 1939 roku:

Nadjechał wreszcie bardzo długi pociąg, z jednego z końcowych wagonów wysiadła pani Piłsudska ubrana na czarno i dwie panienki. Wanda, długa, chudziutka, pochylona naprzód, i Jadwiga, niższa, z zadartym noskiem,

zgrabna i przy całym braku zachodniej staranności w ubiorze, i zwłaszcza w uczesaniu, nie pozbawiona pewnego szyku osoby odważnej fizycznie i niezależnej w sądzie. Obie ubrane w skromne wełniane sukienczyny i jakieś bluzki. Wyładowane ich biedne worki czy tobołki, byle jak zwinięte, załadowaliśmy z żoną do auta ambasady i zawieźliśmy do siebie. W domu było trochę miejsca[5].

Piłsudczycy z Rothesay załatwiają sobie w Komendanturze przepustki do Edynburga, nie zdradzając celu, i odwiedzają wdowę i córki w ich dwupokojowym mieszkaniu. Przynoszą kwiaty, piją herbatę, wspominają, wymieniają gorzkie uwagi i zastanawiają się nad przyszłością. Aleksandra Piłsudska cieszy się na wizyty generała Roupperta i jego żony. Ją zna od dziecka. Współpracowały przy organizowaniu kuchni dla bezrobotnych i „kropli mleka". Zbierały na to pieniądze. Maria Rouppertowa organizowała zbiórkę makulatury. Sprzedawało się ją do fabryk. *Czarująca pani Rouppertowa*[6] – wspomina Piłsudska.

Rouppert towarzyszył Piłsudskiemu od wczesnej młodości. W książce *Piłsudczycy* Juliusz Kaden-Bandrowski opisuje imieniny Komendanta w 1915 roku:

Zamieciono wielką salę opuszczonego dworu… Zapowiedziano, by nikt nie rzucał niedopałków na podłogę. Przy schodach ukryliśmy orkiestrę. (…)

Komendant jedzie!

(…) *Orkiestra gra marsza. Przed klomb zajeżdża w szarej świtce Piłsudski, za nim major Trojanowski, dr. Rouppert, kapitan Kasprzycki i inni.*

W Sali gromadzi się wszystko. Gdy Komendant wszedł, staliśmy jakby półkolem w podkowę. Runął jeden dźwięk ostróg, siwe mundury sprężyły się, służbista gotowość zaciążyła na twarzach. Zaś jeśli podkowa jest znakiem pomyślności, to ta, żywa i szara, w której kształcie staliśmy, najwierniejszą jest, jaką Komendant w swym życiu spotkał[7].

W innym rozdziale tej książki jest mowa o Rouppercie, lekarzu Legionów: zmartwiłby się boleśnie, gdyby wiedział, że *jest na niego ułożona śpiewka bardzo zła i że niejeden warczy, gdy widzi ogromną sylwetę doktora, przemijającą w marszu. Łapiduch – psia krew!*

Tak, łapiduch – godzi się autor – ale *gdy się czyjś duch i hart ze słabnącym*

ciałem zmaga, może doktor powiedzieć: Jesteście zdrowi, wracajcie do ognia! [8].

Sławoj-Składkowski przytacza spory o awanse sanitarne w ostatnich latach przed śmiercią Józefa Piłsudskiego. Wnioskował Rouppert, decydował marszałek. Piłsudski lubi się targować, czasem przekomarzać. Chce awansować młodszych lekarzy, a Rouppert starszych. *Jak pan pójdziesz awansami młodszych, to zwiększę panu awanse do czterdziestu pięciu, a jak awansujesz tylko starszych, to zmniejszę panu do czterdziestu.* Innym razem, łaskawie: *dwóch poruczników awansuję na kapitanów, ale robię to tylko dla Stachurka*[9]. Śmieje się z przechwałek tęgiego Roupperta, który dostał Państwową Odznakę Sportową – skoczył wzwyż na metr.

Podczas ostatniego spotkania marszałek domaga się awansów dla podporuczników. Rouppert odpowiada, że ma ich niewielu. Miałby jeszcze jednego, ale się ożenił bez pozwolenia. *Wziął wam i ożenił się bez pozwolenia?! To bardzo dobrze!! To tęgi chłopak!* (…) *Sam pan kiedyś się ożenił i to z dzieckiem, ze studentką*[10].

Pomiędzy opowieścią Kadena budującą legendę Legionów a *Strzępami meldunków* Składkowskiego Rouppert obejmuje kolejne stanowiska, przewodniczy radom i organizacjom, otwiera stadiony i igrzyska sportowe, asystuje przy pierwszym napełnianiu wodą basenu Legii, wchodzi do Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego.

Pod koniec kwietnia 1935 roku prowadzi pośpieszne notatki. Zapisuje przebieg ostatnich dni marszałka, nad którym czuwa, zabiegi medyczne, niecierpliwość pacjenta wobec lekarzy. Ostro zwymyślany, że zadaje ból zastrzykami, cieszy się, że Piłsudski ma jeszcze energię.

Generał Narbut-Łuczyński opisuje we wspomnieniach przygotowania do pogrzebu marszałka i zdradza:

nastąpiło przeniesienie zwłok z metalowej trumny do srebrnej, którą opieczętowano pieczęcią katedralną i dowództwa okręgu korpusu. Pieczęcie te były komisyjnie zdejmowane i ponownie nakładane każdorazowo przez cały okres balsamowania zwłok. Za każdym razem zdjęte pieczęcie zabierał generał Rouppert, zawsze obecny przy zabiegach balsamowania. Tylko raz udało się płk. Tomaszewskiemu zdobyć te historyczne pamiątki, ratując je przed zachłannością szefa departamentu zdrowia[11].

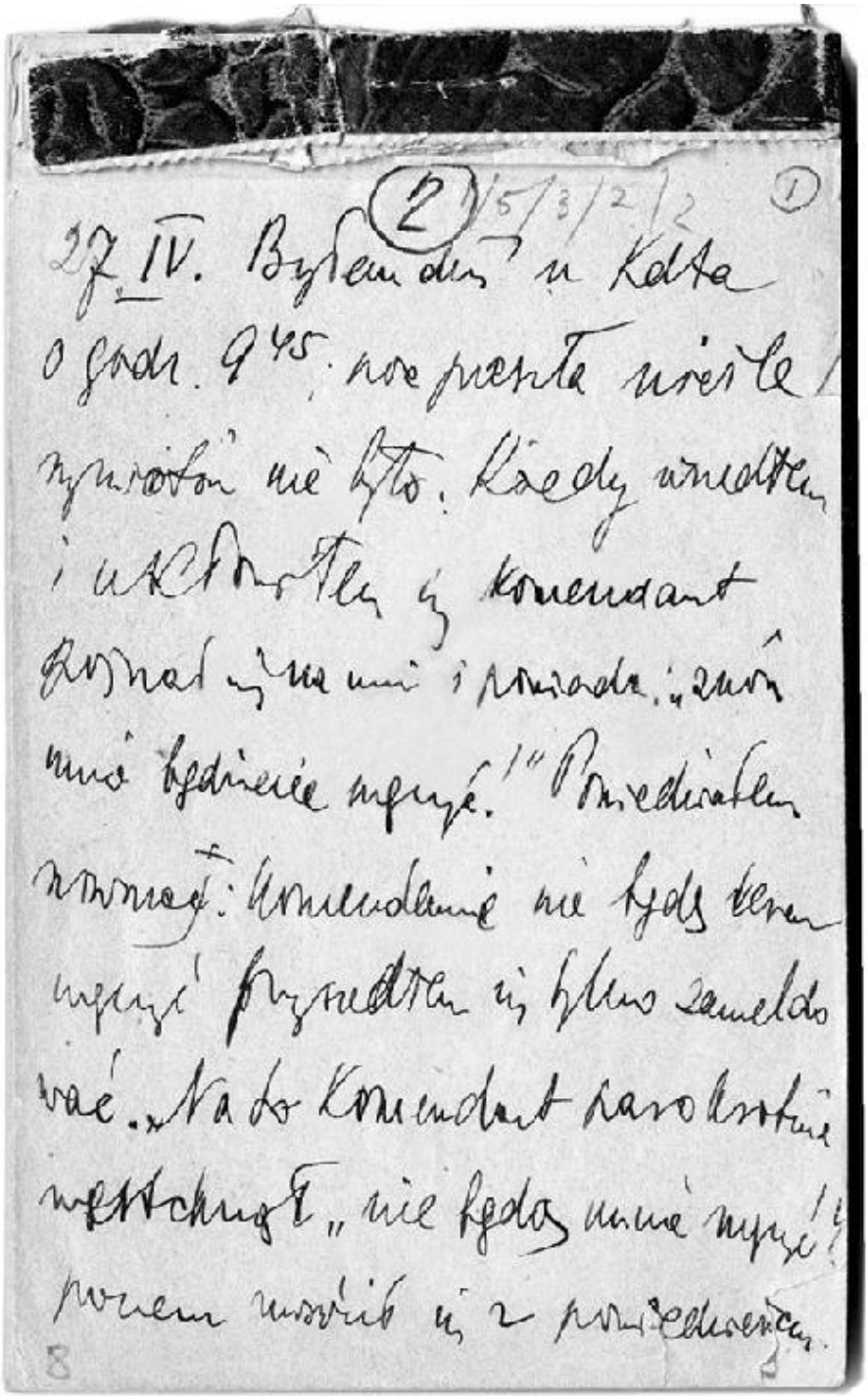

Piłsudski umiera. Druga kartka notatek Roupperta

archiwum Instytutu Józefa Piłsudskiego w Londynie

Czy ta wierna żywa podkowa, która wywarła tak wielkie wrażenie na

młodym Kadenie-Bandrowskim, i jej ideowi towarzysze spiskują podczas wycieczek do Edynburga? Zwierzchnictwo w Londynie ciągle obawia się knucia.

Jeden pens

Pomiędzy tematy omawiane u Suffrediniego wkrada się wiadomość, że generał Stanisław Felix Kwaśniewski skąpi pieniędzy na jeńców w Niemczech. Nawet porucznicy opodatkowali się na ten cel – sześć szylingów miesięcznie. Generał zadeklarował jednego pensa. Powiedział, że to dar symboliczny.

Oficerowie, którzy ofiarowali więcej, postanawiają dać generałowi nauczkę i wywieszają na drzwiach Komendatury fotokopię listy potrąceń z poborów.

Generał Kwaśniewski pisze więc na maszynie obszerny, formalny list do komendanta Jatelnickiego. Domaga się ukarania winnych nagonki, bo fakt, że ofiarował tylko jednego pensa, roztrząsają uparcie, celowo, złośliwie. Nie tylko podrywają jego autorytet i dobre imię, ale naruszają dyscyplinę wojskową. Wylicza, że utrzymuje trzyosobową rodzinę za trzydzieści sześć funtów, a ostatnio zapłacił sześć za dentystę. Ubolewa, że zarzut aspołeczności dotyka człowieka, który przez długie lata pracował społecznie jako prezes Ligi Morskiej i Kolonialnej, który w kraju finansował pracę świetlicową dla sześćdziesięciorga biednych dzieci i oprócz własnych trojga utrzymywał siedmioro z dalszej rodziny.

Jatelnicki prosi więc, by podał nazwiska winnych nagonki.

Kwaśniewski odpowiada, że wskazał ślad, reszta nie należy do niego[12].

Według Mękarskiego Jatelnicki ostrzegł Kwaśniewskiego (obaj generałowie, więc rozmawiali jak równy z równym), że kiedy wróci do kraju, rodacy wyliczą mu emeryturę równie symboliczną jak jego dar. Ale to go nie peszy. Ma już w Szkocji nie tylko żonę, ale i syna i na pewno do Polski nie wróci.

Czy w ogóle będzie miał dokąd? Co się dzieje z jego majątkiem w kolonii Junkowszczyzna na Grodzieńszczyźnie, gdzie po zwycięskiej wojnie 1920 roku dostał ziemię jako osadnik wojskowy?

Pismo „Jestem Polakiem” nic sobie nie robi z zakazów wojska i rządu. Redaktor ksiądz Bełch drukuje w marcu list otwarty Adama Doboszyńskiego do Antoniego Słonimskiego[13].

Pisze Pan[14], że po tej wojnie „przyjdzie zmierzch nacjonalizmów”. Zdaniem Pana po tej wojnie „wielkie demokracje będą siłą najpotężniejszą. Siła ta nie może dopuścić do nowego odrodzenia się nacjonalizmów”. Zupełnie Pana nie rozumiem. Szanowny Panie, nacjonalizm to rzecz stara jak świat, stara jak Egipt czy Ateny, Sparta, Persja, Rzym. Nacjonalizm to po prostu uczucie przywiązania do własnego narodu i wszystkie wynikające z tego uczucia konsekwencje. (…) *Zwyrodnienia nacjonalizmu wolno tępić, powinno się tępić. Ale mówić o tym, że nacjonalizmy kiedykolwiek na świecie znikną, to naiwność. To nie jest na poziomie, Szanowny Panie.*

Długi list kończą uwagi, że tolerancja wobec Żydów przyczyniła się do utraty niepodległości Polski i do jej krwawień co pokolenie. Po wojnie z kraju należy pozbyć się Żydów.

Po prostu zorganizujemy, w porozumieniu z wielkimi demokracjami Zachodu, masową emigrację Żydów z Polski. Będzie to akcja zorganizowana humanitarnie i według najświeższych metod naukowych. Istnieje już dziś zrozumienie dla tej sprawy i u poważnych czynników żydowskich, i u części parlamentarzystów brytyjskich. Trzeba tylko akcji konsekwentnej i inteligentnie kierowanej. Mamy nadzieję, że Pan nam w tej akcji dopomoże i że Pan odda swe cenne pióro na usługi wielkiej sprawy emigracji z Polski pańskich rodaków.

Kiedy to pisze, za murami warszawskiego getta zamknięto już czterysta pięćdziesiąt tysięcy Żydów. Wielka Brytania, jedna z wielkich demokracji Zachodu, po interpelacjach w Izbie Gmin w sprawie tekstu Doboszyńskiego odmawia przydziału papieru dla „Jestem Polakiem”. W czerwcu 1941 roku gazeta przestaje wychodzić.

Generał Sikorski kieruje Adama Doboszyńskiego do Rothesay.

W piątek jedenastego kwietnia w kościele Świętego Andrzeja nie ma symbolicznego grobu Chrystusa, w sobotę nie ma święcenia pokarmów, w niedzielę nie ma rezurekcji. Mękarski pisze, że kapelan polskiego obozu ksiądz Konstanty Pogłódek próbował coś zrobić, ale proboszcz Butler odmówił. Tutejszy kościół nie zna tych obyczajów. W Poniedziałek Wielkanocny Szkocja pracuje.

Michał Grażyński wspomina święta w Polsce. *Tęsknota pogłębia się z każdym dniem. Ojczyzna umęczona staje w mej wyobraźni taka piękna. Czy dzwonią teraz na Resurekcję?* Pytanie emocjonalne, ale i rzeczowe, wiadomo, że Niemcy zdejmują dzwony na złom na potrzeby wojenne. Szybko jednak odrywa się od wspomnień, bo *armja serbska poddała się w okolicy Sarajewa. Niemcy nadali wczoraj radosny komunikat.*

Oficerowie na pewno chętnie zbudowaliby grób, przygotowali święcone i wyszykowali się na procesję. Jedni z głębokiej religijności, inni dla miłej tradycji, wiążącej z domem, jeszcze inni, by wydobyć się z nudy; zresztą żadna z tych potrzeb nie wyklucza innej. Ksiądz okazał się jednak nieugięty, być może w obawie, że ruch przy obrzędach naruszy spokój świątyni. Mękarski nie ma zresztą żalu do proboszcza, który przechodzi właśnie na emeryturę. Od kiedy na wyspę przypłynęli Polacy, wygłosił dla nich kilkanaście kazań piękną francuszczyzną, bliższą wielu oficerom niż nowy dla nich angielski.

A jednak Wielkanoc w parafii Świętego Andrzeja staje się dniem polskim. Wizerunek Matki Boskiej Częstochowskiej w porę oprawiono i zawieszono nad głównym ołtarzem. To jedyny obraz w tej świątyni, która służy katolikom, ale zachowuje protestancką skromność. Kopia wierna w rysunku, lecz barwniejsza. Bardzo kolorowa. Wszystkim się podoba. Proboszcz jest zadowolony i wdzięczny.

Zauważono, że pułkownik Prażmowski podpisał się na obrazie: „*pict. count [malował hrabia] Belina-Prażmowski*”.

Oficerowie komendy obozu spożyli śniadanie świąteczne w hotelu Bute Arms. Poświęcono stół, nieźle zastawiony. Biesiadnicy zjedli, wypili i zaczęli śpiewać. Mękarski, zaproszony do stołu jako pracownik kancelarii, zapisał, że nikt nie zaintonował *Wesoły nam dziś dzień nastał*. Komendantura obozu,

pilnująca głównie byłych legionistów, śpiewała jedynie stare, „wyblakłe” pieśni legionowe.

Czyżby nowych pieśni nie było?

Może o nich nie wiemy?

Rozkaz dzienny z trzydziestego pierwszego lipca apeluje:

W związku z przeżywanym okresem powstają pieśni żołnierskie, które mogą mieć w przyszłości znaczenie historyczne. Celem uchronienia ich od zaginięcia, należy je spisywać. Każdą pieśń należy zanotować na osobnej kartce, zapisując tekst muzyczny i słowny oraz podając nazwisko autora, jeżeli jest znane, i bliższe okoliczności powstania pieśni. Ewentualne pieśni, które można zebrać na terenie Stacji Zbornej Oficerów, należy skierować do Oficera Oświatowego stacji[15].

Pieśni, owszem, są, Grycko zanotował ich wiele, ale nie nadają się do skierowania.

Bez bzu-jaśminu

Komisja, a ściśle biorąc, pułkownik Witold Mikulicz-Radecki[16], wysłany przez naczelnego wodza do Tighnabruaich, nie amcił, jak pisał Grycko, lecz zwołał zebranie osadzonych tam oficerów, wysłuchał ich opinii i zaproponował, by przedstawili zarzuty pisemnie.

Powstała gruba teka rękopisów[17], która trafiła do władz w Rubensie.

Trzydziestu dziewięciu autorów tej księgi zażaleń nie wie (albo wie nieoficjalnie), dlaczego zostali „zesłani” i na jak długo. Uważają, że to bezprawne i godzi w ich honor. Wyliczają swoje zasługi wojenne. Domagają się orzeczeń, wyjaśnień, uwolnienia z podobozu, przydziału na stanowiska liniowe lub zwolnienia z wojska.

Podporucznik Daniel Hrehorowicz, podejrzany o ekshibicjonizm (tak określano wtedy homoseksualizm), pisze, że uważa ten zarzut za *niesłuszny i na prawdzie nie oparty*. Dawno złożył w tej sprawie obszerne oświadczenie oficerowi sądowemu i bezskutecznie czeka na rozprawę. Protestuje przeciw przetrzymywaniu go w podobozie bez wyroku.

Podporucznik Mieczysław Lasota w 1939 roku dostał się do niewoli,

uciekł i poszedł do walczącej jeszcze armii generała Kleeberga. Znowu dostał się do niewoli i znowu uciekł. Poszedł przez Karpaty na Węgry.

Ponieważ nie wiem za co i z jakich powodów zostałem zesłany do obozu izolacyjnego a sumienie moje wskazuje mi na to, że nie mam żadnych przewinień względem Ojczyzny i Służby, proszę gorąco o rozpatrzenie mojej sprawy, i jeżeli nadaję się do służby czynnej o przeniesienie mnie do jednego z oddziałów liniowych, gdyż nie po to przybyłem do Francji i Anglii, by wegetować w obozie izolacyjnym, lecz by walczyć o wolność Ojczyzny.

Karolowi Frelichowi zarzucono, że będąc porucznikiem, podał komisji weryfikacyjnej, że jest kapitanem. Wyjaśnia więc szczegółowo, że zdał przed wojną wszystkie potrzebne egzaminy (załącza dokumenty), ale nie mógł przejść przez dziennik personalny jako kapitan, bo przekroczył wiek prekluzyjny. Zapewniono go jednak, że automatycznie uzyska ten stopień w razie ogłoszenia mobilizacji.

Urodził się na Śląsku. W 1917 roku przeszedł z armii pruskiej do francuskiej, by wstąpić w szeregi polskie. Wrócił do kraju z armią generała Hallera. Walczył z bolszewikami i – w trzecim powstaniu śląskim – z Niemcami. Po pierwszej wojnie osiadł na polskim Śląsku. Prowadził przez wiele lat kancelarię Konstantego Wolnego, byłego marszałka Sejmu Śląskiego. Nie wie, gdzie są żona i czworo dzieci. Tułają się po Generalnym Gubernatorstwie.

Porucznik rezerwy Włodzimierz Mirza-Dawidowicz broni się przed zarzutem, że uwodził żonę oficera panią Zofię S. On tylko opiekował się nią i chciał jej pomóc w odszukaniu męża. Owszem, przenocował ją w swoim pokoju, by uchronić ją przed prześladowaniami policji węgierskiej. Tę samą grzeczność wyświadczyli jej inni oficerowie. A co do Angielki Rose, którą rzekomo rozkochał w celu uzyskania korzyści majątkowych, to ona sama zaprzecza. Nie jest już dzieckiem, ma czterdzieści lat i jak oświadczyła, nie potrzebuje opieki władz polskich.

Porucznik Jan Filipowicz pisze, że podczas pobytu w Anglii nie był karany ani dyscyplinarnie, ani sądownie. Powodów skierowania go do podobozu dotąd nie usłyszał. Jeżeli jego kwalifikacje nie są wystarczające, prosi o przeniesienie do oddziału liniowego jakiegokolwiek rodzaju broni, na każde stanowisko, bez stopnia.

Pułkownik Mieczysław Paczkowski jest przekonany, że znalazł się w Tighnabruaich dlatego, że w 1926 roku stanął po stronie Piłsudskiego. Nie rozwodzi się nad własnym losem. Ocenia:

Istnienie takiego Obozu nie przynosi żadnego zaszczytu nie tylko samemu WP ale wprost sprawie polskiej na terenie Wielkiej Brytanii. Niestety, nie udało się utrzymać w tajemnicy charakteru Obozu, zanim bowiem jego pierwsi „pensjonariusze" tu się zjawili, już ludność miejscowa była uprzedzona, że to będzie penal camp *[obóz karny], a ci, którzy go zaludnią to* bad boys *[niegrzeczni chłopcy].* (…) *ludność ta widzi próżniaczy tryb życia całego Obozu, wtedy, kiedy wszędzie dookoła odbywa się praca dla wojny* (…). *Że społeczeństwo tutejsze w postawie swej stać na urządzanie kantyn dla Polaków to jest wynikiem jedynie gościnności oraz zwykłej litości nad ludźmi pozbawionymi kraju i rodzin, a jednocześnie nie tak strasznymi, jak ich z góry odmalowano.*

Możnaby jednak pomyśleć, że Obóz ten spełnia swoją rolę z punktu widzenia tych założeń, dla których został stworzony, a które streszczają się w jednym – poprawienie wypaczonych charakterów, lub usunięcie złych nawyków. Gruba pomyłka. Obóz ten jest jedynie widowiskiem demoralizującym (…) *straszna jest piosenka powstała w Tighnabruaich. Rozpacz, smutek, ból i nienawiść z chęcią zemsty z niej wyzierają.*

(…) *wszyscy marnują niepotrzebnie czas; nikt nie wykazuje żadnego zainteresowania, każdy bowiem uważa się za wyrzuconego poza nawias życia wojskowego i możliwości pracy dla sprawy polskiej.*

(…) *jeśli z Tighnabruaich lub z wojska nie będę zwolniony, to najlepiej, bym znalazł się jaknajprędzej w prawdziwym formalnym więzieniu, będzie to bowiem daleko zdrowszym zakończeniem mej kariery wojskowej niż Tighnabruaich.*

Pułkownik nie wymienił tytułu strasznej piosenki. Mógł to być przytoczony we wspomnieniach Grycki utwór podporucznika Luteckiego *Wielkiemu Katowi w Tajnym Brzuchu*.

Tyś jest na górze, tyś jest na górze
A ja na dole
Ty na mnie piszesz, ty na mnie donosisz
Ja cię pierdolę.
Ty masz zaszczyty, ty masz przydziały

I funtów kupę
Za to mnie możesz, więźnia swojego
Całować w dupę.
Ty wszystko widzisz, ty wszystko możesz
Ciebie na to stać
Lecz nie pożałujesz, gdy do Polski wrócim
Kurwa twoja mać.
A gdy już umrzesz i legniesz w grobie
Bez bzu-jaśminu
Wyryjem ci napis, by go każdy czytał
Gnij – skurwysynu

Grycko zaznaczył, że śpiewa się to na melodię *Ty pójdziesz górą…*

On też złożył zażalenie na ręce pułkownika Mikulicza-Radeckiego. Wykłada w nim płynnie i stanowczo:

Sporadyczny wypadek użycia alkoholu, za który zostałem ukarany 21-dniowym aresztem garnizonowym, nie może być precedensem do powtórnego karania mię przez osadzenie w tutejszym obozie izolacyjno-karnym. Wyżej wymienione postępowanie sprzeczne jest (…) *z podstawowymi zasadami prawa i sprawiedliwości i niezgodne jest z zasadą wygłaszaną przez czołowych mężów na łamach prasy: że walczymy o rządną, sprawiedliwą i demokratyczną Polskę.*

Spisek żon

Piętnastego kwietnia Luftwaffe bombarduje Belfast, ginie dziewięćset osób. Szesnastego kwietnia atakuje Londyn, ginie tysiąc osób. Grażyński, który gorliwie uczy się angielskiego w klasie generała Roupperta, notuje cytat ze współczesnej lektury: *The Englishman is made for a time of crisis and for a time of emergency* (Anglik jest stworzony na czas kryzysu i na czas zagrożenia). Generał Izydor Modelski przygotowuje w tych dniach dokument: trzynaście stron maszynopisu bez interlinii. Dwudziestego kwietnia wysyła go generałowi Sikorskiemu.

Rozpoczyna słowami: *Mimo okazywanej mi od dłuższego czasu rezerwy poczuwam się nadal do obowiązku złożyć Panu Generałowi następujący meldunek:* ***Akcja przeciwko Panu Generałowi jako Naczelnemu Wodzowi i Premierowi łącznie z Jego Rządem jest konsekwentnie i celowo prowadzona nadal***.

Z gęstego tekstu wynika, że prowadzona jest na wszystkich frontach, na emigracji w Anglii i Szkocji, w Ameryce i w kraju. *W pracy tej pomagają sobie żywo wszystkie zakonspirowane, a siedzące w komórkach rządowych, tak cywilnych jak i wojskowych osoby, którym polecono wykonanie planu obalenia gen. Sikorskiego*.

Akcja jest metodyczna, planowa i zakonspirowana pod szyldem obrony legendy Piłsudskiego i lojalności wobec generała Sikorskiego. A dyspozycje poufne: za wszelką cenę opanować generała Sikorskiego, *by potem skończyć ze znienawidzonym generałem Sikorskim.*

Memoriał nie zdradza, kto stoi na czele *zbrodniczej szajki pomajowej* (chodzi naturalnie o przewrót majowy w 1926 roku). Autor wskazuje jednak *ośrodki dyspozycyjne akcji dywersyjnej*. To głównie panie: Szymonowa Landauowa, generałowa Sosnkowska, ministrowa Zaleska, ambasadorowa Raczyńska, podporucznikowa Pusłowska, generałowa Regulska. Także Aleksandra Piłsudska.

Szymon Landau jest jednym z dyrektorów firmy Prudential w Anglii. Ostatnio montuje duże przedsiębiorstwo sprzedaży złomu, wskutek czego pozostaje w kontakcie z różnymi osobami w Ameryce i ma łatwość korespondencji zamorskiej. Sam nie przejawia większych ambicji politycznych, inaczej niż jego żona, niezwykle aktywna i ustosunkowana, posiadająca daleko idące projekty ogólne i personalne dotyczące jej męża i przyjaciół oraz roli politycznej, jaką mogą odegrać tutaj i po powrocie do kraju. Prawdopodobnie źródłem niechęci domu państwa Landau do generała Sikorskiego jest to, że nie mianował on Szymona Landaua podsekretarzem stanu w Ministerstwie Skarbu we Francji, gdy ten ofiarował cały swój majątek do dyspozycji polskiego rządu.

Bliskie kontakty z tym domem utrzymują generałostwo Regulscy. Wprawdzie generał nie ma żadnych szerszych pomysłów i nie odznacza się błyskotliwością umysłu, jednak bezkrytycznie zakochany w swojej żonie, gotów jest dla niej na wszystko. Generałowa, osoba o dużym uroku osobistym, z całą pewnością nie zajmuje się polityką z własnego natchnienia, ulega jednak łatwo wpływom osób o silnym charakterze, a taką niewątpliwie jest pani Landau. Regulscy z kolei przyjaźnią się z Pusłowskimi. Ten mąż też całkowicie ulega żonie. Pani Pusłowska (z domu księżna Jabłonowska), trochę histeryczka, skłonna do wróżb, magii i okultyzmu, jest osobą bardzo

ambitną, a politycznie wyznawczynią kierunku przeciwnego rządowi.

W salonie tym bywa też generałowa Sosnkowska, bardzo czuła na sugestie ewentualnej prezydentury jej męża.

Dom państwa Landau utrzymuje żywy kontakt z Lizboną przez częstą wymianę korespondencji pani Landau z panią Miedzińską, żoną pułkownika Miedzińskiego.

W omawianym środowisku istnieje wyraźna tendencja wypchnięcia swych mężów na czołowe stanowiska, czemu przeszkadza dotychczasowy komplet rządzący[18].

W małżeństwie generałostwa Modelskich było inaczej. On piekielnie ambitny, pracowity, uparty. Ona zaradna, ale łagodna, zajęta przede wszystkim rodziną. Pewnie wierzyła, jak jej młodsza siostra Irena, że najważniejszym celem generała jest dobro Polski – *by rządzili nią mądrzy, szlachetni i dobrzy ludzie z Błogosławieństwem Bożym*…

Churchill podstemplował

Trzeciego maja Winston Churchill przemawia przez radio:

Zwracam się do wszystkich Polaków na całym świecie. Dziś przypada 150. rocznica uchwalenia konstytucji przez wasz parlament. Słusznie czynicie, utrzymując ten dzień świętem narodowym, ponieważ wasza konstytucja z 1791 r. była w czasie jej opracowania wzorem oświeconej myśli politycznej. W przyjęciu tego aktu prawnego wasi ówcześni sąsiedzi widzieli początek odrodzenia się państwa polskiego, pospiesznie więc dokonali rozbioru waszego kraju, by nie dopuścić do konsolidacji narodu polskiego[19].

Stefan Mękarski słucha tego przez radio i zwraca szczególną uwagę na dalsze słowa Churchilla, że podobnie było w 1939 roku, i notuje ten fragment przemówienia: *Niemcy zaniepokoili się postępami narodu polskiego w urządzaniu jego własnego domu. Przejrzeli, że ich agresywne zamiary zniweczone zostaną wzrostem sił potężnego i niepodległego państwa polskiego. W chwili brutalnej napaści niemieckiej we wrześniu 1939 roku kraj wasz mógł z dumą patrzeć na ogromne postępy dokonane w ciągu dwudziestu*

lat niepodległego bytu, dokonane pomimo olbrzymich trudności.

Dokonuje rachunku: tamtą konstytucję uchwalono cztery lata przed katastrofą państwa, obecną, z 1935 roku, cztery lata przed klęską wrześniową. Żadnej z tych konstytucji nie zdołano wprowadzić w życie. To przemówienie powinno dać do myślenia polskim politykom u władzy. *Że to nie Polacy sadystycznie zamordowali własne państwo, ale, że do tego mordu przyczynili się co nieco Niemcy i bolszewicy, a nie w ostatnim rzędzie na pewno, również nasi byli i obecni sprzymierzeńcy.*

Nie wierzy jednak, że władza porzuci swoją ulubioną melodię.

Tak czy inaczej, dobrze było wysłuchać mowy Churchilla. Była potrzebna Polakom. Zastępca generała Jatelnickiego pułkownik Szymon Kocur powiedział Mękarskiemu z zadowoleniem, że te słowa przyszły w samą porę. Bo stosunki ze Szkotami na Bute zaczynają się zmieniać. Miejscowi nie kochają już Polaków tak bardzo jak przed paroma miesiącami. Wszyscy Brytyjczycy słuchają Churchilla, więc to, że *podstemplował naszą pozycję, powinno nam pomóc*.

Serdeczność, ale…

Pochwała Churchilla nie pomogła wiele, jak wynika z opinii tutejszego inspektora policji brytyjskiej, z którym kapitan Zan-Kreyser, oficer do zleceń, odbywa okresowe spotkania.

Inspektor zaobserwował:

– Szkoci z Rothesay od ponad roku widzą tych samych Polaków, którzy snują się po mieście i nic nie robią, zbierają się grupkami i chodzą jak owce. Szkoci wiedzą, że oficerowie mają zajęcia, ale dlaczego idą tam stadem, a nie w szyku? Oddział brytyjski, który tu przybył ostatnio, zachowuje się zupełnie inaczej.

– Tutejsi obywatele traktują wyrozumiale nadużywanie alkoholu, ale niektórzy Polacy są ciągle pijani, i za jakie pieniądze? Rozumieją, że wojskowi powinni mieć urlopy, ale nie dłuższe niż dwa tygodnie.

– Oficerowie polscy są bardzo silnie rozpolitykowani, a przecież wiadomo, że Francja upadła przez politykierstwo. Źle, że to rozpolitykowanie udziela się Szkotom.

– Wielu Polaków robi wrażenie, że poza kobietami nic ich absolutnie nie interesuje, nawet losy własnej ojczyzny.

Dwudziestego maja 1941 roku kapitan artylerii Zan-Kreyser przekazał to wszystko generałowi Jatelnickiemu w pisemnym meldunku.

Inspektor policji zaznaczył – kończy kapitan – *że wiadomości te podaje mi zupełnie poufnie, że ogólnie stosunek społeczeństwa do Polaków nie stracił nic ze swej serdeczności. Jednak kierowany przyjaźnią obowiązany jest mi to wszystko powiedzieć. Proszę Pana Generała o wydanie potrzebnych rozkazów*[20].

O kobietach była mowa już w zeszłym roku. Jesienią zastępca generała Jatelnickiego pięćdziesięcioześcioletni artylerzysta pułkownik Aleksander Batory wystosował pismo do łączników grup oficerskich w Rothesay zaznajamiające ich z opinią *miejscowych szkockich czynników miarodajnych* o zachowaniu Polaków. Czynniki te zauważyły, że niektórzy oficerowie pokazują się w mieście z kobietami, które ze względu na niski poziom moralności absolutnie do towarzystwa oficerskiego się nie nadają. Pułkownik poleca: *Zanim oficer zacznie się pokazywać na ulicy i w lokalach publicznych z kobietą jest obowiązany upewnić się, że dana kobieta odpowiada poziomowi stanu oficerskiego pod względem obyczajności*. Sugeruje: *Do miejscowej kantyny kościoła szkockiego przychodzą nie tylko panie, które tam są zatrudnione, lecz i panie, które są towarzysko właściwsze*[21].

Na drażliwym tym dokumencie przystawiono stempel „TAJNE”.

Mecz

W ostatnim tygodniu maja na Bute dociera straszna wiadomość o zatopieniu krążownika HMS Hood. Przegrał w walce artyleryjskiej z pancernikiem Bismarck i krążownikiem Prinz Eugen.

Przed dziewięciu laty przez cały tydzień czerwcowy Hood, duma Szkotów, stał w zatoce przy Rothesay, dobrze widoczny z bulwaru. Był największym okrętem zbudowanym w Wielkiej Brytanii i największym okrętem na świecie. Wyszedł ze stoczni Johna Browna w Clydebank koło Glasgow. Kenneth Meikle MacKay, wnuk agenta parowców w Rothesay i zięć szypra, w kilkadziesiąt lat po tej dostojnej wizycie opowiedział „Synom i Córom

Bute”, jak wielką wzbudziła ciekawość. Łódki do wynajęcia kursowały bez przerwy z przystani pod wysoką burtę okrętu, który zaprosił miasto na pokład. A marynarze z Hooda, którzy mieli do dyspozycji własną flotyllę jednostek technicznych, służbowych i ratunkowych różnego typu, płynęli do miasta z rewizytą malutkimi parowcami o lśniących mosiężnych kominach. Ich zręczne manewry, gdy dobijali do brzegu, można było bez końca oglądać z pomostu.

Kenneth MacKay nie opisuje wrażeń ze zwiedzania Hooda, łatwo sobie jednak wyobrazić ich natłok. Potęga konstrukcji i uzbrojenia mogła zdumiewać nie mniej niż potęga okrętu jako domu załogi: magazyny na trzysta dwadzieścia ton żywności mającej wystarczyć na cztery miesiące, piekarnia przygotowująca codziennie dziewięćset kilogramów pieczywa, obszerna kaplica…

W tych pięknych dniach pomiędzy piątym a trzynastym czerwca 1932 roku reprezentacja krążownika rozegrała mecz futbolowy z drużyną miasta. Jess Sandeman, która zapisała tę wiadomość w swojej „Wojnie Bute”, nie podała, kto wygrał. Wobec tego, co nastąpiło dziewięć lat po meczu, jego wynik utracił znaczenie.

Sam mecz natomiast zyskał na ważności. Pamięć o nim sprawiła, że trudniej było się pogodzić z myślą o tym, że – prawdopodobnie – wśród tysiąca czterystu piętnastu zatopionych są marynarze z tej jedenastki, której przed walką i po walce podawało się ręce.

Zginęło także czterech polskich podchorążych, którzy odbywali na krążowniku staż marynarski.

Dwudziestego siódmego maja, trzy dni po zatopieniu Hooda, poszedł na dno Bismarck.

Dzień wcześniej, późnym wieczorem, wytropił go polski niszczyciel Piorun, zbudowany, tak jak Hood, w stoczni Johna Browna i ofiarowany Polskiej Marynarce Wojennej w rekompensacie za stracony pod Narwikiem niszczyciel Grom. Mały Piorun naprowadził na Bismarcka okręty brytyjskie. Zginęło ponad dwa tysiące dwustu marynarzy z niemieckiego pancernika. Stu czternastu, którzy przeżyli, poszło do niewoli.

Słupy

Po wiadomości o zatopieniu Bismarcka nastroje oficerów w Rothesay znacznie się poprawiły – czytamy w raporcie[22] prawie tak samo długim i gęstym jak pismo generała Modelskiego ostrzegające przed spiskiem żon. Doniesienie jest anonimowe, a przesyła je generałowi Sikorskiemu ze swym listem przewodnim ksiądz prałat Zygmunt Kaczyński[23]. Ale ta poprawa samopoczucia – kontynuuje autor sprawozdania – nie zmienia faktu, że stosunek do naczelnego wodza i rządu jest ciągle zły, na co wpływa agitacja sanacyjna, a *częściowo również oenerowska*. Sanatorzy krytykują przebieg i wyniki podróży generała Sikorskiego do Stanów Zjednoczonych, *rzucają na Nacz. Wodza różne oszczerstwa i nie mogą ukryć wściekłości jaka ich dusi*.

Podobno starszyzna obozu – czytamy dalej – powołała do życia *komórkę do badań historycznych*, która ma wykazywać dalekowzroczność polityki Józefa Piłsudskiego i krytykować polską działalność wojskową we Francji. Ważną rolę mają w tym odegrać Grażyński, Libicki i Umiastowski.

Pracuje także komórka personalna, na której czele stanął Kościałkowski, a pomaga mu między innymi doktor Mękarski. Celem tej komisji ma być wyłonienie urzędników cywilnych potrzebnych do obsadzenia przyszłej administracji i *eliminowanie jednostek szkodliwych z punktu widzenia obozu pomajowego*. Autor z *zastrzeżeniem prawdziwości otrzymanych informacyj* komunikuje, że Kościałkowski miał się zwierzyć bliskim sobie ludziom, iż spodziewa się rychłej rekonstrukcji rządu i ma nadzieję w nim uczestniczyć. Były premier i minister spraw wewnętrznych ostatnio bardzo się uaktywnił.

Grupa sanacyjna ma tak duże wpływy w Rothesay, że obsadziła kursy zawodowe, jakie zorganizowano dla oficerów. Dyrektorem nauk dla całości kursów został Michał Grażyński.

Dwunastego maja bardzo uroczyście obchodzono rocznicę śmierci Józefa Piłsudskiego. Tego dnia odwołano wszystkie zajęcia. Rano odbyło się nabożeństwo żałobne z bardzo licznym udziałem oficerów i cywilnej ludności szkockiej, a po południu w Klubie Alianckim – akademia, na której przemawiał Zyndram-Kościałkowski, a Maria Balcerkiewiczówna deklamowała wiersz poświęcony pamięci Piłsudskiego.

Pismo kończy krótki rozdział „Nastroje wśród Szkotów”. Pogarszają się, sporo w tym naszej winy – przyznaje autor – ale jest w tym i robota zakulisowa, najpewniej komuny. Jacyś młodzi ludzie wyglądający na robotników, w biały dzień, na ulicy, zaatakowali wyzwiskami pułkownika

Alfa-Tarczyńskiego, a aktor miejscowego kabaretu pyta publiczność, po co nam słupy. Publiczność odpowiada – do podtrzymywania drutów telefonicznych. Chodzi o to, że słupy i Polacy to tak samo: „*poles*”.

Maria Balcerkiewiczówna zauważyła, a nawet odczuła na własnej skórze, nieufność Szkotów wobec Polaków. Gospodarze wymówili jej mieszkanie, twierdząc, że przyjmuje zbyt wielu gości. Jest jednak przekonana, że to tylko pretekst.

Skarży się w liście do znajomego: *Oto ma pan jeden z obrazków naszego życia. Sześć dni od aresztowania Dęba [generała Dęba-Biernackiego] i prowadzenia przez ulicę aresztowanego polskiego generała w mundurze, mieszkańcy zostali oplątani strachem, gdy się Polacy zbierają, choćby na brydża, wydaje im się to podejrzane*[24].

Na dodatek felietonista „Butemana” zwraca uwagę na wielkie zmęczenie oficerów polskich. Ich wyraźne przepracowanie, widoczne na twarzach. Czym się ono tłumaczy? *Męką nauki języka obcego*.

Rzeczywiście, zbliżają się egzaminy. Kursanci zdają najpierw pisemny, a potem ustny. Na pisemny trzeba przynieść ołówek lub pióro (pewnie i kałamarz, jeśli ktoś nie ma wiecznego), dwa arkusze papieru kancelaryjnego, każdy podpisany w lewym górnym rogu rangą, nazwiskiem, grupą szkoleniową.

Wierność Münnicha

Siódmego czerwca lista oficerów w obozie powiększa się o pułkownika Tadeusza Münnicha. Widzimy go na zdjęciu przechowywanym przez syna Krzysztofa w biurku w Londynie. Pułkownik, w eleganckim mundurze i rogatywce, wszedł z żoną na wzgórze ponad Rothesay.

Syn już nie pamięta, kto naciskał migawkę. Może on sam. Przekroczył już dobrze dziewięćdziesiątkę.

Ma jeszcze inne zdjęcie, na którym pułkownik wygląda podobnie. Wydrukowano je na okładce tygodnika „Światowid” z trzynastego sierpnia 1939. Przedstawia mężczyzn w uroczystym szyku, jak szpica pochodu. Za Śmigłym-Rydzem dwóch adiutantów, ten po prawej stronie marszałka to Münnich, tym razem ze sznurem galowym zwisającym z ramienia. Wyszli

z Domu imienia Marszałka Piłsudskiego na Oleandrach i za chwilę zajmą miejsce na trybunie, aby przyjąć z niej defiladę. Jest szósty sierpnia, zjazd legionistów. Dwadzieścia pięć lat temu z Oleandrów wyruszyła Pierwsza Kadrowa. Za dwadzieścia pięć dni wybuchnie wojna.

Krzysztof Münnich mówi, że dziarska postawa ojca na zdjęciu z Rothesay maskuje jego prawdziwy nastrój.

– To było ciągłe oczekiwanie, zdenerwowanie, bezradność, bo co mógł zrobić?

– Mógł pisać. Nie zostawił wspomnień?

Niestety.

– Był szykanowany?

– Nic nie wiem o żadnych szykanach. Ci komendanci obozu, Jatelnicki, Rumsza, to byli żołnierze z kartą wojenną, nie sztabowcy i nie politycy. Ale samo istnienie tej stacji było szykaną. I ojciec nie miał wielkiego poważania dla oficerów odkomenderowanych przez Sikorskiego do kierowania obozem. Nie godził się z niczym, co robili Sikorski i jego ludzie.

Sierpień 1939. Dwudziesta piąta rocznica wymarszu z Oleandrów

reprodukcja okładki tygodnika „Światowid" z 13 sierpnia 1939

Pułkownik zamieszkał z żoną w niewygodnej kwaterze, bez ogrzewania, oświetlanej lampą gazową. Irena Münnichowa, z domu Karyszkowska, absolwentka wyższej szkoły handlowej w Szwajcarii, kurierka Polskiej Organizacji Wojskowej, zaangażowana w pomoc dla trzeciego powstania

śląskiego, pożyczyła mały warsztat tkacki, kupiła na targu wełnę, utkała odpowiednie bryty, ufarbowała na granatowo i uszyła sobie ciepły kostium na zimę. Po jakimś czasie zmienili kwaterę na lepszą i zamieszkali z majorem Kazimierzem Jurgielewiczem, który w 1939 roku był wicekomisarzem rządu na miasto Warszawę. Gospodarowali zgodnie. Major Jurgielewicz zajął się wyplataniem z drutu ozdobnych szpilek do włosów. Miały wzięcie u żon oficerów i mieszkanek Bute.

Irena i Tadeusz Münnichowie

zbiory Ośrodka KARTA

Tadeusz Münnich przemógł trudności z pisaniem i sformułował swe wyznanie wiary:

A. Za jedyną ideologię moją uważam ideologię Komendanta, tak jak się w nią wczułem, wpracowałem i jej oddałem przez ciąg lat trzydziestu. Uważam ją za wiecznie żywą i nie wygasłą z chwilą jego odejścia.

B. Za kontynuatora dalszej realizacji tej idei i jej imponderabiliów i dalszego realizatora uważałem i uważam nadal marszałka Śmigłego Rydza, Wodza Naczelnego Polski idącej w bój o swój byt w myśl wskazań tej idei.

Tu następuje jedenaście argumentów przemawiających za punktem B. Można je sprowadzić do myśli: marszałek ma wybitne cnoty żołnierskie,

dowódcze i moralne, nigdy nie zawiódł Komendanta, w obecnej rzeczywistości Polski nikt mu do pięt nie dorasta, prawy żołnierz powinien być oddany swemu wodzowi zawsze i bez reszty, nie tylko w chwilach powodzeń i triumfów, ale i w najcięższych momentach klęski. Te uczucia żołnierskie, ta więź są same przez się najsilniejszą organizacją, gdziekolwiek jest kilku choćby żołnierzy tej samej sprawy[25].

Przypominają się słowa Kadena-Bandrowskiego o najwierniejszej podkowie.

Krzysztof Münnich jest w polskiej szkole męskiej w Dunalastair, na lądzie Szkocji. Chłopcy uczą się i mieszkają w obszernym pałacyku myśliwskim wynajętym tanio od właścicielki, w parku pełnym rododendronów, nad rzeką spiętrzoną przez tamę. Robią wycieczki do Edynburga i na bliskie wzgórza. Krzysztof zmajstrował pojazd wodny. Siedzi się wygodnie i pedałuje. Wystarczyło zdobyć dwa stare rowery i dwie długie deski. Prawie wszyscy koledzy chodzą już w mundurach, Krzysztof – w cywilnym ubraniu. Ciągle ma kłopoty z płucami. Przed wojną w korpusie kadetów we Lwowie ciężko zachorował. Zawieziono go do Warszawy do Szpitala Ujazdowskiego. Leżał tam mało przytomny, na brzuchu, patrząc w podłogę. Zobaczył, że przy jego łóżku stanęła kobieta. Na kostce stopy miała bransoletkę. Nigdy nie widział czegoś podobnego. Ocknął się i zobaczył doktora Roupperta i jego żonę. Kto by wtedy pomyślał, że mogą się spotkać w polskim obozie na szkockiej wyspie.

Krzysztof przygotowuje się do matury. Chce zdawać na architekturę w „Glasgowie”. Do dzisiaj, tak jak większość brytyjskich Polaków, udomawia tę nazwę. W Glasgowie – jak we Lwowie, w Krakowie, Rzeszowie. Będzie odwiedzał rodziców w weekendy i wakacje. Ile tych wakacji w Rothesay przewidują? Tego nikt nie wie.

Ulga i strach

Dwudziestego drugiego czerwca 1941 roku o świcie Hitler uderza na Rosję. Wieczorem Rothesay słucha przez radio Winstona Churchilla.

To, co napisał o tym przemówieniu piłsudczyk Pobóg-Malinowski, odpowiada na pewno nastrojom większości polskich oficerów na Bute.

Churchill wygłosił *nieprzytomnie ślepe przemówienie, w którym bez cienia jakichkolwiek brytyjskich warunków, przyobiecał, a nawet zobowiązał się do wszelkich na rzecz Rosji świadczeń: „Udzielimy wszelkiej możliwej pomocy Rosji i narodowi rosyjskiemu”, ofiarowujemy mu „wszelką pomoc techniczną i gospodarczą”, jaką tylko „dać mu możemy, a jaka może być mu potrzebną”*.

Pobóg-Malinowski podkreśla, że w tej mowie nie było cienia wzmianki o zbrodniach i zaborach sowieckich. Churchill w ogóle nie wymienił Polski. Powiedział natomiast, że Hitler gromadził siły przeciw Rosji *wzdłuż całej zachodniej granicy rosyjskiej*. Powiedział też: *Widzę rosyjskich żołnierzy, stojących na progu rodzinnego kraju i strzegących ziemi, oranej od niepamiętnych czasów przez praojców (!!!)*[26].

Wielka Brytania odetchnęła. Lęk przed inwazją na wyspę zelżał. Wzmógł się lęk Polaków o wschodnią granicę Polski. Czekają na głos naczelnego wodza.

Sikorski przemawia przez radio następnego dnia. Przypomina, że wojna zaczęła się atakiem na Polskę.

Mówi, że dzisiaj wali się w gruzy polityka ukoronowana umową Ribbentropa z Mołotowem, której ofiarą padła Polska. Możemy chyba przypuszczać, że Rosja uzna ten pakt za niebyły, co wprowadzi nas z powrotem na grunt traktatu zawartego w Rydze[27].

Upomina się o Polaków w Związku Radzieckim. *Za miłość do narodu, wolności i honoru tysiące Polaków i Polek cierpią dotąd w więzieniach sowieckich; setki tysięcy narażone są na śmierć powolną z nędzy oraz głodu, ćwierć miliona jeńców marnieje bezczynnie w obozach* (…). *Czy nie byłoby rzeczą uczciwą i celową przywrócić tym ludziom swobodę?*[28].

Zdaniem wielu polskich słuchaczy wystąpił za słabo. Jak petent, a nie ważny aliant Wielkiej Brytanii.

Nie wiedzą, że mowa była cenzurowana przez władze brytyjskie, które nie chcą zadrażnień z nowym sojusznikiem.

Piątego lipca generał Sikorski rozpoczyna rozmowy z ambasadorem Związku Radzieckiego Iwanem Majskim.

Pelikan

Zanim Churchill wygłosił mowę, która tak bardzo uraziła Polaków, uczeń polskiego gimnazjum Krzysztof Münnich wyrzeźbił go w śniegu. Wielka głowa Churchilla, chociaż zimna i biała, miała tak wyraziste rysy, że przyciągała przechodniów. Największą trudność sprawiało Krzysztofowi cygaro. Mógł je wystrugać, ale chciał zachować jedność materiału. Oblepiał więc patyk śniegiem, przymrażał, a kiedy polewa odpadała i cygaro traciło fason, poprawiał je albo wymieniał. Trzymał mróz i głowa premiera stała przez parę dni na placyku miejskim otoczona przez widzów. Trafiła do lokalnego pisma z uwagą, że gdyby młody rzeźbiarz postawił przy niej skarbonkę na jakiś polski fundusz lub Czerwony Krzyż, zapełniłaby się natychmiast. Wycinek ciągle leży w szufladzie w londyńskim mieszkaniu pana Krzysztofa Münnicha, ale już nie wiadomo, z jakiej pochodzi gazety.

Głowa dawno stopniała, jest lato. Krzysztof przyjechał na Bute odwiedzić rodziców. Kupił używany rower i planuje wycieczki, ale mimo że inwazja już raczej nie grozi, ruch po wysepce jest trudny. W zatokach Scalpsie, Ettrick i Dunagoil ćwiczą komandosi, na jeziorze Striven trwają próbne manewry liliputów podwodnych. Rezydencja Mount Stuart, jej ogrody i ogromny park są ogrodzone, a bramy zamknięte – zwykli mieszkańcy Rothesay i turyści będą mogli tam wejść dopiero w 1995 roku, kiedy siódmy markiz otworzy rezydencję dla publiczności.

Nie szkodzi, Krzysztof ma inne zajęcie. Maluje plakat dla Glasgow and West of Scotland Blood Transfusion Association – stowarzyszenia na rzecz transfuzji krwi działającego w Glasgow i zachodniej Szkocji. Biały pelikan kłuje dziobem pierś. Na pokarm czekają pisklęta siedzące w gnieździe z żołnierskiego hełmu. Zrobił kilkadziesiąt rysunków. Przenosi to na karton. Walczy z kreską i kolorami, bielą, czerwienią, granatem, żeby to było żywe i czyste, ani trochę sentymentalne, nie budziło czułości, lecz decyzję.

W mieszkaniu jest ciasno. Nie chce z tą pracą iść do świetlicy, nie chce jej pokazywać, dopóki nie skończy. Najlepiej się malowało w łazience – wspomina.

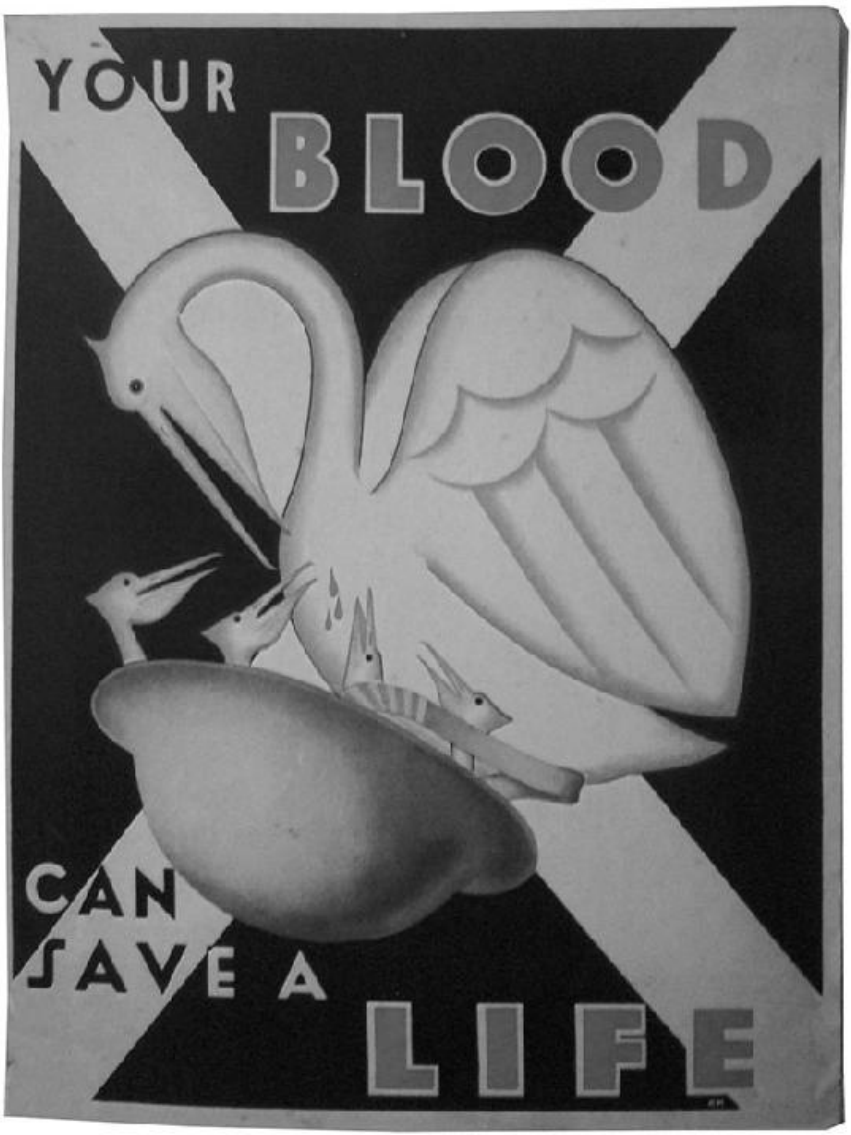

Plakat Krzysztofa Münnicha

zbiory Krzysztofa Münnicha

To oznacza, że rodzice zmienili kwaterę na lepszą.

W domu jednak ciężki nastrój.

Na Cytadeli lwowskiej powiewa swastyka. Razi jak przedtem sierp i młot.

Mapy, mapnik

Po co Komendanturze stacji w Rothesay pięćdziesiąt map wschodnich terenów Polski w skali jeden do stu tysięcy? Czwartego lipca zwraca się z uprzejmą prośbą do oficerów, którzy je mają, o wypożyczenie. Po wykorzystaniu zostaną zwrócone. Teraz, kiedy wzmógł się lęk o ziemie na Wschodzie, wymienione nazwy budzą dodatkowy niepokój. Zwłaszcza o miejscowości za linią Bugu: Łuniniec, Horodno, Mikaszewicze, Stolin, Drohiczyn Poleski. Ale i Kobryń, oparty o Bug, i niedalekie, już po zachodniej stronie rzeki: Białą Podlaską, Łuków, Łomazy, Siemiatycze, Janów Podlaski…

Czy nagłe zapotrzebowanie na te mapy wiąże się z obecnym przesuwaniem frontu na wschód czy raczej z niebezpieczeństwem, jakie grozi tym ziemiom po wojnie? A może chodzi tylko o pomoc w rozliczaniu kampanii wrześniowej? Praca nad tym trwa. Ciągle powstają osobiste wersje dramatu, polemiki i drobiazgowe dokumentacje złożone z zeznań przed różnymi komisjami. Mapy pomagają przypomnieć sobie wsie, przysiółki, drogi, tory, dworce, wzniesienia, rzeki i mosty, rozmieszczenie wojsk własnych i nieprzyjaciela.

Wojskową mapę noszono w mapniku. To było arcydzieło sztuki rymarskiej.

Pamiętam mapnik brata Dziuni Stefana Szejnerta. Odegrał w moim życiu szczególną rolę. Dziunia była już w Polsce. Mieszkaliśmy razem w Inowrocławiu. Chodziłam do szóstej klasy, do wielkiej szkoły zwanej szkołą ćwiczeń. Na apelach przemawiali z zapałem propagandyści zetempowscy. Młodsze klasy świętowały jeszcze mikołaja; moja wychowawczyni, żona dyrektora, zarządziła losowanie. Wyciągnęłam nazwisko mizernego chłopca z ostatniej ławki, prawie go nie znałam, siedział cicho pod ścianą. Nie wiedziałam, co mu dać w prezencie. Stryj Stefan wiedział. Miał przedwojenny mapnik z chrzęszczącej skóry. Rymarz przerobił go na piórnik, który można było nosić na pasku jak zdobycz wojenną. W przeddzień mikołaja wychowawczyni zabrała prezenty, żeby położyć je pod ławkami. Następnego ranka czekała na mnie przed szkołą. Dowiedziałam się, że prezent ode mnie jest zbyt wspaniały. *Ten chłopiec powinien dostać coś praktycznego, co naprawdę się przyda*. Wydobyłam głos, żeby zapytać, co to takiego. *Położyłam mu ołówek i dwa zeszyty*. Zapytałam, kto dostanie piórnik. Przytuliła mnie serdecznie i powiedziała, że jej córka potrafi docenić tę rzecz.

Wychowano mnie w wielkim szacunku do nauczycieli. Milczałam. Ale opowiedziałam wszystko stryjowi.

On też nic nie powiedział. Wyskoczył z domu i biegł uliczką Ustronie w stronę szkoły ćwiczeń. Za nim biegła Mika. Widziałam ich z okna. Słyszałam, jak Mika woła, żeby wracał. Dogoniła go i trzymała za ręce. Przyprowadziła do domu. Dopiero po latach dowiedziałam się, czym go przekonała, by wrócił. Znała temperament swojego męża. Bała się, że zrobi awanturę żonie dyrektora. Przedwojenny oficer przybyły z Zachodu nie mógł sobie pozwolić na konflikt z nowymi ludźmi, umocowanymi przez partię. Czystki oficerskie już wisiały w powietrzu – o szpiegostwo, o usiłowanie zmiany przemocą ustroju państwa polskiego, a po serii procesów odpryskowych[29] wykonano krwawe wyroki.

Wiosną 1990 roku, kiedy już pracowałam w „Gazecie Wyborczej", odnalazł mnie znajomy z Uniwersytetu, którego nie widziałam przez trzydzieści lat. Powiedział mi, że Wojskowa Służba Wewnętrzna od jakiegoś czasu pali dokumenty, by nie dostały się nowej władzy. Czy znam kogoś, kto to może zatrzymać?

Pokazał mi pożółkły maszynopis wyciągnięty z palonych teczek. Były na nim nazwiska oficerów, których należało wziąć pod obserwację. Odnalazł Stefana Szejnerta.

– Ojciec? – zapytał.

– Stryj. Przed rokiem pięćdziesiątym przeszedł do cywila. Jakoś go zostawili w spokoju.

– Proszę to wziąć na pamiątkę. Trafiłoby do pieca.

Poszłam do nowego ministra Janusza Onyszkiewicza, do pięknego klasycystycznego budynku przy ulicy Klonowej, o krok od Belwederu; przed wojną rezydował tam Śmigły-Rydz. Palenie dokumentów ustało, ale wiele już poszło z dymem.

Nie zapamiętałam żadnego imienia ani nazwiska ze szkoły inowrocławskiej. Z wyjątkiem nazwiska wychowawczyni. Parę lat temu widziałam je na szkolnej stronie internetowej. Zamieszczono tam pośmiertne pożegnanie. Napisano, że była wielką przyjaciółką młodzieży i wielką patriotką, uczestniczyła w mszach za ojczyznę i w rewolucji Solidarności.

Nurtuje mnie pytanie – czy gdyby stryj Stefan zrobił jej awanturę, przeprosiłaby jego, mnie, chłopca i córkę i ze wstydem oddała piórnik?

Niemcy zajęli się Rosją, ale nie należy osłabiać czujności. Churchill wzywa: „Wytrwaj!”.

Instrukcja, jak się zachować podczas inwazji, skierowana do wszystkich mieszkańców Wielkiej Brytanii, więc i wyspy Bute, składa się z pytań i odpowiedzi[30].

– *Co mam robić, gdy walki wybuchną w mojej okolicy?*

– Siedź w domu lub schronie. Jeśli masz okop w ogrodzie lub w polu, tym lepiej. Jeśli zobaczysz czołg czy grupę żołnierzy nieprzyjacielskich, nie wyobrażaj sobie, że nieprzyjaciel opanował okolice. Może to być patrol lub maruderzy oddziału głównego, łatwego do zlikwidowania.

– *Co mam robić w miejscowości oddalonej od pola walki?*

– Pozostań na miejscu i pracuj. Rób sprawunki. Posyłaj dzieci do szkoły aż do odwołania. Nie próbuj wyjechać i zamieszkać gdzie indziej. Nie zajmuj dróg niepotrzebną podróżą, muszą być wolne dla ruchu wojska.

– *Co oznacza bicie dzwonów kościelnych?*

– To ostrzeżenie dla lokalnego garnizonu, że w okolicy kościoła nieprzyjaciel wylądował z powietrza. Inne dzwony nie podchwycą tego sygnału. Jeśli rozpocznie się inwazja na dużą skalę, dzwony będą bić w całym kraju.

– *Czy mam robić zapasy żywności?*

– Nie, jeśli masz zapas, trzymaj go aż do nagłej potrzeby, lecz nie powiększaj. Rząd wydał zarządzenia w tej sprawie.

– *Czy mam unieruchomić samochód, motocykl, ciężarówkę?*

– Tak, jeśli powstanie obawa, że nieprzyjaciel może je zabrać. Wtedy musisz także zniszczyć mapy.

– *Jak unieruchomić samochód?*

– Usuń delko, przewodniki i karburator, opróżnij bak. Jeśli nie wiesz, jak to zrobić, dowiedz się już teraz w najbliższym warsztacie. Jeśli masz silnik Diesla, usuń wtryskiwacz. Części schowaj daleko od samochodu.

– *Czy mam prawo bronić się przed nieprzyjacielem?*

– Każdy człowiek, mężczyzna czy kobieta, ma prawo bronić swego domu i rodziny.

Teraz już wiemy na pewno, że dzwon kościelny uruchamiany jeszcze

niedawno przez wielebnego Dickiego i dzwon akademii, o który toczył się spór, musiały zamilknąć. Cisza dzwonów mówi, że wojna trwa, ale też, że ciągle oszczędza Bute.

Wszyscy do pomp

Roman Umiastowski nie tracił czasu. Nie tylko napisał, ale zdołał wydać broszurę *12 mil do Warszawy… 30 mil do Paryża*, która od lipca krąży po Rothesay (i pokojach Rubensa). Przedstawia w niej własny obraz kampanii wrześniowej. Protestuje przeciw krytyce publicznej, jego zdaniem przekraczającej miarę i podważającej wartości, które narastają z wysiłku dziesiątków i setek lat i mają służyć dalsze stulecia. Pyta, kto na świecie będzie chciał bronić praw *zdemoralizowanego* narodu, który wystawił do boju wojsko *bez żadnej wartości*. Polemizuje zwłaszcza z artykułem Ksawerego Pruszyńskiego[31] ogłoszonym w londyńskich „Wiadomościach Polskich”[32]. Chciał w nich zamieścić tę odpowiedź, ale redakcja jej nie przyjęła.

Zarzuca Pruszyńskiemu niewiedzę o poruszanych zagadnieniach, łatwość rzucania oskarżeń, *uczuciowy* dobór słów (na przykład: „łajdackie kanty”). Zestawia potencjał armii i gospodarki Polski i Niemiec oraz porównuje okresy stawiania oporu przez Polskę i inne podbite państwa.

Protestuje przeciw posługiwaniu się słowami Żeromskiego, że należy rwać rany, by się nie zabliźniły błoną podłości, bo dziś jest inny czas, jesteśmy w ogniu bitwy, ciężko, niemal śmiertelnie zranieni. Rana ta jest tak wielka jak cała nasza ziemia i rwana jest dzień i noc przez nieprzyjaciela. Przytoczonym przez Pruszyńskiego słowom Churchilla, że badanie błędów przeszłości jest drogą do poprawy na przyszłość, przeciwstawia inne zdanie premiera Wielkiej Brytanii: nie kłóćmy się o przeszłość, bo przegramy przyszłość.

Naród, na którego ziemi gościmy, został wychowany na żaglowcach w okresie tysiąclecia i naród ten zachowuje się jak załoga okrętu podczas burzy: – Wszyscy do żagli i pomp!

(…) *nikt tu nie rozprawia nad błędami budowniczych okrętu i nad błędami kapitana i sternika, którzy go prowadzili, bo jałowa i czcza jest obmowa, narzekania i przekleństwa, nad tym co było, kiedy zła fala bije w burty.*

Wydał tekst własnym sumptem w Edynburgu. Rachunek za druk wraz z przejazdami wyniósł czterdzieści funtów. Zapłacił z oszczędności i pożyczek. Broszurę rozchwytano, oficerowie z Rothesay przychodzą do niego z gratulacjami, chociaż wezwanie „wszyscy do pomp” ciągle ich nie dotyczy. To pierwszy publiczny głos w obronie armii. Koszty zwróciły się jednak tylko w połowie, a na dodatek zaczyna się dochodzenie.

Przebiega niemrawo. A to dlatego, że Rubens nie jest jednolity. Najbardziej zawzięci katoni z zapałem i upodobaniem wietrzący spiski albo już się naprzykrzyli naczelnemu wodzowi – jak Izydor Modelski, albo mają inne zadania – jak profesor Stanisław Kot, który szykuje się na stanowisko ambasadora rządu polskiego w Moskwie; wyjeżdża tam na początku września. Szef Sztabu Naczelnego Wodza generał Tadeusz Klimecki i szef kontrwywiadu podpułkownik Wacław Tokarz, z którymi Umiastowski rozmawiał w Rubensie, nie mieli nic przeciw polemice, też ich przecież boli szarpanie armii przez dziennikarza. Teraz, kiedy broszura stała się głośna, nie przyznają się wprawdzie do swego cichego przyzwolenia, ale nie sprzyjają też karze. Ci, którzy Umiastowskiemu nie chcą przepuścić, znajdują więc inne sposoby. Trzeba rozliczyć go z przepustki – spóźnił się trzy dni do stacji zbornej. Oficer sądowy, „żydek” (jak zapisuje Umiastowski w dzienniku), bada dokładnie sprawę – wynika z niej, że spóźnienie wiąże się z damą (później drugą żoną Umiastowskiego). Ale i ten temat jakoś przycicha, Komendantura nie kwapi się z karą.

Wygląda na to, że wspólne życie na spokojnej wyspie zbliżyło do siebie nadzorców i rezydentów. Mimo sieci informatorów, kontroli korespondencji, biurokracji przepustkowej, uważnej obserwacji oficera do zleceń. On sam przecież, podpiwszy w święta, kołysał się w rytm marszów legionowych.

Coś z tym wszystkim trzeba jednak zrobić. Komuś, kto się chce brać za publicystykę na własną rękę, można przypomnieć, co robił jako szef propagandy naczelnego wodza Śmigłego-Rydza. Umiastowski musi więc znowu pisać zeznanie dla władz, dlaczego szóstego września 1939 roku apelował do mężczyzn, by opuszczali Warszawę. Tłumaczył się już z tego ponad rok temu, kiedy to generał Izydor Modelski zarzucił mu między innymi w piśmie do Wojskowego Trybunału Orzekającego:

Przemówieniem swym ppłk Umiastowski pozbawił Warszawę wielu

dzielnych obrońców, którzy chętnie oddaliby życie w obronie stolicy. Ogołocił Warszawę ze środków przeciwpożarowych, gdyż straże pożarne wraz ze sprzętem opuściły miasto, które tym samym wystawione zostało na pastwę płomieni. Zdekompletował obsługę gazowni, elektrowni i wodociągów oraz innych urządzeń użyteczności publicznej. Wszystko to przyśpieszyło później kapitulację stolicy[33].

Przygotowuje więc teraz ponownie linię obrony i ponad dwa lata po tamtym dramacie zapisuje w dzienniku, że wskutek mobilizacji do Warszawy przybyła masa rezerwistów – od stu pięćdziesięciu do dwustu tysięcy. *Sprawa przyjęcia tych ludzi do oddziałów była nie do uskutecznienia.* Około piątego września do Warszawy cofali się żołnierze z rozbitych armii. *Stało się wiadomym, że Warszawa posiada nadmierne ilości rezerw i ludzi chcących walczyć, którzy w żadnym razie nie znajdą warunków dla tej walki*. Należało rozładować Warszawę z nadmiaru ludzi, by ratować ten najcenniejszy dla dalszej wojny materiał ludzki.

Reasumując powyższe, nie poczuwam się do winy.

Nie wygląda na to, by ktoś chciał jeszcze badać te za i przeciw.

Odfajkowano. Nie wytaczają mu żadnej sprawy ani starej, ani nowej, nie wysyłają do Tighnabruaich.

Według wspomnianego sprawozdania z Rothesay przekazanego Sikorskiemu przez księdza Zygmunta Kaczyńskiego w komendzie obozu panują wpływy sanacyjnej „grupy politycznej". Stanowiska oficerów rejonowych – łączników są obsadzone przez dawnych „seryzejczyków" (od Cerizay), sanatorzy dostają lepsze kwatery i komendant obozu chciałby ich mieć w sądzie honorowym. Stronie przeciwnej, czyli bliskiej lub bliższej władzy, udało się wyłonić sześciu na dwunastu kandydatów na sędziów, ale komendant unieważnił wybory, tłumacząc to brakiem kworum. *Zastosowano więc stary i wypróbowany chwyt sanacyjny!*[34]

To, że Umiastowskiemu się upiekło, może mieć jednak inne przyczyny. Rządowi i dowództwu szykują się dużo większe kłopoty niż broszura w obronie honoru wojska polskiego przed Ksawerym Pruszyńskim. (On zresztą broni się sam, a raczej atakuje Umiastowskiego, tekstem *1000 mil od prawdy*).

Sikorski ciągle rozmawia z Majskim. Anglicy wolą, by przy rozmowach

nie było ministra spraw zagranicznych Augusta Zaleskiego. Uważają widocznie, że Sikorski łatwiej porozumie się z Rosjanami. Ambasador Edward Raczyński pisze: *Rozmowy od pierwszej chwili prowadzone były przez samego premiera Sikorskiego obok p. Zaleskiego, przy czym strona angielska (m.in. Eden) w sposób niemal brutalny odsuwała polskiego ministra spraw zagranicznych od stołu obrad*[35]. Sikorski jest pod naciskiem, oficjalnym i nieoficjalnym. Pewnego dnia niespodziewanie odwiedza go książę Kentu, rodzony brat króla Jerzego, w towarzystwie paru oficerów RAF. *Przeszedł szybkim krokiem przez pierwsze piętro hotelu Rubens i udał się wprost do gabinetu generała Sikorskiego. Rozmowa była długa, prowadzona przez jednego tylko tłumacza, którym był oficer brytyjski z RAF-u*[36].

Oficerowie w Rothesay prorokują najgorsze.

Pierwszy punkt układu

Układ Sikorski-Majski zostaje podpisany trzydziestego lipca 1941.

Poszukałam tej daty w dziennikach Iwana Majskiego, które mi polecał pisarz David McDowall, autor przewodnika po Bute.

Gruby, ciężki tom.

Trzydziestego lipca Majski zapisał: *Dzisiaj podpisaliśmy wreszcie uklad radziecko-polski! Ledwie w to wierzę*.

Sygnatariusze mają się spotkać w brytyjskim Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Pada ciężki deszcz, na niebie wiszą szare chmury. Wszedł Sikorski w generalskim mundurze, w towarzystwie marszałka polskiego sejmu i paru ministrów. Churchill się spóźnia. Eden próbuje go wytłumaczyć.

Państwo wiedzą, że premier lubi uciąć sobie godzinną drzemkę po lunchu. Ma taki zwyczaj. Będzie tu lada chwila.

Potem Eden położył rękę na ramieniu Sikorskiego, odprowadził go na bok i szepnął parę słów do polskiego premiera. Po czym podszedł do mnie, położył mi rękę na ramieniu podobnym gestem i powiedział ściszonym głosem i z lekkim skrępowaniem: „Proszę mi wybaczyć to niemądre pytanie. Podczas składania podpisów przy stole ja będę siedział w środku… Czy nie miałby pan nic przeciw temu, by generał siedział po mojej prawej, a pan po lewej? Cokolwiek mówić, on jest premierem…”. Roześmiałem się serdecznie

i odpowiedziałem: „Nie, nie mam nic przeciw temu. Nie miejsce czyni człowieka”.

Wreszcie przyszedł Churchill.

Rzeczywiście Churchill dopiero wstał z łóżka. Było to widać po jego obwisłej twarzy, czerwonych, nieco wodnistych oczach, ogólnym zaspaniu.

Usiedli do podpisów.

Eden siedział w środku i Churchill po jego lewej. Ja usiadłem dalej po lewej, w kącie, podczas gdy Sikorski zajął miejsce po prawej Edena. Polski pan spiskował na próżno, bo los z niego zakpił: mógł siedzieć po prawej Edena, ale ja siedziałem obok Churchilla[37].

Teraz Sikorski musi zbierać siły do walki z polską opinią, która dramatycznie się dzieli. Najostrzejszych protestów można się spodziewać po opozycji piłsudczykowskiej. A jej obozem jest Rothesay.

Pierwszy punkt układu mówi, że traktaty sowiecko-niemieckie z 1939 roku dotyczące zmian terytorialnych w Polsce utraciły swą moc.

Drugi przywraca stosunki dyplomatyczne pomiędzy obu rządami.

Trzeci zobowiązuje oba rządy do udzielania sobie wzajemnie pomocy wojennej przeciwko Niemcom.

Czwarty stanowi, że rząd ZSRR godzi się na tworzenie w Związku Radzieckim armii polskiej, której dowódca będzie mianowany przez rząd polski w porozumieniu z rządem ZSRR.

Najważniejszy, pierwszy punkt nie budzi zaufania. Nie gwarantuje, że Polska powróci po wojnie do wschodnich granic sprzed września, określonych przez traktat ryski z 1921 roku.

Jest jeszcze dodatkowy protokół: *Z chwilą przywrócenia stosunków dyplomatycznych rząd sowiecki udziela amnestii wszystkim obywatelom polskim, którzy są obecnie pozbawieni swobody na terytorium ZSRR bądź jako jeńcy wojenni, bądź na innych podstawach*.

Słowo „amnestia” oburza. Ci obywatele byli przestępcami?

Czy w imię uzgodnienia czwartego punktu należało ustępować przy pierwszym?

Dopiero za jakiś czas będzie się można dowiedzieć, jak amnestionowani ściągali do obozów w Buzułuku, Tockoje, Tatiszewie, żeby wstąpić do armii

generała Andersa.

Ogromna część bez butów i bez koszul. Wszyscy właściwie w łachmanach, częściowo w strzępach starych mundurów polskich, wychudli jak szkielety. Większość pokryta wrzodami wskutek awitaminozy. Ale, ku zdumieniu towarzyszących mi bolszewików, z gen. Żukowem na czele, wszyscy byli ogoleni. (…) *Pierwszy i daj Boże ostatni raz w życiu, przyjąłem defiladę żołnierzy bez butów. Uparli się, że chcą maszerować. Chcą pokazać bolszewikom, że bosymi, poranionymi nogami potrafią na piasku wybić takt wojskowy jako początek swego marszu do Polski*[38].

Co się stało z piętnastoma tysiącami jeńców obozów w Kozielsku, Starobielsku i Ostaszkowie? Ani jeden z nich nie dołączył do tych szeregów. „Wszyscy się odnajdą" – zapewniają generała Władysława Andersa władze sowieckie[39].

Szesnastego lipca Komendantura obozu w Rothesay w rozkazie dziennym podaje wiadomość przekazaną z Londynu przez Polski Czerwony Krzyż, że *wprawdzie dotychczas nie ma łączności z jeńcami w Sowietach, ale w sprawie ich można się zwracać bezpośrednio do Moskwy, pod następującym adresem: Moskwa, Moskowskij Pocztamt, Pocztowyj Jaszczyk 11C-12*[40].

Rak na pewno przeczytał tę informację. Zastanawiam się, czy zapytał Moskwę o szwagra, kapitana Ryszarda Ługowskiego, i o swego dawnego dowódcę pułkownika Tadeusza Kozakiewicza. Jeśli przemógł się i zapytał, to listy Dziuni wysyłane w 1942 roku do Stefana Szejnerta w oflagu w Lubece świadczą o tym, że nie dostał żadnej odpowiedzi.

Miej ufność

Dostaję gruby list z Ameryki z miasta Frederick. Nadawca: Andrew Modelski. Przysyła parę dokumentów pozostawionych przez ojca i własny tekst o moim wuju Antonim Biernackim, synu mego dziadka Antoniego, najlepszego podlaskiego masarza, wnuku mego pradziadka Antoniego, zbiedniałego szlachcica, który chodził po dzierżawach i prowadził gorzelnię nad rzeczką Chodelką, w majątku Ratoszyn na Lubelszczyźnie.

Dobrze znałam wuja Antosia. Pomagałam mu oswajać się z Polską, kiedy

pod koniec lat siedemdziesiątych postanowił wrócić z emigracji. Nie udało mu się nigdzie zagnieździć, ani w Anglii, ani w Ameryce, ani w Australii. Może zagnieździłby się w domu dziadka w Białej Podlaskiej, ale nie zdążył, dom rozebrano pod blokowisko. Kupił małe mieszkanie w Warszawie i niespodziewanie umarł w nim nocą na wylew, nie sprawiając nikomu kłopotu długą samotną starością.

Był kostyczny, małomówny i bardzo oszczędny. Odkładał na dwa cele – wytworne ubrania, które zamawiał u najlepszego warszawskiego krawca Zaremby, i na spadek, który zapisał notarialnie dwudziestu paru członkom naszej rodziny. A ponieważ miał skromne stanowisko – pracował na kserografie w jakimś amerykańskim biurze, musiał naprawdę ciułać, żeby mieć na tweedy i smoking i jeszcze zostawić wszystkim po parę dolarów.

Był bardzo przystojny, wysoki, chudy, i w tych ubraniach wyglądał jak lord. Ale ja wiedziałam, że nie jest lordem, bo zanim przeprowadził się do Warszawy, gościł mnie przez parę dni w Waszyngtonie, w kawalerce małej jak dziupla.

Jędrek Modelski miał rację – *jak się nie zapisze, to nie ma człowieka*.

Antek Biernacki, działacz podlaskiego aeroklubu

archiwum rodzinne Małgorzaty Szejner

Wuj Antoś nigdy nie opowiadał o swoich przeżyciach wojennych, więc go nie pytałam. Może dlatego, że wydawał mi się nudny i zasadniczy. Jędrek

jednak pytał. Zaprzyjaźnił się z nim w Ameryce, kiedy Antek pomieszkiwał u generałostwa Modelskich. Ciocia Stasia Modelska była tak jak on wnuczką Antoniego – gorzelanego. Podczas naszych spotkań w Ameryce wspominała ze łzami święta wielkanocne w Ratoszynie (*a te mazurki z gotowanych żółtek, posypywane makiem kolorowym, a kiszka nadziewana kaszką krakowską z rodzynkami, a bułeczki przecinane, smarowane białą pianą, posypywane cukrem kryształem z wanilią, układane do pudeł po landrynkach, a pasztety z zająca*). Jak mogła, pomagała rodzinie, chciała trzymać ją razem.

Wiedziałam, że Antek przepadł w 1939 roku w Związku Radzieckim i że się z niego wydobył. Nie interesowałam się, jaką drogą. Okazuje się, że dotarł do Buzułuku i przedostał się z armią Andersa na Bliski Wschód. Tak pisze w swoim tekście Andrzej Modelski.

Gdzie był jego łagier? Jędrek nie pisze.

Po śmierci wuja Antosia zabrałam z jego mieszkania niewielką teczkę z dokumentami. Wyciągam ją teraz spomiędzy listów rodzinnych z pudła w piwnicy.

Siostry Maria Drzewiecka (z lewej) i Stanisława Modelska

archiwum rodzinne Małgorzaty Szejner

Wśród różnych zaświadczeń od pracodawców w Anglii i Stanach leży

w niej cienki kratkowany zeszyt za osiemnaście kopiejek, z tabliczką mnożenia na burej okładce i informacją, że wyprodukowała go Fabryka Papieru „Latarnia Rewolucji” w Penzie na mocy zezwolenia z ósmego sierpnia 1940 roku w nakładzie dziesięciu milionów. Antek zapisał w nim ołówkiem kolejne etapy więzienne i łagrowe – od aresztowania w Pińsku, poprzez Łomżę, Mińsk, Monczegorsk, Leningrad, Kotłas, Wożajel (niewyraźne słowo), po okrzyk WOLNOŚĆ! ósmego września 1941 roku. Już następnego dnia wyrusza w drogę do Buzułuku. Dociera tam, ale wbrew temu, co przypuszczał Jędrek Modelski i o co widocznie nie wypytał dokładnie, Antek nie idzie z Andersem do Iranu i Palestyny, lecz wraca na północ, do Archangielska, a potem Murmańska, dwa tysiące osiemset sześć kilometrów. To w linii prostej, ale ta droga nie jest przecież powietrzna, biegnie po ziemi, nazwanej przez pisarza nieludzką, ten bieg jest niepewny, poplątany i przerywany. Czy Antek ma jakieś pieniądze, ubranie, siły? Może go jakoś zaopatrzono w Buzułuku. Dwudziestego stycznia 1942 roku wstępuje w Murmańsku na pokład HMS Trinidad. Tę datę zapisuje już na papierze listowym okrętu, cienkim, lekko błękitnym, z wytłoczonym godłem: trzema kotwicami w pięciokątnym kartuszu zwieńczonym koroną i podpasanym wstęgą ze słowami „Miej ufność”.

Dlaczego tak zrobił? Widocznie dowiedział się w Buzułuku o konwojach arktycznych płynących z Wielkiej Brytanii, Islandii i Ameryki Północnej do północnych portów rosyjskich. Wiozą czołgi, samochody terenowe, samoloty, paliwo, surowce, żywność, lekarstwa. Wyładowują to i wracają, więc można się zabrać na Zachód. To nie była bezpieczna droga, ale znacznie szybsza. Antek chciał jak najprędzej zaciągnąć się do lotnictwa.

Trinidad popłynął szerokim łukiem ponad grzbietem psa skandynawskiego, owinął się nad głową lwa brytyjskiego i przybił do portu na wysokości Glasgow. Być może tego samego portu, z którego wypłynęliśmy z Piotrem na Bute i z którego siedemdziesiąt sześć lat przed nami wypłynął tam Rak. A może innego.

Miał szczęście, bo miesiąc później Trinidad starł się z Niemcami. Torpeda, którą odpalił, albo miała wadliwy żyroskop, albo zmieniła kurs w zmrożonej wodzie, bo zachowała się jak bumerang. Uderzyła we własny okręt i zabiła trzydziestu dwóch ludzi. Trinidad wyremontowano w Murmańsku, ale wkrótce na okręt spadła niemiecka bomba i wznieciła pożar. Tym razem było

sześćdziesiąt sześć ofiar, wśród nich dwadzieścia ocalonych z okrętu Edinburgh, zatopionego dwa tygodnie wcześniej.

Antek był już wtedy w drodze do Blackpool w angielskim hrabstwie Lancashire. W sierpniu 1940 roku powstał tam jeden z ośrodków szkoleniowych dla polskich lotników.

Skserowałam zapiski Antka i wysłałam Jędrkowi Modelskiemu. Notatki piórem na papierze listowym okrętu Trinidad, zwiastujące przyszłość, odbiły się czysto, notatki tępym ołówkiem w sowieckim zeszycie – niewyraźnie i blado, jakby sama materia miała je wymazać z pamięci.

Dziewiętnaście worów

Pierwsza zbiórka ubrań dla Polaków w Rosji przeprowadzona w Rothesay przez oficerów i ich żony wypełniła pięć worów, druga czternaście.

W tych czternastu:

– butów męskich i trzewików damskich – dziewięćdziesiąt dziewięć par,

– koszul – sto dziewięćdziesiąt,

– kalesonów – pięćdziesiąt sześć par,

– swetrów – dziewięćdziesiąt dwa,

– skarpetek – sto siedemdziesiąt cztery pary,

– płaszczy męskich i damskich – trzydzieści dziewięć,

– ubrań męskich – dwadzieścia osiem,

– sukienek – dwadzieścia cztery,

– kamizelek – pięć,

– spódnice, bluzki, koce, mydła, maszynki do golenia, nici, igły.

Całą bieliznę przejrzano i wyreperowano. Naprawiono czterdzieści par obuwia. Koszty zbiórki łącznie z zakupem worków i reperacjami wyniosły niewiele ponad cztery funty.

Dojdzie nieustalony jeszcze koszt transportu[41].

Jeśli Dziunia dotarła już do Rothesay, na pewno też zbiera buty i skarpety, reperuje i pakuje. Tak jak będzie gromadzić lub już gromadzi papierosy i ciepłą bieliznę dla swego brata Stefana w oflagu w Lubece.

Centralne władze BBC – jak informuje rozkaz dzienny z piątego sierpnia[42] – zwracają się do Polaków na Wyspach, by wspomogli wiadomościami polski dziennik radiowy nadawany z Londynu. Chodzi o krótkie reportaże z życia polskich oddziałów wojskowych, dyskusje, zagadnienia i przejawy humoru. Stacja zborna w Rothesay mogłaby przygotować następujące tematy: wspólna ze Szkotami odporność na losy wojny, zainteresowania rolnicze, religijność, podobieństwo muzyki szkockiej do polskiej góralskiej, surowy klimat, przyjaciela poznaje się w biedzie, wzorowa znajomość spraw polskich przez Szkotów. Te *postscripta* należy doręczać oficerowi oświatowemu. Za każdą minutę opracowania wykorzystanego w dzienniku autor dostanie funta.

Możliwość dostarczania BBC przejawów humoru omija podporucznika Antoniego Gryckę, który odbywa kolejną karę, tym razem nie w poprawczaku, ale w polskim areszcie w Perth, zwanym gołębnikiem. Siedzi tam – jak sam pisze – około trzydziestu oficerów. Miejsce piękne, prywatna posiadłość bogatej *lady*, wielki park, kort tenisowy. Areszt urządzono na mansardzie dużej wozowni. Był tam kiedyś duży gołębnik, który wyczyszczono i zagospodarowano – są łóżka, ogrzewanie gazowe, na dole umywalnia z ciepłą wodą, dwa razy na tydzień idzie się grupami do publicznej łaźni pod okiem żandarma i robi po drodze drobne zakupy.

Grycko jest zachwycony nowym miejscem pobytu.

Towarzystwo małe ale pakowne, sami swoi, błędni rycerze. Czas płynął nam spokojnie i pięknie, graliśmy w futbol i w tenisa, a w deszczowe dni i wieczory przeważnie w karty w remi-bridge'a pospolicie klipą zwanego. Dziewczęta usługujące nam w kabinach publicznej łaźni kupowały nam nawet butelki whisky, które się odbierało następnego tygodnia. Każde święta spędzaliśmy razem dość wesoło, bo gdy żandarmi poszli spać na dole, to już na górę do nas mieli ograniczone wejście.

Atmosfera była cudowna, przyjaźń i koleżeństwo, jakiego armia nie znała.

NN

Dwunastego maja, w rocznicę śmierci Józefa Piłsudskiego, grupa oficerów z Rothesay wysyła kartkę do Aleksandry Piłsudskiej do Edynburga. Pod słowami: „Wierni Komendantowi, złączeni myślą o Nim, ślemy Pani Marszałkowej wyrazy serdecznej pamięci", podpisuje się około pięćdziesięciu osób, wśród nich Marian Zyndram-Kościałkowski, Helena Grażyńska, Mieczysław Wyżeł-Ścieżyński, Tadeusz i Irena Münnichowie, Maria Balcerkiewiczówna, Roman Umiastowski, Aleksander Hauke-Nowak, generałowie Stanisław Rouppert, Janusz de Beaurain, Stanisław Kwaśniewski. Jeden nadawca postawił literki N.N. Tadeusz Münnich uważa, że wierna pamięć o tej rocznicy też zasługuje na upamiętnienie, kopiuje więc kartkę, spisuje osobno najważniejsze nazwiska, nie zawsze czytelne, i chowa wśród swoich pamiątek.

Tego samego dnia Ministerstwo Spraw Wojskowych też odwołuje się do wiernej pamięci. Apeluje do wszystkich oficerów i żołnierzy, by przypomnieli sobie o ludziach, których śmierci byli świadkami, i by złożyli świadectwo. Chodzi o zgon na terenie działań wojennych i na emigracji – w Polsce i we Francji, w Rumunii, na Węgrzech, w Jugosławii, Grecji… Należy wypisać na kartce rubryki: stopień wojskowy, oddział, imię i nazwisko, imiona rodziców, miejsce urodzenia i wiek, wyznanie, zawód, stan cywilny, data i miejsce śmierci, przyczyny, świadkowie, i wypełnić je wielkimi literami, tak jak to robią Anglicy. Na podstawie tych danych będzie można wystawić metryki zgonu. To bardzo ważne dla rodzin.

Generał Jacyna-Jatelnicki, który włącza apel do rozkazu dziennego[43], już dawno wypełnił swój obowiązek pamięci. Zawiadomił polskie dowództwo, że dwudziestego pierwszego czerwca 1940 roku o godzinie piątej rano pod Bordeaux popełnili wspólne samobójstwo, dwoma wystrzałami z pistoletów, kapitan Jan Berecki urodzony w Oszmianie i kapitan Julian Presch urodzony w Kobylenicy[44].

Przyłączyli się do jego sztabu podczas ewakuacji i postanowili dokonać jej szybciej i ostatecznie.

Nowy apel, w rozkazie z dwudziestego sierpnia, dotyczy żywych. W polskich szkołach w Szkocji uczą się chłopcy, którzy utracili w czasie wojny rodziców i dom. Ci nastolatkowie, w trudnym okresie rozwoju, potrzebują moralnego oparcia, prywatnego kontaktu z życzliwym doświadczonym mężczyzną, któremu mogą zaufać. Oficerowie, którzy

chcieliby się podjąć roli „ojców chrzestnych” tych sierot, zechcą się porozumieć z Samodzielnym Referatem Propagandy i Oświaty Dowództwa I Korpusu[45].

Skierowanie apelu do Rothesay świadczyłoby o tym, że stacja zborna nie jest już widziana jako środowisko niebezpieczne moralnie albo że wysłano ten tekst mechanicznie do wszystkich obozów oficerskich w Szkocji. Co jednak miałby odpowiedzieć nowy ojciec chrzestny nowemu synowi w delikatnym czasie dojrzewania na pytanie: co robisz na wyspie?

Komendant odchodzi

Generał Jatelnicki już ponad rok siedzi na posadzie, którą przyjął jako lojalny żołnierz naczelnego wodza. Nie może na niej zadowolić ani tych, których swobodę musi ograniczać, ani tych, którzy chcą, by ograniczał ją bardziej.

Nie ma instynktu politycznego. Nie bardzo rozumie różne decyzje Rubensa, na przykład tę, że w Rothesay nie można założyć pisma, jeśli jest tu tylu inteligentów. Sam chętnie z nimi rozmawia i czasem zasięga ich rady.

Ma szacunek do rangi wpojony przez kilkadziesiąt lat służby i sprawia mu kłopot wydawanie poleceń nie tylko generałom dywizji, których miewa w obozie, ale i równorzędnym generałom brygady.

Wśród ludzi, na których jako komendant powinien mieć oko, są jego dawni towarzysze walk i współpracownicy z czasów pokoju. Z wieloma jest po imieniu. Na pewno podobał mu się impet Umiastowskiego w obronie wojska.

Nie wiemy, czy odchodzi na własne żądanie czy zachęcony do tego przez władze, które wolałyby mieć w obozie kogoś z silniejszą ręką. Zwłaszcza teraz, gdy po układzie Sikorski-Majski trzeba uspokajać nastroje wzburzone podobno nie mniej niż przed rokiem, kiedy zarzucano naczelnemu wodzowi uparte trzymanie się Francji, zaprzepaszczenie Brygady Podhalańskiej, chaotyczną ewakuację, zły dobór doradców i tak dalej.

Komendant stacji pisze do swego dowódcy generała Kukiela ostatni list o stanie obozu. Powtarza w nim wiele poprzednich uwag.

Ciągle są tutaj oficerowie ze sprawami w sądach wojskowych albo z zastrzeżeniami Wojskowej Służby Wewnętrznej, inwalidzi, chorzy

umysłowo, *mieszanina, w której jednostki zdrowe pod każdym względem (a takich jest około 40 proc.), czują się źle*.

W ciągu ostatnich jedenastu miesięcy zaledwie stu czterdziestu oficerów otrzymało jakieś zadania i opuściło Rothesay. To bardzo mało. Obóz zamiast maleć, rośnie, jest w nim teraz pięciuset siedemdziesięciu oficerów, wielu kapitanów, poruczników i podporuczników, których w każdej chwili można wykorzystać.

Zatrudnienie specjalistów w przemyśle idzie powoli. Formalności są długotrwałe i pracochłonne, chociaż obiecano ich uproszczenie. Część oficerów, przeciw którym toczyły się dochodzenia, oczyszczono z zarzutów, ale ciągle nie dostają przydziałów.

Wcześniej przeszkadzał w tym brak znajomości języka. Teraz co najmniej stu oficerów zna już nieźle angielski w mowie i piśmie.

Mimo zapowiedzi stacja zborna nie została przeorganizowana na oddział wojskowy. Odmówiono zaopatrzenia jej w broń. Oficerowie bez broni traktują niepoważnie program wyszkolenia.

Lotnicy nie mają tu żadnych warunków rozwoju. Nie mają dostępu do nowych maszyn. Ich wiadomości są już przestarzałe.

Uposażenia oficerów są bardzo niskie. Wyżywienie w pensjonatach niedostateczne. Na dodatkowe większość oficerów nie ma pieniędzy. Komisja ze Sztabu Naczelnego Wodza badała to na miejscu, ale od miesięcy nie odpowiada.

Należy:

– Jak najwięcej młodszych oficerów skierować do służby lub umożliwić im zatrudnienie w przemyśle. Inwalidów i chorych zwolnić z wojska i przenieść na rentę. Starszym zapewnić pracę administracyjną lub kancelaryjną. Zrobić im miejsce, zwalniając z tych stanowisk młodszych oficerów zdolnych do służby liniowej.

– Wypłacać dodatek żywnościowy.

– Lotników przenieść na przeszkolenie do Blackpool.

Generał Jatelnicki kończy ten list komentarzem, nie nowym. Ale teraz, odchodząc, formułuje go ostrzej:

Opinia publiczna potępia bezczynność takiej dużej ilości polskich oficerów, co znajduje wyraz w rozmowach i w prasie. Opinia ta nie zna istotnego stanu

rzeczy. Oficer, który w stanie bezczynności znalazł się często nie z własnej winy, nie umie walczyć z tą opinią, nie może, a często nie chce, przytoczyć argumentów, które by znalazły życzliwy oddźwięk. Ma dość tego siedzenia i chce dostać „karabin do ręki", przewidując, że kiedyś w kraju każą mu się tym karabinem tłumaczyć wobec rodziny i społeczeństwa[46].

Wysyła pismo do swego dowódcy i przygotowuje następne. To krótkie pożegnanie stacji, jej załogi i pensjonariuszy:

uważam za potrzebę serca i miły obowiązek podziękować Wszystkim Oficerom, Podoficerom i Strzelcom z Komendy jako też Oficerom ze Składu Przejściowego Stacji Zbornej za życzliwą współpracę.

Zmuszeni przez wielką tragedię narodową do przebywania poza Krajem, w najcięższych chwilach zachowajmy hart ducha, pracując wytrwale dla dobra Ojczyzny[47].

Stefan Mękarski, który ma znajomości w Komendanturze, dowiedział się, że drugie z tych zdań miało brzmieć inaczej: *Przeżywamy wszyscy tragedię narodową; w najcięższych chwilach zachowajmy hart ducha pracując wytrwale dla dobra Ojczyzny*. Ktoś, kto zobaczył brudnopis, nie miał wątpliwości – tragedią jest układ polsko-sowiecki. Tekst, tak odczytany, mógłby narazić Jatelnickiego na nieprzyjemności. Sztab Naczelnego Wodza robi przecież, co może, by przedstawiać dobre strony układu. Dokonano więc zręcznej korekty, zanim posłano rozkaz na powielacz. Nie wiadomo, czy zrobiono to za zgodą generała czy za jego plecami i czy rzeczywiście pożegnanie miało dwie wersje.

Układ nadal i coraz bardziej nie daje oficerom spokoju.

Piąta grupa

W tym samym czasie o „likwidacji płatnego nieróbstwa" w Rothesay przemyśliwuje pensjonariusz stacji pułkownik inżynier technolog Seweryn Borsuk. Dwudziestego sierpnia dzieli się listownie uwagami z generałem Izydorem Modelskim. Dowiedział się bowiem od kolegów z wyspy, którzy wrócili z Londynu, że naczelny wódz powierzył generałowi opracowanie

wytycznych w tej sprawie.

Andrzej-Andrew Modelski znalazł ten list w swym domu w mieście Frederick w stanie Maryland i przysłał mi go pocztą.

Projekt inżyniera Borsuka przewiduje podzielenie oficerów na pięć kategorii. Pierwsze trzy można by wykorzystać w służbie wojskowej, w administracji, w kadrze specjalistycznej. Czwarta to chorzy i starzy. Piątej autor poświęcił najwięcej uwagi. Zaliczyłby do niej:

wszystkich najbardziej „zasłużonych" dla tak sromotnie zgasłego reżimu dygnitarzy; następnie tych pomocników reżimu, którzy wykazali swoją nadmierną gorliwość w czasie „opieki" nad więźniami w Brześciu i Berezie, i wreszcie tych, co rzekomo broniąc honoru oficerskiego, trudnili się, z rozkazu swych przełożonych, wybijaniem oczu i łamaniem nosów wybitnym i zasłużonym profesorom (Wilno) i dziennikarzom (Warszawa)[48]*. Zgrana ta „rodzinka" czuła się razem bardzo dobrze? Nad grupą piątą roztoczył bym troskliwą opiekę.*

W ostatnich słowach autor zaznaczył: *Kończąc swe gryzmoły, uprzejmie proszę Pana Generała o zniszczenie listu*.

Izydor Modelski albo przeoczył prośbę, albo pożałował dokumentu.

Miłosierdzie

Adam Doboszyński podporządkowuje się regulaminowi obozu. Nosi mundur porucznika, ale oficerowie dobrze wiedzą, kim jest. Wielu pamięta głośny proces o Myślenice.

Pełni jednodniowe dyżury, uczestniczy w szkoleniach, ale głównie pisze. Utracił łamy „Jestem Polakiem", bo pisma już nie ma. Pracuje nad książką o zaskakującym tytule *Ekonomia miłosierdzia*[49]. O jakim miłosierdziu będzie pisał człowiek, który prowadził osiłków na sklepy żydowskie?

Wywodzi je z myśli Tomasza z Akwinu. Podstawą chrześcijańskiego ustroju społecznego jest własność prywatna. Z własnością wiąże się odpowiedzialność. Im większa własność, tym większe są obowiązki jej posiadacza, tym silniej uwydatnia się jego rola jako powiernika społecznego. W ustroju kapitalistycznym właściciel dysponuje samowolnie swym

posiadaniem, w ustroju chrześcijańskim powinien czuć się sługą interesu publicznego. Bogactwo jest jak nawóz. Nie jest nic warte, dopóki nie zostanie jak najszerzej rozprowadzone. Uwłaszczanie mas z poszanowaniem własności prywatnej wymaga odpowiednich mechanizmów prawnych. To proces długotrwały, potrzebuje świadomej pracy społeczeństwa, aby kapitał nie koncentrował się w rękach wąskiej grupy wpływowych ludzi sterujących społeczeństwem dla osiągnięcia swych ukrytych celów.

Doboszyński pracuje szybko i sprawnie. Pisze i wyda książkę po angielsku. Potem ją przetłumaczy na polski.

Spotyka się z Michałem Grażyńskim, o czym tajni i jawni obserwatorzy zawiadamiają na wszelki wypadek wyższe dowództwo.

Wydaje się jednak, że nowy komendant generał brygady Stefan Jacek Dembiński, znany już części oficerów jako szef przechodnich obozów w Broughton i Biggar, nie ma zamiaru zaostrzać dyscypliny i inwigilacji w Rothesay. Oficer zawodowy armii austriackiej, kawalerzysta, uczestnik zawodów hippicznych, ma za sobą różne walki i dowodzenia (w obronie Lwowa i na Wołyniu). W 1939 roku dowodził Grupą Operacyjną „Stryj”, która zgodnie z rozkazem Śmigłego-Rydza siedemnastego września zaczęła się wycofywać na Węgry. Oficerowie bliscy Komendanturze oceniają, że traktuje Rothesay jako przystanek i nie wiąże z nim żadnych ambicji.

Żniwa

Piętnastego sierpnia „Buteman” stara się pogodzić ze sobą dwa sprzeczne obrazy: sielankowej przyrody wyspy i agresywnej mechanizacji rolnictwa.

M.E. Wilson, stały mieszkaniec Yorkshire, który przyjechał na Bute odpocząć, poczuł potrzebę napisania wiersza i przyniósł go do „Butemana”.

Wszędzie dokoła spokój, taki spokój,
Wędrowałem cichym wybrzeżem powoli,
Myślałem – święta ziemia, łagodne wody,
Na porównanie z niebem czy sobie pozwolić?
(…)
Słyszałem nad wzgórzami cudowny chór,
Ogarniający je śpiew,
Jak wątło by zabrzmiała harfa Orfeusza
Przy harfie drzew.

Zamieszczony obok artykuł „Żniwa” zaczyna się cytatem biblijnym: *Dopóki ziemia istnieć będzie, nie ustaną siew i żniwo, zimno i gorąco, lato i zima, dzień i noc*[50]. I znowu na naszej pięknej wyspie widzimy, jak wypełnia się przyrzeczenie Boga dane Noemu. Żniwa 1941 roku będą rekordowe. *W ostatnich dwóch latach zwiększyliśmy o piętnaście tysięcy akrów areał pod orkę. Pomogły nam także dotacje państwowe na orkę odłogów. Z tegorocznymi żniwami wiąże się jeszcze jedna nowość – machanizacja. Na ciche dotąd pola wkraczają traktory. Niektórzy z nas mogą poczuć smutek, że zakłóca to piękno krajobrazu i narusza spokój. Musimy jednak podążać z nurtem czasu.*

Każdy rozumie, że im więcej żywności wyprodukujemy we własnym kraju, tym bezpieczniejsi będziemy w czasie wojny i tym zasobniejsi w szczęśliwych latach pokoju – obiecuje autor.

Tymczasem wprowadza się zapisy na kupno sera. Zapowiada się racjonowanie jajek. Trzeba będzie butelkować owoce bez cukru.

Małgorzata Szejnert i Piotr Pietrzak

Psy jedzą za dużo. Wielka Brytania karmi trzy miliony psów. Zjadają trzysta tysięcy ton żywności rocznie. Obliczył to miejscowy związek farmerów i postanowił wystąpić do swojej centrali – niech zadba o to, by

psów było mniej, zwłaszcza zdziczałych. Poza tym hodowcy powinni dostawać odszkodowania za potarmoszone jagnięta i owce.

Nie wiemy, jak się do tego odnieśli właściciele psów ani czy podjęto jakąkolwiek akcję.

Do synagogi

Zbliża się żydowski Nowy Rok – Rosz Haszana, zwany Świętem Trąbek, chociaż dmie się nie w trąbki, lecz w róg: szofar. Dźwięk szofaru ogłasza dzień sądu. Po dziesięciu dniach pokuty przychodzi Jom Kipur, święto pojednania i przebłagania. Rozkaz dzienny z dziewiątego września zapowiada przepustki do Dundee, około stu trzydziestu kilometrów na północny wschód od Glasgow, nad Morzem Północnym. Naczelny rabin Wojska Polskiego będzie prowadził tam w synagodze uroczyste modły. Wyjazd na pierwsze święto może trwać trzy dni, na drugie dwa i będą w nich mogli wziąć udział oficerowie wyznania mojżeszowego. Kto pojedzie, poświadczy u rabina swoją obecność, a po powrocie okaże podpis w Komendanturze, bo szczególna okazja nie może być pretekstem do innych wycieczek.

W Rothesay jest trochę Żydów. Nie więcej, niż to wynika z proporcji Żydów do nie-Żydów w kadrze oficerskiej Wojska Polskiego.

Mękarski odnotowuje dosyć starannie, kto w Rothesay jest *starozakonny*. Nie lubi Żydów, ale nie podoba mu się także afera wywołana przez „Jestem Polakiem". Przyjaźni się z porucznikiem Schreyerem. *Mój współlokator* – pisze – *Artur Schreyer, Żyd-Polak ze Stanisławowa, prezes kombatantów żydowsko-polskich i szczery niepodległościowiec, przeżywa głęboko gorzko całą historię*. Chodzi o to, że żydowska „Jewish Chronicle" pisze o antysemickim reżimie Sikorskiego, w Anglii trwa dyskusja o polskich nacjonalistach niebezpiecznie bliskich ideologii hitlerowskiej…

„Walka"

Ekonomia miłosierdzia, dzieło skierowane w przyszłość, nie zaspokaja temperamentu Doboszyńskiego. Ksiądz Bełch już nie wydaje „Jestem Polakiem", lecz nie złożył broni. Wydaje teraz zakonspirowaną „Walkę".

Londyńskie pismo, kolportowane z rąk do rąk w niewielkim nakładzie, dociera do dawnych czytelników „Jestem Polakiem”. Chce jednoczyć różne grupy narodowców. Domaga się zmiany.

W pierwszym numerze „Walki” Doboszyński pisze: *Otrzymaliśmy w dziedzictwie stare orientacje polityczne, niewygasłe stare spory polityczne* (…). *Pokolenie Polski Niepodległej odrzuca stare podziały partyjne oparte na przedwojennych orientacjach, obojętne mu są stare spory i stare nienawiści*.

Wzywa: *Odsuńmy od władzy stare partie polityczne, wyrosłe w atmosferze niewoli, niech na miejsce zgranych polityków, odpowiedzialnych za klęski, przyjdzie nowe pokolenie, co Polsce tylko krew i pracę oddało*[51].

W drugim numerze zapowiada:

Ustrój gospodarczy państwa winien podlegać kontroli Narodu, i w myśl interesów Narodu, a nie międzynarodowego kapitału, winien funkcjonować. Kredyt winien zostać uspołeczniony. (…) *Chłop musi otrzymać ziemię, a ten dla którego jej zabraknie, musi odejść do przemysłu i handlu. Nie może być latyfundiów, gdy istnieją gospodarstwa karłowate. Planowanie winno być odpowiedzialne, a nie skryte w zakamarkach mafijnych; aby było odpowiedzialne, musi być publiczne. Zespół, który planuje, jak i wyniki jego pracy powinny być znane i powstawać pod kontrolą opinii publicznej. Nie przedmajowi „dziadkowie leśni”, a ludzie pokolenia Polski Niepodległej winni się tam znajdować* [52].

Nie rezygnuje z pomysłu humanitarnego pozbycia się Żydów – wysłania ich wszystkich na emigrację. *Pokolenie Polski Niepodległej, łącznie z narodowo myślącymi ludowcami i socjalistami ma już dziś jednolity pogląd na sprawę żydowską*[53].

Wygląda na to, że odosobnienie na Bute doskonale mu służy. Umie formułować myśli i przelewać je szybko na papier w każdych warunkach. Odsiadując karę za marsz do Myślenic, pisze *Konspiracje*, czekając przez sześć tygodni na transport z Gibraltaru do Anglii, pisze pierwszą część *Wielkiego Narodu*. W Rothesay ma doskonałe warunki – świetlicę oficerską, Klub Aliantów, własną kwaterę. Jest karny, pełni bez zarzutu wyznaczone dyżury oficera inspekcyjnego. Na pierwszy służbiście przychodzi w hełmie, ale właśnie Komendantura zmienia ten przepis, więc drugiej inspekcji dokonuje już w furażerce.

Furażerki są częstym tematem działu „Zguby” w rozkazach dziennych obozu. Ciągle ktoś je pozostawia w rozmaitych miejscach, znajduje albo zamienia; są polskie, angielskie, osobiste i fasowane. Gubią się też okulary. Zmartwiony krótkowidz dodaje, że jego zguba pochodzi z firmy ze Stanisławowa; ma nadzieję, że znalazca wzruszy się pamiątką i odda. W kinie Ritz bezpiecznie czeka na właściciela polska książeczka do nabożeństwa. Ktoś utracił złoty sygnet, ale nie opisuje znaków herbowych, ktoś inny – wieczne pióro Watermana. Albo kłopotliwa sprawa naszyjnika panny McLeam. Zgubiła sznur pereł w okolicy hotelu Victoria. Widziano, jak schylił się po niego polski oficer w mundurze. Niech go odniesie natychmiast do adiutantury! Rozkazy dzienne ponawiają apel. Bez skutku.

Giną polskie płaszcze oficerskie i rogatywki. Ktoś je wykrada z garderoby kawiarni Regal. Być może to kradzież natury sentymentalnej lub kolekcjonerskiej. Ale generał Jatelnicki jest zaniepokojony. Pisze do szefa policji w Rothesay, że *zachodzi podejrzenie celowych kradzieży (możliwość piątej kolumny)*, i prosi go o wydanie odpowiednich zarządzeń[54].

Zmiana

Dziewięć dni po pożegnalnym liście Jatelnickiego generał Marian Kukiel przenosi pięćdziesięciu jeden oficerów z Rothesay do służby przy pociągach pancernych[55]. Sam już dawno proponował takie rozwiązanie naczelnemu wodzowi. Wtedy jednak Sikorski słuchał bliskich sobie ludzi Izydora Modelskiego i ministra spraw wewnętrznych Stanisława Kota, upartych zwolenników rozliczeń, którzy woleli trzymać ludzi w obozie i mieć na nich oko. Teraz Stanisław Kot jedzie na ambasadora do Związku Radzieckiego, a Izydor Modelski, jak sam skarży się Sikorskiemu, nie cieszy się już jego wystarczającą uwagą.

Odjeżdżają głównie porucznicy i podporucznicy, wśród nich przyszły nauczyciel Marian Maliński, żegnany przez swoją szkocką dziewczynę, do której powróci i z którą pozostanie przez resztę życia na wyspie Bute. Jedzie sześciu kapitanów i trzech rotmistrzów. Pancerniacy, artylerzyści, kawalerzyści, saperzy, piechurzy.

Tego samego dnia, kiedy wypływają pierwszym rannym statkiem do

nowego miejsca pobytu, komendant Dembiński ogłasza nową wiadomość, że jedenastu innych oficerów przyjęto do służby w koloniach brytyjskich. Mają wziąć krótki urlop, a dzień po nim zgłosić się do krawca w Perth. Przed wyjazdem zwrócą do magazynu mundurowego pelerynki, maski, koce – wszystkie rzeczy stanowiące własność skarbową – i otrzymają wyposażenie do służby w tropikach[56].

Wybiera się do kolonii major Edward Galinat, który podczas internowania w Rumunii porwał z lotniska polski samolot i poleciał nim do oblężonej Warszawy z ostatnim rozkazem Rydza-Śmigłego dotyczącym konspiracyjnej walki z Niemcami. Mękarski komentuje szyderczo:

Ten chyba podczas rejsu będzie szefem ekipy afrykańskiej a w Sierra Leone zostanie Führerem młodzieży murzyńskiej. Należy mu się to przywództwo. Był w Polsce wodzem młodzieży ozonowej[57] *marzył o władzy Baldura Von Schirach*[58]*. Ten interes nie udał się, ale chyba uda się u czarnych. Już on ich tam sfałszuje i stotalizuje aż miło… A zawsze jest pełen wigoru, nosił do wczoraj doskonale, jeszcze w Polsce skrojoną rogatywkę i salutował siarczyście, iście po faszystowsku.*

A inni afrykańczycy? – Lekarz z Pińska, dr. Kołoszyński trochę beczał przy pożegnaniu. Przypomniały się beksie błota poleskie. No, bracie, żegnaj się z błotami, bo tam gdzie jedziesz, będzie ci sucho nie tylko pod nogami. Kołoszyński (…) *roztkliwia się ostatnim europejskim wspomnieniem o swoim Pińsku. Jedzie, ucieka, nie chce widzieć Anglii, Rodaków, Szkocji – chce do Murzynów, gwałtownie do Murzynów. Tak samo dziarski, fertyczny hrabia Rostworowski* (…) *Do Afryki, na księżyc, byle ze Szkocji i z Wojska Polskiego.*

Podporucznik Mękarski ma czterdzieści sześć lat, z ducha cywil, raczej nie może liczyć na przydział wojskowy. Czy chciałby go dostać? Śmiertelnie zbrzydła mu wyspa. Jakiś czas temu drażniła go zapobiegliwość oficerów, którzy uwieźli przez granice swoje kobiety. Teraz drażni go zapał „Afrykańczyków". *Zazdrość? Zwyczajna, naturalna, pospolita zazdrość?*

W październiku dwóch pilotów obserwatorów zostaje rozkazem naczelnego wodza przywróconych do stanu czynnego, a w listopadzie komendant Rothesay kieruje siedmiu oficerów na szkolenie lotnicze.

Tej jesieni rozkazy dzienne pełne są perspektyw.

Także na przyszłe życie cywilne.

Komendantura wysyła dziewiętnastu podporuczników i jednego porucznika na polski Wydział Lekarski Uniwersytetu Edynburskiego, a wojskowi weterynarze mogą się ubiegać o miejsce w Akademii Weterynaryjnej w tym mieście. Zachowają żołd, dostaną dodatek na kwatery i strawne.

Uniwersytet w Glasgow zachęca polskich oficerów do uczestnictwa w dwutygodniowym kursie „Ekonomia wojenna i powojenna". Wykłady mają prowadzić wybitni angielscy ekonomiści. Zgłasza się około trzydziestu osób, wśród nich Grażyński i Doboszyński.

Oficerowie z zespołu rolniczego stacji zbornej, doświadczeni rolnicy, którzy przed wojną prowadzili majątki własne albo cudze, organizują trzydniową wycieczkę do Edynburga. Kolejne punkty zwiedzania: Królewski Ogród Botaniczny, hurtownia wełny, hurtownia ryb, uniwersyteckie gospodarstwo doświadczalne, farma lisów srebrnych i platynowych. Będą przewodnikami po tych zakładach, przygotowali wykłady.

Już wiadomo, że major Gustaw Krystek chce prowadzić hodowlę zwierząt futerkowych.

Oficerowie zainteresowani jakimkolwiek działem brytyjskiego przemysłu lub handlu niech się zgłoszą w Komendanturze.

Sztab Naczelnego Wodza żąda od Komendantury listy specjalistów naftowych. Po pierwsze, fachowców od techniki, administracji, badań naukowych, po drugie, półfachowców, którzy mieli z tym styczność.

Kto miał do czynienia z drogami wodnymi, drogami kołowymi i kolejowymi, zwłaszcza maszyniści, proszony jest o wiadomość, na jakich drogach jeździł i jaki ma staż.

Czy ktoś mógłby uczyć lotników na kursach maturalnych w Blackpool?

Oficerowie techniczni mogą się przydać w angielskich ośrodkach szkoleniowych. Kto reflektuje, niech przyjdzie po informacje.

Nigdy nie wydawano tylu zezwoleń na zamieszkanie poza obozem nie tylko na tygodnie, ale miesiące i kwartały, i tylu przepustek na krótkie wyjazdy.

Ten wzmożony ruch do Edynburga zauważył już Kościół szkocki i otworzył dla oficerów wygodny hotelik z jadalnią, salonem, czytelnią. Pokoje mają łazienki, śniadania wliczono w umiarkowaną cenę noclegu.

W kawiarence Suffrediniego, przy kominku u pań Morrison, w Klubie

Aliantów mówi się, że Rubens chciałby się już pozbyć garbu Rothesay.

Widocznie nasycono się odwetem.

Może najwyższe władze doszły do wniosku, że opozycjoniści skupieni w jednym miejscu i zbuntowani przeciw tej izolacji mogą być groźniejsi niż rozproszeni.

Albo oceniły, że teorie spiskowe są blade. Skoro majora Michała Grażyńskiego, który w opiniach tajnych i jawnych informatorów ciągle spiskuje przeciw Sikorskiemu, odkomenderowano nie do poprawczaka ani aresztu, lecz do Oksfordu, gdzie będzie szukał lektur do swoich prac.

Nawet jeśli polskie władze chcą rzeczywiście rozwiązać obóz, nie będzie to łatwe. Jest tu ciągle co najmniej czterystu oficerów. I ciągle przybywają nowi. Na przykład paru podporuczników z pociągów pancernych. Dlaczego wrócili? Nie wiemy.

Osiemnastego listopada generał Dembiński przekazuje stanowisko pułkownikowi Kazimierzowi Rumszy. Obaj są zadowoleni z awansu – generał będzie szefem gabinetu wojskowego prezydenta Władysława Raczkiewicza, a pułkownik szefem, a nie zastępcą.

Książę[59]

Ten książę zupełnie nie wygląda na księcia. Raczej na rzemieślnika albo gospodarza, któremu nieźle się wiedzie, bo ma dwa podbródki. Do 1939 roku był właścicielem ogromnych dóbr, które w 1920 roku liczyły około ćwierci miliona hektarów (dwadzieścia razy tyle ile powierzchnia Bute), a rok później skurczyły się o sto tysięcy, przejęte po traktacie ryskim przez Związek Radziecki.

Ordynat dawidgródecki Karol Mikołaj Radziwiłł pojawia się w Rozkazie dziennym nr 238 z czternastego października 1941 roku z jednego tylko imienia i ze skromną rangą. Rotmistrzowi Karolowi Radziwillowi (maszyna Komendantury w Rothesay nie ma polskich czcionek) przedłuża się ponownie, o trzy miesiące, zezwolenie na pobyt w Londynie, do dziesiątego stycznia 1942 roku.

W dotychczasowych rozkazach dziennych i innych dokumentach dotyczących stacji zbornej w Rothesay, we wspomnieniach Umiastowskiego,

Mękarskiego i innych nie spotkałam tego nazwiska, a na pewno zwróciłabym na nie uwagę.

Widocznie Komendantura traktuje księcia z podobną dyskrecją jak generałów. Zresztą Karol Radziwiłł jest na sześciomiesięcznej przepustce w Londynie.

W 1939 przebywa w swoim pałacu w Mankiewiczach, na krawędzi ogromnych bagien poleskich, i gości, od wielu już lat, zapalonego myśliwego, brytyjskiego oficera Adriana Cartona de Wiarta, przyjaciela Churchilla, byłego szefa brytyjskiej misji wojskowej w Polsce. W 1919 roku zawarli bliższą znajomość – Karol Radziwiłł był oficerem łącznikowym de Wiarta. Rok później stryj księcia Stanisław, dwunasty ordynat dawidgródecki, adiutant Piłsudskiego, zginął w wojnie z bolszewikami. Porządek dziedziczenia wymagał, by trzynastym ordynatem dóbr ofiarowanych Radziwiłłom przez króla Zygmunta Augusta z miłości do Barbary Radziwiłłówny został jego bratanek Karol Mikołaj.

Książę prowadzi wzorową gospodarkę myśliwską; jego błota i puszcze należą do najlepszych w Europie terenów łowieckich. W 1935 roku pisze: *Idąc puszczą, czytam w niej, jak w księdze otwartej. – Dla mnie nie ma tajemnic; idę i widzę, czy to momenty miłości czy nienawiści i zabójstwa, czy też wkroczenie do puszczy tego szkodnika nad szkodnikami – człowieka*[60].

De Wiart dostaje od niego leśniczówkę nad rzeczką Lwą, w samym sercu bagien olmańskich.

Odpoczywa po przygodach wojennych, poluje (nie przeszkadza mu brak oka i dłoni, utraconych w walkach), czyta i snuje refleksje. Niektóre dotyczą Polaków. Podczas misji wojskowej przyglądał się im z wielką ciekawością. Oburzają go i rozczulają. Są według niego równie dzielni jak dziecinni. Piłsudski, imponujący mężczyzna o przenikliwych oczach i wspaniały dowódca, jest na przykład piekielnie zawistny, nie znosi opozycji i pozbywa się jej bez skrupułów.

Zorientowałem się, że w Polsce zawsze jest pod ręką kryzys polityczny. Miałem dla Polaków wielką sympatię i podziw, ale nie mogę zaprzeczyć, że karmili się kryzysami, produkowali je z niezawodną gotowością i bez prowokacji[61].

Dwudziestego drugiego sierpnia 1939 roku posłaniec z pałacu w Mankiewiczach przynosi mu wiadomość o pilnym telefonie z brytyjskiej

ambasady w Londynie. Ma się tam stawić natychmiast. Książę daje mu samochód z kierowcą. Już chyba się nie zobaczą. Jeśli, to nieprędko.

We wrześniu de Wiart ewakuuje się z ambasadą i misją brytyjską do Wielkiej Brytanii przez Rumunię i Francję.

Rotmistrz Karol Mikołaj Radziwiłł dołącza do Samodzielnej Grupy Operacyjnej „Polesie" generała Kleeberga i na początku października bierze udział w bitwie pod Kockiem, ostatniej bitwie kampanii wrześniowej.

Jeden z punktów rozkazu kapitulacyjnego (wymuszony na Polakach przez Niemców) postanawia, że kto nie podporządkuje się w pełni rozkazowi, będzie uznany za dezertera. A to oznacza – trzeba zostać jeńcem. Młody podporucznik Marian Brandys, potem sławny reporter i pisarz, zapamiętał, jak odciągnął go na bok zaprzyjaźniony kapral. *Po diabła nam iść do niewoli! Znalazłem tu znajomka z wozem i końmi. Da nam cywilne ubrania. Przysiądziemy na parę dni w lesie. A później pryśniemy prosto do Warszawy*.

Marian Brandys odmawia: *To byłaby przecież dezercja*[62].

Książę Karol Radziwiłł, kawaler maltański, ma inny stosunek do sprawy honoru. On też ma znajomka i ucieka furmanką przywalony gnojem. Opowiedziała mi o tym jego jedyna córka Izabela, Radziwiłłówna i Radziwiłłowa – po mężu Edmundzie. Spotkałyśmy się w Warszawie w 1973 roku, kiedy pisałam do „Polityki" reportaż o życiu arystokracji w Polsce Ludowej i jej dziejach wojennych.

Dlaczego Karol Mikołaj Radziwiłł znalazł się w Rothesay? Czy to była kara? Walczył przecież do końca w armii generała Kleeberga, którego nawet Izydor Modelski darzy szacunkiem. Gościł u siebie przez lata szefa misji brytyjskiej zaprzyjaźnionego z Churchillem. Ale zapraszał także na polowania prezydenta Mościckiego. A stryj Stanisław Radziwiłł, poprzedni ordynat dawidgródecki, był adiutantem Józefa Piłsudskiego; w październiku 1926 roku Marszałek złożył na jego grobie srebrne Virtuti. Odbyło się to podczas wielkiego zjazdu ziemian w Nieświeżu, kiedy po przewrocie majowym i przed wyborami parlamentarnymi Piłsudski potrzebował poparcia umiarkowanych konserwatystów.

Jeśli skierowanie księcia do Rothesay nie było karą ani dowodem nieufności, nie było także gościną. Książę miał się gdzie zatrzymać w Wielkiej Brytanii. Świadczy o tym choćby półroczna przepustka do Londynu.

Czy spotyka się wtedy z de Wiartem? Raczej nie. Szalony brytyjski wojownik, weteran niezliczonych bitew i potyczek (począwszy od wojny z Burami) zdołał już odbyć krótką, nieudaną, kampanię norweską, a teraz aresztowany podczas kolejnej misji wojennej, siedzi we włoskim więzieniu.

Osiem dróg

Trzynastego listopada Rozkaz dzienny nr 262 wyznacza Rakowi dyżur w świetlicy. Widać, nie czuje się źle i dostał zajęcie, które mu odpowiada.

Świetlica prenumeruje dwadzieścia trzy angielskie pisma specjalistyczne – dziesięć rolniczych, ogrodniczych i hodowlanych, osiem technicznych, pięć społeczno-ekonomiczno-prawniczych i jeszcze ilustrowane pisma informacyjne.

Wybór wydaje się przemyślany. Kto chce się przekwalifikować na farmera, ogrodnika, pszczelarza, hodowcę drobiu, sprzedawcę mięsa, inżyniera, architekta, geodetę, może znaleźć wskazówki i inspirację. Jeśli naturalnie zdołał na tyle opanować angielski.

Niestety piętnastego Rak znika z rozkazu dziennego. Dyżury w bibliotece są rotacyjne. Rak i tak dyżurował dwa dni z rzędu, wszyscy inni – po jednym.

Nie ma Ignacego Raczkowskiego i nie będzie też pism. Komenda obozu odwołuje prenumeratę. Kosztowała dużo, a mało kto czytał.

Czy Rak maczał w tym palce? W okresowych ocenach sprzed wojny występuje jako dobry gospodarz, który dba o ludzi i konie. Może raziło go marnotrawstwo.

Za to wielu oficerów grałoby w szachy. Ale mimo że Klub Aliantów organizuje turnieje szachowe o mistrzostwo Bute, żaden sklep na wyspie nie prowadzi tego towaru. Komendantura apeluje do uczuć społecznych. Czy wśród oficerów nie ma nikogo, kto zechciałby wystrugać figury szachowe? Dodaje, że koszty zostaną zwrócone.

W sprzedaży jest nowa gra towarzyska *Nikt nas nie złamie*. Przez kolorową planszę poprowadzono osiem szlaków ucieczki i powrotu. Pierwsze cztery pokazują, jak Polacy „przenikali” z Polski do Francji i Wielkiej Brytanii. Cztery następne to przypuszczalne drogi, które będą prowadzić do Polski. Całość wykonano bardzo starannie, dołączono komentarz angielski. Rozkaz

dzienny zachęca: wyrób nadaje się na podarki, zamówienia przyjmuje oficer oświatowy stacji zbornej[63].

Informacje z rozkazów dziennych obarczone są niewiadomą. Czytamy apele i propozycje, lecz nie znamy skutku, a także przyczyn. Nie wiemy, ile osób pojechało do Dundee, by modlić się w synagodze, i do Edynburga, by oglądać lisy platynowe i srebrne, jakie wiadomości od świadków śmierci cywilnej i w boju otrzymała adiutantura, czy perły dotarły do właścicielki, dlaczego niektórzy oficerowie przydzieleni do pociągów pancernych wracają do Rothesay, jakim powodzeniem cieszyła się gra o ośmiu szlakach pielgrzymki, czy ktoś wystrugał króla, królową i całą resztę.

Nie wiadomo, co się dzieje w podobozie w Tighnabruaich. Ale nie dociera też żadna wiadomość, że już go nie ma.

Stacja zborna w Rothesay nagle się postarzała. Ubyło poruczników i podporuczników do flirtów i tańca.

Dwudziestego ósmego listopada „Buteman” drukuje wierszyk autora podpisującego się „Bas Clef” pod tytułem *Nowa broń Kupidyna*. Życie praktyczne dowcipnie wypiera romantyzm. Wierszyk zbiega się z wielką kampanią propagandową, która nakazuje sadzić kartofle we wszystkich ogrodach i na nieużytkach wysp Wielkiej Brytanii.

Kupidyn wysłał ostatnią strzałę na wiatr,
Odrzucił łuk, pas, kołczan, sposoby stare jak świat.
Mały sprytny Kupidyn ma całkiem nową myśl,
Jego sekretna broń to teraz fish and chips.
(…)
Celuj chrupiącą frytką w policzek marynarza,
Zabierze cię do kina, a może do ołtarza.
Dzięki kartofelkowi osiągniesz cel swój szybko,
Lecz uważaj, czym rzucasz – nie pomyl frytki z rybką.

Wśród oficerów stacji zbornej nie ma marynarzy. Upatrzony przez pannę policzek należy do Szkota, może Holendra, może Norwega i wygrywa z policzkiem oficera polskiego, co do którego nie ma zresztą pewności, czy nie jest żonaty.

Nowa broń Kupidyna sąsiaduje w numerze z omówieniem artykułu z popularnego brytyjskiego dziennika „Daily Herald” o polsko-szkockich małżeństwach. Według gazety trzysta Szkotek poślubiło polskich żołnierzy i wszystkie te pary wierzą w swe szczęście. Młode żony gotowe są po wojnie jechać do Polski. Działaczki polskiej społeczności w Szkocji niepokoją się

jednak o te pary. Te dziewczęta zupełnie nie myślą o tym, co je może czekać. Ich chłopcy nie będą mieli w Polsce absolutnie nic. Bedą musiały nieźle zacisnąć zęby. Domy są zniszczone, bieda i drożyzna; życie, przynajmniej w pierwszych latach, zapowiada się ciężko. Trzeba zawczasu pomyśleć, jak pomóc tym parom w nowych warunkach.

Pewien ksiądz rzymskokatolicki odradził parafiankom małżeństwa z Polakami. Znał swoje owieczki i przeczuwał, że nie będą szczęśliwe.

Mękarski czuje się coraz gorzej u pań Morrison. Salonik, tak niedawno zasobny i przytulny, jest teraz dla niego ciemnicą, przejmującą *wstrętem niewypowiedzianym*. Te dwie kobiety spotykane codziennie przez kilkanaście miesięcy, te codzienne pozdrowienia poranne, tyrania zepsutego na amen komina, brudnej pościeli… Trzeba zmienić miejsce.

Na razie spisuje najważniejsze wydarzenia roku, który mija. Wśród nich: wojna rosyjsko-niemiecka, odwrót niemiecki spod Moskwy, wejście Ameryki i Japonii do wojny, powtórne zajęcie Libii przez siły brytyjskie, podróż Churchilla do Ameryki w celu ustalenia współczesnego programu wojny, a być może i położenia podwalin pod przyszły związek Wielkiej Brytanii ze Stanami Zjednoczonymi, rozmowy Edena ze Stalinem w Moskwie. To powinno rozstrzygnąć o ostatecznym zwycięstwie świata mówiącego językiem angielskim.

Ocenia, że *zwycięstwo to staje się teraz już tylko kwestią czasu*, i zawiesza w powietrzu pytanie: *Bijąca Niemców podczas zimy Rosja bolszewicka nie jest groźna dla tego świata. Ale dla Polski?*

Odbyto spowiedź adwentową po polsku i rozdano opłatki. W tym roku nie będzie jasełek i polsko-szkockich występów.

Nie wiem, z kim Rak spędzi święta.

Z okazji świąt Bożego Narodzenia pułkownik Rumsza przekazuje wszystkim *Życzenia zwycięzkiego i szczęśliwego powrotu do Wolnej i Wielkiej Polski*[64].

1 Pismo z 20 lutego 1941, Instytut Polski i Muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie (dalej: IPMS), A.VI.13/1.

2 Amcił – urzędniczył, urzędolił, od niemieckiego *amt* „urząd”. Określenie całkowicie dziś zapomniane, występuje w *Kwiatach polskich* Juliana Tuwima, w diatrybie wymierzonej w rządy przedwrześniowe: „gdy było »byczo« i rząd »amcił«, Śmigły podciągał gosudarstwo”.

3 Henryk Dobrzycki, *O kołtunie*, Warszawa 1877.

4 *Polski Wydział Lekarski przy Uniwersytecie w Edynburgu*, oprac. Józef Brodzki, Edynburg 1942.

5 Edward Raczyński, *W sojuszniczym Londynie. Dziennik ambasadora Edwarda Raczyńskiego, 1939–1945*, Londyn 1960.

6 Aleksandra Piłsudska, *Wspomnienia*, Warszawa 1989.

7 Juliusz Kaden-Bandrowski, *Piłsudczycy*, Oświęcim 1915.

8 Tamże.

9 Felicjan Sławoj-Składkowski, *Strzępy meldunków*, Warszawa 1988.

10 Tamże.

11 Aleksander J. Narbut-Łuczyński, *U kresu wędrówki. Wspomnienia*, Londyn 1966.

12 IPMS, A.VI.13/2.

13 *List otwarty do p. Antoniego Słonimskiego*, „Jestem Polakiem", 1 marca 1941, nr 25.

14 List jest odpowiedzią na artykuł Antoniego Słonimskiego *Walka z mgłą*, „Wiadomości Polskie, Polityczne i Literackie", 2 marca 1941, nr 9.

15 Rozkaz dzienny nr 175 z 1941 r., IPMS, R8, cz. II.

16 Płk Witold Mikulicz-Radecki, urodzony w majątku Lipki na Wołyniu, oficer armii rosyjskiej, adiutant gen. Dowbora-Muśnickiego, uczestnik wojny z bolszewikami.

17 Wszystkie zażalenia IPMS, A.XII/27/18.

18 IPMS, PRM 59B-3. Fragment dokumentu omówiony z zachowaniem stylu autora.

19 Przypomniano ten fragment podczas uroczystego zgromadzenia posłów i senatorów Sejmu RP w obecności królowej Elżbiety II 26 marca 1996, podaję go za protokołem sejmowym, www.sejm.gov.pl/sejm8.nsf/page.xsp/zn (data dostępu: 2 stycznia 2018).

20 IPMS, A.VI.13/1.

21 Tamże.

22 IPMS, PRM 48.

23 Prałat Zygmunt Kaczyński – działacz Chrześcijańskiej Demokracji, poseł na sejm (1922–1928), szambelan papieski, redaktor pism katolickich i publicysta, dyrektor Katolickiej Agencji Prasowej (1930–1939), zwolennik i współpracownik gen. Władysława Sikorskiego, kapelan prezydenta Władysława Raczkiewicza.

24 List z 17 lipca 1941 do Bronisława Hełczyńskiego, w 1939 prezesa Najwyższego Trybunału Konstytucyjnego, za: Jacek Piotrowski, *Piłsudczycy bez lidera (po 1 września 1939 roku)*, Toruń 2003.

25 Marek Gałęzowski, *Pułkownik „Żegota". Życie i pisma pułkownika dypl. Tadeusza Münnicha*, Warszawa 2009.

26 Władysław Pobóg-Malinowski, *Najnowsza historia polityczna Polski 1864–1945*, t. 3, Londyn 1983.

27 Traktat ryski kończący wojnę polsko-bolszewicką (1921) ustalał przebieg granicy polskiej na wschodzie. Przyznawał Polsce część ziem zaboru rosyjskiego: gubernię grodzieńską i wileńską oraz zachodnie części guberni wileńskiej i mińskiej.

28 Za: Władysław Pobóg-Malinowski, dz. cyt.

29 Czystki i represje wobec oficerów, nieraz bohaterów wojennych, którzy zdecydowali się wrócić po wojnie do Polski, doprowadziły do tak zwanych procesów odpryskowych od głośnego procesu, w którym głównymi oskarżonymi byli gen. Stanisław Tatar, pułkownicy Marian Utnik i Stanisław Nowicki. Oskarżono ich o spisek zmierzający do obalenia ustroju Polski Ludowej i skazano na wieloletnie więzienie. O ile w głównym procesie, nazywanym TUN, nie było wyroków śmierci, o tyle w odpryskowych orzeczono ich trzydzieści siedem, a dziewiętnaście wykonano.

30 Komenda Stacji Zbornej Oficerów w Rothesay dołączyła to wezwanie w polskim tłumaczeniu do rozkazu dziennego nr 165 z 1941 r., IPMS, R8, cz. II. Podaję je z niewielkimi skrótami.

31 Ksawery Pruszyński, reporter, publicysta, prozaik, dyplomata. Autor m.in. książek: *Podróż po Polsce* (1937), *W czerwonej Hiszpanii* (1937), *Droga wiodła przez Narwik* (1941), *Trzynaście opowieści* (1946), *Karabela z Meschedu* (1948). Krytyk polskich wad narodowych winnych zacofaniu. W opinii części emigracji – nastawiony ugodowo wobec władz komunistycznych. W służbie dyplomatycznej rządu gen. Sikorskiego, a po wojnie rządu Polski Ludowej. Zginął w 1950 w wypadku samochodowym w Niemczech.

32 Ksawery Pruszyński, *Księga ponurych niedopowiedzeń*, „Wiadomości Polskie" 1941, nr 41.

33 IPMS, A.XII.51/40.

34 IPMS, PRM 48.

35 Edward Raczyński, dz. cyt.

36 Leon Mitkiewicz, *Z generałem Sikorskim na obczyźnie (fragmenty wspomnień)*, Paryż 1968.

37 Omówienie i cytaty na podstawie: Ivan Maisky, *The Maisky Diaries. The Wartime Revelations of Stalin's Ambassador in London*, red. Gabriel Gorodetsky, New Haven–London 2015.

38 Władysław Anders, *Bez ostatniego rozdziału. Wspomnienia z lat 1939–1946*, Warszawa 2007.

39 Tamże.

40 Rozkaz dzienny nr 162 z 1941 r., IPMS, R8, cz. II.

41 Dane na podstawie Rozkazu dziennego nr 232 z 1941 r., IPMS, R8, cz. II.

42 Rozkaz dzienny nr 179 z 1941 r., IPMS, R8, cz. II.

43 Rozkaz dzienny nr 180 z 1941 r., IPMS, R8, cz. II.

44 IPMS, A.VI.13/2.

45 Rozkaz dzienny nr 191 z 1941 r., IPMS, R8, cz. II.

46 Meldunek gen. Bolesława Jacyny-Jatelnickiego do dowódcy I Korpusu gen. dyw. Mariana Kukiela z 17 sierpnia 1941, IPMS A.VI/13/1.

47 Rozkaz dzienny nr 189 z 1941r., IPMS, R8, cz. II.

48 Prawdopodobnie chodzi o pobicie w Warszawie pisarza i publicysty, antypiłsudczyka Adolfa Nowaczyńskiego, które uszkodziło mu wzrok, i o napaść na dziennikarza Stanisława Cywińskiego w Wilnie, wspomnianą w podrozdziale *Cerizay-Bereza*, s. 67. Jeśli tak, autor listu myli okoliczności.

49 Adam Doboszyński, *Ekonomia miłosierdzia*, przedmowa Jerzy Ozdowski, Warszawa 1995.

50 I Księga Mojżeszowa, 8, 22. *Biblia to jest Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu*, Warszawa 1981.

51 Adam Doboszyński, *Pokolenie Polski Niepodległej*, „Walka" 1941, nr 1.

52 Tenże, *Wspólne cele młodych*, „Walka” 1941, nr 2.

53 Tamże.

54 IPMS, A.VI.13/1.

55 Rozkaz dzienny nr 195 z 1940 r., IPMS, R8, cz. II.

56 Rozkazy dzienne nr 199 i nr 200 z 1941 r., IPMS, R8, cz. II.

57 OZON – Obóz Zjednoczenia Narodowego, prawicowa organizacja polityczna utworzona w 1937 z inicjatywy marszałka Śmigłego-Rydza w celu skupienia Polaków wokół armii i jej wodza.

58 Baldur von Schirach – w latach 1933–1940 zwierzchnik Hitlerjugend, odpowiadał za hitlerowską indoktrynację niemieckiej młodzieży.

59 W tym podrozdziale wykorzystałam fragmenty rozdziału *Przedmioty książęcego życia* ze swej książki *Usypać góry. Historie z Polesia*, Kraków 2015.

60 Karol Radziwiłł, *Piękne spotkanie*, „Łowiec Polski” 1935, nr 36.

61 Adrian Carton de Wiart, *Happy Odyssey*, Barnsley 2011.

62 Marian Brandys, *O królach i kapuście*, Warszawa 1964.

63 Rozkaz dzienny nr 242 z 1940 r., IPMS, R8, cz. III.

64 Rozkaz dzienny nr 291 z 1941 r., IPMS, R8, cz. III.

Dzisiaj

Charles

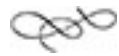

List

Za szklanymi drzwiami hoteliku Glendale stał wysoki mężczyzna. Siwy, przygarbiony. Deszcz, który rano siąpił, przybrał na sile. Mężczyzna przyłożył rękę do oczu i usiłował spojrzeć do wnętrza przez zroszoną szybę. Wahał się, czy wejść.

Otworzyłam. Cofnął się zakłopotany.

– Charles Allan? – zapytałam i przedstawiłam się imieniem.

– Tak, Charles – powiedział z ulgą. – To pani jest z Polski. Malgoz….

Zrobił niezdarny gest, jakby chciał mnie objąć, speszył się i cofnął. Był ciągle niepewny i onieśmielony.

Zaprosiłam go do środka, nadal jednak nie przekraczał progu.

– Czekam na Robina – wyjaśnił. – Robin parkuje. Zaraz będzie. Poczekam.

Domyśliliśmy się z Piotrem, kim jest, bo dzień wcześniej Keir Byars przekazał nam list. Nadawca Robin Munro zawiadamiał ładnym odręcznym pismem:

Madam,

Mój wuj Charles Fraser Allan urodził się w Rothesay i spędził tam wojnę (obecnie mieszka w Glasgow). Z rodziną C.F.A. mniej więcej przez rok mieszkał polski pilot. C.F.A. będzie na Bute jeszcze dwa dni, a potem wraca do Glasgow. Będzie zaszczycony, mogąc podzielić się swoimi wspomnieniami.

Następowały pozdrowienia i dane kontaktowe.

Akademia

Robin Munro był tak samo siwy i podobnie nieśmiały jak Charles Allan. Piotr zauważył, że ten bar w sąsiedztwie, zawsze pusty, ciepły i domowy, spadł nam z nieba. Przyda się rozluźniający kieliszek whisky.

Charles Allan (z lewej) i Robin Munro

Małgorzata Szejnert i Piotr Pietrzak

Zaczęliśmy od pogody i od widoków.

Zapytali nas, czy widzieliśmy już akademię. Charles ciągle szukał oparcia w Robinie, więc właściwie mówili razem.

– Tak, widzieliśmy, szkoda gadać.

Obaj pokiwali głowami.

Wielka neogotycka akademia, którą oni znali z dzieciństwa i młodości, a my z fotografii w przewodniku McDowalla, już nie istniała. Spłonęła dziesięć lat po wojnie. Według McDowalla pożar wywołali niesforni uczniowie, których nazwiska zaginęły w niepamięci, bo „Buteman" litościwie pomijał je w sprawozdaniach. Na jej miejscu postawiono wkrótce postcorbusierowską budowlę ze stali, betonu i szkła, kanciastą i zimną, wiszącą nad skarpą jak ogromna wysunięta szczęka.

Nowa, ale opuszczona już, akademia

Byliśmy tam wczoraj. Gmach jest opuszczony, wypatroszony, część niezliczonych okien zabito dyktą. Na podwórzec wkroczyły trawy i chwasty i resztka asfaltu zmoczona deszczem wyglądała jak ciemna woda w zarośniętym stawie. Nowa akademia okazała się niewygodna, kosztowna w utrzymaniu, a przede wszystkim za duża. Czas, gdy dzieci zapełniały klasy, dawno przeminął. W Rothesay ubywa młodych mieszkańców. Uczniów rozproszono po innych szkołach.

– Pamiętam ten ogień – powiedział Charles.

– Nasza rodzina mieszkała w najbliższym budynku, nazywał się Dom Akademii – dodał Robin. – Mój dziadek, tata Charliego, był woźnym w szkole. Bardzo przeżył ten pożar. Ogromny pożar, ale nie przeniósł się na nasz dom. Ciągle stoi przy tej nowej skorupie, ale my już mieszkamy gdzie indziej.

– Ta stara akademia – Charles się ożywił – ona była wspaniała. Właziłem na wieżę i nakręcałem zegar na szczycie. Ojciec wrócił z wojny i pozwalał mi dzwonić na lekcje, już było wolno. Puszczaliśmy fajerwerki na rocznicę *V-Day*, naszego zwycięstwa. Zawsze mieliśmy poparzone łapy, ale kto tam uważał. Robin nie pamięta, nie było go jeszcze na świecie.

– Obaj jesteśmy już starzy – wtrącił Robin. – Wuj ma osiemdziesiąt cztery lata.

Pilot Gosiewski

Czuliśmy, że Charles zbiera siły, żeby rozpocząć opowieść, z którą przyszedł, i że Robin chce mu w tym pomóc.

Opowiedzieli, że woźny John Allan, weteran Wielkiej Wojny, został w 1939 roku powołany do floty wojennej. Jak wszyscy niemal mężczyźni na Rothesay był za pan brat z morzem. Służył jako nurek, badał stan okrętów podwodnych, pływał na pancerniku Duke of York. W domu przy akademii pozostawił żonę, dwóch synów i dwie córki. Starsza z nich Maria, późniejsza mama Robina, była podlotkiem. Charles miał osiem lat.

W 1940 roku skierowano do nich na kwaterę polskiego lotnika, miłego i dobrego człowieka. Kosił trawę w ogródku, pomagał dzieciom w nauce i Allanowie szybko zaczęli go traktować jak członka rodziny.

W domu chodził w cywilnym ubraniu. Miał wysoką rangę, ale według Charlesa nie należał do grupy oficerów polskich przetrzymywanych na wyspie i nie ciągnęło go do nich. Tęsknił do żony i dwóch małych synów i ciągle coś dla nich kupował. Cieszył się z tych zakupów i układał je w szafie. Pokazywał je mamie i siostrom Charlesa i zasięgał ich rady. Był człowiekiem bardzo domowym.

– Gdzie oni byli? Jego żona i dzieci? – zapytałam Charlesa.

Spuścił głowę.

– Byli w Portugalii. Przedostali się tam z Polski, nie wiem, jak ona dała sobie radę, to musiała być dzielna kobieta. Starszy syn miał chyba dziesięć lat, drugi dużo młodszy. Dotarli do Lizbony i czekali na okręt do Wielkiej Brytanii – odpowiedział Robin.

– Jak on się nazywał?

– Gosiewski, podpułkownik Gosiewski. Ale nie znamy imienia… Charlie nie pamięta. Mama by wiedziała, ale już nie żyje. Dał mamie na pamiątkę tomik wierszy Szekspira. Taki, który można nosić w kieszeni, zawsze przy sobie. Drobniutki druk… Może tam była dedykacja z imieniem. Ale dawno go nie widziałem, pewnie gdzieś się zawieruszył, był taki mały.

Charles podparł głowę ręką. Ukrywał łzy.

– Tak… westchnął Robin. – Od kiedy Charlie przeczytał w „Butemanie”, że ktoś szuka wiadomości o polskich oficerach, znowu przeżywa to, co się stało. Bardzo chciał wam to opowiedzieć. To jest dla niego ważne, żeby pana Gosiewskiego pamiętać. Bo nie wiemy, czy jest ktoś w Polsce, kto wie to wszystko. Nasza rodzina ma go w pamięci jako bohatera.

Charlie potakiwał.

– Jego żona i synkowie czekali na okręt do Wielkiej Brytanii – powtórzył. – Pan Gosiewski dostał list, że wkrótce się zobaczą. Ale przyszła inna wiadomość…

Okręt, którym żona podpułkownika Gosiewskiego wypłynęła z synami z Lizbony, nie dotarł do Anglii. Zatopiła go niemiecka torpeda. Pierwsza wiadomość dawała nadzieję – część pasażerów ocalała, należy czekać na informacje. Cały dom się modlił, czekali. Przyszła następna wiadomość, że żony Gosiewskiego i jego dzieci nie ma liście uratowanych.

– Pożegnał się z nami – powiedział Charles – i opuścił wyspę. Dostał przydział do lotnictwa i latał na transportowcu. Bardzo szybko zginął… Chciał zginąć. Słyszeliśmy, że uderzył swoją maszyną w niemiecki samolot.

– Świadomie? Transportowiec musiał mieć parę osób załogi. Zrobiłby to?

– Nie wiem… Wszyscy widzieli, że nie chce żyć.

Robin pomógł Charlesowi włożyć kurtkę. Odprowadziliśmy ich do samochodu. Zaprosili nas na jutro do Esplanade. Charlie chce się pożegnać z nami i z Robinem przed odjazdem do Glasgow. Robin ma go odprowadzić do portu w Wemyss i wrócić do domu. Od kiedy przestał prowadzić własną księgarnię w hrabstwie Kirkcudbright na południu Szkocji i przeszedł na emeryturę, mieszka parę kilometrów od Rothesay, w maleńkiej wiosce Kerrycroy, zbudowanej w angielskim stylu przez trzeciego markiza Bute u stóp Mount Stuart. Markiz chciał, by jego angielska żona Gwendolyn mogła cieszyć oko swojskim widokiem. Robin lubi to miejsce i chce nas tam zawieźć.

Avoceta

Po południu poszukałam podpułkownika Gosiewskiego w dostępnych

źródłach. Najpierw w rozkazach dziennych stacji oficerskiej; miałam je wszystkie w laptopie. Czy to możliwe, żeby polski podpułkownik mieszkający przez rok na Rothesay nie podlegał polskiej Komendanturze?

Znalazłam go dosyć szybko w trzech rozkazach z drugiej połowy 1940 roku. Pierwszy kierował go na szkolenie lotnicze, drugi – na kurs angielskiego, ostatni, z września, informował, że podpułkownik Antoni Gosiewski powrócił do obozu z podróży służbowej.

Wielka Brytania potrzebowała lotników i dowództwo Wojska Polskiego zdecydowało się uczynnić na nowo część pilotów przetrzymywanych w Rothesay. Pewnie dlatego Antoni Gosiewski korzystał z większej swobody i rodzina Charliego mogła myśleć, że nie podlega komendzie stacji zbornej.

Następnie dzięki wi-fi w wiktoriańskim pokoiku Glendale poszukaliśmy brytyjskich okrętów storpedowanych jesienią 1941 roku. W czołówce spisu strat morskich pokazały się Aguila i Avoceta. Piotr wpisał do wyszukiwarki „Avoceta Gosiewski" i na monitorze otworzyła się strona polskiego internetowego magazynu nautologicznego „Facta Nautica", a na niej zdjęcie Avocety, niewielkiego parowca z trzema masztami. Pod fotografią zamieszczono fragment książki Jerzego Pertka *Pod obcymi banderami*. Zgadzał się z opowieścią Charliego. Żona pilota Gosiewskiego zdołała wraz z dwoma synkami przedostać się z Polski, zapewne przez Słowację, Węgry, Jugosławię (tu Pertek postawił znak zapytania), Włochy, południową Francję i Hiszpanię, do Portugalii i stamtąd zawiadomiła męża, że rychło przypłyną do Anglii.

Ze strony „Facta Nautica" i innych wiadomości w internecie dowiedzieliśmy się dalej, że na parowcu, płynącym już z Lizbony, panował niepokój, bano się wrogich okrętów podwodnych i samolotów. Ruchliwe i szybkie U-Booty dziesiątkowały okręty w brytyjskich konwojach pozbawionych osłony lotniczej. Ciężki nastrój załogi i pasażerów pogarszała katastrofa bratniego okrętu. Dzień po tym jak Avoceta wypłynęła z Liverpoolu do Lizbony, żeby zabrać stamtąd ludzi pragnących się dostać do Wielkiej Brytanii, U-Booty zatopiły Aguilę należącą do tego samego armatora Yeoman Bros Ltd. Marynarze z obu parowców znali się od lat i przyjaźnili. Śmierć bliskich ludzi była bolesna i źle wróżyła. Wśród pasażerów Aguili były dwadzieścia dwie wrenki, szyfrantki i radiotelegrafistki. *Wren* znaczy strzyżyk, ta ptasia nazwa bardzo pasowała do dziewcząt z pomocniczej służby

floty królewskiej, powszechnie lubianych i podziwianych. Wszystkie zginęły.

Dziewiętnastego września Avoceta włączyła się do brytyjskiego konwoju idącego do Liverpoolu. Liczył dwadzieścia pięć jednostek i od początku był obserwowany przez okręty podwodne, włoskie i niemieckie. Dwudziestego piątego września U-Booty przypuściły atak i w ciągu dwóch dni zatopiły dziesięć brytyjskich jednostek. Największą z nich była Avoceta.

Tonęła przez dwie minuty. Radiooficer Graham Morris uratował się dzięki płatowi dębu korkowego, który widocznie wypłynął z ładowni (parowiec wiózł w nich worki z pocztą i korek). Był pełen złych przeczuć, nie spał więc w kabinie, ale na pokładzie, w kamizelce ratunkowej, i dlatego zdążył się uchwycić zbawczej tratwy, gdy Avoceta, ugodzona w rufę, stanęła sztorcem. W takiej pozycji nie można spuścić łodzi ratunkowych, zwłaszcza gdy jest na to tak mało czasu.

Zginęły sto dwadzieścia trzy osoby, w tym sześćdziesięcioro siedmioro cywili; większość stanowiły kobiety i dzieci. Czworo najmłodszych miało od roku do dwóch lat. Pasażerka Ida Barker utonęła razem z sześciorgiem swoich; najstarsze miało szesnaście lat.

Ślady na łące

Mogliśmy teraz wszystkie te wiadomości przekazać Charlesowi i Robinowi. Ale chcieliśmy jeszcze zobaczyć, czy gdzieś nie odnotowano kolizji lotniczej, w której pilot nazwiskiem Gosiewski uderza swoją maszyną w niemiecki samolot.

Nie znaleźliśmy takiego wypadku, ale tak jak przed rokiem ukazał się na ekranie grób Raka, tak teraz zobaczyliśmy identyczną betonową stelę z orłem w koronie, ufundowaną przez Commonwealth. Stała na cmentarzu w Maidenhead, kilka lub kilkanaście kilometrów na zachód od granicy Wielkiego Londynu. Nad orłem wyryto: *„SECOND OFFICER A.H. GOSIEWSKI, AIR TRANSPORT AUXILLIARY 19TH DECEMBER 1941”*[1].

Obok fotografii nagrobka zamieszczono zdjęcie mężczyzny w mundurze, o regularnych rysach, gładko wygolonego, z niewyraźną baretką orderów, jednym orderem zawieszonym na wstążce (chyba srebrne Virtuti) i grubym skórzanym pasem biegnącym ukośnie od ramienia przez pierś. Portret

człowieka solidnego, o poważnym spojrzeniu.

Zdjęcia znajdowały się na stronie www.yorkshire-aircrafr.co.uk należącej do Richarda Allenby, niewątpliwie hobbysty awiacji. Otwierały krótki artykuł o katastrofie samolotu Miles Master W8479, ilustrowany dalej czterema pejzażami i dwoma zbliżeniami drobnych przedmiotów, wyglądających jak odpadki z jakiegoś warsztatu – hydraulika, ślusarza?

Pejzaże były zielone, przedstawiały pasma łagodnych wzgórz i pustą łąkę z rdzawym jałowym wgłębieniem, jak klejmo na skórze zwierzęcia. Dwa ostatnie zdjęcia pozwalały obejrzeć rozrzucone na tej bliźnie fragmenty: zaokrągloną część haczyka, połowę wkrętu, kawałki drutu, szkła albo plastiku. Nic nie było tu całe, z wyjątkiem kamieni, które pewnie leżały tu przedtem. Należało się dowiedzieć, czy pilot leciał sam. Mieliśmy taką nadzieję, bo łysa przestrzeń trawy była niewielka.

To nie był transportowiec, jak myślał Charlie, który zapamiętał, że podpułkownik Gosiewski opuścił Rothesay, aby wstąpić do służby w transporcie lotniczym.

Antoni Gosiewski

dzięki uprzejmości: Niebieska Eskadra

Miles master W8479, dwuosobowa maszyna treningowa, mocna i zdolna do akrobacji, została wyprodukowana przez firmę Philips and Powis w jej warsztatach w Woodley, na przedmieściu Reading, na zachód od Londynu, i stała tam na lądowisku. Antoni Gosiewski wsiadł do niej siedemnastego grudnia. Miał lecieć na północ Szkocji, do Lossiemouth nad Morzem Północnym, ale nie zachowywał się zgodnie z tym planem. Najpierw po mniej więcej dwustu pięćdziesięciu kilometrach wylądował w Shawbury, na stacji

lotniczej powstałej podczas pierwszej wojny światowej, i pozostał tam przez dwa dni, prawdopodobnie z powodu złych warunków atmosferycznych. A kiedy wznowił lot, nie zameldował się na lotnisku w północnej Anglii, gdzie powinien uzupełnić paliwo, i stracono z nim kontakt. Nic nie wiadomo o tym, by w samolocie było dwóch ludzi.

Wrak zauważono w Wigilię Bożego Narodzenia na wzgórzu Arant Haw, nad miasteczkiem Sedbergh. W tekście brak wiadomości, czy odkryto też ciało lub jego szczątki, ale musiano je znaleźć, skoro jest grób.

Autor fotografii napisał pod zdjęciami śladu na łące, że był w tym miejscu we wrześniu 2007 roku i w sierpniu 2014 roku. Nie zastał żadnych części maszyny, poza drobnymi odpadkami rozsypanymi w miejscu, z którego ogień usunął roślinność na ponad siedemdziesiąt lat, a może na dłużej.

Pilot zginął samotnie. Według Charliego i jego rodziny popełnił samobójstwo. Ale Richard Allenby, który nie znał tragedii Gosiewskiego (bo o niej nie wspomniał, chociaż interesowały go okoliczności wypadku), zwrócił uwagę na to, że pogoda nie była dobra.

Czy pilot, który nie chce już żyć, myśli o tym, że zabije także samolot?

Wypalony ślad na wzgórzu Arant Haw

fot. Rich Allenby / Miles Master W8479 on Arant Haw Fell, Howgills; www.yorkshire- aircraft.co.uk

Dziesiątego grudnia na Morzu Południowochińskim zatonął brytyjski pancernik Prince of Wales, zwodowany na początku 1941 roku, chluba i nadzieja floty brytyjskiej. Zatopiły go japońskie samoloty bombowo-torpedowe. Razem z nim poszedł na dno brytyjski krążownik liniowy Repulse. Zginęło ośmiuset czterdziestu marynarzy.

Gosiewski musiał słyszeć o tym nieszczęściu.

Dotarła na wyspę tydzień przed tym, nim wyleciał z Woodley w ostatnią drogę.

Esplanade

Wieczorem wysłałam Robinowi Munro informacje o zatopieniu Avocety i śmierci Antoniego Gosiewskiego. Podałam mu link do „Facta Nautica” i do Richarda Allenby. Wysłałam to jemu, nie Charliemu, bo Robin od początku przyjął rolę pośrednika między wujem a nami. Znał jego wrażliwość i wiedział, jak się z nią obchodzić.

Odpisał natychmiast. Zna pagóry nad Sedbergh. Dużo po nich chodził, nie musi patrzeć na fotografie, żeby mieć je w oczach. Tak cudowne miejsca pozostają w głowie na zawsze. Już nie pamięta, czy wchodził wtedy na Arrant Haw. Może tam był, nieświadomy, co tu się stało w grudniu 1941 roku. Niepokoi się, że Charlie na pewno będzie chciał tam pojechać ze swoją żoną Irene. Pagóry są dzikie, wymagają kondycji, nawet od młodego, a Irene pośliznęła się niedawno na ulicy. Nic takiego, parę zadrapań, ale trzeba uważać.

Dodał coś, co – jego zdaniem – Piotr i ja powinniśmy wiedzieć. Kiedy zatonął Prince of Wales, ojciec Charliego służył na bliźniaczym pancerniku Duke of York. Rodzina usłyszała o zatopieniu wielkiego okrętu i zanim przyszły bliższe wiadomości, myślała, że ojciec zginął. Tak jakby po tym, co spotkało Gosiewskiego, nieszczęście miało nadal wisieć nad ich domem.

Powinniśmy oboje wiedzieć coś jeszcze, zanim spotkamy się z Charlesem w Esplanade. Charlie i jego żona stracili jedyne dziecko, dziewczynkę. Umarła wkrótce po urodzeniu. Robin obawiał się od początku, że możemy zapytać wuja o dzieci czy wnuki.

Esplanade. Tu także mieszkali polscy oficerowie

Małgorzata Szejnert i Piotr Pietrzak

Hotel Esplanade, niedaleko Royalu, w doskonałym punkcie przy nabrzeżu, nie zmienił się chyba wiele od czasu wojny, kiedy mieszkali tu polscy oficerowie, którzy przed Wigilią 1940 roku zamówili sześćdziesiąt opłatków. Bardzo stara czerwona reklama namalowana wysoko na szczytowej ścianie wyblakła, ale restauracja była pełna ludzi. Wyglądali na stałych mieszkańców. Podano nam doskonałą rybę z bliskiego połowu i białe wino. Nie rozmawialiśmy o Gosiewskim.

Charles był wesół i odprężony. Przyniósł ze sobą zdjęcia.

Pierwsze, z 1939 roku, zrobiono z okazji powołania do wojska ojca rodziny. Uśmiechnięta pani Allan siedzi na pierwszym planie, pięknie uczesana, w odświętnej sukni. Za nią stoi mąż, szczupły, poważny, w marynarskim mundurze. Obok czwórka dzieci. Charlie, z lokiem nad czołem, wyraźnie pozuje do fotografii i świetnie się bawi. Najstarsza Mary, przyszła mama Robina, pochyliła ramiona i zwiesiła ręce, jest bardzo smutna.

Z rodzinnego albumu Charlesa

zbiory rodzinne Charlesa Allana

Drugie zdjęcie trudno odczytać. Na czarnym niebie szara chmura. Wisi nad niewyraźnym kształtem wielkiego domu. Niżej jarzy się bielą parę małych plam. Co to jest?

– Ogień w oknach. Pożar akademii.

Trzecia fotografia przedstawia młodzieńca podczas wspinaczki, uzbrojonego w czekan, linę i karabinki. To Charlie.

Pytam go o zawód.

– Uczyłem w szkole. Prowadziłem zajęcia sportowe.

Niespodziewanie dodaje:

Młody Charles

zbiory rodzinne Charlesa Allana

– Ja jestem prostym człowiekiem. My tutaj na wyspie jesteśmy prości ludzie. Może dlatego nie trzymaliśmy się tak z Polakami. Nawet o Gosiewskim i do Gosiewskiego zawsze mówiliśmy pan. *Mister* Gosiewski, chociaż byliśmy dla siebie jak rodzina. Z innymi Polakami nie mieliśmy kontaktów. Szkoda… Może byłoby inaczej, gdyby polscy oficerowie byli młodsi. Ale to już byli ludzie dojrzali, już mieli rodziny, nie mogli się tutaj ożenić, założyć domu… Oni byli dobrze wychowani, wykształceni, pięknie ubrani i zadbani, całowali kobiety w rękę i otwierali przed nimi drzwi. A myśmy tutaj byli klasą pracującą. Ci Szkoci, którzy przyjeżdżali z Glasgow i Edynburga do kąpieliska i korzystali z naszej pracy, też byli klasą pracującą: to byli robotnicy wykwalifikowani, urzędnicy i rzemieślnicy, skromni… To była wojna, czas, w którym ludzie powinni być razem, a jednak my i Polacy byliśmy osobno. W zgodzie, ale osobno.

– Dlatego Rothesay nie pamięta Polaków?

– Tak… Prawie nie pamięta.

Trzecie dziecko

Porządkując wiadomości o Antonim Gosiewskim, otworzyłam jeszcze raz

stronę „Facta Nautica” z opisem zatopienia Avocety i zobaczyłam na niej nową wiadomość.

Szesnastego września 2016 roku Antoni Grzybowski, przedstawiony jako znany dziennikarz z Trójmiasta, uzupełnił dane o katastrofie. W jego krótkim liście do „Facta Nautica” znajdowało się zdanie: *Mogę jeszcze dodać, że oprócz Jadwigi Gosiewskiej z trójką dzieci: 10-letnim Michałem, 6-letnim Krzysztofem i 15-miesięczną Józefiną Alicją, zginęła również* (…).

Wiadomość wydawała się niewiarygodna. Poprosiłam Piotra, żeby ją przeczytał.

– To niemożliwe – powiedział. – Nigdy nie było mowy o dziewczynce. Trzeba to sprawdzić, zanim zapytamy Robina. Zadzwoń do Magdy.

Magda Grzebałkowska, nasza przyjaciółka, pisarka i reporterka, mieszka w Sopocie. Po godzinie miałam numer telefonu Antoniego Grzybowskiego.

Zapytałam go, skąd pochodzi informacja o trojgu dzieciach Gosiewskiego.

– Z Instytutu Hoovera.

– Jak pan ją znalazł?

– Szukałem innych danych i natknąłem się na nią przypadkiem. Przejąłem się tym i zachowałem sobie sygnaturę.

– Może pan mi przysłać ten dokument?

– Tak, bez kłopotu.

Przyszedł e-mailem następnego dnia. W piśmie datowanym trzeciego października 1941 roku armator Yeoward Line Ltd zawiadamiał ambasadę polską w Londynie, że wśród ocalonych pasażerów Avocety nie ma wymienionych – tu następowały nazwiska i imiona czworga Gosiewskich i jeszcze jednej pasażerki Polki. Przy dzieciach podano wiek. Piętnastomiesięczna córeczka Gosiewskich nosiła w dokumencie imiona Josephine Alice. Prawdopodobnie tak je zapisano we Francji, w akcie urodzenia.

Co oznacza wiadomość o trzecim dziecku?

Czy Jadwiga Gosiewska zataiła przed mężem jego narodziny? Można sobie wyobrazić taką możliwość. Proste obliczenie wskazuje, że żona dowiaduje się o swoim stanie jesienią 1939 roku, prawdopodobnie już podczas ucieczki. Nie obciąża męża tą wiadomością. Nie chce wpływać na jego decyzje. Nie wie, czy w ogóle uratuje ciążę, czy zdoła z trojgiem dzieci

pokonać drogę przez Europę, czy niemowlę się uchowa. Jeśli nie – weźmie na siebie ten cios. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, trzecie dziecko będzie cudem, darem, niespodzianką.

Jeśli tak było, co znaczyła dla Gosiewskiego, niewiedzącego o trzecim dziecku, wiadomość od armatora o piętnastomiesięcznej Josephine Alice? Tu wyobraźnia odmawia już pracy.

Piotr podsuwa myśl: może Jadwiga Gosiewska zaopiekowała się w drodze sierotą wojenną i wiozła ją pod swoim nazwiskiem. Albo pomylił się armator, który w ciągu pięciu tygodni stracił dwa okręty z pasażerami i załogą.

Albo jeszcze inaczej… Antoni Gosiewski wiedział o trzecim dziecku, czekał na nie, i rodzina Charliego też o nim wiedziała. Ale kiedy Charles stracił córeczkę, rodzina, wspominając Gosiewskiego, nie mówiła już o dziewczynce, bo to było za bardzo bolesne. I przez wszystkie następne lata, przez ponad pół wieku, już tego trzeciego dziecka nie było, jakby podwójnie umarło. Czy jednak Charles wyparł je z pamięci, skoro mówiąc o Gosiewskim, powstrzymuje płacz, bo ciągle przeżywa jego tragedię jak własną?

Dlaczego Jerzy Pertek wymienił chłopców, a pominął Józefinę Alicję? Kiedy w pierwszych dekadach po wojnie pisał swe książki, trudno było o dostęp do zachodnich archiwów. Często podawało się wiadomości zasłyszane, cząstkowe. Utrwalały się…

Czy możemy powiedzieć Charlesowi, że wiemy o trzecim dziecku? Piotr, który od razu polubił obu, wuja i siostrzeńca, mówi, że nie. Robinowi – może… on zdecyduje, czy to zachować dla siebie. Ale jeśli obaj nie wiedzieli i nadal nie wiedzą o trzecim dziecku, czy można ich narażać na nowy smutek?

1 Drugi oficer, pomocniczy transport lotniczy.

1942

Ci, co bezczynni

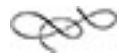

(…) jeśli nie będą okryte chmurami, zobaczycie sylwetki Goat Fell i Śpiącego Rycerza. (…) Śpiący Rycerz, leżący na plecach, wydaje się dziewiętnastowieczną fantazją. (…) Język gaelicki określa pierś rycerza jako Caisteal Abhail, co prawdopodobnie oznacza „zamek umarłych”.

David McDowall, *Bute*

Śpiący rycerze, to ci co bezczynni,
Ci co gnuśnieją za domem czy doma;
Ci, co jakimiś już dziełami słynni,
Już syci Sławy i już ich oskoma
Nie unosi – ci po wszystkie czasy winni,
Leniwe duchy

Stanisław Wyspiański, *Bolesław Śmiały*

Zabójcze warcholstwo

Nawet w „Butemanie” zajętym własnym podwórkiem (nie mówiąc już o radiu i dużych gazetach brytyjskich) można zauważyć, że ciepłe uczucia do wiernych i dzielnych Polaków przenoszą się na świeżego i potężniejszego alianta – Związek Radziecki. Tej nazwy jednak raczej się nie używa, mówi się o Rosji, jakby istniała ciągłość imperium. A wąsaty car w półwojskowej kurtce budzi ciekawość i respekt.

Jednak nie w Polakach. Układ Sikorski-Majski ciągle wznieca protesty, ciche i głośniejsze. Rząd jest przekonany, że ich głównym źródłem jest Rothesay.

Trzydziestego stycznia generał Władysław Sikorski kieruje okólnik „do wszystkich urzędników”, opatrzony informacją „Tajne”.

Nieodpowiedzialne jednostki wśród społeczeństwa polskiego w Wielkiej Brytanii atakowały i atakują wciąż zajadle układ polsko-sowiecki oraz nieznaną im zresztą politykę Rządu R.P.

Starają się przejaskrawić i wyolbrzymić każdy fakt, który mógłby świadczyć o wrogim stosunku Rosji do spraw polskich. Rosja jest naszym sojusznikiem od 30 lipca 1941 roku. Rząd R.P. pragnie sojusz ten wykonywać rzetelnie i dążyć do przyjaznego ułożenia stosunków wzajemnych. Wszystkich obywateli polskich obowiązuje w tym względzie bezwarunkowa dyscyplina narodowa, tym konieczniejsza, że znajdujemy się na obczyźnie, gdzie moglibyśmy się niejednego nauczyć.

Rząd stoi czujnie na straży interesów Rzeczypospolitej. Wymaga on od Polaków posłuszeństwa i karności zbiorowej wobec Ojczyzny. Nie sięgając do środków mechanicznych, celem jej zrealizowania, wzywa do piętnowania warcholstwa, zabójczego dla sprawy[1].

Za czternaście i pół miesiąca Radio Berlin poda wiadomość o odnalezieniu w Katyniu zwłok tysięcy polskich oficerów.

Początek roku skłania do porządkowania spraw życiowych. Tadeusz Alf-Tarczyński przypomina o sobie władzom, które skazały go na bezczynność. Pisze w tym celu do „Wielce Szanownego Pana Pułkownika” i już na wstępie przeprasza: *Zbyt długa jest ta moja bolesna historja – więc i list będzie przydługi*[2]. Za to rękopis czysty, kaligraficzny. Alf, student szkół wojskowych, nie naraża nas na męki odgadywania liter jak jego rówieśnik Grażyński, doktorant filozofii na Uniwersytecie Jagiellońskim. Nie wiemy, kim jest adresat – brakuje nazwiska i funkcji. Być może jest to pułkownik Mikulicz-Radecki, który niedawno łagodził nastroje w Tighnabruaich, pośredniczył w przyjmowaniu zażaleń i był także w Rothesay.

Alf-Tarczyński nie doczekał się ani na Bute, ani w Cerizay obrony honoru. Zapoznaje więc pułkownika z całą swoją sprawą. Że podczas kampanii wrześniowej nie stchórzył, lecz zachorował ciężko na serce, czego świadkiem był generał Kleeberg. Że ze służbowego samochodu skorzystał legalnie i że pozostawił go (wraz z szoferem) do dyspozycji szpitala w Zaleszczykach. Że nieprawdą jest, by *troskę o rodzinę i własną osobę stawiał wyżej od obowiązków oficera*, bo oboje z żoną rozstali się na granicy, żeby *nie powiększać urzędowego wychodźstwa osobami prywatnymi*.

Wyjaśnia to wszystko na nowo, chociaż chętniej by pisał szkice o Chopinie.

Już we wczesnej młodości wziął sobie pseudonim z literatury.

Pamięta pierwsze spotkanie z Piłsudskim podczas ćwiczeń strzeleckich pod Tyńcem w 1913 roku. Mówiło się wtedy do niego – obywatelu Mieczysławie. Tarczyński jednak wiedział, kim jest obywatel, widywał go nieraz z daleka. Teraz może uścisnąć mu rękę. Przedstawia się: Alf.

– To mi przypomina Aldonę – zauważył z uśmiechem Komendant.

Musiałem się zaczerwienić, no bo byłem młody jeszcze i nie zepsuty, a Komendant dziwnie trafił. Nazwałem się Alf właśnie dlatego, że przez jakiś czas kochałem się w pewnej seminarzystce imieniem Aldona[3].

Grażyńskiemu patronuje Grażyna, jemu Alf przemieniony w Konrada Wallenroda.

Kończy Szkołę Oficerską Związku Walki Czynnej. Jest jednym z sześćdziesięciu siedmiu oficerów, którzy mają prawo przypinać na lewej piersi, nad baretkami innych odznaczeń, znak oficerski Parasol.

Trzy lata później, ranny w bitwie pod Kostiuchnówką, idzie do niewoli rosyjskiej. Ucieka. Walczy w wojnie z bolszewikami. Jest urzeczony Piłsudskim, szczęśliwy, że może z nim być w Sulejówku jako adiutant i niemal domownik. To urzeczenie nigdy nie mija.

W Rothesay ma czas na układanie w głowie książki o Legionach. Widzi je tak: *żołnierz polski wyszedł z kart historii, ze strof poezji, z rozdziałów powieści, zszedł ze scen teatru, na których żył na krótką chwilę od podniesienia do zapadnięcia kurtyny – zstąpił ze sztychów Grottgera, obrazów Matejki, Rosena, Wyspiańskiego, Malczewskiego, Kossaka, Tetmajera, aby stać się znów żywym ciałem*[4].

Pamięta o rocznicach legionowych i Piłsudskiego i przygotowuje mowy na ciche uroczystości na wyspie. Jeździ do Aleksandry Piłsudskiej do Edynburga.

Na Bute poznaje angielskie małżeństwo, mające dużo płyt z utworami Chopina, którego uważają za Francuza. *On był muzykiem, a ona była śliczna*[5] – wspomina tę parę. Pisze dla nich długą gawędę o polskości kompozytora, a oni oboje pomagają przetłumaczyć ją na angielski. Książnica Polska w Glasgow wydaje to w dwóch językach, na kredowym papierze.

Teraz, na początku roku, odrywa się od milszych zajęć i kompletuje załączniki do listu, który wyśle pułkownikowi: wcześniejsze listy wystosował do Sikorskiego i do Kukiela.

Jak ma wyglądać obrona jego honoru – nie precyzuje.

Skarży się:

Tak jak gniłem w Cerizay, tak też gniję obecnie w Rothesay – gorzej, bo podobno somewhere in Scotland *[gdzieś w Szkocji], mówi się o mnie jako o tym, „co to podobno miał sprawę o tchórzostwo i siedzi teraz w Rothesay”*.

Nie mam zbyt optymistycznych przewidywań odnośnie skutków na lepsze, jako rezultatu tego listu, dlatego uniknę na pewno dalszych rozczarowań[6].

Komu dzwonił Varbel

W tym roku hotel Kyles of Bute Hydro, słynący przed wojną z zabiegów hydropatycznych, rozciągnięty na skarpie ponad Port Bannatyne jak taśma białej koronki, nie służy już gościom kąpieliska. Jest kwaterą główną 12.

Flotylli miniaturowych okrętów i nazywa się HMS Varbel, od nazwisk dwóch komandorów, Varleya i Bella, którzy stworzyli prototyp tych karłów.

W paradnym marmurowym holu cywilnego dawniej hotelu zawieszono piękny dzwon okrętowy z odlanym na płaszczu imieniem London Merchant, Kupiec Londyński, bo tak nazywał się statek handlowy, w którego był służbie. Jess Sandeman wspomina w „Wojnie Bute", że jednostka ta zatonęła w 1941 roku pod zmienioną nazwą Politician, ale pomija mało wychowawcze okoliczności wypadku, może dlatego, że pisała książkę głównie dla młodzieży.

Hotel Kyles of Bute Hydro, kiedy służył jeszcze luksusowym wczasom zdrowotnym

archiwum Bute Museum

Parowiec Politician wypłynął z Liverpoolu na Jamajkę z transportem dwustu sześćdziesięciu czterech tysięcy butelek whisky i najpierw osiadł na mieliźnie, a potem przełamał się na pół przy archipelagu Hybrydów, w pobliżu wysepki Calvay. Załodze nic się nie stało. Miejscowa ludność, która zajęła się rozbitkami, zorientowała się zaraz w rodzaju kargo i rozpoczęła żywą działalność ratowniczą. Wiadomość rozeszła się lotem błyskawicy i łódki rybaków kursowały bez przerwy w obie strony. Wszyscy okoliczni wyspiarze uważali, że nagły dar morza należy do nich, i wyczerpali go do dna; nie było to trudne, bo wrak leżał płytko. Po czterdziestu siedmiu latach znaleziono jednak w szczątkach Politiciana jeszcze osiem

przeoczonych butelek. Poszły na aukcji w Christie za cztery tysiące funtów. Dwie z nich sprzedano ponownie w 2013 roku za pośrednictwem internetu, już za dwanaście tysięcy funtów.

Ani jedna butelka z tego transportu, choćby nawet pusta, nie znalazła się jednak obok dzwonu z HMS Varbel, który po latach trafił do muzeum na Bute, do sali z pamiątkami historycznymi; sąsiaduje w niej z dzbanem masońskim skarbnika Rothesay Johna Blaina.

Na razie jednak mosiężny dzwon okrętowy, nawet nie dzwoniąc, nadaje dawnemu hotelowi romantyczny ton. Może nawet rozkołysano go lekko na Hogmanay, w osłonie marmurowych ścian holu nie groziło to przecież alarmem.

Alex Macdonald, który wspominał, jak cicho było w Port Bannatyne, nim wybuchła wojna, i jak mama nazywała gile imionami, podrósł i wszystko, co się teraz dzieje na wyspie, jest dla niego i jego brata Kena cudowną przygodą. Nadal wstają o świcie, by rozwozić mleko i zarobić na gaz do lampy i kuchni, a potem wzdłuż kamiennego muru, który chroni domy i ogrody przed falami zatoki, biegną do akademii. Ale mają też czas na łowienie meduz, obserwowanie węgorzy, rozgwiazd, ośmiornic, które zabłądziły do doków lub sieci. Z kawałków drewna wyrzucanych przez morze klecą sobie tratwę, ale brakuje im gwoździ; metal to cenny towar strategiczny. Zdobywają stare liny, wiążą nimi deski, pożyczają od dziadka kufer okrętowy, to ich szafa, siedzisko i stół kuchenny. Nie mają wioseł ani łopatek (nie wpadli na pomysł, tak jak Krzysztof Münnich, by wykorzystać pedały, a może stare rowery były w okolicy zbyt cenne). Idą do matki, by im pozwoliła wypłynąć, i matka się zgadza, jest wnuczką, córką i siostrą żeglarzy. Wymyślają sobie sposób nawigacji. Stają obaj po jednej stronie tratwy i kiedy się przechyla pod wodę, wyskakują na środek. Za każdym skokiem posuwają swoją jednostkę w pożądanym kierunku. Rozpoznają z daleka sylwetki okrętów, znają ich imiona. Nurkują i pływają jak ryby. Udaje im się przybliżyć do wraków czekających w kolejce na remont. A potem po znajomości, bo cały port zna ich i lubi, dostają się nawet do ich głębokich, tajemniczych wnętrz.

Czy zanoszą też mleko do domu numer siedemdziesiąt sześć przy ulicy Ardbeg? Całkiem możliwe, bo to było blisko. Jeśli tak, pewnie od czasu do czasu dostają od Dziuni dodatkowy grosik na upragnione Gorące Placki, których pilnował wielki kot Spunkie.

W kolejnych latach wojny bieda mniej doskwiera, bo w domu zawsze są lokatorzy. Najpierw nurkowie, potem saperzy z Kanady, potem inżynierowie od tajnych mechanizmów okrętów podwodnych. Ci lokatorzy przynoszą na Gwiazdkę cukier, rodzynki i mąkę z przydziałów wojskowych i matka zabiera się natychmiast do pieczenia ciasta.

Samoobrony uczyli nas komandosi, którzy z nami mieszkali, a inżynierowie tłumaczyli nam, jak działają miny pułapki. Od żeglarzy uczyliśmy się węzłów, znaków semafora i morsa. Słuchaliśmy z zapartym tchem, gdy nasi goście opowiadali o doświadczeniach ratowników nurkowych[7].

Alex poświęca jedno zdanie Polakom – że w 1942 roku kwaterowało ich w Rothesay co najmniej dwustu.

Ale nie byli to ludzie morza, więc nie zagrzali miejsca w opowieści.

Zdejmowanie munduru

Rozkaz naczelnego wodza i ministra spraw wojskowych wydany tuż przed końcem poprzedniego roku[8] zapoczątkowuje dziwną reformę stacji zbornej, inną, niż proponował wielokrotnie generał Jatelnicki. Przenosi w stan nieczynny kilkudziesięciu wysokich oficerów, w tym jednego generała dywizji – Kazimierza Ładosia, i dziewięciu generałów brygady: Janusza de Beauraina, Rudolfa Dreszera, Jerzego Ferka-Błeszyńskiego, Adama Korytowskiego, Stanisława Felixa Kwaśniewskiego, Mikołaja Osikowskiego, Stanisława Roupperta, Kazimierza Schally'ego i Sergiusza Zahorskiego.

Wśród niższych rangą wymieniono pułkowników Tadeusza Alfa-Tarczyńskiego, Jana Ciastonia, Tadeusza Münnicha, Mieczysława Ścieżyńskiego oraz Seweryna Borsuka, który w sierpniu 1941 roku przedstawił generałowi Modelskiemu tajny projekt rozwiązania sprawy „płatnego nieróbstwa" w Rothesay.

Kolejny rozkaz[9] unieczynnia trzystu trzydziestu oficerów, wśród nich podporucznika Stefana Mękarskiego.

To odsunięcie od wojska ma trwać dla wszystkich dwa lata, co dla starszych znaczy – na zawsze.

Według zarządzeń wykonawczych naczelnego wodza „nieczynni" mogą zamieszkać w wybranym przez siebie miejscu w Wielkiej Brytanii, wyjąwszy

tereny zastrzeżone przez władze brytyjskie (lista w Komendanturze).

Kto opuści Bute, musi się rozstać z mundurem.

Kto nadal chce nosić mundur, musi pozostać na wyspie.

Kto nie ma cywilnego ubrania, może wystąpić do Komendantury o zaliczkę. Spłaci ją w dwudziestu miesięcznych ratach.

Uposażenie „nieczynnych" będzie zmniejszone. Oficerowie, którzy otrzymują dochody z innych źródeł, muszą zawiadomić o tym dowództwo. Jeśli podejmą pracę w urzędach lub przedsiębiorstwach państwowych, tracą prawo do uposażenia wojskowego.

Münnich pisze o tych decyzjach: *wszechmoc małości i podłości*[10].

Mękarski szeroko rozwija temat. Jego samego dotyczy on w niewielkim stopniu; kariera wojskowa go nie interesuje. Ale współczuje oficerom zawodowym, którzy od chłopięcego wieku, od pierwszej wojny światowej, noszą mundury.

Te mundury jakby przylepiły się do nich. Nie umiem sobie ich właściwie wyobrazić nie w mundurach wojskowych. I w ogóle ci ludzie w czasie wojny – tak mi się wydaje – mogą być sobą, tylko w służbie bojowej, w ogniu walki. Tym ludziom Wódz Naczelny każe dzisiaj zdejmować mundury i oddawać wojskowe legitymacje. Jest w tym żądaniu i rozkazie Naczelnego Wodza coś głęboko nieestetycznego i nieetycznego.

Zastanawia się jednak, czy pozwolenie na mundur, jeśli oficer pozostanie na wyspie, nie jest szczególnym aktem miłosierdzia. Pracował w komendzie i docierały do niego przecieki z Rubensa. Otóż konsekwencją przeniesienia z wojska w stan nieczynny jest zdjęcie munduru i Anglicy domagali się tego. Podobno szef personalny w Rubensie *wyprosił u Anglików, aby wreszcie nie czynili przeszkód i uhonorowali to sentymentalne przywiązanie kilkuset czy kilkudziesięciu maniaków do munduru. Anglicy machnęli ręką.* (…) *Ale ci „nieczynni" w mundurach będą musieli mieszkać na wyspie Bute.* Mękarski pyta: *Jak nazywają się stosunki, jak nazywa się miejsce, którego nie wolno umundurowanemu wojskowo Polakowi na gościnnej ziemi alianckiej – opuszczać?* (…) *Możecie nic nie robić, a zginąć wam nie dam z głodu – taka jest ideologia społeczno-humanitarna rozkazu Naczelnego Wodza.*

Mękarski nie ma wątpliwości, że większość „nieczynnych" zostanie w Rothesay. Przecież nie zmieniło się wiele. Byli bezczynni – są nieczynni.

Będą spacerować, pić kawę u Suffrediniego, grać w brydża. Niespodziewanie ocenia, że cała ta sprawa jest śmiesznym, nieważnym głupstwem wobec losów kraju i golgoty ludzi w sowieckich łagrach i niemieckich obozach koncentracyjnych. *Ale* – dodaje – *sprawa Rothesay'u ma swój ponury patos moralny…*

Kościałkowski rzekomo

Umiastowski narzeka: *Ludzie rozkładają się tu, demoralizują, obóz jest zaszpiclowany, co doprowadza do tego, że ogół w każdym normalnym, albo anormalnym poruszeniu się kogokolwiek widzi czyn szpiclowski.*

Szczególnym zainteresowaniem służb informacyjnych cieszy się ciągle Marian Zyndram-Kościałkowski.

Kolekcja byłego premiera i ministra złożona w Instytucie Józefa Piłsudskiego w Londynie spoczywa w dwóch pudłach. Jedno zawiera głównie rzeczy osobiste, stare modlitewniki, tablice i wypisy genealogiczne, fotografie rodzinne i wielki gruby arkusz złożony we czworo – projekt przebudowy stawów rybnych w rodzinnym majątku Orwidów w gminie niemeńczyńskiej, w powiecie wileńsko-trockim.

To tam odwiedził go w połowie lat trzydziestych znany reporter Konrad Wrzos przygotowujący hagiograficzną książkę o piłsudczykach. Kościałkowski był wtedy ministrem spraw wewnętrznych. *Wśród kopaczy stał młody opalony mężczyzna w rajtuzach i butach z cholewami. Miał rozpiętą koszulę i rozwichrzoną czuprynę. Wydawał kopaczom polecenia. Brał z ich rąk pale, ustawiał na drodze, pytał ich jak drogę tę widzą, radził się i rozkazywał. Minister Kościałkowski wyprostowywał drogę*[11].

To zdanie podpowiada, że mężczyzna, który wydaje polecenia kopaczom, prostuje drogi państwa.

Marian Zyndram-Kościałkowski

reprodukcja obrazu Józefa Blicharskiego, oryginał znajduje się w zbiorach Muzeum Historycznego w Białymstoku

W październiku 1935 roku Kościałkowski zapowiadał, już jako premier: *Nieustannym moim wysiłkiem będzie budować stosunek zaufania i bliskości*

rządzonych do rządzących[12]. Rząd jednak nie likwiduje obozu w Berezie Kartuskiej i nie rozładowuje napięć społecznych. Strajki w Krakowie, Częstochowie i we Lwowie są krwawo tłumione.

Druga część kolekcji Kościałkowskiego w Instytucie Piłsudskiego zawiera dokumenty z różnych etapów życia, między innymi raporty, które mu poświęcono, gdy przebywał na Bute.

Informatorzy ciągle depczą po piętach Kościałkowskiemu i pannie Balcerkiewicz i trudno sobie wyobrazić, by inwigilowani o tym nie wiedzieli. Nie wydaje się zresztą, by mieli wiele do ukrycia.

Maria Balcerkiewiczówna

Narodowe Archiwum Cyfrowe

Podpułkownik Rosner, szef Oddziału II w Sztabie I Korpusu, uzyskuje na przykład informację, że Kościałkowski korzysta w Glasgow ze „skrzynki pocztowej" zakonspirowanej u Szkota nazwiskiem Heightbody. W związku z tym prosi oficera informacyjnego komendy miasta Glasgow o podanie bliższego adresu wyżej wymienionego Szkota i *w miarę możności bliższe naświetlenie jego osoby*[13].

Oficer informacyjny komendy miasta Laurentowski odpowiada, że nie może ustalić adresu Szkota Heightbody, bo w książce telefonicznej Glasgow ani w handlowym roczniku informacyjnym nazwisko takie nie figuruje. Laurentowski nie poprzestaje na tych poszukiwaniach i wykazuje się inicjatywą – sprawdza także w wymienionych źródłach nazwisko Leightbody; bez powodzenia[14].

Jeden ze znajomych panny Balcerkiewicz usłyszał od niej, że Marian jest bardzo zajęty, pisze coś razem z Wyżłem-Ścieżyńskim. Nie udało mu się jednak dowiedzieć co. Panna Balcerkiewicz była w tej sprawie powściągliwa: *Cóż może pisać? Otwiera oczy ludziom na naszą przeszłość i na to, co się teraz dzieje*[15]. Mimo to znajomy sporządza notatkę o tej rozmowie i posyła ją Rosnerowi, z nieczytelnym podpisem.

Rosner kieruje ją wyżej, a wkrótce śle zwierzchnictwu następne raporty:

– O tym, co podpułkownik Kościałkowski opowiadał w zaufanym gronie: tylko politycy dawnego reżimu znajdujący się obecnie w Ameryce reprezentują naprawdę polską rację stanu i tylko z nimi, bo przecież nie z Sikorskim, liczy się rząd Stanów Zjednoczonych. Ten temat Kościałkowski ma jeszcze omawiać z marszałkową Piłsudską[16].

– O tym, że podpułkownik Kościałkowski w związku z likwidacją stacji zbornej oficerów zamierza organizować w Glasgow ośrodek dyspozycyjny akcji politycznej. Szuka drukarni z polskimi czcionkami (jest tylko jedna przy Hope Street) i obrał sobie na miejsce spotkań lokal Ogniska Polskiego, którego gospodynią jest Olszewska, zaufana Karczowej. Obie stoją w opozycji do generała Sikorskiego. Olszewska jest żoną majora i małżeństwo po przybyciu do Wielkiej Brytanii nawiązało kontakt między innymi z Wandą Piłsudską[17].

– O tym, że podpułkownik Kościałkowski jeździ do Londynu, do amerykańskiego ambasadora Biddle'a, aby w imieniu swoim i innych unieczynnionych oficerów starać się o zaciąg do armii amerykańskiej. Według poufnych informacji ambasador przyjął go dobrze i obiecał telegrafować do Waszyngtonu. Podpułkownik Kościałkowski był jeszcze rzekomo u generała de Gaulle'a. Odpowiedziano mu, że przyjmują wszystkich oficerów wszystkich stopni, ale z dobrą opinią z armii polskiej[18].

Kolejny raport, podpisany tym razem przez zastępcę Rosnera majora Gorgolewskiego, zawiadamia: *Pewne osoby twierdzą, że Kościałkowski został*

wezwany przez „pewną grupę ludzi” do Londynu z zamiarem wciągnięcia go do jakiejś współpracy, która mu została zaproponowana, ale której ppłk Kościałkowski rzekomo nie przyjmie[19].

W Izbie Gmin I

Do oficerów w Rothesay dociera poruszająca wiadomość. Zainteresowała się nimi Izba Gmin Parlamentu w Londynie.

Siedemnastego lutego Adam Storey McKinlay, poseł szkockiej Partii Pracy, pyta sekretarza stanu do spraw wojny kapitana Davida Margessona, na jakiej podstawie około dwustu (tak w protokole) polskich oficerów stacjonujących w miejscu, o którym go powiadomiono, otrzymało dwuletni urlop, na czyj rozkaz siły zbrojne odmówiły tym ludziom służby, ilu artylerzystów i mężczyzn o kwalifikacjach medycznych tam stacjonuje, kto ich sprowadził do tego kraju i czy sekretarz zamierza sprawdzić, jak zapewnia się tym oficerom możliwość walki dla sprawy alianckiej. W protokole z interpelacji nie padają nazwy ani nazwiska, ale wiadomo, że chodzi o stację zborną w Rothesay.

Pytanie to McKinlay zadaje Margessonowi dwa dni po utracie Singapuru, którą Winston Churchill określił jako największą kapitulację w historii Wielkiej Brytanii. Osiemdziesiąt tysięcy żołnierzy Wspólnoty Brytyjskiej poszło do niewoli japońskiej (tysiące zabije wkrótce niewolnicza praca przy budowie kolei Syjam–Birma, zwanej koleją śmierci; jej ważnym punktem był most na rzece Kwai).

Obrady Izby Gmin toczą się jednak swoim trybem i Margesson odpowiada posłowi, że polscy oficerowie, o których mowa, byli ewakuowani z Francji z polskimi siłami zbrojnymi i z różnych powodów nie uzyskali natychmiastowego zatrudnienia w polskiej armii. Polskie władze zapewniły im więc przedłużony urlop, aby mogli się postarać o pracę cywilną. Bardzo duży procent tych oficerów ma niską kategorię medyczną, a wielu przekroczyło pięćdziesiąt lat.

McKinlay zadaje następne pytanie: czy minister jest świadom, że miejscowi ludzie nie czują się dobrze z myślą, iż ich młodzież jest wcielana do służb wojennych, podczas gdy ci mężczyźni, których większość jest

sprawna fizycznie, są odsunięci od walki prawdopodobnie z jakichś politycznych powodów?

Sekretarz Margesson podtrzymuje opinię o niskiej kategorii zdrowotnej i podeszłym wieku oficerów.

W rozmowę włącza się kapitan Alan Graham z pytaniem, czy rzucanie oskarżeń na oficerów alianckich nie jest ze wszech miar godne pożałowania.

Poseł McKinlay odpowiada, że nie rzuca oskarżeń, i zadaje kolejne pytanie: czy jeśli opinie medyczne bedą korzystne dla oficerów, sekretarz podejmie tę sprawę?[20]

Nie podjął, bo przed końcem lutego stracił stanowisko sekretarza stanu do spraw wojny; klęska w Singapurze wstrząsnęła gabinetem Churchilla.

Jest Dziunia

Trzynastego marca pani Mary Hegner dziękuje w notatce na pierwszej stronie „Butemana" księżom, doktorom, pielęgniarkom i przyjaciołom, którzy byli pomocni podczas choroby jej męża, wszystkim, którzy przesłali jej wyrazy współczucia i przyszli na pogrzeb.

Podpułkownik inżynier Stanisław Hegner spoczął obok majora Stebłowskiego, kapitana Bylczyńskiego i porucznika Stadnikiewicza na cmentarzu High Kirk. Miał pięćdziesiąt lat.

Być może w grupie Polaków, która go żegnała, byli Dziunia i Rak, bo Dziunia na pewno jest już na Bute. Pierwszy list od Stefana Szejnerta z oflagu XC w Lubece dociera do Dziuni, do domu przy ulicy Ardbeg w Rothesay, dwudziestego piątego marca 1942 roku. Nie zachował się w zbiorach rodzinnych. Ale mam wysłaną przez Dziunię następnego dnia odpowiedź, która przetrwała w kolejnych szufladach i pudłach siedemdziesiąt pięć lat. *Trudno wyrazić co za radość widzieć Cię zdrowym*… Siostra nie wiedziała, co się dzieje z bratem, bo wysyłała mu listy i paczki na zły adres, nie docierały, więc i brat nie wiedział, co się dzieje z siostrą. Nie wiadomo, w jaki sposób Stefan odnalazł Dziunię, może przez Czerwony Krzyż, a może za pomocą jakichś swoich kontaktów, wszyscy byli przecież wtedy kurierami przenoszącymi wiadomości o bliższych i dalszych ludziach, domach, ulicach. Tak właśnie nasza rodzina w Białej Podlaskiej dowiedziała się, że w Lubece

siedzi nie tylko Stefan, brat mego ojca, ale i drugi Stefan, brat mojej mamy, mój ojciec chrzestny, dla domu Stefuś, dla panien – Stefi. Wkrótce dostaliśmy fotografię ich obu na tle drewnianej ściany baraku, w polskich mundurach, porządnych jak mundury oficerów na Bute, ale pozbawionych dystynkcji. Potem zaczęły także docierać do domu różne drobiazgi, ale było to chyba zaraz po wojnie, kiedy jeńcy opuścili obóz, lecz jeszcze nie wracali do domu. Przychodziły w listach. Zaproszenia na sylwestra i *garden party* do „apartamentów lubeckich" w baraku takim a takim, wypisane snobistycznie po angielsku, arcydzieła modnej kiedyś techniki nakrapiania farbami przez wycinankę. Tekturowy klucz francuski – „do naprawy kawałów", z datą dwudziesty czwarty grudnia 1941, więc prezent gwiazdkowy. Pięknie wykaligrafowany wiersz o wąsach i bindzie z pointą: *Teraz możesz jak Boziewicz*[21] *wąsem podbić serca dziewic*. Słodki portrecik namalowany pastelami ze zdjęcia, na którym mam sześć lat, zamówiony przez wuja u oficera artysty. Ale przede wszystkim fotografie z amatorskich przedstawień: Indianka z warkoczami do pasa u stóp dzikich gór, musicalowy tłum pań i panów na tle nowojorskich drapaczy chmur, wszystkie kobiety w ponętnych pozach, nikt się nie domyśli kanciastych ramion pod zręcznie zmajstrowanym kostiumem. Dopiero kiedy zaczęli powracać, ale wracało niewielu, można było dowiedzieć się więcej – co było życiem obozowym, a co ucieczką od tego życia. Na ogół nie byli jednak rozmowni.

Co wiedziała Dziunia o swoim bracie, a co on o niej? Co można napisać pod cenzurą, na kilku wyznaczonych linijkach? Wymienić potrzebne lub wysłane rzeczy. Udzielić krótkich informacji o najbliższych, jeśli się je zna. Jeżeli nie stało się im nic złego, to właściwie nie ma o czym pisać. Jeśli się stało coś złego, może lepiej powstrzymać się z tą wiadomością, chyba że istnieje obawa, iż uderzy w bliską nam osobę poboczną drogą.

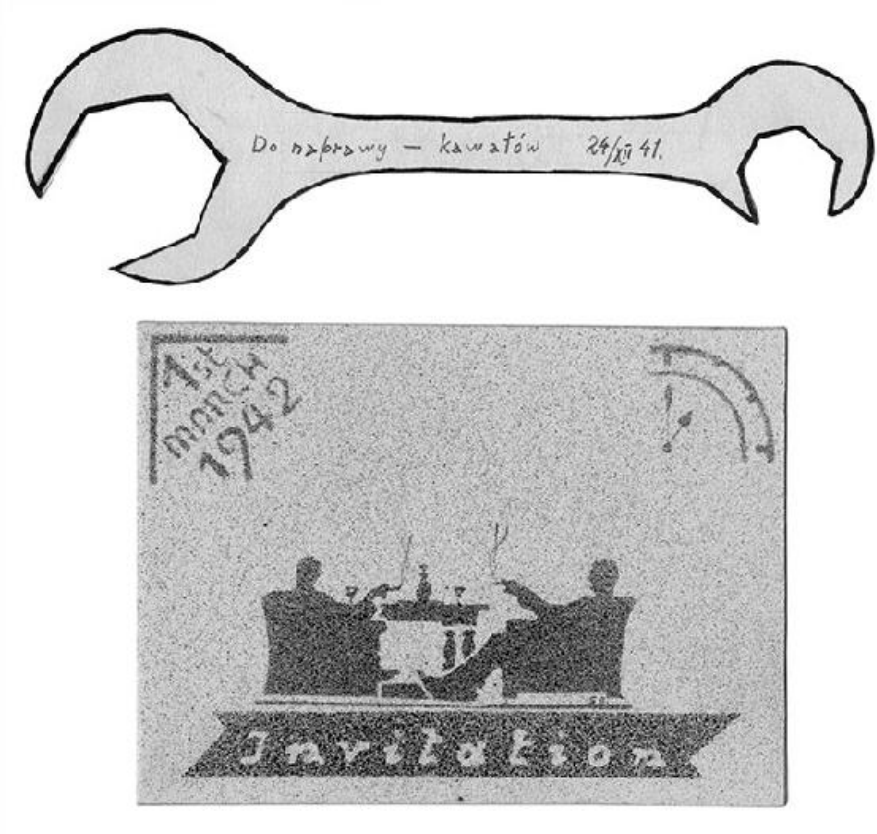

Pamiątki z oflagu zachowane przez Stefana Biernackiego

archiwum rodzinne Małgorzaty Szejner

To prawie pewne, że Stefan nie miał pojęcia o charakterze pobytu Raka i Dziuni w Wielkiej Brytanii. A Dziunia niewiele wiedziała o oflagach w Lubece i Gross Born. Ale przypuszczała, że temu, kto może wysyłać paczki, jest lepiej niż temu, kto na nie czeka.

W nocy dwudziestego ósmego marca, cztery dni po liście Stefana z oflagu XC, lotnicy RAF zrzucają na centrum hanzeatyckiej Lubeki czterysta ton bomb. Jest pełnia księżyca i mróz, powietrze przejrzyste, miasto dobrze widać. Najpierw lecą bomby burzące i zrywają dachy. Następne wzniecają burzę ogniową. Topią się dzwony kościoła Świętej Marii. Samoloty nadlatują trzema falami. Piętnaście tysięcy ludzi traci domy. Trzystu ginie. Dziunia czeka na odpowiedź Stefana.

W kwietniu uparty poseł McKinlay kieruje następne interpelacje, tym razem do sekretarza stanu dla Szkocji Toma Johnstona. Pyta go między innymi, czy wcześniej konsultowano się z nim w sprawie miejsca służącego jako obóz internowania oficerów polskich. Sekretarz odpowiada, że na terenie, do którego jego szanowny kolega odnosi swą kwestię (nazwy nadal znajdują się poza protokołem), nie ma żadnego obozu internowania.

Poseł McKinlay pyta więc dalej: *Czy mój czcigodny kolega jest świadom, że trzystu [tak w protokole] oficerów nie może opuścić miejsca, w którym stacjonują, chociaż każdy z nich otrzymał dwuletni urlop? Jeśli to nie jest internowaniem, to co nim jest?*.

Nie dowiaduje się wiele, więc miesiąc później wraca do tematu. Tym razem kłopocze podsekretarza stanu do spraw wewnętrznych Osberta Peake'a. Pyta go między innymi, dlaczego polscy oficerowie internowani w Szkocji nie są wcielani do sił zbrojnych, aby walczyć dla swego kraju – *jeśli pan żąda od naszych chłopców, by czynili to za nich*. Peake odpowiada, że nie posiada żadnej wiedzy o oficerach internowanych przez polskie władze w tym kraju.

W następnym pytaniu McKinlaya można wyczuć zniecierpliwienie.

Przepytywałem na ten temat trzy departamenty. Żaden nic nie wie, ale fakty są takie, że ci ludzie są internowani w Szkocji. Chcę znać powody, dla których nie mogą służyć w polskiej lub brytyjskiej armii albo nie dano im pożytecznej pracy[22].

Proszę nie wskrzeszać

Zdjęcie państwa Münnichów na wzgórzu, koło starego zębatego muru, pochodzi z 1942 roku. Pora musi być ciepła, bo pani Münnichowa nie zabrała płaszcza i ma gołą głowę. Pułkownik jak zawsze odszykowany, w mundurze i przy orderach. Minął już czas, kiedy „nieczynni" mieli dokonać wyboru – mundur czy wolność od stacji zbornej. Fotografia pokazuje dobitnie, co wybrał pułkownik, który we wszystkich swych pismach sławi polską armię i znaki.

Lada chwila z maszyny drukarskiej w Londynie zejdzie, a może już zeszła, przygotowana w Rothesay broszura na rocznicę śmierci Józefa Piłsudskiego

12 maja 1935[23].

Już okładka wprowadza w nastrój czci i żałoby. Na pierwszym planie artysta narysował wieńce, rzucone na ziemię jak koła ratunkowe na wodę, w głębi lawetę armatnią z trumną przykrytą całunem – sztandarem, na nim maciejówkę i szablę. Nad tą cmentarną sceną zachmurzone niebo.

Tekst Tadeusza Münnicha *Wielkości, gdzie twoje imię?…* przypomina spotkanie żołnierzy przy grobie Piłsudskiego na Wawelu wiosną 1939 roku, która *niesie zapowiedź huraganu*.

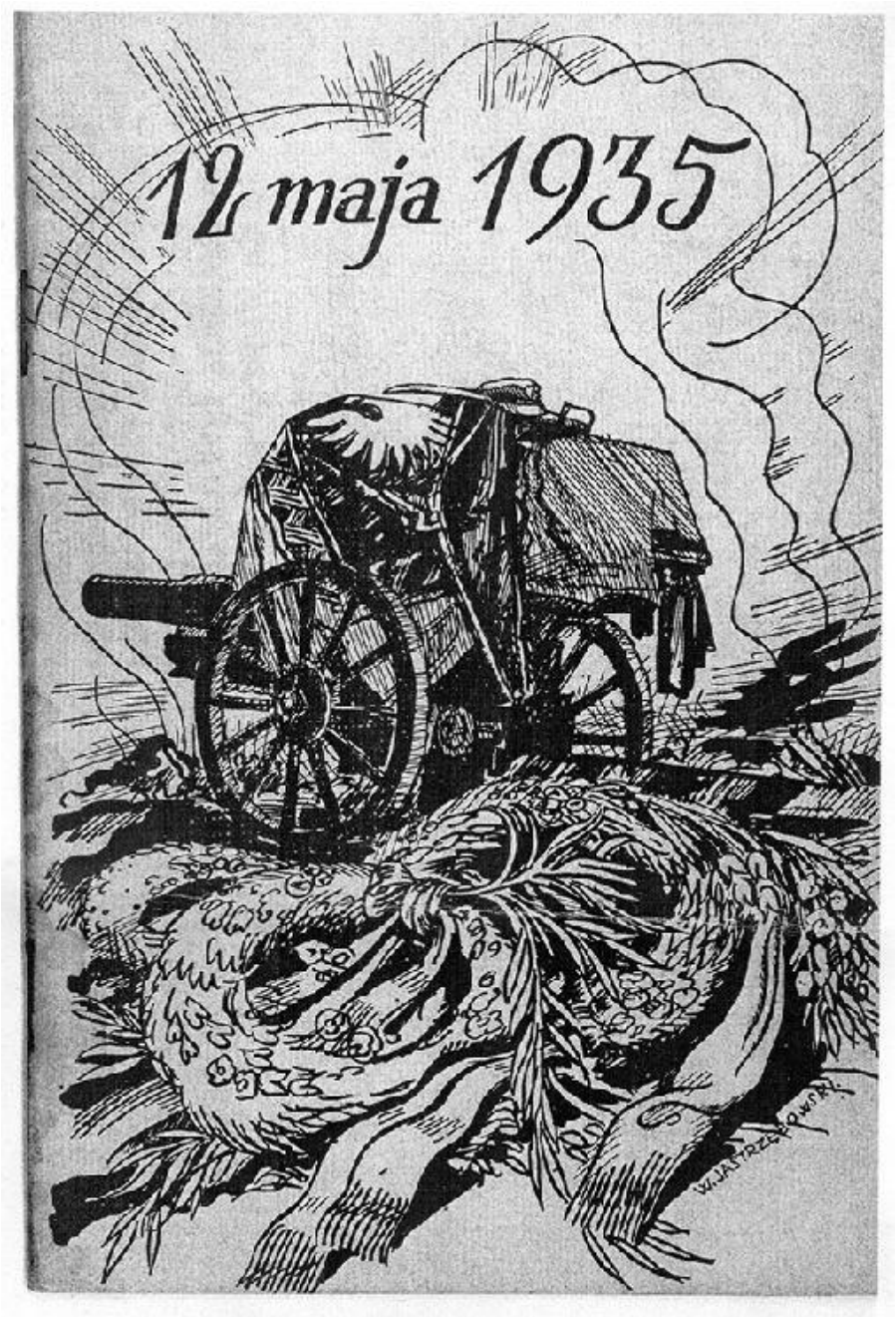

reprodukcja okładki broszury 12 maja 1935

U stóp srebrnej trumny składa Jeneralny Inspektor Sił Zbrojnych wieniec z napisem „Armia i Naród Komendantowi”… Nie z kwiatów to wieniec – gdy każdej chwili mogą uderzyć pioruny. Dwa skrzyżowane karabiny polskiemi wykonane rękami wplecione w liście stalowego wawrzynu i krzyż Wirtuti

Militari. Jest w tym cichym hołdzie jakby zarazem ślubowanie, że [żołnierze] wypełnią do końca wskazania, których wpajaniu w Naród i Wojsko trud swojego życia poświęcił. (…) *I żadna małość nie pokryje tej prawdy, że w jej [polskiej armii] duchu i harcie, w jej gotowości do walki nie przewyższyły jej żadne inne armje – nawet największych potęg świata.*

Pułkownik jest przekonany, że te słowa będą się podobały *jednemu z najdzielniejszych naszych generałów*[24] Stefanowi Dębowi-Biernackiemu, uwolnionemu właśnie przez Brytyjczyków z więzienia w Glasgow. Podobno dostał od nich paszport brytyjski i zapomogę, ale nie chcieli go mieć pod bokiem. Wysłali go do Ulsteru w Irlandii. Najął się tam za parobka, lecz widocznie nie bardzo się do tego nadawał, bo farmer go zwolnił po dwóch tygodniach. Rothesay dowiedziało się o tym i niektórzy oficerowie zbierają pieniądze, żeby go wspomóc.

Tadeusz Münnich wysyła mu broszurę jako znak serdecznego porozumienia i otrzymuje odpowiedź, zamaszystym pismem:

Panie Pułkowniku,

broszurę 12 Maj 1935 *otrzymałem, bardzo dziękuję za nią, bo mi to trochę oszczędziło wydatków, co przy moim skromnym zarobku 1 £– tygodniowo zawsze dużo znaczy. Przeczytałem ją uważnie, nawet kilkakrotnie – uwag miałabym nawet dość sporo, ale wątpię, czy ktokolwiek jest ich ciekaw.* (…) *Panowie Piłsudczycy za bardzo zapatrzeni jesteście w przeszłość, a za mało wykazujecie woli i energii w wytyczaniu form dla przyszłego życia. Nie mogę odszukać jaką rolę chcecie w niej grać, biernego widza, wiecznie skwaszonego śledziennika, czy też rolę czynną choćby prostego robotnika!*

Tak, nas już nic nie łączy i uprzejmie proszę nie wskrzeszać tej łączności poprzez przyznawanie mi szarży, która już do mnie nie należy. Idźcie po drodze lojalizmu i jest obowiązkiem Waszym szanować wyroki sądowe.

Przesyłam pozdrowienia i życzenia w Waszym wytrwałym siedzeniu w Rothesay.

Stefan Dąb-Biernacki[25]

Nieroby, często dyletanci

Wydawałoby się, że obóz na Wyspie Węży, postarzały i rozproszony, nie powinien już niepokoić rządu i sztabu, a jednak teorie spiskowe ciągle wiszą w powietrzu.

Generał Izydor Modelski nie pełni już funkcji pierwszego generała do zleceń naczelnego wodza, zwierzchnika sądowego Polskich Sił Zbrojnych i częściowo kontrwywiadu i chociaż jest teraz wiceministrem spraw wojskowych, ma mniejsze wpływy niż wtedy, gdy tropił zbrodnie sanatorów w Biurze Rejestracji.

Pod koniec czerwca zabiera głos na posiedzeniu Komitetu Wykonawczego Rady Narodowej[26].

Mówi o trudnościach, z jakimi się boryka propaganda wojskowa:

w nieszczęśliwym Kraju i tragicznej Rosji, śmierć, powolne konanie, cierpienie i głód uszlachetniły Polskę jutrzejszą (…). *Inaczej na emigracji. Nieroby, często dyletanci, mimo wysokich szczebli kariery z łatwością zdobytej w Polsce pomajowej, niepomni swoich grzechów i zbrodni w przeszłości, śnią nawet tutaj o zamachach, doszukując się wszędzie i zawsze w poczynaniach rządu złej jego woli, a nawet zdrady interesów narodowych.* (…) *Ci sami, którzy jeszcze we Francji* (…) *nie pomni godności narodowej wnosili memoriały do ówczesnego Prezydenta Republiki Francuskiej*[27] *w celu zdyskredytowania Rządu Polskiego, a w szczególności znienawidzonego przez nich gen. Sikorskiego – także i tutaj w Wielkiej Brytanii nie zaprzestali swej analogicznej roboty. Schwyceni zrazu we Francji za gardło przez tak zwane Biuro Rejestracji, które dobierało się do ich zbrodni i odpowiedzialności za przeszłość – wkrótce uwolniwszy się od wiszącego nad ich karkami miecza Damoklesa – podjęli się spowrotem i prowadzą nadal akcję przeciwko prawowitemu rządowi polskiemu wszędzie, gdzie tylko znajdzie się do tego okazja. Ci potworni zbrodniarze* (…).

Mówca jest rozgoryczony nie tylko podłością *dawnych zmotoryzowanych dygnitarzy*, ale także nadmierną tolerancją dla nich: *praca propagandy wojskowej nie jest łatwa, tym bardziej, czego nie ukrywam, że spotyka [się] ona poza świadomym czy nieświadomym jeszcze niezrozumieniem u niektórych organów wykonawczych w wojsku – głównie z brakiem harmonijnej współpracy ze strony propagandy cywilnej, która stanowić powinna podstawę i źródło jej pracy*.

Upór Izydora Modelskiego spotyka się z uporem jego zwierzchnika generała Mariana Kukiela, który nie chce już słuchać o potwornych zbrodniarzach i w liście do generała Sikorskiego daje upust swym uczuciom do *Izia*: *Przypomina on stworzenie, któremu pozwolić pod stół, a wylezie na stół i które wór drze, a kwiczy*.

Sprzeciwia się projektowi Modelskiego, który chce reorganizacji Ministerstwa Spraw Wojskowych i wielkich pełnomocnictw dla siebie. *W jednej chwili wróciłaby atmosfera zatruta oszczerstwem, szpiclostwem, denuncjacją, intrygą*.

Wie, że naczelny wódz jest przywiązany do wiernego Modelskiego, jego gorliwości i pochlebstw, i w dalszej części listu (piękna kaligrafia) sugeruje Sikorskiemu sposoby, jak osłodzić Modelskiemu odmowę. Kończy list słowami:

Sądzę Drogi Generale, że ustanawiamy tu rekord wyrozumiałości i cierpliwości – i że nie możesz iść dalej. Twojej dobroci nie może warcholstwo rozumieć jako słabość.

Twój całem sercem oddany

M. Kukiel 28

„Zmotoryzowany dygnitarz” Michał Grażyński, chociaż popiera Olgę Małkowską i jej komitet, ciągle się uważa za szefa polskiego harcerstwa. W kwietniu zapisał w dzienniku: *Jestem przewodniczącym ZHP. Chcę wykonywać swoje czynności*. Ale w bardzo długim protokole z konferencji zwołanej przez generała Izydora Modelskiego na temat harcerstwa w siłach zbrojnych nazwisko kapitana Michała Grażyńskiego w ogóle się nie pojawia[29].

Pociesza go przynajmniej uznanie słuchaczy. Po wykładzie o Prusach Wschodnich (co z nimi po wojnie?) Komendantura stacji w Rothesay pochwaliła go w sprawozdaniu: *Osoba prelegenta i temat same przez się mówią o wartości prelekcji*[30].

Synowie twoi

W czerwcu, kiedy wiceminister spraw wojskowych w dalekiej Anglii

potępiał wrogów prawowitego rządu, dygnitarzy nierobów i dyletantów, miałam już sześć lat, ciągle mieszkałam w Białej Podlaskiej nad rzeką Krzną i uczyłam się na pamięć laurki.

Imieniny dziadka Antoniego, urodzonego siedem lat po powstaniu styczniowym, unieczynnionego mistrza wędliniarskiego, przypadały trzynastego czerwca i miały ścisły rytuał. Dziadek czekał w swoim pokoju, który ocalał przed rekwizycją niemiecką (Niemcy zabrali dwa najlepsze pokoje i warsztat, a spółdzielnia spożywców po wojnie – cztery i warsztat). Okno wychodziło na ów zaułek, między stykającymi się pod kątem prostym ścianami domu, w którym usadowili się do fotografii goście wesela moich rodziców. Dziadek widział stąd całe podwórko – po lewej długi, niski warsztat masarski, po prawej sągi drewna na opał, a w głębi szopki gospodarcze, budę psa Burka i bramę prowadzącą na ogród. Nigdy nie mówiło się „do ogrodu", tylko „na ogród", bo był ogromny; w latach siedemdziesiątych i potem zbudowano na nim całą dzielnicę. Należał do parafii Świętej Anny i dzierżawiło go wiele rodzin. Dziadek miał tam spore poletko szparagów i grządkę melonów, pod które podkładałam szybki lub słomę, żeby nie zgniły, jak już robiły się ciężkie. Lubiłam z nim chodzić aż na daleką krawędź ogrodu, do niczyich zarośli dzikiego bzu. Wiosną zrywaliśmy do koszyków białe baldachy, a jesienią czarne owoce, które potem bulgotały w gąsiorach. Dziadek znał się na rzeczy, bo jego brat Wicuś był gorzelanym w majątku Ratoszyn; nauczył się tego fachu w słynnej szkole w Dublanach. Babcia Kalunia umarła na początku wojny, ale w pokoju ciągle jeszcze stały dwa łóżka przykryte kapą z bordowego weluru. W ich głowach piętrzyły się wielkie poduchy pod białą krochmaloną narzutką z cienkiego płótna, ozdobioną przez babcię haftem richelieu. Stała tam także bardzo stara intarsjowana komoda przywieziona z Ratoszyna nad rzeką Chodelką przez siostrę dziadka ciocię Manię, która nigdy nie założyła rodziny, bo jako najstarsza wychowywała po śmierci matki całe rodzeństwo, i przyjechała umrzeć w Białej Podlaskiej, w pokoju z przygórkiem, gdzie ciocia Stasia Modelska zostawiła swoje szykowne przedwojenne pantofle. Na tej komodzie, na dużej stolnicy, zawsze stała baba smalcowa. Bo nawet w najgorszych czasach dziadek, wspomagany przez dawnych czeladników, którzy pracowali dla Niemców, miał w domu smalec. Zastygał w wiadrze, a potem wysadzało się go na deskę. Ktoś, kto szykował posiłek dla tej masy

ludzi, swoich i obcych, którzy uciekali przez Białą na Wschód i na Zachód, wchodził z patelnią do pokoju dziadka przez zawsze otwarte drzwi, chlastał nożem i baba smalcowa malała z dnia na dzień, aż zastępowała ją nowa. Ten smalec był też bardzo potrzebny do okraszania kapusty, którą kisiliśmy w wielkich bekach, było to wytęsknione święto rodzinne, przede wszystkim dlatego, że można się było do woli najeść kaczanów. Innym świętem było pieczenie chleba, bo mimo że dom był miejski, nawet z łazienką (która odmówiła działania pierwszej wojennej zimy i tak już zostało), mieliśmy w kuchni wielki piec chlebowy. A dnia, w którym warzyło się mydło z łoju, popiołu i ługu, nikt nie uważał za święto, chociaż mydło było równie potrzebne jak chleb i kapusta.

Dziadek stał na środku pokoju z rękami za sobą; dla mnie dobry znak. Deklamowałam:

Dziaduniu drogi, w dniu Twych imienin
Przyjmij ode mnie szczere życzenia,
Bądź zawsze zdrowy, żyj długie lata,
Ciesz się miłością całego świata.

To się właściwie sprawdziło. Następna zwrotka nie była taka prorocza:

Niech Polska nasza znów się odrodzi,
Niech Orzeł Biały znów nam przewodzi,
Synowie Twoi niech wrócą z wojny
I odtąd wiedźmy żywot spokojny.

Nie wiem, kto to ułożył. Może mój ojciec, polonista. A może pani Stanisława Pikulska, nauczycielka, która w 1939 roku uciekła z Sochaczewa, mieszkała u nas na górce przez całą wojnę i przerobiła ze mną dwie pierwsze klasy szkoły podstawowej, zanim we wrześniu 1944 roku poszłam do prywatnej szkoły pani Marii Bratkowskiej, w zniszczonej kamienicy przy końcu naszej uliczki, niosąc na głowie krzesło, by mieć na czym siedzieć. Bo ławek jeszcze nie było, ale na ścianach największej klasy, służącej za aulę, wisiały już reprodukcje cykli Grottgera – *Polonii* i *Lithuanii.*

Dziadek wysłuchiwał wiersza bez wzruszenia i wyciągał zza pleców torebkę z czerwonymi landrynkami w kształcie malinek. Cmokałam go

w rękę. Robili to synowie, córki, zięciowie, kuzynki i nie było w tym wielkiego przymusu. Wszyscy go kochali. Dziunia też kochała dziadka Antoniego, ale nie całowała go w rękę; od jakiegoś czasu była już warszawianką i nasza rodzina uważała ją zawsze za damę. Pewnie by się wzruszyła wierszem z laurki, ale kiedy wróciła do Polski, nie przyszło mi do głowy, żeby jej opowiadać o tych imieninach.

Chyba zresztą przypomniałam sobie o nich dopiero wtedy, kiedy w latach siedemdziesiątych rozbierano nasz dom w Białej i w szufladzie komody, na której stała baba smalcowa, znalazłam laurkę z 1942 roku. Leżała tam, lekko zatłuszczona, jakby nigdy nie zmieniała miejsca. Zabrałam je obie, komodę i laurkę, do swojej chaty nad Wisłą. Tak się złożyło, że stoi nad ujściem Chodelki, o dzień solidnego marszu wzdłuż rzeki do Ratoszyna. Wtedy nie wiedziałam jeszcze, że był on gniazdem mojej rodziny ze strony matki i że w najstarszej części tamtejszego cmentarza ciągle leży ciężki cementowy grób mojego pradziadka.

Nie wiadomo, co spotkałoby synów dziadka Biernackiego, gdyby jesienią 1939 roku powrócili z wojny do Białej Podlaskiej.

Jesienią 1939 roku Niemcy rozstrzelali około sześćdziesięciu jej mieszkańców, w następnym roku w czerwcu – około dziewięćdziesięciu, a w sierpniu dwunastu (oficerów rezerwy). W 1942 roku w odwecie za skuteczny zamach na niemieckiego starostę stracono pięćdziesiąt trzy osoby. W pierwszych latach zabijano poza miastem, głównie w lesie Grabarka, ale w listopadzie 1943 roku dokonano dwóch publicznych egzekucji – dziesięciu i szesnastu mężczyzn – przy placu Wolności, pod jego główną pierzeją z magistratem i pocztą[31]. A parę kroków od rynku trzecia część obywateli naszego miasta tłoczyła się w getcie, które wkrótce całkowicie opustoszało.

Pożegnanie tajnego bezruchu

Podporucznik Grycko, który po wyjściu z „gołębnika” trafił do szpitala, wraca do poprawczaka w Tighnabruaich, który nazywa z sentymentem jednostką macierzystą. Zastaje tam duże zmiany.

Poprzedniego kdta obozu pułk. sap. Spałka nie było – został przeniesiony na jakieś intratniejsze w funty szterlingi stanowisko – a z nim razem znikła

uprzednia atmosfera naprężenia i nastawienia do K-dy. Zresztą w owym czasie często krążyły wtedy plotki, które się później okazały prawdą, o rozwiązaniu obozu wskutek nacisku władz angielskich. Przezorne już przedtem nasze władze lwią część oficerów odesłały do Stacji Zbornej (jak się to oficjalnie nazywało) Rothesay – a w obozie pozostała nieliczna grupa „ostatnich mohikanów" do których ja dołączyłem po wyjściu ze szpitala.

Nowy komendant ośrodka w Tighnabruaich pułkownik Hałaciński jest według Grycki typem zawodowego oficera, jeszcze z austriackiej armii, światowcem – bywalcem.

Sam się czuł „zesłańcem" i wcale nie krył z tym, że lubiał wypić i często razem z nami przesiadywał w knajpie. (…) *niejednokrotnie w chwilach depresji zwracał się do mnie z poufną prośbą o przyniesienie mu butelki z hotelu, gdzieśmy uczęszczali, co zawsze z wielką radością czyniłem, gdyż był typem człowieka eleganckiego, tak w „eksterjerze", jak i „interierze" i to w pełnym tych słów znaczeniu. Z uwagi na swoją naturę był przez wszystkich b. lubiany i dlatego gdy w końcu przyszedł rozkaz o rozwiązaniu obozu i przejściu „pod kapelusz" wszystcy postanowiliśmy zrobić mu pożegnanie w hotelu gdzieśmy bywali. Na tą ostatnią „libację" nie zaprosiliśmy żadnego z ofic. Kadry Kmdy, tylko my „zesłańcy oflagów Sikorskiego" i on „półrekolekcyjny zesłaniec" na przydziale. Jeden z kolegów kapitan zawodowy broni pancernej Hellebrandt „grzmotnął" fajną mówkę pogrzebową dla armji, którąśmy z uczuciem ulgi wszystcy opuszczali i wszystcy starych Polaków zwyczajem pokrzykując i pośpiewując – tak się niemiłosiernie popiliśmy, że kilku z nas nie mogło w ciemności nocy znaleźć drogi do domu, powpadali w przydrożne parowy górskie, drapiąc i kalecząc sobie ręce i nogi. Niestety do nich i ja należałem – na drugi dzień zbudziłem się w południe w moim łóżku z kompresami na kolanach – i podrapaną gębą, opatrzoną mi przez żandarmów.* (…) *ja z mojemi kolanami pozostałem jeszcze kilka dni – i wyjechałem do Glasgowa.*

Wprawdzie już w lutym wystąpił do władz Wojska Polskiego, by pozwoliły mu wstąpić do armii Wolnych Francuzów generała de Gaulle'a, ale do lipca, kiedy to obóz w Tighnabruaich rozpadł się ostatecznie, nie dostał odpowiedzi. Zrezygnował więc ze służby wojskowej i zatrudnił się w dużej

firmie samochodowej najpierw jako pomocnik, a później mechanik, *gdyż* – jak pisze – *w tym okresie czasu, w toku wojny, przemysł samochodowy i ciężki potrzebował każdej pary rąk do pracy*.

Dziewiętnastego sierpnia, a więc pół roku po złożeniu podania, dostał pismo od Dowództwa I Korpusu. Zawiadamiano go, że naczelny wódz zezwala podporucznikowi Antoniemu Grycce wstąpić do Armii Wolnych Francuzów.

Na to pismo Korpusu odpowiedziałem b. sarkastycznym, w dość ostrym tonie pismem, że niepotrzebnie się już teraz trudzili zużywając czas i tak drogi w czasach wojennych papier. (…) *W ten sposób skończyłem moją „chwalebną" służbę czynną w armji „turystów Sikorskiego" na emigracji*[32].

Ławeczka nad Glenburnem

Stefan Mękarski przygotowuje się do odjazdu. Jeszcze nie wie dokąd i chyba wszystko mu jedno, bo tam, dokąd chciałby – do Lwowa – nie może.

Skończą się niebawem dwa lata pobytu w Szkocji. Nie znam i nie widzę tego kraju. Nie znam i nie widzę Anglii. A cóż mówić o czuciu, o wżyciu się?…

Nie znam i nie widzę Rothesay. A przecież jestem tu 21 miesięcy. Nie znam i nie widzę ulic i ludzi tego miasteczka. Nie wiem jak nazywają się góry, otaczające pierścieniem zatokę. Muszą być przecież w tym mieszkaniu jakieś encyklopedie, jakieś monografie wyspy Bute.

Nie wiem, przy jakiej ulicy mieszkam. Umiem iść tylko nad morze, aby trafić do „Italii" Suffrediniego, do Younga po gazetę, do tabakonistki po tytoń. Wieczorem, wieczorem prześliznę się chyłkiem serpentyną do lasku nad Glenburnem i wiem, że znajdę tam ławkę, której nikt nie szuka. Na tej ławce usiądę plecami do morza, plecami do view. Mam przed sobą skrawek polany, zamkniętej krzewami. To jest moja wiedza o Rothesay, Szkocji i Anglii po 2 latach przybycia z Francji.

Mam w sobie bezwarunkowe niczym nie uzasadnione przeświadczenie, że gdyby poczęła się we mnie ciekawość do tego najśmieszniej przypadkowego świata, na którego brzeg wyrzuciła mnie wojna – zgrzeszyłbym śmiertelnie przeciwko temu Jedynemu Światu, straciłbym z nim czucie utrzymujące przy życiu i życiu sens nadające. Cóż oznaczałaby ta głupia ciekawość. Że

znalazłem się tu także w jakimkolwiek innym celu, aniżeli w tym, aby móc TU żyć TAMTYM, aby móc STĄD wrócić TAM.

Hotel Glenburn

Małgorzata Szejnert i Piotr Pietrzak

Już Londynie zwierza się w zapiskach, że gdyby pobył w Rothesay pół roku dłużej, nie miałby go siły opuścić. *Atmosfera doszczętnej zagłady ma w sobie coś z niesamowicie kuszącego magnesu. Chciałoby się chwilami być wchłoniętym na zawsze, ze szczętem, przez tę atmosferę*.

Nad Glenburnem. Tu prawdopodobnie stała ławka Mękarskiego

Małgorzata Szejnert i Piotr Pietrzak

Poszedł pożegnać się z Rouppertami. Było liczne towarzystwo polskie, nastrój rodzinny, jak na Żoliborzu albo w Kolonii Staszica w Warszawie. Zaczęto mówić o powrocie do Polski. Ile walizek będzie można zabrać? Trzeba zawieźć jakieś solidne prezenty, suknie, buciki, pończochy… Czy w pociągach będą miejsca sypialne? *Żeby tylko te dranie Niemcy nie zniszczyli przy ucieczce domu i mebli*.

Statek z Rothesay był zatłoczony. Jakiś oficer pomógł mu nieść walizkę. *Dygotałem cały. Cóż to się dzieje z moim pulsem i sercem. Szaleją. Stary Rouppert kiwa smętnie głową i mówi: Galop-panie-galop.*

Trafalgar

Dziewiątego listopada generał Sikorski informuje swoich żołnierzy, że w rocznicę wielkiego zwycięstwa floty brytyjskiej pod Trafalgarem wysłał telegram do pierwszego lorda Admiralicji. Wyraził *głęboki podziw dla bohaterstwa, jakiego w wojnie obecnej dała liczne dowody Królewska Marynarka Wojenna świadoma szlachetnych tradycji niezwyciężonego ducha,*

który prowadził do zwycięstwa Admirała Nelsona i jego wspaniałą flotę[33].

Wódz naczelny rozkazuje odczytać ten adres przed frontem oddziałów, dywizjonów lotniczych oraz na pokładach okrętów RP.

Nie wiemy, czy słuchano go także w Rothesay. Jeśli tak, łatwo wyobrazić sobie komentarze przy kawie u Suffrediniego: Czy Polacy wiążący wtedy swoje nadzieje z Napoleonem cieszyli się z jego klęski? Czy to nie w szlachetne tradycje niezwyciężonego ducha Francuzów wierzył generał Sikorski dwa lata temu? (Swoją drogą, pod Trafalgarem bili się bohatersko). Czy to nie Francji powierzył ufnie polską rację stanu? Czy nie jest nadgorliwy wobec pewnych rocznic, a zbyt powściągliwy przy innych?

Dwie inne właśnie nadchodzą: jedenastego listopada – dwudziestoczterolecie odzyskania niepodległości, piątego grudnia – siedemdziesięciopięciolecie urodzin jej twórcy. Nie będą tak celebrowane przez Wojsko Polskie jak zwycięstwo admirała Nelsona sto trzydzieści siedem lat wcześniej.

Śpiący rycerz

Nie wiem jak nazywają się góry otaczające pierścieniem zatokę. A jedna zasługuje na szczególną uwagę. Najlepiej ją widać z zatoczki Stravannan, na lewym brzegu Bute.

Można tam dojść pieszo z Rothesay ostrym skosem na południowy zachód, najpierw między jeziorami Fad i Ascog, potem przez wielkie wrzosowisko na wyżynie Scoulag i dalej wśród łąk, lasków, zagajników, mijając samotne kamienne farmy i szmaragdowe pastwiska, na których zażywają sytej swobody białe owieczki i czerwone byczki. By wreszcie pokonując nadbrzeżne skałki i piargi, stanąć nad wodami, które łączą się z Atlantykiem.

Można tak iść (około dziesięciu kilometrów w jedną stronę) albo nie można, bo sytuacja wojenna ogranicza swobodę. Krzysztof Münnich nie dojechał tam na rowerze podczas wakacji. Zresztą, jak wiemy, miał inne zajęcie, plakat z pelikanem. I nawet nie wiedział, że z zatoki Stravannan widać inny symbol, który od niepamiętnych czasów pobudza wyobraźnię różnych narodów, tych naturalnie, które mają góry lub choćby wzgórza.

Symbol rozłożył się na sąsiedniej wyspie Arran, która z sąsiedniego brzegu

wydaje się bezludna, chociaż jest dużo większa od Bute. Wiadomo, że dzieci z paru niewielkich osad na jej pustkowiach, posłane do akademii w Rothesay, przez cały rok szkolny mieszkają przy niej na stancjach.

Tym symbolem jest góra znajdująca się w niewielkim paśmie, którego najwyższy szczyt Goat Fell ma zaledwie 873 metry. Ale to nie on przyciąga uwagę stojących na brzegu, lecz nieco niższy, wyrazisty kształt leżącego człowieka utworzony przez trzy sąsiednie wierzchołki. Hełm, nos i podbródek należą do wzgórza Cir Mhor, co po gaelicku znaczy Wielki Grzebień, a pierś do wzniesienia Caisteal Abhail – Zamek Śmierci. Ramię to krawędź wzgórza Ceum na-cailleach, co można przetłumaczyć jako Kroki Starej Kobiety (schodzącej w dół?)[34].

Ten duch jest mniejszym bliźniakiem rycerza w Tatrach. Widziany z zatoczki Stravannan, różni się od niego także i tym, że leży głową na lewo, a nie na prawo jak Giewont, z krzyżem na wąsach, od strony Zakopanego.

Wysłałam McDowallowi fotografię Giewontu i zapytałam, czy rycerz śpiący na Arran ma swoją legendę. Jak zawsze odpisał natychmiast. Nie słyszał, by popularna nazwa góry wiązała się z jakimś wydarzeniem ze szkockiej historii albo z oczekiwaniem na przebudzenie uśpionej siły.

Dodał, że obaj rycerze są rzeczywiście bardzo podobni do siebie. W żadnych wiadomościach o polskim pobycie na Bute nie znalazłam jednak najmniejszej wzmianki o szkockim Giewoncie i wzbudzanych przez niego uczuciach. Nie zauważył go nawet Michał Grażyński, który chodzi po wzgórzach, obserwuje zmiany pór roku, kolory liści i traw, kształty chmur i w każdym obrazie szuka stron rodzinnych. *Włóczą się już mgły po polach i łąkach, bo ranki i wieczory są chłodne. Jak tam jest teraz w Polsce?*

Widok z zachodniego brzegu Bute na Arran

Małgorzata Szejnert i Piotr Pietrzak

Ale żeby rozpoznać śpiącego rycerza na drugim brzegu, potrzeba wyjątkowo czystej pogody i wiary w legendę, która krzepi serca.

Major Paluch

W grudniu 1940 roku, kiedy oficerowie kupili używany automobil, major Mieczysław Paluch zapisał się na kurs samochodowy, ale nie ma go na liście tych, którzy zdali. W drugiej połowie lipca 1942 roku chowają go na cmentarzu High Kirk, obok porucznika Stadnikiewicza, kapitana Bylczyńskiego, majora Stebłowskiego i podpułkownika Hegnera.

Mieczysław Paluch (w środku)

archiwum rodzinne Jana Palucha

Był synem chłopa z miejscowości Trzemżal w powiecie Mogilno, chodził do gimnazjów w Trzemesznie, Gnieźnie i Międzyrzeczu, ale relegowano go za manifestowaną uparcie polskość[35]. Zdaje więc maturę jako ekstern i jedzie do Berlina, do szkoły handlowej. Naukę przerywa mu wojna, zostaje artylerzystą w armii pruskiej, ale już w 1918 roku konspiruje w Poznaniu. Ma upór i talent organizacyjny. Pewny siebie i swoich pomysłów, odważny i czasami – jak mówią – *gwałtownik, co nie przysparza przyjaciół*. Ale umie trafić do żołnierzy, podoficerów, *umie ich połaskotać po sercu* i porywać do zadań, zwykle ryzykownych. Przy tym praktyczny i sprytny. Jest przekonany, że Wielkopolska i Śląsk to *wyjątkowe dzielnice* i trzeba o nie walczyć dla Polski za wszelką cenę. Na zlecenie rządu pruskiego organizuje służbę straży i bezpieczeństwa, która w założeniu ma się składać w połowie z Niemców, w połowie z Polaków, i przebiegle ją polonizuje, wcielając do niej, jako Niemców, Polaków o niemieckich nazwiskach. Wkrótce ma setki mężczyzn pod bronią. „Sztab Palucha", uzbrojony przez Prusy i na ich żołdzie, odegra wielką rolę w potyczkach powstania wielkopolskiego. Wojciech Korfanty, zaniepokojony impetem Palucha, który wyrasta na konkurencyjnego przywódcę, stara się go temperować. Ale ten nie słucha. Dokonuje ze swymi

ludźmi szalonej nocnej wycieczki z piątego na szóstego stycznia 1919 roku i zdobywa poznańskie lotnisko Ławica z siedemdziesięcioma samolotami. Jeden z nich już po paru dniach leci, z polskimi pilotami u sterów, zbombardować lotnisko we Frankfurcie w odwecie za bomby na Polskę.

Hangar zdobytego lotniska Ławica

Archiwum Państwowe w Poznaniu

Zostaje szefem sztabu frontu północnego powstania, przyczynia się do utrzymania linii Noteci, do zdobycia Szubina i Kcyni. Bywa bezwzględny. Kiedy powstańcy wpadają w panikę, widząc niemiecki pociąg pancerny, rozkazuje strzelać do uciekających.

Zdobywa sławę doskonałego dowódcy powstańczego. Wojciech Korfanty docenia jego talenty i wprowadza go do dowództwa drugiego powstania śląskiego, obok Alfonsa Zgrzebnioka. Powstanie zwycięża, ale Paluch chciałby walczyć dalej, osiągnąć więcej. W tym konflikcie między ryzykiem a pragmatyzmem przegrywa z Korfantym.

W 1922 roku przechodzi do rezerwy. Według opinii wojskowej *ten człowiek bezwzględnie nie jest tuzinkowy*. Rzutki, lecz chorobliwie ambitny. Może być bardzo pożyteczny dla sprawy ojczystej w innym zawodzie. Lecz dla wojska, w czasie gdy trzeba z trzech zaborów zrobić jedno państwo, będzie kłopotliwy. Niezdyscyplinowany, nieposłuszny. Nie spaja ludzi. Wielki

patriota, zaangażowany, wybitny powstaniec, ale nie nadaje się do armii w czasie pokoju.

Zakłada biuro rolniczo-handlowe w Poznaniu. Pod wpływem spotkania z Michałem Grażyńskim, z którym dzieli poglądy (nieufność wobec ludności niemieckiej), przenosi się na Śląsk. Zajmuje świetne stanowiska – dyrektora w majątku książąt pszczyńskich, dyrektora książęcego browaru w Tychach. Zbliża się do sanacji. Wstępuje do Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem.

Piłsudski proponuje mu stworzenie związku weteranów powstańczych, ale organizacja jest wątła; weterani widocznie mniej interesują Palucha niż powstańcy w walce. W 1939 roku przedostaje się do Francji. Chce wstąpić do armii Sikorskiego, ale mimo interwencji księcia pszczyńskiego nie dostaje przydziału.

Dlaczego go wysłali na Wyspę Węży?

Zbyt niezależny, w konflikcie z Korfantym, bliższy Grażyńskiemu, sanator?

Osiemnastego lipca Michał Grażyński pisze w swoim dzienniku o śmierci majora Palucha: *Był to doskonały żołnierz i dobry kolega i przyjaciel. Zamordowało go Cerizay i Rothesay. I pomyśleć, że on był przywódcą powstania poznańskiego, a tu nie dopuszczono go do wojska.*

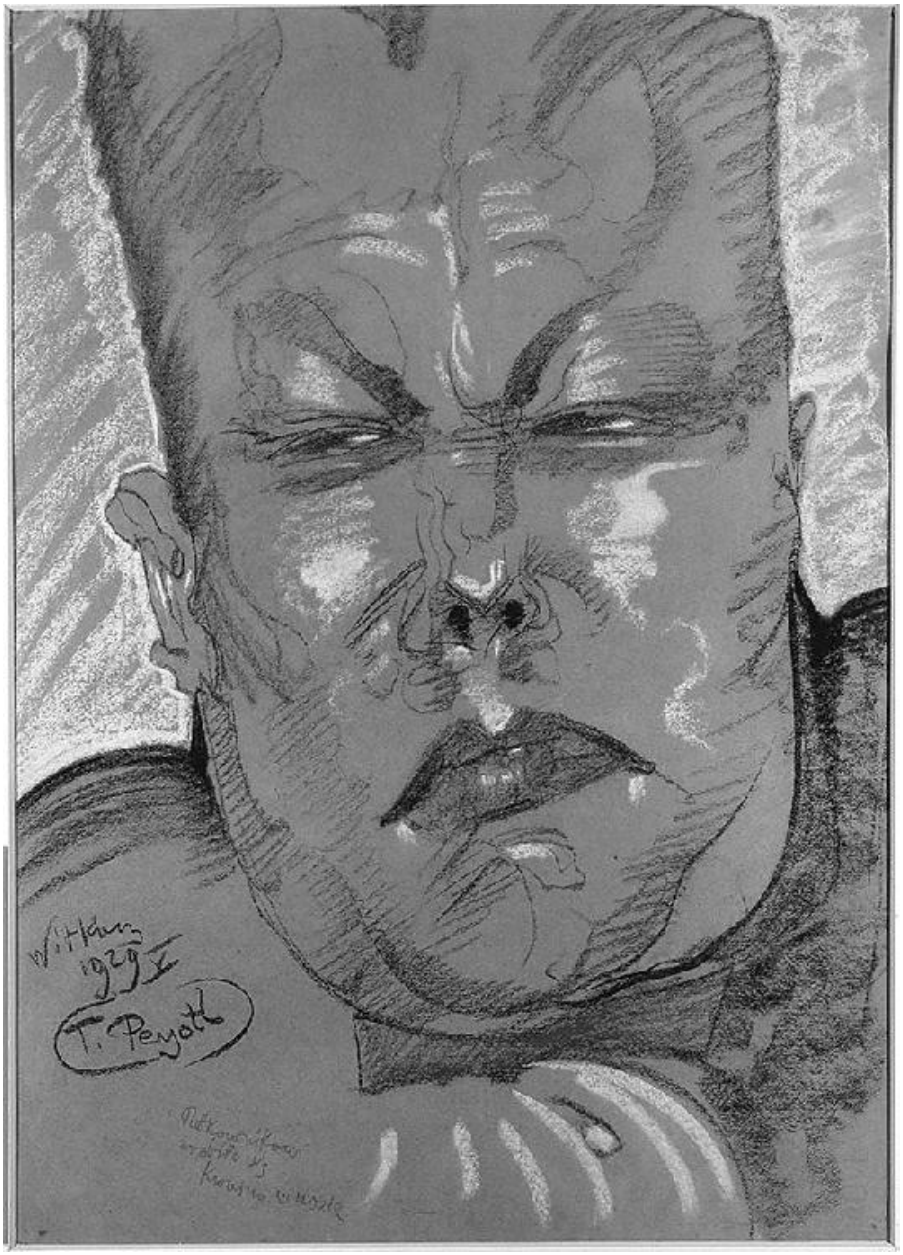

Janusz de Beaurain. Portret autorstwa Witkacego

reprodukcja obrazu Stanisława Ignacego Witkiewicza; Bałtycka Biblioteka Cyfrowa

Gdyby prywatnych zapisków z Rothesay zachowało się więcej, może byśmy wiedzieli, czy na pogrzebie majora Palucha był generał Janusz de Beaurain. Bo to on parę dni po zdobyciu Ławicy przez „sztab Palucha" poleciał nad Frankfurt jednym ze zdobytych samolotów, na których szybko wymalowano biało-czerwone szachownice, i ku wielkiemu zdumieniu

Niemców zbombardował im hangar. Była to akcja równie samozwańcza jak rajd na Ławicę i de Beaurain, wtedy kapitan, po bezpiecznym powrocie stanął do raportu. Uniknął jednak kary i po kilkunastu miesiącach był podpułkownikiem. Czy grywali z Paluchem w brydża lub w szachy i pili kawę u Suffrediniego, czy major odwiedzał generała w hotelu Royal, którego właściciel lubił Polaków, ale nie lubił, jak drą mu dywany?

Wieczna groza wśród miejscowych

Po dziesięciu dniach obok majora Palucha spocznie czterdziestoczteroletni starszy sierżant Jan Wojciech Wermiński. Nim obóz całkowicie przestanie istnieć, grobów będzie osiem.

Ilu oficerów ze stacji zbornej umarło, trudno się dzisiaj dowiedzieć, bo mogli się przecież leczyć i umierać w Perth, Glasgow, Edynburgu i jeszcze gdzie indziej i leżeć na tamtejszych cmentarzach. A jeszcze trudniej odpowiedzieć na pytanie, ilu wybrało śmierć samobójczą. Tadeusz Münnich podaje, że spośród pierwszych dwustu pięćdziesięciu oficerów odosobnionych na Bute samobójstwo popełniło trzech; nie zdradził nazwisk i nie przekazał ich synowi[36]. Według Dariusza Baliszewskiego, autora popularnych tekstów historycznych, szacunki dotyczą kilkudziesięciu, może stu, samobójstw. Źródła tych szacunków nie zdradził. Podparł je natomiast słowami, że według mieszkańców Bute upadek modnego dawniej kurortu jest winą Polaków, i barwnie to uzasadnił: *podobno z wyspy wyganiają ludzi polskie lamenty, płacz i złorzeczenia, które pobrzmiewają w każdym gwałtowniejszym powiewie wiatru. A że wiatr wieje tu zawsze, to i owo polskie przekleństwo, zdaje się trwać będzie wiecznie. Polski epizod w historii Bute do dzisiaj budzi grozę wśród miejscowych*. Dodał do tego nieprawdziwą wiadomość, że na Bute nie ma ani jednego grobu polskiego, bo utajniono pochówki[37].

Zapytałam historyka Arkadiusza Adamczyka, który wydał wspomnienia Stefana Mękarskiego i od dawna interesuje się stacją zborną w Rothesay, co wie o popełnionych w niej samobójstwach.

Odpowiada, że w lipcu 1941 roku zabił się porucznik chirurg Augustyn Błażejewicz, określany jako „depresant”, a w lutym 1942 oficer J., podobno na wiadomość o zgwałceniu córki przez bolszewików[38]. Dodaje, że nie można

wykluczyć tuszowania samobójstw, wpisywania informacji „udar” albo „zawał”, gdy nie było ono widoczne i oczywiste. Twierdzi, że mamy za mało przekazów pamiętnikarskich i epistolarnych, by sugerować jakiekolwiek liczby.

Na przełomie lipca i sierpnia 1941 roku Grażyński pisze w dzienniku: *Dwa dni temu była odprawa, na której odczytano rozkaz N.W. o tym, że wojsko polskie wykrusza się gwałtownie wskutek chorób (10%), wypadków nieszczęśliwych i samobójstw. Rozkaz zaznacza, że samobójstwa będą traktowane jak dezercja. Ale przecież to jest wynikiem nędznej i przyziemnej roboty od góry. Brak wszelkiej inicjatywy idejowej*.

Kiedy parę lat temu dowiedziałam się, że Ignacy Raczkowski spoczywa na Bute, i skojarzyłam to z milczeniem Dziuni, z hańbą Rothesay, a potem z wersją o fali samobójstw na wyspie, pomyślałam, że cisza nad Rakiem może świadczyć o tym, że i on postanowił rozstać się z życiem.

Nie pasowało to jednak do tych resztek rodzinnej pamięci o człowieku pogodnym i zrównoważonym.

Wróciłam do akt personalnych Raka skopiowanych w Centralnym Archiwum Wojskowym. W kolejnych rubrykach znalazłam: *hospitalizowany w Brześciu* (1924, 1928), *wymaga kuracji uzdrowiskowej* (1924), *na wypadek wojny nadaje się do służby na etapach, gdyż w roku opiniodawczym nie dopisuje mu zdrowie* (1936), *fizycznie słaby, od dłuższego czasu chory, brak poprawy w zdrowiu* (1938).

Córka Stefana i Miki Szejnertów, Jadwiga Wójcik, znalazła w swoim domu na Pomorzu letnie zdjęcie Dziuni i Raka na ławce parkowej. Oboje są w jasnych spacerowych ubraniach. Sukienka Dziuni i jej fryzura wskazują na modę tużprzedwojenną. Na odwrocie zdjęcia napisano „Busko”. Sprawdziłam, czy nie było tam jakiejś lecznicy dla oficerów. Była. W 1936 roku otwarto w Busku szpital i sanatorium wojskowe z kąpielami leczniczymi. Jeśli Ignacy Raczkowski z nich korzystał, opinia o jego zdrowiu z 1938 roku mówi, że niewiele pomogły.

Być może skierowano go do Rothesay jako piłsudczyka. Ale równie dobrze mógł się tam znaleźć dlatego, że nie był już zdolny do pracy wojskowej. Jak sobie radził z pobytem w obozie o tak dwuznacznej opinii? Wypełniane przez niego kwestionariusze pokazują, że miał zręczne pismo i łatwo formułował myśli, ale nie prowadził na Bute żadnych notatek. A co

nie zapisane, to nie istnieje – jak lubi powtarzać Jędrek Modelski.

Nalot na Lubekę ominął widocznie oflag XC, bo Stefanowi Szejnertowi nic się nie stało. A może przeniesiono go już do Gross Born – Bornego Sulinowa. W sierpniu Dziunia pisze do niego drugi, dłuższy list. Wylicza dokładnie, co wysłała w paczce, domaga się nalepek na następne, zapewnia, że wiedzie się jej dobrze. *I jestem szczęśliwa, że mam takiego Brata jak Ty*. Dodaje, mimochodem: *Ignaś jest ze mną – ze zdrowiem bez zmian*. Tak jakby wyjeżdżając z Polski, zabrała męża ze sobą. To więc on wspiera się na niej, a nie ona na nim. Może było tak zawsze albo zdecydowała o tym choroba, wspomniana paroma słowami, bez żadnych wyjaśnień, jakby oczywista dla bliskich.

Czy Dziunia dorabiała sobie, żeby słać te paczki? Mogła udzielać początkowych lekcji fortepianu. Pomagać w jakimś sklepie lub biurze. Robić poprawki krawieckie, jeśli umiała. Na to było wzięcie i panie z rodzin wojskowych na Bute uruchomiły nawet warsztat reperacyjny. Mogła pracować w szkockiej kantynie żołnierskiej, ale to musiał być wolontariat.

Dziunia i Rak, Busko Zdrój

archiwum rodzinne Małgorzaty Szejner

Stefan miał prawo wysyłać z oflagu dwie kartki miesięcznie. Jedna wysłana do Dziuni oznaczała więc jedną niewysłaną do Miki, z którą ożenił się niedługo przed wojną z wielkiej wzajemnej miłości. Kartek od Dziuni do Stefana zachowało się pięć. Pewnie tyle samo było listów od Stefana do Dziuni, których widocznie nie zabrała z Anglii, wiedząc, że wkrótce zobaczy brata żywego. Nie wiemy więc, czy oglądał w Gross Born sztuki Szaniawskiego, Iwaszkiewicza i Fredry wystawiane przez jeniecki Teatr Symbolów. A może sam w nich występował, ale na pewno nie w rolach kobiecych, do których świetnie by się nadawał mój drugi wuj, Stefi o ciepłych

oczach. Czy przypadkiem Stefan Szejnert miał szczęście mieszkać w baraku z tymi zapalonymi ogrodnikami, którzy uprawiali warzywa i raz w tygodniu gotowali kocioł prywatnej zupy wspomaganej grochem lub kaszą z paczek? Może należał do hodowców królików albo do pszczelarzy, których zapał ukrócili jednak Niemcy? Przyjemnie byłoby wiedzieć, że to właśnie on namalował „V-1" na beczce, którą wywożono z obozu fekalia. Nawet jednak gdyby tak było, i tak nie napisałby o tym. Nie opowiada się takich historii, kiedy ma się do dyspozycji raz na miesiąc, czy nawet kwartał, kilkadziesiąt słów pod cenzurą i kiedy dochodzą do głosu tęsknota, niepokój i goły byt.

Pomocnik palacza

A jednak podporucznik kawalerii Antoni Grycko nie wytrzymał w firmie samochodowej albo firma z nim. Zaciąga się do marynarki handlowej. Chce się dostać na polski statek Sobieski za pomocą protekcji u znajomego członka polskiego rządu w Londynie, ale ten zawodzi. Grycko czeka i czeka, w końcu przyjmują go na małe przybrzeżne Wilno wożące węgiel z północnych portów Szkocji do Londynu. Zostaje pomocnikiem palacza. *Będąc psychicznie przez ten czas przyszykowany – do tej służby, którą znałem li tylko z opowiadań znajomych mi marynarzy, przyjąłem tę pracę nie zdając sobie zupełnie sprawy co do samej pracy i jej wysiłku – jako też pewnego ryzyka życia – czy też kalectwa*.

Pierwszego dnia przedstawia się załodze kotłowni. *Podszedłem do każdego z nich z ręką mówiąc: Tońcio jestem, ze Lwowa, i to moje najprostsze zachowanie z batiarskim lwowskim akcentem od razu przełamało lody pierwszych chwil*. Trzeba trafu, że poprzedni pomocnik palacza też był Tońciem i też ze Lwowa. *To mi od razu stworzyło przyjazną atmosferę, gdyż z tymi ludźmi miałem następnie żyć, spać, jeść i pracować*.

Bez takiej atmosfery trudno by było wytrzymać.

W morzu w czasie wachty (sześć godzin służby, sześć wypoczynku), gdy niejednokrotnie nie mogłem nadążyć fizycznie w szuflowaniu węgla z bunkra pod palenisko – dla palacza, który następnie sam szuflował pod każdy z 4-ch kotłów – widząc moje zziajanie, cieknący po twarzy pot i zmęczone ruchy – wtedy brał mnie prawie przemocą za kark, sadzał na pobliską skrzynkę,

wyciągał papierosa lub tytoń i mówił: siadaj Tońku, ty stary ch…, masz tu cygaro i zapal sobie – tak, jak ten Churchill – a ja „potrymuję". Tak było zawsze z każdą inną robotą, gdy tylko zauważyli, że jestem zmęczony – czy to było wyciąganie windą popiołu z kotłowni na pokład i do morza, czy czyszczenie rur kotła, czy też opukiwanie rdzy młotkiem.

W okolicach ujścia Tamizy konwój z Wilnem atakują U-Booty. *Pamiętam doskonale niesamowite uczucie człowieka na dnie statku w kotłowni, gdzie echo wystrzałów artyleryjskich i ciężkich karabinów maszynowych statku roznosi się w spotęgowany sposób w kotłowni – a świadomość możliwości „dostania cygara torpedy" przy wybuchu kotłów – zupełnie się nie przyczynia do „bohaterskiego samopoczucia".*

Po dwóch miesiącach daje za wygraną. Schodzi na ląd.

Kucharz Franio, z którym byłem w dobrych stosunkach – bośmy często chodzili razem na piwo – gdyśmy się serdecznie żegnali – wskazując na przygotowane olbrzymie pudło tak powiedział: Weź to ze sobą Tońku, bo na lądzie w Londynie nie będziesz miał co żryć na tych racjonowanych kartkach. Gdy się wzbraniałem co do samego prezentu i jego wielkości, powiedział: wiesz doskonale sam, ile żarcia idzie do wachy [wody] dla rybek, więc lepiej ty na lądzie to zeżryj i wspominaj mile nasze „Wilno". Te dowody koleżeństwa i przyjaźni, które spotykałem od tych prostych ludzi – czy to było w pracy – czy też na lądzie przy piwie – pozostaną mi na zawsze w pamięci jako jeden z najmilszych okresów, w przeciwieństwie do tego co wyniosłem z armji[39].

Tirpitz

Bismarck, który zatopił Hooda, tak serdecznie zapamiętanego przez rothesayan, sam poszedł na dno niedługo po tym, ale jego bliźniak Tirpitz, najcięższy okręt wojenny Kriegsmarine, ciągle sieje strach. On też jednak się boi i unika dalszych morskich wycieczek. Strzeże dla Niemców Norwegii i utrudnia arktyczne alianckie konwoje z zaopatrzeniem dla Rosji. Przyczaił się w fiordzie na północ od Trondheim, pod wysokim klifem. Jest doskonale zamaskowany, wygląda z góry jak mały półwysep pokryty lasem; kilka pni leży na poszyciu, jakby przeszła wichura. Ruchy tej wielkiej bestii są

ograniczone, nie ma wystarczającego wsparcia lotniczego i ochrony morskiej, miewa kłopoty z paliwem, ciąży jej pamięć klęski Bismarcka i przeszkadza coraz większa pewność Brytyjczyków, którzy przechwytują niemieckie rozkazy i czytają je dzięki umiejętności łamania szyfru Enigmy.

To przyczajenie jest nieproduktywne, kosztowne, męczące. Załoga Tirpitza przeżywa udrękę bezczynności, nudy i upokorzenia. Stefan Mękarski ma nazwę dla takiego stanu – *najgorsza ze wszystkich tortura*. Pancernik w jakimś momencie wyrusza w morze, ale wkrótce wraca do swojej kryjówki w fiordzie Faeten.

To wszystko analizują specjaliści morscy w dawnym hotelu Kyles Hydro – teraz HMS Varbel. Udoskonalają projekty techniczne miniaturowych okrętów podwodnych X-craft budowanych w Port Bannantyne i wypróbowują je na pobliskim Loch Striven.

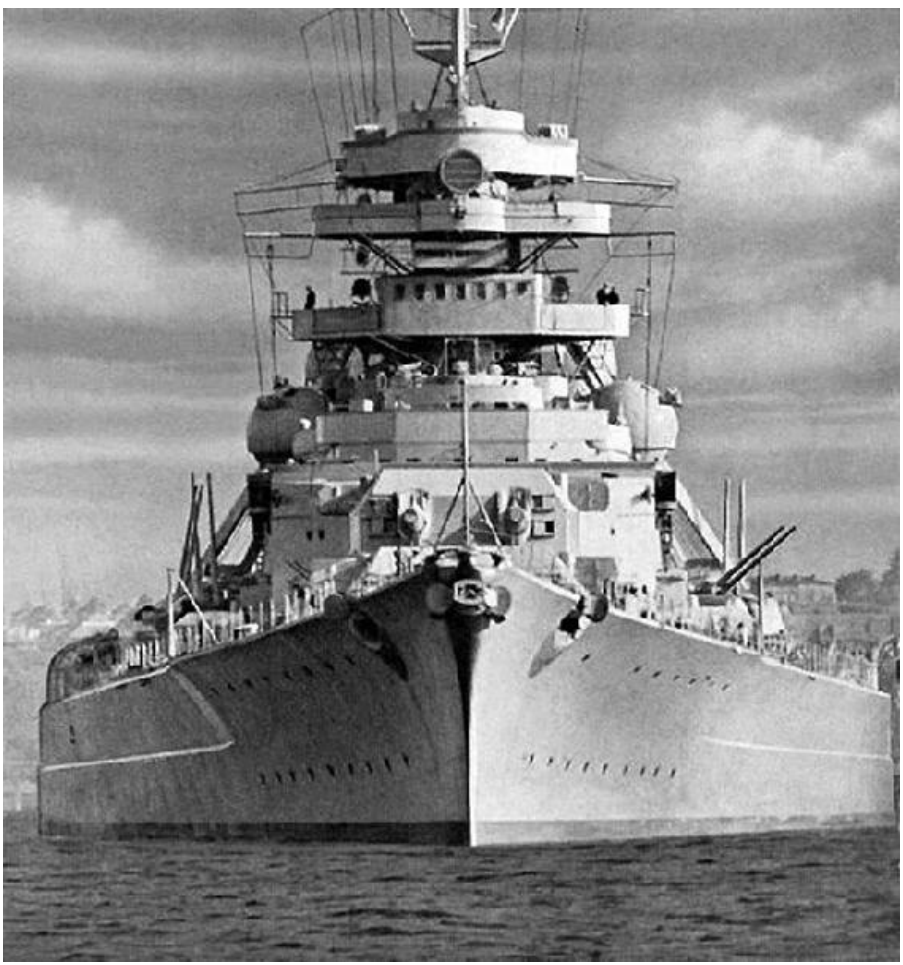

Tirpitz, najcięższy okręt wojenny Kriegsmarine

Paul Fearn / Alamy Stock Photo

To morskie jezioro przypomina fiord, w którym siedzi Tirpitz. Łączy się z zatoką Clyde i wcina w ląd Szkocji, na północ od Rothesay.

Małe okręty są dwu-, czteroosobowe, jak tratwa braci Macmillan, Alexa i Kena, z kufrem od dziadka.

Do służby w tych karłach przyjmuje się tylko ochotników, poniżej dwudziestu czterech lat, kawalerów.

To było tak, jakbyśmy szli na wojnę w schowku na miotły. W żaden sposób nie można się było wyprostować. Nie mogliśśmy się umyć. Tylko młody człowiek mógł to wytrzymać [40].

Flotylla schowków na miotły, budowana o krok od domu Dziuni i Raka, szykuje się na Tirpitza.

Maleńki, ale groźny okręt podwodny z Port Bannatyne

Arkivi / Getty Images

1 Instytut Polski i Muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie (dalej: IPMS), PRM 90-15.

2 IPMS, A.XII.4/4.

3 Tadeusz Alf-Tarczyński, *Wspomnienia oficera Pierwszej Brygady*, Londyn 1979. Konrad Wallenrod i jego żona Aldona są bohaterami poematu Adama Mickiewicza *Konrad Wallenrod*.

4 Tamże.

5 Tamże.

6 IPMS, A.XII.4/4.

7 Fragmenty opowieści Alexandra Macdonalda omawiam za stroną www.butesonsanddaughters.co.uk. Stamtąd pochodzi też cytat (data dostępu: 2 stycznia 2018).

8 „Rozkaz Nacz. Wodza i Min. Spraw Wojskowych z dn. 30 XII. 41 dołączony do Rozkazu dziennego nr 9 Komendy Stacji Zbornej Oficerów na dzień 13 stycznia 1942", w zbiorach Kazimierza Münnicha. Rozkazów wydanych w 1942 roku i później brakuje w zbiorach IPMS, który ma najbogatszy zbiór dokumentów dotyczących Rothesay i Tighnabruaich.

9 Rozkaz naczelnego wodza z 20 stycznia 1942, za: Stefan Mękarski, *Zapiski z Rothesay 1940–1942*, oprac. Arkadiusz Adamczyk, Londyn–Piotrków Trybunalski 2003.

10 W liście do Wacława Stachiewicza z 28 grudnia 1943, zbiory prywatne Krzysztofa Münnicha.

11 Konrad Wrzos, *Piłsudski i piłsudczycy*, Warszawa 1936.

12 *Prezydenci i premierzy Drugiej Rzeczypospolitej*, red. Andrzej Chojnowski, Piotr Wróbel, Wrocław 1992.

13 Pismo z 8 października 1941, IJP, Kolekcja Kościałkowskiego, pudło 2.

14 Pismo z 21 października 1941, tamże.

15 Notatka maszynowa z 15 grudnia 1941, tamże.

16 Raport z 31 stycznia 1942 dla szefa Oddziału II Sztabu Naczelnego Wodza, tamże.

17 Raport z 9 lutego 1942 dla szefa Oddziału II Sztabu Naczelnego Wodza, tamże.

18 Raport z 11 lutego 1942 dla szefa Oddziału II Sztabu Naczelnego Wodza, tamże.

19 Raport z 12 października 1942 dla szefa Biura Bezpieczeństwa Ministerstwa Spraw Wojskowych, tamże.

20 Dialog McKinlaya i Margessona w: Wacław Jędrzejewicz, *Poland in the British Parliament 1937–1945*, t. 2: jesień 1941 – wiosna 1942, New York 1959, na podstawie: House of Commons, Vol. 377, Feb. 17, 1942.

21 Władysław Boziewicz napisał *Kodeks honorowy. Ogólne zasady postępowania honorowego*, wydany po raz pierwszy w 1919, znany jako kodeks Boziewicza. Wyznaczał on między innymi zasady odbywania pojedynków. Popularny w Polsce międzywojennej.

22 Za: Wacław Jędrzejewicz, dz. cyt., na podstawie: House of Commons, Vol. 379, Apr. 12, 1942, i Vol. 379, May 12, 1942. Część interpelacji w obu tych terminach poświęcono procedurze uwięzienia Stefana Dęba-Biernackiego (w protokole nie podano nazwiska).

23 Kazimierz Schally, Tadeusz Münnich, Marian Kościałkowski, Konrad Libicki, Aleksander Junosza-Gałecki, Stanisław Mackiewicz (Cat), *12 maja 1935*, Londyn 1942.

24 Tadeusz Münnich, *Cerizay i Rothesay*, „Zeszyty Historyczne" (Paryż) 1986, nr 78.

25 List Stefana Dęba-Biernackiego do Tadeusza Münnicha z 14 sierpnia 1942, zbiory Krzysztofa Münnicha.

26 Posiedzenie Komitetu Wykonawczego Rady Narodowej 29 czerwca 1942, IPMS, A5 18/17.

27 Chodzi o pismo Dęba-Biernackiego.

28 List z 28 października 1942, IPMS, PRM 93-7.

29 Protokół z konferencji 25 sierpnia 1942, IPMS, A.XII.4/6.

30 IPMS, A.VI.13/1.

31 Jerzy Flisiński, Henryk Mierzwiński, *Dzieje Białej Podlaskiej*, t. 3, cz. 2: *Biała Podlaska w latach 1939–1944*, Biała Podlaska 2012. Książka zawiera szeroki opis represji wobec ludności Białej Podlaskiej i okolicy, wybrałam z niej tylko parę przykładów.

32 Antoni Grycko, rękopis wspomnień, Centralne Archiwum Wojskowe im. mjr. Bolesława Waligóry w Rembertowie, sygn. IX.5.21.91.

33 IPMS, A.XII.1/13.

34 Według Davida McDowalla, *Bute*, Richmond 2010.

35 W szkicu życiorysu mjr. Palucha wykorzystałam głosy z filmu dokumentalnego Janusza Sidora *Mieczysław Paluch – człowiek, powstaniec, dowódca – Powstanie Wielkopolskie, Powstanie Śląskie, Wyspa Węży*.

36 Za: Marek Gałęzowski, *Pułkownik „Żegota". Życie i pisma pułkownika dypl. Tadeusza Münnicha*, Warszawa 2009.

37 Dariusz Baliszewski, *Obozy Sikorskiego*, „Wprost" 2008, nr 12.

38 Ze względu na drastyczne okoliczności nie podaję nazwiska.

39 Antoni Grycko, dz. cyt.

40 Z wywiadu zamieszczonego w „Daily Mail" 19 maja 2001, za: Jess Sandeman, *Bute's War*, Bute 2000.

Dzisiaj

Ojciec Michael

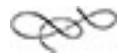

Bazylika

Ojciec Michael był wczoraj bardzo zajęty i zaprosił nas na następny dzień. Powiedział, że będzie czekał o jedenastej i mamy wejść do kościoła nie z boku, od kancelarii, lecz głównym wejściem.

Bardzo się dokądś spieszył. Patrzyliśmy za nim, jak drobiąc krokami, oddala się wąską uliczką, u której krańca widać już było tylko niebo i wodę, i jak jego czarna okrągława postać znika w zaułku.

Zawróciliśmy do kościoła, żeby go obejrzeć. Obszerna nawa z dwoma rzędami masywnych kolumn była zupełnie pusta. Rozglądaliśmy się za darem polskich oficerów, ale nie widzieliśmy żadnego obrazu, poza niewielkimi stacjami Męki Pańskiej. Ta pustka ścian wcale nie raziła. Przez górne okna wpadało łagodne światło. Zaróżowiło grube kolumny i ciężki kamienny łuk nad wejściem do prezbiterium.

Polski dar dla kościoła Świętego Andrzeja

Małgorzata Szejnert i Piotr Pietrzak

Matkę Boską Częstochowską znaleźliśmy wreszcie w bocznej kaplicy, na pryncypalnym miejscu, między dwoma wielkimi oknami. Miała kolorową sukienkę i jaśniejszą twarz, była mniej tajemnicza, bardziej przystępna, ludowa. Czy tak chciał pułkownik Belina-Prażmowski, który pod swą pracą podpisał się „*count*"? Raczej tak mu to wyszło – robił przecież kopię nie z oryginału, lecz z reprodukcji i na pewno nie doskonałej. Pod malowidłem przymocowano lampę kierującą na nie światło i półkę na kwiaty.

Polski obraz więc tu był, dbano o niego, był wprawdzie w bocznej kaplicy, ale w niej królował.

Kościół oddano do użytku parafian w 1925 roku; przedtem stał tu stary kościółek, który zbudowano na miejscu jeszcze starszego, sięgającego czasów reformacji szkockiej. Zachowało się zdjęcie z otwarcia. Ława ludzi podąża wzdłuż bocznej fasady gmachu ku głównemu wejściu, zachowując porządek i spokój. Wszyscy są w ciemnych ubraniach, długich po kostki, w kapeluszach lub czapkach. Zdjęcie ma tylko datę roczną, ale widać, że pora jest chłodna. To na pewno trzydziesty listopada, dzień świętego Andrzeja, bo jego imię nosi świątynia. Był apostołem, starszym bratem apostoła Piotra i tak jak on męczennikiem – rozpięto go na krzyżu o ukośnie połączonych ramionach. Jest patronem Szkocji; białe X tego krzyża na niebieskim tle to jej flaga państwowa.

Otwarcie kościoła ponad dziewięćdziesiąt lat temu

www.rothesaycatholic.com

Fotografia jest trochę zniszczona, ale wyraźna. Można policzyć cienkie szprychy wielkich kół bryczki, jedynego pojazdu na dużym dziedzińcu – może przyjechał nią markiz? Bo to on głównie łożył na budowę i zdecydował – kościół ma mieć prostą, masywną formę bazyliki bizantyjskiej i czerwone lico z piaskowca.

Następnego dnia przyszliśmy punktualnie, co do minuty, i kiedy otworzyliśmy wrota, ojciec Michael już na nas czekał, dostojny, w białym ornacie. Wskazał nam miejsca i nim zdążyliśmy usiąść, zagrały organy i rozpoczęła się msza.

Na ławach leżały kartki z psalmami. Uświadomiliśmy sobie, że jest święto Wniebowstąpienia.

Melodie psalmów były znajome. Wszyscy śpiewali, ale chór brzmiał wątło. Kiedy budowano ten kościół, obliczono nawę na pięciuset wiernych. Dziś, w dzień ważny dla katolików, było w nim dwudziestu parafian. Prawie wszyscy starzy. Tak starzy, że mogli pamiętać wojnę na Bute. Ojciec Michael o tym pomyślał, kiedy nas zaprosił na jedenastą.

Parafianie nigdzie się nie spieszyli. Po nabożeństwie wysłuchali ogłoszeń i doczekali do ostatniego, kiedy to proboszcz wskazał nas ręką, powiedział, kim jesteśmy i czego szukamy. Po chwili znaleźliśmy się w środku zaciekawionej, życzliwej, grupy. Większość stanowiły kobiety, siwe, kruche, skromne, w bluzeczkach, sweterkach. Wyglądali jak duża rodzina, która nigdy się nie rozstaje. Tak, wiedzieli o polskich oficerach. „Byli na wyspie, mieszkali u ludzi, najwięcej wiedziałaby Bess, bo była najstarsza, ale już umarła… Jeszcze na pewno powie coś Jill. Czy ktoś ma telefon do Jill? Na pewno ma Harry. Tak, mam, zaraz zadzwonię. Nie odpowiada… Zadzwonię później… Nie wiemy, nie wiemy, czy ktoś coś jeszcze wam opowie. Nasze matki by opowiedziały… Oni wyjechali jeszcze przed końcem wojny…”

Byli zmartwieni, że tak mało wiedzą i że nie mogą nam pomóc, chociaż bardzo by chcieli. Nikt nie wspomniał o polskim obrazie. Wisiał tu, od kiedy zaczęli przychodzić do tego kościoła, jakby zawsze do niego należał.

Ojciec Michael zaprosił nas do zakrystii. Minęliśmy sterty puszek, kartonów i ubrań.

Zapytałam, dla kogo te paczki.

– Dla Syryjczyków. Rothesay ma pod opieką piętnaście rodzin. Niedawno przybyli.

– Katolicy?

– Nie. Nie ma ani jednej katolickiej rodziny. Sami sunnici. Zbieramy potrzebne rzeczy, pieniądze. Pomagamy…

Chciałam dowiedzieć się więcej o tej pomocy, ale ojciec Michael był powściągliwy.

– Przecież to nie dotyczy polskich oficerów.

– A jednak… Znowu przyjmujecie ludzi zza morza, ofiary wojny.

Machnął ręką.

– To inne czasy, inna sprawa.

Wyraźnie oddalił ten temat.

Na parapecie stał stary dzwonek dla ministrantów. Osiemdziesięciosiedmioletni Harry Thomson podniósł go z czułością i zakołysał, ale tak delikatnie, żeby nie zadźwięczał.

Był malarzem pokojowym, dekoratorem. Jest najwierniejszym parafianinem ojca Michaela, pomocnikiem kolejnych proboszczów. Pomalował trzydzieści par drzwi w gmachu kościoła.

Zapytałam go, ile osób przychodziło na mszę osiemdziesiąt lat temu.

– Wszystkie ławki były zajęte i wielu musiało stać. Stali. Wtedy ludzie nie byli tacy wygodni. Szło się do kościoła piechotą, z daleka.

Ojciec Michael powiedział:

– Jestem tu już siedem lat, staram się, jak mogę, ale z pobożnością jest źle i coraz gorzej. Ludzie przychodzą do kościoła z jakiejś okazji: chrztu, komunii, ślubu, pogrzebu. Ja to nazywam katolicyzmem kulturowym.

– Ilu ojciec ma parafian?

– Około tysiąca, ale takich prawdziwych może dwustu.

– A ilu Polaków?

– Formalnie będzie ze czterdzieścioro, wszyscy z nowej emigracji zarobkowej, ale mało ich widać w kościele. Ostatnio przyszli na chrzest polskiego dziecka. Jego matka ma z siostrą sklepik na Bute. Sklepik jest w dobrym punkcie, koło przystani, ma dużo klientów. Kościół dawno nie był tak pełny.

Zastanowił się. Coś sobie przypomniał.

– Te siostry miały ojca. George Wiśniewski. On dojechał do nich z Polski i pomagał w tym sklepie. Kiedy umarł, zamówiły nabożeństwo żałobne w kaplicy z polskim obrazem. Na tej półeczce pod Matką Boską zapaliły znicze. I przyczepiły tam kartkę po polsku. Ta kartka jest chyba na naszej stronie internetowej.

Zapytałam księdza, czy wśród wolontariuszy pomagających uchodźcom z Syrii są nowi Polacy.

– Nie, nie spotkałem. Mają swoje życie.

Po chwili dodał usprawiedliwiająco:

– Ciężko pracują, ciułają grosze.

Harry pomógł ojcu Michaelowi wydobyć z szafy księgę kościelną z początku lat czterdziestych. Odnaleźliśmy chrzest, o którym wiedziałam wcześniej z „Butemana". Był wyjątkowy, bo chrzczono bliźniaczki, a uczestnikami uroczystości byli między innymi generał Jatelnicki i Agnes Dollan, żona burmistrza Glasgow, znana sufrażystka i pacyfistka. Kancelista przy Agnes Dollan zaznaczył: „*Lady*".

Chrzest wpisano do księgi kościelnej, ale odbył się w szpitalu Victoria. Może bliźniaczki były wątłe i rodzice Ryszard i Dorota Szujscy nie chcieli zwlekać.

Nikt, z kim rozmawiałam na Bute, nie słyszał o Szujskich, ani o rodzicach, ani o dzieciach.

Żadnego innego chrztu dziecka o polskim nazwisku nie odnotowano w tych latach.

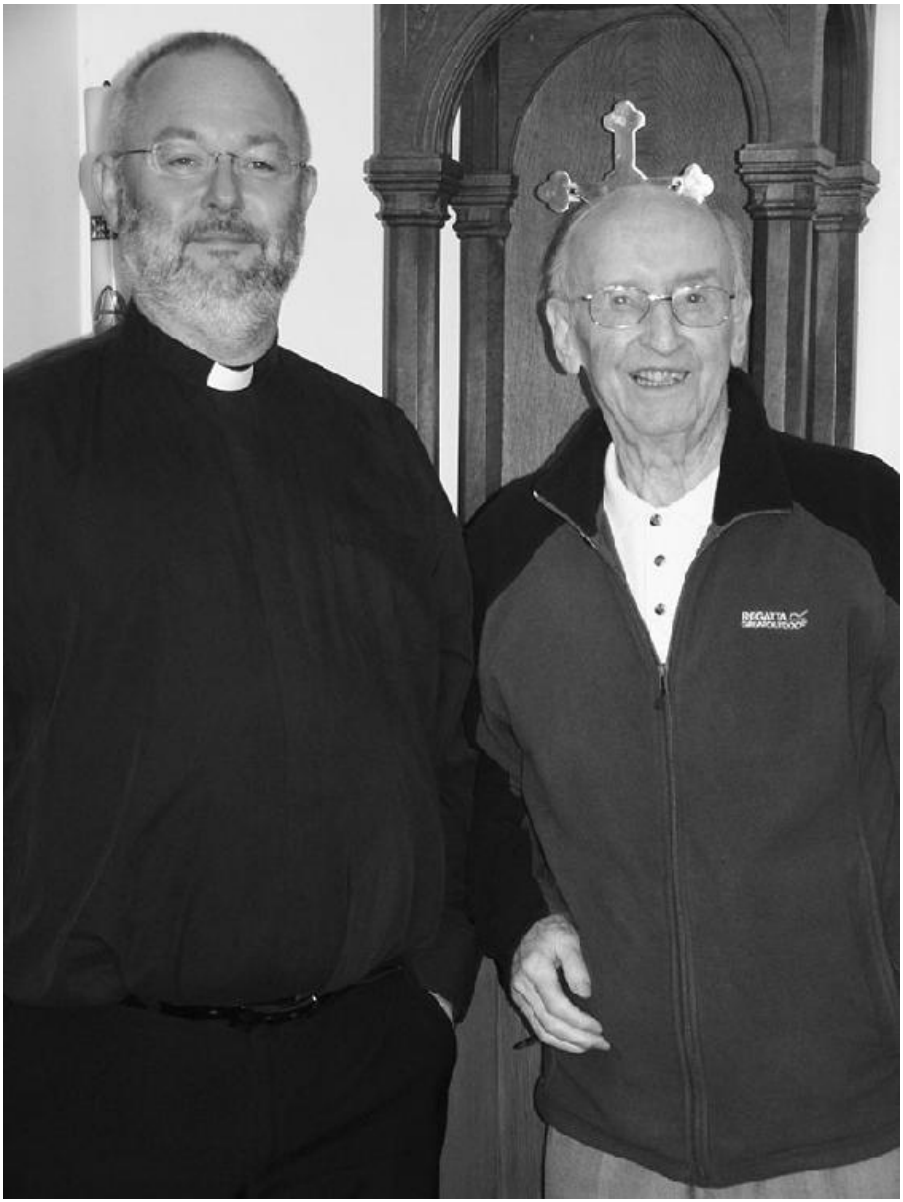

Ksiądz Michael Hutson i Harry Thomson

Małgorzata Szejnert i Piotr Pietrzak

– Czy w czasie wojny prowadzono kronikę parafialną?

– Nie było takiego zwyczaju.

– A teraz?

– Zapisujemy wszystko w internecie.

Harry chciał znowu zadzwonić do Jill.

– Przecież ona musi być w domu, już prawie nie chodzi. I nie dosłyszy,

trzeba dzwonić do skutku.

Zaproponował, żebyśmy pojechali do niego na herbatę z ciasteczkiem.

Mieszka nad zatoką, ma za oknami Ogród Zimowy i bajeczne kwietniki, do których tak się przyłożył Gillespie. Ja zwróciłam uwagę na duże zdjęcie plafonu Sykstyny zawieszone koło regału, a Piotr na fotografię pięknej dziewczyny w mundurze kapitana armii brytyjskiej.

– Moja wnuczka Sara – powiedział z dumą Harry. – Myślisz pewnie, że to przebieranka. Ona naprawdę tego dokonała!

Zaparzył herbatę i zadzwonił do Jill. Wreszcie odebrała. Wyjaśnił jej, o co chodzi, potem odłożył komórkę. Był zawiedziony i zakłopotany.

– Powiedziała, że nic nie pamięta. A jak nic nie pamięta, to nie będzie rozmawiać, bo po co.

Lampedusa

Na internetowej stronie parafii panował duch wzajemnej życzliwości i gotowość do żartów. Trwała na niej nieustanna rozmowa. Zobaczyliśmy zdjęcie Harry'ego Thomsona z dzwonkiem ministranckim, tym samym, który widzieliśmy na oknie w zakrystii. Opowiadał, że dzwonił nim podczas nabożeństw osiemdziesiąt lat temu. Do tej opowieści włączył się zaraz parafianin Archie Dow, który też służył do mszy. Dzwonek pewnego dnia wypadł mu z ręki i zeskakiwał ze stopni ołtarza. I w ciszy kościoła dzwonił i dzwonił, narobił tyle hałasu, że Archie zapamiętał, jak zmarszczył brwi ojciec McShane.

Pod zdjęciem z trzydziestego listopada 1925 roku, z tłumem ludzi i bryczką, ktoś zamieścił uwagę: *Jeśli się dobrze przyjrzysz, zobaczysz obecnego proboszcza. Jeszcze nie ma brody, ale nosi tę samą komżę*. Ten ktoś zauważył we wrotach kościoła biały, ledwie widoczny zarys postaci, która witała przybyłych ponad dziewięćdziesiąt lat temu.

Po Bożym Narodzeniu pokazano zdjęcie szopki z Rzymu. Święty Józef miał ciemnawą twarz, a Matka Boska o cerze blondynki owijała Dzieciątko siecią rybacką. Siedzieli w łodzi z napisem „Lampedusa" na burcie.

Czytelnicy strony kościoła dali znać, że lubią tę szopkę.

Na Wielkanoc ukazało się zdjęcie papieża Franciszka myjącego nogi

czarnemu chłopcu, a w lecie krótkie wideo ze spotkania papieża i grupy uchodźców z Syrii, których zaprosił na lunch.

Ojciec Michael zwrócił się do parafian: *Przygotowując się do przyjęcia piętnastu rodzin syryjskich, modlimy się o to, byśmy mogli zrobić wszystko, co się da, aby znaleźli między nami schronienie. Otwórzmy swoje umysły, żeby zrozumieć ich nieszczęście i rozpacz.*

Zamieszczono wiele wezwań do zbiórek pieniędzy i produktów – dla uchodźców i dla ofiar trzęsienia ziemi w Nepalu – oraz wiele podziękowań – między innymi dla uczniów akademii – za pomoc w tych zbiórkach. Poproszono osiemdziesięciosześcioletnią parafiankę Isę o anielskim głosie, by zechciała zaśpiewać w nawie kościoła, i sfilmowano ją razem z tłem – grupką przypadkowych słuchaczy, którzy stopniowo dołączali do pieśni. Obok zdjęcia pewnej Gwen z ogromnym bukietem kwiatów, który dostała na urodziny, i wiadomością, że właśnie umarła, przekazano słowa od pewnej Fay: *Jaka szkoda, była zawsze tak miła dla mnie u McIntyrów, w ich sklepie rzeźnickim, gdzie pracowała przy kasie…*

Zrobiono kilka małych fotoreportaży z parafialnych wycieczek na wzgórza i do zatoczek. Pozwolono sobie na przytoczenie bloga, którego gadatliwy autor (przedstawił się jako pisarz i katolik) zapewniał, że księża nie są odmieńcami, których by nie można zaprosić na piwo.

Przytoczono także wiele cytatów ze słów papieża Franciszka, na przykład – że najgorszą dzisiaj rzeczą w Kościele jest klerykalizm, kiedy to ksiądz staje się urzędnikiem.

Wśród rozmaitych ogłoszeń i zawiadomień nie było ani jednego o odpustach zupełnych (które stanowią ważną część strony internetowej Świątyni Opatrzności w Warszawie).

Ojciec Michael miał rację – polskie słowa poświęcone Jerzemu Wiśniewskiemu na półeczce pod polskim obrazem sfotografowano i wrzucono do sieci: *Pożegnajmy serdecznie naszego brata. Niech to ostatnie pożegnanie będzie wyrazem naszej miłości.*

Potem, szukając różnych wiadomości o Rothesay na stronie internetowej szkockiego parlamentu, natknęłam się na krótką mowę ojca Michaela Hutsona wygłoszoną przed jedną z debat. Zakończył ją krótką modlitwą, którą, jak powiedział, znalazł w Rothesay, swoim nowym domu: *Panie Boże, pomóż nam kochać nasz kraj i nie nienawidzić żadnego innego. Pomóż nam kochać*

i przyjmować własne tradycje, ale rozumieć i szanować to, w co wierzą inni. (…) *Niech krzyż Świętego Andrzeja będzie symbolem miłości, nadziei, sprawiedliwości i współczucia*[1].

Nasza wyspa i goście

Domyślam się, dlaczego ojciec Michael nie miał ochoty rozmawiać o syryjskich rodzinach na Bute. Parę dni temu wielkonakładowe gazety szkockie rozpętały nad nimi burzę, która boleśnie uderzyła w wolontariuszy i zaniepokoiła przybyszy.

Przybysze z Syrii wprowadzają się do Rothesay

Christopher Furlong/Getty Images

Wydawało się, że wszystko idzie jak najlepiej, że modlitwa o to, *byśmy mogli zrobić wszystko, co się da, i otworzyli swoje umysły*, naprawdę pomogła.

Kiedy Wielka Brytania zobowiązała się w ciągu paru lat otworzyć granice dla dwudziestu tysięcy uchodźców z Syrii, wyspa Bute niemal od razu postanowiła przyjąć piętnaście rodzin i szybko się do tego przygotowała. Po siedmiu miesiącach reporterka Karen Keith mogła podsumować efekty: udało się urządzić dwadzieścioro ośmioro dorosłych i trzydzieścioro jeden dzieci

w porządnych mieszkaniach. Wszystkim umożliwiono naukę języka. Dorosłym przygotowano różne sposoby dokształcania zawodowego, mogą praktykować w miejscowych firmach i warsztatach, część już ma regularną pracę, parę osób chce się jeszcze kształcić. Kto nie ma zajęcia, może pomagać w urządzaniu ogrodu miejskiego i w przygotowaniach do festiwalu muzycznego. Sześćdziesięcioro wolontariuszy, na ogół młodych, pomaga przybyszom w zakupach, w urzędach czy u lekarza.

Karen Keith jest przekonana, że spokój na Bute jest dobry dla ludzi po ciężkim stresie[2].

Dziennik „Telegraph" z dwudziestego piątego lipca 2016 roku przedstawia inną opinię: *Uchodźcy z Syrii przesiedleni na odległą szkocką wyspę Bute narzekają, że ich nowy dom jest pełen starych ludzi, którzy czekają na śmierć*.

„Telegraph" powołuje się na słowa czterdziestodwuletniego Abda, ojca czworga dzieci: *Czuję, że mam teraz jedną możliwość, umrzeć tu, nic więcej*.

Abd kocha Anglię i Szkocję. *Ale tu nie ma ruchu, nie ma nic. Najpierw się nudziłem, teraz jestem w depresji*. Gazeta zaznacza, że zmieniła nazwisko rozmówcy, żeby nie miał przykrości na wyspie.

Tego samego dnia szkocka „Daily Mail" pisze mniej więcej to samo o beznadziei na Bute.

Następnego dnia powtarzają to jak mantrę „Sunday Express" i „Herald".

W artykułach nie ma poważnych zarzutów przeciw Rothesay ani imigrantom. Ale nastrój jest nieprzyjemny. A zwłaszcza zmasowanie niejasnego ataku.

Niektórzy dopatrują się w tym propagandy na rzecz Brexitu.

Siedmioro śmielszych uchodźców przychodzi do „Butemana". Proszą Karen Keith, żeby napisała, że są wdzięczni wyspie. Fryzjer z Damaszku Mounzer Aldarsami, który uczy się teraz strzyc „po brytyjsku", mówi, że czują się tutaj bezpieczni, swobodni i że powitano ich jak rodzinę.

Artykuł Karen Keith, zamieszczony w „Butemanie" dwudziestego ósmego lipca, wywołuje dyskusję w internecie.

Mosin: *Kiedy gazeta „Sun" wydrukowała kłamliwy tekst o tragedii na stadionie Hillsborough*[3]*, cały Liverpool przestał ją kupować. Nawet sieć marketów przestała ją brać. Dlaczego nie zbojkotować „Daily Mail"? Dałoby to do myślenia innym dziennikarzom, którzy pokazują w taki sposób naszą wyspę i gości.* (Dwa lajki, zero dislajków).

Cowlairs: *Od kiedy ukazała się pierwsza wiadomość, że uchodźcy przyjadą na Bute, nie było u was żadnego tekstu, w którym zapytalibyście mieszkańców, co o tym sądzą. Tymczasem Uniwersytet w Oksfordzie zbadał, że ponad pięćdziesiąt procent Szkotów chce mniej emigrantów. Czy napisaliście o tym w „Butemanie”?* (Dziewięć lajków, sześć dislajków).

R. Mackie: *Większość Szkotów wie, że historie publikowane przez prawicowe gazety są tak wypaczane, by służyły ich politycznym celom. Zależy im na tym, żeby przedstawić uchodźców jako niewdzięczników i zwrócić ludzi przeciw nim. Chciałabym powiedzieć gościom z Syrii – nie przejmujcie się. Większość nie zwraca uwagi na te gazety. Dzielą ludzi, są nieprzyjazne i na ogół kłamią.* (Czterdziesci dwa lajki, trzynaście dislajków).

Burza nad Bute zaniepokoiła lekarkę Shameelę Islam-Zulfiqar z Manchesteru, która w ostatnich latach jeździła z konwojami do Syrii i pracowała w szpitalach polowych, między innymi w Aleppo. Przyjechała do Rothesay i nakręciła film dokumentalny *From Syria to Scotland.* Oddaje w nim głos rodzinom szkockim i syryjskim, a ich rozmowy sprowadzają medialną burzę do właściwych rozmiarów – burzy w szklance wody.

Odzywa się także Lisa O’Donnel, popularna pisarka z Glasgow. Pisze, że urodziła się na Bute, jest stamtąd od sześciu pokoleń i że mieszkają tam dobrzy ludzie. *Syryjczycy mogą należeć do rodziny Bute tak długo, jak zechcą*. Ten tekst, wrzucony do sieci, otrzymuje natychmiast dwanaście tysięcy aprobat.

Ktoś pisze, że wyspa zasłużyła na dobrą reputację, przyjmując przez dziesięciolecia uchodźców z różnych miejsc na świecie – ofiary wojny w Wietnamie, w Bośni, w Iranie, w Afganistanie.

Polaków pomija. Albo o nich zapomniał, albo się już zagubili w dalekiej przeszłości.

Polskie siostry

Polskim siostrom udało się nadzwyczajnie. Trudno o lepszy punkt na sklepik z artykułami pierwszej potrzeby: w samym środku miasteczka, naprzeciw przystani, obok przystanku autobusowego i Esplanade.

Młodsza siostra, Lidia, dzisiaj nie pracuje, odpoczywa po chrzcinach

córeczki Lili, które sprowadziły do kościoła Świętego Andrzeja cały tłum parafian. A potem było przyjęcie dla gości. Starsza, Joanna, obsługuje sama klientów i nie bardzo ma czas na rozmowę. Zresztą o czym tu mówić? O Polakach?

O oficerach nigdy nic nie słyszała. Ani od Szkotów, ani od Polaków. Zresztą z Polakami nie szuka kontaktu. Jest ich trochę na wyspie, przyjechali za pracą, kelnerują, malują domy, robią reperacje.

– Nie chcę z nimi mieć do czynienia, wie pani. I mój partner też.

– Dlaczego?

– Bo Polacy bardzo się kierują zawiścią. Nie mogą znieść, jak się innym powiedzie. Jak wykupiłyśmy sklepik, to zaraz poszło, że całą wyspę chcemy wykupić, że nam się w głowie przewraca. Tak niby żartują. Ale to jest taki humor bardziej jadowity. Tutejsi ludzie mają inny humor.

– Ksiądz Michael mówił, że na chrzcinach Lili było dużo Polaków, że kościół dawno nie był taki pełny.

– Było paru Polaków z rodziny, ale reszta Szkoci. My bardzo jesteśmy tu ze Szkotami. Pani wie, że jak myśmy objęły ten biznes, dostałyśmy od klientów chyba ze sto kartek z życzeniami, żeby się nam powiodło. Ojciec i mama przyjechali z Polski pomagać nam w sklepie, wprowadziliśmy rozwożenie do domów gazet, zup, lazanii, ojciec to robił i to się bardzo tu podobało. I rodzice byli tacy zadowoleni z tego życia tutaj, że postanowili do Polski nie wracać. A jak ojciec umarł, to przyszło chyba tyle samo kartek z kondolencjami co przedtem z życzeniami.

– No to ja też życzę paniom powodzenia.

– Niech pani zaczeka, pani może myśli, że Polski nie kocham. Ja bardzo tęsknię do Warszawy, ale nie do Polaków.

– Pani partner jest Szkotem?

– Polakiem.

– Dobrze, że choć jeden dobry się znalazł.

– Dobry? Nie był dobry. Trzeba go było wychować. Jest coraz lepszy.

– To wszystkiego dobrego.

– Zwierzę się pani, że jak przyjechałam tutaj za pracą, miałam taką twarz zawziętą. Idę ulicą, ktoś się do mnie uśmiecha, mówi dzień dobry, a ja myślę ze złością, czego ty chcesz ode mnie. Z czasem ta podejrzliwość zaczęła

spływać i tak miksowałam swój charakter ze szkockim. Ja czuję, że już mam twarz inną.

– Dla Szkotów. A jaką dla Polaków?

– Muszą się zmiksować.

1 Ojciec Michael Hutson, *Time for Reflection, Scottish Parliament*, 4 listopada 2009.

2 Karen Keith, *I love the island and its people*, „Buteman" 26 lipca 2016.

3 Tragedia na stadionie Hillsborough w Sheffield 15 kwietnia 1989, która pochłonęła dziewięćdziesiąt sześć ofiar z powodu zaniedbań organizacyjnych i popłochu, została przedstawiona przez „Sun" sensacyjnie i kłamliwie – kibice z Liverpoolu mieli brutalnie rabować rannych i zabitych.

1943/1944

Kop! Kop! Kop!

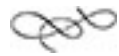

Kop! Kop! Kop!
Byś muskuły miał jak chłop.
Mocno w ziemię szpadel wbijaj
I nie zważaj na robaki,
Co się w dole wiją.
A gdy grzbiet twój woła „dość!”,
Wiedz, że wrogom dajesz w kość.
Kop! Kop! Kop! Dla Zwycięstwa!

Propagandowy wierszyk nieznanego autora popularny podczas wojny na Wyspach Brytyjskich

Rok złych wróżb

Z okazji Nowego Roku wódz naczelny zapewnia swe wojsko: *Opatrzność, której drogi są niezbadane, zbliża nas coraz bardziej do Polski*[1], i rozkazuje odczytać te słowa przed frontem oddziałów, dywizjonów lotniczych oraz na pokładach okrętów RP, tak jak przedtem adres dla pierwszego lorda Admiralicji w rocznicę zwycięstwa pod Trafalgarem.

Alf-Tarczyński także sięga po pióro, aby dokładnie po roku wznowić walkę o swój utracony honor. Nie odzyska go jednak; szef sztabu generał Klimecki, zanim przekaże Sikorskiemu ośmiokartkowy rękopis Alfa, opatruje go informacją: *nie przewiduję obecnie możliwości użycia tego oficera w oddziałach podległych Naczelnemu Wodzowi*[2].

A Tadeusz Katelbach, polityk i publicysta, senator II RP, otwiera gruby tomik z pustymi kartkami, który dostał na Gwiazdkę w Londynie, i rozpoczyna pisanie dziennika. Nada mu tytuł *Rok złych wróżb (1943)*.

Podsumowanie ubiegłego roku zamieszczone w „Butemanie” z pierwszego stycznia jest już właściwie tylko listą zmarłych. Zabrakło miejsca na informacje o mniejszej wadze, nie wypadało ich zresztą mieszać z nekrologami i ze zdjęciami chłopców z Rothesay, którzy nie powrócą do domów.

Nie należy się jednak poddawać. Tydzień później „Buteman” krzepi mieszkańców wyspy sześcioma sposobami, jak trzymać się zdrowo. Kichać i kaszleć tylko w chusteczkę, podczas posiłków nie myśleć o żadnych kłopotach, codziennie przewietrzyć płuca krótkim spacerem, kopać dla zwycięstwa, bo to nie tylko zdrowy ruch, ale i zdrowy rezultat – własne warzywa, nie przesadzać z lekarstwami, czasem wystarczy jedna aspiryna. Pamiętać, że zmartwienie nigdy nie pomaga; jak ciężka byłaby droga – my wygramy wojnę.

Piątego lutego gazeta przytacza słowa lorda Wooltona, ministra wyżywienia, że niektórzy ludzie, nie przez brak patriotyzmu, ale refleksji, karmią chlebem kury i króliki. *Czy jesteście gotowi narażać ludzi na utratę życia po to, by mieć o parę królików albo jajek więcej?* (Zboże płynie do Szkocji statkami narażonymi na ataki U-Bootów).

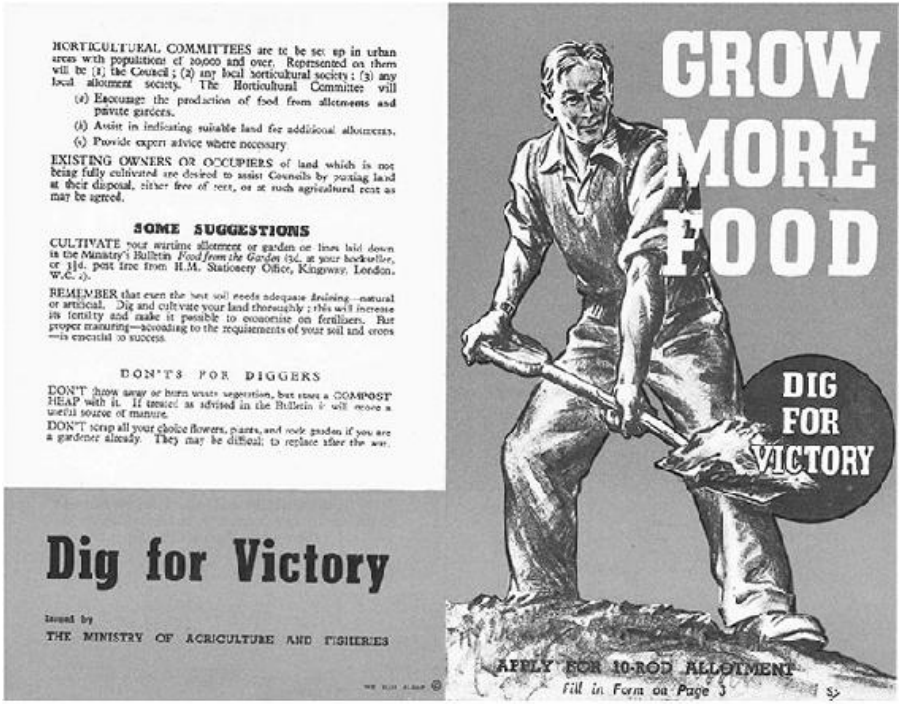
HORTICULTURAL COMMITTEES are to be set up in urban areas with populations of 20,000 and over. Represented on them will be: (1) the Council; (2) any local horticultural society; (3) any local allotment society. The Horticultural Committee will
(a) Encourage the production of food from allotments and private gardens.
(b) Assist in indicating suitable land for additional allotments.
(c) Provide expert advice where necessary
EXISTING OWNERS OR OCCUPIERS of land which is not being fully cultivated are desired to assist Councils by putting land at their disposal, either free of rent, or at such agricultural rent as may be agreed.
SOME SUGGESTIONS
CULTIVATE your wartime allotment or garden on lines laid down in the Ministry's Bulletin Food from the Garden (3d. at your bookseller, or 1½d. post free from H.M. Stationery Office, Kingsway, London, W.C. 2).
REMEMBER that even the best soil needs adequate dressing—natural or artificial. Dig and cultivate your land thoroughly; this will increase its fertility and make it possible to economise on fertilisers. But proper manuring—according to the requirements of your soil and crops—is essential to success.
DON'TS FOR DIGGERS
DON'T throw away or burn waste vegetation, but start a COMPOST HEAP with it. If treated as advised in the Bulletin it will create a useful source of manure.
DON'T scrap all your choice flowers, plants, and rock garden if you are a gardener already. They may be difficult to replace after the war.
Dig for Victory
Issued by
THE MINISTRY OF AGRICULTURE AND FISHERIES
GROW MORE FOOD
DIG FOR VICTORY
APPLY FOR 10-ROD ALLOTMENT
Fill in Form on Page 3

Jeden z licznych plakatów wzywających do uprawy warzyw i kartofli

reprodukcja plakatu propagandowego Dig for Victory

O Polakach brak wzmianek w gazecie.

Szesnastego stycznia Ludowy Komisariat Spraw Zagranicznych ZSRR kieruje do Ambasady RP w Moskwie notę w sprawie obywateli polskich w swym państwie. Nota dotyczy co najmniej dwóch milionów Polaków znajdujących się ciągle w różnych republikach. Wszyscy, niezależnie od miejsca urodzenia, pochodzenia, przekonania narodowego, przyczyn pobytu i przede wszystkim własnej woli, stają się obywatelami Sowietów i podlegają ich prawodawstwu.

To cios nie tylko dla tych wszystkich ludzi, których bliscy pozostali po tamtej stronie. Kolejny znak, że trzeba porzucić nadzieję na powrót do ojczyzny w dawnych granicach. Może w ogóle do kraju. Słowa z noworocznego orędzia generała Sikorskiego, że Opatrzność zbliża jego żołnierzy do Polski, budzą gniew, zamiast pocieszać.

Zwłaszcza na Bute. Oficerowie obwiniają wodza naczelnego i premiera w jednej osobie o miękkość wobec Rosji i o ukrywanie przed Polakami strat, jakie im grożą.

Adam Doboszyński drukuje w „Walce” list otwarty do prezydenta

Władysława Raczkiewicza.

Niech pan stanie, Panie Prezydencie, na wysokości zadania i usunie rząd, który prowadzi Polskę do zguby. Człowiekiem, który cieszy się zaufaniem ogółu Polaków, jest gen. Sosnkowski. Niech go Pan powoła do władzy, Panie Prezydencie. Ratujmy Polskę, pogrążaną coraz głębiej przez ludzi nieodpowiedzialnych. Poprą was polscy żołnierze i wszystko, co w narodzie jest uczciwe i ofiarne[3].

Doboszyński natychmiast idzie do aresztu. To nie łagodzi nastrojów.

Katelbach notuje w swym nowym dzienniku: *Nie znam osobiście Doboszyńskiego.* (…) *Wielu moich kolegów, którzy przed wojną wzdrygali się na sam dźwięk tego nazwiska, rozmawia teraz z Doboszyńskim i twierdzi, że „coś" ma w sobie, że z dawnego skrajnego nacjonalisty (totalizm, antysemityzm i inne) niewiele pozostało. W każdym razie działa odważnie*[4].

Według Katelbacha szerzą się konspiracje przeciw rządowi. Największy ruch panuje wśród lotników. Coś się na pewno zdarzy dwudziestego drugiego lutego. Tego dnia ambasada sowiecka wydaje przyjęcie. Wysłano sto zaproszeń do hotelu Rubens. *Konspiratorzy odgrażają się, że spiorą każdego, kto pójdzie do sowieciarzy czcić 25-lecie istnienia Armii Czerwonej*[5].

Pierożki filipowskie

Jak wygląda przyjęcie u ambasadora Iwana Majskiego dwudziestego drugiego lutego 1943 roku?

Nie odbiegamy wiele od tematu. Rzecz ma związek z Bute.

Uroczystość z okazji *Dnia Krasnoj armii* opisał we wspomnieniach pułkownik Leon Mitkiewicz[6].

Uderzyła go wytworność salonów radzieckich, posadzka wywoskowana jak lustro i niezłe obrazy ze scenami z wojny domowej. Skrytykował panią Majską – przysadzistą niewiastę o semickich rysach, w wydekoltowanej sukni czerwonej jak krew. (Zdjęcia w *Maisky's Diaries* zaprzeczają temu opisowi – pani Majska jest na nich foremna, ładna i wytworna). Nie podobała się mu tak bardzo, że nie pocałował jej w rękę, ale zanotował, że zrobił to idący za nim generał de Gaulle, chociaż musiał się bardzo pochylić. Zauważył także, że

Majski witał gości pomrukiem *„oczeń rad”*, co można przetłumaczyć jako „bardzo się cieszę”, a jego świta trzymała się sztywno, jak obrzędowcy pogrzebowi.

Sporo miejsca poświęcił kulinarnej egzotyce imprezy.

Przyjęcie u Rosjan, jak zawsze i wszędzie na ich placówkach zagranicznych, było wprost oszałamiające – zważywszy racjonowanie żywności w Londynie – mnogością wszelkich rarytasów, jak przepyszny czarny ziarnisty kawior z białugi, różne ryby na zimno, wśród których była i siga i jesiotr, różne zimne mięsiwa, ale najbardziej przypadły mi do smaku znakomite pierożki „Filipowskie”, zupełnie takie same w smaku i wyglądzie jak te, jakie kiedyś jadałem w Moskwie u sławnego Filipowa – z kapustą i z mięsem[7].

Wymienił niektórych obecnych. Byli między innymi generałowie – szef lotnictwa Stanisław Ujejski i Izydor Modelski.

Sikorski nie przyszedł. Może przeszkadzały mu inne zajęcia. A jeśli nie – i tak nie mógł sobie pozwolić na tę wizytę. Rosnąca grupa przeciwników dopisałaby mu ją do listy przewinień.

Gniew, którego uniknął, kieruje się więc w stronę Ujejskiego, którego wysłał w zastępstwie. Zwierzchnik sił powietrznych nie cieszy się mirem, a – jak ocenił Katelbach – lotnicy są najbardziej skłonni do buntu.

Już następnego dnia ktoś Ujejskiemu nie podaje ręki.

Grupa lotników układa list do prezydenta RP Władysława Raczkiewicza.

Katelbach notuje w dzienniku:

Ciekawy dokument. Przepisałem go sobie na wieczną rzeczy pamiątkę. I cytuje:

Panie Prezydencie!

Chwała munduru Lotnika Polskiego – to nie chwała kupiona frazesami i fanfarami. Ta chwała została kupiona życiem naszych serdecznych druhów, którzy na ruinach Ruhry, Bremy, Hamburga i wielu innych wrogich miast wypisali swą krwią Imię Polskiego Lotnika. Dziś mundur Lotnika Polskiego budzi szacunek nawet u wrogów. W imię czego w grę zgubną, grę przypominającą żywo haniebne czasy rozbiorów, jest wciągnięte imię Lotnika

Polskiego?

List ten, Panie Prezydencie, piszemy w głębokim przeświadczeniu, że stała się Lotnictwu Polskiemu wielka moralna krzywda, za którą Lotnictwo Polskie winno otrzymać całkowite i rychłe zadośćuczynienie.

Zdajemy sobie sprawę, że pisząc ten list stajemy w kolizji z wojskowym regulaminem, ale ponad formalne nakazy istnieje dla nas prawo, które jest ponad wszystko święte, a którym jest służba Bogu i Ojczyźnie, a Honorowi wierność.

Niech Bóg Wszechmocny da Ci, Dostojny Panie Prezydencie, moc i niezłomność decyzji w tej tragicznej chwili dziejów.

Londyn, luty 1943[8].

O jakie decyzje chodzi – nie sprecyzowano. Pozostawiono to adresatowi. Według Katelbacha prezydent Raczkiewicz był poruszony i przeprowadzał różne konsultacje. Nie chciał Sikorskiemu pokazać listu, żeby nie zdradzić podpisów. Ale i tak wyszło na jaw, kto za tym stoi. Przyznali się: major Poziomek, kapitanowie Bujalski i Kurzempa oraz podporucznik Sęp Szarzyński.

Katelbach komentuje: *Wszystko to oczywiście, z punktu widzenia normalnych wymogów dyscypliny wojskowej nie jest dopuszczalne. Ale trudno, Sikorski zbiera tylko owoce swej siejby*[9].

Wszyscy czterej lotnicy idą pod sąd wojskowy.

O ich honor upomni się z kolei Roman Czerniawski, chociaż jako bezcenny szpieg polski i brytyjski, a także podwójny, brytyjsko-niemiecki, nie powinien robić wokół siebie hałasu.

Wśród takich mroków i tajemniczej mgły

W marcu prezydent Rzeczypospolitej otrzymuje następne listy. Autorzy domagają się już nie obrony honoru lotników polskich, lecz ratowania Polski. Te memoriały, zachowujące indywidualny styl nadawców, płyną z Rothesay.

Generał Kazimierz Schally pisze drugiego marca:

Powodowany najgłębszą troską o dobro Rzeczypospolitej uważam za swój obowiązek obywatela zwrócić się do Pana Prezydenta, iż do obecnego

Premiera i Rządu na emigracji nie mam zaufania. Są mężowie tu na emigracji i między Polakami w Ameryce, których charakter i postawa ideowa dają rękojmię – iż podołają ciężarowi czasów i sytuacji i potrafią obronić sprawę Polski. Głównym motywem, dla którego nie mogę mieć zaufania do obecnego Premiera i Rządu jest katastrofalny stan sprawy naszych Ziem Wschodnich – jako wynik takiego układu polsko-rosyjskiego, który umożliwił Rosji zakwestionowanie naszej integralności państwowej[10].

Pułkownik Henryk Abczyński, były dyrektor departamentu lotnictwa, czwartego marca:

W chwili gdy groźby czwartego rozbioru Polski łączą się z obelgami miotanymi na Majestat Rzeczypospolitej, któż inny, jak nie Pan Panie Prezydencie, Majestatu tego dziedzic i jedyny strażnik, udzielić może należnej odprawy tym, co groźby i obelgi miotają, tym, co swym dyletanctwem tak walnie im to zadanie ułatwiają, tym wreszcie co krzykiem samochwalstwa groźby te w samo serce Polski godzące, zatajali tak długo, aż stały się śmiertelnym już niebezpieczeństwem[11].

Władysław Raczkiewicz w rozmowie z Władysławem Sikorskim

Narodowe Archiwum Cyfrowe

Pułkownik Tadeusz Münnich – trzynastego marca:

Panie Prezydencie!

Nawet w najtragiczniejszym momencie, gdy zdradziecki cios w plecy

uniemożliwił walkę w Polsce, ani Głowa Państwa, ani Naczelny Wódz nie ulegli i nie poszli na konszachty. Ale równocześnie z tym bohaterskim przejawem Ducha Polski odżyły w chwili walki najciemniejsze upiory naszych dziejów, by w obliczu śmiertelnej grozy i zmagań o byt Polski – dodać do jej tragedii jeszcze wojnę domową. Jaka jest droga, po której idziemy ku przyszłości Polski wśród takich mroków i tajemniczej mgły? Gdzie jest busola, która wyprowadzi na drogę tych imponderabiliów, jakie nam przekazały Wielkie Duchy naszej Ojczyzny?[12]

Generał Stanisław Kwaśniewski – dwudziestego ósmego marca:

Nie przyłączyłem się dotychczas do protestu Emigracji przeciwko polityce zagranicznej – i nie tylko zagranicznej – obecnego Rządu RP, a w szczególności jego premiera, p. Sikorskiego, jedynie dlatego, że wierzyłem, iż w jakiś przyzwoity czas rząd ten ustąpi, względnie zostanie usunięty. (…) *zwracam się do Pana Prezydenta R.P. z głosem jak najgoręt̨szego sprzeciwu przeciwko pozostawaniu nadal na stanowiskach – tych ludzi.*

Po ujawnieniu stanowiska Sowietów nie ma wszak żadnych więcej wątpliwości, że zawarcie paktu z Sowietami – przy pozostawieniu całego szeregu groźnych niedomówień i zgodzie Sikorskiego na haniebne słowo „amnestia" – było działaniem na szkodę Rzeczypospolitej.

Sprzeciw ten zgłaszam jako dotychczasowy prezes zarządu głównego Ligi Morskiej i Kolonialnej, wybrany przez Walne Zebranie Delegatów organizacji, która liczyła w kraju i Ameryce ponad 1.000.000 członków[13].

Pod sam koniec miesiąca prezydent Raczkiewicz znajduje w poczcie kolejny apel o ratowanie Polski. Nie pochodzi od oficera, lecz od wdowy po oficerze. Mieszka w Edynburgu, ale przebywałaby w Rothesay, gdyby jej mąż, szef sanitarny obozu w Brighton, nie uniknął wysłania na wyspę Bute samobójczym strzałem.

Anna Ludwika Mintowt-Czyż pisze:

Czcigodny Panie Prezydencie!

Prasa ujawniła stan zagrożenia naszych granic wschodnich, a przez to bytu Państwa i Narodu.

Rząd obecny z premierem Sikorskim na czele, oszukiwał społeczeństwo w Kraju i na emigracji nie podając prawdy.

Metody stosowane przez Rząd, a zwalczające bezwzględnie Legendę Piłsudskiego i Jego żołnierzy, obróciły w niwecz dwudziestoletni dorobek Polski.

Ofiarą tych praktyk i systemów padł mój mąż, który odebrał sobie życie, czynem tym protestując przeciw tym metodom.

Pozostało mi trzech synów. Dwaj starsi są w lotnictwie polskim w Wielkiej Brytanii. Starszy z nich przeszedł przez obozy i więzienia bolszewickie.

Pan, Panie Prezydencie! Jest szafarzem życia i krwi naszych dzieci.

Jako matka obywatelka mam prawo wiedzieć, w imię jakich ideałów mają walczyć i ginąć nasi mężowie i dzieci.

Czy dla zaspokojenia ambicji Panów Sikorskich.

Czy dla powiększenia terytorium ZSRR, czy też dla dobra Rzeczypospolitej.

Jeżeli dla dobra Państwa i Narodu, to ci Panowie, którzy doprowadzają do pomniejszenia roli Polski, powinni odejść, by przyszłe pokolenia nie zarzuciły nam, żeśmy dopuścili do Targowicy.

Pan, Panie Prezydencie, musi ich usunąć, aby Naród wiedział, że sprawiedliwość istnieje i że Dobro Polski jest Prawem Najwyższym, a Pan ich Stróżem i Obrońcą.

Proszę przyjąć wyrazy głębokiej czci i poważania[14].

Zaległości Dziuni

W tym samym miesiącu, kiedy oficerowie izolowani na Rothesay wysyłają listy do prezydenta, Dziunia dostaje kartkę od Stefana i natychmiast mu odpisuje na skąpym formularzu poczty wojennej. Nie może tak swobodnie rozwijać tematu jak autorzy pism, których adresat mieszka w kraju wolnym od okupacji. Ale nie rezygnuje z wyrażania uczuć.

Drogi mój Braciszku. Nie mając tak długo listu strasznie się niepokoiłam – ta kartka od Ciebie to ogromna radość. Serce mi nie dokucza – bądź spokojny – muszę być zdrowa. Chciałabym odrobić wiele zaległości i cieszyć się Waszym szczęściem. Wszystkie etykietki już wysłane. Pragnęłabym wreszcie otrzymać wiadomość, żeś otrzymał cośkolwiek. Papierosy stale

wysyłam. Jestem jak najlepszej myśli. Niech Bóg chroni Was od złego.

Twoja Dziunia

Wykorzystała wszystkie etykietki uprawniające do nadania paczek. Dlaczego musi być zdrowa? Czy to znaczy, że Rak potrzebuje większej opieki? Chciałaby się cieszyć szczęściem swoich bliskich. Jakim? Wie, że Mika jest w Warszawie, Stefan w oflagu, ciągle rozłączeni. Nie wie, że najmłodsza siostra mamy, Marychna, choruje na tyfus w strasznym więzieniu na Zamku lubelskim – zobaczyła z okna rosyjskich jeńców pędzonych przez Białą, wybiegła i podała im chleb. Nie ma już warkoczy, na Zamku ogolono jej głowę. Dziunia nie może też wiedzieć, że brat mamy Stach Biernacki, który miał przejąć firmę po dziadku, uciekł ze stalagu w Altengrabow, dotarł do Białej, podczepiony pod wagonami towarowymi, wstąpił do AK, ostrzeżony przez dobrego folksdojcza ukrywał się w Bieszczadach, ale go złapali, od kwietnia jest w Auschwitz.

Może Dziuni chodzi o szczęście, które nastąpi po wojnie, kiedy wszyscy wrócą do domu.

Jakie zaległości chciałaby odrobić? Na pewno nie zaniedbała niczego na Bute, wykonywała codzienne czynności, czytała, spacerowała, uczyła się angielskiego, spędzała czas z Rakiem, dbała o siebie i innych. Może uczestniczyła w jakichś wspólnych zajęciach – na Bute jest już dwadzieścia pięć polskich pań i osiemnaścioro dzieci, od niemowlęcia do studentów. Zaległość to chyba cztery lata polskie, które po powrocie musi przeżyć wstecz, zanim zacznie żyć na bieżąco.

Pisze, że jest *jak najlepszej myśli*, inaczej, niż autorzy listów do prezydenta. Ale może tylko pociesza brata.

Kiedy wysyła ten list, na cmentarzu High Kirk leży już siódmy polski oficer, podpułkownik Władysław Ryszanek, były zastępca komendanta twierdzy Brześć Kostka-Biernackiego, przed samą wojną konsul w Hamburgu. Informatorzy o nastrojach w stacji zbornej wymieniali go wśród najgorliwszych opozycjonistów. Zmarł ósmego marca. Jak przebiegało pożegnanie – nie wiemy. „Buteman” nie zamieścił żadnej notatki.

Zanim generał Stanisław Felix Kwaśniewski napisał do prezydenta RP, że czas odsunąć ten rząd, odczytał publicznie swój wiersz o Polsce. Zrobił to dziewiętnastego marca, w imieniny Józefa Piłsudskiego, podczas akademii na Bute. Nie wiemy, czy było to prywatne spotkanie grupy oficerów czy oficjalne, za zgodą Komendantury. To drugie jest zupełnie prawdopodobne, bo dowództwo, zaniepokojone buntowniczymi nastrojami w wojsku, stara się raczej łagodzić, niż drażnić.

Stanisław Felix Kwaśniewski

Internetowy Polski Słownik Biograficzny

Ale poemat byłego prezesa Ligi Morskiej i Kolonialnej nie uspokaja.

Widzę Cię Polsko taką, jaką Jego dzieło
pozostawiło: zdolną do spełnienia roli,

którą zakreślił Wielki Chrobry i Jagiełło,
widzę Cię wydźwigniętą z stuletniej niewoli
i podającą rękę i Litwie i Rusi
ze Śląska hen do Dźwiny i do Zaporoża.
Bo tylko tak powinno być i tak być musi:
Polska z Litwą i Rusią – od morza do morza.
(…)
Marszałku! Wszak Ty widzisz tam spod Srebrnych Dzwonów,
jak stada kruków Twoją obsiadły kaplicę
i kraczą, że spuścizna Chrobrych, Jagiellonów,
że to trup i już szarpią krwawiące granice.
Za krukami zlatują się także gawrony
i urągają na Twe wiekopomne dzieło,
na Twą wolę złączenia Litwy i Korony,
kraczą, że tylko Chrobry, ale nie Jagiełło.

Dalej generał wzywa Marszałka, by zagrzmiał z Wawelu, przepędził mieczem tchórze, karły i nicponie. Woła rodaków:

Hej! Kto Polak, niech staje dziś w jednym szeregu!
zapomnieć krzywd i uraz, podać sobie ręce
i zgodnie, równo, mocno, wiosłować do brzegu![15]

Komu zapomnieć krzywdy i urazy, kto się ma jednoczyć? Po tym jak Marszałek przepędzi wrogów, będziemy wśród swoich, myślących i czujących tak samo.

Tydzień Skrzydeł

W kwietniu wyspa żółci się od żonkili. Rosną dziko, jak wrzosy na wzgórzach. „Buteman” z drugiego kwietnia 1943 sprawozdaje na pierwszej stronie, że parafianki Świętego Jana urządziły żonkilową herbatkę. Na każdym stoliku stała waza z kwiatami, dochód ze sprzedaży pójdzie na potrzeby kościoła. Wymyślono różne atrakcje. Zgadywano imię pluszowego psa. Kto nie zgadł, wrzucał pewnie grosz do skarbonki.

Od Bute oczekuje się jednak większej ofiarności. Musi, a przynajmniej powinna, zebrać osiemdziesiąt tysięcy funtów na sześć *spitfire*’ów i jeden kosztowniejszy od nich *sunderland* – latającą łódź patrolową, ratowniczą i atakującą U-Booty.

Od wyspy Arran, strzeżonej przez śpiącego rycerza i prawie bezludnej, Wielka Brytania domaga się mniej – tylko czterdziestu tysięcy funtów, na osiem *spitfire*’ów.

Państwo potrzebuje dwunastu tysięcy samolotów bojowych. To kosztuje niewyobrażalną kwotę sześćdziesięciu milionów funtów.

Zbiórce ma służyć Tydzień Skrzydeł, który zaczyna się właśnie na wyspach. Będą koncerty i wystawy. RAF przysłał na Bute dwie bomby – jedną można obejrzeć w kinie Royal, drugą w kinie Palace. Znany jest już także porządek parady. Wyruszy z parku przez ulice Wysoką, Zamkową, Biskupa, Wiktorii – do Pawilonu. Będą jej towarzyszyły orkiestry marynarzy, lotników i piechoty szkockiej. Otworzą ją kadeci floty, za nimi podążą rozmaite służby – gwardia cywilna, strażacy, wrenki, ratownicy, leśnicy, harcerze, a zamkną ją najmłodsze zuchy, dziewczynki nazywane *brownies*, jak ulubione ciasteczka. Na tarasach Pawilonu czekać na nią będą oficerowie różnych formacji.

Jesteśmy dumni, tak bardzo dumni z naszego lotnictwa – pisze „Buteman". – *Zwycięstwo jest w drodze. Nikt nie wie, kiedy przyjdzie, ale niewątpliwie zależy to od tego, jak oszczędza kraj. Ten tydzień pokaże, czy jesteśmy gotowi na spłacanie długu zaciągniętego przez wielu u tak niewielu*.

W obszernych i drobiazgowych tekstach, jakie „Buteman" poświęca Tygodniowi Skrzydeł, nie ma żadnej wzmianki o Polakach. Widocznie Tydzień nie zainteresował się Polakami albo oni nim.

Bo nawet jeśli dokona się cud i dwanaście tysięcy mieszkańców Bute (w tym dzieci i starcy) uciuła osiemdziesiąt tysięcy funtów na cele wojny, czy ułatwi to Polakom drogę do domu?

Dziewiątego kwietnia już wiemy, że cud się nie nie zdarzył, ale jest możliwy. Bute zebrało pięćdziesiąt dziewięć tysięcy funtów, w tym trzydzieści od menedżera wielkiej firmy budowlanej pana Allisona. Wyspa Arran zgromadziła prawie dwadzieścia pięć tysięcy. Będą zbierać dalej.

„Buteman" dodaje do tych wiadomości parę refleksji: Morale obywatelskie pozostało niezłomne. Bohaterstwo trzech sił zbrojnych walczących na morzu, w powietrzu i na lądzie pozostaje w zgodzie z naszą tradycją i dumą. Jedność aliantów jest mocna i pewna. Niewiarygodny heroizm armii rosyjskiej stanowi wyzwanie i inspirację dla nas wszystkich. Pozdrawiamy ich dzisiaj jako braci w walce.

„Odezwa łańcuchowa"

Pułkownik Tadeusz Münnich ma w tym tygodniu inne zajęcie niż obserwowanie parady. Jeśli nawet sam nie pisze „odezwy łańcuchowej”, na pewno bierze udział w dyskusjach nad jej treścią, formą i kolportażem. Odezwa pod tytułem *Oskarżamy* zaczyna się poleceniem.

Po otrzymaniu przepisz w 5 egzemplarzach, poślij 5 znajomym. Nie szukaj najpewniejszych. Autorzy tej odezwy nie obawiają się ujawnienia.

W kraju nie ma ani jednego Quislinga, ale tu na ostatnim skrawku walczącej Europy, dokąd z niesłychanym wysiłkiem przedzierano się z własnej woli, by walczyć razem i do końca – tutaj 500 oficerów znajduje się pod nadzorem! 500 oficerów stanowiących w oczach Anglików kryminał i dywersję. Nie zaprzeczajcie, nie tłumaczcie się. Zapytajcie się rektorów szkół wyższych, którzy wyrażają zdumienie, że ludzie z wyspy mają czoło starać się o stypendia dla siebie czy swych dzieci. Zapytajcie kierowników British Council, którzy odmówili rozmów z oficerami z obozu. Zapytajcie przedsiębiorców nie chcących pertraktować z oficerami, póki „nie odsiedzą kozy”. Zapytajcie tych, którzy odmówili pracy w fabrykach „ludziom niepewnym”.

Na nic się nie zdadzą wykręty, że coś trzeba było zrobić z nadmiarem oficerów. Coś zrobić – nie znaczy koniecznie zrobić świństwo. Ale nie bójcie się. Uspokójcie się. Nie szukajcie nowych zamachów i spisków. Nie mamy zamiaru robić zamachu na wasze mizerne życie, ani tym bardziej na waszą jeszcze mizerniejszą władzę. Ani my, ani inni, ani nikt – znamy się dobrze na wyspie.

Ponad waszemi głowami mówimy i mówić będziemy.

Kraj będzie ostatnim sędzią naszym i waszym[16].

Trzynastego kwietnia, kiedy odezwa *Oskarżamy* jest już gotowa, radio niemieckie ogłasza wiadomość o odkryciu masowych grobów oficerów polskich koło Katynia.

Parę dni później Dziunia pisze do Stefana:

Braciszku najmilszy, zdrowi jesteśmy, a upragniona kartka od Ciebie, że Bóg chroni Was Najdroższych – łagodzi gorycz rozłąki i daje siły do przetrwania. Strasznie martwię się o Halę, mam złe przeczucia co do Rysia. Mikę całuję i dziękuję – za Ciebie. Bielizna i ubranie wysłane w grudniu.

Papierosy wysyłam po 200, 400 lub 500 szt. Załączam swoją foto, jeśli możesz przyślij Twoją. Boskiej opiece Cię polecam. Drogą głowę Twoją do serca tulę i całuję.

Dziunia

Jej szwagier kapitan Ryszard Ługowski znajdzie się po latach na liście zamordowanych w Charkowie, tak jak pułkownik Tadeusz Kozakiewicz, na którego ciągle czeka Raisa w oficynie w Białej Podlaskiej.

Gdzie wtedy mieszkała Hala Ługowska, w Białej czy w Warszawie? To zależało od okoliczności wojennych. Kiedy przemieszkiwała w Białej, u mego dziadka, chodziła do Raisy i dzieliły swoje zmartwienia. Bała się nieustannie o swego jedynaka Jasia, dwa lata starszego ode mnie. Kiedyś zdradziła mi tajemnicę. Siedziałyśmy w kuchni bialskiego domu, w smrodzie karbidówki. Reperowała gruby sweter Jasia zrobiony na drutach. „Pomacaj kołnierzyk" – powiedziała. Wyczułam coś twardego i okrągłego. „Co to jest?" „Świnka". Tak nazywano złotą carską pięciorublówkę. Miała być łapówką w razie jakiejś wpadki albo łapanki. Hala widocznie liczyła na to, że zadbam, by Jasio nie porzucił gdzieś swetra podczas naszych gonitw w labiryntach piaszczystych okopów w ogrodzie księdza.

Piętnastego kwietnia ambasador RP Edward Raczyński i generał Sikorski jedzą śniadanie z Churchillem. *Mówiliśmy o tym, że mamy obiektywne dowody stwierdzające winę moskiewskiego NKWD* – notuje Raczyński. – *Churchill zachowaniem się swoim, aczkolwiek niewyraźnie, okazywał, że w to nie wątpi. Powiedział: „Bolszewicy mogą być bardzo okrutni". Dodawał jednak, że w ich bezwzględności leży ich siła, a ta służy sprawie sprzymierzonych, niszcząc siłę niemiecką*[17].

Szesnastego kwietnia Ambasada RP w Londynie odrywa się na chwilę od wielkiej polityki, by zająć się małą. Otóż brytyjskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych otrzymało wiadomość od Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, że pan Dąb-Biernacki dostał zezwolenie od rządu Północnej Irlandii na import niewielkiej liczby zwierząt futerkowych, aby uruchomić farmę futrzarską, i prosi o zgodę na przyjazd do Anglii, do farmy koło Carlisie, gdzie zamierza kupić zwierzęta. Chce także odwiedzić Brytyjskie Stowarzyszenie Kupców Futer w Londynie, aby uzyskać odpowiednie porady. Ministerstwo Spraw Wewnętrznych popiera tę inicjatywę, uważa za rozsądne, że pan Dąb-

Biernacki stara się o konkretne zajęcie, które mu da utrzymanie. Zanim udzieli panu Dębowi-Biernackiemu odpowiednich gwarancji, chciałoby znać opinię rządu polskiego.

Ambasada kieruje więc pismo do doktora filozofii Józefa Retingera, doradcy Sikorskiego, szarej eminencji rządu RP, by porozumiał się z premierem, uzyskał od niego stanowisko w tej sprawie, przekazał je ambasadorowi, a ten zakomunikuje je Brytyjczykom.

Być może premier miał dzięki temu chwilę wytchnienia, jaką mogą dać drobne rzeczy praktyczne, które można załatwić od ręki.

Dzień później, siedemnastego kwietnia, Rada Ministrów postanawia zwrócić się do Czerwonego Krzyża w Genewie o zbadanie sprawy katyńskiej. Nie uzgadnia tego wniosku z Wielką Brytanią. Oficerowie w Rothesay, gotowi zawsze do krytyki Sikorskiego, tym razem przyznają – rząd postąpił godnie.

Dwudziestego piątego kwietnia, w pierwszy dzień Wielkanocy, Związek Radziecki zrywa stosunki dyplomatyczne z rządem RP. Oskarża go o wspólną z Hitlerem kampanię antysowiecką.

Tego samego dnia czterej niepokorni lotnicy, ukarani za list do prezydenta w obronie honoru lotnika polskiego, zamiast dzielić się święconym jajkiem, przejeżdżają przez Edynburg w drodze na Bute. Jak notuje Katelbach, na dworcu żegnają ich tłumnie, mimo zakazu władz, koledzy oficerowie i polscy studenci. Autor dziennika nie wspomina, by śpiewano *Pierwszą Brygadę*, tak jak to było latem 1941 roku, gdy pierwsza partia niepożądanych wyjeżdżała z Broughton.

Pieśń rozlegnie się za miesiąc w zupełnie nieprzewidzianych okolicznościach. Nie jako znak protestu czy przekory, lecz jako późny gest pojednania. Szczery czy taktyczny?

Dwudziestego piątego maja generał Sikorski wylatuje brytyjskim liberatorem na Bliski Wschód. Odwiedza polskie obozy żołnierskie. Długo rozmawia z generałem Andersem.

Anders wspomina: *Rozmowy nasze, prowadzone w atmosferze wzajemnego zaufania, niejednokrotnie przechodziły na sprawy dotychczas drażliwe. Gen. Sikorski stwierdził, że wśród jego otoczenia są ludzie, którzy mu źle doradzali, i że z tego wynikło wiele nieporozumień*[18].

Podczas inspekcji drugiej brygady czołgów w Quisil Rabat Sikorski

zwraca się do orkiestry, by odegrała *Pierwszą Brygadę*.

Łańcuszek *Oskarżamy* traci na powadze i sile. Autorzy nie puszczają go w obieg. Tadeusz Münnich dopisuje pod swoją kopią: *Brulion odezwy przygotowanej lecz nie wydanej wobec wagi wydarzeń związanych z odkryciem zbrodni katyńskiej i wkrótce potem* (…).

Nie uwłaczono

W kwietniu Sąd Honorowy dla Generałów pod przewodnictwem generała broni Kazimierza Sosnkowskiego oddala sprawy Stanisława Roupperta i Władysława Kalkusa.

Doktor Rouppert nie będzie więc już więcej zeznawać, w jaki sposób przyznawał oficerom przed wojną kategorie zdrowia i czy w czasie wojny szukał bezpiecznej synekury dla syna. Ostatnie pismo w tej sprawie składał pod koniec lutego 1943; po siedemdziesięciu czterech latach atrament jest ciągle niebieski.

Co do kategorii. Jeszcze za życia marszałka Piłsudskiego wojskowe biuro personalne obliczyło, że w 1943 roku trzydzieści procent oficerów przejdzie w stan spoczynku z powodu wieku. Marszałek powiedział więc Rouppertowi: *Byłoby to zbyt wielkiem wstrząśnieniem dla armji i dlatego zdecydowałem zwolnić pewną ilość oficerów o słabych opiniach wcześniej w ciągu kilku najbliższych lat. Mógłbym ich zwolnić inną drogą, ale nie chcę na nich nakładać piętna i dlatego postanowiłem zwolnić ich drogą przez komisję lekarską. Utworzycie komisję lekarską*. Rouppert powiedział, że to trudna sprawa – przebadanie paru tysięcy oficerów, ale Marszałek kazał mu się zająć wykonaniem rozkazu.

Powołano komisję. Wykorzystała przepisy dla poborowych w wieku dwudziestu–dwudziestu jeden lat, które można było także zastosować do oficerów. Starsi nie byli w stanie spełnić tych wymagań zdrowia i sprawności. Zwłaszcza jeśli mieli za sobą dwie kampanie bojowe.

Marszałek zgodził się na wniosek Roupperta, by zwalnianym doliczyć dziesięć lat do emerytury.

Co do synekury syna Bolesława, generał Rouppert wyjaśnił:

W okresie pobytu Ministerstwa Spraw Wojskowych w Dubnie [we wrześniu

1939 roku] miałem dużo pracy ze szpitalami przesuniętymi z innych okolic kraju i umieszczonymi w nieprzewidzianych na to budynkach. Wobec tego musiałem jeżdżąc do nich wozić pieniądze dla tych szpitali. Równocześnie widziałem, że syn mój zajmuje się w tym czasie rekwirowaniem samochodów cywilnych na drogach wokoło Łucka. Wobec tego po jednej z odpraw u II Wiceministra powiedziałem (…)*, że jeśli mój syn ma dalej gonić po Polsce z nieumundurowanymi rezerwistami i rekwirować samochody na drogach, to lepiej by mi się przydał jako łącznik w departamencie. Na tem się skończyła moja „interwencja”.*

Zespół orzekający ocenił jednogłośnie, że doktor Rouppert *nie ma być oddany pod sąd honorowy*[19].

Lotnik generał Władysław Kalkus, dawno zwolniony z Rothesay, miał z kolei w 1939 roku zezwolić innemu lotnikowi na użycie samochodu ciężarowego do celów prywatnych. Sprawą zajmował się już sąd polowy. Teraz powraca pod Sąd Honorowy dla Generałów. Czy generał Kalkus uwłaczył honorowi oficerskiemu?[20]

Lotnik, który użył ciężarówki za zgodą generała, nie może złożyć dodatkowych wyjaśnień, nie żyje od dziewiętnastego grudnia 1941 roku; wcześniej stracił żonę i dzieci. To Antoni Gosiewski.

Generalski sąd honorowy oddala sprawę Władysława Kalkusa czwartego czerwca 1943 roku.

Dwadzieścia dni później jego dwudziestojednoletni syn Wacław, pilot nawigator ze 138. Szwadronu RAF, ginie nad Holandią z trzema kolegami. Lecieli nocą. Ich halifax II zostal zestrzelony przez niemiecki myśliwiec. Ojciec też nie doczekał końca wojny, umiera w bazie lotniczej w Blackpool w lutym 1945 roku.

Śmierć Raka

Echo ułaskawionej *Pierwszej Brygady* nie dotarło do kapitana Ignacego Raczkowskiego. Jedenastego maja zmarł w Rothesay. Dziunia nie życzy sobie współczucia, nawet od brata. Stefan Szejnert pisze z oflagu do mojej mamy: *Z Dziunią korespondencja trudna. Jest zabezpieczona materialnie i „wśród przyjaciół”. Was całuje szczęśliwa, że przetrwaliście najgorsze*.

Stefan jest pewien, że wojna się kończy. Dodaje: *Zdrów jestem jak koń, tylko „chandra" cholerna – ale wkrótce będzie kres mojej niedoli*.

„Buteman" pomija polskie ceremonie na rothesayańskim cmentarzu. Trudno poświęcać uwagę przybyszom, którzy umierają w sposób cywilny, gdy grzebie się własnych chłopców poległych w akcji i gdy trzeba ścieśniać wiadomości na łamach, bo papier jest drogi.

W lipcu „Buteman" nie zwróci uwagi na śmierć generała Sikorskiego, naczelnego wodza setek oficerów, którzy ciągle stacjonują na Bute.

Jeśli gazeta chciałaby pożegnać kapitana Ignacego Raczkowskiego, zrobiłaby to czternastego maja. Ale w tym właśnie numerze podaje wiadomość o Edwardzie Lusku, młodzieńcu w brytyjskiem uniformie wojskowym i w berecie z pomponem, zmarłym z ran odniesionych w Tunisie. Pracował w spółdzielni w Port Bannatyne, był popularny wśród klientów i kolegów. Dziunia mogła go znać, przynajmniej z widzenia. Jego młodszy brat służy w Królewskich Siłach Lotniczych.

Co z nią dalej – nie wiemy. Może mieszka jeszcze przy ulicy Ardbeg, może pojechała do Londynu. Jest wolna i na pewno nie ma dużego bagażu.

„Brutus"

Stacja oficerska ciągle trwa. W czerwcu Komendantura wpisuje na listę nowego pensjonariusza. To podpułkownik[21] Roman Czerniawski. Jakby nie było już dosyć różnych manifestów, przygotował kolejny. Kupił powielacz i odbił sto kopii. Zrobił to w swoim mieszkaniu na londyńskim Kensingtonie, dzielnicy zamieszkanej gęsto przez Polaków i nazywanej kiedyś *Znasz li ten kraj*.

Do mieszkania wkroczyła polska żandarmeria i zaaresztowała dokument.

Roman Czerniawski nie jest analitykiem ani publicystą jak Jerzy Niezbrzycki, lecz szpiegiem praktykiem. O tym, co robi, wie tylko oficer, który go prowadzi.

Roman Czerniawski

Centralne Archiwum Wojskowe

Manifest pod tytułem *W obronie kolegów* nie ma nic wspólnego z jego działalnością szpiegowską. Czerniawski jest pilotem, nie cierpi szefa lotnictwa Ujejskiego i solidarność wobec czterech lotników daje mu okazję do napisania na niego paszkwilu.

Opowiada mi o tym Jan Czerniawski, krewny Romana. Rozmawiamy w Warszawie. Jan Czerniawski przyjechał do mnie na rowerze, w krótkich spodniach i trampkach. Mieszka pomiędzy Anglią, Polską i Rosją. W Rosji prowadzi wykłady dla młodych pracowników wielkich korporacji, finanse, audyt, ryzyko zawodowe, etyka w biznesie. Mówi, że materiał ludzki jest

świetny, obkuci z angielskiego, *ojciec by się w grobie przewracał, gdyby wiedział, kogo ja uczę*. Ojcu udało się przetrzymać Workutę, wyszedł z Andersem.

Jan Czerniawski poznał Romana jako młodzieniec, po studiach w Oksfordzie. Ich pokrewieństwo było dosyć skomplikowane. Starszy powiedział młodszemu: mów mi odtąd wujku.

– Wuj był czarujący. Dowcipny, ale apodyktyczny. Miał przenikliwe oczy. Szybki. Chętnie mówił. Nie dał sobie przerywać. Niskiego wzrostu, a klasa rządząca w Anglii była wysoka. Dlatego pewnie awanturniczy.

Wtedy jeszcze Jan Czerniawski nie wiedział, kim naprawdę jest wuj czy raczej stryj. Dowiadywał się tego stopniowo. Niektóre fakty wychodziły na światło dzienne dopiero po latach, kiedy zaczęli je ujawniać historycy wywiadu. Teraz wie już tyle, że sam chce napisać książkę o Romanie Czerniawskim. Jednym z jej epizodów będzie Rothesay. Szukał ulotki, która zaprowadziła wuja na wyspę. W polskich archiwach nie było. Znalazł ją, przetłumaczoną na angielski, w zbiorach kontrwywiadu brytyjskiego[22].

Musiałem ją odtłumaczyć – mówi. – Wyobraziłem sobie język, jakim pisał wuj. W tamtym czasie.

Ulotka jest podpisana „Wasi koledzy", ale Jan Czerniawski czuje w niej temperament swego krewniaka.

Ten okropny czyn generała Ujejskiego [obecność na uroczystości w ambasadzie sowieckiej] musiał mieć reakcję i gdyby reakcji nie było, Polskie Lotnictwo nie byłoby godne umiłowania przez Naród Polski. Generał Ujejski bronił się, twierdząc, że otrzymał rozkaz wzięcia udziału w obchodzie. (…) *Chcemy oświadczyć, że nikt nie ma prawa wydać takiego rozkazu, gdyż nikt nie może rozkazać żołnierzowi tańczyć na grobie ojczyzny oraz swoich zamordowanych braci.* (…) *Należało do generała Ujejskiego wytłumaczyć, że tych życzeń nie mógł wykonać, ewentualnie zdać funkcję. Generał Ujejski natomiast wolał przekształcić mundur lotnictwa w służalczą liberię raczej, niż poświęcić karierę.*

Dalej autorzy zajmują się biografią szefa lotnictwa.

Uprzedzają: *Aczkolwiek piszemy o generale Ujejskim niepochlebnie, nie podminowujemy jego autorytetu, bo takowy autorytet nie istnieje*.

Zdradzają czytelnikom ulotki, że Ujejski nie skończył szkoły lotniczej,

służył na balonach w imperium austro-węgierskim, nie był nigdy pilotem bojowym, przed wojną zawdzięczał awanse małżeństwu z hrabianką, a premie – godzinom lotu nie za sterami, ale jako balast. Na emigracji dostał stanowisko dzięki serwilizmowi wobec nowej władzy. Jest zapobiegliwy i sprytny. *Ten typowy bohater zabrał ze sobą [do Wielkiej Brytanii] trzy pokolenia swojej rodziny, w sumie około piętnastu osób. Stanowi to swojego rodzaju rekord*.

Jan Czerniawski ocenia, że wuj mocno się zagalopował. Nie powinien sobie na to pozwalać. Przede wszystkim dlatego, że siedząc na Bute, musiał zaniedbać swoje obowiązki – nie mógł nadawać depesz dla Niemców.

Tu trzeba cofnąć się z opowieścią.

Według Jana Czerniawskiego i innych źródeł, już historycznych, pilot Roman Czerniawski odbywa kampanię francuską jako szef Oddziału II w 1. Dywizji Grenadierów. Po kapitulacji Francji spotyka się w Tuluzie z oficerem polskiego wywiadu majorem Mieczysławem Słowikowskim[23]. Okazuje się, że ani Anglicy, ani ewakuujący się w chaosie Polacy nie zostawili we Francji żadnych agentów. Słowikowski zleca Czerniawskiemu zorganizowanie siatki wywiadowczej i wysyła go do Paryża. Dzięki zdolnościom Czerniawskiego – pseudonim „Walenty" – powstaje siatka ponad stu czterdziestu agentów, obejmująca całą okupowaną Francję, podzielona na czternaście sektorów, każdy z kierownikiem lub kierowniczką; Czerniawski ma szczęście – lub nieszczęście – do kobiet. Agenci zbierają wiadomości o kolei, lotniskach, portach, przemyśle, prasie[24]. Na początku wysyłają je w pociągowej toalecie, potem przez radio.

– Tak – powtarza Jan Czerniawski. – Kibel w pierwszym wagonie pierwszej klasy w pociągu Paryż–Marsylia. Marsylia jest stacją końcową. Raport wkłada się pod lusterko, które trzeba odkręcić. Tylko raz nie dotarł, kiedy cały skład poszedł do remontu.

W listopadzie 1941 roku Niemcy trafiają na ślad siatki. Najbliższa współpracownica Czerniawskiego Mathilda Carre o pseudonimie „La Chatte", „Kotka", straszona torturami, zaczyna sypać. Istnieje wersja, że mści się z zazdrości o inną agentkę. Niemcy aresztują sześćdziesiąt cztery osoby. Czerniawski może uratować agentów i siebie w tylko jeden sposób – przyjmując współpracę z Niemcami. Doceniają go i są bardzo zainteresowani, ale nieufni. Używa argumentu, że woli ich od Sowietów. To brzmi

wiarygodnie, pochodzi z Kresów, zagarniętych przez Związek Radziecki. Uzyskuje gwarancje – nie zlikwidują żadnego z aresztowanych i zapewnią bezpieczeństwo jego rodzinie.

Siedząc na Bute, Roman Czerniawski jest już podwójnym agentem. Dla Brytyjczyków – „Brutusem", dla Niemców – „Hubertem".

Przerwanie kontaktów z Niemcami byłoby niebezpieczne dla niego i tych, którym zapewniał ochronę. Byłoby także niekorzystne dla Brytyjczyków. Mają wobec „Brutusa" bardzo ważne plany.

Sprawą zajmuje się więc pułkownik Stanisław Gano[25], szef Oddziału II w Sztabie Naczelnego Wodza. Tylko on wie, że Roman Czerniawski jest podwójnym agentem, i w porozumieniu z nim przygotowuje depeszę o chwilowych kłopotach współpracownika, którą odpowiedni ekspert, radiowiec, nadaje do Niemców. Ten radiotelegrafista wie, jak stuka Czerniawski, zna jego rytm, więc nie budzi niczyjej czujności.

Roman Czerniawski opuszcza wyspę po pięciu tygodniach, dwudziestego drugiego lipca, osiemnaście dni po katastrofie gibraltarskiej, w której zginęli generał Sikorski i jego córka Zofia Leśniowska.

Jan Czerniawski obiecał mi dalszy ciąg opowieści o wuju.

Cienie

Zwłoki generała Sikorskiego przewieziono z Gibraltaru do Londynu. Kajetan Morawski, dyplomata i publicysta, który przyszedł pokłonić się trumnie ustawionej w sali Prezydium Rady Ministrów RP na Kensingtonie, zanotował incydent, który go poruszył:

Nieustannie defilowały przed nią polskie i cudzoziemskie delegacje składające wieńce i odznaczenia. Witali je, zmieniający się co kilka godzin, przedstawiciele naszych władz cywilnych i wojskowych. Właśnie towarzyszyłem gen. Kazimierzowi Sosnkowskiemu w sprawowaniu tej funkcji, gdy na salę wkroczyła grupa oficerów norweskich z szefem sztabu na czele. Stanęła na baczność przed trumną, po czym dowódca jej oznajmił donośnym głosem, iż na rozkaz króla Haakona VII nadaje pośmiertnie wielkiemu wodzowi Polski, marsz. Józefowi Piłsudskiemu, wojenny krzyż norweski. Spojrzeliśmy po sobie z gen. Sosnkowskim, ale solenny i żałobny nastrój nie

pozwalał na sprostowanie pomyłki. I przyznany gen. Sikorskiemu, a nadany uroczyście marsz. Piłsudskiemu krzyż spoczął na trumnie tego, dla kogo był istotnie przeznaczony.

Więc nawet dla cudzoziemców, z których wielu podziwiało Piłsudskiego, lecz niemal wszyscy lepiej rozumieli Sikorskiego, cień zmarłego od ośmiu lat marszałka kładł się na rzeczywistość polską. Dziwną losu przekorą padła nawet na trumnę dawnego antagonisty i późniejszego następcy. Istnieją nazwiska tak mocno wplecione w dzieje, że ani błędy spadkobierców, ani niechęć przeciwników, ani przewroty wojenne nie zdołają ich wyłuskać z pamięci[26].

Wkrótce po żałobnej wiadomości Helena Sikorska zaprosiła do siebie ministra obrony narodowej generała Mariana Kukiela. Zapisał:

Półżywa po odniesionym podwójnym ciosie – utracie męża i córki – generałowa przez trzy dni była półprzytomna. Czwartego dnia może ocknęła się na tyle, że przyjęła mnie – starego ich przyjaciela i poleciła mi przyprowadzić następnego dnia kolegów z rządu. Półleżąc na sofce mówiła z wysiłkiem, ale mocnym, nieprzerywanym prawie głosem. Sprowadziła nas, by nam powiedzieć w imieniu Męża, czego od nas chciał. Oczywiście jedności. Woli zjednoczenia. Zapomnienia uraz. Stawianie sprawy powyżej wszystkiego, powyżej wszystkiego co dzieli (…) *za życia*[27].

Helena Sikorska życzyła sobie, by przy trumnie męża towarzyszył jej generał broni Kazimierz Sosnkowski. Zawsze bliski Piłsudskiemu, kierował Sztabem Związku Strzeleckiego i Sztabem I Brygady Legionów. Większość piłsudczyków nigdy nie przestała nazywać go szefem.

Operacja „Źródło”

Wrzesień jest dla Rothesay, a zwłaszcza dzielnicy Port Bannatyne, miesiącem żałoby i dumy. Schowki na miotły zaatakowały Tirpitza i odebrały mu moc, ale wielkim kosztem.

Załogi przygotowywały się do akcji przez całe lato.

Jedenastego września dowódcy wyszli pożegnać niewielką flotyllę.

Chłopcy nie chcieli uroczystych słów. Paru uniosło do góry kapelusze pirackie, a kiedy admirał *sir* Claude Barry zawołał: „Powodzenia!”, dwudziestodwuletni Michael Jupp zasalutował i odkrzyknął: *Niech się pan o nas nie martwi, jeśli się zgubimy, wrócimy do domu taksówką!*. Miał na głowie staromodną pilotkę kierowcy obszytą futerkiem i kiedy odpływali, dął w trąbkę automobilową.

Opisała to po latach Jess Sandeman[28]. Należała do załogi HMS Varbel, która przygotowywała całą operację przy pomocy wywiadowców – Norwegów z ruchu oporu.

Flotylla składała się z sześciu okrętów podwodnych o imionach Seanymph (Nimfa Morska), Sceptre (Berło), Stubborn (Uparty), Trasher (Śmieciara albo Młockarnia), Truculent (Zadziorny) i Syrtis (to imię jest tajemnicze, starożytni Grecy nazwali nim niebezpieczne mielizny przy brzegu Libii, a astronomowie wielki ciemny obszar na Marsie).

Każdy holował maleńki okręt podwodny, w którym tłoczyli się dowódca, nawigator, mechanik i nurek. Okręty miały imiona – Platypus (Dziobak), Piker II (Ostrożny Gracz) i Excalibur (miecz króla Artura z arturiańskiej legendy). Te wymyślne nazwy były nieformalne, oficjalne były prostsze, lecz nudne – od X5 do X8. Prywatne imiona dwóch pozostałych okrętów, X9 i X10, nie zachowały się w popularnych relacjach.

Wszystkie okręciki miały na burtach dwa pojemniki, a w nich po dwie tony materiału wybuchowego z zapalnikami zegarowymi.

Holujące okręty wypływały z bazy w kilkugodzinnych odstępach. Holowane okręty miały być przez większą część drogi ukryte pod wodą. Kierowały się do fiordu Alta. Tam właśnie, jak rozpoznało lotnictwo, przegrupowały się Tirpitz, Schanhorst i Lützow.

Piętnastego września Excalibur zerwał się z holu. Dowódca wynurzył okręt, ale holująca go Nimfa Morska już odpłynęła i znikła z pola widzenia. Zdecydował się sam płynąć do celu. Szczęśliwie nawiązał kontakt z Upartym i przy jego pomocy oba okręty podwodne mogły wspólnie wznowić rejs ku Norwegii. Następnego dnia zerwała się ciężka lina pomiędzy Syrtisem a X9 i pociągnęła w głąb maleńki okręt; wszyscy utonęli.

Wieczorem Excalibur zaczął się kołysać. Okazało się, że ładunki wybuchowe są źle umocowane, trzeba opuścić jednostkę i posłać ją na dno. Kolejnej nocy w hol łączący Pdinichthys z Upartym zaplątała się dryfująca

lina kotwiczna i trzeba było nie lada odwagi i sprawności porucznika Godfreya Place'a, żeby ją wyplątać i odepchnąć w morze.

Z sześciu małych okrętów pozostały cztery. Weszły w głąb fiordu Alta, wcinającego się w ląd na prawie czterdzieści kilometrów, i rankiem dwudziestego drugiego września zaatakowały Tirpitza, zrzucając pod nim ładunki wybuchowe. Była to ich pierwsza akcja bojowa.

Eksplozje uszkodziły turbiny okrętu, wały napędowe, ster i blachy poszycia. Do kadłuba niemieckiego okrętu wlało się tysiąc czterysta ton wody.

Nie ocalał ani jeden z sześciu okrętów X.

Zginęło dziewięciu chłopców, sześciu poszło do niewoli.

Największy okręt Kriegsmarine utracił jednak zdolność do walki. Poszedł do długiego remontu i ostatecznie zginął zbombardowany przez lancastery. Zatonął na płyciźnie, do góry dnem.

Skrzynie

Oficerska stacja zborna istnieje już tylko po to, żeby się rozwiązać.

Kto tam jeszcze jest?

Dokumenty zachowane w archiwach nie dają pełnej odpowiedzi na to pytanie. Są niekompletne i niedokładne.

Wiadomo, że Mękarski odjechał i że doktor Rouppert usłyszał przy pożegnaniu galop jego serca. Ale czy Rouppertowie siedzą jeszcze na Bute? Romana Czerniawskiego zwolniono, a co z czterema lotnikami, których popierał z takim ferworem? Kto plotkuje po polsku w kawiarence Suffrediniego? Czy Jan Ciastoń dogląda ogrodu za Grandmaryną?

Na pewno wiadomo, że wśród oficerów pozostałych na Bute (czterystu czy pięciuset?) jest trzech generałów: Kazimierz Ładoś, Stanisław Felix Kwaśniewski i Ferek-Błeszyński.

Osiemnastego września Ministerstwo Obrony Narodowej postanawia, że stacja zborna w Rothesay ulega likwidacji około piętnastego listopada 1943 roku.

Powstaje Komisja Kwalifikacyjna numer 1 pod kierownictwem generała Ottona Krzischa, który jako dawny pensjonariusz Bute zna męki odosobnienia

i bezczynności. I już pierwszego października pułkownik Tadeusz Münnich otrzymuje od niej kategorię A. Jest zdolny do służby liniowej (po przeszkoleniu) i „do wszystkich prac związanych z organizacją i wyszkoleniem armii”[29]. Może się cieszyć mundurem, który nabrał sensu, nie jest już przebraniem.

Masą spadkową po stacji zbornej zajmie się Komenda Kadry Ewidencyjnej Oficerów[30]. Będzie nią kierował ostatni komendant stacji w Rothesay, pięćdziesięciotrzyletni pułkownik Ludwik Lichtarowicz. Oto zadania jego i podkomendnych: ewidencja oficerów, którzy rozproszą się teraz po Szkocji i Wielkiej Brytanii, ustalanie ich adresów, wysyłanie miesięcznych poborów i kart żywnościowych, pomoc w zatrudnieniu, piecza nad majątkiem po zmarłych, sprawy prawne, sądowe, socjalne, wspieranie rodzin oficerów w kraju i na Bliskim Wschodzie.

Lichtarowicz ocenia, że komenda kadry będzie w kontakcie z mniej więcej tysiącem czterystoma podopiecznymi oraz zatrudni dziewiętnastu oficerów i sześciu szeregowych – pocztowego, tłumacza, pisarza, gońca, magazyniera i tym podobnych[31].

Dość szybko przewiduje kłopoty. Co począć z Jerzym Niezbrzyckim i z dwunastoma innymi oficerami, skierowanymi do Rothesay wskutek dochodzeń sądowych? Są bez przydziału, ale w służbie czynnej, i nie można im wyrobić dokumentów cywilnych ani zezwolić na zamieszkanie w dowolnie wybranym miejscu[32].

I jak odpowiedzieć na prośby tych oficerów, którzy chcą pozostać w Kadrze Ewidencyjnej i zachować prawo noszenia munduru?

Są to przeważnie starsi wiekiem oficerowie, przywiązani do munduru, którzy odczuliby przeniesienie ich na status cywilny bardzo dotkliwie. Z pośród innych powodów takiego nastawienia tych oficerów najbardziej ważnymi są następujące powody:

Przeniesienie na status cywilny zmusza ich do zaopatrzenia się w cywilne sorty odzieżowe od bielizny począwszy, a skończywszy na koniecznych drobiazgach, jak kołnierzyki, krawaty, skarpetki itp. Zaopatrzenie się w te wszystkie sorty za kwotę pożyczki zwrotnej w wysokości 20 £ jest nieprawdopodobieństwem w dzisiejszych czasach, a oficerowie, którzy przez cały poprzedni czas byli na zniżonych poborach nie mają żadnej gotówki

złożonej.

Oficerowie ci przebywając stale przy Stacji Zbornej Ofic. czuli się jednak jakgdyby przy jednostce wojskowej, a przeniesienie ich na status cywilny spowodowałoby u nich uczucie osamotnienia a nawet początkowo pewnej depresji psychicznej.

Oficerowie ci licząc się z przychylnym załatwieniem ich prośby po dziś dzień zamieszkują przy Stacji Zbornej Ofic. i chcą nadal zamieszkać w miejscu postoju Kadry Ewidencyjnej Ofic.

Z uwagi na to, że są to przeważnie starsi oficerowie sztabowi, którzy będąc na statusie wojskowym byli poniekąd reprezentantami polskości, straciliby oni na swej powadze – przynajmniej w oczach miejscowej ludności, przebierając się w liche cywilne ubrania, gdyż tylko na takie byłoby ich stać.

Dodaje: *Jest ich mało i będzie mniej*.

Powołuje się na generała Ottona Krzischa. On też uważa, że należy pozostawić mundur niewielkiej grupie starszych oficerów, którym trudno będzie znaleźć pracę, zwłaszcza w przemyśle[33].

Gdyby Stefan Mękarski pracował nadal w kancelarii Komendantury i czytał te pisma, pomyślałby może z większą sympatią o „Podswiecznikowie". Tak uparcie nazywał Lichtarowicza, który przez jakiś czas kierował obozem w Brighton. Nie podobał mu się były carski oficer, wychowanek petersburskiej akademii wojskowej, który w roku dwudziestym walczył z bolszewikami, a w 1926 stanął przeciw Piłsudskiemu po stronie rządu. *Typowy wschodni człowiek, kaleczy niemiłosiernie piękną naszą mowę*.

Kaleczył ją może w mowie, ale nie w piśmie. A poza tym myśleli podobnie: Mękarski tak samo jak „Podswiecznikow" współczuł oficerom, którzy mieli się rozstać z mundurem przyrośniętym do nich jak skóra.

Już w październiku Komendantura stacji zbornej zwróciła się do odpowiedniej brytyjskiej służby o przygotowanie pięciu drewnianych skrzyń na dokumenty gromadzone przez ponad trzy lata. Mają być wyposażone w mocne uchwyty[34].

1 Instytut Polski i Muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie (dalej: IPMS), A.XII.1/13.

2 IPMS, A.XII.4/4.

3 Za: Tadeusz Katelbach, *Rok złych wróżb (1943)*, Paryż 1959.

4 Tamże.

5 Tamże.

6 Leon Mitkiewicz – *attaché* wojskowy w Kownie, od 1940 szef Oddziału II Sztabu Naczelnego Wodza gen. Sikorskiego.

7 Leon Mitkiewicz, *Z generałem Sikorskim na obczyźnie (fragmenty wspomnień)*, Paryż 1968.

8 Tadeusz Katelbach, dz. cyt.

9 Tamże.

10 IPMS, A.48.2/C7/17.

11 IPMS, A.48.2/C7/18.

12 Za: Marek Gałęzowski, *Pułkownik „Żegota". Życie i pisma pułkownika dypl. Tadeusza Münnicha*, Warszawa 2009.

13 IPMS, A.48.2/C7/53.

14 IPMS, A.48.2/C7/55.

15 IJP, Kolekcja nr 27 (Cerizay i Rothesay), sygn. 36.

16 Brulion odezwy ze zbiorów prywatnych Krzysztofa Münnicha, Londyn.

17 Edward Raczyński, *W sojuszniczym Londynie. Dziennik ambasadora Edwarda Raczyńskiego, 1939–1945*, Londyn 1960.

18 Władysław Anders, *Bez ostatniego rozdziału. Wspomnienia z lat 1939–1946*, Warszawa 2007.

19 Tamże.

20 IPMS, A.XII.87/8.

21 Albo major, charakter służby Czerniawskiego utrudnia uzyskanie ścisłej informacji.

22 Angielskie tłumaczenie ulotki: Brytyjskie Archiwum Narodowe, KV2/72-129k.

23 Mieczysław Słowikowski – przed wojną oficer w Oddziale II Sztabu Generalnego, po kapitulacji Francji organizator szlaków przerzutowych do Anglii dla polskich żołnierzy oraz sieci wywiadowczych we Francji i w Afryce Północnej. Jego działalność szpiegowska przedstawiona została m.in. w 90-minutowym dokumentalnym filmie Malgoshy Gago i Bolesława Sulika *Powrót do Casablanki*, wyprodukowanym przez Arte, TVN, PISF i Studio N'Art.

24 Mieczysław Zygfryd Słowikowski, ps. „Rygor", we wspomnianym filmie Gago i Sulika mówi o roli Czerniawskiego w organizacji sieci wywiadowczej w okupowanej Francji. W swej książce *W tajnej służbie* (Poznań 2011) wymienia niektóre wiadomości od „Walentego": o ćwiczeniach oddziałów pancernych z piechotą w mundurach tropikalnych na nadmorskich wydmach, o informacjach z portów francuskich na temat transportów kolejowych dużych skrzyń z tajemniczym sprzętem starannie ukrywanym, przy którym pracowali wyłącznie fachowcy niemieccy, o dużej liczbie rannych i poparzonych żołnierzy niemieckich w szpitalach, o specjalnym znakowaniu ich oddziałów itp.

25 W 1964 awansowany przez Władysława Andersa na generała brygady.

26 Kajetan Morawski, *Wspólna droga z Rogerem Raczyńskim. Wspomnienia*, Poznań 1998.

27 Marian Kukiel, *Generał Sikorski. Żołnierz i mąż stanu Polski Walczącej*, Londyn 1970.

28 Jess Sandeman, *Bute's War*, Bute 2000.

29 Za: Marek Gałęzowski, *Pułkownik „Żegota". Życie i pisma pułkownika dypl. Tadeusza Münnicha*, Warszawa 2009.

30 Pismo płk. Liebicha, szefa biura ogólno-organizacyjnego MON do dowódcy I Korpusu, IPMS, A.XII.4/31.

31 Pismo płk. L. Lichtarowicza z 5 października 1943 do dowódcy I Korpusu, IPMS, A.XII. 4/31.

32 Pismo płk. L. Lichtarowicza do ministra obrony narodowej z 14 listopada 1943, IPMS, A.VI.13/1.

33 Pismo płk. L. Lichtarowicza do dowódcy jednostek Wojska Polskiego w Wielkiej Brytanii z 22 grudnia 1943, IPMS, A.VI.13/1.

34 Pismo z 30 października 1943 do O.C.A.D.O.S. No. 4 Liaison N.Q.17, Edynburg, IPMS, A.VI.13/1.

Dzisiaj

Robin

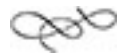

Kamienie

Robin zabiera nas na wycieczkę. Przyjechał z Bobem, dużym, rudym, łagodnym, z klapniętymi uszami. Pies chce pić. Zapowiada się upał.

Napojenie Boba musi chwilę potrwać, jest stary, ma sztywne łapy i trudno mu wygrzebać się z samochodu. Robin mu pomaga, tak jak poprzednio pomagał Charliemu, uważnie i delikatnie. Zawinął rękawy flanelowej koszuli, grzebie w bagażniku. Na wygniecionym posłaniu Boba, zabieranym w drogę, leży butla z wodą i miska.

Jedziemy na południe. Nie spieszymy się. Chcielibyśmy zobaczyć śpiącego rycerza i wstąpić do Tighnabruaich, ale możemy zmienić ten plan. Całkowicie zdajemy się na Robina.

McDowall pisze, że rycerza najlepiej widać z zatoczki Stravannan, ale Robin twierdzi, że można go zobaczyć z wielu innych miejsc. Inna sprawa z Tighnabruaich, tu nie ma wariantów. Trzeba dojechać na północny kraniec wyspy i przeprawić się promem przez cieśninę Kyles of Bute do Colintraive na lądzie Szkocji. Stamtąd pojechać wyżej, na północ, okrążyć wody jeziora Riddon lub Ruel, które się łączą z cieśniną, i zrobić zwrot na południe, aby znaleźć się naprzeciw północnego cypla naszej wyspy, niemal na wyciągnięcie ręki od jej brzegu. To tak blisko, że autorzy różnych wzmianek o Tighnabruaich lokują osadę na Bute.

Tej drogi nie można skrócić, bo prom do Colintraive jest jedyną stałą przeprawą z wyspy, poza promami do Wemyss. Robin ma jednak wielką ochotę na skok przez cieśninę. Nie był od lat po drugiej stronie.

Na razie jedziemy na samo południe wyspy i zatrzymujemy się jakiś kilometr od dolnego jej cypla, pod wzgórzem, na którym pasą się byczki, rude jak Bob. Ogromne pastwisko jest ogrodzone, a brama do niego zamknięta na drewniany skobel.

Robin szybko sobie z nim radzi, jakby otwierał go wiele razy. Znajdujemy się teraz we czworo na trawiastym stoku i idziemy pod górę, wzdłuż długiego poczerniałego drystanu. Byczki towarzyszą nam z ciekawością. Robin i Bob nie zwracają na nie uwagi, więc i my przestajemy się niepokoić, chociaż niektóre są duże i ruszają się żwawo.

Za drzewami na górnej granicy pastwiska rozciąga się następny taras łąkowy, a za nim kolisty płaskowyż otoczony niskim murem z potężnych ciosów. Nie musimy się wspinać na tę patelnię, wyprowadza na nią wąwóz o kamiennych ścianach, wrzynający się w stok.

Wewnątrz kręgu porośniętego trawą, wystrzyżoną, soczystą i lśniącą, stoi niewielka ruina. Szczytowa ostro zakończona ściana budynku wygląda jak żagiel łodzi zacumowanej na zielonym jeziorze. Jest pusto i cicho, jak przy rycerskich sarkofagach na cmentarzu High Kirk i tak jak tam miejsce jest dostępne i niestrzeżone, a jednocześnie pod dyskretną opieką. Jesteśmy wśród zmarłych. Kamienne nagrobki leżą płasko w trawie albo stoją, złuszczone, w białych plamach porostów, pochylone pod własnym ciężarem, wszystkie w jedną stronę, jak pochód pielgrzymów.

Wejście do kaplicy, nad którą od wieków nie ma już dachu, wieńczy łuk romański.

Robin opowiada, że święty Blane, który wybrał to miejsce na klasztor, urodził się w szóstym wieku na Bute i zanim tutaj powrócił, kształcił się w szkole monastycznej w Irlandii. Dobrze wybrał, bo naturalna platforma jest osłonięta od wiatrów przez wyższe wzniesienie i otwiera się z niej daleki widok na wody oblewające wyspy Bute i Arran. Klasztor był więc także strażnicą.

Pierwszy opat rozpoczął swą misję w 570 roku, na trzysta dziewięćdziesiąt sześć lat przed chrztem Polski.

Piotr zabrał ze sobą przewodnik McDowalla. Czyta nam opowieść o świętym Blanie. Powrócił z Irlandii łodzią bez pomocy wioseł. Woda sama go niosła ku Bute. Pewnej nocy wygasł mu ogień; zapalił go świetlistymi końcami palców. Kiedy został biskupem, wyruszył do Rzymu po błogosławieństwo papieża. Wracał do domu przez Anglię, gdzie dokonał cudu – uratował niegodziwego ślepego chłopca, najpierw przywracając mu wzrok, potem oczyszczając go z grzechów, a na koniec – wprowadzając w stan łaski.

Piotrowi podoba się komentarz McDowalla: *Żyjemy w wieku, kiedy łaska, jakkolwiek rozumiecie to pojęcie, jest żałośnie drogim towarem. Na progu dwudziestego pierwszego stulecia wydajemy się mniej zakotwiczeni i bardziej rozgorączkowani niż nasi przodkowie – nadczynni, nie wiedząc po co*[1].

Te słowa nie dotyczą Robina Munro. Jest zamyślony, milczy. Bob oparł łeb

o jego kolana w wypłowiałych dżinsach.

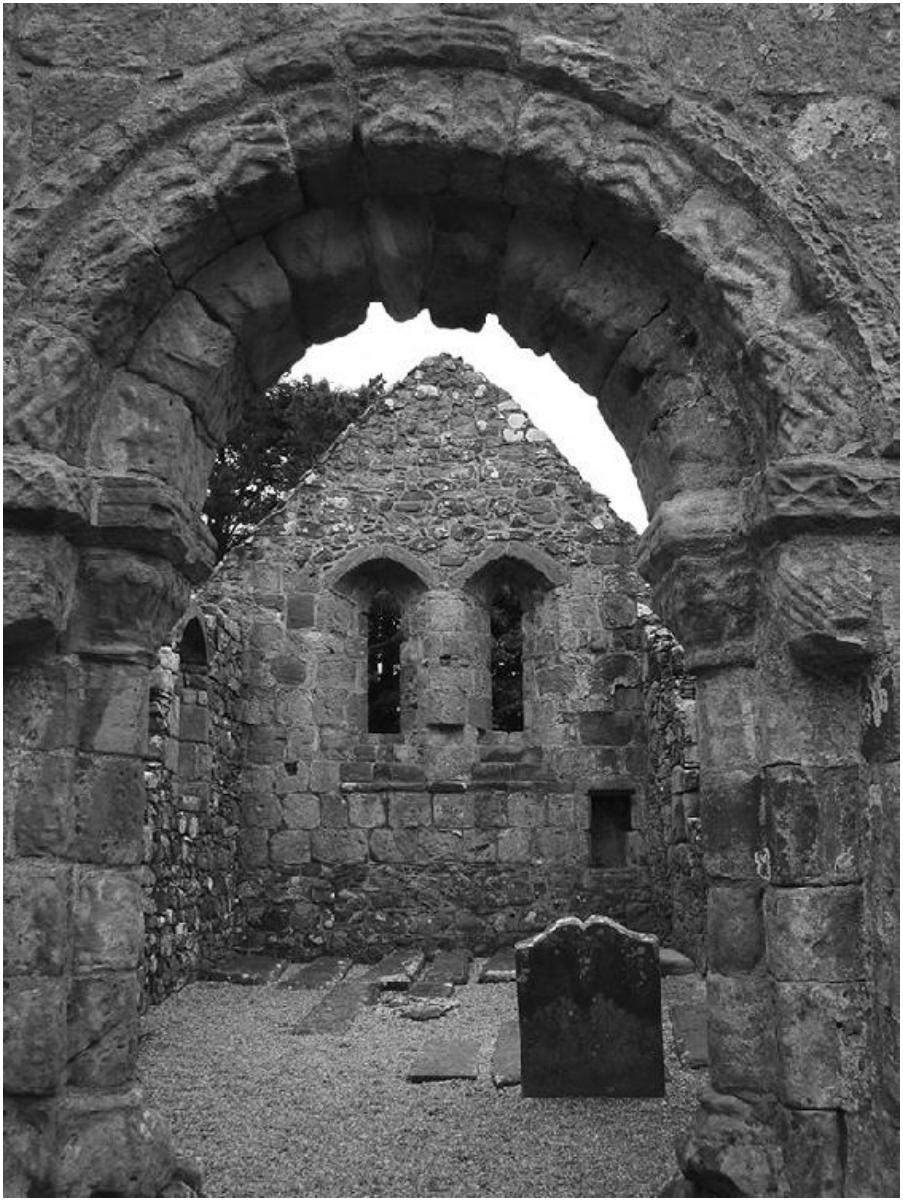

Kaplica świętego Blane’a

Małgorzata Szejnert i Piotr Pietrzak

Zeszliśmy ze wzniesienia tą samą drogą, wśród znajomych byczków. Prawdopodobnie zasypiają na tym pastwisku, wąchając zioła, jak Byczek Fernando.

Droga zaprowadziła nas na obiad, do gospody w Kingarth. Na białej

szczytowej ścianie osiemnastowiecznego budynku wymalowano czernią: „The Kingarth Hotel & Smiddy Bar”. *Smiddy, smithy*, to kuźnia; były zwykle przy dawnych zajazdach.

Bob ułożył się pod dębowym stołem u nóg Robina. Kelnerka podała nam piwo i warzywa zapiekane pod kozim serem. Zapytała, co przynieść psu.

Dawniej podkuwano tu konie i kuto obręcze do wozów

Małgorzata Szejnert i Piotr Pietrzak

Kiedyś była tu szkoła, do której chodziło około czterdzieściorga dzieci okolicznych gospodarzy. Widać je na zdjęciu z 1923 roku. Chłopcy są bosi, a dziewczynki w bucikach i nawet skarpetkach. Wszystkie mają we włosach białe kokardy, zdjęcie zrobiono pewnie z jakiejś uroczystej okazji. Gruby dyrektor nosi garnitur, kamizelkę i krawat. Pomimo swej tuszy ganiał dzieci z pasem – usłyszał McDowall od starego farmera i uwzględnił to w przewodniku.

Robin zaprowadził nas dróżką wśród paproci pod palisadę z wysokich sosen. Rosły tak gęsto, że wyłysiały. Ich zielone korony uciekły w górę. Pod tą rdzawą ścianą stały trzy głazy, węższe u podstawy i rozszerzające się ku górze, jak ludzkie postacie. Zwłaszcza jeden przypominał człowieka, bo nad

barkami zwężał się w kształt głowy. Były ciemne, prawie czarne, z brunatnymi plamami. Słońce wydobywało z niektórych ukosów metaliczny blask.

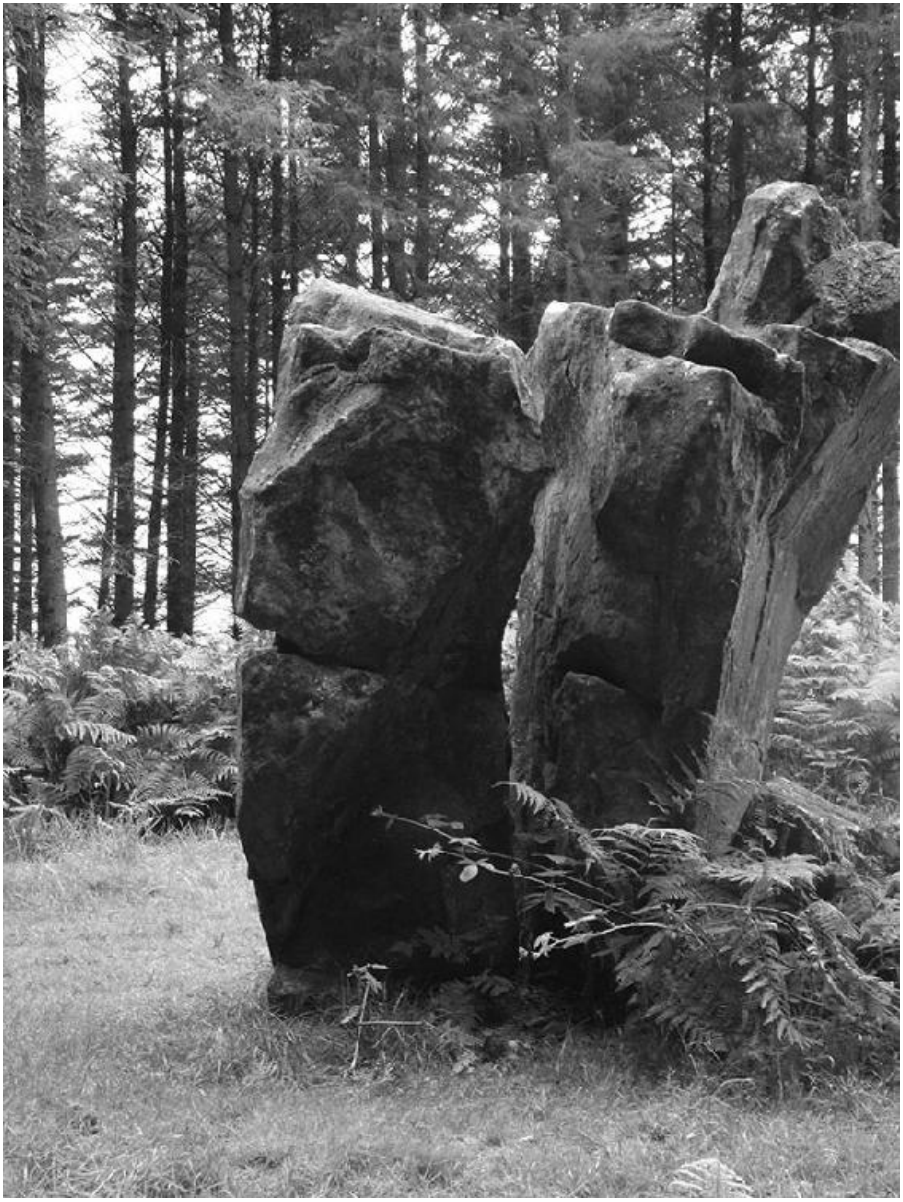

W tym miejscu był kiedyś kamienny krąg

Małgorzata Szejnert i Piotr Pietrzak

Robin powiedział, że kiedyś był tutaj prawdziwy krąg. Podobno jeszcze w końcu osiemnastego wieku, gdy budowano gospodę w Kingarth, głazów

było siedem. Co się stało z resztą? Czy ktoś je ukradł? Same nie znikły. Ktoś dokonał wielkiego wysiłku. Jaki miał cel?[2]

Zatoki

Nad zatoką Scalpsie urządzono punkt widokowy. Są ławeczki i szeroki pulpit informacyjny. Strzałki wiążą miejsca na panoramie z realną przestrzenią przed nami. Wskazują ślady fortu z epoki żelaza i sieci wodnej inżyniera Thoma, wierzchołki wzgórz i ostańce skalne. McDowall każe jednak uważać. Twierdzi, że twórcy panoramy pomylili północ magnetyczną z topograficzną, i doradza, jak to naprawić na własną (dosłownie) rękę. Trzeba wyciągnąć przed siebie prawe ramię, zamknąć dłoń, przyłożyć kciuk do interesującego nas punktu na panoramie i przesunąć pięść o dwa kciuki w prawo. Wtedy ręka dokona korekty o mniej więcej sześć stopni i wyznaczy właściwy kierunek.

Nie musimy się tak kłopotać. Śpiącego rycerza widać doskonale. Lekkie chmurki nie zasłaniają głowy w spiczastym hełmie ani piersi sklepionej jak pancerz. Naprawdę więc jest.

Możemy jechać dalej, do Zatoki Świętego Ninniana, który wylądował podobno na Bute na przełomie szóstego i siódmego wieku, niewiele później niż święty Blane. Według archeologów modlono się tutaj w świątyni o powierzchni cztery na siedem metrów, o grubych na metr kamiennych ścianach. Robin mówi, że niewiele po tym zostało, ale spróbujemy poszukać. Tymczasem Boba otaczają trzy bose dziewczynki. Mają czarne oczka, czarne czupryny i kipią radością. Odbywają wokół Boba tańce i zabawy. Udają strach, uciekają z piskiem, wracają ze śmiechem. Zagadują nas w języku, którego nie znamy. Pojawia się tata z laptopem w ręku, ale nie przeszkadza, ma jakieś zajęcia, chyba biznesowe, z drugim mężczyzną. Wita nas młoda mama w kolejnej ciąży.

Bob jest zmęczony. Jedziemy w górę, do Ettrick.

Po feerii życia w Ninnian zatoka Ettrick jest martwa i nudna. Dziwimy się jej dawnej świetności. Nikt nie przyszedł w tę piękną sierpniową pogodę. A odwiedzały zatokę tłumy. Dzieci jeździły na kucykach, osiołkach i miniaturową kolejką z prawdziwym maszynistą (komin parowozu sięgał mu

do kolan, siedział na platformie). Dorośli tańczyli w pawilonie plażowym. Bardzo długo, jeszcze po wojnie, tańczyli we wszystkie wtorki i czwartki z takim zapałem, że starli butami deski podłogi i zaczęli się przewracać na sterczących sękach.

Teraz przecinamy wyspę w poprzek. To jakieś trzy i pół kilometra. Jesteśmy w zatoce Kames, nad Port Bannatyne, tam gdzie wody zatoki Clyde łączą się z wodami cieśniny Bute.

Trzy śmieszki i Bob

Małgorzata Szejnert i Piotr Pietrzak

Mamy bardzo blisko do Rothesay, ale nie wracamy. Przed nami droga do promu, cały czas nad prawym ramieniem cieśniny.

Na przeprawę czeka parę samochodów. Jest pusto, łąka, jakiś wiejski płot. Leniwa cisza. Słychać tylko ptaki.

Rejs na drugą stronę, do Colintraive, trwa cztery minuty.

Małgorzata Szejnert i Piotr Pietrzak

Teraz pętelka do Tighnabruaich. W górę cieśniny i w dół. Ciągle nowe, otwierające się przestrzenie wody, nieba, dolin, łąk i wzgórz. Wszystkie odcienie zieleni, błękitu, różu i fioletu. Czystość i lśnienie. Spokój. Nie mówiliśmy nic.

Willa Dunara

Robin zatrzymał samochód na wysokim pagórze, parę kilometrów przed Tighnabruaich, przy kamieniu z metalową tablicą. Wytrawiono na niej wiadomość, że wzniesienie ma pięćset pięćdziesiąt stóp wysokości, a nad nią wers: „*I will lift up my eyes unto the hills*”.

Nie dodano, skąd pochodzą te słowa, kierowano je do ludzi czytających Biblię.

Znalazłam je w Księdze Psalmów: „*Oczy moje wznoszę ku górom*”.

Ciąg dalszy tego wersetu, którego nie było już na tablicy, brzmi: „*Skąd nadejdzie mi pomoc?*”[3].

Wyżej przeczytaliśmy: „*In memory of two brothers who knew and loved Scotland and its mountains*” („Pamięci dwóch braci, którzy znali i kochali

Szkocję i jej góry”).

Nie było daty.

Zapytałam Robina, kim byli ci bracia. Czy tutaj zginęli? Nie wiedział.

Dlaczego zapytałam go, czy zginęli. Może po prostu umarli. Może ze starości, jeden po drugim.

Droga wyprowadziła nas na nabrzeże Tighnabruaich. Wzdłuż bulwaru ciągnęły się piękne przedwojenne wille. Miały łamane dachy, wykusze. Przy głównej uliczce, miejskiej, skromniejszej, była księgarnia z prasą i papeterią. Zapytałam młodego sprzedawcę, czy słyszał o polskich oficerach, którzy przebywali tu w czasie wojny. Nie słyszał.

– Trzeba pytać starszych – poradził. – Koło poczty mieszka Mary, jest bardzo stara, ale ma głowę. Do poczty będzie sto metrów.

Poczta była równie pusta jak księgarenka. Urzędniczka wyjrzała na dwór przez tylne drzwi i zawołała:

– Czy jest tam Mary?!

Mary rzeczywiście była stara, ale ciągle wysoka i prosta. Miała siwe loki i bystre oczy. Przedstawiliśmy się sobie wzajemnie.

– Jestem Mary Taylor – powiedziała. – Byłam tu zawsze. Polscy oficerowie mieszkali wyżej, nad główną ulicą. Musicie iść brzegiem do wielkiego drzewa, za nim będzie hotel, potem trochę w górę i na prawo. Tam będzie willa. Nazywa się Dunara. Oni mieszkali w tej willi. Teraz tam mieszka pan Graham Kerr.

– Pani ich pamięta?

– Słabo pamiętam, ale wiem, że byli.

– Co ludzie o nich mówili?

– Chłopcy ich lubili, bo oni mieli mundury. I dawali chłopakom cukierki.

– Czy tam były druty, zamknięta brama?

– Nic o tym nie wiem. Jakby byli zamknięci, toby się chyba nie fotografowali z dziećmi. A jest takie zdjęcie. Miałam je w domu, ale nie wiem, czy znajdę.

Mary poprosiła o ołówek i kartkę i pewną ręką narysowała nam plan drogi do willi Dunara.

Nie musieliśmy z niego korzystać. Poszliśmy wszyscy czworo do wielkiego drzewa. Przy hotelu Royal, na którym widniała zachęta: „Dla nas

nie jesteś numerem pokoju, jesteś Osobą", skręciliśmy w prawo, na wyższe piętro miasteczka. Minęliśmy kilka domów i ogrodów. Biała willa Dunara znajdowała się na zielonej łączce i nic jej nie zasłaniało wody i nieba. Przed gankiem stał siwy mężczyzna i żegnał się z gośćmi, którzy wsiadali do samochodu. Zobaczył nas przy schodkach i zaprosił gestem.

Powiedzieliśmy, że nie chcemy przeszkadzać. Pójdziemy na spacer i wrócimy później.

– Nie przeszkadzacie.

Goście pomachali i odjechali.

Willa Dunara

Małgorzata Szejnert i Piotr Pietrzak

Zanim zdążyliśmy się przedstawić, już otwierał nam drzwi. Kupił willę parę lat temu. Chce tu obchodzić osiemdziesiąte urodziny. I spędzić tę resztę dni, które pozostaną. Ciągle jeszcze pracuje. Zrobił sobie tutaj pracownię drukarską.

Zaciekawili go polscy oficerowie.

– Czyżby tu mieszkali?

– To możliwe – ocenił.

Willa od przedwojny należała do YMCA, która organizowała tutaj obozy.

On sam był kiedyś na takim obozie. Spało się wtedy na łóżkach polowych, mieściło się ze czterdzieści osób. Było wspaniale.

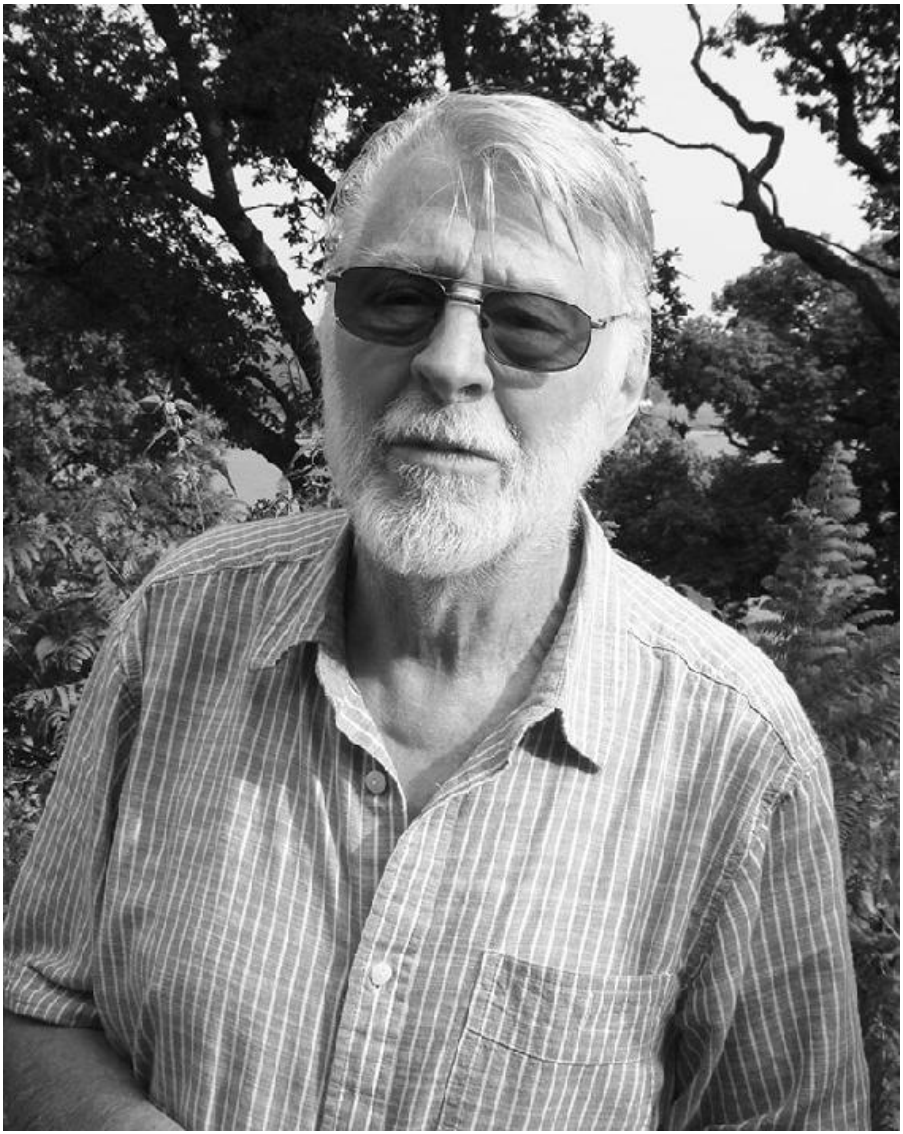

Nowy właściciel Willi Dunara, Graham Kerr

Małgorzata Szejnert i Piotr Pietrzak

Możliwe, że w czasie wojny YMCA odstąpiła dom Wojsku Polskiemu.

Nie wiedział, że powróci tutaj po latach. Kiedy się dowiedział, że willa jest do sprzedania, nie zastanawiał się ani przez chwilę. Jest naprawdę szczęśliwy.

Pokazał nam stary piec kuchenny, ciągle używany i ciągle jak nowy, pokój stołowy ze ścianą półek, na których stało więcej książek niż naczyń, salon

z kominkiem i atelier z długimi pulpitami, przy których pracuje.

Czy to w tym domu Grycko z kolegami śpiewali swoje kuplety? Czy sprzedawano im whisky w hotelu Royal? Czy to tutaj pułkownik Mikulicz-Radecki przyjmował zażalenia od trzydziestu dziewięciu oficerów?

Na żadnym z dokumentów dotyczących podobozu w Tighnabruaich i zgromadzonych w Archiwum Instytutu Sikorskiego w Londynie nie było adresu. Kierownik Archiwum doktor Andrzej Suchcitz także nie może go znaleźć.

Avocets

Robin Munro odwiózł nas do Glendale i wrócił do domu z Bobem.

Przed wyjazdem do Polski odwiedziliśmy go w Kerrycroy.

Maleńka wioska, nad którą rozłożyły się ogrody rezydencji Mount Stuart, liczyła kilka parterowych domków i jeden piętrowy. Najwyższy, który wyróżniał się dodatkowo szachulcowym murem i dwoma gankami, stał w środku, a parterowe, białe i podługowate, zajmowały miejsce po bokach. Były wzruszająco małe, z łupkowymi dachami i okienkami o małych kwaterach i białych szprosach. Całość świadczyła o tym, że nie jest to dzieło amatora budowniczego, lecz architekta, który ma wizję – apoteozę osiemnastowiecznej wsi w słodkiej Anglii. Wody cieśniny podpływały tak blisko, jakby chciały za chwilę sięgnąć rabatek, ale Robin nie pamięta, by to się zdarzyło.

Domki stanowiły własność markiza. Bute ma dwanaście tysięcy dwieście siedemnaście hektarów powierzchni. Jedenaście tysięcy trzysta trzydzieści hektarów należy do pięciu członków jego rodziny. Żaden z nich nie mieszka na wyspie.

Słyszeliśmy, że kontrola nad wyspą jednym podoba się bardzo, bo markiz pilnuje swej ziemi i nie chce jej sprzedawać ani dzierżawić pod zabudowania, ale nie podoba się drugim, którzy chcieliby tu rozwijać różne inwestycje.

Robert, naturalnie, należy do pierwszych.

Usiedliśmy w małym pokoju przy małym kominku wśród mnóstwa książek. Posłanie Boba znajdowało się w centrum, tak by nie musiał się rozglądać za panem.

Piotr zauważył na półce niebieski grzbiet ze złotym napisem *The Island of Bute*. Nie znaliśmy tej książki. Wydała ją w 1973 roku oficyna David & Charles, South Devon House. Nie spotkaliśmy się z nią w żadnej bibliotece. Nie było jej wśród źródeł, na które powoływał się David McDowall, i była zupełnie inna niż jego przewodnik. *Bute* McDowalla była spontaniczna i gawędziarska, *The Island of Bute* łączyła esej historyczny, gospodarczy i społeczny, anegdotę obyczajową i refleksję ekologiczną. Podawała ciekawe i drobiazgowe dane statystyczne z różnych etapów historii wyspy. Obie książki znakomicie się uzupełniały, ale nie wiedziały o sobie.

Kerrycroy, przed domem Robina

Małgorzata Szejnert i Piotr Pietrzak

Robin robił kawę, a Piotr czytał wiersz przytoczony w ostatnim rozdziale. Nosił tytuł „Wybrzeże Clyde”. Poprosiłam, by przetłumaczył mi parę wersów. Robin podszedł do nas i słuchał. Był ciekaw, jak to brzmi po polsku.

Śnią mi się statki w polu, zagubione jak mewy

Powstały drogi
Na morzu
Żeby zabrać przypływom
Całą moc naszego świata

I Cumbrae,
Jak embrion,
Spoczywa w atomowym łonie.
Dunoon tonie z boską pomocą.

Hamburg i
Rotterdam były
Kiedyś zielone, ktoś powiedział.
Ale szablodzioby dawno odleciały.

Autor książki nie był pewien, czy jej czytelnicy dobrze zrozumieją ten wiersz. Wyjaśnił więc, że wyraża on niepokój i miłość kogoś, kto dobrze zna błękitny świat wód Clyde, chce zachować pamięć ich piękna, boi się, że to, co niezastąpione, może przeminąć.

Piotr skończył tłumaczyć i niespodziewanie zapytał Robina, który się uśmiechał i kiwał głową, jakby potakiwał:

– To jest twój wiersz? To twoje nazwisko!

– Tak – przyznał Robin. – Ojcu się spodobał i wziął go do książki. Przedtem go wydrukowali w „Glasgow Herald". Miałem siedemnaście lat.

Dopiero teraz poszukaliśmy autora *The Island of Bute*. Nie było go na okładce, jednolicie niebieskiej. Znaleźliśmy go w środku, na karcie tytułowej: Ian S. Munro. Na odwrocie strony była dedykacja dla mamy Robina, a także dla niego. Brzmiała: „Dla Mary i jej wszystkich najbliższych".

– Tata – powiedział Robin – był nauczycielem w *college'*ach i pisał słuchowiska dla radia. Ta książka to jego najważniejsza praca.

Dostaliśmy ją w prezencie na pożegnanie.

Wieczorem w Glendale wróciłam do wiersza Robina i uderzyło mnie słowo „*avocets*" w ostatnim wersie*:* „*but it's long since the avocets left*". Piotr mnie upewnił: szablodziób to po angielsku *avocet* lub *avoceta.* Tak nazywał się statek, którym nie dopłynęła do Wielkiej Brytanii Jadwiga Gosiewska z dwójką lub trójką swych dzieci. Lecz zbieżność tych nazw – w tragedii i w wierszu – była na pewno przypadkowa i nie pytaliśmy już o nią Robina.

1 David McDowall, *Bute*, Richmond 2010.

2 Podobny monolit upamiętnia Henry'ego Mortona Stanleya. Opactwo westminsterskie, które urządziło królewski pogrzeb Livingstonowi, odmówiło miejsca Stanleyowi. Żona Dorothy postanowiła mu to wynagrodzić wspaniałym pomnikiem. Szukała kamienia „ukształtowanego przez wieki, zabarwionego przez czas". Farmerzy na wrzosowiskach zainteresowali się gorliwie poszukiwaniami. Odkryto potężny głaz na farmie Frenchbeer w Parku Narodowym Dartmoor koło Chagford.

„Jakiekolwiek były jego dawne dzieje – dobrze, że przeznaczono go współcześnie dla wielkiego przywódcy Afryki”. Cytaty pochodzą z aneksu Dorothy Stanley w: Henry Morton Stanley, *The Autobiography of Sir Henry Morton Stanley*, Boston 1909.

3 Księga Psalmów, Psalm 121 *Pan stróżem moim*, *Biblia to jest Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu*, Warszawa 1981.

1944 i potem

Powrót

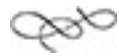

Czy jeszcze kiedyś zobaczę stare Rothesay, daleko za morzem
Czy wdrapię się jeszcze kiedyś na Barone Hill
Czy spotkam znowu moją drogą mamę i kochanego starego tatę?
Czy jeszcze kiedyś popatrzę na słońce, jak zachodzi za Goat Fell
Czy będę wędrował po wrzosowiskach?
Ciągle o tym myślę pod niebem pustyni
I kiedy myśli tak błądzą
Łzy zasłaniają mi oczy

Z listu D. M'Arthura (imienia i rangi nie podano) do matki w Rothesay, wydrukowanego w „Butemanie" 14 maja 1943

Wyprowadzenie

Dziewiętnastego stycznia 1944 roku dobytek byłej stacji zbornej zapakowany w pięć skrzyń z uchwytami, pudła i worki jest gotów do załadunku. Komenda Kadry Ewidencyjnej Oficerów przenosi się do Kirkcaldy.

Rothesay przestaje być ostatecznie urzędowym miejscem odosobnienia. Jeśli ktoś tu jeszcze zostaje, to na własne życzenie i na własną rękę.

Ludwik Lichtarowicz czeka na brytyjskich rekrutów i ciężarówki. Jest chłodny ranek, ale pułkownik pamięta gorsze zimno – w 1919 roku był szefem Sztabu Dowództwa Wojsk Polski na Syberii i we Wschodniej Rosji.

Operacja zresztą przebiega sprawnie. Brytyjski oficer ma do pomocy czternastu żołnierzy, ładują rzeczy na dwa wielkie wozy, zawożą do portu i przeładowują na statek, który odpływa do Wemyss.

Mają tam czekać polskie ciężarówki, ale ich nie ma. Nie ma ich tak długo, że brytyjski oficer rozpuszcza swoich ludzi na lunch. Kiedy samochody wreszcie przyjeżdżają, lunch jeszcze trwa i trzej polscy oficerowie i podchorąży z Komendy Kadry Ewidencyjnej sami muszą wepchnąć na platformy cały dobytek. W drodze do Glasgow jedna z ciężarówek staje, bo zabrakło paliwa. Transport przybywa do Kirkcaldy w głębokich ciemnościach. Nie widać żadnego szeregowca do pomocy. Oficerowie znowu muszą dźwigać na własnych barkach spuściznę po Rothesay.

Pułkownik Lichtarowicz zameldował to wszystko dwudziestego stycznia swemu zwierzchnictwu. Zakończył zdaniem: *Następnego dnia Komenda Kadry Ewidencyjnej Oficerów rozpoczęła przed południem normalną pracę*[1].

Dziunia i Stefan

Dziuni już nie ma na Bute. Wyjechała do Londynu i zgubiła się z bratem. Teraz szukają się przez Międzynarodowy Czerwony Krzyż z siedzibą w Genewie. Wiem to z żółtawych kartoników pocztowych z krzyżem w okrągłym stemplu, które – inaczej niż formularze zwykłej *Kriegsgefangenenpost* – dają korespondentom pewne poczucie komfortu. Na

jednym z tych kartoników *monsieur* Stefan Szejnert, Capitaine, Oflag II-D, Deutschland, otrzymuje wiadomość ze stycznia 1944 roku, że *madame* Jadwiga Raczkowska, Londres, Angleterre, od dawna czeka na kontakt.

Dziunia już w Londynie, w biurze dla spraw rodzin polskich, jak świadczy stempel na zdjęciu

archiwum rodzinne Małgorzaty Szejner

Czeka bardzo długo, chociaż Stefan ciągle siedzi w tym samym oflagu. *Drogi mój Stefku!* – pisze wreszcie na takiej samej kartce Czerwonego

Krzyża. – *Wiadomości upragnione od Ciebie nadeszły 9 czerwca, zwłoka w doręczeniu z powodu zmiany adresu. Jestem zdrowa, pracuję; choć bardzo samotna, mam oddanych przyjaciół, więc bądź spokojny. Myśl o niedalekiej przyszłości wśród was dodaje sił zmęczonemu sercu*. W tym miejscu następuje niewielka przerwa. Ktoś wyciął żyletką wąską szczelinę na trzy, cztery słowa, pozostawiając ogonek „ła?”. I dalej: *Najdroższą Twoją głowę całuję – Dziunia*.

Może to „ła” należało do słowa „ocalała”? Albo „odnalazła”? Kogo, czego mogło dotyczyć?

Kiedy dostałam te kartki w rodzinnym spadku, nie było już nikogo, kto mógłby wiedzieć, jakie pytanie było tak niebezpieczne.

To nie koniec korespondencji Stefana przez Czerwony Krzyż.

Honor generała Rayskiego

Generał Ludomił Rayski wymknął się, jak wiemy, z Rothesay już na początku istnienia obozu. Lata w formacjach brytyjskich, gdzie go szanują i cenią. Nie zrezygnował jednak z obrony swego honoru polskiego lotnika.

Sprzyja temu zmiana na stanowisku naczelnego wodza i skierowanie generała Modelskiego na długi urlop zdrowotny.

Rayski już we wrześniu poprzedniego roku wysłał do Sosnkowskiego trzyzdaniowy list pisany atramentem. W dwóch pierwszych zdaniach przypomniał, że w 1940 roku sąd polowy skazał go na więzienie za zdradę tajemnic państwowych i niesubordynację, w trzecim się upomniał: *Proszę posłusznie Pana Generała, na zasadzie przepisów obowiązujących, o skierowanie mojej sprawy do Generalskiego Sądu Honorowego celem rozpatrzenia*[2].

Na początku 1944 roku rozpatruje ją więc sąd złożony z czterech generałów brygady pod przewodnictwem wiceadmirała. Oceniają dawny memoriał, w którym przedwojenny szef lotnictwa odpierał zarzuty o nieprzygotowanie resortu do wojny. Aby się bronić, ujawnił różne fakty służbowe i cudze winy. Pokrętny protokół z posiedzenia zaświadcza o tym, że sędziowie stanęli przed trudnym zadaniem: jak pogodzić obronę honoru generała Rayskiego z dbałością o honor wysokich oficerów, których

wymienił.

Sąd nie może oczyścić generała z oskarżeń, rozpowszechnianych w formie plotek i ujemnych opinii, bo takowe nie godzą w honor.

Nie może też zamknąć oczu na to, że generał Rayski zarzucił w swym memoriale wielu osobom (następują nazwiska) poważne zaniedbania służbowe, które uchybiają godności oficerskiej.

I chociaż sędziowie są przekonani o „absolutnej honorowości" generała Rayskiego, nie są w stanie zmierzyć jego przedwojennych zasług i niedopatrzeń.

Jeden z generałów znajduje wreszcie wyjście z sytuacji. Proponuje, by sąd wystąpił do naczelnego wodza o powołanie komisji ekspertów, która zajmie się sprawą[3].

Wniosek trafia do ministra obrony narodowej generała Mariana Kukiela, który go stanowczo oddala.

Nie ulega żadnej wątpliwości – argumentuje – że działalność w pewnej określonej dziedzinie, na przykład lotnictwa, można ocenić trafnie dopiero po zebraniu materiału dowodowego ze wszystkich dziedzin administracji państwowej i obrony narodowej, które były ze sobą związane i od siebie zależne[4].

Ktoś komentuje te słowa ręcznie, na marginesie maszynopisu: *To znaczy nigdy…*, i podpisuje tę opinię inicjałem, którego nie potrafię zidentyfikować.

Cierpliwość odmawia

Szkoccy chłopcy, którzy tęsknią do Rothesay pod niebem pustyni, mają znacznie większe szanse ujrzenia domu niż polscy oficerowie spędzający wojnę na ich wysepce.

Już w maju Bute zaczyna powracać do zwykłego życia.

Odjeżdżają komandosi, odpływają działa, ciężarówki, cysterny, motocykle, transportery i nabrzeże jest znowu cywilne i ciche. Być może pani Macdonald znowu zobaczy ulubione gile przepłoszone zgiełkiem wojennym. Stołówka dla żołnierzy wyprowadza się z Ogrodu Zimowego i nie będzie już przeszkadzać rozrywkom.

Właściciele pensjonatów robią porządki na przyjęcie letników z Glasgow

i Edynburga.

Liczba uczniów w klasach akademii zbliża się do normy. Dzieci wysłane przez rodziców pod opiekę Bute są już w swoich domach, w wielkich miastach Szkocji.

Polscy oficerowie rozjeżdzają się w różnych kierunkach.

Generał Stanisław Felix Kwaśniewski, autor wiersza *Widzę Cię, Polsko*, jest ciągle w Rothesay. Wysłał stamtąd list do Tadeusza Münnicha.

Nie rozpacza, jest przekonany, że *to wszystko się zmieni*. Jakie *wszystko* – nie wiemy i wygląda na to, że tylko pociesza siebie i pułkownika. Jest *dosłownie sam*, nic nie wie, tylko to, co wyczyta w prasie, dyskutować nie ma z kim, zagląda do Włoszki (pewnie do kawiarenki Suffredinich), ale na krótko, bo ucieka przed takimi, co chcą się przysiadać. Dostał zawiadomienie, że obowiązuje go ubranie cywilne. Boga prosi, by mu pozwolił jechać do Ameryki. Przeprasza Münnicha za ten „list – nielist": *Jakoś nietęgo się czuję. Poprawię się na przyszłość. Czasem cierpliwość odmawia posłuszeństwa!*[5].

A mój ojciec w Białej Podlaskiej czyta zwierzenia brata Stefana z oflagu II-D. Tych listów braci było więcej, ale zachował się jeden, wyjątkowo długi. Stefan przeprasza w nim za poprzedni, w którym przedstawił swoje męki duszne. Łatwo się domyślić, że te męki to niepokój, czy Mika jest mu wierna, czy nadal go kocha. Na pewno został uspokojony przez moich rodziców, Mika tęskniła tak jak on. Dziuni o swych cierpieniach nie pisał, pewnie łatwiej mu było zwierzać się mężczyźnie.

Różne są przyczyny tej afektacji myślę, że zrozumiesz uprzytomniwszy sobie co znaczy pięć lat drutów. Pięć lat biernego trwania z jedyną właściwie troską o korytko gdy wokół świat się pali, gdy wszystko dzieje się poza nami, pięć lat gnuśności, egoizmu, niezasłużonych pretensji, mędrkowania i oczekiwań na nowy wspaniały świat – oto rzeczywistość; trochę mało dla czynniejszych natur. W tym zahamowanym życiu mit o szczęściu osobistym, o prawdzie uczuć staje się potrzebniejszy niż chleb, jest niejednokrotnie siłą dla zmęczonych i prawdą dla wątpiących, więc nie dziw się. Niechaj te listy, dowód mego mazgajstwa osłoni mgła zapomnienia. Dziękuję bardzo za paczki. Kiedy ja wreszcie skończę ten żywot trutnia. Jakie macie zamiary na najbliższą przyszłość. Wiać czy zostać?

Wiać z domu dziadka w Białej Podlaskiej, który wydawał się nam, jego

mieszkańcom, najbezpieczniejszą przystanią na świecie?

D-Day *Czerniawskiego*

Co robi pułkownik (albo major) Czerniawski? O tym, czym się zajmuje naprawdę, wie tylko parę osób, które zachowają dyskrecję przez długie lata.

Nie wiemy, co czuł Roman Czerniawski, dla aliantów „Brutus", dla Niemców „Hubert", kiedy szóstego czerwca 1944 roku nastąpiło lądowanie w Normandii w ramach wielkiej operacji „Overlord". Nie opowie nam o tym także Jan Czerniawski, który miałby okazję zadać wujowi takie pytanie. Ale go nie zadał, bo za późno dowiedział się o tym, jaką rolę w historii odegrał jego krewny o niespokojnym temperamencie.

Był jednym z trzech podwójnych agentów, którzy przyczynili się najskuteczniej do sukcesu operacji „Fortitude", wielkiej piętrowej fałszywki poprzedzającej prawdziwą inwazję na kontynent.

„Fortitude Północ" polegała na stworzeniu wrażenia, że alianci przygotowują się do ataku na Norwegię, co miało skłonić Niemców do zatrzymania tam swoich dywizji. A „Fortitude Południe" miała przekonać Niemców, że ewentualne lądowanie w Normandii ma być efektowną akcją dywersyjną odciągającą niemieckie rezerwy od prawdziwego groźnego ataku w najwęższym miejscu kanału, między Dover a Calais. To fałszywe miejsce lądowania oddalone było od zaplanowanego o mniej więcej trzysta kilometrów.

Zbudowano fałszywe lotniska z makietami samolotów, obozy wojskowe z gumowymi czołgami, przystanie z setkami barek desantowych, wygniatano gąsienicami drogi w głąb lasów i powołano fikcyjne formacje bojowe. Najgroźniej prezentowała się nieistniejąca w rzeczywistości 1. Grupa Armii Stanów Zjednoczonych posiadająca jedenaście dywizji w południowo-wschodniej Anglii, dowodzona przez generała George'a Pattona, który od czasu do czasu przejawiał w odpowiednich miejscach zaangażowaną obecność.

Jak jednak twierdzą historycy wojskowowści, systemem nerwowym tej machinacji był podwójny wywiad.

Brytyjskie służby bezpieczeństwa zdołały unieszkodliwić wszystkich

niemal niemieckich szpiegów w Wielkiej Brytanii i wielu z nich skłonić do służby dla siebie. Lecz największą rolę odegrało trzech doświadczonych i wypróbowanych podwójnych agentów, pracujących od dawna dla aliantów: „Garbo" (Hiszpan Juan Pajol), „Treasure" (Serb Dušan Popow) i znany nam „Brutus". Garbo stworzył własną, całkowicie fikcyjną siatkę dwudziestu siedmiu informatorów, którzy słali mylące meldunki radiowe do komórki niemieckiego wywiadu w Madrycie. Podobno wysłano ich przed inwazją około pięciuset.

Niemcy uwierzyli w lądowanie w Pas-de-Calais i skierowali tam znaczne siły. Trzymali je nawet po *D-Day*, obawiając się, że alianci mogą jednak uderzyć w tym miejscu. Nie wiadomo, jak przebiegłby wielki dzień na plażach Normandii, gdyby nie rozproszyli energii wojennej.

W 1972 roku ukazało się pierwsze wydanie książki *Double-Cross System* (słowami „Podwójny Krzyż" nazywano system podwójnych agentów). Jej autor, John Cecil Masterman, uczony, pisarz i sportowiec, był podczas wojny organizatorem i szefem jednostki o tej właśnie nazwie i otrzymał szlachectwo za zasługi dla brytyjskiego wywiadu. Opisał w książce rolę podwójnych agentów. Parę kartek poświęcił polskiemu oficerowi „Brutusowi". Pisze: *okazał się niezmiernie ważny. Miał najlepszą pozycję wśród wszystkich naszych agentów przy przekazywaniu informacji wojskowych, gdy więc pozyskał zaufanie nasze i Niemców, wykorzystywaliśmy go coraz bardziej i miał wielki udział w oszustwie na rzecz „Overlord"*[6].

Było to pierwsze ujawnienie roli Czerniawskiego podczas drugiej wojny. Masterman nie wymieniał jego nazwiska, ale podane okoliczności – między innymi kłopotliwy dla wywiadu brytyjskiego konflikt „Brutusa" z dowódcą polskiego lotnictwa i chwilowa izolacja agenta – pozwoliły go łatwo zidentyfikować.

Nie wiadomo, czy miejsce w historii przyniosło Czerniawskiemu więcej satysfakcji czy goryczy. Polscy oficerowie nie lubili szpiegów. Szpiegostwo nie szło w parze z honorem, zwłaszcza podwójne.

Synowie

W poniedziałek dziewiętnastego czerwca 1944 roku Roman Umiastowski

zaczyna dziennik modlitwą.

W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Amen. Ojcze nasz…

Tego dnia dowiedział się o śmierci syna pod Monte Cassino.

ptaki śpiewają za oknem, słonce świeci… i zamiast ja pójść do grobu… Bóg zabiera nam co najcenniejsze… czy powinni synowie wcześniej umierać od ojców? I nie mogę więcej do domu napisać, bo po cóż Matce donosić? Lepiej, aby nie wiedziała jak najdłużej, że jej syn nie żyje… Widziałem go ostatni raz w lecie 1939. Kiedy przyjechałem do obozu w Radości, gdzie był. Szliśmy wzdłuż toru i mówiliśmy o przyszłości. Trawy już były wyschły i rudziały, więc to był może koniec lipca.

Ostatnia kartka od Janka była z 6 V. Po Cassino nastąpiła głucha cisza, więc byłem pełen niepokoju. Byłem poza tym niezdrów, dolegało mi lewe ramię, jakiś głuchy długotrwały ból, lecz odpędzałem od siebie myśl, że on mógłby mnie wyprzedzić do kraju cieniów. I pracowałem ciągle, ile miałem siły, aby skończyć tą pracę w obronie Polski[7]*. Więc odpędzałem od siebie myśl. Lecz jakiś kruk krakał wokół mnie…* (…)

Dzisiaj przyszedł ten okropny list. A mógł przecież zginąć ten Janek w Rosji i nikt by nie wiedział, co się z nim stało. A padł w najpiękniejszym polskim ataku, który otwierał drogę do wolnej ojczyzny.

Ósmego lipca pisze:

Żyję jak we śnie… Nie ma Janka… wraca do mnie ta myśl w tych chwilach dnia i nocy, kiedy się mogę, czy muszę oderwać, która jak góra olbrzymia ciąży nade mną.

(…) *Teraz właściwie już mi nie trzeba wracać do Polski… Już mogę umrzeć, gdy ta praca będzie zakończona…*

Dziewiątego sierpnia:

Przeżywam straszliwe dni słuchając, że Warszawa walczy i myśląc, co będzie jutro. Żyję najwięcej z Jankiem, który dla mnie nie umarł, nie zginął… I tylko nocą, gdy się obudzę i widzę go z raną pod łopatką… Straszliwe dni są…

Ósmego sierpnia ginie w powstaniu, na warszawskiej Woli,

dwudziestoletni Józef Dąb-Biernacki, „Józek” z batalionu „Zośka”. W tym samym batalionie walczy jego siostra Zofia, „Jagienka”, odznaczona dwukrotnie Krzyżem Walecznych. Są dziećmi Stefana Dęba-Biernackiego, już nie generała i nie żołnierza.

Dwudziestoletni „Józek” był dobrze przygotowany do walki. Na ponad miesiąc przed powstaniem wziął udział w akcji uwolnienia kilkunastu więźniów ze Szpitala Jana Bożego w Warszawie, przeprowadzonej z sukcesem, bez strat.

Siedemnastego sierpnia ginie pod Falaise dwudziestoczteroletni Bolesław Rouppert. Zarzuty wobec doktora, że wykorzystywał swoje możliwości, by dekować młodszego syna, oddalone w 1943 roku przez Sąd Honorowy dla Generałów, upadły ostatecznie.

Córka

Od jesieni 1943 roku Ludomił Rayski służy w Polskich Siłach Powietrznych.

Zadecydował o tym nowy naczelny wódz generał Sosnkowski.

Czwartego września 1944 roku, w trzydziesty piąty dzień powstania, Rayski przylatuje z bazy lotniczej w Brindisi, by spotkać się z generałem Władysławem Andersem w dowództwie II Korpusu. Chodzi o pomoc Warszawie.

Odbył ostatnio pięć lotów nad Polskę, w tym dwa nad Warszawę. Opowiada:

Odblask palącej się Warszawy widać w promieniu 140 mil. Poczynając od Błonia lot odbywa się dosłownie na wysokości wierzchołków drzew z przeskakiwaniem nierówności terenu. Warszawa od Wierzbna aż do gmachu kierownictwa marynarki przedstawia widok czerwonego, rozpalonego żużla, który od czasu do czasu tli się płomieniem. Na północ duży blok palących się budynków – kłęby dymu pokrywają wielką przestrzeń miasta. Dalej znowu wypalony żużel[8].

Rayski wylicza: w lotach ze zrzutami zginęło do tej pory dwanaście polskich załóg po siedmiu ludzi, nie licząc katastrof przy lądowaniu; piloci

wracają w maszynach podziurawionych jak sito. Nawet spadochrony są poprzestrzelane. Niemiecka obrona przeciwlotnicza i dymy nad miastem uniemożliwiają precyzyjne zrzucanie amunicji i broni. Ich odnalezienie i dostarczenie bywa niemożliwe. Skrzynki uczepione do spadochronów spadają nieraz dziesięć kilometrów od wyznaczonych punktów odbioru.

Lord John Slessor, marszałek RAF, do którego Rayski przed spotkaniem z Andersem zwrócił się o pomoc, oświadczył, że przy takich stratach nie pozwoli na loty. Chyba że otrzyma wyraźny rozkaz „z góry".

Generał Rayski stwierdza – zapisuje Anders – *że Brytyjczycy idą jak najbardziej na rękę w pomocy dla Warszawy, ale przy olbrzymich stratach uważają, że się ona nie opłaca. Anglicy nie chą dopuścić do samobójczego wybijania polskich załóg. Generał Rayski nie widzi realnej możliwości pomocy dla stolicy*[9].

Ewa Matuszewska – „Mewa”

ze zbiorów Muzeum Powstania Warszawskiego

Wśród mieszkańców miasta, które z powietrza wygląda jak rozpalony żużel, są żona i pasierbica Rayskiego: Stanisława, pisarka i tłumaczka, i jej

córka Ewa z pierwszego małżeństwa z byłym ministrem skarbu Ignacym Matuszewskim. Ewa jest świeżą absolwentką medycyny na tajnym wydziale lekarskim.

Stanisława wyszła za Rayskiego, kiedy Ewa miała dziewięć lat; uważał ją za córkę. Podzielała jego pasję lotniczą. Skończyła kurs szybowcowy i zdobyła dyplom pilotki. Był uszczęśliwiony i dał jej w prezencie szybowiec.

W konspiracji wybrała pseudonim „Mewa".

Matka i córka przystępują do powstania. Stanisława jest inspektorką kuchni powstańczych, Ewa – komendantką punktu sanitarnego „Baszty" przy ulicy Szustra.

Brakuje środków opatrunkowych i lekarstw. Coraz więcej ofiar. Osiemnastego września nad miastem przelatuje ponad sto amerykańskich fortec z pomocą, ale wybuch radości szybko gaśnie, lecą wysoko i większość ładunków trafia do Niemców.

Jedna z grup powstańczych broni się w rozwalonej kamienicy przy alei Niepodległości 117/19. Jest wielu okaleczonych. Jeden z chłopców traci nogi. Podchorąży rozkazuje opuścić otoczoną placówkę, ale „Mewa" nie chce zostawić rannych. Ginie wraz z nimi, wywleczona przez Niemców z piwnicy, dwudziestego szóstego września, dwadzieścia dwa dni po rozmowie Ludomiła Rayskiego z Władysławem Andersem na temat lotniczej pomocy powstaniu.

Ulica Czerniakowska

Czerniakowska 204 – taki adres podał Ignacy Raczkowski w swoim kwestionariuszu służbowym z 1934 roku.

Kamienicy, w której mieszkał z Dziunią, już nie ma.

Stare zdjęcie z miejskiego archiwum pokazuje, że była piętrowa, z drugim poziomem w łamanym dachu; dziewięć okien od frontu na pierwszym piętrze i tyleż powyżej. Tylko dwa balkony. Na dole sklepiki, przy trzech jasne markizy, przy jednym drewniane schodki. W takim domu wszyscy musieli się znać.

Ile osób mogło tam mieszkać? Zginęło dziesięć. To był rejon bardzo ciężkich walk, wyjątkowo okrutnego ataku Niemców, egzekucji i gwałtów.

Z dat śmierci mieszkańców kamienicy wynika, że część zginęła podczas powstania, a część nie przeżyła późniejszego wygnania z miasta do niemieckich obozów. Zresztą daty są niekompletne – szesnastego września, dwudziestego września, ósmego października. Wśród ofiar były matka i córka Michalskie, dwie dwudziestotrzylatki Zosia Krygier i Gienia Przybyłek – już mężatka. Najstarszy zabity lokator Wiesław Górski miał pięćdziesiąt sześć lat[10].

Czy Dziunia wie, że nie wróci do swego domu, między sąsiadów? Niedawno pisała: *Myśl o niedalekiej przyszłości wśród was dodaje sił zmęczonemu sercu*.

Jej brat Stefan poszukuje żony Miki-Natalii. Wie tyle, że podczas powstania była w Warszawie. Szuka jej widocznie tak gorączkowo, że zapomina o podaniu potrzebnych informacji. Międzynarodowy Czerwony Krzyż w Genewie odpowiada mu dwudziestego drugiego listopada 1944 roku, że – aby ustalić kontakt z Natalią Szejnert – potrzebuje daty i miejsca jej urodzenia. Kiedy je otrzyma, natychmiast przystąpi do działań. Załącza wyrazy prawdziwego szacunku.

V-Day

Ósmego maja 1945 roku o trzeciej po południu Churchill ogłasza zakończenie drugiej wojny światowej w Europie.

„Buteman” z jedenastego maja opisuje nastrój na wyspie tego dnia i w nocy. Statki w zatoce Clyde włączyły syreny. Tłum wyległ na ulice. Czterech marynarzy, którzy puścili się w tany między rzędami kina Regal, nakłoniono, by wyszli na scenę, i kobiecy chór Bute zaczął im śpiewać. Entuzjazm wzrastał, przyniesiono flagi. Posąg Stuarta Bannatyne, bon vivanta i dobroczyńcy Bute, ubrano w czapkę i żakiet żeglarski. Na całej wyspie rozniecono ogniska. Na starym nabrzeżu w zatoce Kilchattan spalono kukłę Hitlera. Szczęśliwy tłum układał stosy ze starych łódek i połamanych krzeseł i odbywał wokół tańce wojenne, dopóki sytuacja nie zaczęła wymykać się spod kontroli i straż pożarna nie wyprowadziła ludzi z Pomostu Alberta. Całe miasto śmiało się, tańczyło i śpiewało.

Czasem ktoś płakał. Ponad stu mieszkańców wyspy poległo w wojnie. Co

najmniej dwudziestu chłopców z Bute było w niewoli japońskiej, a ponad osiemdziesięciu w niewoli niemieckiej.

Do syren statków dołączył głos Cyklopa, który był teraz rzęsiście oświetlony, jak całe miasto. Obok stał okręt podwodny Sceptre, a na nim Australijczyk porucznik MacIntosh z załogi, nazywanej *Bring 'Em Back Alive* (wracaj z żywymi). Był dumnym rekordzistą w zatapianiu statków nieprzyjaciela i oznaczył to gwiazdkami i beleczkami na swoim Jolly Rogerze, czarnej pirackiej fladze z trupią czaszką i piszczelami.

Jess Sandeman napisała, że chociaż Bute wraca do normalności, nic już nie będzie takie jak przedtem. Doświadczenia zmieniły ludzi. Młodzi chłopcy stali się mężczyznami, a kobiety dojrzały do większej niezależności[11].

Był to wielki dzień w historii świata i wielka ulga dla milionów ludzi – napisał generał Anders w książce wydanej po raz pierwszy w 1950 roku.

My, Polacy, niestety, nie mogliśmy brać udziału w powszechnym entuzjazmie tej chwili. Nawet gorycz samotnej walki w 1939 roku w Polsce w początku tej zawieruchy była nikła wobec naszego osamotnienia w niedoli wśród zwycięskiej radości sprzymierzonych. Zwycięstwo, do którego przyczyniliśmy się tak wielką ilością przelanej krwi i tyloletnią męką narodu polskiego, nie było naszym udziałem. Dla Polski V-Day jeszcze nie nadszedł[12].

Rozmyślania Polaka w sprawie powrotu

Sowietolog Jerzy Niezbrzycki postanawia ostrzec Polaków przed powrotem do kraju, w interesie nie tylko ich samych, ale Polski i Europy. Przygotowuje broszurę. Podpisuje ją „Ryszard Wraga".

Przede wszystkim: emigracja powinna uchronić wartości, które zostaną zniszczone w ten czy inny sposób przez sowietyzację w Polsce. Te wartości to jednostki i zespoły pracujące organizacyjnie i społecznie oraz ambitni robotnicy i włościanie, zwłaszcza ci, którzy chcą nowoczesnej, ale indywidualnej gospodarki rolnej. Powinni być włączeni do społecznego i gospodarczego życia Europy, w jej odbudowę i przeobrażenia.

Komu zależy na naszym powrocie do Polski? Po pierwsze, Sowietom, bo nie chcą za granicą niezależnych ośrodków polskich i chcą pokazać innym

narodom, że ich system jest godzien zaufania. Po drugie, Brytyjczykom, bo sami mają trudności z odbudową wojenną i trudno im dać pracę dziesiątkom tysięcy ludzi: *wychodzi na to, że mamy wracać do Kraju nie dlatego, żebyśmy byli w Kraju dla naszego kraju i narodu potrzebni, lecz dlatego, że jesteśmy tutaj nikomu nie potrzebni*.

Są tacy, którzy odmawiając powrotu, kładą nacisk na prześladowania. Lecz nie o skórę tu chodzi. Taka groźba nie powinna nikogo powstrzymać, gdyby mógł stawiać opór. Lecz w obecnych warunkach kraj jest zdezorganizowany, społeczeństwo rozbite. Żadnego oporu być teraz nie może. Kraj musi mieć większy wypoczynek, by doprowadzić się do porządku i by naród polski mógł się umocnić biologicznie. Dlatego społeczeństwo polskie w kraju ma nie tylko prawo, ale i obowiązek pójść na jak najdalsze ustępstwa polityczne. To nie oznacza bynajmniej uznania metod sowieckich. Wynika wyłącznie z musu, z poczucia odpowiedzialności wobec całego narodu i jego przyszłości.

Ci, którzy agitują na rzecz powrotu, zawstydzają emigrantów, że boją się nędzy, wolą żyć tutaj w dostatkach.

I to również jest głupie gadanie. Żadnych dostatków nikt na emigracji mieć nie będzie, chyba, że wypracuje je ciężką pracą.

Potrzebna nam wiara, że *w najgorszych nawet warunkach przetrwamy i przechowamy dla naszego kraju i narodu zdolności, doświadczenia, umiejętności, które pogłębimy i wzbogacimy w obcowaniu z narodami, równie jak i my, ducha i kultury europejskiej*[13].

Broszura ukazuje się w 1945 roku i dociera do czytelników, którzy znają już straszny dla nich wyrok konferencji jałtańskiej. Polska traci ziemie na wschodzie i przesunie się na północ i zachód, a prawowite władze Polski, przez całą wojnę współdziałające z aliantami, będą już miały znaczenie tylko moralne. W Polsce obejmie władzę nowy rząd, zależny niewątpliwie od ZSRR.

Nie rozpoznano

Adam Doboszyński nie słucha przestróg, wraca w przeddzień Wigilii Bożego Narodzenia 1946 roku, potajemnie, przez Czechosłowację, pod przybranym nazwiskiem. Jego siostrzeniec Andrzej Malkiewicz, który

mieszkał wtedy w Anglii (teraz w Krakowie), opowiedział mi, że widział się z wujem niedługo przed jego decyzją o powrocie do Polski.

– Wuj powiedział wtedy – z moją twarzą, z moją głową, nie mogę jechać, rozpoznają mnie. Miał rzeczywiście charakterystyczną twarz i sylwetkę i był już znany z głośnego marszu na Myślenice. A jednak pojechał. Przygotował sobie wzruszającą legendę – jedzie do Polski, wziąć ślub z narzeczoną. Nie mógł, naturalnie, spędzić świąt z rodziną. Z moją matką spotykał się potajemnie we Wrocławiu, tam było bezpieczniej. Na przykład w zakrystii zrujnowanego podczas wojny kościoła Dominikanów.

Doboszyńskiemu udaje się być na wolności przez ponad pół roku. Odwiedza ludzi z kręgów narodowych i katolickich. Szuka kontaktów z przywódcami organizacji podziemnych. Chce ich przekonywać, że walka przyniesie tylko nieszczęścia i nie zyska poparcia Zachodu. Wpada w lipcu. Jest oskarżony o szpiegostwo dla Amerykanów i Niemców. Siostra Jadwiga w ramach odpowiedzialności rodzinnej idzie do tego samego więzienia. Przeżywa represje, emigruje i wydaje wspomnienia. Pisze o procesie brata i przekazuje ostatnie słowo oskarżonego: *Przysięgam na rzeczy dla mnie najświętsze, na rany i mękę Chrystusa, że nie byłem szpiegiem niemieckim ani amerykańskim, ani żadnym innym*[14].

Adam Doboszyński podczas procesu zakończonego wyrokiem śmierci, 1949

rok

PAP/Archiwum

W sierpniu 1949 roku Doboszyński zostaje rozstrzelany w więzieniu i pochowany w nieoznaczonym miejscu. Była to prawdopodobnie tak zwana Łączka, kwatera na Powązkach komunalnych, gdzie w pierwszej dekadzie po wojnie grzebano potajemnie przeciwników nowej władzy zabitych w więzieniu na Mokotowie. Po z górą sześćdziesięciu latach rozpoczęto tam ekshumacje i identyfikację szczątków na podstawie DNA od rodzin. Doktor Krzysztof Szwagrzyk, który kierował tymi pracami, powiedział mi w styczniu 2018 roku, że szczątków Doboszyńskiego jeszcze nie rozpoznano.

Wcześniej, jesienią 1945 roku, wrócił do Polski ksiądz Zygmunt Kaczyński, który w 1940 roku, upełnomocniony przez generała Sikorskiego, zwalczał defetyzm wśród oficerów na ziemi francuskiej. Działalność duszpasterska, wydawnicza i polityczna nielicząca się z nowym ustrojem szybko zaprowadziła go do więzienia mokotowskiego z dziesięcioletnim wyrokiem. Współwięzień zakonnik Tomasz Rostworowski wspomina, że był koleżeński, dzielił się żywnością. Władze więzienne zaproponowały mu napisanie pamiętników z czasu wojny. Powiedział, że to zrobi, jeśli go wypuszczą. Wtedy zaczęto go szykanować, uniemożliwiano mu sen. Po scysji ze starszym celi doznał ataku serca i zmarł, nie odzyskawszy przytomności[15].

Powrót generałów

Z szesnastu generałów, których krócej lub dłużej izolowano na Bute i którzy dożyli końca wojny, wraca do Polski tylko dwóch; sześćdziesięciodziewięcioletni generał dywizji Kazimierz Ładoś i schorowany generał broni Ferek-Błeszyński, który umiera w roku powrotu do domu.

Doktor Andrzej Suchcitz obliczył, że w 1945 roku znajdowało się na Zachodzie stu dwudziestu siedmiu polskich generałów. Dwudziestu wróciło do kraju po wojnie[16]. Generałowie z Rothesay mieli więc jeszcze mniejszą skłonność do powrotu niż ogół generałów na emigracji. Jeśli na podstawie tak małej próbki można coś wnioskować.

Jaki wpływ miałaby na to niesława otaczająca Wyspę Węży i niechęć do tego, by się tłumaczyć z pobytu na niej?

Wraca natomiast do Polski generał Izydor Modelski. Ląduje w Warszawie w lipcu 1945 roku.

Sadyba oficerska stoi nadal półkolem nad fosą porośniętą sitowiem, ale podziurawiona, bez dachów, szyb i dawnych gospodarzy. W willach zbudowanych w połowie lat dwudziestych według projektu Tadeusza Tołwińskiego, później twórcy gmachu Muzeum Narodowego w Warszawie, sąsiadowali ze sobą przed wojną wysocy rangą wojskowi: pułkownicy Jerzy Krzymowski, legionista i uczestnik Bitwy Warszawskiej, i Henryk Bagiński, który w lutym 1920 roku u boku generała Józefa Hallera wziął udział w symbolicznych zaślubinach Polski z morzem, generałowie dywizji Tadeusz Kasprzycki i Tadeusz Piskor, a nieco dalej, w większym domu – Józef Beck. Mieszkali tu także podpułkownik Alojzy Przeździecki i członek organizacji WiN hrabia Ksawery Grocholski, po wojnie skazany na śmierć w pokazowym procesie i rozstrzelany w więzieniu mokotowskim. Ale to było później, w 1947 roku[17].

Generał nie próbuje remontować domu nad fosą. Rząd Polski Ludowej daje mu mieszkanie służbowe.

Pytam Andrew Modelskiego, dlaczego ojciec wrócił do Polski.

Rozmowa jest trudna, przez telefon. Jędrek źle słyszy.

– Mam różne papiery. Mogę ci przysłać. Tam jest dobrze napisane dlaczego.

Dostaję grubą kopertę z Ameryki. Są w niej między innymi dwa maszynopisy. Jeden pod tytułem „Dr Izydor Modelski, Generał" przygotowano prawdopodobnie przed laty do publikacji.

Anonimowy autor pisze:

A kiedy tragiczne wypadki na terenie międzynarodowym oddały zwycięską Polskę na pastwę czerwonej Moskwy, a polska demokracja w Kraju zażądała powrotu swoich czołowych przedstawicieli do Kraju w celu zespolenia całego wysiłku narodu w kierunku obrony niepodległości i wolności na drodze, międzynarodowo zresztą zagwarantowanych, wyborów, generał Modelski powraca do Kraju, aby w tej walce wziąć udział.

(…) *Od lipca 1945 do marca 1946 gen. Modelski pozostaje w stałym kontakcie z ambasadą Brytyjską i Stanów Zjednoczonych i informuje ją o tragicznym położeniu narodu, o obozach niewolniczej pracy, o deportacjach*

i więzieniach, o pustoszeniu i wywożeniu przez Czerwoną Armię resztek dobra materialnego Polski.

Nowy polski rząd ma wobec niego zupełnie inne plany niż on wobec rządu – jeśli brać pod uwagę słowa z maszynopisu przysłanego mi przez Andrzeja Modelskiego. Wysyła generała na stanowisko *attaché* wojskowego do Waszyngtonu i liczy na jego lojalną współpracę.

Drugi maszynopis, z września 1948 roku, nosi tytuł „Oświadczenie" i jest uwierzytelniony ręcznym podpisem Izydora Modelskiego. Ogłosił go po odmowie powrotu do kraju z waszyngtońskiej placówki.

Wyjaśnia, że nigdy nie był członkiem partii komunistycznej ani sympatykiem komunizmu. W czasie pobytu w Polsce rozpoznał szczegółowo rosyjskie zamiary i taktykę zdążającą do zapanowania komunizmu na całym świecie. Stwierdził, że polska armia jest kontrolowana przez sowieckich generałów i oficerów, a satelicki rząd w Warszawie zmienia polski naród w niewolników stachanowskiego wyzysku i komunizuje w przyspieszonym tempie życie ekonomiczne w Polsce; zlikwidował niezależne partie polityczne i wzmógł ataki na ostatnią wolną instytucję – Kościół.

Protestując jaknajmocniej przeciwko terrorystycznej i niszczycielskiej wobec narodu polskiego działalności rządu komunistycznego w Polsce, odmówiłem powrotu i zwróciłem się do Rządu Stanów Zjednoczonych o udzielenie prawa azylum dla mnie i mojej rodziny[18].

Sprawa stała się głośna. Modelski, po którym spodziewano się stworzenia w Stanach siatki wywiadowczej, przekazał swoje instrukcje komisjom Kongresu Stanów Zjednoczonych.

W listopadzie 1948 roku Wojskowy Sąd Okręgowy w Warszawie skazał go zaocznie na piętnaście lat więzienia, utratę praw publicznych i obywatelskich praw honorowych i przepadek mienia. W 1956 roku wyrok ten złagodzono, a w 2001, już po śmierci Modelskiego, Wojskowy Sąd Okręgowy w Warszawie stwierdził nieważność pierwotnego wyroku.

Andrew i Tomasz Modelscy starali się przez jakiś czas o odzyskanie domu na Sadybie. Ale dali sobie z tym spokój.

Jak jest u nas?

Stefan Szejnert pisze z Inowrocławia do moich rodziców na kartce wolnej od wszelkich stempli wojennych. Data: dwudziesty dziewiąty lutego 1945 (stryj zawsze był energiczny, pośpieszył się – luty w tamtym roku miał tylko dwadzieścia osiem dni).

Dzisiaj jest 3 tyg. jak tu siedzę. Radbym ogromnie odwiedzić was w Białej, ale fatalne warunki komunikac. i konieczność pilnowania zdobytego mieszkania trzymają mnie na miejscu. Chciałbym, ażeby Mika po powrocie z Niemiec (wciąż się łudzę, że to lada dzień nastąpi), miała swój kąt. Ja parę dni wstecz – stawałem przed Komisją Wojsk. i obecnie czekam na wezwanie, ale żadnych zarządzeń jak dotąd niema. Staram się o jakąkolwiek chociażby tylko chwilową pracę – to przecie widać, że roboty jest wiele i pilnej, a wszystko tak jakoś opornie idzie. Jestem ogromnie ciekaw jak jest u Was – czy po upojeniu się wolnością wrócili ludzie do codziennej pracy?

Jak jest u nas?

Do domu po drugiej stronie ulicy, opuszczonego w pośpiechu przez Gestapo, wprowadził się Urząd Bezpieczeństwa. Najmłodsza siostra mamy Marychna wylizała się z tyfusu, wychodzi za młodego inżyniera Adama Hadrawę, lwowiaka, ładnego i wesołego, cieszymy się, że rodzinie Biernackich przybędzie mężczyzna, bo w powrót dwóch wujów nikt już raczej nie wierzy. Dziadek uruchamia odzyskaną wędliniarnię, zgromadził dawnych czeladników, z wąsatym Bazylem, dawnym carskim artylerzystą, na czele, i otwiera sklep. Czeladnicy mówią do niego w trzeciej osobie – „pan starszy". Wrócił wprawdzie do domu pan młodszy, Stanisław, który miał przejąć warsztat po dziadku, ale nie wiadomo, kiedy wyzdrowieje. Dawny zwycięzca wszystkich zawodów szkolnych w Gimnazjum Kraszewskiego w Białej Podlaskiej, strzeleckich, kolarskich, lekkoatletycznych, spędza dni na sofie, patrząc przed siebie, i albo milczy, albo opowiada monotonnym głosem o ostatnich latach. Kiedy widzi w czyichś oczach niedowierzanie, gniewa się i milknie. Był kolejno w Auschwitz, Dachau, Buchenwaldzie, Ohrdurfie i Flossenbürgu. Po tym wszystkim, co przeżył na placach apelowych, w barakach, przy wyrębie lasów, układaniu torów, wykuwaniu podziemnych sztolni, podczas marszów śmierci od obozu do obozu, przestał być narodowcem i dziwi się, że kiedyś nim był.

Uwolniony w Sudetach, leżał w szpitalu w Pradze, ale wciąż choruje, na

duszy i ciele. Ma pod kolanem sino-czarny wrzód. Żona Hala Biernacka pojechała po niego do Krakowa na breku lokomotywy. Przywiozła go do Białej ciężarówką bez plandeki, leczy i pociesza.

Dziadek darzy mnie zaufaniem. Kazał mi iść na najdalszy strych i znaleźć cegły wystające z muru w ciemnym narożniku. Mam się wspiąć na palce, wyciągnąć rękę i macać. Namacałam złote dziesięć dolarów z głową Indianina. Dziadek nie mówił mi nawet, że mam o tym milczeć, uznał, że to wiem. Za złote dolary grozi straszna kara.

Tata coraz bardziej choruje. W czasie wojny pracował w bialskim komitecie opiekuńczym[19] i uczył potajemnie polskiego. Ale teraz, kiedy Gimnazjum Męskie imienia Kraszewskiego (ufundowane w 1628 roku) potrzebuje polonisty i dyrektor Stanisław Damrosz, szanowany przez całe miasto, wysyła mu kartkę: *Ostro podkurować się i prędko wracać do szkoły radzę i proszę!*, tata nie może już spełnić tego życzenia. Dwa lata po życzliwym wezwaniu dyrektora Damrosza umrze na serce, w drodze na dworzec – do sanatorium przeciwgruźliczego.

Siostra taty Hala Ługowska, żona kapitana Ryszarda Ługowskiego (ani o niej, ani o Raisie Kozakiewicz nie mówi się „wdowy”), pracuje jako bufetowa w restauracji przy bialskim placu Wolności. Ta posada bardzo pomaga Hali dożywiać Raisę.

Potem, kiedy już pracowałam, ciotka Hala przyjechała do mnie do Warszawy. Wyjęła z torby podłużny przedmiot owinięty starannie w gazetę. Było to potrójne lustro Raisy. Jedna szybka pękła, inne zmatowiały. Zrozumiałam, że Raisa umarła. „Może to kupisz? – zapytała Hala. – Zbieramy pieniądze na grób”.

Małgorzata Szejnert i Piotr Pietrzak

Kupiłam to lustro. Przeprowadzało się ze mną do kolejnych mieszkań. Myślę o wszystkich duchach, które widziało.

Dar pułkownika

Generał Stanisław Rouppert prawdopodobnie wróciłby do Polski jeszcze za życia, ale nie zdążył – zmarł w Edynburgu w sierpniu 1945 roku i spoczął na cmentarzu Corstorphine. Po wielu latach przeniesiono szczątki do dużego grobowca rodzinnego na Starych Powązkach, blisko czwartej bramy cmentarnej. Cement porósł mchem i trudno odczytać niektóre nazwiska i daty, trzeba wymacywać palcem wgłębienia. Leżą tu rodzice generała, który po matce Teodorze z Chełchowskich przyjął pseudonim „Teodor", jego żona Maria z Jędrzejowskich, ich dwóch synów – Stanisław, który wrócił do Polski jako komunista, i Bolesław, który poległ pod Falaise.

Kiedy generał Rouppert umierał w Edynburgu, jego pierworodny syn Stanisław, fizyk, który spędził wojnę w Paryżu pod opieką profesora Joliota-Curie, już prawdopodobnie był w kraju, obejmował posadę na politechnice w Łodzi i zapisywał się do Polskiej Partii Robotniczej. Skłonność do

komunizowania przejął po wuju Henryku Jędrzejowskim, też fizyku, który należał do Komunistycznej Partii Polski, został przed wojną aresztowany, zezwolono mu na emigrację do ZSRR i przepadł tam bez wieści podczas wielkich czystek. Pamięć o tym nie zachwiała decyzją Stanisława Roupperta juniora.

Maria („czarująca pani Rouppertowa" – jak wspominała Aleksandra Piłsudska) przeżyła o wiele lat męża i synów, zmarła w 1980 roku, i to ona prawdopodobnie wyraziła życzenie, by nad imieniem męża wyryto krzyż Virtuti, ledwie już dziś widoczny.

Generał Rayski zamieszkał na londyńskim Ealingu. Był kreślarzem w instytucie topograficznym. Zmarł w 1977 roku i spoczął obok pierwszej żony Stanisławy na lokalnym cmentarzu. Po latach prochy generała sprowadzono do Polski i pochowano w krypcie lotników, w katedrze polowej Wojska Polskiego w Warszawie przy ulicy Długiej. Można tam wejść bez trudności, przez muzeum w podziemiach kościoła. Drzwi do kolumbarium znajdują się obok recepcyjnego biurka muzeum i można by pomyśleć, że prowadzą do szatni. Kasjerka zapala światło w jasnym korytarzu. Na ścianach bieleją płyciny znaczące miejsca na urny. Na jednym odcinku ściany naliczyłam ich czterdzieści, ale tylko za trzema znajdowały się prochy. Na dwóch płycinach, przylegających do siebie, wyryto nazwiska generała brygady inżyniera Ludomiła Rayskiego i generała brygady pilota obserwatora Stanisława Ujejskiego, zmarłego w Toronto. Dwóch szefów polskiego lotnictwa – przedwojennego i wojennego, których tyle dzieliło za życia, połączyło najbardziej bezpośrednie sąsiedztwo.

Generał Bolesław Jacyna-Jatelnicki po śmierci wrócił w urnie do kraju. Zmarł w 1972 roku w Edynburgu. Spoczywa obok żony w Gliwicach. Generałowa Halina Jatelnicka, która spędziła okupację w Krakowie, a po wojnie przeprowadziła się do Gliwic, była bacznie obserwowana przez służby bezpieczeństwa. Raportowały, że „ob. Jatelnicka utrzymuje bliski kontakt z wyższymi oficerami sprzed 1939 r. wrogo nastawionymi i rozpracowywanymi przez organa UB i że wymieniona jest podejrzana o prowadzenie roboty szpiegowskiej".

Żyła bardzo skromnie. Od czasu do czasu dostawała niewielkie paczki z Edynburga. Funkcjonariusz, który miał ją na oku, informował

zwierzchnictwo, że treść jej listów do męża jest na ogół banalna, ale znajduje się w nich dużo niedomówień i dwuznaczników, które trudno wyjaśnić[20].

Stefan Mękarski najpierw przemieszkiwał u przyjaciół w Londynie. Z czasem wynajął skromną kawalerkę na obrzeżu miasta. Jego myśli z ławeczki pod Glenburnem nie traciły aktualności: *Nie znam i nie widzę tego kraju. Nie znam i nie widzę Anglii. A cóż mówić o czuciu, o wżyciu się?…* Ważny i jedyny był Lwów. Poświęcił mu wieleset artykułów i parę książek. Pisał do licznych wydawnictw emigracyjnych, do „Wiadomości", „Tek Historycznych", „Dziennika Polskiego i Dziennika Żołnierza", „Lwowa i Wilna", „Zeszytów Lwowskich", „Orła Białego". Współpracował z Radiem Wolna Europa; przygotował dla niego cykl audycji o lwowskim Ossolineum. Współorganizował Koło Lwowian i Towarzystwo Polsko-Ukraińskie. Statusu emigranta nie uznał. Nie przyjmował żadnych odznaczeń przyznawanych mu przez prezydentów i kolejne rządy na uchodźstwie. Nigdy już nie odwiedził swego miasta-ojczyzny. Zmarł w 1985 roku. Leży na cmentarzu Gunnersbury w Londynie. Spoczywa tam wielu Polaków, bo nekropolia jest pod zarządem gminy Kensington. Jego sąsiadami są między innymi Tadeusz Bór-Komorowski i Józef Haller.

Tadeusz Münnich, zdemobilizowany trzy lata po wojnie, pracował fizycznie w fabrykach urządzeń elektrycznych i radiowych. Nie narzekał. Podzielał los wielu oficerów: generała Maczka – barmana w edynburskim hotelu, generała Tokarzewskiego-Karaszewicza – salowego w szpitalu i pomocnika dentysty, generała Bortnowskiego – kelnera i pielęgniarza nerwowo chorych, generała Ujejskiego – drobnego sklepikarza, generała Sosabowskiego – magazyniera, który podobno zarabiał tygodniowo sześć funtów. Dużo pisał. Bronił pamięci Piłsudskiego i Śmigłego-Rydza. Należał do założycieli Instytutu Józefa Piłsudskiego w Londynie. Do końca życia korespondował z Aleksandrą Piłsudską. Zmarł na nowotwór w 1959 roku. Został pochowany w Londynie. W testamencie pisał z żalem, że nie zdąży już napisać książki o osobistej tragedii Śmigłego-Rydza. Żona przeżyła go o ponad trzydzieści lat i doczekała zmian w Polsce. Syn Krzysztof, architekt i urbanista, wypełnił, jak mógł, wolę ojca – zaprojektował pomnik-głaz w Chochołowie, w miejscu, gdzie Śmigły przekroczył granicę, wracając do Polski, i wydał tomik jego wierszy. W 1940 roku były marszałek pisał

o swoim osamotnieniu:

Odeszli… tylko dwóch lub trzech
Z całego tłumu pozostało.
Nie skarżę się, że ich tam mało,
Tamtych zaś żegna drwiący śmiech[21].

Wśród tych dwóch lub trzech widział niewątpliwie Tadeusza Münnicha.

Pułkownik Alf-Tarczyński, a od 1964 roku generał (awansowany przez Władysława Andersa), przez jakiś czas wykładał w Centrum Artylerii I Korpusu w Cowdenbeath w Szkocji. On także wiele pisał. Pociągała go bardziej literatura niż publicystyka. Opowieść o włoskim malarzu renesansowym Filippo Lippim, który nie pogodził święceń zakonnych z namiętnością do życia i sztuki, zatytułował *Włosiennica na jedwabiu*[22]. Alf-Tarczyński nie był jednak melancholikiem ani masochistą, wolał snuć *Wspomnienia oficera Pierwszej Brygady*, w których panuje serdeczne braterstwo i gdzie wybacza się wszystkie fantazje. Współtworzył Instytut Piłsudskiego i był jego wieloletnim prezesem. Nie tracił fasonu, o czym może świadczyć list do przyjaciela: *siedzę tu na zadupiu walijskim w ośrodku, w którym 150 Polaków dobrze już podeszłych wiekiem, czeka w tym przedpokoju grobu na niebo*[23]. Katolik powinien raczej oczekiwać czyśćca, ale Alf uważa widocznie, że starzy Polacy mają go już za sobą. Zmarł w 1985 roku w Londynie i został pochowany na cmentarzu Rakowickim w Krakowie.

Modlitwa o wyjazd do Ameryki, o której wspominał Stanisław Felix Kwaśniewski do Tadeusza Münnicha, została wysłuchana. Osiadł w Kalifornii i umarł w 1956 roku w Santa Monica. Leży na cmentarzu Holly Cross w Los Angeles.

Michał Grażyński wrócił do harcerstwa, a raczej ono wróciło do niego. Został ponownie przewodniczącym ZHP, ale poza Polską. Współtworzył Instytut Piłsudskiego. Zmarł w 1965 roku, po nieszczęśliwym wypadku – potrącił go samochód na londyńskiej ulicy. Siedem lat później zmarła wdowa Helena. Spoczywają razem w Londynie na cmentarzu Putney Vale. W 2015 roku, w pięćdziesiątą rocznicę śmierci Grażyńskiego, spotkały się przy tym grobie jego wnuczka, urodzona już po śmierci dziadka, z wnuczką Olgi Małkowskiej. Przyjechali przedstawiciele konsulatu polskiego, wojewody

katowickiego i wielu harcerzy.

Kazimierz Schally dopiero w 1945 roku zobaczył dziewiętnastoletniego syna Andrzeja Wiktora, który całą wojnę spędził w Rumunii. Syn wstąpił w Londynie na chemię i medycynę, uzupełnił studia w Kanadzie, objął profesurę w Stanach, a w 1977 roku dostał (wspólnie z Rogerem Guilleminem) Nagrodę Nobla za odkrycie zjawiska wydzielania hormonów w podwzgórzu mózgu, co zapoczątkowało neuroendokrynologię. W tym samym roku Uniwersytet Jagielloński uhonorował go doktoratem *honoris causa*. Ojciec nie doczekał tych chwil, zmarł w Edynburgu dziesięć lat wcześniej. Leży na cmentarzu Corstorphine.

Jerzy Niezbrzycki pracował w Ministerstwie Informacji rządu RP, wykładał w Polskim Instytucie Spraw Wschodnich w Londynie, udzielał konsultacji sowietologicznych wywiadowi brytyjskiemu i francuskiemu i ministerstwom spraw zagranicznych tych państw. Wydawał prace analityczne. Pisał do „Kultury" paryskiej, ale Jerzy Giedroyc zerwał tę współpracę, po tym jak Niezbrzycki zarzucił Czesławowi Miłoszowi kontakty ze służbą bezpieczeństwa PRL.

Jako agent „dwójki" budził nieufność. *Niezbrzycki tędy i owędy* – pisał Mękarski. – *Prawdę prawdziwą o Niezbrzyckim poznamy dopiero w Polsce.* Ale w Polsce w 2009 roku autor biograficznego szkicu o Niezbrzyckim ubolewał, że nie wie, kim naprawdę był jego bohater – genialnym oficerem służb specjalnych czy ponadprzeciętnym karierowiczem. *Z pewnością był inteligentnym i nad wyraz odważnym człowiekiem*[24]. Zmarł w 1968 roku w Stanach Zjednoczonych, w Leesburgu w Wirginii.

Roman Czerniawski osiadł w Londynie i zajął się z wielką energią pracą społeczną. W 1945 roku zorganizował Samopomoc Lotniczą, późniejsze Stowarzyszenie Lotników Polskich. *To była* – mówi Jan Czerniawski – *ogromna i bardzo potrzebna organizacja, zrzeszała kilkanaście tysięcy ludzi. Bardzo prężna, huczna organizacja. Wuj został jej wiceprezesem i członkiem Komitetu Wykonawczego, ale w 1950 roku musiał to zostawić. Ludzie zaczęli pytać o zdradę, bo poszła wiadomość, że pracował dla Niemców. On naturalnie nie mógł się z tego tłumaczyć, ciągle obowiązywała go tajemnica. Generał Anders próbował badać tę sprawę, uznał, że nie ma wystarczających*

dowodów, ale doradził wujowi, by się wycofał z życia publicznego. I on tak zrobił. Ale kiedy w 1972 roku lord Masterton ujawnił w książce jego zasługi dla aliantów, wrócił do zarządu stowarzyszenia i był w nim bardzo skuteczny. I nawet został ministrem w rządzie Kazimierza Sabbata.

Paru działaczy emigracyjnych ciągle jednak uważało, że Czerniawski nie jest człowiekiem honoru, i słało w tej sprawie przez wiele lat rozmaite pisma, między innymi do Stowarzyszenia Lotników Polskich w Wielkiej Brytanii. Jego prezes Aleksander Maisner zniecierpliwił się. Na początku 1985 roku odpisał, że akcja przeciw Czerniawskiemu nie znajduje poparcia ani we władzach, ani wśród członków Stowarzyszenia. *Odwrotnie – wyczuwam wzrastające oburzenie, że Panowie uzurpują sobie moralne prawo oskarżania, a nawet osądzania kogoś, kto tak zasłużył się dla Stowarzyszenia od samego zarania jego istnienia i działalności*[25].

Parę miesięcy później pięciu oficerów lotnictwa oświadczyło jednak w liście do prezydenta RP, że Czerniawski nie może piastować urzędów, bo *złamanie przysięgi ojczyźnie jest największym przestępstwem, które plami honor żołnierza i dyskwalifikuje go honorowo. Widocznie na obczyźnie u wielu ludzi hasło na naszych sztandarach: Bóg, Honor i Ojczyzna jest zardzewiałym sloganem*[26].

Roman Czerniawski zmarł dwa dni później. Prochy złożono na cmentarzu polskich lotników i spadochroniarzy w Newark pod Londynem. A wkrótce potem były lotnik Adam A. Dąbrowa ogłosił protest przeciw pochowaniu Czerniawskiego na tej nekropolii. Powtórzył stare zarzuty i dodał nowy: *jego zasługi jako „Brutusa" są zasługami dla brytyjskiego wywiadu i nie wolno nimi pokrywać złamania przysięgi Polsce*[27].

Mimo to prochy pozostały w Newark.

Marian Zyndram-Kościałkowski zamieszkał z Marią Balcerkiewiczówną w wiosce Brookwood w hrabstwie Surrey, czterdzieści dwa kilometry na południowy zachód od centrum Londynu.

Zmarł w kwietniu 1946 roku. Maria, która dożyła siedemdziesięciu jeden lat, pisała recenzje teatralne do popularnego tygodnika „Times Educational Supplement" przeznaczonego głównie dla nauczycieli i od czasu do czasu występowała na uroczystościach Ogniska Polskiego w Londynie.

Stefan Dąb-Biernacki wrócił do swego pierwotnego zawodu – w młodości skończył studia rolnicze w Dublanach. Po wojnie mógł się więc zająć farmerstwem. Podobno hodował zwierzęta futerkowe i pszczoły, w Irlandii lub w Walii. Zmarł w Londynie w 1959 roku. Spoczywa w grobie rodzinnym na cmentarzu w Brompton razem z żoną Zofią i córką Zofią. Córka zmarła w wieku dziewięćdziesięciu jeden lat. Napis pod jej imieniem informuje, że była kapitanem AK w okręgu Wilno. Przy nazwisku ojca nie ma stopnia wojskowego ani informacji o odznaczeniach, jedynie słowa: żołnierz I Brygady Legionów.

Janusz de Beaurain znalazł się w dyspozycji Sztabu Naczelnego Wodza. W latach 1947–1949 pełnił służbę w Polskim Korpusie Przysposobienia i Rozmieszczenia. Zmarł w 1959 roku w Edynburgu. Leży na cmentarzu Corstorphine.

Antoni Grycko prawdopodobnie wrócił do Polski. Wskazywałby na to list do „Łaskawego Pana Pułkownika” (nazwiska nie znamy), napisany w Warszawie dziewiątego lipca 1965 roku i dołączony do rękopisu wspomnień cytowanych w tej książce. Zawiera on dokładny opis perypetii związanych z umową (archiwalną lub wydawniczą) na te wspomnienia, niedotrzymaniem obietnic finansowych wobec autora i tak dalej. Fakt, że rękopis znalazł się jednak w Centralnym Archiwum Wojskowym, wskazuje na to, że strony osiągnęły jakiś kompromis. Co do jednej sprawy pozostała widoczna rozbieżność. Nabywcy domagali się od Grycki rezygnacji z „poezji wulgarno-wojskowego stylu”. Grycko nie usunął jej jednak z zapisków i dzięki temu mogłam przytoczyć piosenkę *Wielkiemu Katowi w Tajnym Brzuchu.*

Aleksander Narbut-Łuczyński osiadł z rodziną w Stanach Zjednoczonych. Zmarł w New Britain w stanie Connecticut w 1977 roku. Spoczywa na cmentarzu w Doylestown, w tak zwanej Amerykańskiej Częstochowie, obok Adama Styki, Antoniego Chruściela „Montera”, Stefana Korbońskiego. Syn generała Wojciech przyjechał do rodzinnego Wyszkowa na uroczystości w osiemdziesiątą piątą rocznicę Bitwy Warszawskiej. Defilada z udziałem młodzieżowej orkiestry dętej i żołnierskiej banderii konnej zatrzymała się przy pomniku poległych w 1920 roku, naprzeciw zrujnowanej willi

zbudowanej przez generała w latach trzydziestych. W lokalnej prasie przypomniano, że był najwyższym rangą piłsudczykiem związanym z Wyszkowem.

Roman Umiastowski został antykwariuszem. Pomogło mu w tym wykształcenie – historia, geografia, języki. Zbierał mapy, ryciny i dzieła geograficzne. To interesowało go teraz bardziej niż publicystyka i przerodziło się w pasję.

Umarł w Londynie dwudziestego dziewiątego grudnia 1982 roku. Prochy, przemycone do Polski w opakowaniu kamuflującym zawartość, pochowano już na początku stycznia w dużym grobie w głębi starych Powązek, do którego prowadzi od czwartej bramy długa piaszczysta droga. Romanowi Umiastowskiemu towarzyszy tu sześciu członków rodziny. Nie ma z nim żony i nie ma syna, podporucznika Jana Kazimierza Umiastowskiego z 5. Brygady Piechoty, który spoczywa w sektorze 8C cmentarza pod Monte Cassino. Na płycie pali się postawiony niedawno znicz.

dowództwa Frontu Wielkopolskiego, wykładowca

reprodukcja za: *Piotr Stawecki, Oficerowie dyplomowani wojska Drugiej Rzeczypospolitej*, Wrocław-Warszawa-Kraków 1997

Pół roku po śmierci Romana Umiastowskiego wdowa Joanna wysłała z Anglii do Szwajcarii trzy wielkie skrzynie. Pracownicy Muzeum Polskiego w Rapperswilu[28] wypakowali z nich dar – sto czterdzieści dawnych map

w czterystu pięćdziesięciu wersjach, sześć atlasów z siedemnastego i osiemnastego wieku, ponad trzysta starodruków, dzieła Heweliusza, pierwsze wydanie kroniki polskiej Marcina Kromera, piętnastowieczne drzeworyty, dawne portrety królewskie.

Największym skarbem kolekcji było pierwsze wydanie dzieła Mikołaja Kopernika *De revolutionibus orbium coelestium*. Norymberski starodruk z 1543 roku nie pozostał jednak w Szwajcarii. Joanna Umiastowska przekazała go dalej, do Biblioteki Narodowej w Warszawie, zgodnie z wolą męża.

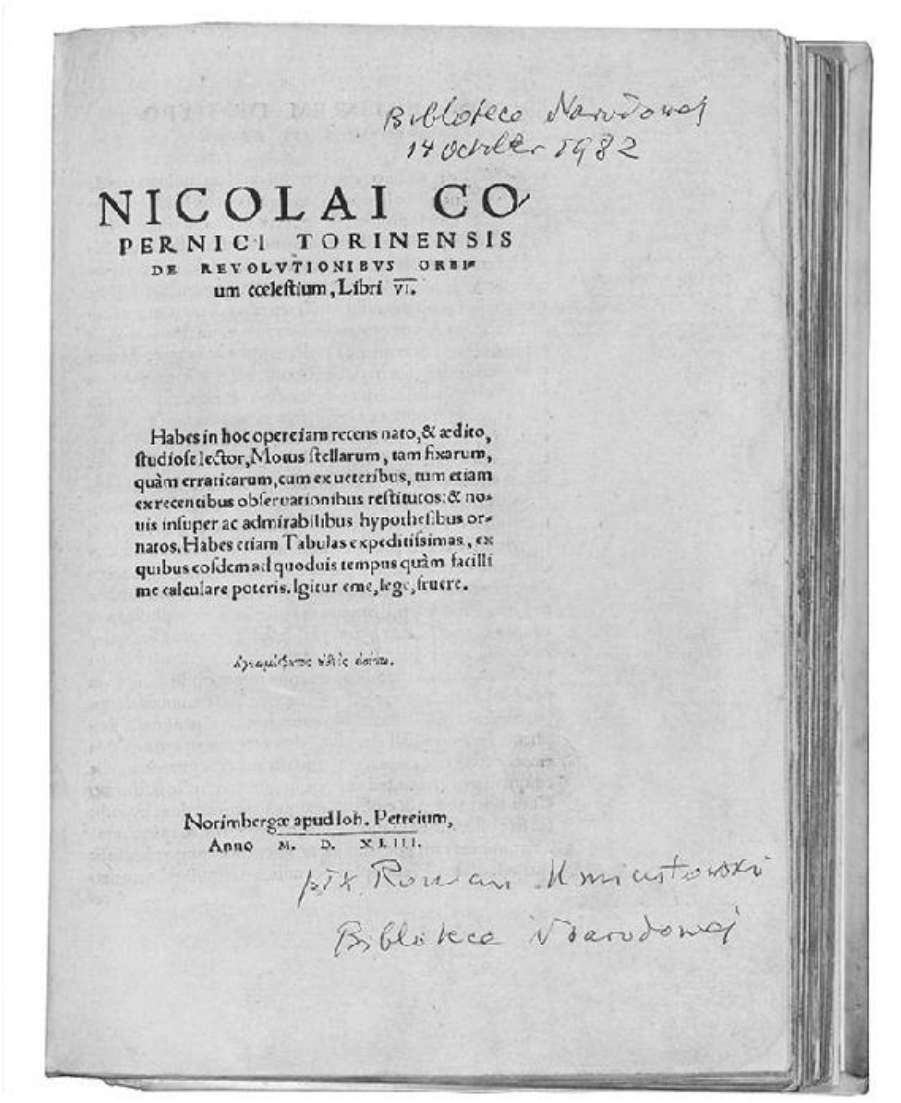
Biblioteca Narodowa
14 October 1982
NICOLAI CO
PERNICI TORINENSIS
DE REVOLVTIONIBVS ORBI
um cœleſtium, Libri VI.
Habes in hoc opere iam recens nato, & ædito,
ſtudioſe lector, Motus ſtellarum, tam fixarum,
quàm erraticarum, cum ex ueteribus, tum etiam
ex recentibus obſeruationibus reſtitutos: & no-
uis inſuper ac admirabilibus hypotheſibus or-
natos. Habes etiam Tabulas expeditiſsimas, ex
quibus eoſdem ad quoduis tempus quàm facilli
me calculare poteris. Igitur eme, lege, fruere.
Norimbergæ apud Ioh. Petreium,
Anno M. D. XLIII.
Biblioteka Narodowa

Księga spoczywa w skarbcu biblioteki w odpowiedniej temperaturze i wilgotności i mogą jej dotykać tylko uczeni i konserwatorzy – w szczególnie uzasadnionych okolicznościach. Można ją jednak oglądać w internecie za pośrednictwem systemu Polona. System pokaże nam wszystkie karty i powiększy każdą literę, ale bardziej zdumiewający niż te możliwości jest obraz tytułowej strony woluminu. Nad imieniem wielkiego autora – NICOLAI widać napisane długopisem, dosyć koślawo, słowa ofiarodawcy: „Biblotece Narodowej, 14 October 1982". A na dole karty, pod datą wydania dzieła w Norymberdze, uzupełnienie: „płk Roman Umiastowski Biblotece Narodowej".

Pisał to na sześć tygodni przed śmiercią, niepewną ręką i widocznie bardzo się śpieszył, by pozostawić widoczną i nieusuwalną wiadomość, kto, komu, kiedy ofiarował ten skarb i chociaż już od dawna był cywilem, przedstawił się jako żołnierz.

Rodzina uwzględniła to także na płycie grobowej. Wyryto na niej: „Roman Umiastowski Pułkownik".

Generał Władysław Sikorski miał trzy pogrzeby.

Pierwszy odbył się szesnastego lipca 1943 roku na cmentarzu polskich lotników w Newark. Drugi – siedemnastego września 1993 roku w Krakowie. Naczelny wódz przeniesiony z Anglii spoczął na Wawelu, w krypcie Świętego Leonarda, w kilkutonowym kamiennym sarkofagu. Prezydent Lech Wałęsa powiedział podczas uroczystości, którą historia opóźniła o całe półwiecze: *Pamięć o nim przetrwa pokolenia! Śpij spokojnie, generale!*

Nie spał spokojnie.

Wobec licznych teorii spiskowych dotyczących śmierci naczelnego wodza katowicki Instytut Pamięci Narodowej doprowadził do autopsji zwłok, by sprawdzić, czy nie ma na nich śladów zamachu.

Dwudziestego piątego listopada 2008 roku, sześćdziesiąt pięć lat po katastrofie gibraltarskiej, podniesiono więc dźwigiem sarkofag, wydobyto trumnę i wyjęto z niej szczątki. Specjaliści z Instytutu Ekspertyz Sądowych i z Zakładu Medycyny Sądowej w Krakowie zbadali je i ubrali w wyjściowy gabardynowy mundur generalski wzorowany na oryginalnym, z Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie, składający się z rogatywki, koszuli, krawata,

kurtki, spodni, butów i skarpet.

Poznańska firma krawiecka Krzysztofa Kłoskowskiego, Hero Collection, uszyła przy okazji drugi identyczny uniform – na potrzeby muzealne, wystawiennicze lub filmowe (ubierała już w mundury Toma Cruise'a i Brada Pitta).

Do trumny włożono ryngraf i dokument z datą ekshumacji.

Patolodzy nie znaleźli śladów zamachu.

Kondukt trzeciego pogrzebu Władysława Sikorskiego wszedł na wzgórze wawelskie przy biciu dzwonu Zygmunta.

1 Na podstawie pisma płk. Lichtarowicza zaadresowanego do Dowódcy Jednostek Wojska w Wielkiej Brytanii, IPMS, A.VI.13/1.

2 Instytut Polski i Muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie (dalej: IPMS), A.XII.87/14.

3 Na podstawie „Protokołu z posiedzenia Sądu Honowego dla Generałów", 9 lutego 1944, IPMS, A.XII.87/14.

4 Pismo Mariana Kukiela do wiceadm. Świrskiego z 10 marca 1944, IPMS, A.XII.87/14.

5 List z 29 lutego 1944, archiwum domowe Krzysztofa Münnicha.

6 John Cecil Masterman, *The Double-Cross System. The Incredible True Story of How Nazi Spies Were Turned Into Double Agents*, London 2007.

7 Według Przemysława Marcina Żukowskiego Roman Umiastowski pracował wtedy prawdopodobnie nad dwutomowym dziełem: t. 1 – *Russia and the Polish Republic 1918–1941*, t. 2 – *Poland, Russia and Great Britain 1941–1945. A Study of Evidence*, wydanym w Londynie: t. 1 – 1945, t. 2 – 1946.

8 Władysław Anders, *Bez ostatniego rozdziału. Wspomnienia z lat 1939–1946*, Warszawa 2007.

9 Tamże.

10 Informacja od Katarzyny Utrackiej, zastępcy kierownika Działu Historycznego Muzeum Powstania Warszawskiego.

11 Jess Sandeman, *Bute's War*, Bute 2000.

12 Władysław Anders, dz. cyt.

13 Omówienie broszury i cytaty (z drobną zmianą stylistyczną): Ryszard Wraga, *Rozmyślania Polaka w sprawie powrotu do Kraju*, Edynburg 1945.

14 Jadwiga Malkiewiczowa, *Wspomnienia więzienne*, Warszawa 1987.

15 Za: o. Tomasz Rostworowski, *Zaraz po wojnie*, Warszawa 1988.

16 Niektóre informacje za: Andrzej Suchcitz, *Emigracyjne losy polskiej generalicji po 1945 r.*, „Wojskowy Przegląd Historyczny" 1993, nr 3.

17 Tomasz Urzykowski, *Spacerownik Oficerska Sadyba i Miasto Ogród Czerniaków*, „Gazeta Wyborcza", 8 sierpnia 2008.

18 „Oświadczenie” to ukazało się w piśmie „Jutro Polski”, 10 października 1948, nr 18.

19 Polski Komitet Opiekuńczy w Białej Podlaskiej był terenowym ogniwem Rady Głównej Opiekuńczej. Według protokołu lustracji przeprowadzonej przez RGO otoczył opieką 2020 mieszkańców Białej Podlaskiej, w tym 759 dzieci. Za: Jerzy Flisiński, Henryk Mierzwiński, *Dzieje Białej Podlaskiej*, t. 3, cz. 2: *Biała Podlaska w latach 1939–1944* , Biała Podlaska 2012.

20 Bogusław Tracz, IPN Katowice, *Pod czujnym okiem bezpieki*, „Biuletyn IPN” 2007, nr 10–11.

21 Edward Śmigły-Rydz, *Dążąc do końca swoich dróg*, wybrał, opracował i wstępem opatrzył Krzysztof Münnich, Londyn 1989.

22 Wydana w Londynie w 1969.

23 List do Wacława Jędrzejewicza z 14 sierpnia 1972, za: Jacek Piotrowski, *Piłsudczycy bez lidera (po 1 września 1939 roku)*, Toruń 2003.

24 Andrzej Krzak, *Kapitan Jerzy Antoni Niezbrzycki*, „Rocznik Archiwalno-Historyczny Centralnego Archiwum Wojskowego” 2009, nr 2/31.

25 Pismo Aleksandra Maisnera do J. Araszkiewicza z 7 stycznia 1985, archiwum Jana Czerniawskiego.

26 List pięciu oficerów lotnictwa do prezydenta RP z 24 kwietnia 1985, archiwum Jana Czerniawskiego.

27 Protest płk. Adama A. Dąbrowy z 27 czerwca 1985, archiwum Jana Czerniawskiego.

28 W drugiej połowie dziewiętnastego wieku w odrestaurowanym średniowiecznym zamku w Rapperswilu w Szwajcarii powstało Muzeum Narodowe Polskie gromadzące dokumenty dotyczące emigracji politycznej, archiwa, księgozbiory i dzieła sztuki. W 1927 przekazano je Muzeum Narodowemu i Bibliotece Narodowej w Warszawie. W czasie wojny uległy zniszczeniu. W 1975 wznowiono działalność placówki pod nazwą Muzeum Polskie w Rapperswilu.

Dzisiaj

Najpierw tracimy z oczu sklepik dwóch sióstr, pochłania go cień. Potem gubi się gdzieś kopuła Ogrodu Zimowego. Pudło akademii zlewa się z niebem. Jeszcze jakiś czas widać Esplanade i powoli na wszystko, co zbudowano, nasuwają się wzgórza.

Pomiędzy nimi a wodą jaśnieje długo cienka wypustka – to domy stojące gęsto przy bulwarze. Najdłużej widzimy białą wioskę Kerrycroy, tak pada słońce. Ruch lekkich chmur kładzie na pagórach tęczowe pasy i koła. Może będziemy tęsknić za Bute. Piotr chce tu wrócić, żeby pokazać Kindze i dzieciom „błękitny świat wód Clyde", który ciągle trwa, chociaż Robin Munro tak bał się o niego.

Polscy oficerowie, którzy opuścili wyspę po rozwiązaniu obozu nie przyjeżdżali tu w odwiedziny z miejsc, w których pędzili życie po wojnie. A przynajmniej nie słyszeliśmy o tym.

Podziękowania

Za różnego rodzaju oparcie – dzielenie się ze mną opowieściami i informacjami, pomoc w docieraniu do dokumentów archiwalnych, osób i miejsc, dyskusje, uwagi, gościnność, pracę nad formą edytorską książki, dziękuję Arkadiuszowi Adamczykowi, Charlesowi Allanowi, Janowi Czerniawskiemu, Davidowi McDowallowi, Malgoshy Gago, Wiesławie Grocholi, Michaelowi A. Hutsonowi, Michałowi Jakubikowi, Karen Keith, Wandzie Kościa, Zofii Kunert, Danielowi Lisowi, Katarzynie Mach, Jean McMillan, Lachlanowi Mcmillanowi, Andrzejowi Modelskiemu, Robinowi Munro, Krzysztofowi Münnichowi, Marii i Andrzejowi Ochalskim, Kindze i Piotrowi Pietrzakom, Marii, Witoldowi Siemaszkiewiczowi, Janinie i Elżbiecie Stapf, Annie Stefanickiej, Andrzejowi Suchcitzowi, Janowi Tarczyńskiemu, Bogumile Ziembli, Krzysztofowi Zielińskiemu, Przemysławowi M. Żukowskiemu.

Indeks nazwisk

Abczyński Henryk
Adamczyk Arkadiusz
Aldarsami Mounzer
Alf-Tarczyński Tadeusz
Allan Charles Fraser
Allan John
Alle David E.
Allenby Richard
Amirowicz, ppr
Anders Władysław
Araszkiewicz J.
Asnyk Adam

Babel Isaak Emmanuiłowicz
Baden-Powell Robert
Bagiński Henryk
Balcerkiewicz Maria
Baliński Stanisław
Baliszewski Dariusz
Bannatyne Stuart
Bar Ludwik
Barańczak Stanisław
Barbara Radziwiłłówna
Barker Ida
Barry Claude
Bartel Kazimierz
Batory Aleksander

Beaurain Janusz de
Beck Józef
Belina-Prażmowski Zbigniew
Bell, kmdr
Bełch Stanisław
Berbecka Zofia
Berbecki Leon
Berecki Jan
Biagioni Francesco
Biddle Anthony
Biernacka Hala
Biernacka Katarzyna
Biernacki Antoni, dziadek
Biernacki Antoni, wuj
Biernacki Stanisław
Biernacki Stefan
Biłyk Alfred
Blain John
Blane, św.
Błażejewicz Augustyn
Bobkowski Andrzej
Bobola Andrzej, św.
Bolesław Chrobry
Bone Lachlan
Borsuk Seweryn
Bortnowski Władysław
Bowers Henry
Boziewicz Władysław
Bór-Komorowski Tadeusz
Brandys Marian
Bratkowska Maria
Brodzki Jozef
Brown John

Buchanan Anna
Buchanan Malcolm
Buchanan, dr
Budionny Siemion Michajłowicz
Bujalski Aleksander
Burns Robert
Butler, ks.
Byars Keir
Bylczyński Stanisław

Carre Mathilda
Chajn Leon
Chaucer Geoffrey
Chesterton Gilbert Keith
Chojnowski Andrzej
Chopin Fryderyk
Chrapowicki
Chruściel Antoni, „Monter”
Churchill Winston
Ciastoń Jan
Ciołkosz Adam
Ciołkoszowa Lidia
Clair René
Connor Aita (z d. Polakowski)
Connor Graham
Crichton-Stuart David
Crichton-Stuart Eileen
Crichton-Stuart Gwendolyn
Crichton-Stuart John Colum,. markiz Bute
Crichton-Stuart John Patrick,. markiz Bute
Crichton-Stuart John,. markiz Bute
Crichton-Stuart John,. markiz Bute, hrabia Dumfries
Crichton-Stuart Patrick
Crichton-Stuart Rhidian

Crichton-Stuart Robert
Cruise Tom
Cywiński Stanisław
Czajkowski Michał
Czarniecki Stefan
Czerniawski Jan
Czerniawski Roman

Damrosz Stanisław
Davidson Stanley
Davidson William
Dąb-Biernacka Zofia
Dąb-Biernacki Józef
Dąb-Biernacki Stefan
Dąbrowa Adam A.
Dąbrowski Jan Henryk
Dembiński Stefan Jacek
Dietrich Marlena
Dmowski Roman
Doboszyński Adam
Dobrzycki Henryk
Doggar, nauczycielka
Dollan Agnes
Döllinger Franciszek
Donald Jean
Dow Archie
Dowbor-Muśnicki Józef
Drahonowska-Małkowska Olga
Dreszer Rudolf Eugeniusz
Drzewiecka Maria
Drzewiecki Wacław
Duff, nauczycielka
Dylan Thomas

Eden Anthony
Edwards, kpt.
Elżbieta II

Faury Louis
Ferek-Błeszyński Jerzy
Fergusson Georgina
Fiedler Arkady
Filipow Iwan
Filipowicz Jan
Flisiński Jerzy
Fra Filippo Lippi
Franaszek Andrzej
Franciszek, papież
Fredro Aleksander
Frelich / Frölich Karol
Friszke Andrzej

Gago Malgosha
Galinat Edward
Gałęzowski Marek
Gano Stanisław
Gaulle Charles de
Gawlina Józef
Giedroyc Jerzy
Gierek Edward
Gillespie Iain
Gillies Thomas
Gilmour Andrew
Goebbels Paul Joseph
Gorodetsky Gabriel
Gosiewska Jadwiga
Gosiewska Josephine Alice
Gosiewski Antoni

Gosiewski Krzysztof
Gosiewski Michał
Górski Wiesław
Graham Alan
Gray Thomas
Grażyńska Helena
Grażyński Michał
Grelichowska Mira
Grochola Wiesława
Grocholski Ksawery
Grottger Artur
Gruber Henryk
Grycko Antoni
Grzebałkowska Magdalena
Grzybowski Antoni
Guderian Heinz Wilhelm
Guillemin Roger
Gulkowski Aleksander

Haakon VII
Hadrawa Adam
Hadrawa Maria
Haller Józef
Hałaciński, płk
Hass Ludwik
Hatfield Gabrielle
Hauke-Nowak Aleksander
Hegner Mary
Hegner Stanisław
Hellebrandt, kpt
Hełczyński Bronisław
Hepburn Katharine
Heweliusz Jan
Hicks, major

Hitler Adolf
Hodge, nauczycielka
Holland Thomas
Hrehorowicz Daniel
Hutson Michael A.

Islam-Zulfiqar Shameela
Iwaszkiewicz Jarosław

Jachimowicz Irena (z d. Szejnert)
Jachimowicz Walerian
Jachimowicz Wiktor
Jachimowiczówna Ewa
Jacyna-Jatelnicki Bolesław
Jacyna-Jatelnicki Nicefor
Jacyna-Jatelnicki Świętosław
Jadwiga, św.
Jagiełło Władysław
Jan II Kazimierz Waza
Jan III Sobieski
Jankowski
Jatelnicka Halina
Jerzy VI
Jędrzejewicz Wacław
Jędrzejowski Henryk
Johnston Tom
Joliot-Curie Jean Frédéric
Józewski Henryk
Junosza-Gałecki Aleksander
Jupp Michael
Jurewicz
Jurgielewicz Kazimierz

Kaczyński Zygmunt
Kaden-Bandrowski Juliusz

Kalkus Jan Władysław
Kalkus Wacław
Karczowa
Kasprowicz Jan
Kasprzycki Tadeusz
Katelbach Tadeusz
Keith Karen
Kerr Graham
Kisielis
Kleeberg Franciszek
Klimecki Tadeusz
Kłoskowski Krzysztof
Kochanowski Jan
Kocur Szymon
Kołoszyński, dr
Kontowt
Kopernik Mikołaj
Korboński Stefan
Korfanty Wojciech
Korfanty Zbigniew
Korwin Martha
Korwin-Sokołowski Adam Ludwik
Korwin-Sokołowski Józef
Korytowski Adam
Kossak Juliusz
Kossak-Szczucka Zofia
Kostek-Biernacki Wacław
Kostka Stanisław, św.
Kościa Wanda
Kościuszko Tadeusz
Kot Stanisław
Kozakiewicz Raisa
Kozakiewicz Tadeusz

Krasiński Zygmunt
Kromer Marcin
Krygier Zosia
Kryska-Karski Tadeusz
Krystek Gustaw
Krzak Andrzej
Krzisch Otto
Krzymowski Jerzy
Kukiel Marian
Kulesza Paweł
Kunert Zofia
Kurzempa Zenon
Kwaśniewski Stanisław Feliks / Felix

Landau Szymon
Landauowa
Larkin Philip
Lasota Mieczysław
Lauder Harry
Laurentowski Stanisław
Lebrun Albert
Leckie William
Leith Campbell
Leśniowska Zofia
Libicki Konrad
Lichtarowicz Ludwik
Lieberman Herman
Liebich Andrzej
Ligne de, książę
Litwiniuk Jerzy
Livingstone David
Lokhardowie
Lusk Edward
Lutecki, ppor

Ładoś Kazimierz
Łohojski, płk zob. Tyszkiewicz-Łohojski Włodzimierz Ignacy Woldemar
Ługowska Halina (z d. Szejnert)
Ługowski Jan
Ługowski Ryszard

M’Arthur D.
MacCallum, nauczycielka
Macdonald Alexander
Macdonald Ken
Macdonald, pani
MacIntosh, porucznik
MacKay Kenneth Meikle
Mackiewicz Stanisław, pseud. Cat
Macmillan Alex
Macmillan Ken
MacRae Colin
Maczek Stanisław
Maisner Aleksander
Majewska Włada
Majski Iwan Michajłowicz
Malawski Jan
Malczewski Jacek
Maliński Marian
Malkiewicz Andrzej
Malkiewiczowa Jadwiga
Maresch Eugenia
Margesson David
Masny Karol
Masterman John Cecil
Matejko Jan
Matuszewska Ewa
Matuszewski Ignacy
Mayer Tobiasz

McAndrew Charles
McCabe, nauczycielka
McDowall David
McKay, nauczycielka
McKinlay Adam Storey
McMillan Jean
Mcmillan Lachie
McShane, ks.
McWilliam John Morell
Mehoffer Józef
Meissner Janusz
Mękarski Stefan
Mickiewicz Adam
Miedzińska
Miedziński Bogusław
Mierzwiński Henryk
Mikulicz-Radecki Witold
Miłosz Czesław
Mintowt-Czyż Anna Ludwika
Mintowt-Czyż Jan
Mirza-Dawidowicz Włodzimierz
Miszczyszyn, mjr
Mitkiewicz Leon
Modelska Stanisława
Modelski Andrzej, Andrew
Modelski Izydor
Modelski Tomasz
Mołotow Wiaczesław Michajłowicz
Morawski Kajetan
Morgenthau Henry
Morris Graham
Moszczeński, kpt
Mościcki Ignacy

Münnich Krzysztof
Münnich Tadeusz
Münnichowa Irena
Munro Ian S.
Munro Mollie
Munro Robin

Napoleon I Bonaparte
Narbut-Łuczyński Aleksander
Narbut-Łuczyński Wojciech
Nelson Horatio
Niezbrzycki Jerzy, pseud. Ryszard Wraga
Nitschke Bernadetta
Nowaczyński Adolf
Nowak Józef
Nowicki Stanisław

O'Donnel Lisa
Ochalska Maria
Ochalski Andrzej
Olszewska
Ołsufiewa
Onyszkiewicz Janusz
Ordon Konstanty Julian
Osikowski Mikołaj
Ozdowski Jerzy

Paczkowski Mieczysław
Paderewski Ignacy Jan
Pagan Artur
Pajol Juan
Paluch Mieczysław
Patton George
Peake Osbert
Pertek Jerzy

Pestkowska Maria
Pétain Henri Philippe
Pieracki Bronisław
Pietrzak Kinga
Pietrzak Piotr
Pietrzyk Bartłomiej
Pikulska Stanisława
Piłsudska Aleksandra
Piłsudska Jadwiga
Piłsudska Wanda
Piłsudski Józef
Piotr, św.
Piotrowski Jacek
Piskor Tadeusz
Pitt Brad
Pitt William młodszy
Pius XII
Piżyc Szmul
Place Godfrey
Pobóg-Malinowski Władysław
Poe Edgar Allan
Pogłódek Konstanty
Pomianowski Jerzy
Popow Dušan
Poziomek Stanisław
Pragier Adam
Presch Julian
Pruszyński Ksawery
Przeździecki Alojzy
Przybyłek Eugenia
Pusłowska Zofia (z d. księżna Jabłonowska)
Pusłowski Franciszek Ksawery

Raczkiewicz Władysław

Raczkowska Jadwiga (z d. Szejnert)
Raczkowski Antoni
Raczkowski Eugeniusz
Raczkowski Ignacy (Rak)
Raczyńska Cecylia
Raczyński Edward
Raczyński Roger
Radziwiłł Edmund
Radziwiłł Karol Mikołaj
Radziwiłł Stanisław
Radziwiłłowa Izabela
Rayska Stanisława
Rayski Ludomił
Regulska Zofia
Regulski Bronisław
Retinger Józef
Ribbentrop Joachim von
Robert II
Robertson, radny
Romeyko Marian
Rosen Jan Henryk
Rosner, ppłk
Rostworowski Tomasz
Rostworowski, hrabia
Rouppert Bolesław
Rouppert Maria (z d. Jędrzejowska)
Rouppert Stanisław
Rouppert Stanisław jr
Rouppert Teodora (z d. Chełchowska)
Rozwadowski Tadeusz Jordan
Rumsza Kazimierz
Rusin Stefania
Rustejko

Rutkowski, kpt
Ryszanek Władysław

Sabbat Kazimierz
Salvesenowie
Sandeman Jess
Schally Andrzej Wiktor
Schally Kazimierz
Schirach Baldur von
Schreyer Artur
Scott Robert
Sęp Szarzyński Stanisław
Sidor Janusz
Siemaszko
Sienkiewicz Henryk
Sikorska Helena
Sikorski Władysław
Slessor John
Sławoj-Składkowski Felicjan
Słonimski Antoni
Słowacki Juliusz
Słowikowski Mieczysław Zygfryd
Snyder Timothy
Sochaczewski Stanisław
Soroczkin
Sosnkowska Jadwiga
Sosnkowski Kazimierz
Spałek Władysław
Stachiewicz Wacław Teofil
Stadnikiewicz Jan Zygmunt
Stalin Józef Wissarionowicz
Stanley Dorothy
Stanley Henry Morton
Stapf Elżbieta

Stapf Janina
Stapf Maria
Stebłowski Adam
Stefanicka Anna
Stobo John
Stroński Stanisław
Styka Adam
Suchcitz Andrzej
Sulik Bolesław
Szaniawski Jerzy
Szejnert Edmund
Szejnert Henryk
Szejnert Natalia (Mika-Natalia)
Szejnert Regina
Szejnert Stefan
Szejnertówna Hala zob. Ługowska Halina
Szejnertówna Irena zob. Jachimowicz Irena
Szekspir William
Szujska Elisabeth Agnes
Szujska Margaret Stefania
Szujska Stefania
Szujski Ryszard
Szukalski Stanisław
Szwagrzyk Krzysztof

Ścieżyńska
Śliwiński Jan
Śmigły-Rydz Edward
Świrski Jerzy

Tait Jennie
Tarczyński Jan
Tatar Stanisław
Taylor Mary

Tefler James
Tetmajer Włodzimierz Przerwa
Thom Alan M.
Thom Robert
Thomson Harry
Tokarz Tadeusz
Tokarz Wacław
Tokarzewski-Karaszewicz Michał
Tołwiński Tadeusz
Tomaszewski, płk
Tracy Spencer
Tracz Bogusław
Trocki Lew Dawidowicz
Trojanowski, mjr
Tuwim Julian
Tyszkiewicz-Łohojski Włodzimierz Ignacy Woldemar

Ujejski Stanisław
Umiastowska Joanna
Umiastowski Jan Kazimierz
Umiastowski Roman
Urzykowski Tomasz
Utnik Marian
Utracka Katarzyna

Varley Cromwell
Vauvillierse, płk

Walentynowicz Marian
Wałęsa Lech
Webb Simon
Wegner Stanisław
Wermiński Jan Wojciech
Weygand Maxime
Wiart Adrian Carton de

Wieniawa-Długoszowski Bolesław
Wilde Oscar
Wilhelm IV
Wilson M.E.
Wilson Thomas Woodrow
Wirtemberg Arvid
Wiśniewska Ewa
Witkiewicz Stanisław Ignacy, Witkacy
Witos Wincenty
Wolny Konstanty
Woolton, lord
Wójcik Jadwiga
Wraga Ryszard zob. Niezbrzycki Jerzy
Wróbel Piotr
Wrzos Konrad
Wybicki Józef
Wyczółkowski Leon
Wyrwa Tadeusz
Wyspiański Stanisław
Wyżeł-Ścieżyński Mieczysław

Yelloulees John

Zahorski Sergiusz
Zaleska Ewelina
Zaleski August
Zan-Kreyser Edward
Zan-Kreyser Jonathan
Zaremba, krawiec
Zaremba, ppr
Zgrzebniok Alfons
Zygmunt II August
Zyndram-Kościałkowski Marian

Żabiński Jan

Żenkiewicz Jerzy

Żeromski Stefan

Żukow Gieorgij Konstantinowicz

Żukowski Przemysław Marcin

Żurakowski Stanisław

Spis treści:

Okładka
Karta tytułowa
Rak
1939. Żadne bomby nie spadły
Dzisiaj. Iain, Lachie, Rak
1940. Wszyscy żeśmy zawinili
Dzisiaj. Jean
1941. Witaj nam, droga Polsko
Dzisiaj. Charles
1942. Ci, co bezczynni
Dzisiaj. Ojciec Michael
1943/1944. Kop! Kop! Kop!
Dzisiaj. Robin
1944 i potem. Powrót
Dzisiaj
Podziękowania
Indeks nazwisk
Karta redakcyjna

Projekt okładki
Witold Siemaszkiewicz

Fotografia na pierwszej stronie okładki
PAP/CAF

Opieka redakcyjna
Daniel Lis

Weryfikacja merytoryczna
Jan Szkudliński

Wybór fotografii
Małgorzata Szejnert przy współpracy Krzysztofa Zielińskiego

Opracowanie mapy
Anna Styrska-Mróz

Adiustacja
Bogumiła Ziembla

Korekta
Barbara Gąsiorowska
Anastazja Oleśkiewicz

Indeks
Urszula Horecka

Copyright © by Małgorzata Szejnert
© Copyright for this edition by SIW Znak sp. z o.o., 2018

ISBN 978-83-240-5406-0

Książki z dobrej strony: www.znak.com.pl
Więcej o naszych autorach i książkach: www.wydawnictwoznak.pl

Społeczny Instytut Wydawniczy Znak, ul. Kościuszki 37, 30-105 Kraków
Dział sprzedaży: tel. 12 61 99 569, e-mail: czytelnicy@znak.com.pl

Plik opracował i przygotował Woblink

woblink.com

Małgorzata Szejnert

Wyspa Węży

znak